



RYSZARD **ĆWIRLEJ**
TAM CI
BĘDZIE LEPIEJ

Ryszard Ćwirlej to niekwestionowany mistrz powieści kryminalnej. Światowa liga! Katarzyna Bonda



RYSZARD **ĆWIRLEJ**
TAM CI
BĘDZIE LEPIEJ

RYSZARD **ĆWIRLEJ**
TAM CI
BĘDZIE LEPIEJ



Copyright © Ryszard Ćwirlej, 2015
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2015

Redaktor prowadząca: Monika Długa
Konsultacja historyczna: Marek Daroszewski
Redakcja: Lidia Wrońska-Idziak
Korekta: Paulina Wierzbicka, Lidia Wrońska-Idziak
Projekt okładki: Katarzyna Borkowska
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka ■ panbook.pl
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Fotografie na okładce:
© Mark Owen / Trevillion Images
© narvikk/iStockphoto
<http://www.shutterstock.com/David Hernandez>

Wydanie elektroniczne 2015

eISBN 978-83-7976-298-9

CZWARTA STRONA
Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

Prolog

Poznań

Poniedziałek, 3 marca 1924

Godzina 4.13 o świcie

Cała trzęsła się z zimna. Potarła zmarznięte dłonie, a potem na powrót schowała je w głąb mufki. Ale to tylko z nazwy była mufka. Cholerstwo prawie wcale nie grzało. Bo jak miało grzać stare, wytarte futerko, które wyglądało jak wyliniały kot? Skórka, którą obszyty był ten wełniany rękaw, pochodzący ze starego swetra, pochodziła najprawdopodobniej z kota, a nie z sobola, o czym próbował ją przekonać żydowski handlarz sprzedający różne szmaty. Ale co miała robić? Przecież nie stać jej było na nic porządnego, co nosiły te wszystkie damy wysiadające przed Teatrem Polskim z ogromnych automobili. Wkładały swoje drobne dłonie w mufki grube i puchate, a włosie na nich aż lśniło w blasku elektrycznych latarni.

Kryśka Barciak, jej koleżanka, z którą dzieliła wspólny pokój w kamienicy przy Mostowej, wyjaśniła jej, że te mufki robi się z futra jakichś gronostajów i dlatego są takie piękne. Spojrzała na swoją kocia mufkę i aż jej się płakać chciało. Dlaczego życie jest takie niesprawiedliwe, że jedni mają wszystko i wcale nie muszą na to pracować, a inni nie mają nic? Ona nie miała kompletnie nic poza swoją nędzną mufką, parą pantofli, dwoma sukienkami, jednym swetrem i parą bielizny na zmianę. Miała jeszcze niewielką torebkę z koziej skóry na miedzianym łańcuszku, do której mogła wkładać zarobione pieniądze.

Ale dziś torebka była kompletnie pusta i nic nie wskazywało na to, że trafi do niej jakiś grosz. Poczuła, jak burczy jej w brzuchu. Była głodna. Ostatni raz jadła wieczorem, pewnie gdzieś koło ósmej. Dokładnie nie wiedziała, o której to było, bo przecież nie miała własnego zegarka. Zjadła kawałek chleba z marmoladą i popiła kawą zbożową bez mleka. Mleko kupowały tylko wtedy, gdy trafił się jakiś większy zarobek, czyli bardzo rzadko. Na szczęście było w domu jeszcze trochę cukru, więc jakoś dało się tę kawę wypić. Zjadły więc, wypiły i poszły do pracy. Jadźka tutaj właśnie, koło mostu Chwaliszewskiego, a Kryśka poszła pokręcić się trochę dalej, w kierunku centrum miasta, w okolice Starego Rynku.

Już dawno umówiły się, że nie ma sensu stać we dwie w jednym miejscu, żeby nie walczyć między sobą o tego samego klienta. Bezpieczniej było zająć dwa punkty i polować w taki sposób, bo zawsze była szansa, że wtedy choć jedna z nich kogoś trafi. Założyły więc coś w rodzaju spółki samopomocowej. Zarobione pieniądze trafiały do wspólnej kasy i dzięki nim miały za co żyć, a co najważniejsze – opłacać pokój. Bo z administratorem ich kamienicy nie było żartów. Jeśli się nie zdążyło z zapłatą do dziesiątego, przychodził i robił awanturę. Wtedy trzeba było mu zapłacić w naturze i na dwa–trzy dni był spokój.

Niekiedy udawało się tak przeciągnąć jeszcze ze dwa dni, szczególnie jak Heidemann był pokłócony ze swoją żoną Helgą i przez to szczególnie wyposzczony. No, ale kłótnie u Heidemannów zdarzały się najczęściej pod koniec miesiąca, gdy administrator rozliczał się z właścicielem kamienicy panem Aronem Zilbersteinem, który jak zwykle zarzucał Niemcowi kiepskie przykładanie się do obowiązków i małą skuteczność w egzekwowaniu czynszów. Po takiej rozmowie administrator wracał do domu przygnębiony i kompletnie pijany. Wtedy zaczynały się awantury, bo Heidemann nie potrafił zakończyć picia w jeden dzień, ale następnego ranka musiał zalać kaca i tak ciągnęło się to przez kilka kolejnych dni. Jeśli pił do dziesiątego, wtedy był w stanie wojny z żoną i lubił nawet odebrać zadłużenie w naturze. Gdy pił do dwunastego, też była na to szansa. Ale piętnastego nigdy już nie pił, bo był obowiązkowy i musiał wziąć się do roboty. I wtedy już nic się nie dało zrobić. Trzeba było płacić, nawet kosztem jedzenia, bo ten gruby wieprz Heidemann na trzeźwo nie znał litości. Potrafił wyrzucić lokatora z dnia na dzień, nie

licząc się z żadnymi błaganiami o litość. Nie płacisz, to weg i fertig – mówił, drapiąc się po rudej łepetynie.

Dziś był właśnie czternasty dzień miesiąca i przed południem obudzi ją łomotanie do drzwi. Administrator przyjdzie po zapłatę, a ona będzie miała mu do zaoferowania najwyżej samą siebie. Ciekawe, jak tam się dziś wiedzie Kryśce. Ona była młodsza od Jadźki o dwa lata i Jadźka traktowała ją trochę jak młodszą siostrę. To ona właśnie wymyśliła, że Kryśka powinna chodzić w okolicach Starego Rynku, aż do placu Wolności, bo tam było zdecydowanie bardziej bezpiecznie niż tu, przy moście Chwaliszewskim. Tutaj zawsze pętało się pełno miejscowych szuszwoli, którzy żyli z dnia na dzień. Wszyscy byli pijani, a niejeden potrafił i w mordę dać dziewczynie. No, ale to było ryzyko zawodowe. Zresztą ona umiała sobie z takimi łachudrami radzić. W końcu wychowała się i wyrosła na Chwaliszewie, znała więc dobrze większość miejscowych. Ci nie mogli jej podskoczyć. Ale gorzej było z tymi obcymi, co trafiali tu na gościnne występy. Wśród nich zdarzali się prawdziwi brutale. Nieraz więc było tak, że po wszystkim taki gość chciał odzyskać od niej swoje pieniądze i brał się do lania po twarzy. Ale na takich był sposób. Co prawda natychmiast nic się nie dało zrobić. Swoje na twarz trzeba było przyjąć, choć dłużna nigdy nie była i gryzła wtedy bez litości. Ale gdy było już po wszystkim, zaraz biegła do baru „U Okonia” przy Mostowej, dokładnie naprzeciw kamienicy, w której wynajmowały ten swój nędzny pokój, żeby powiedzieć chłopakom co i jak. A tam zawsze po nocy pili jej znajomi złodzieje, bracia Kaźmierczakowie i Tolek Grubiński. To wszystko były szczony z jej podwórka, z którymi się razem chowała. Oni zawsze potrafili odnaleźć takiego gnoja, co sprzął ich dziewczynę i we właściwy sposób mu podziękować. W zeszłym roku nawet któregoś razu poważnie przeholowali, bo facet tak się przestraszył ich niewielkich sprężynowców, że wskoczył do Warty, chociaż nie umiał pływać. Zniknął zaraz pod wodą i nikt go więcej nie widział, a chłopcy wrócili do picia, trochę nie w sosie, bo nie dotknęli go nawet i nie zdążyli przeszukać mu kieszeni, więc zarobek Jadźki poszedł na dno rzeki razem z tchórzliwym topielcem. To było w zeszłym roku przed Wielkanocą. Wieść o tym topielcu szybko rozeszła się po Chwaliszewie i później przypadki bicia dziewczyn przez klientów zdarzały się bardzo rzadko. Jadźka od tego czasu ani razu nie dostała po gębie, więc mimo iż początkowo była zła na

chłopaków, że przyczynili się do zejścia tamtego drania, to później musiała przyznać im rację. Tolek Grubiński powiedział wtedy, że jak kto się będzie brał do którejś z dziewczyn z Chwaliszewa z łapami, to se najpierw dwa razy pomyśli czy umi pływać.

Jadźka przeszła kilka kroków do przodu i weszła na most. Ten, co wtedy skoczył, zrobił to gdzieś tam na środku, gdzie schodziły się dwa łuki stalowych przęsł. Nie chciało jej się tam iść. Zresztą nie lubiła tego miejsca. Wyszła na most, żeby zobaczyć, czy daleko do świtu, bo świt najlepiej po wodzie rozpoznać, gdy odbija jaśniejące niebo i nad wodą szybciej robi się jasno. Spojrzała w lewo i przekonała się, że rzeczywiście czas już powoli kończyć to sterczenie przy moście. Po drugiej stronie ulicy stały siostry Domagalanki, które też kręciły się nerwowo. Ale one przynajmniej nie straciły nocy. Ta lafirynda Aniela niemal siłą porwała dziś jednego gościa. Chwyciła go pod ramię i pociągnęła za sobą do hoteliku. Facet był tak pijany, że pewnie nawet nie wiedział, o co się rozchodzi. Jadźka była przekonana, że Aniela musiała go oskubać do samych kalesonów. Nie potępiła jej, tylko była zła na nią, że jej się udało, a ona znów nie miała szczęścia.

– Nic, trzeba wracać do chaty – pomyślała, spoglądając na leniwy nurt wody, nad którą zaczęły się unosić poranne smugi wodnej pary.

Nagle z drugiej strony mostu dobiegł ją wyraźny odgłos kroków. Ktoś szedł w jej kierunku. Obejrzał się za siebie, na drugą stronę ulicy, gdzie stały jej konkurentki. Dziewczyn już nie było. A więc miała szansę. Była tu całkowicie sama. Kroki zbliżały się. W jej kierunku szedł mężczyzna w płaszczu i w kapeluszu na głowie. To jakiś lepszy gość – pomyślała zadowolona ze szczęśliwego trafu. Byle tylko go do siebie przekonać. Przecież brzydka nie była. Jak chciał dziewczynkę, to co ma dalej łązić i szukać, skoro tu taki kwiatek stoi na moście. Zbliżał się do niej, więc wyszła mu na spotkanie, biorąc się pod boki i wysuwając do przodu swoje obfite piersi.

– Co tam, kochasiu, szukasz dziewczynki na noc? To jakby co – mrugnęła do niego lewym okiem i uśmiechnęła się, ukazując dwa szeregi równych śnieżnobiałych zębów.

Mężczyzna przystanął i również się uśmiechnął. Miał miłą, sympatyczną twarz. Było w niej coś ciepłego, czego nie potrafiła określić. Sprawiało to jednak, że człowiek natychmiast nabierał do niego zaufania.

Jak do księdza – pomyślała Jadźka i szerzej się uśmiechnęła. W końcu ksiądz też człowiek i od czasu do czasu musi sobie ulżyć. A przecież tam, po drugiej stronie Warty, na Śródcie, to sami księża. Już niejednemu pomogła w potrzebie. Teraz będzie kolejny. Ci przynajmniej się nie targowali i płacili bez szemrania. Najlepsi klienci.

– Ładna z ciebie dziewczynka – powiedział ksiądz.

– Ładna i dużo potrafiąca. Pójdziemy, to się przekonasz.

Ksiądz rozejrzał się dookoła, jakby się bał, że zobaczy go z dziewczyną jakiś inny duchowny.

– Co, boisz się, że ktoś cie zobaczy? Spokojna głowa. Nikogo tu nie ma. Nawet inne dziewczynki już se poszły.

Podszedł do niej bliżej, tak że poczuła jego oddech na swojej twarzy. Pachniał wodą kolońską i miętowymi landrynkami. Ucieszyła się, że to nie alkohol. Nie będzie przynajmniej śmierdzieć. Uniosła głowę do góry, pewna, że chce ją pocałować. Ale nie złożył pocałunku. Poczowała, jak jego dłoń wsuwa się pod jej liche palto, by po chwili dotrzeć do delikatnej skóry na brzuchu i w końcu zatrzymać się na pełnej piersi. Spojrzała mu w oczy. Były zimne jak lód. Przestraszyła się tego spojrzenia i natychmiast chciała się od niego odsunąć, ale nie zdołała, przytrzymywana z tyłu drugą ręką za plecy.

– Żałujesz za grzechy, córko? – zapytał ostrym głosem zimnooki.

Nie wiedziała, co powiedzieć, więc przestraszona kiwnęła tylko szybko głową, próbując jednocześnie wyrwać się z żelaznego uścisku. Poczował to szarpnięcie, więc pchnął ją do tyłu na poręcz mostu i przywarł do niej całym ciężarem ciała.

– Żałujesz za grzechy? – powtórzył jeszcze raz, przysuwając swoje usta do jej ucha.

– Tak – odpowiedziała cicho, bojąc się podnieść głos, żeby go czasami nie rozdrażnić jeszcze bardziej. Była pewna, że to jakiś wariat, a z takimi nie ma żartów. Trzeba zachowywać się spokojnie i nie dawać im powodów do zdenerwowania.

– Ja ci odpuszczam w imię Ojca...

Jak Boga kocham to jakiś wariat. Ksiądz wariat.

– ...i Syna, i Ducha Świętego...

Boże, co mam robić? Poczowała nagle coś twardego i chłodnego na swoim brzuchu, jakby zimną stal. Nie, to nie może być prawda. To przecież nie

jest nóż...

- ...Amen - powiedział mężczyzna spokojnym głosem, a potem zimne ostrze wbiło się w nią poniżej żeber, rozrywając ją jak piorun. Chciała krzyknąć, wzywać pomocy, wołać jak najgłośniej, wykrzyczeć swój strach, ale męska dłoń zakryła jej usta. Ból, przeszywający każdy milimetr jej ciała, posuwał się powoli w dół, rozcinając delikatną aksamitną skórę. Mężczyzna cały czas patrzył jej w oczy i nim zapadły się całkowicie w ciemności, dostrzegła w tym lodowatym spojrzeniu małą isierkę radości.

- Tam ci będzie lepiej - powiedział, a potem złapał w garść fałdę jej sukienki i odciął nożem. Po chwili przerzucił bezwładne ciało dziewczyny przez poręcz mostu. Gdy usłyszał plusk, spojrzał w dół. Ciało zniknęło w ciemnej otchłani. Na zakrwawionym chodniku, w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stała dziewczyna, leżały nędzna mufka i niewielka torebka na miedzianym łańcuszku. Ostrożnie, by nie uwaląć trzewika, przesunął oba przedmioty na skraj mostu pod barierkę, żeby i one zsunęły się do wody. Potem stanął w rozkroku, rozpiął guziki rozporka i strumieniem moczu splukał krew z chodnika. Zrobił to akurat w chwili, gdy od strony Chwaliszewa wtoczył się na most, ciągnięty przez ogromnego perszerona, wóz towarowy wyładowany beczkami z piwem. Siedzący na koźle woźnica z Browaru Huggerów, który co dzień o tej porze przejeżdżał tędy w drodze na Śródkę, z niesmakiem popatrzył na sikającego jegomościa i z odrazą splunął na bruk. Przyłapany na sikaniu mężczyzna pochylił się, wtulił głowę w ramiona i szybko ruszył w przeciwnym kierunku. Mgiełka znad wody powoli się unosiła, oświetlana przez pierwsze promienie słońca wypływające znad ziemnych wałów fortu Winiary.

Rozdział I

Poznań

Wtorek, 4 marca 1924

Godzina 8.15 rano

- Musicie jej szukać! – krzyknęła jakaś kobieta.
- Co musimy, to musimy. A tu się jest cicho! – odpowiedział jej równie podniesiony męski głos.
- Nie wyjde, jak coś nie zrobicie!
- A w pysk już dziś żeś dostała?
- Możesz walić w pysk, a nie wyjde!
- Na władzę krzyczysz, cholero jedna!
- Też mi władza, co nie wie, co robić!
- Uważaj se, bo zaraz trafisz do kozy.
- A i dobrze, to przynajmniej wpiszesz do kajeta za co!

Co za bezczelna szmata – pomyślał przodownik Alfred Jakubek, wstając ze swojego krzesła za biurkiem. Myślał, że ten głupi Kokoschka jest trochę mądrzejszy i raz dwa poradzi sobie z jakąś namolną francą, a tu proszę, jaka poruta dla policji od rana. Drze się babsko cholerne na policjanta, a ten se na to pozwala, zamiast dawno trzepnąć ją w papę, żeby zamknęła mordę. Nic, trzeba będzie interweniować i pokazać mu, jak się takie sprawy załatwia.

Zdjął pas wiszący na poręczy fotela i zapiął go na pokaźnym brzuchu. Miał nadzieję, że akurat dzisiaj uda mu się posiedzieć w swoim służbowym pokoju niepokojony przez nikogo. Wczoraj spotkał się ze

szwagrem i podczas spotkania wypili trochę, nie za dużo, ot, może w sumie litr wódki czystej i kankę piwa do tego, więc nie powinien dziś czuć się kiepsko. A mimo to od rana miał suchość w ustach i lekkie otępienie w głowie. Wszystko przez tę cholerną wódkę. Szwagier przyniósł do niego tę najpodlejszą ze wszystkich poznańskich wódek... On nigdy w życiu nie kupiłby czegoś takiego. Wiadomo przecież, że człowiekowi na jego stanowisku nawet nie wypadało poprosić w sklepie o taką wódkę. On kupiłby pół litra Baczewskiego albo Wyborową. Ale szwagier był prostym człowiekiem i pijał byle co. No, a jak już przyszedł z tą butelką, to nie wypadało odmówić. No i miał teraz skutki, które cały czas siedziały w jego głowie i sprawiały, że myśli składały mu się wolno w jedną, choć zdecydowanie niewyraźną całość.

- Nie wyjde powiadam i szlus! - wołała coraz głośniejsze baba.
- Nie wyjdiesz, cholero? - dopytywał się Kokoschka.
- Pod Bogiem. Nie wyjde!
- Nie?

Co za uparty babsztyl. Już ja jej zaraz... - wzrok przodownika zatrzymał się na aluminiowej kance do połowy wypełnionej piwem. Gdy tylko przyszedł do pracy, wysłał zaraz najmłodszego na komisariacie, posterunkowego Janiaka, żeby przyniósł mu piwo z pobliskiej piwiarni „U Anatola”. Jej właściciel - wcale nie Anatol, ale Rajmund Kowal - nie miał pojęcia, skąd wzięła się ta nazwa. Mówił, że zawsze wszyscy chodzili na piwo do Anatola, więc nie mógł przecież zmienić nazwy na Rajmunda, bo wiara by nie wiedziała, gdzie ma iść. Chodzili więc do Anatola robotnicy, rzemieślnicy i doliniarze z Chwaliszewa. A policjanci przychodzili tylko po piwo na wynos, żeby nie siadać z elementem przy stołach i nie bratać się przy kuflu z byle łachudrą.

- A, co tam - przodownik machnął ręką. - Trzeba se myśli rozjaśnić.

Chwycił kankę, zdjął z niej pokrywkę i wypił duszkiem, osuszając naczynie do dna. Przez chwilę stał, czekając aż gazy piwne podejną pod gardło. Gdy podeszły, beknął głośno, żeby nie bekać podczas załatwiania się ze służbowymi kwestiami, a potem obciągnąwszy poły mundurowej bluzy, wyszedł sprężystym krokiem z pokoju.

Czerwony jak burak Kokoschka stał oparty o barierkę, odgradzając część służbową pokoju przyjęć od tej dostępnej dla petentów. Przodownik tylko spojrzał na niego i na tę, z którą się kłócił

i natychmiast zrozumiał, na czym polega problem. Gdyby to było stare, brzydkie i pyskate babsko, to posterunkowy już dawno by nie wytrzymał i zdzielił ją w pysk dla uspokojenia. No, ale uderzenie tego chuchra było samo w sobie jakieś takie niepoważne jak ona sama. To tak, jakby się łało dzieciaka. Jej co najwyżej należałoby się lanie pasem na gołą dupę, a nie mordobicie.

Mimo wszystko należało jednak interweniować. W końcu był to urząd państwowy, a nie targowisko miejskie. Tu trzeba się zachowywać cicho, tym bardziej że na ścianie wisi orzeł w koronie i portret prezydenta Wojciechowskiego. Tu trzeba dbać o kulturę.

– Co tu się wyrabia do jasnej cholery? – krzyknął od drzwi groźnym basem Jakubek, podkreślając przy tym energicznie sumiastego wąsa, na którym poczuł natychmiast piwną wilgoć. Otarł więc gębę wierzchem dłoni na wszelki wypadek, gdyby jeszcze gdzieś zostały resztki piany.

Kokoschka natychmiast odwrócił się w stronę przełożonego. Stał na baczność i zameldował w sposób charakterystyczny dla starych żołnierzy.

– Ja melduje, panie przodowniku, że przylazła tutaj i sie wydziera!

Jakubek uśmiechnął się pod wąsem, bo cała złość na Kokoschkę od razu mu przeszła. Wojskowa skóra druga natura – pomyślał, usłyszawszy pierwsze dwa słowa meldunku posterunkowego. Ja melduję – tak meldowali tylko ci, którzy wcześniej służyli w pruskiej armii, przekładając na polski niemiecki „ich melde”. On też, meldując się wyższym szarżom, często zapominał się i mówił „ja melduję”. Ale tu, w Poznaniu, mało kto zwracał na to uwagę. Przynajmniej do niedawna. Teraz było już nieco inaczej. Młodzi policjanci meldowali się regulaminowo, zresztą podobnie jak ci nowi poznaniacy, którzy przyjechali tu na urzędy z dwóch pozostałych zaborów, o których miejscowi mówili Galicyjoki z Kongresówki. A w starych poznaniakach płynęła jeszcze wojskowa krew, którą nie tak łatwo dawało się oczyścić z pruskich naleciałości. Przecież nawet w powstaniu, mimo że na każdym kroku demonstrowali swoją polskość, przypinając biało-czerwone kokardy i orzełki do pruskich czapek, rozkazy nadal wydawali podwładnym w języku niemieckim. Polskich komend nikt nie znał. Uczyli się ich dopiero na wojnie bolszewickiej, ale stare nawyki zostawały, choćby w postaci meldowania.

Jakubek groźnie spojrział na dziewczę, w oczach której widać było łzy. Trzeba z nią po dobroci, bo pyskata jest jak mała która.

– Czego ryja drzesz? – powiedział najdelikatniej, jak umiał.

– Bo ten tu chce mie zbyć, że niby nic ważnego...

– A co niby ważnego jest takiego, żeby się wydzierać na cały urząd?

– A to, że moja Jadźka znikła i się nie wróciła do chaty, już będzie od wczoraj.

Jakubek wydał wargi i spojrział z wyrazem rozbawienia na Kokoschkę. Ten też się zaśmiał lekceważąco, jakby chciał powiedzieć – też mi coś!

– Też mi coś! – powiedział Jakubek. – No i co z tego, że się nie wróciła.

– Ale ona zawsze wraca. Jeszcze tak nie było, żeby nie wróciła. A tak w ogóle, to niby gdzie by miała iść? Ona nikogo nie ma, ino mie.

– Może jakiego klienta na dłużej podłapała i tyle – Kokoschka podrzucił proste i logiczne rozwiązanie.

– No właśnie – poparł podwładnego przodownik.

– To by mi co powiedziała. Ona zawsze gada, jakby co – nie dawała za wygraną dziewczyna. – Musicie ją szukać! Jej się co stało albo jej kto co złego zrobił. Musicie ją szukać!

No, tu już przesadziła – przodownik gniewnie zmarszczył brwi. – Żeby policji powiadać, co ma robić! Policja nie jest od pouczania, tylko od pilnowania porządku. Jakubek spojrział na orła wiszącego na ścianie, a potem na mądrą, ojcowską twarz prezydenta, który zdawał się patrzeć na policjanta z wyrzutem, tak jakby chciał powiedzieć: – Co, posterunkowy, pierdolicie się z jakąś kurewką jak z ministrem? I jak tu nasza kochana ojczyzna ma się podnieść po latach zaborów, jak takie jak wy niezguły zajmują się utrzymaniem porządku w naszym kraju, za któregożeśmy wszyscy krew przelewali. I po cośmy walczyli tak ofiarnie, po co życie oddawali nasi dzielni żołnierze? Żeby teraz majestat Rzeczypospolitej cierpiał w Poznaniu przez jakąś kobietę lekkich obyczajów, co to nie umie ryja zamknąć? A Policja Państwowa co na to? Nic. Biedna nasza ojczyzna, gdy nie ma kto jej bronić, bo obrońcom brzuchy porosły od chlania piwka i siedzenia za biurkiem.

Jakubek spojrział na swój wielki brzuch i zaraz wciągnął go na tyle, ile się dało, wyprostował się i już chciał zameldować prezydentowi, że to tylko wypadek i że on do takich wypadków nie będzie dopuszczał, i że już on o to zadba, a ta mała se zapamięta... Łe, szkoda gadać. Niech

przemówią czyny.

Odwrócił się do dziewczyny i przywołał ją wskazującym palcem. Podeszła do barierki posłusznie, pewna, że ten wielki oficer wreszcie ją wysłucha. Oficer tymczasem zamachnął się i strzelił ją w pysk. Niezbyt mocno, ale na tyle silnie, żeby se zapamiętała, że tu się ksiutów nie robi. Cofnęła się gwałtownie o dwa kroki, a w jej oczach pojawiła się czysta nienawiść.

Jakubek uśmiechnął się zadowolony, a potem powiedział:

– To, żebyś wiedziała, że w urzędzie państwowym trzeba się zachowywać z godnością i nie kalkuluje się krzyżenie na urzędnika. I żebyś jeszcze wiedziała, że polski urząd jest dla interesanta otworem, to se zakonotuj, że grzecznością można góry przenosić, a za krzyki po łbie oberwać.

– Posterunkowy – odwrócił się do Kokoschki, który aż pokraśniał z zachwyty nad piękną lekcją oglądy urzędowej przeprowadzonej właśnie przez pryncypała. – Weźcie no pióro i kartkę i upiszcie zgłoszenie tej damy, żeby nie było, że policja nie pilnuje porządku i lekce se waży zgłoszenia ludności.

Jeszcze raz spojrział w czarne oczy dziewczyny, w których nie było już ani odrobiny złości, a tylko wdzięczność lekko rozmazana przez łzy.

Trzeba wysłać kogo po piwo jeszcze – pomyślał Jakubek, wychodząc z pokoju – bo mi w gębie całkiem już zaschło od tego gadania. A ten Kokoschka to się jeszcze będzie musiał dużo nauczyć. Ale wszystko przed nim. Da szczon radę. W końcu w powstaniu służył w jego plutonie, a jego ludzie zawsze radzili se w życiu.

Godzina 8.30 rano

– Powiadam panu, jak na wywczas to tylko za granicę – powiedział zastępca komisarza Albin Siewierski, wychylając czubek nosa znad płachty „Dziennika Poznańskiego”.

– No tak, ale do Baden-Baden, a nie na jakieś zadupie – odezwał się komisarz Antoni Fischer, którego głos podwładnego wyrwał z zamyślenia. Ostrzyżony na krótko, solidnej budowy

trzydziestodwulatek o jasnych włosach, z równo przystrzyżonym wąsem pod nosem, ubrany w porządny stalowy garnitur z bielskiej wełny, spod którego wyzierała kamizelka w granatowo-białe paski popatrzył na oficera siedzącego naprzeciw przy biurku. To ubranie wydawało się na nim nieco zbyt opięte. Wszystko przez mocno rozwinięte mięśnie, które wyhodował, ćwicząc codziennie z ciężarkami już od najmłodszych lat. Później, w wieku już znacznie dojrzałszym, bo w czasach szkoły średniej, zapisał się do junackiej sekcji zapaśniczej, a zapasy okazały się jego prawdziwą pasją. Dziś co prawda już nie brał udziału w walkach sportowych, ale ćwiczeń fizycznych nie zaniedbywał. Każdy dzień zaczynał od porannej gimnastyki dla rozruszania mięśni.

– A czego pan chcesz. To może nie kurort, ale jest ładne jezioro Plötzensee i wokół las sosnowy. No i od Poznania całkiem blisko, bo zaledwie trzy godziny pociągiem. Właśnie byłem tam, zrobiłem rekonesans i powiadam panu – piękne miejsce.

Fischer wzruszył ramionami. Co go mogły obchodzić plany wypoczynkowe Siewierskiego. Ten wrócił do lektury, ale widać było, że chce mu się pogadać.

– O proszę! Już po marce, panie nadkomisarzu – uśmiechnął się zadowolony Siewierski. – Był nieco niższy od Fischera, bo mierzył sto sześćdziesiąt centymetrów. Włosy miał czarne, zaczesane do tyłu i mocno nasmarowane brylantyną dla lepszego ułożenia i oczywiście efektownego połysku, który powinien robić wrażenie na kobietach. Ale nie robił, bo o ile na pierwszy rzut oka ten elegant w prążkowanym garniturze mógł się wydawać ciekawą postacią, o tyle ta ciekawość wzbudzona wyglądem zniknęła natychmiast jak srebra rodowe po wizycie bolszewika. Siewierski był bowiem typem nudnym do znudzenia, który wszystkim rozmówcom próbował narzucić swoje racje, nie wysłuchawszy nawet kontrargumentów. Typ wszystkowiedzący, z którym nie da się rozmawiać o czymkolwiek, bo on i tak wszystko wie najlepiej.

– Właśnie pan prezydent podpisał dekret w tej sprawie – ciągnął dalej podkomisarz niezrażony milczeniem przełożonego. – Wczoraj podpisał, a dzisiaj o tym w gazecie podają. Teraz proszę pana będziemy mieć wreszcie swoje pieniądze. O, proszę – rozłożył gazetę na stole i zaczął czytać:

Rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z 14 kwietnia 1914 roku, o zmianie ustroju pieniężnego, ustalono relację marki polskiej do złotego na milion osiemset tysięcy do jednego.

– Boże, to już się robi! Koniec z milionami!

– No tak – Fischer pokiwał głową. – Byle byśmy tylko w portfelu mieli pełno.

– Na to się raczej nie zanosi. Sytuacja gospodarcza niestabilna, to i cudów się od razu spodziewać nie możemy. Ale powoli i do pełnych portfeli dojdziemy.

Komisarz spojrział zdziwiony na swojego podwładnego. Skąd u niego tyle wiary w świetlaną przyszłość? Przecież wystarczyło wyjrzeć na ulicę, żeby zobaczyć całą tę powojenną mizериę w pełnej krasie. Nawet tu, w centrum miasta, gdzie swoje interesy załatwiali ci, których nie dawało się posądzić o brak gotówki, nawet tu kręciło się sporo postaci ludzi niepewnych, o podejrzanym kondycji, a cóż dopiero mówić o tym, co działo się poza reprezentacyjnym placem Wolności. Przecież wystarczyło pójść tylko kilka kroków dalej, na Stare Miasto albo na Chwaliszewo, żeby zobaczyć, że czas tam się zatrzymał. Te same stare, zrujnowane czynszówki, brudne, ciemne i zarobaczone oficyny, no i te beznadziejne ponure lokale w podwórzach, do których nie zapuszczali się nawet najdzielniejsi policjanci. I do tego jeszcze ta wszędobylska prostytutka. To miała być ta świetlana przyszłość Rzeczypospolitej? Przecież to jeszcze trzeba ogrom pracy włożyć, żeby coś mogło tu drgnąć, żeby cokolwiek mogło się zmienić. Tu trzeba było herosów organiczników, którzy chcieliby pracować u podstaw, a reforma pieniądza, co ona może zmienić? Zresztą czy marka była taka zła? Całe życie płacił markami i jakoś nigdy nie narzekał na tę walutę. Prawda, te marki były niemieckie, więc całkiem stabilne. Potem przyszły marki polskie, ale już nie takie mocne, jak ich poprzedniczki. Ale samo słowo marka dawało jakieś poczucie stabilizacji. A teraz miały wejść polskie złote. Przecież złoty nie będzie ze złota, ale też z papieru. Jeden papier zastąpi drugi. I to miało zapewnić lepsze jutro? Bzdura.

– Pan jesteś niepoprawny optymista, panie kolego – powiedział Fischer, popijając herbatę z porcelanowej filiżanki. – Sama reforma

niewiele może zmienić. Polski złoty nie dokona cudu gospodarczego. Poza tym nie od razu zastąpi starą dobrą markę. To, panie, proces. Proces rozłożony na dłuższy czas. Ale ja bym się od razu nie spodziewał poprawy. Tu trzeba solidnej pracy w całym kraju, a nie tylko jednego dekretu prezydenta o zmianie waluty.

– Ja jednakowoż panie nadkomisarzu myślę, że to krok w dobrym kierunku. Potrzebny nam jest taki impuls ożywczy. To jak szarża kawaleryjska, co front przełamie, by w tę wyrwę puścić piechotę, by ona rozlała się na tyłach przeciwnika. Pierwszy impuls...

Fischer spojrział na podwładnego, kręcąc z powątpiewaniem głową.

– Wy z Kongresówki ciągle myślicie o szabli i szarży. Hajda na bolszewika, a potem jakoś to będzie, a ja panu powiadam, że tylko solidna praca podniesie nasz kraj.

– A czy ja o czym innym mówię? – zdziwił się Siewierski. – Przecie mi o pracę i o szarżę chodzi. Bez przełamania nie ma zwycięstwa, a po przełamaniu do solidnej roboty wziąć muszą się ci w szarych żołnierskich mundurach. Bez nich tej wojny nie wygramy.

Fischer machnął ręką i sięgnął po swoją filizankę. Ci nowi poznaniacy, tacy jak ten Siewierski, którego do policji poznańskiej przysłano rok temu prosto ze stolicy, to byli ludzie innego formatu. Oni inaczej byli kształtowani niż poznaniacy. Dla nich liczył się efekt, blichtr, a co z tego wyjdzie, to się zobaczy, byleby tylko od razu można było odtrąbić sukces. Tak samo było w policyjnej robocie. Solidne, żmudne śledztwo to dla takiego Siewierskiego niepotrzebna strata czasu. Dla niego było najważniejsze jak najszybciej zameldować przełożonym, że w śledztwie jest już postęp. A postęp taki uzyskiwało się w bardzo prosty sposób. Trzeba było natychmiast wsadzić do aresztu kilku podejrzanych typów, co się przypadkiem nawinęli pod ręką. I co z tego, że zazwyczaj nie mieli oni nic wspólnego ze sprawą? Oni z racji swej proveniencji i tak byli podejrzani, więc mogli sobie posiedzieć – twierdził Siewierski. A że nikt nie był zamieszany w sprawę, tym gorzej dla sprawy. Początkowo Fischer patrzył z niedowierzaniem na działanie swojego podwładnego, bo takie posunięcia nie mieściły się w kategoriach zdrowego policyjnego rozsądku. I nawet nie liczyło się to, że takie postępowanie łamie obowiązujące prawo. Próbował oczywiście z tym walczyć, dopóki nie utarł mu nosa jego bezpośredni szef, zastępca komendanta okręgowego

Tarkowski, też Galicyjok z Kongresówki.

– Co się pan czepiasz młodego? – zapytał złośliwym tonem, zły, że Fischer zawraca mu głowę jakimiś drobiazgami. – Masz pan podejrzanych? Nie masz pan nic. A Siewierski ma już dwunastu z kręgu podejrzanych, zamkniętych w kozie. Pan tylko łazisz na miasto i gadasz z ludźmi, a on działa.

I dla pryncypała nie miało większego znaczenia, że to w końcu on zamknął kasiarza, który obrobił w ciągu dwóch tygodni dwa bankowe sejfy. Sukces przypadł całemu zespołowi, łącznie z Siewierskim, który przecież zdobył niezwykle cenny materiał pochodzący z zeznań zatrzymanych o tym, że kasiarz musi być nietutejszy, bo wśród miejscowych nie było jeszcze takiego fachowca. Tyle to i sam Fischer wiedział, bez zamykania niewinnych ludzi do aresztu.

Wstał zza swojego biurka i podszedł do okna. Na narożniku 27 Grudnia i Ratajczaka, jak zwykle o tej porze, panował ożywiony ruch. Ulicą przejeżdżały dorożki, nieliczne automobile podążające w kierunku placu Wolności, pobliskiego Bazaru albo pod któryś z domów handlowych Deierlinga lub Hassego. Jak zwykle całe masy przechodniów, spieszących w sobie tylko znanych interesach. Miasto żyło swoim zwyczajnym tempem, niezależnym od prezydenckich rozporządzeń, jeszcze nieświadome, że wkrótce przyjdzie mu się zmierzyć z nową polską walutą.

– Ciekawe, czyj wizerunek będzie na monetach? – rzucił zaczepnie Fischer, odwracając się od okna w stronę pokoju.

– No, jak to? – Siewierski natychmiast się ożywił, a na twarzy pojawił się radosny uśmiech. – Przecież to zrozumiałe. Kto inny na takie uhonorowanie zasługuje jak nie nasz ukochany Komendant. Bez Pierwszej Brygady nie byłoby dziś odrodzonej Rzeczypospolitej.

– A Dmowski? On nic dla kraju nie zrobił? – wbijał kolejną szpilę komisarz.

– Phi, panie komisarzu. Dmowski to salonowiec, co po paryskich salonach się obracał, gdy myśmy w okopach krew przelewali. A nasz wódz to jest fisza innego formatu. To jest bohater narodowy, jak Koziętulski, jak Poniatowski, jak Kościuszko, jak...

– I tych trzech na awersy by starczyło – przerwał mu Fischer, wykorzystując moment, w którym Siewierski przerwał poszukiwania

kolejnych przykładów bezprzykładnego męstwa narodowego. – Jednak bohaterowie potrzebują szarych żołnierzy i takich, co za nich rozmowy prowadzić umieją. Bez Dmowskiego w Paryżu nie byłoby niepodległości! Bez Paderewskiego nie byłoby niepodległości! A bez tego, cośmy sami zrobili w powstaniu, tu w Wielkopolsce całej, bez pomocy Piłsudskiego, który miał nas w dupie, nie siedzielibyśmy dziś tutaj!

Siewierski zamarł z przerażenia. Takie słowa pod adresem Naczelnika? Toż to była najzwyklejsza obraza majestatu. On przecież nikogo nigdy w dupie nie miał, jeno Polskę całą w sercu nosił, a tu się takie rzeczy powiada?

– Ja protestuję! To jest obraza dla wszystkich legionistów... Ja zaraz, ja... zaraz o tym...

– Zaraz, to mnie możesz pan w dupę pocałować! – powiedział spokojnym głosem Fischer i chwyciwszy z wieszaka palto i kapelusz, wyszedł z pokoju, trzasnąwszy drzwiami. Szybko przeszedł przez długi korytarz, kończący się obszernymi schodami prowadzącymi do wielkiego foyer. Starszy posterunkowy Frankowski, pełniący przy drzwiach wyjściowych straż, wyprężył się służbiście i zasalutował. Fischer chciał podnieść dłoń do salutu, ale przypomniał sobie, że przecież nie jest w mundurze i nie ma na głowie czapki, ale zwykły kapelusz. Od dwudziestego pierwszego roku, od momentu zdemobilizowania, raczej rzadko nosił mundur. Gdy pracował tu, na miejscu, w budynku Dyrekcji Policji, wolał garnitur. Jednak gdy sprawa wymagała wyjścia do miasta, chcąc nie chcąc przebierał się w mundur, który zawsze czekał odprasowany w szafie. Nie przepadał za tym niebieskim uniformem, bo już nie był to ten mundur wojskowy, który nosił od pierwszego dnia powstania, ozdobiony biało-czerwoną kokardą. Wcześniej był to ten sam mundur, tyle że pruskiej armii, z naszywkami podporucznika piechoty. Nosił mundur nieprzerwanie przez pięć lat, nic więc dziwnego, że wojskowe, jeszcze nie tak dawne nawyki w człowieku tkwiły. Uniesioną dłonią machnął tylko policjantowi i wyszedł z budynku.

Stanął na ulicy i wydobyl z kieszeni marynarki woreczek z fajką. Była już nabita, bo właśnie zamierzał ją zapalić w biurze, ale po rozmowie z tym cymbałem Siewierskim musiał wyjść i zaczerpnąć świeżego powietrza. Włożył fajkę do ust i zapalił tytoń. Aromatyczny dym wypuścił nosem, a potem nieśpiesznym krokiem przeszedł przez ulicę

pod budynek dawnego Teatru Niemieckiego. Stanąwszy przed wejściem do mieszczącej się na parterze „Café Esplanade”, przez chwilę rozważał, czy aby nie wejść tam i nie wypić kufelka piwa. Nie zdecydował się jednak. Ruszył w prawo, w kierunku placu Wolności i dalej Starego Rynku, zostawiając za sobą potężny pruski gmach Dyrekcji Policji, który wszyscy nazywali, tak jak za pruskich czasów, budynkiem Prezydium. Postanowił, że przejdzie się tam dla uspokojenia nerwów, ale też w sprawach służbowych. Co prawda z pewną osobą miał umówione spotkanie jutro, ale doszedł do wniosku, że nie stanie się nic wielkiego, jeśli zajdzie do niej dzisiaj. Od czasu do czasu odwiedzał pewną osobę, mieszkającą na jednej z uliczek odchodzących od Rynku, żeby porozmawiać z nią o ważnych sprawach, które mogą się w końcu wydarzyć.

Godzina 8.40 rano

– Melduję posłusznie, że jeszcze go nie ma, panie kapitanie – zameldował sierżant Okoń przez telefon.

Kapitan Zygmunt Jążdżewski chciał przekląć, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Nie mógł przecież okazać zdenerwowania przed jakimś sierżanciną. To by dopiero było, jakby się po koszarach rozniosło, że oficer nie potrafi opanować emocji. – Yyy – powiedział tylko w zastępstwie dyżurnego przekleństwa, a potem, opanowawszy się zupełnie, po raz trzeci wydał mu dziś dokładnie tę samą dyspozycję.

– Jak tylko się pojawi, natychmiast niech się melduje – zakończył rozmowę i odłożył słuchawkę na widełki.

I co miał teraz zrobić? Przecież za dziesięć minut on i porucznik Karpiński powinni meldować się u dowódcy pułku. Mieli przedstawić mu komplet informacji, które udało im się do tej pory zebrać, na temat domniemanej agentury bolszewickiej działającej na terenie ich jednostki. Odwalili w tej sprawie kawał poważnej roboty, przesłuchując większość oficerów i podoficerów – bo szeregowych nikt nie brał pod uwagę – i dziś efekt swojej czteromiesięcznej pracy mieli pokazać dowódcy. Papiery na szczęście leżały spokojnie na dnie ich kasy ogniotrwałej w biurze, ale nie

było Kajetana Karpińskiego. No i co on miał teraz zrobić? Miał się stawić sam przed pułkownikiem? Przecież pierwsze pytanie dowódcy dotyczyć będzie Karpińskiego. A on nie będzie umiał na nie odpowiedzieć. Bo niby skąd miał wiedzieć, gdzie on się podziewa? Karpiński był solidnym oficerem dwójki, któremu jeszcze nigdy nie zdarzyło spóźnić się do pracy. A tymczasem dziś, w najważniejszym od kilku miesięcy dniu, zwyczajnie go nie było. Czyżby zasnął? – pytał sam siebie kapitan Jażdżewski. – Nie, to niemożliwe. Przecież on nie z takich, co by sobie lekceważyli obowiązki służbowe. Może więc nagle zachorował? – To by mogło wyjaśnić przyczynę absencji. Zaraz jednak kapitan przypomniał sobie, jak w dziewiętnastym roku Karpiński wraz ze swoim szwadronem przedarł się przez linie bolszewickie. Ledwo trzymał się konia, będąc postrzelony trzykrotnie, ledwo siedział w siodle, ale dojechał do swoich, przyprawiając oddział niemal w komplecie. Nie, taki człowiek, mając na uwadze obowiązek, przyczołgałby się tutaj, żeby oznajmić, że słabość nie pozwala mu referować, a potem dopiero by zemdlał z wysiłku. Ale nigdy nie zostawiłby spraw samym sobie. To nie ten typ oficera z armii austriackiej, w której każdy robił, co mu się żywnie podobało. Stara, dobra rosyjska szkoła. Tylko co z tego? Przecież nie mógł czekać z założonymi rękoma, aż wezwie go do siebie pułkownik Wróblewski. Trzeba zacząć działać. Trzeba kogoś posłać do Karpińskiego do domu. Przecież on mieszkał całkiem niedaleko, przy Matejki, koło Ogrodu Botanicznego. Stąd zaledwie dziesięć minut pieszo. A jakby rowerem pojechać...

Kogoś się pośle, niech się dostanie do tego mieszkania i postawi go na nogi. Właśnie, na nogi? A może on ze złamaną nogą leży gdzieś w pokoju, nie mogąc się ruszyć? Pewnie potrzebuje pomocy. Trzeba natychmiast kogoś tam śłać!

Podniósł słuchawkę telefonu i przez chwilę czekał, aż odezwie się dyżurny z centrali. Gdy usłyszał „halo”, natychmiast do mikrofonu rzucił numer, z którym chciał się połączyć. Po minucie z drugiej strony odezwał się głos należący do sierżanta Okonia.

– Ja melduję, że jeszcze nie przyszedł, panie kapitanie – odpowiedział, gdy Jażdżewski zdążył się przedstawić.

– Nie o to idzie, sierżancie. Nie ma czasu na dalsze czekanie. Weźcie no rower i pojedźcie do niego do mieszkania. Tylko bez ociągania. Zaraz

macie tam jechać, bo za pół godziny mamy się meldować u dowódcy pułku. Rozumiecie, sierżancie? Natychmiast, to nie znaczy za kwadrans!

– Tak jest! – odpowiedział sierżant, a w jego głosie dało się słyszeć wyraźną niechęć, tak jakby chciał dać do zrozumienia oficerowi, że on doskonale wie, co znaczy rozkaz „natychmiast”.

– Rozumiecie, sierżancie? – wołał upewnić się kapitan.

– Tak jest – potwierdził podoficer. Kapitan odłożył słuchawkę i wstał zza swojego biurka. Sięgnął do kieszeni mundurowej bluzy i wy dobył z niej paczkę Egipskich. Zmiał papierosa w palcach, żeby trochę wykruszyć zbyt mocno zbity tytoń, a potem przypalił go zapalniczką. Na zegarze wiszącym na ścianie wskazówki wskazywały za dwadzieścia pięć dziewiątą. Było jeszcze trochę czasu. To mogło się udać. Jeśli Okoń będzie tam za pięć minut, sprawdzi, co i jak, to najdalej za dwadzieścia minut powinien być tu z informacją. Wtedy, jakakolwiek by była, będzie mógł pójść do pułkownika i zameldować mu, co się stało, wyposażony w jakąś wiedzę. Powie mu, że nie wiadomo na razie, co się dzieje z porucznikiem, a potem sam podzieli się z dowódcą ustaleniami ich dwuosobowego zespołu. Właśnie, ustaleniami. Miał jeszcze chwilę, więc mógł sobie ponownie zajrzeć do teczki. Podeszedł więc do kasy ogniotrwałej, ustawił najpierw odpowiedni szyfr, a potem włożył klucz do dziurki i przekręcił dwa razy. Ciężkie pancerne drzwi otworzyły się z jękiem. Nawet nie zaglądając do środka, włożył rękę, by sięgnąć pojedynczą teczkę, leżącą na dolnej półce. Dotknął jednak pustej półki. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Błyskawicznie otworzył drzwi na całą szerokość i niemal włożył głowę do środka. Zielonej teczki nie było. Teczka z ustaleniami z czteromiesięcznego śledztwa zniknęła bez śladu. Stał przez chwilę, patrząc i nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Co się do cholery mogło stać? Czyżby Karpiński zabrał ją ze sobą do domu? Ale przecież było to pogwałcenie wszelkich regulaminów! On doskonale wiedział, że takich papierów nie wynosi się na zewnątrz. Chyba, że ktoś go do tego zmusił...

Mój Boże, to nie może być prawda...

Kapitan Jażdżewski zupełnie bezwładnie opadł na fotel za swoim biurkiem. Niemal odruchowo sięgnął lewą ręką do pasa, by upewnić się, że kabura jego pistoletu jest na miejscu. Spojrzał na zegar. Do dziewiątej został jeszcze kwadrans. Na zewnątrz, na parkurze, jakiś rotmistrz

prowadził za uzdę dorodnego gniadosza. Pewnie chce go wybiegać – pomyślał zupełnie bez sensu kapitan.

Godzina 8.50 rano

Szczepan Soltys splunął do wody z pokładu barki piaskarskiej zacumowanej przy nabrzeżu w pobliżu mostu Chwaliszewskiego. Nazywał się Soltys od samego urodzenia, mimo że nikt nie mówił na niego Soltys, ale Sołtys. Tak też mówiono o jego tatusiu, który był Sołtys, a mamusia Sołtysowa. Jednak w jego metryce chrztu jak wół stało: Szczepan Soltys. Podobnie było u jego brata Tomasza, który też był Soltysiem, i u brata Jędrzeja, również metrykalnego Soltysa. Co ciekawe, nikt nie wołał za nimi Soltys, a wszyscy mówili o nich Sołtysiaki. I bądź tu mądry. Sołtys w mówieniu, a urzędowo jakiś, nie wiedzieć czemu, Soltys. Gdy spytał kiedyś tatusia o tę rozbieżność – było to w czasach, gdy już chodził do szkoły, niemieckiej szkoły powszechnej, i potrafił odczytać tę swoją metrykę – w odpowiedzi ojciec Sołtys tylko strzelił go w łeb i powiedział, żeby się niemieckimi głupotami nie zajmował. No, ale jemu to ciążyło, więc zapytał nauczyciela Ebertha, czemu on jest Soltys, a jego ojciec Sołtys. No i nauczyciel mu wytłumaczył, że w niemieckim języku nie ma ł tylko jest l i musi się pisać z niemiecka, skoro jest obywatelem niemieckiej Rzeszy. Wtedy właśnie dowiedział się, że jest obywatelem niemieckim i mieszka w Niemczech, choć zawsze myślał, że w Poznaniu. Dlatego też o to zapytał, ale nauczyciel upewnił się tylko w przekonaniu, że ma do czynienia z uczniem dotkniętym ciężkim przypadkiem kretynizmu. Więc mu wyjaśnił, jak komu głupiemu, że skoro chodzi do niemieckiej szkoły, w której wszyscy łącznie z nim samym mówią po niemiecku, to chyba mieszka w Niemczech, a nie w kraju Zulusów. Ale żeby se to dobrze zapamiętał, kazał mu na wszelki wypadek przeciągnąć się na ławie i wymierzył mu na dupę pięć razy drewnianym wskaźnikiem. To na jakiś czas zniechęciło chłopaka do poszukiwania prawdy. Był Soltysiem urzędowo i w armii pruskiej podczas Wielkiej Wojny też tak był zapisany. Wtedy mu to jakoś nie przeszkadzało, bo żaden z jego niemieckich kolegów nie wymówiłby przecież tak polsko

brzmiącego nazwiska. Nawet imię mu przerobili i wszyscy zwracali się do niego Stephan. Ale gdy zaczęło się w Poznaniu powstanie, jego niewielki oddział dostał się do niewoli. Wzięli ich tacy sami żołnierze, tylko że z biało-czerwonymi kokardami na czapkach. I gdy któryś z nich zapytał, czy są wśród nich Polacy, i zapytał po polsku, to on się zgłosił. Potem przypomniał sobie o ł w nazwisku, gdy wpisywał się do swojego nowego oddziału. Tam chciał skorygować ewidentną niemiecką poprawkę, skoro nawet dowódca kompanii wołał na niego Sołtys. Jednak szef kompanii spisał nazwisko z dokumentu wojskowego, a tam oczywiście było nazwisko bez ł. Zwrócił mu więc uwagę, że powinno być po polsku. Szef popatrzył na niego uważnie, a potem wpisał po niemiecku.

– W dupie mam, jak kogo wołają. W papierach Ordnung muss sein i szlus. Nazwisko to nie jakaś pierdółka, ino nazwisko! Jakby se każdy tak chciał zmieniać w papierach, co mu się zachce, to byśmy mieli burdel, nie wojsko.

No i Szczepan Soltys pozostał Sołtysem w papierach, mimo że nikt nie mówił do niego inaczej jak Sołtys.

Splunął po raz kolejny, myśląc nad swoim trudnym życiem człowieka dwojga nazwisk. Spojrzał na pokład swojej barki wypełniony po brzegi jasnym warcianym piachem. Przy tej stercie uwijali się kopacze, którzy napełniali taczki, a te przewozili ostrożnie tragarze, pchając je na nabrzeże po chwiejącym się trapie z desek. Tam piach ładowano na stojące w oczekiwaniu wozy piaskarzy, którzy rozwozili cenny ładunek na miejskie budowy. Bo wiadomo, że bez dobrego piachu niczego się nie wybuduje.

– A uważać mi tam jeden z drugim! – krzyknął tak na wszelki wypadek, choć dobrze wiedział, że i tak każdy z tragarzy stara się jak może, bo mają przecież płacone od masy przetransportowanej na ląd, a nie od wyrobionych godzin. Dlatego nie opłacało im się stracić choćby i kilograma ładunku. Ale Szczepan Soltys, właściciel barki piaskarskiej, musiał od czasu do czasu pokazać, kto tu rządzi i kto płaci za zrobioną robotę.

– Spokojna głowa, panie szyper! – zawołał w odpowiedzi Froncek Baran, młody blondyn i najweselszy chłopak w całej kompanii. Zawołał i mało nie zleciał z trapu razem ze swoją taczka.

– Froncek, nie pierdol, bo pory se zaraz umocysz – krzyknął do niego Zenek Mierzwa, opierając się o szypę. To wywołało głośną salwę śmiechu pozostałych piaskarzy. Soltys też się uśmiechnął, ale nie głośno, bo on, człowiek bądź co bądź na stanowisku, nie mógł się śmiać jak zwykły robotnik.

Podniósł się z pokładu, żeby pójść w kierunku pracujących. Trzeba było rzucić okiem, jak robota postępuje i ile zostało jeszcze dziś do rozładowania. Spojrzał na most pełen wozów i ludzi, którzy przemieszczali się z jednego brzegu Warty na drugi. Już chciał odwrócić się do swoich pracowników, gdy nagle coś mu mignęło. Zdziwił się. Most był przecież stalowy i pordzewiały, to niby co tam mogło się świecić? Zmrużył oczy, cały czas patrząc w tę stronę. Rzeczywiście, coś tam było i świeciło jasnym promieniem w kierunku jego barki. Coś, co było na tyle jasne, że potrafiło odbić promienie słońca, które powoli dźwigało się ponad katedralne wieże. Świeciło jak cholera, ale nie cały czas. Przystawało, gdy słońce przesłaniały lekkie pierzaste obłoki, które po błękitnym niebie przepędzał wiatr.

– Co to może być? – powiedział sam do siebie szyper Soltys. – To musiało być coś świecącego – odpowiedział sam sobie w myślach. A co się świeci? Szkło albo metal wypolerowany. Szkło natychmiast wykluczył. No bo i co by tam między metalowymi przęsłami robiło szkło? To mógł być tylko metal. Tyle, że nie wiadomo jaki. Bo na ten przykład złoto świeci się zawsze, tak jak brylanty. Ale to nie brylanty, bo brylanty to szkło przecież, a szkło tam nie może se dyndać, bo to coś tam najwyraźniej se dynda. To może być złoto, jak tak se dynda i świeci – zgodził się sam ze sobą Soltys, po czym z fachową precyzją zaczął analizować możliwości sprawdzenia, co też tam może być. Od dołu, nawet jakby tam podpłynął barką, to za cholere by się nie dało zobaczyć. Jedyna możliwość to zejście z góry. Trzeba byłoby przeleźć przez barierkę i zleźć po tych metalowych dźwigarach. No, ale to było dość niebezpieczne. Sam nie da rady, bo już nie jest taki gibki jak kiedyś. To musiałyby zrobić ktoś taki, kto jest sprawny jak pająk.

Odwrócił się w stronę nabrzeża. Trzymając rączki taczki, szedł w kierunku trapu zadowolony nie wiadomo z czego Froncek Baran. Gdy zrobiło się miejsce i jego kolega, stękając, wjechał na górę, chłopak szybko pognał na dół i zatrzymał się tuż przy kurczącej się stale stercie

piachu na barce.

– Froncek, idź ino tutaj! – krzyknął do niego i machnął jednocześnie ręką. Chłopak usłyszał, uśmiechnął się szeroko i pobiegł wąskim bocznym przejściem, po którym niejeden bał się nawet chodzić wzdłuż lewej burty barki.

– Jestem, no...

– To jakżeś już jest, to się patrz tam – szyper wskazał ręką most. – No i co, widzisz co?

– No widze.

– Co widzisz?

– Jak co? No widze most.

– Nie most, do cholery. Most tam jest zawsze. Ja pytam, czy widzisz co niezwykłego.

– O Jezuu, widze.

– Co?

– Wóz jedzie. Łe jery, ady to wóz cyrkowy, na żółto pomalowany. Łe, będzie cyrk w mieście.

– Nie tu. Patrz pod most, między tymi poprzeczkami ze stali.

– A to trzeba było tak od razu, panie szyper. No, widze, między poprzeczkami. Ino nic tam nie widze.

– Poczekaj, bo chmury zakryły słońce. O, teraz już widać. Widzisz?

– Widze, jakby co świeciło.

– Bo świeci. Coś tam jest.

– No prawda. Coś tam świeci się.

– A jakbyś tam popatrzył z mostu, tak z góry, to byś poradził tam zleźć?

– No, bo ja wiem? – chłopak zrobił minę, jakby zastanawiał się nad szansą powodzenia ryzykownego przedsięwzięcia. A co tam. Trzeba zobaczyć, co to może być, ino że coś musi się za to dostać, bo inaczej... Soltys podjął decyzję.

– Pół miliona płace jak tam zleziesz.

– Eee, za pół miliona? Za milion to by się może opłaciło...

– Dobra, Żydzie chłelerny. Niech ci będzie zysk, a moja krzywda. Idziemy na most. Ja ci z góry będę powiadał, gdzie trzeba...

– Spokojnie, panie szyper. Da się rade zrobić – uśmiechnął się Froncek Baran i ruszył biegiem wzdłuż barki. Szczepan Soltys poszedł za nim, żeby mieć wszystko pod kontrolą. Na wszelki wypadek.

Godzina 8.50 rano

– Ja melduje posłusznie, że w mieszkaniu nikogo nie ma. Drzwi otwarte do mieszkania, a pana porucznika w środku nie ma. Dozorca nie widział go od wczoraj – meldował regulaminowo sierżant Okoń.

Co oni mają z tym „ja” na początku meldowania? – pomyślał zupełnie bez sensu kapitan Jażdżewski, jakby nie miał ważniejszych spraw na głowie. Od czasu, gdy tu przyjechał rok temu ze zdziwieniem zauważył, że wielu podoficerów na początku, przed słowem melduję, dodaje jeszcze zaimek ja, zupełnie nie wiedząc po co. Pytał o to nawet kogoś, ale ten ktoś – zdaje się, że to był właśnie chwilowo zaginiony Karpiński – odpowiedział, że to jakaś pamiątka po armii pruskiej. Tylko jaka? Tego nie powiedział, a on nie bardzo się tym interesował. Armii pruskiej, chwalić Boga, od dawna nikt już tu nie widział, a że jakieś śmieszności lokalne..., niech im tam będzie. Młodzi już tak nie mówili, tylko w tych starych piernikach jeszcze ten Prusak siedzi. Ale niekiedy to i nawet dobrze, bo czego jak czego, ale dyscypliny ich ci Prusacy nauczyli.

Sierżant Okoń stał cały czas na baczność, czekając aż oficer pozwoli mu na spocznij, ale ten jakby o nim zapomniał. Bo to też i tacy oficerowie z tych Kongresowiaków, co o żołnierzu zapominają. Dawniej nie do pomyślenia. Stał więc wyprostowany i wpatrzony w widok za oknem. Tam sierżant Marczak ustawiał w szereg pluton rekrutów, co to dopiero zaczynali służbę i nijak nie potrafili pojąć, o co chodzi podoficerowi, który biegał wokół szeregu, próbując za wszelką cenę sprawić, by ci nieudolni zasrańcy prawidłowo pokryli i wyrównali. Okoń uśmiechnął się pod wąsem. Dobry był z Marczaka kolega, ale do musztry to on się nie nadawał. Co innego on. Już by im pokazał, jak się staje na zbiórce. A jakby nie umieli, to zaraz by ich puścił biegiem pięć razy wokół dziedzińca. Gdyby po tej przebieżce się znów nie udało, pobiegliby jeszcze raz i tak aż do skutku. Wiedział dobrze, że takich pięć przebieżek czyniło cuda i wystarczyła godzina biegania, żeby nauka przyniosła skutek. Ale żeby to wiedzieć, trzeba było mieć twardą dupę i odpowiedni, nawykły do wydawania rozkazów głos. Marczak był w porządku, ale brakowało mu

stanowczości. Nadawał się raczej do intendentury, niż na plac ćwiczeń. Tak samo jak on: powinien ćwiczyć rekruta, a nie jeździć na rowerze za jakimiś oficerami, co to nie potrafią się zabawić w nocy tak, żeby na rano być w pełnej gotowości do zajęć.

– Spocznijcie, sierżancie – z zamyślenia wyrwał go głos kapitana Jażdżewskiego. Okoń odetchnął z ulgą i wysunął lewą nogę do przodu. Jego postawa była już mniej formalna, więc mógł sobie pozwolić na mniej regulaminową opinię, jeśli oczywiście zażyczy jej sobie oficer.

– A tak waszym zdaniem, sierżancie, to co tam się stało? – Jednak sobie zażyczył.

– W środku jest gemela, jak po weselu na Chwaliszewie, wszystko rozpieprzone, jakby kto handgranatę wrzucił, a pana porucznika ani widu, ani słyhu.

– Gemela? – Jażdżewski najwyraźniej nie zrozumiał słowa.

– Znaczy rozpierducha.

– Aha! – bałagan.

– No, znaczy, tak jest!

– Ale bałagan taki, że się tak wyrażę, jak po hucznej zabawie? – wołał się upewnić kapitan.

– Taki sam, ino większy.

– Co znaczy większy?

– To tak, jakby pan, z całym szacunkiem, zaprosił do siebie kilku bolszewików, bo wybebeszone wszystko dokładnie, jakby tam kto złota szukał.

– Czyli że jak?

– Sofa i dwa fotele pocięte, z szuflad wszystko wywalone na podłogę, szkła pobite, ino żadnej flaszki nie widać, znaczy się spożywania alkoholu nie było.

Jażdżewski zaklął pod wąsem. To wyglądało jak regularne przeszukanie mieszkania. Jednak do tego wszystkiego nie pasował tylko jeden element. Spojrzał na blat biurka i na leżącą na nim zieloną teczkę. Tę samą teczkę, w której mieściła się dokumentacja wszystkich rozmów z oficerami i podoficerami pułku, które on i Karpiński przeprowadzili w trakcie dochodzenia w sprawie sowieckiej agentury. Wszystkie papiery były najprawdopodobniej w jak najlepszym porządku. Stwierdził to, przeglądając je pośpiesznie, zaraz jak tylko Okoń zameldował się

w jego gabinecie.

– A ta teczka? Jak to się stało, żeście ją znaleźli w tej, jak to powiedzieliście? Gameli?

– Gemeli, panie kapitanie – poprawił go zaraz sierżant.

– Mniejsza o słowo. Co z tą teczką?

– Z tą teczką, to ja melduję, że było tak, że jak tyłkom zobaczył, że tam jest taka rozpieducha, to pierwsze trza było sprawdzić pod oknem.

– Co pod oknem sierżancie? Gadajcie do cholery jaśniej.

– No przecie gadam, panie kapitanie jaśniej, znaczy sie wszystko jak trzeba, po kolei. To jakem tam wlaźł i zobaczyłem te gemele, tom se pomyślał, że to kradzież z włamaniem. I zaraz mnie przyszło do głowy, że jak kradzież, to złodziej musiał szukać skrytki. No to sprawdziłem skrytkę.

– Zaraz, sierżancie. Czy wy chcecie powiedzieć, że wiedzieliście, gdzie w mieszkaniu porucznika jest jakaś tajna skrytka? – Jażdżewski spojrział z niedowierzaniem na Okonia, którego pytania oficera wcale nie zbiły z tropu. Wręcz przeciwnie. Był całkiem zadowolony.

– Ja melduje, że wiedziałem, bom sam ją zmajstrował.

– Jak to?

– Ano tak, że jak pan porucznik do nas tu nastał, z tego Wilna jak przyjechał, to on mnie zapytał, czy ja znam jakiego rzemieche stolarskiego albo innego, co by potrafił zmajstrować u niego w chacie takie schowanko, co by można było tam od czasu do czasu schować jakieś flepy – natychmiast zauważył, że kapitan znów czegoś nie zrozumiał, więc wyjaśnił jak dziecku – flepy, znaczy się, u nas się powiada na papiery różne, a jemu sie rozchodziło o takie tajne, jakby chciał nad nimi w chacie popracować. No to ja mu powiadam, że sam zrobię, bo ja, panie kapitanie, to jestem syn stolarza i na drewnie to ja sie znam całkiem akuratnie. No i zmajstrowałem taką skryteczkę pod parapetem w salonie. No i w niej właśnie była ta teczka.

Jażdżewski pokiwał głową. Wszystko to zaczynało trzymać się kupy. Znika oficer odpowiedzialny za poszukiwania jaczejek bolszewickich w armii, w jego mieszkaniu ktoś robi regularne przeszukanie, ale nie trafia na dokumenty, bo jeśli oficer zniknął i jest gdzieś przetrzymywany, to znaczy, że nie wydał miejsca ich przeszukiwania. To na razie oznacza, że jest problem, ale nie ma jeszcze szczególnego zagrożenia. Teraz jak

najszybciej trzeba znaleźć porucznika Karpińskiego. No, ale decyzje o tym, co należy robić, musi zaakceptować dowódca pułku. Do dziewiątej zostało jeszcze pięć minut. Trzeba iść poinformować go o kłopotcie. Ale najpierw trzeba zrobić wszystko, żeby nikt nie dowiedział się o tym, co się dotąd wydarzyło.

– Sierżancie!

– Tak jest!

– Weźmiecie dwóch ludzi. Najlepiej podoficerów. Takich, wiecie, sprawdzonych ludzi. Zresztą co ja wam będę mówił. Sami wiecie najlepiej. Wiecie?

– Ja melduje, że tak jest.

– To świetnie. Pójdziecie we trzech do mieszkania porucznika. Jeden z was zostanie w mieszkaniu i będzie wszystkiego pilnował, niczego nie ruszając. Dwaj pozostali rozpytają się w kamienicy, czy nikt niczego nie widział, przede wszystkim ciecia o to rozpytajcie tak, żeby sobie wszystko przypomniał. A jak już będziecie co wiedzieć, to czekajcie tam na mnie. Do mojego przyjazdu siedzieć i czekać.

– Tak jest, panie kapitanie.

– Dobra, możecie odmaszerować.

Okon odwrócił się na pięcie i natychmiast wyszedł. Jażdżewski wstał zza biurka, założył pas główny, wyrównał pod nim poły marynarki, założył na głowę rogatywkę i z teczką pod pachą poszedł na spotkanie z dowódcą pułku. Wychodząc z pokoju przypomniał sobie, że miał zapytać Okonia o to „ja” przed meldując. Ale co tam, zapyta następnym razem.

Godzina 9.00 rano

Komisarz przystanął przy krawężniku skrzyżowania Garbar i Wielkiej. Począł chwilę, aż przejedzie wolno para koni ciągnących lorę wyładowaną po brzegi węglem. Węglarze ich nie poganiali. Prowadzili je bez pośpiechu, tak, żeby każdy kto chce mógł zobaczyć, że jadą ulicą. W końcu byli jak obwoźny skład węglowy. Dodatkowo, co chwila jeden z nich stawał na koźle, gwizdał przeciągle na palcach, a potem krzyczał

najgłośniej jak potrafił: Wyyyngiel, Kooohle, wyyyngiel, Kooohle!

Z okien kamienic wyglądały zaciekawione twarze gospodyń domowych, które robiły w głowach szybkie rachunki, czy aby warto wydać już teraz pieniądze na węgiel, czy może poczekać jeszcze do następnego miesiąca. Jedna z nich, z kamienicy po drugiej stronie ulicy, wychyliła się mocniej i pomachawszy ręką, zawołała ponad gwarem ulicznym:

– Do mnie, do mnie!

Woźnica natychmiast odebrał sygnał i niewiele robiąc sobie z ulicznego ruchu, ściągnął lewe wodze i skierował konie na szagę, na wprost kamienicy ze sklepem mydlarskim na parterze. Czarny Fiat 501, jadący od strony placu Bernardyńskiego, mało nie rozjechał rowerzysty, unikając zderzenia z ogromnym wozem. Cyklista musiał aż zsiąść z roweru, a kierowca forda, wychyliwszy się na zewnątrz, zaczął wygrażać pięścią w kierunku węglarzy. Ci, zupełnie nic sobie z tego nie robiąc, zaczęli powoli złączyć z wozu.

– To wiele szanowna pani se winszuje? – krzyczał woźnica, zadzierając głowę w górę.

– Cztery kosze pod piętnasty, na trzecim kiju.

– Ino cztery? Łe, to szkoda fatygi. I jeszcze na trzeci kij? Weź pani ze sześć, to pół melona opuścim.

Policjant ze zdziwieniem zauważył, że zamiast iść dalej w swoich sprawach, zaczął przysłuchiwać się tej węglarskiej transakcji. Nie było w niej przecież niczego interesującego. Ot, zwykła sprawa na miejskiej ulicy. Sam węgiel jako towar nie interesował go wcale. Nie kupował węgla. Tym zajmowała się prowadząca jego kawalerskie mieszkanie pani Praksesta Wiśniewska, wdowa po adwokacie. To ona, a właściwie jej służba dbała o ciepło w jego czteropokojowym mieszkaniu przy ulicy Matejki. Fischer rozliczał się tylko co miesiąc, bo opłaty za palenie w piecach właścicielka kamienicy pobierała wraz z czynszem najmu. Zainteresował go sam proces zakupów z dowozem do domu. Ciekawe – pomyślał – taki sposób sprzedaży mógłby się przyjąć także w innych dziedzinach handlu, jak choćby zamawianie obiadów przez telefon. Człowiek mógłby dzwonić do restauracji i nie wychodząc z domu czekać przy stole aż mu podadzą ciepłe jedzenie. Trzeba byłoby tylko rozwiązać problem przewozu, tak żeby potrawy nie utraciły po drodze zbyt dużo

ciepła. Może jakieś specjalne termoizolujące naczynia? A co tam, pewnie jakby było zapotrzebowanie na taką usługę, to już by dawno ktoś to obmyślił akuratnie, żeby klient był zadowolony.

O tym jedzeniu pomyślał, bo często mu się zdarzało, że nie zdążył zjeść obiadu, zaprzątnięty jakimś służbowymi sprawami, a w domu jedyne, na co mógł liczyć, to kawałek chleba z marmeladą, bo niczego innego nie kupował, żeby się niepotrzebnie nie psuło. Z drugiej strony, gdyby miał w domu służącą, to zawsze mógłby liczyć na coś ciepłego do jedzenia. Ale służące miały to do siebie, że trzeba im było płacić, a Fischer nie lubił niepotrzebnie szastać pieniędzmi. Problem wyżywienia rozwiązałyby też zapewne żona, no, ale żonę trzeba byłoby sobie znaleźć, a do tego specjalnie nie miał głowy. Żona wymaga starań i zabiegów, wspólnych planów i celów do osiągnięcia, choćby takich jak dzieci, które trzeba wychowywać i jeszcze łożyć na ich edukację. A na takie wydatki on, skromny urzędnik państwowy, na razie nie mógł sobie pozwolić. Chyba, żeby trafiła się jakaś posazna panna i do tego jeszcze jakby była ładna i miła, i dbająca o dom, i żeby nie wydawała niepotrzebnie pieniędzy na lewo i prawo na jakieś ozdóbki i fatałaszk... Trudne jest życie kawalera, a co dopiero męża i ojca.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, uważnie się rozglądając, żeby nie wejść pod kopyta jakiejś rozpędzonej dorożki, uskoczył, gdy nadjeżdżał wóz z mleczarni i gdy wydawało mu się, że już szczęśliwie dotarł na drugi brzeg, poczuł niemiłą miękkość pod podeszwą buta. No tak, wdepnął w końskie gówno. Przystanął więc na chodniku i zaczął ocierać podeszwę o krawężnik.

- Jak tak dalej pójdzie, to jeszcze kilka lat i utoniemy w końskim nawozie - mruknął do siebie niezadowolony. Ruch na ulicach miasta coraz większy, tak że niedługo się przejść spokojnie nie da i do tego jeszcze te wszechobecne końskie gówna! Mógłby się ktoś wreszcie zabrać za porządek w mieście, bo jeszcze trochę, a czeka nas tu prawdziwa komunikacyjna apokalipsa.

Rozejrzał się na boki. Dwadzieścia metrów w kierunku mostu Chwaliszewskiego siedział na ryczce kilkunastoletni chłopak. Przed nim stała druga, nieco pochylona drewniana podstawka do oparcia nogi, a obok na chodniku zestaw szczotek.

- No, jest pucybut - ucieszył się policjant i ruszył szybko w jego

kierunku.

Rudy piegus już z daleka wpatrywał się z nadzieją w jego twarz. Musiał dostrzec, że idzie w jego kierunku potencjalny klient.

– Ten przynajmniej na gówna na ulicy nie narzeka – zauważył Fischer.

– Glancowanie trzewików dla szanownego pana mecenasa? – zapytał chłopak z nadzieją w głosie.

– Glancowanie na koniec. Najpierw skrobanie z gówna.

– Robi się dla szanownego pana. Usługa w trymiga, a do tego pan szanowny sobie wieszkuje glanc pastą Dobrolin czy Kiwi?

– Pasta Kiwi but ożywi – rzucił komisarz, przypomniawszy sobie znany slogan reklamowy. – Ale ja popieram polską produkcję. Dobrolinem smaruj, ino uczciwie.

Chłopak uśmiechnął się, ukazując braki w uzębieniu i natychmiast zabrał się do roboty, zaczynając od usuwania brudu z podeszwy specjalną drewnianą szpatułką.

Fischer sięgnął po swoją wiśniową fajkę, wydłubał zapałką resztki wypalonego tytoniu i nabił od nowa. Gdy tylko zdążył przypalić, pucybut zakończył swoją pracę. Oba buty lśniły jak nowe. Zadowolony policjant sięgnął do kieszeni i wydobyl dwa banknoty o nominale po sto tysięcy marek polskich. Chłopak schował je do kieszeni, zadowolony z hojnego gestu klienta.

Na moście Chwaliszewskim po prawej stronie stało kilkanaście osób przyglądających się czemuś, co działo się poniżej. Zciekawiony Fischer podszedł do barierki. Jakiś chłopak przełaził właśnie przez nią, szukając bosymi stopami oparcia na betonowym filarze mostu. Występ był niewielki, na tyle jednak duży, że chuderlak mógł na nim swobodnie stanąć. Mniej więcej trzy metry od chłopaka, bezpiecznie za barierką, stał potężnie zbudowany, łysy jak kolano mężczyzna, ubrany w drelichowy roboczy strój.

– Ino żebyś tu dolazł, to poradysz sięgnąć – instruował chłopaka.

– Dam rade, panie szyper – odpowiedział młodzieniec, cały czas się uśmiechając. Oparł się dłońmi o krawędź mostu i znieruchomiał, rozważając zapewne wszelkie możliwości dalszego działania.

– Co jest, do cholery? – Komisarz nie mógł zrozumieć, co się tutaj wyrabia. – Może to jaki sztukmistrz albo linoskoczek czy jak? – zastanawiał się.

– Ady się zabijesz, chłopaku. Gdzie cie tam diabli niesą? – zawołała jakąś kobiecina ubrana z bamberska w obszerne kloszowate suknie.

– Zleci na łeb i sie utopi – wyjaśnił zebranym mężczyzna w przetartym na łokciach surducie.

– Jak umi pływać, to sie nie utopi – nie zgodził się z nim grubas, ubrany w biały strój piekarza.

– Jezus Maria, Jezus Maria, on złazi pod most! – krzyknęła pani z parasolką i w kapeluszu przyozdobionym wyblakłymi kwiatami.

Wszyscy jak na komendę wychylili się jeszcze mocniej, akurat w momencie gdy chłopak, chwyciwszy się jakiegoś metalowego elementu poniżej krawędzi, skoczył w przepaść. Publiczność na próżno czekała jednak na chłupnięcie. Nic takiego się nie stało. Wszyscy zamilkli jak na komendę, a niektórzy z emocji zagryźli wargi.

– Jesteś tam? – przerwał ciszę łysy olbrzym.

– Co mam nie być, panie szyper – odezwał się głos wydobywający się spod spodu.

Tłum zafalował, a na wielu twarzach pojawił się wyraz ulgi.

– Widzisz co? – dopytywał się niecierpliwie szyper.

– Widze!

– Dojdiesz tam?

– Jasne, już ide, ino...

Fischer, który przysłuchiwał się z zainteresowaniem rozmowie, nagle kątem oka zauważył jakiś nieznaczny ruch, na prawo od siebie. Ruch o tyle dziwny, że skierowany w przeciwnym kierunku niż ten spowodowany zainteresowaniem wydarzeniami pod mostem. Ktoś przesunął się powoli w kierunku przeciwnym, niż nakazywałaby logika tłumowi. Policjant natychmiast domyślił się, o co chodzi. Nie poruszywszy się niemal wcale, powoli odchylił głowę w tamtym kierunku. Doliniarz pracował spokojnie i bez pośpiechu, przeszukując starannie kieszenie i napierając ramieniem na wypięte tyłki tych nachylających się nad barierką. Jeszcze metr i będzie koło niego.

– Mam, panie szyper! – krzyknął chłopak.

– To wyłaź!

– Nie da rady!

– Co? Jak nie da?

– Nie poradze nic! Skacze!

– Nie.

– Boże, on skacze! – zapiszczała jakaś kobieta falsetem.

– Zabije się – stwierdził obojętnym tonem ten z wytartymi łokciami.

– Z takiej wysokości – w życiu. Co najwyżej się utopi – przekonywał niski kominiarz w cylindrze, który nagle, nie wiedzieć skąd, znalazł się w tłumie i to całkiem blisko barierki, a więc w jednym z najlepszych miejsc do obserwacji.

– Co się pan tak pchasz, do cholery! – warknęła na niego gruba wieśniaczka w chustce na głowie, która musiała się odsunąć z drogi w obawie, by czarny smoluch nie usmarował jej spódnicy w czerwone kwiaty.

– Skacze, panie szyper! – zawołał chłopak.

– Nie! – krzyknął łysy, ale jego głos utonął w ogólnym harmidrze, który zaczął się w momencie, gdy jakiś człowiek z tłumu odkrył, że ktoś rąbnął mu portfel.

– Moje pieniądze! – wołał okradziony. – Gdzie są moje pieniądze? Ratunku! Złodziej!

Ludzie zaczęli nerwowo sprawdzać swoje kieszenie. Tylko złodziej spokojny i opanowany zrobił pewny krok, wychodząc z tłumu. Wydawało mu się, że wygrał dziś los na loterii. Nieczęsto udawało się przypadkowo trafić na taki tłum, tak bardzo pochłonięty jakąś sprawą, że ludzie zapomnieli zadbać o swoje pieniądze. Na szczęście on jednak potrafił o nie zadbać i zrobił to nadzwyczaj sprawnie. Pięciu frajerów ogolonych do cna w czasie jednego pacierza, to sukces niebывwały. I byłby pewnie sukcesem, o którym jeszcze przez lata opowiadaliby z zazdrością młodzi adepci złodziejskiego fachu, gdyby nie pewien szczegół: nieudane zakończenie.

– Finis coronat opus – powiedział uśmiechając się radośnie komisarz Fischer, łapiąc za kołnierz jesionki należącej do dobrze znanego mu doliniarza, Czecha Pacuły, zwanego Korbolem z racji posiadania bulwiastego nosa.

– Że co, panie komisarzu szanowny? O co niby się rozchodzi?

– Że trzeba się było uczyć łaciny.

– Na *Pater noster* żem skończył edukację – przyznał Korbol potulnie. Wiedział, że nie ma się co wyrywać, bo od Fischera nieźle można dostać w mordę. Policjant tymczasem wychylił się przez poręcz. Chłopak

spokojnie płynął w kierunku zacumowanej w pobliżu barki. Nic mu się nie stało, więc uspokojony policjant odwrócił się do złodzieja.

– No to co, Korbol, idziemy na spacer?

– Kiedy ja, panie komisarzu szanowny, mam właśnie sprawę niecierpiącą zwłoki na Chwaliszewie. Siostra chora leży w chacie bez ducha... Jak zara nie przylece, to wyciągnie kopyta i będzie poruta na całą okolice, że braszka nie przyszedł pocieszyć cierpiącej...

– Dobra, dobra Korbol. Siostra poczeka, nie kipnie tak szybko, a my se na komisariacie pogadamy. A tak w ogóle, to nie wiedziałem, że masz siostrę.

– O czym pogadamy? – zapytał z niepokojem w głosie doliniarz, który natychmiast zapomniał o siostrze, która miała się całkiem dobrze i na zdrowie, dzięki Bogu, wcale ostatnio nie narzekała.

– Jak o czym? O *Pater noster* najlepiej będzie popierdolić.

Godzina 9.20 rano

– No i co z tego, że znalezione. Znalezione, ale gównu warte. Nie dorobisz się na tym Soltys, dawaj pugilares, bez gadania. Sprawdzim urzędowo, co zawiera, a jak nic nie zawiera, to se go bierz. Ino najsamprzód kontrol.

Szczepan Soltys spojrzał z żalem na torebkę z miedzianym łańcuszkiem. Jeśliby ją sprzedał Żydowi, co to na Wronieckiej miał sklep z pierdołami, to przynajmniej odbiłby sobie stratę, jaką poniósł, obiecując Baranowi nagrodę za jego gimnastyczne popisy. Człowiek Mucha sprawdził się jak mało który. Przelazł po kracie, trzymając się jej tylko rękami, dotarł do miejsca, gdzie wisiał ów tajemniczy przedmiot, chwycił go i wskoczył do rzeki, bo dłużej już nie dał rady tak wisieć. To doprawdy był nie lada wyczyn.

Zadowolony z tego powodzenia Soltys zszedł zaraz na niewielkie nabrzeże kamiennymi schodami, po których jego tragarze cały czas wnosili piasek. Zszedł na barkę akurat w chwili, gdy chłopak wspiął się na burtę. Ten, zadowolony z siebie, rzucił trofeum na pokład, a potem zdjął portki i koszulę, po czym zabrał się za wyżymanie. Woda ściekała mu po nogach, tworząc obszerną kałużę na wysuszonym przez

promienie słoneczne drewnianym pokładzie.

Soltys klepnął chłopaka w ramię, zadowolony z efektu jego wyczynu, a potem schylił się, by uważniej się przyjrzeć znalezisku. Wyglądało byle jak. Zwyczajna torebka ze skóry zapinana na metalową klamerkę. Do tego dochodził jeszcze łańcuszek, który wcale nie był złoty, ale miedziany. To przez te cholerną miedź wysłał tam chłopaka. Miedź go oszukała. Jedyna szansa, że w środku było coś ciekawego, bo całość nie przedstawiała się zbyt korzystnie. Wziął torebkę w drżące dłonie i już chciał ją otworzyć, gdy od strony nabrzeża odezwał się jakiś głos. To był głos policjanta Majchrzaka z posterunku przy Solnej. Znał go dobrze, bo ten Majchrzak często zachodził na nabrzeże, żeby niby to sprawdzić stan barek piaskarskich, ale w rzeczywistości po to, żeby wziąć w łapę i żadnej kontroli nie robić. Teraz jednak wcale nie przylazł na kontrol.

Spojrzał na Majchrzaka i z rezygnacją pokiwał głową. Policjant miał rację. Najpierw trzeba było to, co jest w środku, sprawdzić urzędowo. Jak już się szkieł przypałała, to nie było innego wyjścia. Za dużo było świadków, którzy w razie czego mogli poświadczyć, że torebka trafiła do niego. Teraz mógł stać się jej właścicielem tylko w jednej sytuacji – jeżeli nie znajdzie się właściciel albo raczej właścicielka.

Wzruszył ramionami i chcąc nie chcąc podszedł do nabrzeża i podał torebkę policjantowi. Ten zrobił poważną minę urzędnika, żeby dodać powagi całemu aktowi przekazania, i już chciał ją schować do kieszeni, ale Soltys był na to za cwany.

– Nie tak szybko, panie władza. Najpierw komisyjnie trza sprawdzić, co kryje wewnątrz.

– A ty co, zdurniałeś całkiem? Policjanta chcesz uczyć roboty policyjnej?

– Mnie nic, jak pan wiesz, do policji. Ja ino dopraszam się sprawdzenia zawartości, żeby później na mnie nie było, że coś mi się do paluchów przykleiło, jakby się właścicielka gdzie znalazła.

Tym razem policjant musiał się zgodzić z argumentacją szypra. Wziął torebkę w obie dłonie i ostrożnie odpiął zatrzask, a potem wsunął dłoń do środka. Pogmerał chwilę, by zaraz wyjąć ze środka klucz do drzwi mieszkania, pomietą kraciatą chusteczkę i jakąś niewielką książeczkę. Pieniądzy żadnych nie było, więc Soltys nie mógł liczyć na pokrycie kosztów akcji ratunkowej. Tymczasem policjant najwyraźniej był

zadowolony ze znaleziska. Ostrożnie rozkładał na dłoni przemoczony papier.

- Co to jest? - zapytał zaciekawiony szyper.
- Jak to, nie wiesz?
- A niby skąd mam wiedzieć?
- To jest książeczka lekarska z badaniami lekarskimi.
- I co to oznacza?

- Oznacza, że torba należy do kurwy, znaczy się prostytutki. Jak ma książeczkę, znaczy się jest rejestrowana i będzie jej można torebkę oddać - wyjaśnił zadowolony z obrotu sprawy policjant, natomiast szyper nie miał najmniejszych powodów do zadowolenia. Dobrze, że choć barka była prawie w całości rozładowana. Jak szczoney utrzymają tempo, to za godzinę będzie mógł popłynąć po następną partię towaru.

Godzina 9.20 rano

Nie chciało mu się wcale gadać z tym złodziejem. Odtransportował go tylko do komisariatu i tyle. Miał swoje sprawy na głowie, a nie zajmowanie się jakimś kiepskim złodziejaszkiem. Zresztą co tu było do zajmowania. Facet miał w kieszeni cztery portmonetki z pieniędzmi i do tego jeszcze pełną kieszeń gotówki. Musiał oskubać ze sześciu ludzi. Tylko patrzeć, jak ci tam z mostu zaraz zaczną się zgłaszać do komisariatu na Solną w celu zawiadomienia o kradzieży. A tu, proszę, czeka ich niespodzianka. Dyżurny każe tylko opisać wygląd skradzionego przedmiotu oraz jego zawartość, a potem, jak się wszystko będzie zgadzało, odda skradziony przedmiot zdziwionemu właścicielowi. Prosta sprawa! Tymczasem ten Korbol, złodziej cholerny uparł się, żeby porozmawiać z nim nie wiedząc o czym. A czy on miał czas na takiego zasańca? Wychodząc z budynku Policji, sporządził sobie harmonogram działań na dzisiejszy dzień. Oczywiście w głowie go sobie sporządził, bo zawsze tak robił. Nie zapisywał takich spraw w żadnym notesie, bo i po co? Pamięć miał nadzwyczaj dobrą. Notes służył mu tylko do wpisywania różnych adresów i numerów połączeń telefonicznych, bo tych w ostatnim czasie bardzo w mieście przybyło. Kiedyś telefony były tylko

w ważnych urzędach, a teraz to własne numery chcieli mieć nawet właściciele restauracji czy nawet fryzjerzy! Jeszcze trochę i własny telefon będzie miał nawet stróż w każdej kamienicy! Tylko nie wiadomo po co? Fischer nie lubił telefonów, bo odbierały całą przyjemność bezpośrednich kontaktów z człowiekiem. On lubił widzieć twarz tego, z kim rozmawia, bo sam głos to była tylko namiastka prawdziwej rozmowy. No, ale wiedział też dobrze, że na postęp nie można się obrażać. Skoro ludzie chcą gadać przez telefon, to ci, co te telefony robią, będą im ich dostarczać tyle, ile trzeba. Normalne prawo rynku – jest zapotrzebowanie, to i towar musi się znaleźć.

– No i tym powiada, że ino z panem komisarzem będzie gadać, z nikiem drugim – wyjaśnił starszy posterunkowy Walenty Zielonka, który zatrzymał Fischera w chwili, gdy ten, po podpisaniu protokołu, wychodził już z budynku.

– A czego ten cholernik chce?

– Jo nie wim, panie nadkomisarzu. Ino pan przodownik przykazał, co by pana nadkomisarza zawrócić.

Fischer spojrział na ulicę przed sobą, a potem na pocziwą twarz Zielonki i machnął ręką zrezygnowany. A niech go cholera jasna weźmie. Co tam, pogada z nim pięć minut, więcej ani minuty i dalej na Chwaliszewo do zielarza Augustyniaka, z którym koniecznie chciał się dzisiaj spotkać.

– No dobra, prowadźcie posterunkowy. Twarz Zielonki rozjaśnił szeroki uśmiech.

Doliniarz Czechu Pacuła siedział za odrapanym kwadratowym stołem w całkowicie pustym pokoju. Prócz stołu jedynymi elementami urozmaicającymi monotonię przestrzeni były dwa taborety i niewielkie zakratowane okienko na ścianie naprzeciw drzwi, tuż pod sufitem. Ściany pomieszczenia pomalowane były do wysokości jakichś dwóch metrów szarą olejnicą, która w kilku miejscach odłaziła całymi płatami. Na niegdyś białym suficie widać było wybrzuszenia i ślady zagrzybienia. Fischer nigdy nie był w tym pomieszczeniu, ale smród zgnilizny, jaki je wypełniał, znał doskonale. Ciekawe – pomyślał – we wszystkich pokojach przesłuchań zawsze śmierdzi tak samo.

Pacuła natychmiast poderwał się na widok komisarza i uśmiechnął się promiennie.

– No i co się tak kielczysz, Korbol? Ja bym na twoim miejscu nie był taki radosny. – Powiedziawszy to, usiadł na taborecie. Korbol też zajął swoje miejsce.

– Jak mam się nie cieszyć, jak pana nadkomisarza znowu w zdrowiu widzę. Nareszcie może się człowiek pogadać z kimś inteligentnym.

– Ja nie na pogaduszki tutaj jestem. Masz coś do mnie, to gadaj, bo spieszy mi się.

– Panie nadkomisarzu kochany, i mnie się śpieszy, dlatego właśnie z panem chciałem pogadać.

– Śpieszy ci się? A to dobre. Coś mi się zdaje, że jak nic miesiąc posiedzisz w tych gościnnych murach za to, cożes dziś nawywijał.

– Ady tam zaraz nawywijał. Przecież pan komisarz dobrze wie, że nic wielkiego nie było. Ot, paru gości oskubanych i tyle.

– Paru nie paru. Na robocie żeś wpadł jak terminator w zawodzie. Poruta na całe miasto. Posiedzisz trochę, odpoczniesz, to może do wprawy wrócisz.

– Mnie się właśnie o to rozchodzi, panie nadkomisarzu szanowny, żebym ja za kratę nie szed.

– Łe Korbol, tobie się zdaje, że możesz się targować? A mnie się widzi, żeś jest umoczony po same uszy w gównie.

– Tyle to i ja wiem, panie nadkomisarzu litościwy. I w związku z tym ośmielałem się mieć dla pana pewną propozycję.

– Niby jaką? – burknął Fischer niechętnie, choć od razu poczuł, że zdesperowany Korbol chce mu sprzedać jakąś ważną informację. Jakby nie miał niczego ważnego do powiedzenia, nie ośmieliłby się fatygować komisarza. Fischer jednak dobrze wiedział, że nie powinien od razu połknąć przynęty.

– Gardłową.

– Gadaj, w czym rzecz?

Korbol uśmiechnął się, bo wiedział, że tym jednym słowem wzbudzi natychmiast zainteresowanie policjanta. Rzeczywiście, komisarz nadstawił uszu.

– Jeśli to zainteresuje pana nadkomisarza, to ośmielałem się prosić o wypuszczenie z kozy i żeby sprawy dzisiejszej wcale nie było.

To jest uczciwa propozycja – myślał Fischer. Sprawa kilku portfeli warta była czegoś grubszego.

– Gadaj Korbol, a ja zważę, czy warto.

– W przeciągu tygodnia zniknęły trzy dziewczynki, co robią na ulicy.

Fischer czekał na ciąg dalszy, ale dalszego ciągu nie było. Korbol siedział z miną jak kot srający w sieczkę i najprawdopodobniej czekał na słowa uznania. Komisarz uśmiechnął się tylko, a potem wstał z taboretu.

– Ee, a ja już myślałem, żeś ty jest poważny złodziej, a ty mój czas marnujesz na jakieś tanie historyjki. Nie będę z tobą gadał o pierdołach. Albo masz jakiś konkret, albo idź sobie podumać o sprawach wiecznych do celi.

– Trzy zniknęły. Jedna z nich leży z wyprutymi flakami od dwóch dni w pokoju na Woźnej, pod dwunastym.

– Jak to – leży? – zainteresował się policjant.

– Normalnie, bez ducha. Wypatroszona jak wieprzek.

– A ty skąd to wiesz?

– Bo wiara o tym już gada. Znalazła ją taka jedna, co z nią mieszkała, i tak się przestraszyła, że uciekła na wieś, skąd przyjechała tutaj wcześniej za robotą i sie skurwiła.

– A ty wiesz to od niej?

– Od jej alfonsiaka, tego Krzywego Walka, co ma taką szramę na ryfie, niby to po niemieckim bagnecie, ale i tak wszyscy wiedzą, że to nie żaden bagnet, ino brzytwą go przejechał jeden taki marynarz...

– A dwie inne, co żeś powiadał, że zniknęły?

– Zniknęły, pod Bogiem, ale trupów ni ma.

– A niby to czemu nikt dotąd nie zgłosił tego trupa?

– A kto by tam chciał zgłaszać się sam na policję? Walek w życiu sam by nie poszedł. Ta mała, co z nią mieszkała, znikła i nikt więcej nic nie widział. Zgłosi pewnie cieć z kamienicy, jak zacznie śmierdzieć.

Korbol miał rację. Taki trup mógł sobie leżeć spokojnie w mieszkaniu ze dwa tygodnie, zanim ktoś by się nim zainteresował. Wiadomość była warta swojej ceny.

– Dobra, zbieraj się. Idziemy.

– Dokąd, panie nadkomisarzu jedyny?

– Jak dokąd? Idziemy na Woźną. Jak się potwierdzi, możesz wracać do roboty.

– Ale panie nadkomisarzu wyrozumiały, jak mnie wiaruchna z panem zobaczy, to już moge się przeprowadzać do Szamotuł albo jeszcze gdzie

dalej. Życ mi nie dadzą.

– Wstawaj Korbol i nie gadaj tyle, bo się przeziębisz. Idziemy, bo nieboszczka czeka.

Chcąc nie chcąc, Czechu Pacuła podniósł się z taboretu. W sumie to mu się udało. Wykpił się, a mógł najbliższy miesiąc spędzić za kratkami. A co tam, jak go kto zobaczy, to się jakoś wyłga. Najważniejsze, że jak dobrze pójdzie, najdalej za godzinę będzie pił zimnie piwo w knajpie „U Dziada” na Chwaliszewie. Zimne piwo na wolności warte było takiego poświęcenia.

Godzina 9.40 rano

Dowódca pułku, pułkownik Wincenty Wróblewski, był spokojnym człowiekiem. Oczywiście do czasu. Najczęściej do momentu, w którym ktoś zdołał wyprowadzić go z równowagi. A dzisiaj już był bliski takiej chwili. Był bliski jakiejś pół godziny temu, gdy kapitan Jażdżewski zamiast złożyć mu raport, opowiedział o tym, że drugi z oficerów odpowiedzialny za śledztwo w sprawie bolszewickiej agentury zniknął bez śladu. Pułkownik poczerwieniał jak burak i mało brakowało, a wezwałby do siebie żandarmów, żeby aresztowali Jażdżewskiego i tego, który zniknął też, żeby aresztowali zaraz, jak się tylko odnajdzie. Na szczęście potrafił nad sobą zapanować. Usiadł w swoim głębokim rzeźbionym fotelu i zamilkł jak kamień. Milczał tak przez dobrych pięć minut. W tym czasie siedzący na krześle naprzeciw biurka Jażdżewski pocił się niemiłosiernie, co chwila ocierając zroszone czoło kraciatą chusteczką. Jak miał się nie pocić, gdy dowódca, zamiast wydawać polecenia i rozkazy, zastygł w jednej pozycji jak katatonik. To nie wróżyło raczej niczego dobrego. Dopiero po jakimś czasie purpura zniknęła z twarzy dowódcy. Rozpiął kołnierzyk bluzy mundurowej, zmarszczył brwi i zapytał nadspodziewanie spokojnym głosem:

- Powiadasz pan, że z teczki nic nie zginęło?
- O ile mogłem się rozeznać, to nie widzę, żeby czegoś brakowało. Ale potrzebna jest jeszcze skrupulatna analiza, panie pułkowniku.
- Ile czasu potrzebuje pan na taką analizę?

– Jeśli zabiorę się za nią natychmiast, to myślę, że jakieś dwie godziny wystarczą.

– Dobrze, panie kapitanie. Za dwie godziny zgłosi się pan do mnie z dokładnym raportem w sprawie teczki. To po primo.

Pułkownik przerwał, by sięgnąć po pudełko z cygarami. Wydobył jedno, nie częstując swojego podwładnego. Odciął czubek scyzorykiem i zapalił. Aromatyczny zapach błyskawicznie wypełnił pomieszczenie. Jażdżewski poczuł, że bardzo chce mu się palić, ale nie śmiał zapytać pułkownika, czy może skorzystać ze swoich papierosów. Siedział więc sztywno z dłońmi złożonymi na kolanach, czekając aż pułkownik wróci do przerwanej wątku.

– Kogo pan wysłał na miejsce, znaczy do mieszkania Karpińskiego?

– Wysłałem sierżanta Okonia z dwójką jego zaufanych podoficerów. Mają przepytac delikatnie ciecia, no i pilnować mieszkania do odwołania. Oczywiście bez zawiadamiania policji.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze – pochwalił decyzję kapitana pułkownik, kiwając głową. – A teraz secundo. Po przedstawieniu mi wyników oględzin teczki zostawi pan ją u mnie, a sam pójdzie do tego mieszkania i się tam rozejrzy.

– Tak jest! – kapitan skinął głową, potwierdzając rozkaz.

– A teraz poproszę, panie kapitanie, o pańską opinię w tej sprawie. Co według pana mogło się stać?

Jażdżewski przez chwilę milczał, zbierając myśli. Nie wiedział, co odpowiedzieć, bo nie miał pojęcia, co też mogło się wydarzyć. W takiej sytuacji trzeba było działać jak na froncie, czyli jeśli nie wiadomo co zrobić, trzeba mądrze improwizować.

– Wydaje mi się, panie pułkowniku, choć jak na razie mam za mało danych, żeby być pewnym, że porucznik Karpiński został porwany. – Powiedziawszy to, spojrzał w oczy dowódcy, bo obawiał się, że pułkownik natychmiast wykryje jego szalbierstwo. Tymczasem pułkownik zamilkł znów na chwilę, a potem pokiwał głową.

– I mnie się zdaje kapitanie, że to może być porwanie. Przecież taki oficer jak Karpiński nie znika sobie ot tak z dnia na dzień i nie rozplywa się w powietrzu. O ile wiem, to nie jest raczej typ hulaki, ale solidny oficer, z kośćmi.

– I mnie się tak zdaje, panie pułkowniku.

– W tej sytuacji trzeba jak najszybciej wdrożyć śledztwo. Trzeba go jak najszybciej znaleźć, żeby wróg nie wydusił z niego tego, co on wie.

– Tak jest, panie pułkowniku. Mogę natychmiast zacząć...

– Zacznie pan, jak mu powiem – przerwał dowódca. – Pan możesz szukać szpiona w pułku, ale w mieście to żeś jest pan bezradny jak ślepy kociak. Po mieście trzeba wiedzieć, jak się poruszać, dlatego potrzebujemy kogoś, kto bez rozgłosu i po cichu będzie mógł nam pomóc w tej sprawie.

Jażdżewski nie wiedział, co powiedzieć, bo nikt taki nie przychodził mu na myśl. Dlatego postanowił w milczeniu czekać na to, co powie pułkownik.

– Musimy mieć człowieka, któremu możemy całkowicie zaufać, przekazując mu wszystko, co wiemy i który sam w sobie będzie gwarantem, że nic nie wycieknie na zewnątrz.

– Pan pułkownik ma kogoś konkretnego na myśli?

– Owszem – potwierdził Wróblewski i zaciągnął się cygarowym dymem.

– Rozumiem, że to któryś z naszych oficerów, którzy doskonale znają miasto? – zapytał kapitan i jednocześnie zaraz zaczął poszukiwania kadrowe. Znał wszystkich oficerów pułku i doskonale wiedział, którzy są z pochodzenia poznaniakami, ale jakoś żaden z nich nie pasował mu do charakterystyki, którą przedstawił pułkownik.

– Pan może tego nie wiesz, boś pan za krótko jest u nas, ale w poznańskiej policji mamy swojego człowieka.

Jażdżewski nigdy nic nie słyszał nic na temat agenta wojskowego pracującego w policji. To zaczynało być bardzo ciekawe.

– Mamy agenta w policji? – zapytał zdziwiony.

– A czy ja, panie kapitanie, powiedziałem agenta? Czy my jesteśmy carska Ochrana, żeby swoich agentów umieszczać w strukturach odradzającego się państwa? To nie żaden agent, ale nasz człowiek. Znaczący nasz oficer, co z pułkiem przeszedł całą wojnę bolszewicką, a po wojnie został zdemobilizowany na własną prośbę i zamienił mundur wojskowy na policyjny. Jest nadkomisarzem policji w Poznaniu.

– I myśli pan pułkownik, że można mu ufać? – w tym pytaniu dało się wyczuć niedowierzanie. – W końcu wszystko to powinno być całkowicie utajnione i nie powinien o tym wiedzieć ktoś z zewnątrz...

Zapadła cisza. Jażdżewski zauważył ze zdziwieniem, że twarz pułkownika znów purpurowieje. Nagle Wróblewski zerwał się z fotela, walnął pięścią w stół i krzyknął tak głośno, że firanki w oknie zadrżały.

– A komu, do cholery ciężkiej ja mogę bardziej ufać, jak nie oficerowi, którego mnie samego spod bolszewickiego ostrzału na własnych plecach wyniósł, jak nie oficerowi, którego na polu bitwy został przez samego Marszałka udekorowany krzyżem Virtuti Militari za męstwo, i któremu sam przypinałem krzyż walecznych! Taki człowiek, co dla swojego pułku, dla swoich kolegów życie narażał niejednokrotnie, godzien jest największego zaufania! I pan o takim człowieku powiadasz ktoś z zewnątrz? Kapitan Antoni Fischer to jeden z nas, a nie jakiś... ktoś z zewnątrz... Pułkownik przerwał, opierając się dwoma rękami o blat biurka, a potem ciężko opadł na fotel.

Kapitan natychmiast zerwał się na równe nogi.

– Proszę wybaczyć, panie pułkowniku. Nie wiedziałem, kogo pan pułkownik ma na myśli. Oczywiście, że jeśli chodzi o kapitana Fischera, to sprawa jak najbardziej trafi w godne ręce – mówił szybko Jażdżewski, żeby jak najspieszniej oddalić od swojej osoby gafę. Jednocześnie zastanawiał się, kim u licha jest ten Fischer. Był tu w pułku już od ponad roku, ale nigdy nie słyszał nawet najmniejszej wzmianki o tym oficerze. Ciekawa sprawa.

– Czy mam w takim razie zatelefonować na Policję i poprosić, żeby kapitan Fischer przyszedł tu do nas?

– Pan niech się zajmie teczką – pułkownik popchnął ją na skraj biurka.
– Za dwie godziny u mnie. A z Fischerem sam sobie pogadam.

Kapitan sprężystym krokiem podszedł do biurka, wziął z blatu teczkę, potem skinął głową, bo nie mógł wykonać salutu, gdyż rogatywkę trzymał w lewej ręce, i zrobił przepisowy w tył zwrot.

Gdy oficer opuścił pokój, pułkownik sięgnął po słuchawkę telefonu.

– Z Komendą Policji łączyć – powiedział i natychmiast przerwał połączenie z centralą. Na łączenie z miastem trzeba było czekać przynajmniej dwie minuty. Akurat tyle, żeby spokojnie wypalić do końca cygaro.

Godzina 10.50 przed południem

Ostatni z piaskarzy zeskoczył z barki. Na pokładzie nie było już ani odrobiny piasku, który można by było przetransportować na brzeg. Teraz trzeba było odbić od brzegu i odwrócić się tak, żeby barka mogła z prądem popłynąć jakieś dwa kilometry w górę rzeki, aż za katedrę. W miejsce, gdzie pozyskiwało się piach z płytkiego dna, przy płytkim rzeczonym zakolu. Na rozładunek czekały już trzy kolejne barki. Szyper Soltys obliczył szybko w myślach, że jak wszystko dobrze pójdzie, to w ciągu czterech godzin uda się ponownie załadować jego barkę, godzinę zajmie mu powrót i istnieje duża szansa, że jeśli o piątej zacznie rozładunek, to przed ósmą będzie już siedział w knajpie i pił piwo. W sumie miał dzisiaj dobry dzień, nie licząc tej wpadki ze świecidełkiem z mostu. Ta sprawa mu najwyraźniej nie wyszła. Ale przynajmniej przekonał się, że ten Froncek Baran to całkiem udany szczon. Może by trzeba pomyśleć i znaleźć mu jakieś zajęcie na łodzi? Bo widać, że potrafi se poradzić w trudnych sytuacjach. Właściwie przydałby mu się ktoś taki. Trzeba będzie z nim o tym pogadać. Ma łeb na karku, to pewnie ucieszy się z takiej propozycji.

Czterej członkowie jego załogi czekali już na sygnał do odbijania. Nie było co tu dalej sterczeć. Podniósł więc rękę do góry, a potem gwizdnął przeciągle, opuszczając ją w dół. Załoganci natychmiast zrozumieli sygnał. Ci dwaj stojący na nabrzeżu chwycili cumy i zrzucili je na pokład. Pozostali dwaj zaczęli je zwijać, układając równo na deskowanej powierzchni. W tym czasie ci z nabrzeża zdążyli już zejść po kamiennych schodach na dół, przeskoczyli na barkę, a potem chwyciwszy bosaki, zaczęli odpychać się od drewnianych belek usztywniających wąski kamienny pomost. Barka poruszyła się na wodzie. Teraz trzeba było chwycić wiosła, żeby odwrócić ją w przeciwną stronę. Soltys chwycił za drąg prowadzący wiosło. Naparł na niego całym ciężarem ciała, by nadać łodzi odpowiedni kierunek. Ster zawsze chodził gładko i nie było z nim żadnych problemów, no, chyba że coś tam się w ten ster zaplątało, ale i wtedy, gdy były to jakieś wodorosty, ster przesuwiał się, choć z dużym oporem. Teraz jednak ani drgnął. Szyper spróbował jeszcze raz, ale bez rezultatu. Zdziwił się, bo z czymś takim jeszcze się nie spotkał.

– Nie odpychać, ster zaklinowany – krzyknął głośno, a dwaj marynarze, którzy stali od strony nabrzeża, natychmiast zamienili wiosła na bosaki i zaczepili nimi o nabrzeże. Kolejny zarzucił cumę na pachołka. Barka stanęła dosłownie w ostatniej chwili. Gdyby szyper nie zareagował, prąd wody zniósłby ich wprost na zacumowaną najbliższą kolejną z barek oczekujących na rozładunek i mogło dojść do katastrofy. Soltysowi aż zrobiło się zimno na myśl o tym, co mogłoby się stać.

– Uwiązać obie cumy! – krzyknął do marynarzy. – I dawać mi tu bosak, ale migiem! Po chwili trzymał już w dłoniach długą żerdź.

Na nabrzeżu stał Froncek Baran i z zaciekawieniem przyglądał się całej operacji.

– Co tak stoisz jak dupa wołowa?

– Musiało coś wleźć pod ster panie szyper – powiedział chłopak z miną znawcy tematu. – I jego tam klinuje od dołu.

– Aleś odkrył Amerykę. Sam widzę, że coś wlaźło.

– Trzeba by pchnąć z góry i od dołu pociągnąć – podpowiadał dalej specjalista od zaklinowanych sterów.

Marynarze z barki buchnęli śmiechem. Wszyscy dobrze wiedzieli, co trzeba zrobić, ale żadnemu z nich nie uśmiechało się moczenie w chłodnej wodzie.

– Jak żeś taki mądry to wskakuj i wyciągaj – krzyknął chudy Zena Matuszczak.

– Pewnie, że bym dał radę, ale za „Bóg zapłać” to mi się nie opłaci drugi raz moczyć w wodzie.

Soltys w tym czasie próbował kilka razy pogrzebać bosakiem, ale nic się nie ruszyło. Trzeba było szarpnąć od dołu. Nie było innej rady.

– Widzieliście go, jaki Żyd? Za „Bóg zapłać” nie pomoże. Panie szyper, Froncek sie targuje.

– I słusznie, że sie targuje – szyper uśmiechnął się do chłopaka. – Za samo dziękuje nic sie nie kupuje.

– Jasne! – ucieszył się Froncek.

– To ja dla ciebie mam taką propozycje: jak poradzisz wyciągnąć to, co tam wlaźło, to ja ciebie na barke do roboty na stałe wezme.

Chłopak zrobił szerokie oczy z niedowierzania. Taka propozycja to było jak złapanie Pana Boga za nogi. Stała robota od wiosny do jesieni? O czymś takim dotąd mógł tylko pomarzyć.

- Nie bujacie panie szyper? – wolał się jeszcze upewnić.
- Przy świadkach było! Panowie słyszeli?
- Wszyscyśmy słyszeli – poparł szefa Zena Matuszczak.

Fronckowi więcej nie trzeba było mówić. Szybko zbiegł po schodkach na dół i podbiegł do steru. Soltys odsunął się nieco, żeby zrobić miejsce chłopakowi. Ten chwycił rumpel i przez chwilę badał jego możliwości. Poruszył nim kilka razy, by upewnić się, w którym miejscu się klinuje, wyglądając jednocześnie za rufę. Gdy już się przekonał, szybko rozebrał się do naga, a wilgotne jeszcze ciuchy rzucił na pokład.

- Jakżeś już gotowy, to uważaj. Ja nacisne od góry bosakiem, a ty musisz zanurkować i to coś szarpnąć od dołu. Pojążesz w czym rzecz?

- Sie wie, panie szyper – powiedział uśmiechnięty Froncek i wskoczył do wody. Po chwili jego jasna głowa wynurzyła się tuż przy sterze. Na nabrzeżu zebrał się już spory tłum gapiów, którzy z zainteresowaniem przyglądali się całemu przedsięwzięciu. Byli i tacy, którzy zaczęli obstawiać zakłady, co też mogło zaczepić się o ster. Większość była przekonana, że musiało to być truchło jakiegoś zwierzaka, pewnie psa. Podobnie myślał szyper, który wbijając tam ostrze bosaka, poczuł nieprzyjemną miękkość. Ciekaw był miny Froncka, który wynurzy się z psią mordą w ręce. Już się uśmiechał w duchu na myśl o tym widoku.

- Dobra, Froncek, mam to pod bosakiem. Jak popcham, to ty ciągniesz.

Chłopak uśmiechnął się, szczerząc zęby i zaraz zanurkował w ciemnej wodzie. Szyper poczekał chwilę i napał na bosak z całej siły. Przez moment myślał, że się nie uda, bo przeszkoda ani drgnęła. Nagle jednak poczuł, że się poruszyła. Przycisnął mocniej, ale nie z całej siły, żeby czasami bosak nie zsunął się i nie zahaczył o chłopaka.

- Udało sie! – krzyknął i zaraz wciągnął drąg na pokład.

Cała załoga barki wychyliła się za burtę. Na nabrzeżu rozemocjonowany tłum zamilkł. Nagle spod wody wyskoczyła jak piłka głowa Froncka. Chłopak wziął głęboki oddech, a potem krzyknął przerażony: Utopiec!

Tłum jęknął. Froncek płynął jak oszalały w kierunku burty obwieszanej linami, po których mógł wdrapać się na pokład. Zena rzucił się na bok, żeby pomóc chłopakowi wyjść. Ale szyper nie ruszył się z miejsca ani o centymetr. Patrzył cały czas w napięciu w wodną taflę. Zaklął, gdy zobaczył, co wypływa na powierzchnię, a potem szybko się

przeżegnał. Z wody patrzyły wprost na niego pełne przerażenia oczy pięknej dziewczyny. Nie było żadnych wątpliwości, to nie był żaden utopiec, ale topielica. Ci, którzy obstawili martwego psa, przegrali zakład. Nikt nie postawił ani marki na martwą kobietę.

Rozdział II

Środa, 5 marca

Godzina 9.00 rano

Pułkownik uśmiechnął się zadowolony na widok Fischera i aż wstał z za swojego biurka. Kapitan Jażdżewski ze zdziwieniem patrzył na tę scenę, bo pierwszy raz widział, żeby dowódca pułku z taką atencją traktował jakiegoś gościa. Owszem, ponury zazwyczaj dowódca uśmiechał się co jakiś czas do któregoś z oficerów, zwłaszcza gdy ten opowiedział jakiś dobry dowcip, w chwili gdy już służbowe sprawy zostały załatwione, ale żeby wstał z za biurka i podszedł do kogoś z wyciągniętą prawicą? To się nie mieściło w głowie. Ale nie na tym koniec dziwnych wydarzeń. Pułkownik ni mniej, ni więcej, ale zaraz po uściśnięciu dłoni przywitał policjanta, zwracając się do niego per ty.

– Dobrze, żeś przyszedł, Antek, bo tu, widzisz, mamy kłopot jak cholera.

– Na rozkaz, panie pułkowniku – odpowiedział Fischer, prężąc się na baczność i pochylając głowę z szacunkiem. Ta odpowiedź spowodowała, że Jażdżewski odetchnął z ulgą. Na szczęście zażyłość obu oficerów nie była aż tak wielka, żeby ten policjant mógł zwracać się do pułkownika po imieniu.

– Siadaj – pułkownik wskazał niewielki okrągły kawowy stolik, przy którym stały cztery klubowe fotele obite skórą. Policjant podszedł do wskazanego miejsca, ale nie usiadł. Poczekał, aż dowódca pułku pierwszy zasiądzie w fotelu, dopiero potem zajął miejsce naprzeciwko.

– Pana kapitana też prosimy – powiedział pułkownik do stojącego cały czas przed biurkiem Jądzewskiego. Ten natychmiast podszedł i usiadł, ale nie tak jak obaj mężczyźni, którzy siadali pierwsi. Oni rozsiedli się wygodnie, jak starzy znajomi, a on wolał w postawie wyprostowanej, żeby nie było wątpliwości, że nie przyszedł tu na pogaduszki. Zieloną teczkę rozłożył na kolanach i zamarł w oczekiwaniu.

– Czego się napijesz? Kawa może być? – zapytał pułkownik.

– Owszem. Dlaczego nie, panie pułkowniku.

– Koniak do tego?

– Nie za wcześnie aby, panie pułkowniku?

Pułkownik uśmiechnął się szeroko, wyraźnie zadowolony z wątpliwości nadkomisarza.

– Co tam za wcześnie? – mówiąc to klepnął się z rozmachem w kolano.

– A pamiętasz, jak pod Raszynem o piątej rano piliśmy kawę ze spirytusem?

– Żeby się rozbudzić i dla rozjaśnienia umysłu – przypomniał sobie Fischer.

Wtedy trzeba było rzeczywiście mieć jasny i czysty umysł, żeby przepędzić nocne mary i przede wszystkim odpędzić strach. A było czego się bać. Naprzeciw ich okopów cała bolszewicka potęga szykowała się do natarcia, nie wiedząc, że to Polacy za chwilę ruszą do ataku na bagnety. Gdyby wtedy którykolwiek z dowódców się zawahał, konsekwencje mogłyby być nieodwracalne. Dlatego Wróblewski po zakończeniu odprawy kazał przynieść swojemu ordynansowi kawę i butelkę samogonu. Chłopak wniósł srebrną tacę, którą zapewne znalazł wśród rzeczy odebranych bolszewikom, a wcześniej zrabowanych z jakiegoś dworu, na której stał równy rząd aluminowych kubków. W kubkach parowała gorąca kawa. Nie zbożowa, ale prawdziwa czarna kawa o pięknym aromacie, który ostro kontrastował ze wszechobecnym okopowym smrodem odchodów i rozkładających się ciał. Zebrani oficerowie wzięli kubki do ręki, a Wróblewski chwycił za butelkę i obchodząc wszystkich dookoła rozlał jej zawartość do oficerskich kubków.

– Panowie oficerowie! Wprawdzie toasty wznosi się po zwycięstwie, ale ja wolę, żebyśmy wypili ze sobą wszyscy tu i teraz i zapamiętali tę chwilę na zawsze, bo po dzisiejszym ataku możemy się już nigdy więcej

w takim gronie nie spotkać. Dlatego, panowie oficerowie, wypijmy za tych najlepszych z nas, których już nigdy więcej nie zobaczymy. Tę chwilę i ten dzień ci, co przeżyją, będą zawsze nosić w swojej pamięci. Chwała bohaterom!

Za takie chwile kochali go podwładni. Mało który oficer potrafiłby spojrzeć w oczy swoim żołnierzom i powiedzieć im, że widzą się po raz ostatni. On to potrafił i jeszcze potrafił wypić z nimi strzemiennego. Taki był właśnie pułkownik Wróblewski, stary wiarus, który szlify oficerskie zdobywał w akademii cesarskiej, a pierwsze frontowe doświadczenia na wojnie rosyjsko-japońskiej. Dlatego w dwudziestym roku potrafił pięknie czystym rosyjskim lżyć bolszewików, zaległych w transzejach naprzeciw swoich linii.

Wróblewski, podobnie jak Fischer, był również powstańcem wielkopolskim. Do Poznania zjechał w połowie stycznia dziewiętnastego roku wraz z grupą byłych oficerów I Korpusu Polskiego w Rosji, pod dowództwem generała Józefa Dowbora Muśnickiego. Gdy Dowbor został przez Piłsudskiego wysłany do Poznania, zabrał ze sobą swoich sprawdzonych w bojach dowódców, którymi natychmiast zastąpił podporuczników i sierżantów dowodzących ofiarnie, acz nieudolnie, całymi odcinkami frontów. Wróblewski trafił na Front Zachodni, na którym od samego początku powstania walczył oddział strzelców, pod dowództwem podporucznika Fischera.

– To i dzisiaj dla rozjaśnienia umysłu nam się przyda – zdecydował pułkownik. – Jasiek! – krzyknął i w pokoju natychmiast pojawił się ordynans podoficer, który zajmował się posługami niemającymi nic wspólnego z kwestiami wojskowymi. Od tych wojskowych miał dwóch ordynansów oficerów. Jasiek był od robienia kawy i czyszczenia butów.

– Na rozkaz, panie pułkowniku – dwudziestoletni starszy strzelec wyprężył się przy drzwiach jak struna.

– Trzy kawy i... – pułkownik spojrzał na kapitana Jażdżewskiego. Ten od razu wyczuł, że gdyby również zamówił koniak, palnąłby gafę. Ci dwaj starzy znajomi mogli sobie pozwolić na coś takiego od rana, w ramach frontowych wspomnień. On natomiast był na służbie i nie należał do kręgu frontowych kompanów dowódcy.

– Za koniak dziękuję – powiedział, a pułkownik skwitował tę odmowę uśmiechem.

– Jak pan sobie życzy, kapitanie. Jasiek, trzy kawy i dwa koniaki. Tylko duże koniaki!

Po chwili trzy filiżanki i dwa kieliszki stały na stoliku. Pułkownik tymczasem snuł wspomnienia, przechodząc od dawnych czasów do współczesności, nie poruszając jednak tematów politycznych.

– A jak tam w Policji? – zagadnął w końcu swojego gościa.

– Dziękuję, panie pułkowniku. Chciałoby się powiedzieć wszystko dobrze, ale policja, jak panowie wiecie doskonale, niepotrzebna by była, gdyby wszystkie sprawy zmierzały w dobrym kierunku. Więc jeśli pan pułkownik pozwoli, to powiem, że w służbie dobrze i z każdym dniem coraz lepiej, a na ulicach brud, smród i ubóstwo i nic nie wskazuje na to, żeby się coś miało zmienić. Złodziejstwo hula, że aż miło, prostytutka i choroby weneryczne niedługo nas wszystkich pożrą, a bandytyzm szerzy się na ulicach nie tylko w dzielnicach lumpenproletariackich, ale wychodzi także na główne ulice. Jednym słowem, panie pułkowniku, wszyscy pracują w pocie czoła, żeby uzasadnić istnienie Policji Państwowej.

– A niech cię licho! – pułkownik wybuchnął gromkim śmiechem, klepiąc jednocześnie Fischera w kolano. Takim cię pamiętam od zawsze. Te twoje żarty wygłaszane z miną Bustera Keatona. Niech cię diabli, Antoni!

– Do usług pana pułkownika – odpowiedział nader poważnie Fischer.

Jażdżewski spoglądał to na pułkownika, to na komisarza, nie do końca orientując się jeszcze w całej złożoności stosunków panujących między tymi dwoma, ale z każdym słowem był coraz bliżej rozwiązania szarady. Na razie doszedł do wniosku, że pułkownik traktuje tego policjanta nadzwyczaj pobłażliwie.

– Czyli wszystko tak, jak Pan Bóg przykazał – stwierdził zadowolony dowódca. – A u nas, widzisz, też burdel niezły się zrobił. Znaczący nie w kwestii porządku w pułku, ale w sprawach, o których mówić się nie powinno głośno, więc pomyślałem, że z tobą o tych kwestiach pogadać powinniśmy. – Tu pułkownik spojrział wymownie na kapitana, który wyprostował się jeszcze bardziej.

– Ale na początek powiedz, czy możesz nam pomóc?

– Jeśli tylko potrafię.

– O to jestem spokojny. Idzie o to, czy w sprawach policyjnych jesteś na

tyle poukładany, że możesz je na chwilę odłożyć, żeby zająć się czymś, co wymaga największej uwagi i dotyczy spraw zasadniczych?

– Na to pytanie odpowiem dopiero wtedy, gdy będę wiedział w czym rzecz. Bo, przyznam szczerze, w tej chwili jestem zaangażowany w dość poważne śledztwo kryminalne.

* * *

Tak naprawdę Fischer jeszcze nie wiedział do końca, czy ma do czynienia z poważnym śledztwem kryminalnym, czy ze zbiorem dwóch przypadków. Jednak był na tyle inteligentnym śledczym, że umiał natychmiast wyciągnąć właściwe wnioski. Dwa trupy prostytutek zabitych, a właściwie zarżniętych w taki sam sposób, to nie mógł być przypadek. Do tego jeszcze trzecia dziewczyna, po której wszelki ślad zaginął. To były fakty, z którymi nie można było polemizować. Polemizował z nimi oczywiście jego podwładny Albin Siewierski. On nie widział tu żadnej prawidłowości.

– Co z tego, panie komisarzu – wyjaśniał, że dwie prostytutki zarżnięto w taki sam sposób? To może być przypadek. Jak jednego dnia dwóch ludzi wpadnie pod koła rozpędzonych wozów, to my zaraz będziemy wszczynać śledztwo w sprawie gangu dorożkarzy rozjeżdżających przechodniów?

Wobec takich argumentów Fischer był bezradny. Dlatego nie wchodził z Siewierskim w dyskusję. Kazał mu, z mocy swojego stanowiska, zabrać się do roboty i rozpocząć zbieranie informacji na temat obu kobiet i przede wszystkim tej trzeciej zaginionej.

Najpierw jednak była ta dziewczyna z Woźnej.

Korbol szedł przodem, co chwila się rozglądając. Fischer pozwolił mu się prowadzić w ten sposób, żeby nikt ze znajomych złodzieja niepotrzebnie nie zobaczył go z policjantem. Dlatego zgodził się, by złodziej szedł pięć kroków z przodu. Komisarz nie bał się, że ten mu zwieje. Nawet gdyby uciekł, to i tak w ciągu paru dni trafiłby za kratki. Korbol dobrze o tym wiedział, więc nie próbował żadnych sztuczek.

Zresztą umowa była umową. Musiał zaprowadzić szkieła na miejsce, no to prowadził. Stał przed bramą trzypiętrowej kamienicy przy Woźnej numer dwanaście.

– No to już my są, panie komisarzu. To ja w takim razie się już odmeldowuje...

– Spokojnie, Korbol. Umowa była, że do mieszkania. Jak będzie tam co interesującego, to możesz sobie lecieć.

Złodziej zrobił minę, jakby się właśnie dowiedział, że złapał trypra. Pogodzony z losem wzruszył tylko ramionami i wszedł do bramy. Gdy byli już w środku, niemal natychmiast natknęli się na wąsatego stróża w czapce maciejówce, który spał spokojnie na ławie ustawionej pod ścianą. Obok niego siedział rudy kot, który na widok dwóch nieznajomych natychmiast uciekł. Mężczyźni podeszli bliżej, ale cieć nawet nie drgnął. Fischer trzepnął go w ucho, a wąsacz natychmiast poderwał się w górę.

– Łe, do chłelery ciężkiej, co jest, jak pragne zdrowia!

– Jest policja! – warknął komisarz. – A na służbie to się nie śpi.

– Na jakiej służbie? Na służbie to jo boł w wojsku, a tu ja ino w robocie.

– Baczność! Jak się nazywacie? – zapytał głośnym oficerskim tonem Fischer.

– Obergefreter Franz Tomala, na rozkaz!

– Słuchajcie Tomala, na poddaszu mieszkają jakieś panienki?

Tomala popatrzył na obu mężczyzn, a potem się uśmiechnął porozumiewawczo i pokiwał głową ze zrozumieniem.

– A są, co by nie miało być, ino że łyne to o tym czasie to śpią po nocy. W dzień nie robią.

– No to się dobrze składa, Tomala, budzimy je. Prowadźcie na górę.

– I to szybko, bo ni ma czasu – poparł policjanta złodziej.

Musieli przejść przez całe podwórze, żeby dostać się do bocznej klatki schodowej. Schody prowadzące na górę były wąskie i skrzypiące. Pokój, który wynajmowały dwie prostytutki, był na czwartym piętrze oficyny. Po chwili stali już na podeście, z którego można było wejść do dwóch mieszkań.

Stróż wskazał na drzwi po prawej.

– A tu, po lewej, to kto mieszka?

– Łe, też nic dobrego. Studenty panie władzo, studenty psia ich mać.

Nieroby chłelerne.

Ciec chciał zapukać do drzwi, ale Fischer odsunął go. Skinął głową na Korbola.

– Jeśli jest tak, jak żeś gadał, to nie powinny być zamknięte na klucz.

Pewny siebie doliniarz podszedł i przycisnął klamkę. Na zewnątrz buchnęła fala smrodu. Wszyscy trzej natychmiast zorientowali się w czym rzecz. Za drzwiami był trup, który już zaczął się rozkładać.

Wtedy, gdy wchodził do tego mieszkania na poddaszu, nawet nie przypuszczał, że jeszcze tego samego dnia będzie spoglądał w oczy kolejnej martwej dziewczyny. Tę z Woźnej, jak się wkrótce okazało, zamordowano rozcinając jej brzuch nożem. Podobne obrażenia odniosła druga dziewczyna, którą tego samego dnia wyłowiono z Warty w okolicy Chwaliszewa. Fischer natychmiast przypomniał sobie o tym, co działo się na moście Chwaliszewskim tego samego dnia rano. O chłopaku, który zląził pod most, żeby sięgnąć po jakiś przedmiot. Wysłał więc wywiadowcę Kacperka, żeby ten się dowiedział, co i jak, i czego tam pod tym mostem szukał chłopak od piaskarzy. Kacperek szybko się dowiedział, że ten znalazł tam jakąś damską torebkę, ale torebki nie było, bo zabrał ją policjant. Poszedł więc na komisariat na Solnej i znalazł policjanta Majchrzaka, który zaopiekował się torebką.

– No to Majchrzak dawajcie te torebke, bo to dowód w sprawie kryminalnej.

Majchrzak spojrział na niego ze strachem w oczach, a potem wydobył z szuflady książeczkę lekarską.

– To było w torebce, znaczy sie rejestr medyczny prostytutki.

– A gdzie torebka? – nie dawał się zbyć Kacperek.

– Melduje, że ni ma, nie?

– Jak, ni ma? Mieliście ją, to gadajcie, gdzie jest?

– Była tutaj i ni ma. Diabli ją wiedzą, gdzie jest, nie.

– Ni ma, powiadacie? Może zniknęła?

– O to, to właśnie. Zniknęła.

Kacperek, który natychmiast domyślił się, w jaki sposób mogła zniknąć torebka, nachylił się nad biurkiem, za którym siedział policjant, przysunął swoją ospowatą gębę do ucha Majchrzaka i wysyczał cichym, niewróżącym niczego dobrego głosem:

– Masz godzinę. Za ten czas torebka z całą zawartością ma leżeć na

biurku komisarza Fischera. A jak spóźnisz się choćby minute, albo jakby się okazało, że przydziesz tam z jaką inną torebką, to niech cie Panienska Najświętsza ma w swojej opiece.

Wyprostował się zadowolony z efektu, jaki wywołał, bo twarz posterunkowego Majchrzaka zrobiła się biała jak szkolna kreda.

– A tak między nami policjantami, tak jak to między kolegami, to ja ci jeszcze prywatnie powiem, że sprzedawanie do Żyda dowodów rzeczowych ze śledztwa zupełnie się nie kalkuluje. Za takie coś komisarz Fischer wylewa z roboty na zbity ryj, bez żadnych ceregieli. Nie chcesz chyba wylecieć z roboty za marne pół miliona marek?

Majchrzak pokręcił bezradnie głową, zastanawiając się jednocześnie, skąd ten Kacperek, którego widział po raz pierwszy w życiu, wiedział tak od razu, że on sprzedawał wszystko, co mu wpadło w ręce u Żyda Sommerfelda koło Nowej Bożnicy? Musi być z niego jakiś lepszy śledczy, skoro wszystkowiedzący jest.

Dokładnie godzinę później torebka z książeczką lekarską, kraciastą chusteczką i kluczem od mieszkania znalazła się u podoficera dyżurnego w Komendzie Policji przy narożniku 27 Grudnia i Ratajczaka. Posterunkowy Majchrzak próbował wydobyć od dyżurnego pokwitowanie, na którym ten zapisałby dokładną godzinę przyniesienia dowodu rzeczywistego, ale dyżurny przodownik Sobolewski posłał go do diabła.

Komisarz Fischer jednak nie miał sposobności przyjrzenia się temu znalezisku. O tej porze był już bowiem w Zakładzie Medycyny Sądowej w Collegium Medicum przy ulicy Fredry. Doktor Michalski wprowadził go do ponurej, wyłożonej białymi kaflami sali, w której zapach chloroformu mieszał się z ostrym smrodem rozkładu ciał i pasty do mycia podłóg. Na dwóch stołach leżały przykryte białymi ceratowymi płachtami zwłoki. Lekarz bez zbędnych ceregieli zdarł najpierw jedną, a po niej drugą płachtę.

– No, podejdźże tutaj – skinął na Fischera, który zastygł nieruchomo niedaleko drzwi. Nie lubił prosektorium. W ogóle nie cierpiał widoku trupów, choć widział ich w swoim życiu już bardzo dużo. Jednak to byli ludzie zabici podczas wojny, żołnierze, którzy śmierć mieli niejako wpisaną w zakres obowiązków służbowych. Te ciała, które co jakiś czas musiał oglądać w tym miejscu, odarte były jednak z wojennego patosu.

Tu oglądał ludzi, którzy jeszcze pięć minut przed śmiercią cieszyli się życiem i nawet nie przypuszczali, że za chwilę może się ono skończyć. Te dwie młode kobiety zeszły z tego świata w chwili, kiedy ich życie tak naprawdę dopiero się zaczynało. Było w tym coś nieprawdopodobnie niegodziwego. Posłusznie zrobił kilka kroków i stanął przy pierwszym stole.

Michalski potarł bujną brodę, założył wyciągnięte z kieszeni fartucha okrągłe okulary w drucianej oprawie, a potem sięgnął po kajet, leżący na niewielkim białym stoliku.

– Ta pierwsza, wyłowiona dziś z Warty, w wodzie mogła leżeć zaledwie kilka godzin. Brak symptomów rozkładu ciała. Śmierć zadana narzędziem ostrym, ja powiedziałbym, że nożem rzeźnickim, o czym świadczą krawędzie rany, nieposzarpane i gładko rozcięte. Musiał to więc być fachowy nóż do oprawiania mięsa. Fischer aż wzdrygnął się na to określenie. Co za paskudne stwierdzenie. Ktoś zaszlachtował ją jak wieprzka.

– Ktoś sprawił ją jak wieprzka – podsumował Michalski. – Rana cięta od mostka aż do podbrzusza. Zmarła na skutek utopienia.

Fischer z niedowierzaniem spojrzął na lekarza.

– A tak, tak, panie kolego. Nie przesłyszałeś się, bezpośrednia przyczyna to utopienie. Ten bydlak zarznął ją i wrzucił do wody. Ale w tym czasie dziewczyna jeszcze żyła. Co prawda nie miała już żadnych szans na przeżycie, ale gdy wpadła do Warty żyła jeszcze.

Fischer o nic więcej nie zapytał, dlatego Michalski podszedł do drugich zwłok. Te komisarz obejrzał już wcześniej dość dokładnie w tej norze na poddaszu, na Woźnej. Mimo to podszedł do stołu za lekarzem, ale wyjął z kieszeni spodni kraciastą chusteczkę i przyłożył ją do nosa. Niewiele to jednak dało. Może gdyby nasączył ją wcześniej wodą kolońską, to powstrzymałaby choć odrobinę smród rozkładającego się ciała. Michalski najwyraźniej był odporny na trupi odór.

– Co, śmierdzi? – zapytał z uśmiechem, najwyraźniej zadowolony z wrażenia, jakie zwłoki zrobiły na policjancie.

Fischer tylko wzruszył ramionami. Co miał odpowiedzieć? Pewnie, że śmierdziało jak cholera.

Lekarz podszedł do przeszklonej metalowej szafki, tworzył ją i wydobył z niej butelkę spirytusu lekarskiego. Nalał alkohol do dwóch

niewielkich menzurek, a potem podszedł do Fischera.

– Masz – wcisnął mu w dłoń naczynie. – Najpierw przyłóż do nosa, weź trzy głębokie wdechy, a potem wypij duszkiem. Zobaczysz, że pomoże trochę.

Komisarz zrobił tak, jak mu poradził lekarz i rzeczywiście smród jakby zelżał.

– Nie trzymam cię tu dla przyjemności, Antek. – Lekarz zwracał się do niego po imieniu, bo znali się jeszcze z powstania. Służyli też razem podczas wojny bolszewickiej, kiedy Michalski był łapiduchem w jego pułku. – Idzie o to, żeby ci dokładnie pokazać, nad czym pracuję. Chodzi o dokładne datowanie czasu śmierci. Wpadłem na to jeszcze podczas wojny, opatrując naszych rannych. Wtedy nieraz zdarzało mi się usuwać z ran różne świństwa. Często zdarzały się też różne robale, które w ranach się rozwijały.

Fischer poczuł, że na samą myśl o robakach robi mu się słabo. Lekarz jednak, niezrażony jego kiepską kondycją, kontynuował wykład, co gorsza, na przykładzie.

– Spójrz tutaj – przywołał policjanta skinieniem ręki. Fischer pochylił się nad miejscem wskazanym przez Michalskiego.

Ten wsunął długą pęsetę w podłużną ranę na brzuchu, niemal identyczną jak ta u pierwszej z dziewczyn. Pogrzebał w niej chwilę i zaraz wy dobył z niej coś niewielkiego.

– To jest larwa muchy plujki *caliphora*. Takie muchy składają swoje jajeczka na padlinie. W tym wypadku włoki ludzkie to właśnie taka padlina. Samica składa jajka, po dwóch dniach jajeczka przekształcają się w larwy, a po dziesięciu – larwy w poczwarki.

Policjant poczuł, że za chwilę zwróci całą zawartość żołądka. Lekarz natychmiast dostrzegł bladość na twarzy swojego gościa.

– Jak chcesz rzygać, to tu do wiadra – wskazał nogą emaliowane białe wiadro stojące na podłodze. Niedoczekanie – pomyślał Fischer i podszedł do szafki ze spirytusem. Wprost z butelki wypił solidny łyk alkoholu. Po chwili był już z powrotem przy stole.

– Mów dalej, to szalenie ciekawe.

Doktor natychmiast się rozpromienił.

– Ta larwa ma jakieś trzy dni. Doliczając jeszcze dwa dni życia w fazie jajeczka, daje nam w sumie pięć dni. Oznacza to, że zabito ją pięć dni

temu, dokładnie w piątek. Powiedziałbym nawet, że w nocy z piątku na sobotę, sądząc po stanie rozwoju larwy – zakończył wywód z wyraźną nutą satysfakcji w głosie.

– Tak by było, gdybyś miał pewność, że w tym pokoju, w którym ją zabito były muchy. Może tam wcale nie było much i dopiero po dwóch dniach jakaś wleciała?

Lekarz stanowczo pokręcił głową.

– Muchy, mój kochany, są wszędzie. Zrobiłem już wiele eksperymentów i wierz mi, że na świeżym mięsie mucha składa jajka w ciągu pięciu do dziesięciu minut od wyłożenia kawałka na stół. Trzeba na muchy uważać. Powiedziawszy to, zgniótł larwę pęsetą i wyrzucił ją do wiadra pod stołem.

– I jest jeszcze jedna rzecz – powiedział lekarz, zatrzymując policjanta, który kierował się już do wyjścia. Fischer odwrócił się zainteresowany. – Powiedziałbym, że pozamedyczna, ale być może przydatna w śledztwie.

– O czym mówisz?

– I w jednym i drugim przypadku z sukienek obu kobiet wycięto kawałek materiału. Tak jakby ktoś, pewnie ten morderca, złapał za sukienkę i odciął garść materii. Ale po jaką cholere, to ja nie wiem.

– Może zabiera na pamiątkę? Coś jak trofeum myśliwskie?

– Być może, być może. Ale to już twój problem, nie mój.

– A ten materiał to skąd wycina?

– Z samego tyłka – zaśmiał się lekarz.

* * *

Pułkownik spojrzał na niego spod zmarszczonych, krzaczastych brwi. Nie było w tym spojrzeniu groźby. Raczej oczekiwanie.

– Gdyby sprawa nie była poważna, to wierz mi, Antek, że nie prosiłbym cię o pomoc. Ale jest. Tu chodzi o honor pięćdziesiątego siódmego pułku piechoty. O honor twojego pułku. Więc nie widzę innej możliwości, jak sprawę oddać w twoje ręce, bo wiem, że ty ją poprowadzisz najlepiej jak potrafisz. Boś ty przecie, choć munduru nie masz na sobie, jednym z nas

jesteś i wiem dobrze, że tobie, tak samo jak nam tu wszystkim, zależy, żeby plama na sztandarze naszym nie powstała.

– Pan pułkownik dobrze wie, że z pułku się nie odchodzi. Nawet w Policji jestem nadal żołnierzem.

– I to chciałem usłyszeć, Antek. Kapitan Jażdżewski przedstawi ci zagadnienie. – Wróblewski odwrócił się w stronę oficera, który cały czas siedział sztywno, jakby połknął kij od szczotki. – Proszę, kapitanie, ma pan głos.

Jażdżewski przełknął ślinę, a potem zaczął.

– Kilka miesięcy temu dostaliśmy sygnał z dwójki, że w naszym pułku istnieje realne niebezpieczeństwo działania bolszewickiej jacejki. Oficerowie dwójki informację taką otrzymali w trakcie śledztwa prowadzonego w innym wielkopolskim pułku. Ten pułk obecnie nie ma znaczenia. Dość powiedzieć, że zlecili nam przeczesanie całego składu oficerskiego i podoficerskiego pułku w celu wytypowania osób mogących znaleźć się w kręgu podejrzanych. Oczywiście nasza rola, mówię tu o dwuosobowym zespole złożonym z porucznika Kajetana Karpińskiego i mojej skromnej osoby, ograniczała się tylko do przeprowadzenia rozmów i wywiadów, bez możliwości pracy operacyjnej, polegającej na inwigilacji osób wytypowanych przez nas. Od razu powiem, że raport w tej sprawie mieliśmy przedstawić wczoraj rano dowódcy pułku. Jednak nie przedstawiliśmy, gdyż porucznik Karpiński zniknął, a jego mieszkanie zostało splądrowane i metodycznie przeszukane. Ale wracając do sprawy: zbadaliśmy tylko teoretyczne możliwości występowania sowieckiej agentury i wytypowaliśmy osoby, co do których w trakcie śledztwa mogły powstać pewne wątpliwości, jeśli chodzi o ich lojalność względem państwa. W ten sposób wytypowaliśmy trzech oficerów i jednego podoficera. Jednak wszyscy ci ludzie mają za sobą nienaganną służbę, a jedynym kryterium ich doboru była łatwość, z jaką bolszewicki wywiad mógłby dotrzeć do nich, uciekając się do szantażu. Taka teza opierała się na założeniu, że najłatwiej jest zmusić do współpracy osoby, które mogą ulec szantażowi emocjonalnemu, opartemu na więziach rodzinnych. Otóż wszystkie z wytypowanych osób mają rodziny zamieszkujące na terenach dawnej Rzeczypospolitej, a obecnie należących do Związku Sowieckiego. Kapitan Piotr Koźmiński na przykład ma ciotkę koło Berdyczowa...

– Zaraz, panie kapitanie – przerwał mu Fischer. – Czy to oznacza, że szukaliście tylko powiązań rodzinnych?

– Tak jest, panie nadkomisarzu.

– I nie przyszło wam do głowy, że taki Koźmiński wyśmiałby bolszewika, który każe mu donosić w zamian za życie ciotki, której nie widział od dwudziestu lat i nawet nie ma pewności, czy ona w ogóle jeszcze żyje?

– No, przyjęliśmy założenie, że najłatwiej w ten sposób zmusić kogoś do współpracy...

– A nie pomyśleliście, że w pułku mogą być ludzie, którzy są ideowymi bolszewikami?

W pokoju zapadła cisza. Pułkownik zmarszczył brwi. Tym razem groźnie zmarszczył, spoglądając spode łba na Jażdżewskiego.

– Nic nie wskazuje na to, że ktoś w naszych szeregach mógłby być przesiąknięty ideologią bolszewicką.

– A słyszał pan o radach robotników i żołnierzy?

– Słyszałem, oczywiście. W Rosji bolszewickiej te Rady w wyniku zamachu stanu przejęły władzę...

– O radach tu, w Wielkopolsce – przerwał mu Fischer.

– No, coś tam mi się obiło o uszy.

– Panie kapitanie, rady powstawały w każdym mieście, w którym stacjonowali żołnierze armii pruskiej. Te Rady, przesiąknięte duchem bolszewizmu, zniosły stopnie wojskowe i przejęły władzę w armii pruskiej. W tych radach władzę przejmowali autentyczni komuniści. Przed naszym powstaniem do rad masowo wstępowali Polacy, żeby je paraliżować, a także powstrzymywać ruchy wojsk niemieckich w razie wybuchu powstania i zniechęcać prostych żołnierzy do walki z nami. Kto panu zaręczy, że wśród tych, którzy byli w takiej radzie w Poznaniu czy Gnieźnie, nie znalazł się ktoś, kto przyjął bolszewicką ideologię? Może ktoś taki do dziś jest w naszym pułku? Ja bym zaczął właśnie od rad, panie pułkowniku.

Pułkownik chrząknął, a potem dopił koniak do końca. Wreszcie spojrzął na Jażdżewskiego.

– A te rady sprawdzaliście?

– Melduję posłusznie panie pułkowniku, że... nie sprawdzaliśmy, bo...
eee

– Znaczy, że cała wasza robota jest do dupy! – skwitował wypowiedź podkomendnego pułkownik.

– Nie powiedziałbym – wszedł mu w słowo Fischer. – Robota przyniosła skutek.

– Jak to? Jaki skutek?

– Ano taki, że ktoś się zaniepokoił na tyle, że postanowił przeszukać mieszkanie porucznika. Ktoś się przestraszył wiedzy, jaką posiadli obaj panowie. A to oznacza, panie pułkowniku, że podejrzenia dwójki były jak najbardziej uzasadnione. W pułku musi być sowiecki agent, obaj panowie wykonali kawał dobrej roboty.

Pułkownik wypuścił z sykiem powietrze, a Jażdżewski wyprostował się jeszcze bardziej, choć zdawać by się mogło, że jest to całkowicie niemożliwe.

Muszę zapalić – powiedział pułkownik Wróblewski i wstał z fotela. Wziął z biurka karton cygar, a potem odwrócił się do obu gości.

– Któryś z panów oficerów ma ochotę na cygaro?

– Jeśli pan pozwoli, to wybiorę własną fajkę – odparł Fischer.

– A ja mam swoje papierosy, jeśli to nie będzie panu pułkownikowi przeszkadzać – wolał się zabezpieczyć Jażdżewski, który jeszcze nigdy dotąd nie palił tytoniu w towarzystwie swojego dowódcy.

– Palcie, palcie – pułkownik pokiwał głową. Po chwili siedział już na fotelu z cygarem w ustach.

– Więc co proponujesz, Antoni?

Fischer milczał przez chwilę, wypuszczając dym fajkowy nosem.

W końcu spojrzał na kapitana.

– Po pierwsze, kapitan powinien jeszcze raz, tym razem znacznie szybciej, zajrzeć do teczek personalnych naszych oficerów i podoficerów. Wytypować tych wszystkich, którzy przed wybuchem powstania należeli do rad robotników i żołnierzy. Potem teteczki przejrzymy wspólnie. Większość tych ludzi powinienem znać osobiście, więc będzie mi łatwiej wyciągnąć wnioski. Do tego przeglądu kadrowego będę potrzebował jeszcze sierżanta Okonia.

Pułkownik natychmiast skinął głową, ale Jażdżewski się zdziwił. Nie przypuszczał, że ten Okoń może mieć jakąkolwiek wiedzę poza znajomością okolicznych knajp i burdeli.

– Po drugie, muszę się dostać do mieszkania porucznika Karpińskiego.

- Z tym nie będzie kłopotu – wyjaśnił Jazdźewski. – Jest tam akurat sierżant Okoń, który pilnuje tam porządku.
- To świetnie. W takim razie za chwilę i ja tam pójde się rozejrzeć.
- Czy coś jeszcze? – zapytał pułkownik, widząc, że Fischer zamilkł i najwyraźniej się nad czymś zastanawia.
- Postaram się odnaleźć pana porucznika.
- To znaczy, że zajmiesz się tą sprawą? Świetnie – odpowiedział sam sobie na postawione pytanie dowódca pułku. – No, ale co z tą twoją ważną sprawą kryminalną?
- Proszę się nie martwić, panie pułkowniku. Już wszystko obmyśliłem. Ta kryminalna może mi tylko ułatwić rozglądanie się w mieście. Nikt się nie domyśli, że szukając zabójcy prostytutek, będę jednocześnie szukał zaginionego oficera piechoty.
- Oczywiście żaden oficer wcale nie zaginął – dodał pułkownik.
- To się rozumie samo przez się, panie pułkowniku – powiedział Fischer, uśmiechając się szelmowsko.

Godzina 10.00 przed południem

Mieszkanie było urządzone bogato. Sierżant Dionizy Okoń bywał w wielu kawalerskich mieszkaniach oficerów, ale większość z nich to były raczej kwatery, nie mieszkania. Tymczasem tutaj wszystko wyglądało tak, jakby w tym mieszkaniu mieszkał jakiś bogaty kupiec, a nie zwykły porucznik. Co prawda był już w tym mieszkaniu nieraz, bo przecież instalował tu skrytkę na papiery pod parapetem, ale wtedy jego obecność ograniczyła się tylko do przejścia od korytarza do salonu. Dziś jednak miał okazję zwiedzić całość i wniosek nasuwał się oczywisty. O ile w salonie było dostojnie, o tyle w garderobie, sypialni i gabinecie było bogato. Wszędzie stały porządne meble z litego drewna dębowego, a nie te powszechnie używane w domach z desek sosnowych z politurowaną okleiną z orzecha czy jesionu. Na czym jak na czym, ale na meblach Okoń się znał. W końcu wychował się w stolarni ojca na pobliskim Łazarzu, dlatego wiedział doskonale, że dębowa sypialnia z małżeńskim łóżem, z dwoma szafkami nocnymi, do tego z szafą trzydrzwiową i lustrzaną toaletką kosztowała

tyle, że nie wystarczyłoby na taki zakup jego roczny żołd. Porucznika może by i wystarczył, no ale przecież oficer musi z czegoś żyć, a nie wydawać wszystkich bejmów na meble. Tym bardziej że nie stała nad nim żona, która miała wymagania. Do tego wszystkiego dochodziły jeszcze obrazy z jakimś widoczkami w złotych ramach, a jeden, wiszący nad łóżkiem w sypialni, całkiem sporych rozmiarów, nie przedstawiał wcale, tak jak to było powszechnie przyjęte w poznańskich domach, Świętej Rodziny w otoczeniu baranków, ale najnormalniejszą golusienką babę z cyckami na wierzchu. Okoń stał teraz przed tą gołą babą i nie mógł się nadziwić, jak ta kobita nie wstydziła się tak rozebrać i dać odmalować?

Gdzieś z głębi mieszkania doszły do niego jakieś podniesione głosy. Uśmiechnął się pod wąsem. Dobrze wiedział, co się tam dzieje. Jego dwaj ludzie, kapral Włodarek i plutonowy Hawryłło, jak zwykle pokłócili się przy kartach. Gdy tylko się tutaj pojawili, natychmiast wzięli się do roboty. Wysprzątałi do czysta stół kuchenny, rozstawili na nim butelki piwa, które zakupili w sklepie po drodze i oczywiście chwycili w ręce karty. Ci dwaj byli znani w całym pułku ze swego zamiłowania do kart. Gdy tylko nadarzała się wolna chwila, natychmiast oddawali się swojej ulubionej rozrywce. A wiadomo, że do kart musiało być piwo. Okoń nie miał nic przeciwko temu. W końcu co mieli tutaj innego do roboty? Wysłali ich do tego mieszkania i nie wiadomo jak długo będą tu siedzieć, więc chłopcy musieli zadbać o jakieś rozrywki. Zostawił więc tę gołą babę z obrazu i poszedł do kuchni.

Pomieszczenie nie było zbyt duże, jak to kawalerska kuchnia. Po lewej stronie nowoczesny metalowy piec z czterema paleniskami, po drugiej stronie, naprzeciw, obszerny biały kredens z przeszklonymi szafkami w górnej części, a pod oknem, wychodzącym na podwórze, biały stół z czterema krzesłami. Mieszkanie było luksusowe, więc Okoń nawet się nie zdziwił, gdy dostrzegł na prawo od drzwi zlew z kranem. W tej kuchni można było nawet przygotowywać obiady dla całej rodziny – pomyślał z zazdrością, bo w jego domu bieżąca woda była tylko w kranie na półpiętrze, więc każdy dzień musiał zaczynać od przyniesienia żonie dwóch wiader wody, żeby kobieta mogła spokojnie zabrać się do gotowania.

Jego dwaj podwładni siedzieli naprzeciw siebie przy stole, obrzucając

się wzajemnie chmurnymi spojrzeniami.

– Co tu za krzyki wyczyniacie? – zapytał surowym tonem, stając przy stole.

– Hawryłło to oszukaniec – próbował tłumaczyć się Włodarek.

– Ja oszukaniec? Samżeś jest oszukaniec. Cyganisz, że aż strach! – zdenerwował się oskarżony plutonowy. – Tyś chyba do końca zdurniał chłopie. Ja oszukaniec? Panienko Najświętsza! Ja jeszcze w życiu nikogo nie oszukał – tłumaczył szybko z tym swoim śmiesznym wileńskim akcentem. – Pan sierżant mogą zaświadczyć, że ja...

– Dobra, panowie – przerwał mu Okoń. – Zaraz się rozsądzi, kto tu jakie machlojki robi. Rozdawać na trzech. Sierżant Okoń wchodzi do gry.

– A może i ja się przyłączę? – odezwał się jakiś głos zza pleców Okonia. Wszyscy trzej podoficerowie jak na komendę odwrócili się. W drzwiach stał jakiś elegancko ubrany cywil. Okoń już chciał krzyknąć, że tu byle komu włązić nie wolno, ale wystarczyło tylko, że spojrzał w tę twarz i oburzenie natychmiast zniknęło zastąpione szerokim uśmiechem.

– Jak Boga kocham, pan kapitan Fischer!

Karciarze poderwali się natychmiast na równe nogi. Nie znali żadnego Fischera, ale usłyszawszy magiczne słowo kapitan, natychmiast zrozumieli, że trzeba poderwać tyłki w górę. Od razu też stanęli na baczność, wiedząc doskonale, że szarży należy się szacunek, nawet gdy ta szarża ubrana była po cywilnemu. Fischer uśmiechnął się zadowolony, widząc odpowiednią postawę żołnierzy.

– Spocznij! – wydał komendę i usiadł przy stole. Podoficerowie w dalszym ciągu stali. Zapomniał, że powinien pozwolić im usiąść.

– Siadajcie, panowie – powiedział i wtedy dopiero wszyscy trzej zajęli miejsca. Żaden się jednak nie odezwał.

– Sierżancie, przysłał mnie tu dowódca pułku. Mam pomóc w ustaleniu, co się stało z właścicielem tego mieszkania. Wy, sierżancie – zwrócił się do Okonia – też mieliście już coś ustalić. Tak mi powiedział kapitan Jążdzewski.

Sierżant chrząknął, a potem podkręcił wąsa. No, oczywiście, coś tam ustalili, ale niewiele z tego wynikło. Stróż, z którym rozmawiali, nie miał o niczym zielonego pojęcia. Jedyne, co pamiętał, to było to, że porucznik Karpiński dzień wcześniej wychodził wieczorem z domu i na pewno w nocy nie wracał. Więc w zasadzie nic nie udało się ustalić.

– Pogadałem ze stróżem – zaczął Okoń – ale on powiada, że porucznik wyszedł wieczorem i już nie wrócił. Znaczy się, nie mógł wrócić, bo brama na noc jest zamykana, a jak kto po nocy chce wrócić, to daje temu stróżowi w łapę, żeby on nie spał, ino czekał. No to stróż powiada, że pan porucznik Karpiński nie płacił, a to znaczy, że nie mógł się wrócić.

– Hmm. Porucznik nie wrócił do domu na noc, mówicie? Ale przecież sam tego bajzlu w mieszkaniu nie zrobił – Fischer wskazał głową na drzwi prowadzące na korytarz mieszkania, na którym walały się porozrzucane różne przedmioty.

– Sam po co miałyby te gemele robić? To ktoś musiał mu zrobić te rozpierduche. Znaczy, jak on już wyszedł, to ktoś tu wlaźł i nawywijał.

– No właśnie, sierzancie. Ktoś tu musiał być w nocy, gdy porucznika nie było. A skoro stróż nikogo nie wpuszczał, to znaczy, że ten ktoś sam sobie otworzył bramę, a potem drzwi do mieszkania. To jest jedna możliwość. Ale mogło być też tak, że stróż tego kogoś wpuścił i teraz boi się do tego przyznać. Więc myślę sobie, sierzancie, że z tym stróżem trzeba by jeszcze raz pogadać. Może zaprosimy go tutaj na rozmowę?

Okoń natychmiast zlecił obu swoim podwładnym, żeby sprowadzili stróża. Po chwili Franciszek Czerwiński stał przed komisarzem z czapką maciejówką w rękach.

– To jest pan komisarz Fischer – przedstawił policjanta sierżant. – I pan komisarz ma do was kilka pytań.

– Czemu nie, ino że jo tam nic nie wiem – powiedział stróż i pociągnął głośno nosem.

– To się zaraz okaże, czy nic nie wiecie – warknął Okoń, kładąc swoją ciężką łapę na ramieniu Czerwińskiego.

Fischer nie zadawał jednak żadnych pytań. Wpatrywał się tylko w twarz stróża, bacznie ją analizując. Widział nerwowo rozbiegane oczy i język, który co chwila wysuwał, by oblizać spierzchnięte wargi. Mężczyzna najwyraźniej się denerwował. Do tego jeszcze dłonie, które nerwowo ugniatały czapkę. To wszystko przekonało policjanta, że ten człowiek najwyraźniej coś ukrywał. Trzeba było zadziałać psychologicznie i przekonać go, że oni i tak wszystko wiedzą lepiej, więc kręcenie nie kalkuluje się.

Fischer wyciągnął z kieszeni swoją wiśniową fajkę. Ze stoickim spokojem nabił ją tytoniem, a potem powoli rozpałił.

– Jak wyglądał ten człowiek, któregoście wpuścili w nocy do mieszkania porucznika? – zapytał spokojnym głosem. Czerwiński natychmiast zrobił się czerwony na twarzy.

– Ja nikogo nie wpuszczoł – bąknął i ścisnął czapkę tak mocno, że aż mu pobiełały knykcie.

– To jednak nie chcecie nam powiedzieć prawdy – stwierdził Fischer i uśmiechnął się lekko. – Jak chcecie.

Spojrzał na Okonia i skinął głową. Sierżant, który doskonale znał się z Fischerem jeszcze z czasów służby w armii pruskiej, natychmiast zrozumiał w czym rzecz. Trzeba było chłopinie przemówić do rozsądku.

– Przytrzymać go – rzucił w kierunku obu swoich podwładnych. Tym nie trzeba było niczego tłumaczyć. Natychmiast złapali stróża za ręce i wykręcili je do tyłu. Ten próbował się wyrwać, ale na nic zdały się jego starania. Tkwił w żelaznym uścisku dwóch rosłych podoficerów jak w drewnianych dybach. Okoń tymczasem zdjął kurtkę mundurową. Powiesił ją na oparciu krzesła, a potem zaczął wolno i dokładnie zawijać rękawy koszuli. Stróż patrzył na te przygotowania z przerażeniem, ale nic nie wskazywało na to, że ktoś tutaj próbował sobie robić żarty.

– Ale o co się rozchodzi? Panowie, ja nic nie zrobiłem!

– Jak wyglądał człowiek, którego wpuściliście do mieszkania porucznika Karpińskiego? – znów zapytał Fischer, pozornie zupełnie obojętnym tonem.

– Nikogo nie było!

– No dobra, sierżancie, róbcie swoje – powiedział komisarz, wskazując ustnikiem fajki Czerwińskiego. – Bo chyba po dobroci nic nie wskóramy.

Okoń podszedł do przytrzymywanego przez swoich ludzi stróża ze złowrogim uśmiechem na ustach i dłońmi zaciśniętymi w pięści. Przyjął postawę jak zawodowy bokser, by wyprowadzić pierwszy cios. Ale nie uderzył.

Spocony ze strachu Czerwiński nie wytrzymał napięcia.

– To był porucznik w mundurze.

– O, jednak sobie coś przypomniałicie – ucieszył się Fischer.

– Kazał trzymać gębę na kłódkę, że niby to tajemnica państwowa.

– Puśćcie go – polecił podoficerom. Oswobodzony z uścisku mężczyzna zaczął rozmasowywać obolałe nadgarstki.

– Siadajcie tu – policjant wskazał mu miejsce naprzeciw siebie. Stróż

usiadł skromnie na brzegu krzesła, układając obie dłonie na blacie stołu.

– No to teraz mów całą prawdę, po kolei jak to było. Jak wyglądał ten oficer i co dokładnie mówił?

– Może to było koło północy, jak się zaczął dobijać do bramy. No to ja wyszedł sprawdzić, co to za chłelera sie po nocy tłucze, a to oficer w mundurze, co powiada, że musi do mieszkania porucznika się dostać, i że to tajna sprawa państwowa, i że mam trzymać morde na kłódce, bo jak komu co powiem, to mnie zaraz zaaresztują i zgnije w lochu. To co, miałem onego nie wpuszczać? Mus to mus.

– To czemuście od razu nie powiedzieli, w czym rzecz?

– Żeby nie zaaresztowali.

– Ale teraz mówicie.

– Teraz to co inne. Co mam za jakieś tajemnice po gębie brać? Ja chce mieć wszystkie zęby. Sami se załatwiają te tajemnice. Mnie nic do nich.

Fischer uśmiechnął się i pokiwał głową. Doskonale rozumiał człowieka. Nie jego sprawa i tyle. Wiedział, że teraz powie wszystko, co zapamiętał.

– To powiedzcie, jak wyglądał ten oficer?

– Taki w mundurze. Zielonym mundurze, znaczy sie piechociarz. Porucznik to był.

– Stary? Młody?

– Taki akuratny, ani stary, ani młody. Mógł mieć na oko ze trzydziecę.

– A zarost?

– Bez wąsów, a kolor to nie wiem, bo pod czopką, znaczy rogatywką, były skryte.

– Jakież znaki szczególne miał ten oficer?

– Nie, znaczy taki nieszczególny całkiem był, że wyglądał jak ktoś nieszczególny, ino gadał szczególnie.

– Czyli jak?

– Tak niby nie po naszymu, znaczy tak ćwierkał, jak ci ze wschodu – wilniuki.

– To niby że jak ćwierkają wilniuki? – obruszył się Hawryłło.

– No także samo jak pan plutonowy – ucieszył się Czerwiński, słysząc wileński zaśpiew.

Fischer wstał ze swojego krzesła. Był zdecydowanie bliżej niż jeszcze godzinę temu. Teraz tylko wystarczyło znaleźć właściwego oficera.

Wiedział, że nawet jakby musiał szukać we wszystkich poznańskich pułkach, to najdalej za tydzień znajdzie tego nocnego gościa. Sprawa wydawała się bliska rozwiązania, dlatego komisarz wpadł w doskonały nastrój. Wyjaśnienie zagadki zaginięcia porucznika Karpińskiego wydawało się w zasięgu ręki.

– Możecie odejść – powiedział do stróża. – I lepiej będzie dla was, jak to wszystko zachowacie dla siebie.

Stróż Czerwiński nic nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się półgębkiem. Założył maciejówkę na głowę, uklonił się i wyszedł z kuchni. Pewnie, że zachowa dla siebie. O czym miał gadać? O tym, że mało nie narobił w pory ze strachu, jak go ten wielki sierżant chciał przerobić na kotlet siekany? Nic tu do gadania nie było.

Godzina 10.50 przed południem

- Nazwisko?
- Barciak.
- Imię?
- Krystyna.
- Rok i miejsce urodzenia?
- 1893 rok, Gałązki Wielkie koło Kalisza.
- Imię matki?
- Wiktoria.
- Profesja?
- Że co?
- Że nic. Co robisz?
- Jak, co robie?
- Co robisz, znaczy się, czym zarabiasz na życie?
- Normalnie, na ulicy robie, nie?
- Co robisz, do cholery? – zniecierpliwił się w końcu starszy posterunkowy Walendzik.
- No, pracuje – odpowiedziała dziewczyna, która zupełnie nie mogła zrozumieć, o co chodzi policjantowi. W końcu wiadomo było, co robi. Po co te całe ceregiele? Zgarnęli ją przecież nie za zbieranie kwiatków na

łące, ale za konkretną sprawę. Tak jej powiedział ten komisarz, czy jak mu tam. Powiedział, że to w sprawie śmierci jej koleżanki. Bo – jak się okazało – Jadźka nie żyła. Od wczoraj już o tym wiedziała, dlatego dziś to najście policji wcale jej nie zdziwiło. Myślała, że wzięli ją, żeby świadczyła, że Jadźka mieszkała z nią i żeby jeszcze powiedziała, czy może ma jakieś podejrzenia. Ona nie miała żadnych podejrzeń, no, może poza jednym takim bydlakiem, co to za Jadźką chodził jakiś miesiąc temu. Taki szuszwol z obitym ryjem, co to niczym się nie zajmuje i zawsze ma pieniądze. To on przez jakiś czas łąził za Jadźką i za nią, i gadał, że weźmie je pod opiekę, żeby nikt im nie zrobił krzywdy. By taki napastliwy i naprzykrzający się, że Jadźka w końcu nie wytrzymała i poszła do tych swoich znajomych Kaźmierczaków, żeby oni w końcu wytłumaczyli mu, co i jak. No i oni jak zwykle zrobili to, co Jadźka kazała, znaczy się, dopadli go w jakiejś ciemnej uliczce i przegadali do rozsądku. Ale nawet jakby chciała powiedzieć, że jakieś podejrzenia może mieć, to nie wiedziała, w jaki sposób to zrobić. Bo jakby powiedziała o tym, co się za nimi plątał, to przecież musiałaby nakapować na Kaźmierczaków, że to oni go pogonili. Więc nie wiedziała, co ma powiedzieć.

Policjant zaklął pod nosem, bo nabrał na stalówkę za dużo atramentu i nadmiar spłynął na białą kartkę, tworząc pięknego, rozbryzganego kleksa. Szybko chwycił kartkę bibuły i przyłożył ją do plamy, żeby papier wchłonął nadmiar inkaustu. Kryśka uśmiechnęła się na ten widok. Gliniarz był wyjątkową niezdarą. Ona, jakby umiała pisać, to na pewno nie marnowałaby tak cennego atramentu. Wydawało się jej, że to całkiem prosto zamoczyć pióro w kałamarzu i wywijać nim na kartce w jedną i drugą stronę, tworząc różne zakrętasy. Kiedyś, w sklepie kolonialnym u Nowakowskiego na Garbarach, spróbowała tej sztuki i zawijasy wychodziły jej całkiem zgrabne. Młody Nowakowski, syn właściciela, pochwalił nawet jej zręczność, a potem wsunął łapę pod spódnicę. Wtedy nie powinna była się obrażać i dać mu, co chciał. Gdyby nie walnęła go w gębę, pewnie do dziś sprzedawałaby w tym sklepie, od czasu do czasu zadowolając syna właściciela i może nawet nauczyłaby się pisać litery i nawet czytać? A tak wylali ją na pysk i poszła szukać czego innego, ale nigdzie jej nie chcieli. Głupia była, nie ma co gadać, zamieniła ciepłą posadę na ulicę, na której brał ją każdy, kto chciał. A tak mogła mieć jednego i jeszcze co tydzień pewne pieniądze.

– Co się kielczysz, głupia? – warknął policjant.

– Atramenta szkoda.

– Nie twój interes.

– Jak nie mój, jak na moje nazwisko nakapało.

– A ty skąd wiesz, że akurat na nazwisko?

– No przecie widze, co stoi napisane.

– To ty umiesz czytać? – zdziwił się starszy posterunkowy.

– A co mam nie umieć? – skłamała. Nie umiała i tyle. Nie było jak i kiedy się uczyć, bo na wsi, skąd pochodziła, mimo że była szkoła powszechna, trzyklasowa, to nie wszyscy mogli do niej chodzić. Ci z najbiedniejszych rodzin nie posyłali swoich dzieciaków, bo potrzebne były w obojętności i na polu. Ona właśnie z takiej rodziny pochodziła, w której każdy kęs jedzenia trzeba było wyrwać siłą z ziemi. I od takiego życia uciekła do miasta, obiecując sobie, że do tej podkaliskiej biedy nigdy nie wróci. Miała z tą swoją śliczną buźką podbić wielkie miasto, tymczasem to miasto przeżuło ją, wysssało i wypluło jak starą szmatę. I teraz, na dodatek jeszcze, trzymali ją tutaj na tym komisariacie jak jakiego przestępcę.

Policjant wyczyścił stalówkę aż do połysku granatową chustką do nosa, a teraz, zdjąwszy ją z drewnianej oprawki, chwycił w palce uwalane od atramentu i zaczął uważnie się jej przypatrywać. Widać oględziny musiały wypaść pomyślnie, bo stalówka wróciła na swoje miejsce w wyłobieniu oprawki. Już chciał ponownie zanurzyć pióro w kałamarzu, gdy drzwi za plecami dziewczyny otworzyły się. Policjant poderwał się na równe nogi, stuknął obcasami i przyłożywszy ręce do boków, zameldował się wchodzącemu.

– Panie komisarzu, starszy posterunkowy Walendzik Mikołaj na rozkaz!

Kryśka natychmiast odwróciła się za siebie. Jej oczy spotkały się ze spojrzeniem wchodzącego oficera, ubranego w elegancki mundur. Mimo tego munduru poznała go natychmiast. Jakiś miesiąc temu podszedł do niej na ulicy. Wtedy jednak ubrany był po cywilnemu, w bardzo wytworny garnitur. Od słowa do słowa dogadali się bez zbędnych targów. Mężczyzna przystał na jej cenę i poszli do hoteliku na Rybakach. Zapamiętała go dobrze, bo sprawiał wrażenie onieśmiałego całą sytuacją, a do tego jeszcze niezwykle było to, że nie był pijany. Wcale nie

było czuć od niego alkoholu, co prawie nigdy się nie zdarzało. Mężczyźni, którzy ją zaczepiali, najczęściej byli już po paru głębszych. Ten był inny, delikatny i bardzo spokojny. Gdy już było po wszystkim, zapłacił, pożegnał się i obiecał, że za kilka dni wróci znowu. Nie wrócił. Teraz widziała go po raz pierwszy od tamtego czasu. I nawet się ucieszyła z tego widoku. On tymczasem spuścił wzrok i przeszedł obok niej z obojętną miną. Stał przy biurku i wziął do ręki poplamiony protokół.

– Co to jest za niechlujstwo? – wskazał na plamy po atramencie.

– Ja melduje, panie komisarzu, że to ino tak na brudno pisane, jeszcze przed przepisaniem na czysto.

– Dobra, później to przepisze. Możecie odejść i poczekać na korytarzu.

– Tak jest! – mundurowy chwycił swoją czapkę, leżącą na biurku, włożył ją na głowę, zaszalutował zamasyście, a potem wyszedł z pokoju przesłuchań sprężystym krokiem.

Oficer spojrzął na dziewczynę siedzącą na taborecie, a potem sam usiadł na miejscu zajmowanym jeszcze niedawno przez podoficera. Rozłożył kartkę protokołu przed sobą na blacie, przez chwilę wpatrywał się w nią, a potem podniósł swoje niebieskie oczy na dziewczynę.

– Wiesz, czemu tu jesteś? – zapytał spokojnym i nieco zbyt cichym głosem.

– Mam świadczyć w sprawie Jadźki – odpowiedziała pewnie.

– Masz świadczyć, powiadasz?

– No, niby tak.

– Kto ją zabił?

– Jak to kto? – zdziwiła się. – No przecież wiadomo, że jakiś morderca.

– No tak. – Policjant uśmiechnął się lekko. – Wiadomo, że morderca. Ale ja się pytam, kto to niby jest ten morderca.

– A ja skąd mam wiedzieć? Przecie mnie tam z nią nie było.

– A gdzie była wtedy?

– Normalnie, na ulicy, jak to w nocy. Tam, gdzie zwykle. Przecie wiesz, gdzie chodzę. Tam, gdzieśmy ostatnio...

Oficer nagle z impetem uderzył pięścią w stół.

– Do mnie się mówi panie komisarzu, ty wywłoko cholerna! – krzyknął.

Przestraszyła się tego wybuchu. Nie spodziewała się tego po tym delikatnym mężczyźnie.

– Mów, szmato, co wiesz, a o tym tam na ulicy to zapomnij. Tu nie jest burdel tylko urząd policyjny. Zrozumiano?

Szybko pokiwała głową.

– Kto może coś wiedzieć, z kim ona się zadawała? Gadaj, pókim dobry, bo jak będziesz coś kręcić, to pożałujesz.

– Ja nic nie wiem.

Policjant zerwał się ze swojego siedzenia, w dwóch susach dopadł do niej i uderzył ją wierzchem dłoni w twarz. Cios był tak mocny, że zleciała ze stołka na podłogę.

– Siadaj, szmato! – warknął już nieco spokojniejszym głosem, wskazując taboret.

Powoli podniosła się z podłogi i usiadła na powrót naprzeciw niego. W kąciku jej ust pojawiła się strużka krwi. Dostrzegł tę krew. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wydobyl z niej białą jedwabną chusteczkę i podał jej.

– Masz, wytrzymaj się – powiedział cicho.

Wzięła tę delikatną chusteczkę do drżącej dłoni i przycisnęła ją do rozciętej wargi. Czowała, jak to zranione miejsce zaczyna pulsować i puchnąć. Spojrzała w jego oczy. Były zupełnie spokojne i zimne.

– A teraz, Krysiu, powiesz mi wszystko o tym, kto może coś wiedzieć na temat twojej przyjaciółki. Tylko proszę bez żadnych wykrętów. Całą prawdę, jak na spowiedzi.

No i Kryśka powiedziała mu wszystko o siostrach Domagalankach, co to stały zawsze po przeciwnej stronie ulicy, i o trzech braciach Kaźmierczakach, i Tolku Grubińskim, co to zawsze w potrzebie pomagali Jadźce, i nawet o barze „U Okonia” przy Mostowej, gdzie co noc wszyscy oni pili piwo z wódką, a potem się rozplakała, bo dobrze wiedziała, że nie ma już dla niej życia na Chwaliszewie, gdy oni wszyscy się dowiedzą, że to ona ich zakapowała. A policjant pozwolił jej na koniec zatrzymać tę białą jedwabną chustkę naznaczoną jej krwią. Kryśka nigdy wcześniej nie miała jedwabnej chustki.

Godzina 12.30 po południu

Tolek Grubiński podniósł głowę z brudnej, poplamionej poduszki wypełnionej słomą i rozejrzał się nieprzytomnym wzrokiem dookoła. Na szczęście znał to miejsce. Nie był w jakimś obcym mieszkaniu, ale w kuchni Kaźmierczaków. Znaczy, że koledzy doprowadzili go wczoraj do ich domu. Ale znaczyło to też tyle, że wczoraj był już za bardzo pijany, żeby dojść do swojej chaty. Mieszkał zaledwie dwie kamienice dalej, podobnie jak Kaźmierczaki, w oficynie przy Mostowej. Widać nie starczyło mu już sił i dlatego kompani zabrali go do siebie. Ciekawe, która to może już być godzina? – pomyślał, ale na to pytanie nie miał najmniejszej szansy znaleźć odpowiedzi. Nie miał własnego zegarka. W tej akurat chwili nie miał, bo w swoim długim, trzydziestodwuletnim życiu miał już kilka cebul. No, ale zegarki to rzecz nabyta, w jego wypadku nabyta w pracy, czyli podczas złodziejskiej wycieczki, więc nie przyzwyczajał się do nich zbyt i traktował je zawsze jak normalny towar, który w razie konieczności można było bez żalu upłynnić. Ten ostatni, ze srebrną kopertą, oddał cztery dni temu w knajpie „U Okonia” właścicielowi, który wcale nie nazywał się Okoń, jak mogłaby wskazywać nazwa, ale Szymczak, który ten lokal kupił jakieś dwadzieścia lat temu od niejakiego Zielonki, który też z żadnym Okoniem nie miał nic wspólnego.

Tak, z tym zegarkiem to było właśnie wtedy, w tę noc, kiedy ktoś zaszlachtował Jadźkę na moście. Ona tam umierała od jakiegoś rzeźnickiego noża, a oni najspokojniej w świetle pili sobie wódkę z piwem. Nie mógł sobie tego darować. Gdyby tam był, gdyby wtedy poszedł po nią na most, tak jak to często bywało, to ona do dziś by jeszcze żyła. Ale nie poszedł, tylko chlał te cholerną gorzołę. Taka dziewczyna poszła na zmarnowanie przez niego. Bo uznał, że to była właśnie jego wina. Powinien bardziej się nią zajmować. W końcu była z jego rodziny. Jego matka była kuzynką matki Jadźki. On był jedynym żyjącym jej krewnym i dlatego na niego spadała odpowiedzialność za dziewczynę. Ale przecież nie mógł przypuszczać, że dojdzie do najgorszego. Pracowała tak, jak wiele innych dziewczyn z tej okolicy i jakoś wiązała koniec z końcem, podczas gdy on zajmował się własnymi sprawami. Ale miał na nią baczenie. Nieraz pomagał jej w trudnych sytuacjach i niejedyn klient, który źle się zachowywał, dostał od niego nauczkę.

Tym razem jednak nie dopilnował i dlatego gryzł się okrutnie. Ale

wiedział też, że nie zostawi tak tej sprawy. Musiał wyrównać rachunki. Postanowił, że zrobi wszystko, żeby odnaleźć tego bydlaka, który ją sprawił. I wiedział, że dopnie swego, choćby miał za to pójść do więzienia. Znajdzie go i wypruje mu wszystkie flaki, tak żeby długo czuł, jak umiera.

Usiadł na łóżku. Było to proste drewniane łóżko, które należało kiedyś do starej Kaźmierczakowej, co cztery lata temu umarła na suchoty. Ona spała w kuchni, a trójka jej synów w pokoju za ścianą. Teraz też musieli tam być, bo słychać było posapywanie i pochrapywanie. Wszyscy spali w najlepsze.

Wstał i podszedł do kuchennego białego stołu zastawionego flaszками po wódce i piwie. Chyba musieli tu wczoraj posiedzieć, bo w niektórych butelkach były jeszcze resztki. Chwycił niedopitą butelkę piwa, zdjął porcelanowy kapsel i wypił wszystko. Od razu zrobiło mu się lepiej, ale poczuł też ból w pęcherzu. Trzeba było się wysikać. Nie było jednak nigdzie wiadra, więc czekała go wyprawa do sracza na podwórku. Na poręczy jednego z krzeseł wisały jego spodnie i westka, a na podłodze stały kamasze. Marynarki nigdzie nie dostrzegł. Ale po diabła mu marynarka do sikania? Portki wystarczą. Wciągnął je szybko na kalesony, założył trzewiki i, jak na prawdziwego eleganta przystało, założył jeszcze tę swoją ulubioną wiśniową kamizelkę, nazywaną przez wszystkich z niemiecka westką, na koszulę, która po dwóch dniach noszenia nie była już biała. Gdyby miał czysty kołnierzyk, to można by nawet powiedzieć, że prezentuje się całkiem elegancko. Ale kołnierzyk zniknął razem z mankietami i marynarką. Srał to pies – pomyślał. – Znajdzie się wszystko później.

Drzwi z kuchni prowadziły bezpośrednio na schody. Były wąskie i strome, jak to w oficynach. Mieszkanie Kaźmierczaków znajdowało się na pierwszym piętrze. Zszedł na dół, trzymając się mocno poręczy, bo czuł, że trochę kręci mu się we łbie. A tyle razy sobie obiecywał, że nie będzie mieszał trunków. Nie od dziś było przecież wiadomo, że piwo mieszane z wódką daje najgorszego kaca. No, ale przecież on wcale nie zamierzał pić wczoraj wódki. Wieczorem zaczęli biesiadowanie od wątróbki smażonej na cebuli i piwa, pilznera z Kobylego Pola. Ale po jednym piwie przyszły następne, a tak mniej więcej przy piątym któryś z Kaźmierczaków postawił flaszkę Wyborowej od Kantorowicza. No i się

zaczęło. Pamiętał jeszcze dwie następne butelki, a potem w głowie ziała już, wielka jak ratusz, czarna dziura.

Powietrze na podwórku było wilgotne i zatęchłe. Śmierdziało szczynami i gnijącymi obierkami po pyrach. Trzeba było ten fetor w jakiś sposób zabić, tym bardziej że musiał iść w miejsce, w którym śmierdziało jeszcze bardziej. Poklepał się po kieszeni kamizelki. Zawsze miał tam schowanego papierosa na czarną godzinę i płaską paczuszkę zapalek. Wszystko to było i tym razem. Włożył papierosa do ust i podpalił go. Poczłł aromatyczny smak dymu w ustach. Tak, teraz można było powiedzieć, że wraca do życia.

Na podwórze weszła kobiecina w chustce na głowie i z ogromnym wiklinowym koszykiem w ręce. Obrzuciła Tolka obojętnym spojrzeniem, ale widać nie wzbudził w niej specjalnego zainteresowania. Nie należał do grona jej stałych klientów. Stała na środku podwórza, kosz postawiła na ziemi i zdjęła z niego lnianą szmatkę, odkrywając zawartość.

– Jaja, mliko, gzyka! – zaczęła wołać, a głos, choć mizerny, niósł się w górę po ścianach budynków.

Z okien zaczęły wychylać się głowy gospodyń.

Wypiłoby się mleka – pomyślał Tolek, jednak nie było na to najmniejszej szansy. Kieszenie miał puste. Ruszył przed siebie, ale zaraz stanął, bo chudy czarny kot przebiegł mu drogę. Splunął więc za siebie i dopiero wtedy poszedł dalej.

Z papierosem w zębach przeszedł obok przekupki i wszedł do wychodka stojącego obok śmietnika. Na szczęście brzegi dziury w sraczu nie były specjalnie mocno uwalane, więc szybko rozpiął spodnie i usiadł, bo poczuł, że tylko na sikaniu się nie skończy.

Po chwili usłyszał stukot podkutych butów na podwórkowym bruku. Zaciekawiony przytknął oko do szpary między sztachetami. Ze zdziwieniem dostrzegł trzech policjantów z karabinami zawieszonymi na ramieniu. Towarzyszył im jakiś cywil ubrany w palto i kapelusz. – To musi być tajniak – ocenił go fachowym okiem Tolek. – Ino czego tu te szkieły chłelerne szukają? – powiedział cicho sam do siebie, a potem sprawdził, czy drzwi od wychodka są zamknięte na haczyk. Były zamknięte. Przyłożył znów oko do szpary. Jeden w mundurze został przy drzwiach do klatki schodowej, a pozostali zniknęli. Zapewne weszli do

środka. Gdyby nie ten w mundurze, co stał na podwórzu, Tolek wyszedłby i uciekł, gdzie pieprz rośnie. Ale był tam, więc nie można było podjąć ryzyka. Postanowił więc poczekać na rozwój wypadków. Nie musiał długo czekać. Minęło może pięć minut, gdy na podwórku pojawili się policjanci w towarzystwie trzech braci Kaźmierczaków. Wszyscy trzej mieli na rękach założone kajdanki.

– Jasna dupa! – jęknął Tolek. Kaźmierczaki ze spuszczonymi głowami przeszli koło wychodka, eskortowani przez policjantów, którzy dla dodania powagi konwojowi zdjęli z ramion karabiny i wycelowali je w plecy aresztantów. Po chwili na podwórzu została tylko baba z jajkami. Począł więc jeszcze chwilę, by się upewnić, że zrobiło się już bezpiecznie. Podtarł tyłek skrawkiem gazety zdjętym z zardzewiałego gwoźdźca wbitego w ścianę, wstał, podciągnął portki i jak gdyby nigdy nic wyszedł na zewnątrz. Po policjantach nie było śladu. Szybko więc przemierzył podwórze, wszedł w drzwi prowadzące na schody i pobiegł na górę do mieszkania aresztowanych kolegów. Nie mógł przecież zostawić tam swojej eleganckiej marynarki, bo jakby wyglądał na ulicy w samej westce? Jak pierwszy lepszy szuszwol.

Godzina 3.30 po południu

Komisarz Fischer skinął na kelnera ubranego w śnieżnobiałą marynarkę, czarne spodnie i z czarną muszką pod szyją. Gdy ten dostrzegł gest gościa, natychmiast ruszył przez wielką salę restauracji u Kantorowicza, mijając stojące na jego drodze stoliki pełne innych gości. O tej porze powoli robiło się tu coraz tłoczniej. Nic dziwnego, bo restauracja przy 27 Grudnia, położona niemal na wprost skrytego w podwórzu Teatru Polskiego, słynęła z doskonałej kuchni. Podawano tu wyśmienite krakowskie kiełbaski z rusztu, wątróbkę, nerki i mózdzek na grzance oraz – specjalność szefa kuchni – sznycel wiedeński z dwoma jajkami, który zajmował niemal cały talerz, podawany na bukietach jarzyn. To właśnie to ostatnie danie sprawiło, że Fischer przyszedł dziś do Kantorowicza. Od progu rozejrzał się po sali, by się upewnić, że nie ma tu nikogo znajomego. Znajomego na tyle, że mógłby zechcieć przysiąc się

do jego stolika. Na szczęście prócz kilku osób, które znane mu były tylko z twarzy i nazwiska, nikt spośród siedzących w restauracji nie wydał mu się tak groźny, by mógł zniszczyć mu przyjemność obcowania sam na sam z kotлетem i szklanicą, a może i dwiema, poznańskiego piwa z Browaru Huggera przy Półwiejskiej.

Usiadł więc przy swoim ulubionym stoliku w kącie sali, z którego mógł obserwować wszystko, co dzieje się w restauracji, a jednocześnie spoglądać przez okno na ulicę.

Kelner podszedł do stolika z menu oprawionym w cielejącą skórę. Fischer machnął jednak ręką, bo nie musiał studiować karty dań, by coś zamówić. Zamówienie miał już sprecyzowane.

– Wienerschnitzel bitte – powiedział po niemiecku, nawet nie wiedząc, dlaczego użył tego języka. Chyba przy takim zamówieniu nie wypadało używać polskiego, bo ten wiener był przecież tak bardzo niemieckojęzyczny, że jakoś tak głupio po polsku to zamówienie by zabrzmiało. Zaraz jednak się poprawił – Poproszę, oczywiście, ma się rozumieć!

Kelner uśmiechnął się, skłonił, a potem zapytał dla uzupełnienia zamówienia:

– A jakie piwko do tego szanowny pan komisarz sobie winszuje? Mamy świeżutkie grodziskie, dziś przywiezione z browaru, ale poznańskie też świeże, że pianka będzie pierwsza klasa, twarda jak śmietana.

Policjant zastanawiał się przez chwilę. Grodziskie też było prawdziwym rarytasem, szczególnie świeże. Problem z tym piwem był jednak taki, że jako piwo drożdżowe napełniało natychmiast brzuch gazami i nadawało się raczej do popicia posiłku już zjedzonego, a nie na zaostrenie apetytu.

– Dasz mi pan teraz poznańskie, a jak zjem, to do popicia grodzisza.

– Doskonały wybór panie nadkomisarzu. Już lecę po piwko, a pan będzie łaskaw poczekać momencik. W trymiga przyniosę. A gazetkę jaką też podać?

– Pan da „Kurier Poznański” – zdecydował się. Po chwili kelner był już z powrotem przy jego stole z dużą szklanicą piwa i aktualnym numerem gazety, oprawionym w drewnianą klamrę z rączką, która miała ułatwiać czytanie, a w rzeczywistości dość mocno je komplikowała.

Fischer w zasadzie nie musiał się nigdzie śpieszyć. Mógł sobie pozwolić

na spokojną lekturę. Nie miał ochoty wracać do swojego biura w budynku Prezydium Policji. Chciał sobie przemyśleć wszystkie dalsze kroki w sprawie zaginionego oficera, a to najlepiej było zrobić w takich właśnie, przyjaznych warunkach, jakie dawała mu restauracja. Tu, niepokojony przez nikogo, mógł przeprowadzić wstępną analizę sytuacji. Coś jak wstępny plan przed bitwą. Lubił rozpisać sobie wszystkie dane w swoim notesie, a potem wyznaczyć, również pisemnie, kierunki przyszłych spodziewanych działań. Wydobył więc z kieszeni marynarki gruby notes i rozłożył go przed sobą na płachcie gazety. Postanowił, że najpierw zrobi notatki, a później sprawdzi, co słychać w świecie. Nie zdążył jednak otworzyć notesu. Z zamyślenia wyrwał go znajomy głos. Głos, za którym nie bardzo przepadał, ale musiał go od czasu do czasu znosić.

– Powitać szanownego pana nadkomisarza – mówił szybko natręt, ubrany w kraciaste knykry i popielatą marynarkę w pepitkę. Fioletowa koszula z krzykliwą czerwoną apaszką zapewne zdawała mu się najnowszym szykiem a’la Paris, jednak każdy, kto znał się choć trochę na modzie, powiedziałyby o tym człowieku, że to elegant co najwyżej z Mosiny. – Ależ tu niespodzianka! – Wchodzę, rozglądam się, czy też jakiego znajomka nie spotkam, żeby samemu nie siedzieć przy obiadku, a tu proszę, sam pan komisarz Fischer jest na miejscu. Ależ niespodzianka, zwłaszcza że miałem w tym czasie wybrać się do szanownego komisarza.

Fischer podniósł wzrok znad notesu i obrzucił eleganta niechętnym spojrzeniem. Redaktor Walery Tomczak z „Kuriera Poznańskiego”, uśmiechnięty od ucha do ucha, stał przy stoliku, zacierając dłonie. Lekko pochylony wyglądał, jakby czekał tylko na jakąś nadarzającą się okazję, by rzucić się na swoją ofiarę.

– Pozwoli pan, panie nadkomisarzu, że przysiedne się? – zapytał z miną głodnego kundla czekającego na kość.

– Niestety, panie Tomczak, nie pozwolę – powiedział Fisher zimnym głosem, który mógł piwo w szklanicy zamienić w lód.

– O! – najwyraźniej zdziwił się dziennikarz. – Kiedy ja tylko na chwiliunię – próbował wyjaśnić.

– Szanowny panie redaktorze, pan wybaczy, ale teraz mam akurat pauzę w pracy i zamierzam ją wykorzystać na konsumpcję, tudzież na

przemyslenia.

– Aha. Łe, to ja w kwestii przemysleń na jedną minutkę. – Niezrażony policyjnym chłodem Tomczak szybko odsunął krzesło i usiadł naprzeciw Fischera, który groźnie zmarszczył brwi. Nie odstraszyło to jednak dziennikarza, który w Poznaniu znany był ze swojego tupetu. Opowiadano sobie o nim pewną anegdotę. Otóż jakiś czas temu naczelny „Kuriera” wysłał go na służbowy wyjazd do Murowanej Gośliny. Po powrocie w rozliczeniu kosztów pobytu Tomczak wpisał przejazdy tramwajami. Dyrektor podpisał rachunek, a potem powiedział:

– Pan jesteś jednak kiepskim reporterem!

– Dlaczego, panie dyrektorze – oburzył się Tomczak dotknięty do żywego.

– Mając taką sensację w zanadrzu, jak założenie komunikacji tramwajowej w Murowanej Goślinie, i nie napisać o tym w naszej gazecie ani słowa!

Patrząc w uśmiechniętą twarz dziennikarza, Fischer natychmiast przypomniał sobie o tym wydarzeniu.

– A jak się mają tramwaje w Murowanej Goślinie? – zapytał ze złośliwą satysfakcją.

Uśmiech ani na moment nie zniknął z twarzy Tomczaka. Widać już przyzwyczał się do tego rodzaju pytań.

– Co tam tramwaje na prowincji, jak tu ciekawsze rzeczy się dzieją w mieście stołecznym Poznaniu.

– A dla pana szanownego redaktora co podać? – zapytał kelner, który jak spod ziemi wyrósł przy stoliku.

– Pan redaktor już wychodzi – rzucił Fischer ze złośliwym uśmiechem. Kelner zdziwił się, ale nic nie powiedział. W końcu nie był od komentowania, ale od obsługiwania gości. Ukłonił się i odszedł.

– Wychodzę, wychodzę, panie nadkomisarzu, ale, jeśli wolno, chciałem tylko zapytać na odchodnym o jedną rzecz.

– No to pytaj pan – odburknął niegrzecznie policjant.

– Czy prawdą jest, jakoby w Poznaniu grasował jakiś Kuba Rozpruwacz?

Fischer nie odpowiedział od razu. Przez chwilę zastanawiał się, co powinien powiedzieć. Ten cholerny gryziopiór dowiedział się od kogoś o zamordowanych kobietach i teraz gotów jest napisać artykuł pełen

sensacji i niedomówień, który w mieście może wywołać niepotrzebny ferment. Najlepiej byłoby natychmiast zaprzeczyć. Ale jeśli powie, że to nieprawda, ten pewnie nie da za wygraną i będzie węszył dalej. Trzeba było go kupić jakąś obietnicą. Dać mu coś w zamian za milczenie, bo co jak co, ale panika wywołana jakimś głupim artykułem to była ostatnia rzecz, której komisarz mógłby sobie życzyć.

Fischer rozejrzał się po sali, jakby chciał sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje, a potem, nachyliwszy się nad stołem, przywołał dziennikarza. Ten natychmiast pojął intencję i pochylił się w kierunku Fischera.

– Panie Tomczak, w zaufaniu, jak staremu znajomemu, powiem panu, że coś jest na rzeczy.

– Taaak?

– Tak, ale na razie nic jeszcze panu zdradzić nie mogę.

– A to niby czemu?

– Żeby nie spłoszyć mordercy. Pan rozumie?

– A tak. Oczywiście. Ale ja bym napisał, że niby...

– Jakby pan co napisał, to zrobiłby pan bardzo złą rzecz. Morderca dowie się, że jesteśmy na tropie i sam pan rozumie. Przepadnie jak kamień w wodę.

– No tak, to oczywiste...

– Więc ja panu daję słowo, że jak tylko go capniemy, to sam osobiście do pana z tym przyjdę. Albo nawet jeszcze lepiej. Będiesz pan przy arestowaniu.

– Doprawdy? Przy samym arestowaniu?

– Słowo. Możesz pan nawet wziąć ze sobą aparat fotograficzny.

– O, świetnie. To kiedy? Jutro?

– Dam panu znać.

– Oczywiście.

– Tylko panie...

– Tak.

– Ani słowa. Żeby nie spłoszyć.

– Sie rozumie, panie nadkomisarzu szanowny.

Zadowolony Tomczak wstał z krzesła i dla podkreślenia powagi sytuacji położył palec wskazujący na ustach. Fischer porozumiewawczo pokiwał głową, mrugnawszy jednocześnie znacząco. Dziennikarz oddalił

się wolno, rozglądając się dookoła jak spiskowiec.

W odpowiednim momencie odszedł od stołu, bo akurat w tej samej chwili do stolika podszedł kelner z talerzem przykrytym ogromnym kotлетem, na którym spoczywały dwa jajka sadzone z lekko tylko ściętymi żółtkami. Położył talerz przed policjantem, a z prawej strony postawił kieliszek z grubego rżniętego szkła.

Fischer zdziwiony spojrzał na kieliszek.

– Krwawa łza na koszt firmy, od pana Kaczmarka. Na lepsze trawienie.

Obdarowany uśmiechnął się na myśl o dzierżawcy Romanie Kaczmarku, który rządził w tej restauracji, a znany był w całym mieście jako niezwykle zręczny destylator, który z wódkami i likierami potrafi wyczyniać istne cuda. Ta wódka też była niezwykła. Krwawa łza brała się stąd, że Kaczmarek do kieliszka czystej schłodzonej wódki tak umiejętnie wsącał kroplę soku wiśniowego, że zawieszala się ona w środku kieliszka. Wielu destylatorów z innych restauracji próbowało tej sztuczki, ale żadnemu dotąd się to nie udało. Komisarz pochylił się nad kieliszkiem. Krwawa kropla wisiała dokładnie na środku, w połowie głębokości naczynia. Istne чудо!

– Kłaniaj się pan ode mnie panu Kaczmarkowi! – powiedział pełen podziwu dla maestrii mistrza i zabrał się do kotleta. Wódka musiała poczekać na koniec uczyty. Tak samo, jak poczekać musiał redaktor Tomczak, którego Fischer nie miał najmniejszego zamiaru informować o czymkolwiek. Przynajmniej na razie.

Rozdział III

Czwartek, 6 marca

Godzina 7.20 rano

Franciszek Szymura, do wczoraj bezrobotny, a od dzisiejszego ranka zatrudniony przy robotach publicznych organizowanych przez Poznański Ratusz, wbił swoją szypę w stertę piachu. Ale co z tego, że wbił, jak nie miał co z tym piachem dalej począć? Był tu od wrzucania piachu na taczkę, którą potem miał przewozić piach jakiś inny robotnik. Tyle że tego, który był tu przed chwilą, już nie było, a inny z pustą taczką jak dotąd nie nadjechał. Szymura oparł się więc o stylisko łopaty, poprawił czapkę na głowie, a gdy upewnił się, że w pobliżu nie ma nikogo, wyciągnął z kieszeni swojej wyświechtanej marynarki połówkę papierosa. To była ostatnia połówka i już martwił się, że dzisiaj nie będzie co palić, jak wypali to, co ma. Na razie nie będzie, bo po dzisiejszej dniówce powinien dostać wypłatę od majstra. Taka była zresztą umowa w tych robotach publicznych, że pieniądze dostaje się za każdy przepracowany dzień, bo tutaj nie zatrudniano na dłuższy okres. Pracę dostawali ci, którzy zgłosili się pierwsi, jeszcze wcześniej rano, a ci, którzy za późno wstali, nie mieli najmniejszych szans na zarobek, bo chętnych było dużo. Nikt jednak nie mógł powiedzieć, że płacono tu dobrze. Ale w sumie i tak dobrze, że w ogóle znalazło się jakieś zajęcie, bo dzięki niemu Szymura był pewny, że dziś po południu nie tylko nakupi ćmików, ale jeszcze do tego będzie mógł się do syta najeść. Pomyślał o tłustej leberce i ulubionych bułkach knypelkach i na tę myśl

zaraz zaburczało mu w brzuchu. Od wczorajszego wieczora nic nie jadł, więc teraz postanowił oszukać głód nikotyną.

Włożył tę połówkę papierosa do ust, ale nie zapalił. Okazało się, że nie ma zapalek. Poszukiwania po kieszeniach nie przyniosły rezultatu. Może ten od taczki będzie miał zapaliki – zastanawiał się, ale na razie nie dane mu było tego sprawdzić. Majster, ten sam który dziś rano wziął go do roboty, stanął przed nim, ujawszy się pod boki.

– Co to, już fajrant oddzwanił? – zapytał groźnym tonem.

– Łe, panie majster – Szymura uśmiechnął się, odsłaniając górną szczękę pozbawioną dwóch przednich zębów. – Nie fajrant, ino że ni ma komu do taczki piochu sypać. Te łachudry gdzieś się straciły. Nie ma komu robić.

Majster obrzucił plac budowy chmurnym spojrzeniem, prześlizgując się wzrokiem od ponurej beczkowatej Wieży Górnos Śląskiej, zaprojektowanej i wzniesionej jeszcze w 1911 roku na Wystawę Wschodnioniemiecką przez berlińskiego architekta Hansa Poelziga, by dojechać do pnących się powoli w górę ceglanych murów nowej hali targowej. Ta będzie zupełnie inną budowlą niż ta gruba pruska beka – pomyślał majster Walasik, który tę prestiżową miejską budowę traktował jak własne dziecko. Hala targowa na wprost od zachodniego wyjścia z dworca kolejowego to będzie przecież najlepsza wizytówka polskiego Poznania. Tak powiedział sam prezydent Cyryl Ratajski podczas uroczystości wkopania kamienia węgielnego. I majster komu jak komu, ale prezydentowi wierzył jak nikomu innemu. Dlatego chciał, żeby na budowie wszystko chodziło jak w zegarku. No, ale z tymi przyjętymi do robót publicznych nie dawało się ujechać, bo to przecież nie byli żadni specjaliści, ale zwykłe obiboki, co to myślały tylko jak się od pracy wymigać. Tak jak ten tu, uśmiechnięty od ucha do ucha szczyrbol. Ale trochę racji jednak miał. Dookoła nie było nikogo z taczką, więc nie miał co robić. No, ale to chyba jeszcze nie powód, żeby nie myśleć. Jak nie było jednej roboty, to trzeba było se znaleźć inną. Tyle, że tym nierobom wszystko trzeba mówić i wskazywać palcem, co mają robić.

– U nas przestojów ni ma – warknął majster. – Jak ci z taczkami nie przyjadą, to póki co bierz te szype i podsyp piach, co się tam zsunął tu do tego rowu – wskazał na niewielki wykop, przy którym usypano stertę warcianego piachu.

Wozacy, którzy wczoraj wozili tu piach, zsykali go zbyt blisko rowu, który wykopano kilka dni wcześniej do poprowadzenia przewodów elektrycznych, więc piach obsypał się ze sterty i w jednym miejscu niemal całkowicie zawalił ten rów. Trzeba było go odkopać, zanim przyjdzie tu ekipa elektryczna.

Szymura niechętnym spojrzeniem obrzucił rów. Ale co było robić? Jak majster każe, to ni mo godki. Trza sie brać do roboty.

- Robi sie, panie majster. Zarzucił szypę na ramię i bez zbędnych dyskusji podszedł we wskazane miejsce.

Majster przez chwilę patrzył jeszcze za nim, ale gdy upewnił się, że dobrze zrozumiał polecenie, ruszył szybko w kierunku murów nowej hali. Tam powinni siedzieć ci od taczek. Trzech zatrudnił rano do wożenia piachu, a teraz nie było tu ani jednego. Zaszli się pewnie w jakimś kącie i palą ćmiki. Już on im pokaże, jak ich dopadnie. Nakopie do dupy, a potem zapamięta se ich gęby, żeby jutro na ich miejsce wziąć innych. Czego jak czego, ale rąk chętnych do roboty było w nadmiarze. Byle tylko trafili się bardziej robotni.

Szymura tymczasem popatrzył w dół, oceniając fachowym wzrokiem ilość piachu do wykopania. Godzina szuflowania – pomyślał i splunął na piach, a potem ostrożnie zeskoczył do dziury. Nie była głęboka. Jej brzegi sięgały mu do pasa. Gorzej, że rów był wąski, miał najwyżej metr szerokości. To mogło utrudniać ruchy pracującemu, ale nie na tyle, by nie dał sobie z tym rady. W końcu silny był z niego chłop. Spojrzał w kierunku budowy hali, tam gdzie zniknął majster, a kilkanaście minut wcześniej taczkarze i uśmiechnął się na myśl o tym, co się tam musiało w tej chwili dziać. Zapewne dopadł ich i teraz dostają zdrowy opierdol. No, ale jak ich tak majster ochrzani, to oni za chwilę tu będą i będzie miał podwójną robotę, bo ci taczkarze zaczną się uwijać jak w ukropie, żeby znów nie zasłużyć na burę. A, co tam. Jak przyjadą, to się człowiek będzie martwił. Splunął w dłonie, a potem chwycił trzonek szufli i szybko zaczął kopać, wyrzucając piach na brzeg sterty, na tyle jednak daleko, żeby na powrót nie zsypywał się do rowu.

Piach, który obsypał się w dół, nie był tak mokry jak ten leżący na kupie, więc szło mu łatwo. Wyrzucił kilkanaście szufli na górę, a potem spojrzał w kierunku budowy pawilonu, ale nikt nie nadciągał z taczkami. Kopał więc dalej. Nagle jego szypa trafiła na jakąś przeszkodę. Coś tkwiło

w tym piachu. Ale nie był to żaden kamień, bo zgrzytu nie było słycać. Wyciągnął szufłę i ostrożnie wbił ją jeszcze raz. Ten sam, jakby miękki opór. Najwyraźniej coś tam było. Zaciekawiony począł metodycznie odsuwać piach na boki. Po chwili ze zdziwieniem zauważył coś lśniącego i czarnego, co wyglądało jak skóra. Pochylił się i dotknął. Rzeczywiście skóra, jakby od butów. Szybko się wyprostował i rozejrzał dookoła. Jeśli rzeczywiście to była skóra butów, to tam mógł być cały but, a może i dwa. Ktoś mógł ukraść buty i tu wrzucił je na przechowanie, żeby później zabrać w dogodnym momencie. Pomyślał, że może ma dziś szczęście i wydobędzie te buty, a jak je później sprzeda, to zarobek z tej sprzedaży może przewyższyć wszystko, co mógłby dziś zarobić na tej robocie. Opadł na kolana i zaczął szybko kopać rękoma, żeby się przekonać, co to jest i czy rzeczywiście ma do czynienia z porządными skórzanymi butami. Po chwili miał już pewność co do tego, że to nie są zwykłe buty, ale najprawdziwsze lśniące oficerki. Takie „szklanki” były warte majątek. Oczywiście, gdyby dało się je stąd niepostrzeżenie wynieść. Ale żeby wynieść, trzeba było je najpierw wyciągnąć, a te, niestety, nie dawały się ruszyć, tak jakby były założone na czyjeś nogi...

Wyprostował się gwałtownie, przestraszywszy się tej myśli. Założone na nogi? Po plecach przebiegł mu zimny dreszcz, szybki jak bolszewicka taczanka. Te buty wcale nie były w środku puste, bo jakby były, to już by się dało je wyciągnąć. One tam w środku miały jakieś nogi, a to oznaczało, że pod piachem leży se nieboszczyk w oficerkach. A kto chodzi w oficerkach? Jak to kto? Najpewniej jakiś oficer, a że pod piachem, to oficer nieżywy. Może od wojny jeszcze tu leży? – pomyślał gorączkowo.

– Gdzie jest ten pieprzony kopacz? – z góry dobiegł go jakiś piskliwy głos.

– Jak nas zaraz nie załaduje, to ten chłelerny majster nam giry z dupy powyrywa – powiedział drugi.

– Trza go zawołać. Tej, gdzieżeś jest?

– Tutej! – krzyknął Szymura, bo już nie było co milczeć. Pożegnał się w myślach z pięknymi oficerkami, gdy zobaczył, że powyżej linii cholewek wyłazi spod piachu fragment zielonej tkaniny. Jak nic były to portki od tych nóg.

– Tutej! Chodźta!

– Gdzie? – zawołał taczkarz, który nie mógł go dostrzec, bo oddzielała

ich od siebie przyzma piachu.

– Tutej, z drugiej strony! – wyjaśnił Szymura. Usłyszał jakiś ruch i zaraz zobaczył dwie zbliżające się postacie. Taczkarze podchodzili niechętnie, wietrząc jakiś podstęp, a on stał wpatrzony w dół.

– W pory żeś narobioł, chłopie? – zażartował ten niższy rudzielec z piegami na nosie.

– Żebyś ty nie narobioł, jak zaraz szpyniesz tu w dół – odpowiedział kopacz, któremu wcale nie było do śmiechu.

Dwaj taczkarze stanęli nad wykopem.

– No i co tak sie... – powiedział ten drugi, brodaty brunet, ale zaraz przerwał, zauważywszy to, na co wskazywał Szymura brudnym paluchem.

– W imię Ojca i Syna... – przeżegnał się szybko, a potem wskoczył do rowu, potrącając stojącego w nim pracownika.

– Tu ktoś jest zakopany – stwierdził, pochylając się niżej. – Tej, Wiechu, leć no po majstra, a ty dalej tu ze mną do kopania. Trza onego wyciągnąć, bo może jeszcze dycho.

Rudzielec tylko skinął głową i tyle go widzieli, a brodacz opadł na kolana i zabrał się szybko do roboty. Szymura też zaczął kopać, skoro mu kazano. Już po chwili wyłoniła się ręka, potem kawał tułowia, w końcu druga ręka.

– No to chytej sie za jedno rynka, a ja za drugo i dalej, ciągniem chłopca.

Chwycili, zaparli się mocno, a gdy brodacz odliczył do trzech, szarpnęli z całej siły. I wtedy ten w mundurze usiadł. A jak usiadł, tak natychmiast puścili te jego umundurowane ręce w przerażeniu. Ten posiedział jeszcze przez chwilę, a potem bezwładnie opadł na plecy. Brodacz, całkowicie poblady, opadł też na dno rowu, a Szymura wyskoczył z niego jak oparzony i na skraju rowu padł na brzuch, bo poczuł, że go zemdliło. Najprawdopodobniej porzygałby się na miejscu, ale na szczęście nie miał nic w żołądku. Gdy mdłości przeszły, wyjrzał ostrożnie znad krawędzi, żeby jeszcze raz spojrzeć na tego truposza. Trup, jak trup, leżał sobie bezwładnie i wcale się nie ruszał. I wtedy Froncek Szymura przypomniał sobie, ile to już w swoim życiu widział okaleczonych trupów. Setki, a może tysiące trupów widział pod Verdunem, a tu zaledwie jeden jedyny i wcale nie jakoś specjalnie zmasakrowany, ale normalnie, z równo obciętą głową na samym końcu szyi. I dlatego się zdziwił, że na

taki widok zachciało mu się rzygać. Dobrze, że jednak nie zwymiotował, bo by wiaruchna gadała po całym Łazarzu, że nie wytrzymał na widok jednego trupa bez głowy i zachował się jak pensjonarka. Zadowolony usiadł więc na stercie piachu, wyciągnął połówkę papierosa, włożył ją do ust i wtedy przypomniał sobie, że nie ma zapalek.

Godzina 7.30 rano

– A co mnie tam, panie, do tego piwa? W dupie mam, czy jest świeże, czy nieświeże. Czy ja je warze, czy jak? Moja rzecz jest załadować, rozładować i jeszcze przywieźć na czas. A jak się komu nie podoba, że jest stare, to do Huggerów z pretensjami, a nie do wozaków.

– A to ja niby do pana mam pretensje? – zdenerwował się restaurator Kamiński, właściciel „Restauracji Domowej” z dopiskiem „jak u mamy” ze Śródkki. – Ja ino gadam, że to, co było w zeszłym tygodniu, to wcale nie było świeże. Znaczy się jedna beczka nie była świeża, bo druga była i trzecia też była w porządku.

Wozak Bartosik podrapał się po głowie, patrząc na właściciela jak na człowieka niespełna rozumu. Tego najwyraźniej musiała jaka chłelera chwycić, bo przecie rozsądny człowiek nie czepiałby się o jakąś beczkę nieświeżego piwa, jak się miało wszystkie inne świeże! Takie, co to się zastało, rozlewało się przecie do pustych beczek, zalewało świeżym i w ten sposób zastane robiło się świeże przez przynajmniej trzy dni, a to był czas, kiedy te zmieszane akuratnie się sprzedawało i nikt o zepsutym piwie słowa by nie powiedział. Taki stary restaurator jak ten musiał tak robić stale, żeby dać se rade z nadmiarem piwa, co to psuło się w piwnicy, gdy za długo w niej leżało. Zawsze było ryzyko, że jak się zamówi za dużo, to ostatnie beczki może szlag trafić. Wtedy robiło się mieszankę i po kłopotcie. Wszyscy tak robili, a ten tu jakby z księżycą właśnie spad.

– Ja tam, panie Kamiński, nic nie wiem. Moja robota jest jeździć. Ale jak pan już koniecznie chcesz, to ja powiem tam na rampie, żeś się pan pieklił o jakąś zasraną beczkę, to na drugi raz już dwa razy se pomyślą, jak dadzą nie te beczkę co trza.

Kamiński uśmiechnął się szeroko, a potem klepnął Bartosika w ramię.

– Tylko o to mnie sie rozchodzi, żeby oni tam bardziej uważający byli – powiedział, a potem sięgnął do wyładowanej dopiero co z wozu drewnianej skrzyni, w której stały równo butelki koźlaka.

– Weź pan, panie Alojzy, i pij, żebyś nie gadał potem, że stary Kamiński to sknerus. Dobrego piwa gościowi nie pożałuję.

Wozak skwapliwie przyjął butelkę i natychmiast otworzył porcelanowy kapsel. Mimo że woził piwo, to jednak nie wszyscy restauratorzy piwem go częstowali. Właściwie to nikt go nie częstował, a on tak lubił piwo, jak nic innego. Więc musiał sam kombinować i ulewać z beczek po drodze za pomocą własnego szpuntu do spuszczenia. Dziennie z kilku beczek potrafił ulać i z pięć litrów, więc w sumie nie do zauważenia przez kogokolwiek, jednak częstowanie piwem to było coś zupełnie innego. To jak nagroda za dobrą pracę. Poza tym koźlaka butelkowego wcale nie pijał, bo z flaszek spuszczać się nie dawało, bo zaraz byłoby widać, że ulane. Próbował, a jakże, ale za dużo roboty. Pociągnął teraz łyk koźlaka i aż zamknął oczy z zadowolenia. Warto było jednak iść ludziom na rękę.

– Powiem, powiem panie Kamiński. I sam jeszcze dopilnuje następnym razem, jakby co, żeby tam żadnej machlojki nie było.

Kamiński uśmiechnął się, jeszcze raz klepnął wozaka w ramię, a potem spojrzał na swoich pomocników, którzy wtaczali na wóz ostatnią z pustych beczek.

– Zrobiliście już wszystko? – krzyknął na chłopaków, którzy zeskoczyli z wozu na bruk.

– Wszystko fertig! – zawołał blondyn Alojz.

– To do kuchni lećta do pomocy – zawołał właściciel, a potem skinąwszy głową Bartosikowi, zniknął w drzwiach prowadzących do restauracji. Ten dopił swoje piwo, mlaskając zadowolony, włożył pustą butelkę na powrót do kisty i ruszył do swojego konia, by zdjąć mu ze łba worek z obrokiem. Niezadowolony perszeron potrząsnął łbem, zły, że mu się przeszkadza w jedzeniu, ale nic w ten sposób nie wskórał.

– Kłyniec wyżerki, do roboty! – powiedział i poklepał go po pysku, zabrał worek, zawiązał go starannie i wrzucił pod ławkę. Potem wdrapał się na górę, zasiadł na koźle, zwolnił dźwignię hamulca i wzięwszy lejce w dłonie, potrząsnął nimi.

– No, stary, jedziem do browaru!

Koń jakby tylko czekał na to polecenie. Zastrzygł uszami i wolno ruszył przed siebie. Po chwili wóz wytoczył się na brukowaną ulicę. Nie ujechali jednak daleko. Stojący na brzegu chodnika mężczyzna wyciągnął w górę dłoń i machnął nią na znak, że czegoś chce. Zdziwiony Bartosik ściągnął wodze. Perszeron posłusznie się zatrzymał.

– Wy jesteście Bartosik z Browaru Huggerów? – zapytał ostrym tonem.

Co za chłelera? – pomyślał woźnica. Jak tak pyta, musi to być policjant. Otaksował szybkim spojrzeniem mężczyznę. Ubrany był w porządną marynarkę i spodnie, a do tego miał jeszcze na sobie elegancką wiśniową westkę. Na głowie nie miał jednak kapelusza, ale zwykłą kraciatą lujówkę. Jak nic tajniak – stwierdził w myślach Bartosik, który zaczął szybko zastanawiać się nad wszystkimi swoimi lewymi interesami, ale mu wyszło, że nic wielkiego nie wywinął ostatnio. Bo przecież nie może mu chodzić o te dwie beczki piwa, które pomyłkowo załadowali mu w browarze dwa miesiące temu, a które on natychmiast sprzedał za jedną trzecią ceny właścicielowi kawiarni „Zielona” przy Wrocławskiej. Sprawa dawna i właściwie nie do wykrycia, bo w browarze nikt się nie zorientował, a ten właściciel z „Zielonej” nie był przecież taki głupi, żeby się przed kimś wygadać, tym bardziej że wiedział, że jakby się następna okazja trafiła, to towar od Bartosika na pewno trafi do niego. Był więc całkowicie niewinny i czysty, więc śmiało mógł se z władzą pogadać.

– A o co na ten przykład się rozchodzi? – zapytał hardo.

– O poświadczenie w jednej sprawie – wyjaśnił domniemany szkieł.

– Ale ja tera po towar do browaru jade – rzucił niechętnie, mając nadzieję, że zniechęci w ten sposób natręta.

– To się świetnie składa, powiedział elegant, wspinając się na kozła. – Przejadę się z wami, bo mnie to akuratnie po drodze.

Bartosik wzruszył tylko ramionami, a potem szarpnął lejce. Koń ruszył. Przez chwilę jechali w milczeniu. Gdy wóz wjechał na most Cybiński, mężczyzna wreszcie się odezwał.

– Co dzień tędy jeździcie?

Woźnica przez stalowe kratownice mostu wpatrywał się w majestatyczną bryłę wzniesioną w stylu klasycystycznym poznańskiej katedry. Bartosik nie znał się na stylach w architekturze, ale lubił patrzeć na tę białą i, jak mu się wydawało, dzięki tej bieli czystą budowlę.

Wyrwany z zamyślenia odwrócił głowę i spojrzał na pytającego.

– A niby jak mam jeździć?

– Pytam o drogę. Czy tutaj i przez most Chwaliszewski?

– Ni ma innej drogi na Śródkę – odpowiedział, dziwiąc się jednocześnie głupocie tego człowieka. Bo niby jak miałby jeździć, jak on jeździ zawsze tędy.

Wzdłuż murów katedry wóz z beczkami wolno posuwał się w kierunku mostu Tumskiego, który prowadził wprost na Chwaliszewo.

– A jak rano jeździcie z piwem, to mniej więcej o której godzinie jesteście na moście Chwaliszewskim?

– Rano to rano. Kto by tam wiedział, która to będzie akuratnie.

– A tak w przybliżeniu?

– W przybliżeniu to może i nawet być jaka czwarta z rana.

– A w poniedziałek jechaliście mostem Chwaliszewskim o czwartej?

– Może tak, a może nie – odpowiedział Bartosik, nieco już zirytowany tymi głupimi, jak mu się zdawało, pytaniami o coś najzupełniej oczywistego.

– A co to kogo obchodzi? – burknął w końcu niegrzecznie.

– A obchodzi, łachudro niemyta! – krzyknął elegant, a potem zupełnie niespodziewanie złapał woźnicę za ucho i wykręcił boleśnie. – Ja się pytam, a ty odpowiadasz! Zrozumiano?

– Zzzzroozumiaaano! – wyjęczał pokorniejac i wtedy Tolek go puścił. Bartosik chwycił się za ucho i natychmiast zaczął je pocierać. Tolek zaś wydobyl z kieszeni papierosa i włożywszy go do ust, zapalił. Wóz wjeżdżał właśnie na Chwaliszewo, mijając pierwsze trzypiętrowe odrapane czynszówki.

– A teraz gadaj wszystko jak na spowiedzi, bo jak nie, to ryło ci tak obiję, że rodzona matka cie nie pozna – rzucił jeszcze ostrzegawczo, ale zupełnie niepotrzebnie. Bartosik był całkowicie przekonany, że temu tajniakowi powie wszystko, co ten tylko będzie chciał, a nawet i więcej.

„Tajniak”, czyli Tolek Grubiński, poczuł, że facet mu się już nie wyślizgnie. Dobrze, że wziął go za szpicla, bo w razie czego zezna później szkiełom, że przepytował go w tej sprawie policjant. Zresztą rozmawiając z tym wozakiem Tolek przez chwilę poczuł się jak gliniarz. Wszedł w rolę z łatwością, bo już nieraz był w swoim trzydziestoletnim życiu przesłuchiwany i dobrze wiedział, jak to się robi. Nie miał więc trudności

z charakterystycznym dla szkiełków sposobem zadawania pytań. Swoje śledztwo zaczął już wczoraj, kiedy spotkał się w knajpie „U Okonia” z siostrami Domagalankami. Przepytał je dość dokładnie o wszystko, co widziały wtedy na moście i w okolicy.

– To był jakiś gość w palcie i w kapeluszu, ale co on za jeden, to nie widziałam dobrze, bo już my se szły do chaty – powiedziała Wera Domagalanka, a potem pociągnęła porządny łyk piwa. Tolek pokręcił głową. Też mi informacja. A mało to gości łązi po ulicach w palcie i w kapeluszu?

– A ty Trudka cożeś widziała? – spytał z nadzieją w głosie.

Trudka pokręciła szybko swoją małą blond główką.

– No, niby nic, ale jakżeśmy zeszły z mostu i już szły we Wielką, to na narożniku z Garbarami żeśmy musiały przystanąć, bo jechał wóz z piwem.

– O, właśnie, był wóz z piwem – zgodziła się z młodszą siostrą Wera. – I ten wóz to był od Huggera.

– A skąd to niby wiesz, że od Huggera? – próbował upewnić się Tolek.

– No, jak niby skąd? – zdziwiła się Wera. – Przecie czytać umim, co nie, Trudka?

– Umi, pod Bogiem – potwierdziła młodsza i uderzyła się piąstką w pierś.

Tolka jednak wcale nie interesowało to, czy którakolwiek z nich umiała czytać. Jego zainteresował ten wóz. Bo skoro one widziały na moście Jadzkę z jakimś człowiekiem, to była duża szansa, że ten, co jechał wozem z piwem, widział ją również, a co najważniejsze – z wysokości swojego kozła mógł się przypatrzeć temu, który z nią tam stał. Nie było trudno go odnaleźć. Stróż na bramie w Browarze Huggerów bardzo chętnie zgodził się powiedzieć, kto jeździ na Śródkę z piwem. Tym chętniej, że nie bardzo lubił chodzić z obitą gębą, a taką możliwość zasugerował mu Tolek, przyłożywszy swoją pięść do jego nosa.

* * *

Wóz zatrzymał się przed mostem, żeby przepuścić nadjeżdżający od strony Garbar tramwaj. Zielony wagon oznaczony szóstką minął ich i dopiero wtedy woźnica pogonił konia. Wjechali na most Chwaliszewski.

– Co ni mom gadać, panie władza – Bartosik całkowicie zmienił ton. Chciał pokazać, że bardzo chętnie zgadza się na współpracę. – Ino że nie wiem, o co sie tak w szczegółach panu rozchodzi.

– Rozchodzi się o poniedziałek. Jechaliście mostem Chwaliszewskim. Widziały wasz wóz dwie dziewczynki. Jakżeście z Garbar zjeżdżali, to one szły od mostu w Garbary i was widziały.

Może i widziały – próbował sobie przypomnieć ten poranek, ale niewiele pamiętał. Kto by tam zwracał uwagę na jakieś kurwy?

– Tak, były tam dwie – skłamał dla świętego spokoju. Nie było co kręcić, jak ten tu i tak wszystko wiedział.

– A jak wjechaliście na most, to cożeście tam widzieli?

Wozak przez chwilę milczał, gorączkowo zastanawiając się, co widział. Nic nie widział. Most jak most. Taki sam jak zawsze. Pod nim rzeka, też ta sama, a dalej Chwaliszewo. Nagle przypomniał sobie, że gdy wtedy wjeżdżał na most, na lewo od niego stał tam jakiś człowiek i lał do rzeki. I przypominał sobie, jak obrzucił go niechętnym spojrzeniem i nawet splunął na ulicę.

– Już go se przypomniałem! – powiedział uradowany.

– Kogo?

– No, tego co tam lał z mostu do wody!

– Niby kogo?

– Jakiś gość tam stał i szczał jak świnia.

– Gdzie to było?

– No jak – gdzie? Na moście. Zaraz jak sie wjeżdża, prawie na samiuśkim początku, ino że trochę dalej, będzie z dziesięć metrów od początku. Znaczy się, jakby tak dobrze przymierzyć, to będzie gdzieś tu – wskazał miejsce wyciągniętym batem.

– A jak wyglądał ten człowiek?

– Jak? Normalnie. W kapeluszu i w palcie, wyglądał jak każdy, znaczy podobny do nikogo, tyle że... – tu przerwał na chwilę.

– Że co?

– Że mi się widzi, tak jakby to był ksiądz, ino że bez sukienki, ale w czarnych portkach. Ale żeby ksiądz lał z mostu do rzeki? To sie

w głowie nie mieści. Sodomia i Gomoria! Pewnie Niemiec – protestant.

Ale tego już fałszywy policjant nie słyszał. Gdy tylko wóz zatrzymał się przed skrzyżowaniem z Wielkimi Garbarami, mężczyzna zeskoczył na chodnik i zaraz zniknął w tłumie przechodniów.

Godzina 9.00 rano

Fischer wszedł do budynku Dyrekcji Policji i nie zwróciwszy nawet uwagi na dyżurującego w holu podoficera, poszedł marmurowymi schodami na górę. Jego pokój znajdował się na drugim piętrze. Idąc do góry, zastanawiał się, czy jego podwładny jest już w pracy. Zupełnie niepotrzebnie się zastanawiał, bo Albin Siewierski, zastępca komisarza, nie lubił przychodzić o tak wczesnej porze do biura. Dla niego godziny urzędowania w zasadzie nie istniały, zupełnie inaczej niż u Fischera. Ten wiedział, że dzień zaczyna się o ósmej, więc o ósmej punktualnie przekraczał próg swojego komisariatu. Dziś był tu jednak godzinę później, bo przed ósmą był już na terenie Targu Poznańskiego. To dzisiejsze zastanawianie się nad swoim zastępcą nie miało nic wspólnego z jakąś specjalną troską czy dbałością o niego. Fischer miał nadzieję, że nie zostanie go jak zwykle i dlatego nie będzie mu się musiał z niczego tłumaczyć. Nie, zaraz, on się mu przecież nie tłumaczył z niczego. Chodziło raczej o to, że Siewierski nieobecny o nic nie zapyta. A komisarz nie będzie mu musiał odpowiadać na pytania, szczególnie o tym, co wydarzyło się dziś rano. O tym powinien porozmawiać najpierw z komendantem i zanim się z nim naradzi, nikt inny o niczym nie powinien wiedzieć.

Otworzył drzwi do swojego pokoju. Na szczęście był pusty. Położył więc skórzaną teczkę na krześle z oparciami dla rąk, stojącym za jego służbowym biurkiem, a potem odruchowo poprawił granatową muchę spinającą biały, dobrze nakrochmalony kołnierzyk. Rzucił jeszcze okiem na mankiety wystające z rękawów marynarki, ale i one przedstawiały się bez zarzutu. Mógł zatem meldować się u swojego szefa.

Wszedł więc z pokoju i zszedł piętro niżej. Zastępca komendanta okręgowego Józef Tarkowski miał swój gabinet na pierwszym piętrze, na

wprost gabinetu komendanta okręgowego Teofila Ignatowicza, z tym że okna gabinetu zastępcy wychodziły na podwórze, a naczelnego na ulicę z widokiem na „Café Esplanade”.

Fischer wybrał drzwi po prawej stronie korytarza, czyli te prowadzące do gabinetu zastępcy. Stał przed nimi, a jego zwinięta w pięść dłoń zawisała w powietrzu. Nie zapukał. Potrzebował jeszcze chwili, żeby poukładać sobie wszystko w głowie, bo nagle ogarnęły go wątpliwości. Szedł do swojego bezpośredniego przełożonego, któremu winien był absolutną lojalność. A z drugiej strony był też jego dawny dowódca z wojska, który również miał wobec niego oczekiwania, co do zachowania absolutnej dyskrecji. Tam chodziło o honor pułku, a tu w grę wchodziło poczucie wzajemnego zaufania pomiędzy szefem a podwładnym. W tej sprawie występował w dwóch rolach: dawnego oficera pułku, z którym przeszedł cały szlak bojowy podczas wojny bolszewickiej, a także oficera policji, który nie powinien mieć żadnych tajemnic przed swoim pryncypałem. Jeśli zatai coś przed zastępcą komendanta, zachowa się lojalnie wobec pułkownika, natomiast jeśli powie wszystko swojemu szefowi, złamie słowo dane swojemu dawnemu dowódcy. Co w takim razie powinien zrobić człowiek honoru? I jak wybrnąć z tej sytuacji, żeby zachować twarz? Nie da się przecież zadowolić obu. Z tym że o śledztwie w sprawie zaginionego oficera wiedzieli tylko wojskowi, a zastępca komendanta nie miał o tym zielonego pojęcia. Ale mógł się dowiedzieć, bo sprawa dziś rano wymknęła się spod kontroli i za chwilę cały Poznań będzie mówił o zwłokach oficera odnalezionych na Targu Poznańskim.

Na razie zrobił, ile mógł, żeby sprawa się nie rozniosła, ale prawda była taka, że wiele zrobić nie mógł. Za dużo było świadków.

Gdy tylko dostał informację o tym, że w wykopie znaleziono ciało oficera, natychmiast poszedł na to miejsce. Na szczęście ze swojego mieszkania na Matejki nie miał daleko. Szczęśliwie też, że o nieboszczyku majster z budowy poinformował komisariat na dworcu kolejowym. Meldunek przyjął, i tu kolejny szczęśliwy traf, starszy przodownik Erwin Ryś, były podoficer piechoty, który służył razem z Fischerem w wojsku. Gdy ten przybył na miejsce, zaraz zorientował się, że sprawa jest śmierzcząca. Na wszelki wypadek kazał robotnikowi na powrót przysypać zwłoki piachem, żeby nie wystawiać ich na widok gawiedzi i dodatkowo

zostawił jeszcze swojego podkomendnego przy rowie z zadaniem niedopuszczania nikogo w pobliże, a sam pobiegł do mieszkania Fischera. Zastał go akurat w momencie, gdy ten szykował się do wyjścia z domu. Miał już na sobie mundur i teczkę ze sznytami na drugie śniadanie, które przyniosła mu jak zwykle Jadwisia, gosposia właścicielki domu.

Po kwadransie dwaj policjanci byli już na miejscu. Fischer rozejrzał się dookoła. Przy rowie stał tylko samotny posterunkowy z karabinem Mosina na ramieniu. Zapewne żeby wyglądać groźnie, postawił na sztorc długi i cienki bagnet. Zaciekawieni robotnicy trzymali się z daleka. Siedzieli na stertach cegieł, ułożonych równo wzdłuż wnoszonej właśnie ściany nowego pawilonu targowego.

Komisarz pochylił się nad rowem. Z piasku wystawały tylko obcasy i podeszwy oficerskich butów.

– Szlag by trafił – rzucił oficer. – No, to jest niezła kołomyja!

– Tak mi się też zdawało, panie kapitanie – potwierdził Ryś. – I w związku z rzeczoną sytuacją poleciałech do pana kapitana, co by jakiego papudroka nie wpuszczać na miejsce.

– I dobrze żeście zrobili, sierżancie. – Fischer, podobnie jak Ryś, szybko przeszedł na stopnie wojskowe, zapominając o rangach policyjnych. Jakoś tak obu było im łatwiej. W końcu stare porzekadło mówiło, że wojskowa skóra druga natura.

– Co dalej, panie kapitanie? – zapytał przodownik ocierając pot z czoła, choć wcale nie było gorąco. Wręcz przeciwnie, ranek był raczej chłodny.

– Przyprowadźcie mi tu tego majstra od budowy.

Ryś natychmiast poszedł w kierunku grupy pracowników. Po chwili wrócił z solidnie zbudowanym nadzorcą pracowników.

– Nazwisko? – rzucił krótko oficer.

– Piontek Karol syn Zdzisława – majster wyprostował się jak żołnierz na zbiórce. Nieco podstarzały żołnierz, któremu za nic w świecie nie udałooby się wciągnąć zbyt okazałego brzucha. Ale postawa zasadnicza była bez zarzutu.

– Wy służyliście w wojsku? – Fischer zmierzył go fachowym spojrzeniem.

– Tak jest! Szósty pułk grenadierów!

– Bardzo dobrze – Fischer pokiwał głową z uznaniem. To w pewnym

sensie ułatwiało sprawę.

– Wasz stopień służbowy?

– Feldfebel.

– Bardzo dobrze. W takim razie słuchajcie, Piontek. Przede wszystkim to, co tu widzicie, to ja z mocy urzędu obejmuję tajemnicą wojskową. To się nie może roznieść. Zrozumieliście?

– Tak jest, panie komisarzu!

– Bardzo dobrze.

– A kto jeszcze widział, co tu się stało?

– Ten, co tu kopał, i trzech od taczek. To ci, co tam se siedzą. Nie kazałem im już iść do roboty, co by się gdzie nie stracili.

– To dajcie ich tu wszystkich.

Piontek ustawił ich w szeregu przed komisarzem. Ten założył ręce do tyłu i przeszedł przed tym szeregiem jak dowódca przed bitwą, a potem odwrócił się do nich.

– Szanowni panowie – zaczął, a panowie, wyglądający jak szuszwole, aż pokraśniali z dumy, gdy usłyszeli, w jaki sposób się do nich zwraca ten postawny oficer. Nie powiedział na przykład: słuchajcie, szmaciarze, ale mówiąc „panowie”, pokazał, jak bardzo ich szanuje. To się musiało podobać.

– Wiecie, co to jest tajemnica wojskowa?

Wszyscy pokiwali głowami, ale żaden nie śmiał się odezwać, bo w końcu nie zapytał konkretnej osoby, więc nie mogli odpowiadać.

– Jak wiecie, to bardzo dobrze. To znaczy się, że wiecie też, co za zdradę takiej tajemnicy może czekać zdrajcę?

– Za zdradę jest pluton egzekucyjny – wyrwał się Szymura, który znał się na tym jak nikt z pozostałych, bo podczas Wielkiej Wojny był raz wyznaczony do plutonu egzekucyjnego, kiedy trzeba było rozstrzelać takiego jednego Niemca, co to zdezerterował, a dowódca, kapitan Hoffman, wytłumaczył im, że uciezka z pola bitwy i dezercja to zdrada towarzyszy broni i za taką zdradę może być tylko jedna kara. I od tego czasu Szymura wiedział, co to jest zdrada, i co się robi ze zdrajcą, tylko nie bardzo wiedział, jakiej zdrady dokonał ten, co tam leżał w rowie, bo przecież teraz żadnej wojny nie było, a ten zdrajca wcale nie był rozstrzelany, tylko obcięli mu łeb. W każdym razie musiał zdrowo zachachmęcić, że mu ten łeb obcięli. Zastanawiające też było, czemu go

tu wrzucili pod ten piach, a nie zakopali gdzieś w jakimś przyzwoitym miejscu, choćby pod murem w koszarach. No, ale to nie była przecież jego sprawa. Niech się o to martwią policjanci i wojskowi. Od tego przecież są.

– I to się właśnie zgadza w całej rozciągłości – potwierdził Fischer. – Za zdradę dostaje się kulę w łeb! – powiedziawszy to, zlustrował uważnie twarze robotników. Żadna z nich nie wyrażała jakiegokolwiek emocji.

– W związku z zaistniałą sytuacją informuję więc panów, że to, coście tu widzieli – wskazał ręką wykop z trupem oficera – objęte zostaje tajemnicą wojskową, której zdradzać nie można pod żadnym pozorem. A to znaczy, że nie wolno wam chlapać ozorem i gadać o tym z kimkolwiek. Czy to jest jasne?

Robotnicy pokiwali głowami. Tylko jeden z nich, ten, który wiedział czym jest zdrada, chyba nie do końca pojął w czym rzecz, bo podniósł rękę do góry.

– Czegoś nie zrozumieliście? – zapytał oficer.

– Ja względem tej tajemnicy wojskowej.

– No!

– To znaczy się, jak nikomu nic nie gadać, to nikomu, ale jak człowiek pójdzie do spowiedzi, to co robić?

– Trzymać mordę na kłódkę – wtrącił się drugi policjant, ten z rangą przodownika.

– A czy to pan obciął głowę delikwentowi? – zapytał Fischer.

– Ja? – zdziwił się Szymura. – Pod Bogiem, że to nie ja!

– No to z czego chcecie się księdzu spowiadać? Przecież spowiada się ze swoich grzechów, a nie z cudzych.

– No, tak – potwierdził robotnik, najwyraźniej uspokojony.

– No to na koniec powiem panom jeszcze, że jak się dowiem, że ktoś z was coś komuś o tym wszystkim rozpowiadał, to obiecuję, że sam własnoręcznie wsadzę takiego gościa do więzienia i przed sądem wojennym postawię. Zrozumiano?

– Tak jest – odpowiedzieli zgodnym chórem robotnicy.

Fischer zrobił więc to, co się dało zrobić w tej sytuacji, żeby wieść o dekapitowanym oficerze nie rozniosła się po mieście. Mimo to i tak czuł, że to wszystko mało. Może powinien tych robotników wsadzić na kilka dni do kozy? Wówczas przynajmniej na chwilę zapewniłby

dyskrecję sprawie. Ale z drugiej strony, przecież ci ludzie nie mieli z morderstwem nic wspólnego. Jego podwładny Siewierski nie miałby pewnie z tym żadnego problemu. Raz, dwa i świadkowie siedzieliby w celi. No, ale właśnie tym się od siebie różnili i Fischer wcale nie chciał stosować metod swojego podwładnego. Teraz musiał zrelacjonować wszystko swojemu przełożonemu. Jeszcze raz poprawił pas i obciągnął bluzę munduru, a potem zapukał do drzwi.

– Wejść! – usłyszał głos asystenta ordynansa, zastępcy komendanta okręgowego.

Wszedł do środka. Ordynans siedział za dębowym biurkiem nad kartką papieru z ołówkiem w dłoni. Na widok Fischera z wyraźnym ociąganiem podniósł się z krzesła. Dwudziestokilkuletni ordynans Strzelecki był zaledwie podoficerem, ale przychodzących do gabinetu szefa policjantów, nawet wyższych od siebie rangą, traktował z pewną wyższością, jakby to on sam był tu szefem.

– Muszę mówić z komendantem – powiedział Fischer, stając krok od biurka.

– Komendant zajęty – wyjaśnił obojętnym tonem Strzelecki i usiadł na powrót. – Nikogo nie przyjmuje teraz.

Na ten przejaw lekceważenia ze strony człowieka niższego stopniem Fischer wewnątrz aż się cały zagotował. Zmierzył młokosa ostrym spojrzeniem, podszedł do biurka, oparł się o blat dłońmi i pochyliwszy się w kierunku ordynansa, wysyczał mu prosto w twarz:

– Podnoś dupę i fyraj do komendanta na jednej nodze. Masz mu powiedzieć, że komisarz Fischer jest tu z polityczną sprawą i że natychmiast musi się z nim widzieć.

– Ale komendant...

– Żadne ale, ćwoku! Albo idziesz do komendanta, albo sam tam wejdę!

Strzelecki poderwał się na równe nogi i podbiegł do drzwi prowadzących do gabinetu szefa. Musiał tam wejść i przekazać mu, co ten impertynencki Fischer tu wyrabia. Z czymś takim się jeszcze nie spotkał w czasie swojej niemal rocznej pracy w tym biurze i dlatego miał nadzieję, że dowódca za chwilę postawi tego Fischera do karnego raportu. Komendant zawiódł całkowicie jego nadzieje. Usłyszawszy od ordynansa, że Fischer przybył w sprawie politycznej, kazał go wołać natychmiast, nie dając ordynansowi najmniejszej szansy na

przedstawienie swoich racji. Zajęty komendant nawet nie sprzątnął talerzyka z kanapką z biurka, świadcząco dobitnie jak bardzo był w tym momencie zajęty. Fischer nie zwrócił jednak na to uwagi. Stał przed biurkiem w przepisowej odległości, poczekał chwilę aż ordynans zamknie drzwi, a potem zameldował:

– Panie komendancie, mamy problem natury politycznej o podłożu kryminalnym albo kryminalny o podłożu politycznym.

Tarkowski spojrział na niego jak na człowieka niespełna rozumu.

– Może pan wyrażać się jaśniej, komisarzu?

– Na budowie pawilonu wystawienniczego na Targu Poznańskim znaleziono dziś rano zwłoki oficera piechoty z obciętą głową.

– Co...?

– Wszystko wskazuje na to, że to porucznik, który dwa dni temu zaginął.

– Jak to, zaginął? Nie widziałem żadnego zgłoszenia o zaginięciu wojskowego.

– Bo zgłoszenia nie było. Wojsko szukało go samo. Ale bez skutku. Jak widać, nie mogli go znaleźć, bo leżał zakopany na placu budowy...

– Czy aby na pewno nie żyje? – wolał się upewnić Tarkowski.

– Zimny trup.

– A co z nim, znaczy z trupem?

– Wojsko zabrało.

– Aha – ucieszył się komendant. – Znaczy dla nas sprawy nie ma?

– Nie ma, ale tak jakby była, panie komendancie. Bo wojsko zwróciło się do mnie z prośbą o pomoc w rozwiązaniu tej sprawy.

– Jak to – do pana?

– Bo nieboszczyk jest, to znaczy był żołnierzem mojego pułku.

– A no tak, rozumiem. Czyli kryminalnej sprawy w jurysdykcji policyjnej nie ma, jest za to sprawa wojskowa i polityczna, a pan ją masz wyjaśnić.

Fischer pokiwał głową zadowolony. Komendant zrozumiał w mig, że lepiej będzie dla policji, jeśli wojsko samo upora się z tą sprawą, a że pomoże im w tym policjant, to tylko lepiej. Dla policji lepiej oczywiście, jeśli będzie można im w tym pomóc. Kto wie, jakie taka uprzejmość może przynieść w przyszłości profity. Z wojskiem trzeba dobrze żyć.

– To ja w tej sytuacji, panie komisarzu, daję zgodę w zaangażowanie

pana w to wojskowe śledztwo, oczywiście pod warunkiem, że nie będzie to kolidować z normalną działalnością policyjną.

– Oczywiście, że nie będzie, panie komendancie. Sprawę morderstwa prostytutek poprowadzi komisarz Siewierski, oczywiście pod moim nadzorem.

Komendant uśmiechnął się od ucha do ucha. Nie mogło się stać lepiej. Wreszcie Albin Siewierski, kuzyn jego żony, będzie mógł pokazać, na co go stać. Nareszcie ten zdolny chłopak będzie mógł rozwinąć skrzydła, a Fischer niech sobie szuka mordercy tego żołnierza. Skinął więc głową na znak aprobaty, pozwolił się komisarzowi odmeldować i gdy w gabinecie został sam, sięgnął po niedokończoną kanapkę z kotлетem siekanym, który został z wczorajszego obiadu.

Godzina 9.15 rano

Kryśka Barciak skręciła z Wielkich Garbar w Groblę. Przeszła szybko ten niewielki fragment ulicy, mijając Magiel Antczaka, przy którym jak zwykle stały kobiety, czekające na odbiór swoich oddanych tu do wykrochmalenia i wymaglowania obrusów, poszew i prześcieradeł. Kryśka знаła z widzenia kilka z nich, a i one wiedziały, co to za jedna, dlatego gdy przechodziła obok, odwróciły się do niej plecami. W końcu porządne żony i matki nie będą tracić czasu na przyglądanie się takiej wywłoce, co to sprowadza na złą drogę porządnych mężczyzn. Przyspieszyła kroku, zagryzając wargi, bo opuchnięte kolano bardzo jej doskwierało. Rozbiła je, gdy spadła z taboretu na cementową podłogę po tym, jak ten policjant uderzył ją w twarz. Do tej chwili nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ją tam wtedy uderzył. Nie rozumiała, co mogło siedzieć w takim człowieku, który gdy byli razem w hotelu potrafił być taki delikatny i opiekuńczy, a podczas przesłuchania okazał się nie lepszy od tych wszystkich, którzy nieraz okładali ją pięściami za nic.

Pod rzeźnikiem na Mostowej stała długa kolejka. Ze dwadzieścia osób stało w niej cierpliwie z aluminiowymi kankami w dłoniach. Poczują intensywny zapach kiszczonki, czyli wody od parzenia kiszki kiełbasianej. Taką wodę sprzedawano w każdym sklepie rzeźnickim za

grosze, a ludzie kupowali ją, żeby na tym wywarze ugotować zupę. Poczła intensywny, smakowity zapach kiszczonki i momentalnie zrobiło jej się niedobrze. Od wczorajszego wieczora nic nie jadła. Wczoraj w celi dostała kubek kawy zbożowej i jedną pajdę czarnego gliniastego chleba. Rano też powinna dostać takie samo śniadanie, ale strażnik powiedział jej, że wychodzi, więc chleb już się jej nie należy i musiała obejść się tylko tą paskudną kawą z palonej cykorii. Dobrze, że choć tę kawę dali, bo przecież jak się już nie należało, to mogli nic nie dać. A tak przynajmniej rozgrzała sobie na chwilę żołądek. A teraz, gdy poczuła ten smakowity zapach kiełbasiany, zachciało jej się jeść. Czym prędzej przeszła więc na drugą stronę ulicy, by uciec od tych delikcji o aromacie czosnku i majeranku.

Z aresztu na Młyńskiej wypuszczono ją zaledwie przed kwadranssem. Nikt jej niczego nie powiedział, niczego nie wyjaśniono, tylko kazano iść do domu i nie wyjeżdżać nigdzie z miasta, bo ma być do dyspozycji policji. A dokąd to niby miała wyjeżdżać? Nie miała pieniędzy na jedzenie, a co dopiero na bilet kolejowy. Zresztą nawet jakby miała na ten bilet, to i tak nie było dokąd jechać. Przecież nie pojedzie do rodziny na wieś, bo nikt tam na nią nie czeka. Jedyne, co mogła zrobić, to wrócić do swojego mieszkania. O ile w ogóle miała jeszcze jakieś mieszkanie. Przecież ten administrator, któremu winne były pieniądze za czynsz, mógł już spakować ich lichy majątek i wyrzucić na ulicę, a pokój wynająć komu innemu. Nie było jednak rady. Musiała to sprawdzić. Na prawo, pod drugiej stronie ulicy był bar „U Okonia”. Przez chwilę zastanawiała się, czy tam nie wejść, bo niekiedy mogła tam dostać coś do zjedzenia na borg. Ale zaraz przypomniało jej się, że nie uregulowała jeszcze poprzedniego rachunku. Trzeba było zrezygnować z normalnego jedzenia i przyrzadzić sobie coś w domu. Pamiętała, że w szafie miała jeszcze w lnianym woreczku trochę kaszy jęczmiennej. Można by ją ugotować i będzie czym zapchać żołądek. Potem trochę się wyśpi, żeby tak dotrzeć do wieczora, no a później spróbuje wyjść do miasta. Może uda jej się kogoś znaleźć, kto byłby chętny z nią pójść. Nie widziała żadnej innej możliwości, choć wiedziała też, że z tą obitą gębą będzie jej trudno. No, chyba żeby poszła pod któreś koszary. Co prawda żołnierze kiepsko płacili, ale byli też mniej wymagający i rzadko który zwracałby uwagę na obitą gębę dziewczynki. Tak, to jest dobry pomysł. Trzeba

pójść pod koszary na Solną i spróbować.

Weszła w bramę swojej kamienicy i stanęła jak wryta. Gospodarz Heidemann stał wewnątrz, dłubiąc wielkim paluchem w nosie. Gdy ją zobaczył, szybko spuścił rękę na dół, otarł ją o spodnie i uśmiechnął się szeroko. Pomyślała, że tym razem chyba jej się uda, bo uśmiech ten mógł oznaczać, że Niemiec ma silną potrzebę.

– Guten Tag Fräulein Kristine – powiedział, uśmiechając się przyjaźnie.

– Dla kogo guten, dla tego dobry. Ja nie wiem, czy dla mnie dobry.

– Aber warum?

– Bo nic zarobku nie ma, a do tego jeszcze oko podbite. I kto mie zechce. Na czynsz nie mam.

– Czynsz glupstwo, Fräulein Kristine. Ihr Bruder wszystko zapłacił. Alles fertig. Za zwei Monate zapłacił.

Kryśka z niedowierzaniem popatrzyła na administratora.

– Jak to? – Nie mogła uwierzyć w to, co słyszała. Przecież jej brat Jasiak mieszkał na wsi i miał teraz zaledwie dwanaście lat. Jak więc mógł zapłacić za nią czynsz, jak on nawet nie wiedział, gdzie ona mieszka. Zaraz, zaraz, on nie mógł, więc musiał to być kto inny.

– Jak on wyglądał?

– Kto wyglądał?

– No ten Bruder!

– Normalnie wyglądał, Mensch, grosser Mensch!

Coś tu było nie w porządku. Co za brat i dlaczego zapłacił za jej pokój? To się na pewno niedługo wyjaśni, ale najważniejsze przecież było to, że miała dokąd wrócić.

– To ja idę do domu, panie Heidemann. Muszę odpocząć trochę.

– Natürlich Fräulein Kristine, auf Wiedersehen.

Ruszyła w kierunku podwórza, odprowadzana łakomym, ale najwyraźniej zupełnie trzeźwym spojrzeniem Heidemanna. Tam znajdowało się wejście do oficyny, w której mieszkała. Po chwili była już na ciemnej klatce schodowej, na której śmierdziało kiszoną kapustą i gotowanymi pyrami. Popędziła szybko na górę po skrzypiących drewnianych schodach. Przed drzwiami przystanęła, żeby poszukać w torebce klucz. Włożyła dłoń do płóciennej wyszywanej torebki i natrafiła na tę delikatną jedwabną chusteczkę. Pomyślała, że trzeba będzie ją szybko zamoczyć, żeby te plamy krwi zeszyły, bo szkoda było

takiej pięknej chustki. Klucz był w środku. Wydobyła go i włożyła w dziurkę, ale nie dało się przekręcić, tak jakby drzwi były odkluczone. Nacisnęła klamkę i drzwi ustąpiły. Przecież pamiętała, że wychodząc z domu, zamknęła te drzwi na klucz. Zawsze zamykała. Jadźka też tego pilnowała, choć tak po prawdzie była to zupełnie niepotrzebna przezorność, bo przecież żaden złodziej nie połasiłby się na ich skromny majątek. Weszła do środka. Na korytarzyku prowadzącym do pokoju jak zwykle było ciemno. Po omacku zdjęła więc buty i na boso weszła do pokoju. Wewnątrz panował półmrok. O tej porze przed południem nie dochodziło tu jeszcze słoneczne światło. Dopiero później, gdy słońce było już wysoko, promienie słoneczne wchodziły do środka przez to niewielkie okienko i oświetlały dwa łóżka, skromną szafonierkę z sośniny, okrągły stół i trzy krzesła, każde z innej parafii. Przy drzwiach stał jeszcze metalowy stojak z miednicą i aluminiowe wiadro do wody, którą trzeba było przynosić z trzeciego piętra, bo tylko tam dochodziły rury.

Weszła do środka i obrzuciła to skromne pomieszczenie uważnym spojrzeniem. Coś tu było nie tak. Na jej łóżku było jakby za dużo bambetli. Podeszła więc do okna, żeby odsunąć grubą brązową zasłonę. Kupiły ją rok temu, żeby za dnia okno nie wpuszczało za dużo słońca, bo przecież właśnie wtedy, gdy robiło się w tym pokoju najjaśniej, one odsypiały nocną robotę. Chwyciła za frędzle i pociągnęła w lewo. Światło wpłynęło do wnętrza. Odwróciła się, podążając spojrzeniem za światłem i zamarła z przerażenia. To, co wzięła za stertę poduszek i koców na jej łóżku, nagle się poruszyło. Już chciała krzyknąć, gdy nagle spod pościeli wysunęła się krótko ostrzyżona głowa. Poznała ją natychmiast. Zaspany Tolek Grubiński przymrużywszy oczy, omiótł pokój nieprzytomnym spojrzeniem. Dostrzegłszy Kryskę uśmiechnął się, a potem opadł z powrotem na poduszkę, jęknąwszy cicho. Dopiero teraz dostrzegła, że na jednym z krzesel wisi ciemna marynarka męska, pod nią wiśniowa kamizelka, a na siedzeniu ułożone są równo, zgodnie z kantami, czarne spodnie. Pod krzesłem zaś stoją kamasze typu sztylpy. Tolek najwyraźniej wprowadził się do niej, nie zapytawszy jej o zgodę. Do tego jeszcze zapłacił czynsz z góry, tak jakby jej w ogóle tu nie było, jakby się wcale nie liczyła. Tego było już za wiele. Co on sobie wyobrażał?

Wzięła się pod boki, stanęła nad łóżkiem, a potem szarpnęła zielony

wojskowy koc, który kupiła z wyprzedaży niemieckich magazynów wojskowych na Cytadeli.

– A kto, do jasnej cholery pozwolił ci się tutaj zagnieździć? – warknęła najbardziej nieprzyjemnym głosem, na jaki ją było stać. Po tym pobycie w mamrze czuła lekkie przeziębienie, więc i głos musiał się jej nieco obniżyć. Zabrzmiała więc nader przekonująco. Tolek zdziwiony znów podniósł głowę.

– Krychna, zawrzyj gębę, bo mnie łeb boli jak chłelera. Opity jeszcze jestem ździebko.

– Ja ci dam Krychna. Na moim wyrze leżysz jak klofta, łachudro jedna, i w mojej chacie jeszcze. A pytałeś kogo o pozwolenie?

– A kogom miał pytać, jakżeś siedziała na Młyńskiej?

– A to skąd niby wiadomo, żeś siedziała?

– Stąd, że tych, co znali Jadźkę, zgarnęli.

– Wszystkich? A ciebie to niby czemu nie?

– Bo mnie żywcem nie wezną. Muszę gdzie przeczekać, aż się to wszystko uspokoi.

– I co? U mnie chcesz czekać?

– A niby to gdzie? Przecie do siebie do chaty się nie wróce, bo zara mnie zgarną.

Kryśka spojrzała na niego bezradnie. No i co miała z nim zrobić? Przecież to prawda, że jakby poszedł do siebie, to zaraz by go capnęli. Musiała się zgodzić, żeby u niej został na jakiś czas. Podeszła do stołu i usiadła na krześle. Tolek usiadł na łóżku. Ubrany był tylko w kalesony i podkoszulkę, ale to jej wcale nie przeszkadzało, skoro zaczęła się już godzić z jego obecnością.

– Głodna jestem – powiedziała, chyba nawet nie do niego, a bardziej do siebie. On jednak natychmiast zareagował.

– Łe, no to czemu nic nie gadasz. Zaraz ci co naszykuje.

– A co? – zainteresowała się jak mała dziewczynka.

– Prawdziwa ucztą!

Wstał z łóżka i podszedł do szafonierki. Otworzył drzwiczki, nachylił się, a potem wyciągnął coś ze środka. Obserwowała go uważnie, zaciekawiona, co też mógł wygrzebać z tej zawsze pustej szafki.

On podszedł do stołu i z zadowoloną miną postawił na nim miseczkę ze smalcem, połówkę chleba i duży kawałek suszonej kiełbasy. Nachylił się

nad nią i wydobyl z kieszeni marynarki ostry jak brzytwa nóż sprężynowy. Potem tym nożem ukroił kilka grubych sznytek, każdą posmarował smalcem ze skwarkami, a wszystko to przyozdobił jeszcze solidnymi plastrami kiełbasy.

Kryśka patrzyła na to wszystko jak urzeczona. Nie pamiętała, kiedy ostatnim razem miała przed sobą tak wykwintne danie. Tolek tymczasem sięgnął pod stół i wyciągnął stamtąd dwie butelki jasnego piwa.

– O, proszę, jest i piwo do popicia. Świeżutkie, wczoraj zakupione. Niech się panna hrabiania częstuje, na zdrowie.

Wzięła kawałek chleba do ręki i nagle poczuła, że po policzkach spływają jej łzy. Ale nie płakała ze smutku. Płakała, bo była szczęśliwa, że ktoś w tak piękny sposób się nią zaopiekował. Drugą ręką otarła łzy. Tolek wziął tę rękę delikatnie w swoją wielką łapę, pochylił się nad nią i pocałował. Poczuła, jak dreszcze przechodzą przez całe jej ciało. Nikt jeszcze nigdy nie pocałował ją w rękę. Poczuła się rzeczywiście jak wielka hrabiania. Tolek tymczasem, trzymając ją cały czas za rękę, spojrzał jej prosto w oczy.

– Krychna, ty nie płacz, kochana. Ja tobie obiecuję, że ja tego, co zabił Jadźkę, znajde i wypatrosze jak wieprzka. A jak nie, to niech mnie tu na miejscu piorun jasny strzeli.

Ale ona wcale nie myślała o Jadźce, patrząc w te jego głębokie zielone oczy.

Godzina 10.30 przed południem

– Po czym pan to poznaje? – zapytał Fischer pochylony nad zwłokami w mundurze, które oczyszczone z piachu leżały na zwykłym szpitalnym łóżku. Łóżko wstawiono do niewielkiej izolatki w piwnicy Szpitala Okręgowego nr VII przy ulicy Wały Jana III, który był szpitalem wojskowym. W związku z tym, że personel szpitala stanowili żołnierze, można było bez większych problemów przewieźć tu zwłoki i w niebudzący sensacji sposób poddać je oględzinom. Dlatego jeszcze na miejscu znalezienia zwłok Fischer zarządził, by przodownik Erwin Ryś

wezwał do ich przewiezienia ambulans wojskowy.

Zwłoki przeniesiono do tego niewielkiego pomieszczenia i zamknięto na klucz. Fischer zakazał tam kogokolwiek wpuszczać. Przed chwilą wszedł tu z kapitanem Jażdżewskim, który powinien zidentyfikować zwłoki, choć zadanie było utrudnione, bo odciętej głowy nigdzie nie znaleziono.

– To na pewno on, panie komisarzu – potwierdził kapitan Jażdżewski. – Jestem o tym przekonany.

– To zapytam jeszcze raz, po czym pan to poznaje? Albo jeszcze inaczej, na czym opiera pan swoje przekonanie?

Żołnierz milczał przez chwilę, mocno się zastanawiając. Wiedział, że musi być jak najbardziej wiarygodny dla tego policjanta, a wiarygodność budowało się przecież na profesjonalnym podejściu do rzeczywistości. A on był profesjonalistą. W końcu był dobrze wykształcony, skończył liceum i zdał maturę. A potem walczył w wojnie bolszewickiej i w końcu trafił jako oficer do służby czynnej. Miał więc solidne przygotowanie teoretyczne połączone z istotną wojenną praktyką, a to oznaczało, że był fachowcem, czyli swój osąd musiał oprzeć na faktach.

– Moje przekonanie bierze się stąd, panie komisarzu, że jest to człowiek w mundurze podporucznika z oznaczeniami naszego pułku. A o ile mi wiadomo, żaden inny podporucznik z naszego pułku nie zaginął. Ergo – tu wtrącił łacińskie słowo, żeby dodać powagi swojemu wywodowi – to musi być porucznik Karpiński.

Fischer pokiwał głową z uznaniem – tak przynajmniej zdawało się Jażdżewskiemu, który był święcie przekonany, że rozwiał wątpliwości policjanta.

– A jak się panu wydaje, dlaczego ów oficer został pozbawiony głowy?

Kapitan wzruszył ramionami. A skąd do cholery miał to wiedzieć? Czy on jest mordercą albo choć potrafi wejść w głowę i w myśli takiego mordercy? Nie miał pojęcia dlaczego. Jednak musiał coś odpowiedzieć, żeby nie wyjść na kompletnego ignorantę.

– Najprawdopodobniej przestępca chciał go w ten sposób ukarać. Tak jak skazuje się przestępców na ścięcie, tak on chciał ukarać za coś Karpińskiego.

– Ciekawa teoria – uśmiechnął się Fischer, nie spuszczać cały czas wzroku z trupa. Potem wyjął z kieszeni na piersi długi ołówek i tym

ołówkiem odchylił kołnierz kurtki mundurowej i zajrzał do środka w miejsce, gdzie powinna tkwić głowa.

– Równe cięcie – powiedział jakby z uznaniem. – Powiedzieć by można: rzeźnicza robota.

– To niby pan komisarz sugeruje, że powinniśmy szukać sprawcy wśród rzeźników? – zdziwił się kapitan.

– Ja jeszcze niczego nie sugeruję. Ja, panie szanowny, jak na razie tylko badam zwłoki.

Obszedł ciało nieco z boku, a potem pochylił się nad korpusem i szybko zaczął rozpinać guziki kurtki mundurowej. Po chwili odsunął na boki jej poły. Pod spodem była zwykła płócienna koszula, biała w delikatne niebieskie prążki.

Zadowolony Fischer popatrzył na żołnierza.

– No i co pan na to powie, panie kolego? – zapytał, jakby właśnie odkrył coś niezwykłego. Ale Jażdżewski niczego niezwykłego nie zauważył. Pochylił się nawet niżej, lecz nic to nie dało. No, może poza jednym. Koszula chyba nie była pierwszej świeżości.

– Trochę jakby brudna.

– Brudna? – wykrzyknął policjant. – Panie, przecież to widać na pierwszy rzut oka, że ta koszula jest uświniona. Czy pański podwładny był niechlujem? Czy przychodził do pracy brudny i śmierdzący?

– W żadnym wypadku – zaprzeczył natychmiast kapitan. – Ja bym nawet powiedział, że porucznik Karpiński był człowiekiem nadzwyczaj dbającym o higienę osobistą.

– Więc raczej nie włożyłby pod mundur takiej szmaty?

– No, raczej nie – Jażdżewski zgodził się z policjantem. – Tyle że on przecież był przysypany ziemią, więc mógł się pobrudzić, prawda?

– Otóż nie, szanowny panie.

– Jak to?

– Ciało leżało w wykopie najwyżej przez jedną noc. Wiem to stąd, że majster z budowy powiedział, że rów wykopano wczoraj dla położenia elektrycznego kabla. Więc wczoraj jeszcze go tam nie było. Za dnia nikt by tam ciała nie podrzucił, bo wszędzie kręcą się robotnicy. Pozostaje więc noc. Nocą ktoś wrzucił trupa do rowu i przysypał piachem. Piachem, szanowny panie, nie ziemią. A piach był suchy, ze sterty. W nocy na pewno nie padał deszcz, więc nie było w piachu wilgoci. Bo gdyby była

wilgoć, to wraz z piachem przeszłaby pod mundur i mogłaby zabrudzić koszulę. Ale nie przeszła, a koszula brudna. I jak pan to wytłumaczy?

– Że w takim razie założył brudną koszulę?

– Nie, panie! To oznacza, że ten tu chodził w brudnej, niezmiętej od kilku dni i śmierdzącej koszuli. A skoro to niepodobne do pańskiego kolegi, to może to oznaczać, że to nie jest on.

– Nie on? To nie jest Karpiński?

Fischer nie odpowiedział, ale wskazał tym swoim ołówkiem na dłonie nieboszczyka złożone na brzuchu.

– Niech no pan się przyjrzy jego paznokciom.

Zaciekawiony kapitan pochylił się. Przez chwilę bacznie się przypatrywał, a potem, gdy już się napatrzył, wyprostował się i spojrzał na policjanta.

– Palce ma takie, jakby grzebał nimi w ziemi.

– Słuszna obserwacja! Brawo, panie kolego. To nie są palce oficera, ale palce robotnika.

– Może przed śmiercią się ubrudził? Sam już nie wiem.

– Pamięta pan wojnę bolszewicką?

– Oczywiście.

– A pamięta pan opowieści naszych szeregowców, którzy dostali się do niewoli, w jaki sposób bolszewicy rozpoznawali wśród jeńców oficerów?

– Po dłoniach!

– No właśnie, po dłoniach. I my właśnie, tak jak bolszewicy, badając jego dłonie, możemy z całą pewnością stwierdzić, że ten tu osobnik nie jest naszym zaginionym porucznikiem Karpińskim. To jest, panie, ktoś przebrany w jego mundur.

Jażdżewski z niedowierzaniem pokręcił głową. Nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Co to za dziwne przedstawienie i po co ktoś miałby ubierać kogoś w mundur porucznika?

– Nic z tego nie pojmuję. Co to do diabła ma znaczyć?

– Jeszcze tego nie wiemy, ale możemy się już czegoś domyślać.

– Niby czego?

– Ano tego, że komuś bardzo zależy na tym, żebyśmy uwierzyli, że nasz porucznik Karpiński nie żyje. Zależy mu tak bardzo, że podsunął nam trupa. Tyle że trup zapewne nie był zbyt podobny do Karpińskiego, więc obcięto mu głowę i gdzieś wyrzucono. Pewnie za kilka dni głowa się

gdzieś znajdzie. Ale ona nie jest tu istotna. Istotne jest to, że przez ten czas mamy myśleć, że Karpiński nie żyje. Zrobiono to całkiem sprytnie, zapewne licząc na to, że śledztwem zajmie się ktoś, kto nie ma pojęcia o policyjnej robocie. Liczono na to, że śledztwo poprowadzą wojskowi, którym wystarczy mundur, by zidentyfikować zwłoki.

– To tak jak mnie – powiedział Jażdżewski, robiąc przy tym zmartwioną minę. Potrafił przyznać się do błędu, nie tylko przed samym sobą.

– Bo pan nie masz policyjnego doświadczenia! I o to chodziło sprawcy czy sprawcom.

– Przeliczyli się.

– Tak, ale nie wiedzą o tym i to nam daje przewagę!

– Jaką?

– Zrobimy wszystko tak, jakbyśmy wierzyli w śmierć Karpińskiego.

– Aha! Klepsydry w gazetach...

– O to właśnie się rozchodzi, kapitanie. Niech uważają, że niczego się nie domyślamy.

– I co to nam da, komisarzu? – zapytał oficer, najwyraźniej podekscytowany myślą o grze, która właśnie się rozpoczyna. Ale odpowiedź policjanta najwyraźniej wcale go nie usatysfakcjonowała.

– A skąd ja to mogę wiedzieć? Czy ja wyglądam jak Pytia delficka?

Godzina 12.00 w południe

Tolek zamówił kolejne piwo. Bufetowy nalał mu pełny kufel i przesunął na brzeg lady. Z tym pełnym kuflem wrócił do stolika, przy którym siedział sam. Na Wielkich Garbarach, w piwiarni „Francuska”, która z Francją nie miała kompletnie nic wspólnego, o tej porze stali klienci dopiero zaczynali się schodzić. Przy kilku stolikach na ławach siedzieli ludzie pracujący w pobliskim porcie, ale było ich niewielu, bo po drugiej stronie ulicy było kilka innych knajp. Za to tutaj najchętniej przychodzili pracownicy pobliskiej rzeźni po fajrancie. Koło południa kończyło się codzienne szlachtowanie wieprzków i ci, którzy je sprawiali, szli albo do swoich domów, albo przed powrotem zmiierzali do piwiarni, żeby

przepłukać gardła. Tolek znał kilku z nich, a szczególnie dobrze jednego, którego wiara nazywała Gienas Bulaj ze względu na jego atletyczną sylwetkę. Bulaj pracował w rzeźni nożem, a jak trzeba było, to po pracy całkiem sprawnie używał swojego rzeźnickiego knypa do załatwiania różnych spraw, które wymagały użycia noża. Tolek nigdy nie korzystał z usług Gienasa, bo takie sprawy załatwiał zupełnie samodzielnie, ale obaj dobrze się znali i szanowali, jak dwaj prawdziwi zawodowcy. I dlatego teraz, gdy Tolek potrzebował informacji, natychmiast pomyślał o Bulaju. Wiedział, że ten zachodzi do „Francuskiej” prawie codziennie, dlatego postanowił, że dziś się z nim rozmówi.

Przyszedł nieco wcześniej, bo i tak nie miał nic lepszego do roboty. Najedzona Kryśka poszła spać, a on podrzemał jeszcze trochę, ale gdy poczuł, że oczy już mu się nie chcą zamykać i po każdym zamknięciu same się otwierają, postanowił, że czas już iść. Wstał więc z łóżka i wtedy natychmiast uniosła się na łokciu Kryśka.

– A ty dokąd? – zapytała całkiem rozbudzona.

– Muszę jednego glajdusa trafić, co by się od niego wywiedzieć o takich tam pierdołach.

– A jak cie szkieły capną?

– No coś ty, Krychna. Nie poradzą mi, za nic.

– Tolek, nie idź nigdzie.

– Dam rade. A ty se nie myśl nic złego. To co złe, to się zawsze kończy. Teraz już będzie tylko dobrze. Niech ino chłopaki z pierdła wyjdą, to ja tu wszystko inaczej urządzię, a i ciebie też dopilnuję, żebyś się nie zmarnowała tak jak Jadźka. Nikt ci nic złego nie zrobi.

Podszedł do niej i przysiadł na brzegu łóżka, a potem pogłaskał ją po głowie. Nawet nie wiedział, kiedy znalazł się w jej objęciach. Jeszcze teraz, gdy siedział tu na tej ławie knajpianej, na wspomnienie o tym, co działo się tam na tym jej łóżku, aż mu się robiło ciepło. Kryśka wczepiła się w niego, tak jakby chciała wydobyć z jego ciała całe ciepło, jakby chciała na zawsze zamknąć go w swoich objęciach i nie wypuścić nigdy więcej. A i on potrzebował takiej ciepłej pieśczoły, takiej czułości i ufności, z którą ona mu się oddała. Pierwszy raz poczuł coś takiego z kobietą, coś, czego za diabła nie potrafił nazwać, ale wiedział jednocześnie, że było to nadzwyczaj przyjemne i dlatego cały czas myślał o tym, żeby wrócić tam, do tego pokoju i zrobić to jeszcze raz, a potem

znowu. No, ale miał też przecież pewne sprawy do załatwienia, których nie mógł ot tak sobie zostawić. A że był człowiekiem akuratnym i obowiązkowym, wiedział, że najpierw musi zrobić to, co zaplanował dziś rano.

Gdy kończył drugi kufel piwa, do knajpy weszło trzech mężczyzn. Najpostawniejszy z nich to był Gienas Bulaj. Dwaj pierwsi ruszyli natychmiast do bufetu, żeby zamówić piwo, a Gienas zaczął rozglądać się po zadymionej sali, szukając przyzwoitego stolika. Natrafił na spojrzenie Tolka i uśmiechnął się szeroko. Dawno się nie widzieli, nic więc dziwnego, że podszedł zaraz do swego kolegi złodzieja.

– Kopę lat, brachu – zawołał swoim tubalnym głosem wyciągając jednocześnie w kierunku gościa wielką jak bochen chleba łapę.

Tolek uścisnął ją i zaraz wskazał miejsce naprzeciwko.

– Skądś się tu wzion? – zapytał Bulaj, rozsiadając się na niebezpiecznie trzeszczącej ławie. – I jaką szykowną westkę żeś se lajsnął. Nie ma co, paryski szyk.

Tolek aż pokraśniał z dumy. Ta jego wiśniowa kamizelka to był rzeczywiście powód do dumy. Ukradł ją wraz z całym ancugiem i wieloma innymi cennymi rzeczami z mieszkania jednego adwokata z Jeżyc. Wszystkie fanty poszły do Żyda, ale garnitur i westkę zostawił dla siebie, tym bardziej że leżały na nim tak, jakby dla niego były szyte.

– Prosto z rynku – odparł złodziej, uśmiechając się lekko.

Uśmiech momentalnie zniknął z twarzy Gienasa. Skoro z rynku, to znaczy, że z interesem.

– To ja widze, że poważna sprawa – powiedział rzeźnik.

Tymczasem dwaj jego towarzysze podeszli z kufkami napełnionymi piwem. Jeden z nich postawił kufek przed swoim kumplem i najwyraźniej chciał usiąść, ale Gienas go powstrzymał.

– Idźta se siednąć gdzie indziej, bo ja tu z panem Anatolem mam interes do obgadania.

Widać dobrze znali te jego interesy, bo bez gadania oddalili się w przeciwległy kąt sali, a Bulaj nachylił się nad stołem.

– No to gadaj, o co się rozchodzi – powiedział i zanurzył usta i wielkie wąsy w piwnej pianie.

– Potrzebna mi jest fachowa porada.

– W jakiej kwestii?

- W kwestii rzeźniczej.
- Toś dobrze trafił. Na tym to ja akuratnie sie troche znam.
- Akurat tyle wiem. Do byle łachudry bym z tym nie przylaz.
- No to gadaj.

Tolek sięgnął do kieszeni i wydobył plik banknotów.

- Bez flaszki nie ugryziesz - wyjaśnił, kładąc banknoty na stole.

Gienas spojrział na nie i wyszczerzył zęby. Odwrócił się zaraz do tyłu i spojrział na stojącego za kontuarem właściciela knajpy.

- Panie Antosik, daj ino pan pół Baczewskiego, dwa kielonki i dwa kotlety siekane.

Po chwili butelka doskonałej wódki stała między nimi na stole, obok niej talerz z kotletami pokrojonymi na ćwiartki. Dwa kieliszki z grubego szkła napełnione były niemal po same brzegi. Podnieśli je do góry i wypili bez słowa. Potem każdy zagryzł kawałkiem kotleta.

- To o co tak w szczególności sie rozchodzi? - zapytał rzeźnik.

Tolek przełknął ostatni kęs mięsa, a potem popatrzył w oczy Bulaja.

- O dziewczynki, co je zaszlachtował jak wieprzka jakiś bydlak.
- Słyszałem o tej, co ją wyłowili z Warty, tu niedaleko.
- To jedna będzie. A druga w swoim pokoju na Woźnej zabita. I jedna, i druga miały rozcięte brzuchy.

- Jaki masz w tym interes?

- Ta, co ją znaleźli w rzece, to była moja krewniaczka.

- Znaczy się, honorowa sprawa.

Tolek pokiwał głową.

- Jak honorowa, to gadaj jak moge pomóc. Pomoge jak kolega.

- Wiaruchna gada, że rozcięte były równo, jakby je rzeźnik sprawił.

Gienas pokręcił głową.

- Nie rzeźnik, ino waryjot jaki.

- Tak myślisz?

- Co tam myślę. Ja to wiem na ament. Rzeźnik bracie, to porzundny fach. Rzeźnik tnie tak, co by cierpienia niepotrzebnego nie przysporzyć. I tak jak tnie się wieprzka czy cielaczka, to trzeba ciąć szybko i mocno, co by gadzinę jednym ruchem życia pozbawić. Jakby to rzeźnik ciął, to powiadam ci, że przez gardło by przejechał i po ptokach.

- Może masz słusność.

- Co mom nie mieć. Wiem, co gadam, bo się na swojej robocie znam.

I dlatego powiadam, że ten, co rozplątał im te brzuchy, to nie żoden rzeźnik, ale normalny waryjot. U nas w rzeźni robioł, że dwa lata już będzie jak nie robi, taki waryjot, co to lubioł dręczyć zwierzaki. Onemu nie roz i nie dwa wiaro gadała, co by nie zadawoł niepotrzebnego bólu zwierzakom, ale nic do tej głupiej pały nie docierało i cingiem żgał nożem te wieprzki niby to przypadkiem. Ale w kłyńcu zrobioł coś takiego, że już nie wytrzymałem. Ten bydlak wbił nóż w brzuch świniako i rozplątał mu go jednym cięciem. A wieprzek zwariowoł z bólu i polecioł na złamanie karku, a flaki wszystkie się z niego wysypały. A ten stał i śmioł się jak oszalały. No tom nie zdzierzył i przejechołem mu nożem po pysku, żeby wiedział jak to jest, jak się kogo krzywdzi.

– I co z nim? – zapytał, gdy Gienas przerwał, by łyknąć trochę piwa. Tolek nalał wódki do kieliszków.

– Polecioł do majstra, żeby pokazoć, com mu zrobioł. No to majster, dobry chłop, co sie nazywa Muller, przyłoł na rzeźnie i zobaczył tego wieprzka i te jego bebechy na podłodze i zaraz pojał, o co sie tu rozchodzi, a potem powiedział mu, żeby sie cieszył, że mo ino ryfę rozciąę, bo sie go powinno wybebeszyć jak tego świniaka. I jeszcze majster powiada, żeby sie tu więcej nie pokazywoł, bo w rzeźni waryjotów nam nie potrzeba. A ten gad na to, że na policje pójdzie i opowie, zem go pociął. A majster powiada, że może se iść gdzie chce, a jak policja tu czasem przyjdzie, to wszyscy co tu robia, z majstrem razem, zaświadcza, że sam se te kalafe przeciął.

– I poszedł na policje?

– A chłelera jego wie. Ale policja nie przyszła na dochodzenie, a onego już więcej na rzeźni nie było.

– To naprawdę jakiś popapraniec.

– To nie boł rzeźnik, ino waryjot.

– A jak się nazywa?

– A kto jego tam by pamiętoł. To dwa lata już będą jak on był w rzeźni ostatni raz. Ale zara. Ignac będzie wiedzioł.

Gienas obejrzał się za siebie i przywołał jednego z dwóch swoich kompanów. Ignac podszedł szybko do ich stolika, ale jako człowiek dobrze wychowany nie usiadł, tylko stał, czekając na polecenie.

– Pamiętasz tego poparanygo waryjota, co to wieprzkowi kałynd rozciął?

– No – rezolutnie odpowiedział zapytany.

– Jak on się nazywał?

– Willy Bauer.

– A no tak. Prawda, Bauer mu było.

– Szkieber?

– Zaraz tam szkieber – wyjaśnił Ignacy. – Kundel, jakich tu cała masa w Poznaniu. Gadał po polsku jak trzeba było albo po niemiecku jak trzeba było, znaczy się – tutejszy.

– A gdzie go idzie znaleźć?

– Tego to ja nie wiem. Mieszkoł na Wildzie. Znaczy wtedy mieszkoł, niedaleko mojej chaty, ale po tym jak wylecioł z roboty, to ponoć wyjechał za robotą do Niemiec, do Schneidemühl, to po naszymu do Piły.

Po tych wyjaśnieniach Gienas odprawił Ignaca i chwyciwszy butelkę, rozlał resztkę wódki do kieliszków. Wypili i zagryźli ostatnimi kęsami kotleta.

– Może ten bydlak wrócił właśnie do Poznania? – powiedział w końcu Tolek.

– Kto wie. Może to ten, którego szukasz. Łatwo łachudrę dasz rade poznać, bo na lewym policzku musi mieć piękną szramę po moim nożu.

– Głęboko żeś go ciachnął?

– A jak! – zaśmiał się Gienas. – Tak żeby gnój se popamiętał, że nie wolno dręczyć zwierząt.

Rzeźnik wstał, uściśnął dłoń kolegi i poszedł do stolika swoich kompanów. Tolek też się podniósł z ławy. Wiedział już to, co chciał wiedzieć, i kogo powinien odszukać. Sprawa wydawała się jasna i prosta. Jeśli ten Bauer był tu na miejscu, to była pewnie jego robota. Trzeba go więc będzie szybko odnaleźć i odpłacić mu za Jadźkę.

Założył czapkę na głowę i wyszedł z baru. Nie uszedł jednak nawet dziesięciu kroków, gdy nagle wyrósł przed nim jakiś mężczyzna w czarnym płaszczu.

– Wy jesteście Anatol Grubiński?

– A bo co? – rzucił hardo Tolek, a jego dłoń natychmiast odszukała w kieszeni nóż sprężynowy. Nie zdążył go jednak otworzyć. Gdy tylko wyciągnął rękę z kieszeni, natychmiast poczuł, że czyjąś ręka łapie go od tyłu. Na nadgarstku poczuł zimno stali i zaraz obie dłonie miał skute z tyłu.

- Gotowy, panie komisarzu - powiedział zza jego pleców ten, co go złapał i zakuł.

Mężczyzna stojący przed nim uśmiechnął się zadowolony.

- No to, panie Grubiński, zapraszam na przyjacielską pogawędkę do nas, na komisariat.

Rozdział IV

Schneidemühl, Niemcy

Piątek, 7 marca

Godzina 7.30 rano

- Nie łaż tam, do jasnej cholery, bo zdeptasz wszystko.
- Ja tylko tak sprawdzam. Może coś tu leży w tej trawie albo jak?
- Niby co? Już tam wszystko sprawdziłem. Nie ruszaj niczego do czasu aż przyjedzie fotograf.

Kowalski wyprostował się, spojrzał jeszcze raz na zwłoki kobiety, a potem wspiął się na szczyt rowu, na którym stał jego przełożony. Trzydziestoletni Carl Aschmutat, wysoki blondyn z krótko przyciętymi włosami o wysportowanej sylwetce wyciągnął paczkę papierosów Juno z kieszeni eleganckiej, dwurzędowej marynarki. Wyjął papierosa i wsadził go do ust. Potem zaczął przeszukiwać kieszenie, by znaleźć zapałki. Mógłby przysiąc, że wychodząc z domu zabrał je ze sobą. Pamiętał, że leżały na stole w kuchni obok paczki papierosów. Wkładał papierosy i chyba te cholerne zapałki również. Kowalski zauważył te poszukiwania i natychmiast skorzystał z okazji, by podać mu ogień.

- No i co o tym sądzisz? - zapytał, zaciągając się aromatycznym dymem, cały czas wpatrzony w gołe nogi nieboszczki. Dziewczyna leżała na wpół zanurzona w płytkiej wodzie rowu niewielkiego stawu, jaki pozostał po ostatnim wiosennym wylewie rzeki, która tutaj, na tych nieużytkach miejskich rozlewała się szeroko, by po kilku tygodniach wrócić do swojego zwykłego koryta. Dziewczyna ubrana była w zwiewną

czerwoną sukienkę, która teraz wyglądała jak mokra ścierka. Jej długie blond włosy poddawały się leniwemu nurtowi tafli poruszanej przez lekki wietrzyk, mieniając się migotliwymi refleksami w porannych promieniach słonecznych. Mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat – ocenił Aschmutat.

– Co mam sądzić? – odezwał się Kowalski, gryząc obojętnie zapałkę, którą przed chwilą przypalił papierosa. – Nic nie sądzę. Zabita i tyle.

– prostytutka?

– Na kurwę nie wygląda. Raczej na panienkę z dobrego domu. To chyba musi być jakaś letniczka, bo ją pierwszy raz widzę. Zresztą co by tu kurwa robiła? To, jak na moje oko, za daleko od centrum. Jakbyśmy byli bliżej dworca, to jeszcze prędzej, ale tu? Kowalski wzruszył ramionami i wypluł rozgryzioną zapałkę.

– Letniczka wiosną? – rzucił kpiącym tonem w kierunku swojego podwładnego Aschmutat.

– Ja tam nie wiem. Może i miejscowa, ale nikt nie zgłaszał od wczoraj zaginięcia.

– To może jednak będzie kurwa. Trzeba by pokazać ją Bergerowi. On zna je wszystkie najlepiej.

– Tak jest – potwierdził Kowalski. – Powiem mu, jak przyjedziemy na komisariat, żeby poszedł do kostnicy ją zobaczyć. Może rzeczywiście ją zna.

– Trzeba by sprawdzić w tych domach – Carl wskazał ręką w kierunku najbliższych zabudowań Koschutz, jeszcze kilka lat temu wioski, a teraz przedmieścia Schneidemühl. Tuż nad rzeką rozłożyło się kilkanaście niewielkich domów, do których latem lubili przyjeżdżać letnicy z innych miast, choćby z takich jak Stettin czy nawet z samego Berlina. Przyjeżdżali tu, żeby zażyć rozkoszy kąpieli w czystej wodzie i nawdychać się świeżego powietrza. Idioci. Nie mógł zrozumieć, co ich ciągnęło na to zadupie. Prawda, było tu ładnie. Schneidemühl to miasto, które otoczone jest lasami i jeziorami, więc widoki naprawdę przepiękne. Ale ten klimat, ta nieustająca wilgoć, którą czuć w każdym zakątku miasta, smród zgnilizny i rozkładu, bagienny fetor, od którego nie można było nigdzie uciec... Nic więc dziwnego, że i Carl miał go serdecznie dość. Z utęsknieniem wyczekiwał dnia, gdy skończy się jego pięcioletni kontrakt i wreszcie dostanie przeniesienie do jakiegoś bardziej

normalnego miejsca. Liczył po cichu, że będzie mógł wybrać to miejsce i dzięki temu uda mu się wrócić do jego rodzinnego Dortmundu. A jeśli już nie tam, to gdziekolwiek indziej, byle jak najdalej stąd, z tego miejsca na pograniczu zapomnianego przez Boga i ludzi. No, ale na to musiał poczekać jeszcze nieco ponad rok. Dopiero jesienią przyszłego roku mógł wystąpić o przeniesienie. Na razie był tu uwiązany jak pies do budy i nic nie mógł na to poradzić. Utknął w tym miasteczku zaraz po zakończeniu wojny, bo tu akurat była dla niego praca. Przyjął ją, bo nie miał większego wyboru. Był zdemobilizowanym oficerem, więc miał uprawnienia do pracy w policji, tyle że tej pracy nie było w żadnym cywilizowanym miejscu poza tym zadupiem.

– Może tam w tym Koschütz ktoś coś o niej słyszał?

Kowalski uśmiechnął się, a potem wskazał głową niewielką postać widoczną na tle jednego z budynków. Mężczyzna ubrany był w zielony policyjny mundur.

– Już tam posłałem Willy’ego Heimana. Jeśli ona tam mieszkała, to na pewno za chwilę się dowiemy, co to za jedna. Willy pochodzi z Koschütz, to jemu tam wszystko powiedzą szybciej niż komuś innemu.

Cisnął niedopałek do wody. Nie czuł przyjemności z palenia. Wszystko przez tę cholerną wódkę, którą wypił wczoraj do kolacji. Nie chciał pić, ale nie miał innego wyjścia. Jeśli sam szef Policji zaprasza, to nie wypada odmawiać. Jedli golonkę z kiszoną kapustą i kartoflami i oczywiście musiała być do tego zimna wódka. Jego przełożony Gerhart Wehrner lubił dobrze zjeść i wypić, więc co jakiś czas zapraszał swojego ulubionego oficera śledczego do najlepszej restauracji w mieście w Hotelu Goldener Löwe przy Neumarkt. Powód był zawsze jeden: omówienie spraw służbowych. Ale to był tylko pretekst do obżarstwa za służbowe pieniądze, bo sprawy służbowe zajmowały im zazwyczaj zaledwie kwadrans. Później z tych służbowych przechodzili na służbowe plotki, by w końcu pogadać na ulubiony temat Wehrnera, czyli politykę. Carl dobrze wiedział, po co Wehrner go zaprasza. Jego szef miał poglądy dość liberalne i zdecydowanie antynacjonalistyczne, więc nie mógł się nimi afiszować na zewnątrz w tym miejscowym światku, w którym większość ludzi marzyła o rewizji postanowień traktatu wersalskiego i powrotu do dawnych granic. Bo od kilku lat Schneidemühl było miastem leżącym niemal na granicy z Polską. Kosmopolita Wehrner był

zdania, że każdy naród ma prawo do samostanowienia i że Polsce należy się niepodległość, nawet kosztem dawnych Prus. Oczywiście nie dotyczyło to jego rodzinnego Schneidemühl, które uważał za centrum Niemiec, mimo że mieszkało tu sporo Polaków. Przy Carlu mógł czuć się zupełnie swobodnie, bo w wielu kwestiach, tych dotyczących polityki, ich opinie były zbieżne, a często identyczne. Podczas biesiadowania było całkiem przyjemnie, jednak już następnego dnia przyjemność zniknęła całkowicie, pozostawał tylko niesmak w ustach i często ból głowy. Dziś na szczęście głowa go nie bolała, ale papieros już nie smakował.

Na asfaltowej drodze, prowadzącej od strony centrum miasta, dostrzegli cyklistę, który z zapalem cisnął na pedały. Kowalski pomachał w jego kierunku.

– Jest fotograf. Zaraz będziemy mogli wziąć się do roboty. Chodźcie no tu! – Aschmutat zawołał do stojących kilka metrów dalej czterech młodych policjantów, którym kilka minut wcześniej kazał się trzymać z daleka i czekać na rozkazy. Chłopcy posłusznie podbiegli do podoficera.

– Tam jedzie na rowerze fotograf Kaminsky. Jak zrobi zdjęcia z miejsca zdarzenia, będziecie musieli wyciągnąć dziewczynę z tego rowu i rozłożyć tu na drodze.

– Albert ma prześcieradła – piegowaty rudzielec wskazał na swojego kolegę, który trzymał w rękach lnianą torbę.

– To świetnie. Jesteście dobrze przygotowani – pochwalił ich. Wszyscy czterej uśmiechnęli się zadowoleni. Byli praktykantami i po raz pierwszy asystowali przy prawdziwym śledztwie, więc bardzo chcieli się przydać. Ale Carl wiedział, że tacy zapaleńcy mogli zrobić więcej złego niż dobrego, dlatego precyzyjnie wyznaczył im role.

– A teraz siadać tu na rowie i czekać. Jak Kaminsky będzie potrzebował pomocy, zaraz się bierzcie.

Tymczasem fotograf, chudy jak szczapa czterdziestolatek, podjechał do stojącego na poboczu policyjnego czarnego opla. Oparł swój rower o błotnik, a potem zdjął z kierownicy skórzaną torbę, zawiesił ją na ramieniu i tak przygotowany ruszył w kierunku obu śledczych.

– Witam, panie poruczniku Aschmutat, panie oberwachtmeister Kowalski.

– Dziękuję, że tak szybko pan przyjechał, panie Kaminsky – Carl podał mu rękę. Fotograf wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Jak jest robota, to się człowiek nie może obrażać, że godzina za wczesna – wyjaśnił, uśmiechając się pod równo przystrzyżonym czarnym wąsem. – To co jest do sfotografowania?

– Chodź pan – Kowalski skinął głową, wskazując kierunek i sam poszedł przodem. – Tam leży – wskazał mu rów.

Kaminsky stanął na brzegu, a potem bez słowa, wpatrzony w zwłoki dziewczyny, zdjął torbę z ramienia. Rozejrzał się wokół, jakby szukał najlepszego miejsca do postawienia bagażu. W tym momencie podbiegł do niego ten rudy praktykant.

– Ja chętnie potrzymam panu torbę – zaoferował pomoc.

Fotograf uśmiechnął się, a potem podał mu pasek, który chłopak ostrożnie przewiesił sobie przez pierś. Kaminsky odpiął metalową sprzączkę i wydobył ze środka niewielki aparat marki Leica.

Rudy policjant zmierzył łakomym wzrokiem to cudo.

– To jest fotokamera? – zapytał.

– Prosto z Berlina przysłany. Zdjęcia robi na błonie fotograficznej, powleczonej światłoczułą emulsją. Dzisiaj światło ładne, to i zdjęcia dobrze wyjdą – powiedział fotograf i zabrał się szybko do pracy.

W ciągu pięciu minut uporał się z robotą. Gdy skończył, Budnik natychmiast przywołał pozostałych trzech praktykantów. Ci szybko zdjęli buty i skarpety, a potem z podwiniętymi nogawkami zeszli do rowu, żeby wydobyć ciało z wody i na brzegu obrócić na plecy.

Dwaj ujęli zwłoki dziewczyny pod ramiona, a jeden chwycił za nogi. Delikatnie podnieśli do góry. Usłyszeli plusk i jak na komendę wszyscy spojrzeli w dół i przerażeni natychmiast puścili bezwładne ciało.

Fotograf zastygł w miejscu struchlały. Carl zbladł momentalnie. Jeden z chłopaków uklęknął na brzegu i zaczął wymiotować. Pozostali dwaj wbiegli na skarpe i zatrzymali się dopiero na jej szczycie. Tylko Kowalski nie stracił zimnej krwi. Zbiegł na dół i nie zdjawszy nawet butów, wszedł do wody. Ostrożnie przewrócił dziewczynę na bok, ręką zgarnął wszystko to, co wysypało się z podłużnej rany w jej brzuchu i wcisnął wnętrzości do środka. Potem chwycił ją pod ramiona i wyciągnął ostrożnie na brzeg.

Okropna podłużna rana, ciągnąca się od mostka aż poniżej pępka, natychmiast przyciągnęła spojrzenia wszystkich.

– Dawać mi to prześcieradło – zawołał Kowalski.

Jeden z chłopaków, ten zapobiegliwy o imieniu Albert, wydobył szybko z torby białą płachtę i zszedł z nią w dół skarpy. Kowalski chwycił podane mu prześcieradło, pochylił się nad zwłokami i szybko przykrył rozcięty brzuch.

– Teraz możesz pan zrobić zdjęcie twarzy – powiedział do fotografa i klepnął go w ramię, przywracając go w ten sposób do rzeczywistości. Potem wspiął się na skarpe, usiadł na trawie i zaczął zdejmować przemoczone buty. Carl Aschmutat podszedł do niego.

– Fritz, myślisz o tym samym, co ja?

– Tak, panie poruczniku. To przecież jasne jak słońce. Wtedy też tak było. To robota tego samego człowieka.

Carl zaklął pod nosem. Tego tylko brakowało. Dwie podobne sprawy z dwudziestego drugiego roku zamknął bez rezultatu. Nie udało się ująć sprawcy, który pozbawił życia dwie kobiety. Wtedy wszystko wyglądało tak samo. Pierwsza kobieta została zabita za pomocą ostrego, zapewne rzeźnickiego noża, ale rozcięcie było niewielkie, za to bardzo głębokie. Druga została rozplątana w taki sam sposób, ale rana miała przynajmniej dziesięć centymetrów długości. Ta tutaj została dosłownie wypatroszona. Widać morderca doskonalił technikę. Wszystko więc wskazywało na to, że ten upiór z przeszłości znów się obudził.

Spojrzał na twarz dziewczyny. Miała regularne harmonijne rysy, pełne usta i malutki nosek. Bardzo ładna – ocenił jej urodę. Porucznik wyprostował się i skinął na fotografa.

– Może pan pracować dalej. Proszę spróbować doprowadzić jej twarz do ładu i zrobić ładny portret. Może będzie nam potrzebny do identyfikacji.

– Zrobi się, panie poruczniku. Tylko niech jej włosy trochę przeschną, to się ją uczesze i na zdjęciu będzie jak żywa.

Praktykanci policyjni zbili się w grupkę, czekając na wyznaczenie im jakichś zadań. Powoli dochodzili już do siebie, a teraz dodawali sobie animuszu, sięgając po papierosy.

– No to macie prawdziwą policyjną praktykę – powiedział do nich Aschmutat i sam sięgnął po papierosa. Nad ich głowami przeleciał klucz kilkudziesięciu gęsi, głośnym gęganiem oznajmiając swój powrót.

Godzina 8.15 rano

Komisarz Fischer spojrzał zdziwiony na drzwi wejściowe do biura. Otworzyły się i stanął w nich uśmiechnięty od ucha do ucha jego zastępca. Ten człowiek o tej porze w pracy? To był naprawdę niezwykle widok. Czyżby pobyt w Poznaniu zaczął wpływać pozytywnie na jego stosunek do urzędowych obowiązków?

– No proszę, pan podkomisarz już na nogach. Jeszcze trochę i będzie pan przychodził do pracy wcześniej ode mnie – zakpił Fischer.

Siewierski spojrzał na niego zdumiony, tak jakby Fischer odkrył coś niezwyklego.

– A pana komisarza żarty od rana się trzymają. Widać pan w dobrym humorze. A ja cóż, nawał roboty, powiadam panu komisarzowi, nawał roboty.

Fischer wziął do ust swoją wiśniową fajkę i znów ją podpałił, bo właśnie przygasła. Wypuścił kłęb dymu nosem, a potem wstał z fotela i jako człowiek kulturalny i dobrze wychowany poszedł otworzyć okno, żeby dym nie szczypał w oczy podkomendnego. Trzeba było dawać dobry przykład. Spojrzał na ulicę. Ruch panował jeszcze niewielki, bo i „Esplanada” naprzeciwko jeszcze nie była otwarta. Zaciekawiony spojrzał w lewo, gdzie znajdował się sklep automobilowy. W ubiegłym tygodniu wszedł tam na chwilę, żeby pooglądać prospekty ze zdjęciami aut. Tylko pooglądać. Automobil, obojętnie jakiej marki, był dla niego tylko niedoścignionym marzeniem. Cóż, musiał się pogodzić z myślą, że najprawdopodobniej nigdy nie będzie go stać na takie urządzenie. Zresztą, przekonywał sam siebie, żeby mieć auto, musiałyby o nie dbać w odpowiedni sposób, choćby trzymać w jakimś garażu. A skąd miał wziąć garaż? Przecież automobilu nie można trzymać na chodniku przed domem przywiązanego do latarni jak dorożkarskiego konia. Odwrócił się od okna i popatrzył na swojego podwładnego, który właśnie rozsiadał się za swoim biurkiem.

– No to ciekaw jestem, jak panu idzie sprawa tych morderstw. Czy już udało się panu dojść do jakichś wniosków? A może ma pan już jaki sukces śledczy? – zapytał Fischer, pewny, że Siewierski zdążył już wyaresztować pół miasta. Ale postanowił się nie wtrącać dopóty, dopóki

ten nie zrobi czegoś całkowicie idiotycznego. Chciał pozostać na razie na pewien dystans od tej sprawy, żeby skupić się na ważniejszej, jak mu się zdawało, kwestii, związanej ze śmiercią oficera piechoty. Sfingowaną śmiercią oczywiście, bo był najzupełniej pewien, że człowiek, którego zwłoki oglądał w szpitalu wojskowym, nie był tym, za kogo początkowo uważał go kapitan Jażdżewski. To nie był porucznik Karpiński, ale ktoś zupełnie inny. W końcu Jażdżewski musiał to przyznać, gdy dla poparcia swoich twierdzeń, by rozwiązać ostatecznie wątpliwości, zdjęli mu wspólnymi siłami z nogi jedną oficerkę. Okazało się, że but założony był na bosą stopę. To przeważało. Obaj dobrze wiedzieli, że żaden szanujący się oficer nie wsuwałby wysokich butów na stopę bez skarpety, bo w ten sposób zwyczajnie nie dałoby się chodzić.

W tej sytuacji konieczne było prześledzenie wszystkich kontaktów porucznika Karpińskiego, żeby spróbować ustalić, co mogło się z nim naprawdę stać. Fischer był zdania, że ktoś spośród grona jego znajomych mógł coś na ten temat wiedzieć, ale to grono trzeba było wytypować. Tym właśnie wczoraj miał zająć się Jażdżewski. Umówili się, że dziś przed południem będzie miał już gotową taką listę ludzi, z którymi najpilniej trzeba będzie porozmawiać. Fischer miał więc nadzieję, że dzięki przesłuchaniu tych wszystkich osób trafi na jakiś konkretny ślad Karpińskiego. Bo to, że ów oficer żyje, było dla niego pewne jak dwa i dwa to cztery. Pewność swoją czerpał stąd, że w sfingowanie jego śmierci ktoś włożył zbyt wiele wysiłku. Pytanie tylko, kto to zrobił. Możliwości były dwie: albo to był sam Karpiński, który mógł mieć jakiś powód, żeby zniknąć, albo ktoś kto go porwał z jakiegoś bliżej nieokreślonego powodu i podrzucając bezgłowego trupa chciał sobie zapewnić spokój. Tylko do czego ten spokój mógł być mu potrzebny? Jeśli wojsko i policja chwyciłaby przynętę i uznała, że trup to Karpiński, zaprzestano by jego poszukiwań. Karpińskiemu dawałoby to spokojny czas na ucieczkę, a jego porywaczowi na wyciągnięcie z Karpińskiego pożądanых zeznań. Która opcja była bardziej prawdopodobna? – zastanawiał się komisarz. Na razie nie mógł wykluczyć żadnej, choć wolałby zdecydowanie bardziej tę drugą z Karpińskim porwanym i przetrzymywanym przez jakichś niegodziwców, bo ta przynajmniej nie wystawiałaby na szwank dobrego imienia pułku.

– Fenomenalnie, panie komisarzu. Po prostu fenomenalnie – wyrwał

go z zamyślenia Siewierski.

– Tak? Czyli jak?

– Zanim to wszystko spiszę, bo trochę tego mam w swoich notatkach, a tymi nie chciałbym pana komisarza zanudzać, więc zanim spiszę to wszystko w aktach sprawy, to powiem panu tylko jedno. Na tę chwilę mam pod kluczem już sześć podejrzanych person.

– Podejrzanych w sprawie o morderstwo? – wolał się upewnić Fischer. Siewierski gwałtownie pokręcił głową.

– Ależ skąd, panie komisarzu. Czy któryś z nich jest sprawcą, tego to ja oczywiście jeszcze nie wiem. Ja nawet nie wiem jeszcze, czy oba morderstwa się łączą, choć tu pan komisarz ma całkowitą rację co do tego, że wyglądają podobnie. Te rozcięte brzuchy to jest pewna poszlaka, mogąca świadczyć o identyczności mordercy w obu kwestiach.

– Nie mogąca – wszedł mu w słowo komisarz, już nieco znudzony tym wywodem Siewierskiego – ale świadcząca dobitnie.

– Skoro pan komisarz tak sugeruje...

– Nie sugeruję, panie Siewierski, ale wyciągam wnioski. Logiczne wnioski, a logika jest bezwzględna dla tych, którzy nie potrafią kojarzyć faktów i wyciągać z nich wniosków.

– Ależ ja tylko z czystej ostrożności. Nie żebym był jakimś asekurantem, panie komisarzu. Póki nie będę miał przekonujących dowodów na połączenie obu spraw, muszę je przecież traktować oddzielnie.

– A traktuj sobie pan, jak chcesz, byleby czysta ostrożność nie przesłaniała faktów. A fakty, jakie są, każdy widzi gołym okiem.

Fischer usiadł na swoim miejscu i sięgnął po zapałki. Fajka znów mu zgasła, bo rozmawiając z podkomisarzem zapomniał o jej istnieniu.

– No to powiadaj pan, kogoś tam przymknął?

Uśmiech znów wrócił na usta Albina Siewierskiego, który był przekonany, że tą informacją kompletnie zwali z nóg komisarza.

– Mam pod kluczem całą złodziejską bandę Kaźmierczaków, włącznie z ich szefem, ukrywającym się dotąd, niejakim Tolkiem Grubińskim.

Fischer zagwizdał, z podziwu, jak się zdało Siewierskiemu, ale naprawdę gwizdnał, żeby zamaskować w ten sposób wesołość, która mogła przerodzić się w wybuch śmiechu. Też mi sukces: zgarnąć złodziejską szajkę. Ciekawe jak powiąże tych ludzi z morderstwami.

Fischer znał Kaźmierczaków i tego ich szefa Grubińskiego. To byli zwykli włamywacze. Kradli wszystko, co wpadło im w ręce po wejściu do mieszkania. Byli jednak na tyle sprytni, że nigdy nie udało się ich nakryć ze skradzionymi rzeczami. Musieli mieć sztamę z jakimś dobrym paserem, który brał od nich wszystko na pniu i w ten sposób, gdy próbowano ich powiązać z jakimś włamaniem, oni zawsze okazywali się czyści. Fischer nieraz zastanawiał się, kiedy w końcu noga im się powinie, bo pewne było, że szczęścia nie będą mieli zawsze. W końcu coś sknocą i pójdą siedzieć. Ale pójdą siedzieć za kradzież z włamaniem, a nie za morderstwo. Tacy ludzie nie mordowali nikogo, bo im się to zwyczajnie nie kalkulowało.

– Z tym Grubińskim było nieco zamieszania, bo się ukrywał przed nami po tym, jakżeśmy aresztowali jego kompanów, ale na szczęście nasz wywiadowca namierzył go w jednej z knajp, niedaleko kapitanatu portu, jak pił sobie spokojnie piwo. Kiedy wychodził z tej knajpy tośmy go capnęli, no i mamy całą szajkę pod kluczem. Teraz wystarczy tylko z nimi dobrze pogadać i zobaczymy, co to przyniesie.

– A skąd pewność, że właśnie oni są zamieszani w sprawę?

– To już efekt mojej wyteźzonej pracy, panie komisarzu – mówiąc to Siewierski aż się wyprostował na krześle, tak aby nie było żadnych wątpliwości, kto jest autorem tego nieprawdopodobnego sukcesu. – Jak tylko zająłem się sprawą, od razu wzięłem na przesłuchanie niejaką Krystynę Barciak, współlokatorkę tej zabitej, co ją wyłowiono z wody. I ona właśnie przyznała się, że ci złodzieje często kontaktowali się z tą dziewczyną, a jeden, ten Grubiński, to był nawet jakimś jej krewniakiem. No to znaczy, że oni wiedzą na jej temat najwięcej. Jak posiedzą trochę w celi, to wszystko wyśpiewają. Wtedy sprawa będzie już prosta do rozwiązania.

Fischer słuchał tego z prawdziwym niedowierzaniem. Jak można być aż takim głupcem? Przecież ten Siewierski nie ma zielonego pojęcia o prowadzeniu śledztwa, a metody ma rodem ze średniowiecza.

– I rozumiem, że ta przesłuchiwana przez pana Krystyna Barciak powiedziała, że właśnie tych czterech złodziei podejrzewa o dokonanie morderstwa?

– A skąd! – Siewierski machnął ręką. – Kręciła na początku, że niby nic nie wie, ale jak się z nią rozmówiłem, od razu zmiękła jej rura

i wyśpiewała wszystko jak na spowiedzi.

– Czyli co wyśpiewała?

– No nazwiska tychże złodziei ze złodziejskiej szajki, którzy mieli kontakty z zamordowaną...

– A inne nazwiska?

– Jakie inne?

– No, powiedzmy, właściciela kamienicy, w której mieszkała, następnie właściciela sklepu, w którym kupowała chleb, no i, co również ważne, księdza, do którego chodziła do spowiedzi, bo zapewne była wierząca jak wszyscy.

Albin Siewierski spojrzał na komisarza z niedowierzaniem. Zupełnie nie dostrzegł ironii w tym, co powiedział komisarz.

– Jak to – księdza? – wybąkał.

– No skoro wsadzasz pan wszystkich, którzy mieli z nią jakieś kontakty, to chyba trzeba być konsekwentnym. Jak wszyscy, to wszyscy.

– Nie, no panie komisarzu, ksiądz musi być poza podejrzeniem.

– Jak to? A nie słyszał pan o księdzu mordercy z Hamburga, który gwałcił małych chłopców, a potem dusił ich i zakopywał w ogródku swojej plebanii?

– No tak – Siewierski pokiwał głową. – Ależ tak, oczywiście, że słyszałem. Głośna sprawa była przed rokiem. No, ale to był ksiądz protestancki i do tego Niemiec. U Niemców takie rzeczy mogą się zdarzyć, ale żeby u nas ksiądz miał komu krzywdę robić? Nie, to raczej wykluczone.

Oczywisty i widoczny jak na dłoni kretynizm podwładnego w końcu przestał go bawić, a zamienił się w irytację.

– Panie Siewierski. Pan, niestety, jesteś skończony cymbał.

– Co?! – nazwany cymbałem natychmiast poderwał się na równe nogi – Jak pan...

– Siadaj pan i słuchaj – przerwał mu bezceremonialnie komisarz. – Ja mam się zajmować czymś zupełnie innym, inną sprawą, a jedynie pana nadzorować, ale widzę, że nie można pana spuścić z oka, bo to, co pan robisz, to ewidentna głupota.

Siewierski stał przy biurku i otwartymi ustami łapał powietrze, jak wyciągnięta z wody ryba. Widać było, że chce się odezwać, ale Fischer nie dał mu dojść do słowa.

– Głupota pańskiego postępowania jest tak ogromna, że nie ma dla niej żadnej miary. Gdyby głupota bolała, pan umarłbyś już dawno z bólu w straszliwych męczarniach, ale na szczęście Bóg jest litościwy dla głupców i sprawia, że ci nie tylko nie cierpią, ale nawet nie wiedzą o swojej głupocie. Pan masz szukać mordercy, a nie ludzi, którzy żyli z ofiarą w komitywie. Czy pan nie rozumie, że ci, którychżeś pan przymknął, sami chętnie rozszarpaliby gołymi rękami tego, który zarznął tę dziewczynę, tego rzeźnika, który...

Nagle Fischer zamilkł, tak jakby wpadł na jakąś myśl. Odwrócił spojrzenie od Siewierskiego i wpatrzył się w ścianę budynku „Café Esplanade” za oknem. Potem wyszedł zza swojego biurka i podszedł do wieszaka, z którego zdjął czapkę i płaszcz. Powoli ubrał się i bez słowa wyszedł z pokoju. Siewierski stał tak jeszcze przez chwilę, a potem opadł na krzesło.

– Ten Fischer to prawdziwy wariat – powiedział do siebie, kręcąc z niedowierzaniem głową. – No tak, to musi być wariat. Przecie normalny człowiek nigdy by się tak nie zachował. Trzeba będzie o tym donieść komendantowi, żeby ten z nim coś zrobił, zanim to jego wariactwo nie poczyni jakichś poważnych szkód.

Godzina 8.30 rano

Günter Nowak siedział na kuchennym krześle i patrzył przez okno na plac przed domem. Na samym środku Altmarkt stał pomnik w kształcie rotundy, który wybudowano tu niedawno. W ten sposób mieszkańcy Schneidemühl upamiętnili tych wszystkich, którzy oddali swoje życie na frontach Wielkiej Wojny. Na mosiężnych tablicach przymocowanych do ścian pomnika wryto nazwiska wszystkich poległych. Nazwisko Nowak też tam było. Brat Güntera, Helmut Nowak poległ pod Ypres w drugim roku wojny. A Günterowi się udało. Może dlatego, że jego pułk trafił na wschód. Tam w Rosji wojna wyglądała zupełnie inaczej niż we Francji. Można powiedzieć, że w porównaniu z Zachodem Wschód okazał się wycieczką krajoznawczą z dodatkowymi atrakcjami w postaci ostrzału. Günter wyszedł z tej wycieczki zupełnie bez szwanku, bez najmniejszego

nawet zadrapania, a jedynie z obtartymi stopami. Helmut natomiast zginął na polu chwały, a jego ciała nigdy nie odnaleziono. Do domu przyszło tylko urzędowe pismo zawiadamiające, że Helmut Nowak zginął bohaterską śmiercią, oddając swe życie za cesarza Wilhelma i ojczyznę. Matka nigdy nie pogodziła się ze śmiercią syna. Była przekonana, że skoro jego ciała nie odnaleziono, to chłopak na pewno gdzieś się w końcu odnajdzie. Może siedzi w jakimś obozie we Francji i jak wszystko się skończy, wróci do domu? Ale wojna się skończyła, wrócili wszyscy ci, którzy byli na frontach, a także ci, którzy dostali się do niewoli, a Helmuta nie było. Kobieta zmarła siedząc przy oknie, przez które wypatrywała syna, łudząc się, że być może rozpozna go w którymś z nadchodzących ulicą mężczyzn.

Na pomniku przysiadła synogarlica, a po chwili obok niej druga. Mała dziewczynka w krótkiej spódniczce i długich białych podkolanówkach przerwała zabawę ze skakanką i spojrzała w górę na ptaki. Günter uśmiechnął się do dziewczynki, ale ona nawet nie przypuszczała, że ktoś w tej chwili na nią patrzy. Synogarlice odleciały, a ta mała, córka sąsiada Mayera, który pracował w Deutsche Reichsbahn, pobiegła za nimi w kierunku kościoła gminy wyznaniowej Johanna Czerskiego.

Ten Mayer był całkiem przyzwoitym człowiekiem. To właśnie on pierwszy wyciągnął rękę do Güntera, kiedy tydzień temu wyszedł z więzienia. Sam przyszedł do niego, przynosząc nawet kilka flaszek piwa. Wypili i pogadali od serca, a Mayer, który powiedział, że nigdy nie uwierzył w jego winę, zaproponował nawet, że popyta na kolei, czy nie znalazłoby się tam dla niego jakieś zajęcie. W końcu w takiej firmie przydałby się stolarz, a Günter stolarzem był naprawdę dobrym. Te wszystkie meble, które stały w jego kuchni, zrobił zupełnie sam. Miał nadzieję, że dalej będzie mógł robić takie piękne meble jak ten biały kredens, ale właściciel meblarni, Scholtz, ten sam, u którego pracował przed odsiadką, powiedział mu dwa dni temu, że miejsca dla niego już nie ma. No to siedział teraz w domu, czekając, czy może coś się znajdzie na tej kolei. Ale na razie Mayer nie miał dla niego żadnych wieści. Nie pozostawało mu więc nic innego jak tylko cierpliwie czekać. Na szczęście miał za co żyć, bo w więzieniu przez ten rok odsiadki cały czas pracował i to w swoim zawodzie. Robił więzienne meble, więc nie wyszedł z wprawy. Dzięki tej pracy odłożył trochę grosza na początek. Myślał, że

może to będzie jakiś kapitał, który przyda mu się po wyjściu z więzienia na zakup narzędzi, żeby mógł z nimi pójść do pracy, bo z własnymi narzędziami byłby lepszym pracownikiem niż jakiś gołodupiec pracujący narzędziami należącymi do pracodawcy.

Ale pracy, czy to z narzędziami, czy bez, nigdzie nie było, a kapitał z każdym dniem znikał, wydawany na jedzenie. Gdy dziś rano rozległo się pukanie do drzwi, myślał, że wreszcie sąsiad przyszedł po niego, żeby go zabrać ze sobą do pracy. Ale to nie był sąsiad. Na progu zobaczył dwóch zupełnie obcych mężczyzn. Od pierwszej chwili wiedział, że przynoszą kłopoty. Powiedzieli, że są z Policji i bez dalszego gadania weszli do środka. Jemu kazali usiąść na krześle i trzymać głowę na kłódkę, a sami zabrali się za przetrząsanie mieszkania. No to Günter usiadł i siedział tak już pół godziny, patrząc ponuro na Altmarkt. Oni tymczasem wywalali wszystko z szafy i kredensu. Ten wyższy, który przedstawił się jako porucznik, przeszukiwał teraz wolno i metodycznie ten piękny kredens, z którego Günter był kiedyś taki dumny. Drugi zniknął w sypialni. Stamtąd co chwila dochodziły jakieś trzaski wywracanych przedmiotów. I to właśnie stamtąd do uszu Güntera podekscytowany głos.

– Panie poruczniku, niech pan tu szybko przyjdzie.

Porucznik zatrzasnął szufladę i odwrócił się w kierunku drzwi do pokoju.

– Co tam masz, Kowalski?

W drzwiach pojawił się ten oberwachtmeister. Günter kątem oka dostrzegł, że policjant trzyma w ręce coś czerwonego. Coś, co przypominało chusteczkę do nosa.

– Było to w szafie. Na samym dnie, pod jakimiś starymi gaciami znalazłem.

– No to wygląda na to Fritz, że miałeś rację.

Aschmutat podszedł do stołu, przy którym siedział gospodarz i usiadł na krześle obok. Spojrzał na Güntera i uśmiechnął się szeroko.

– No, Nowak, radziłbym ci, żebyś nam teraz grzecznie wszystko opowiedział. Po kolei, jak było z tymi zarzniętymi kobietami. Tylko mów całą prawdę, bo inaczej będzie z tobą kiepsko.

– Z jakimi kobietami, panie poruczniku? Jak Boga kocham, nic nie wiem o...

Nie zdążył dokończyć. Pięść podoficera, który stał tuż za jego plecami, uderzyła go w skroń. Günter spadł na podłogę, przewracając krzesło.

– Z takimi śmieciami nie da się po dobroci panie poruczniku.

Carl pokiwał głową. Wiedział, że Kowalski ma rację. Zatwardziały kryminalista w życiu nie przyzna się do zbrodni, bo dobrze wie, co go może czekać. W tym wypadku facet powinien dostać karę śmierci, ale jeśli się nie przyzna i pójdzie w zaparte, może się skończyć tylko więzieniem. Ten kawałek tkaniny, który znalazł podoficer śledczy, był doskonałym dowodem potwierdzającym jego winę, ale nie tak mocnym jak na przykład zeznania świadka. A takiego zeznania, niestety, nie mieli. Trzeba więc było spróbować wymusić przyznanie się do winy. Dlatego kiwnął głową z aprobatą. Kowalski natychmiast zrozumiał. Z rozmachem kopnął leżącego w brzuch. Nowak jęknął i zaraz się skulił, zasłaniając brzuch przed kolejnym ciosem.

– Posadź go na taboret – rozkazał oficer. Kowalski pochylił się nad leżącym mężczyzną.

– Wstawaj, śmieciu.

Nowak podniósł się wolno i z wysiłkiem wgramolił się na taboret. Usiadłszy, spojrzał z wyrzutem na oficera. Czego ci policjanci chcą od niego – zastanawiał się gorączkowo. Przecież niczego nie zrobił. Od chwili wyjścia z więzienia siedział cały czas w domu, nawet nie chodził do żadnej gospody na piwo, żeby przypadkiem po pijanemu nie narobić sobie jakichś kłopotów. Za nic w świecie nie chciał znów wpaść w tarapaty, żeby nie wrócić do więzienia. Zachłysnął się tą wolnością, nawet bez pracy, ale w końcu prawdziwą wolnością. A teraz ci dwaj weszli do jego domu i próbowali go w coś zrobić? Nie, na to nie mógł pozwolić. Musiał szybko coś wymyślić.

– Słuchaj, Nowak, możemy się tak bawić jeszcze długo – zaczął spokojnym tonem ten oficer. – Możemy sobie pozwolić na czekanie. Mamy czas, prawda Fritz?

– Tak jest, panie poruczniku – potwierdził ten, który go kopał.

– Ale po jaką cholere mamy wszyscy czekać? Muszę ci powiedzieć, że czas działa na twoją niekorzyść. Im szybciej się przyznasz, tym lepiej dla ciebie. Wpiszemy do protokołu, żeś przyznał się natychmiast i dla sądu będzie to na pewno argument, żeby dać ci łagodniejszy wyrok.

– Za co wyrok? Ja nic nie zrobiłem.

– Przestań mi tu mydlić oczy Nowak, bo jak będziesz gadał głupoty, to Fritz zaraz weźmie cię w obroty. A poczułeś już, jak on to fachowo potrafi robić.

Kowalski, który cały czas stał za plecami Nowaka, chrząknął znacząco, żeby delikwent wiedział, że on nadal tu jest i jakby co, to cały czas czuwa. Ale Nowak to wiedział. Niemal czuł na karku oddech tego policjanta. Patrzył na oficera i zastanawiał się, jaki ruch może wykonać. Ale niewiele miał tych ruchów do zrobienia. Przypomniał sobie szachownicę i pionki ustawione na czarno-białych polach. W te szachy grał codziennie przez ostatni rok spędzony w więzieniu. One pozwalały mu się skupić i jednocześnie zagłębić w strategii pojedynku. Któregoś dnia grał z Fritzem Rilke, który prócz tego, że był mordercą, to jeszcze na dodatek był całkiem dobrym, choć nazbyt szarżującym szachistą. I ten Rilke zapędził go któregoś razu w kozi róg. Sytuacja wydawała się całkowicie beznadziejna. Została mu do obrony króla tylko wieża i laufer. Rilke postanowił najpierw wyeliminować wieżę. Gdyby poszedł na skoczka, Nowak nie miałby żadnych szans. Ale ten głupiec chciał wykorzystać swoją przewagę, żeby zbić wieżę i całkowicie obezwładnić jego obronę. Przeliczył się. Atakując ją, przesunął pionek tak, że otworzył gońcowi pole do ucieczki. Zagrożony król przeciwnika mógł przesunąć się tylko o jedno pole w prawo, akurat na ścieżkę, na której stała wieża. Obrona zmieniła się w błyskawiczny atak.

Nie wiedział, dlaczego akurat ta partia spośród tysiąca rozegranych nagle stanęła mu przed oczyma, ale wiedział jedno: z każdej, najtrudniejszej nawet sytuacji zawsze można znaleźć jakieś wyjście. Zapewne i z tej, w jakiej znalazł się w tej chwili. Popatrzył na tego oficera i nagle pomyślał, że sam jest tą wieżą, która z niepozornej figury może stać się pogromcą króla. Trzeba by im tylko dać laufra na pożarcie. Tylko skąd go wziąć?

Mayer! Ten sąsiad z pierwszego piętra, którego córka ganiała ze skakanką wokół pomnika bohaterów, był jak laufer, którego można było poświęcić. Niech oni zainteresują się nim, a on będzie mógł wtedy uderzyć.

– To Mayer.

– Co?

– Mayer dał mi tę szmatę, żebym schował.

- Kto to jest Mayer? – zapytał oficer.
 - No to jest ten, sąsiad, co tu mieszka w naszym domu.
 - Gdzie mieszka?
 - Wyżej – wskazał ruchem głowy sufit. – Piętro wyżej mieszka. On jest kolejarz.
 - Teraz jest w domu?
- Nowak wzruszył ramionami, cały czas wpatrzony w twarz oficera.
- A co mówił, jak ci to dawał?
 - Nic nie mówił. Dał i tyle, żebym niby to schował, bo to coś ważne jest, czy jak. Ja tam nie wiem. Kazał schować, to co miałem nie schować.
 - Łże bydlak jak pies, panie poruczniku – wtrącił się Kowalski. – Trzeba mu mordę obić, to przestanie władzę okłamywać.
- Zrobił krok w kierunku Nowaka i palnął go pięścią w ucho. Tym razem jednak niezbyt mocno, niemal pieszczotliwie, a i tak zadzwoniło mu w głowie, jakby tam kto włożył kościelny dzwon.
- Fritz, uspokój się – Carl powstrzymał go wyciągniętą dłonią przed następnym ciosem. – Jeszcze przyjdzie czas na rozmowę.
 - Ale panie poruczniku, to zakłamany bydlak. Gada jakieś bzdury, żeby...
 - Sprawdzimy, czy to bzdury – przerwał mu Aschmutat. – Idź na górę po tego Mayera. Niech tu przyjdzie, to ich ze sobą skonfrontujemy. Porozmawiamy sobie z tym człowiekiem i będziemy wiedzieli czy ten tu kłamie, czy nie. Bo jak kłamie, to powinien wiedzieć, że będzie z nim kiepsko.
 - Ale po co, panie poruczniku?
 - Idź, Fritz, i sprowadź go tutaj. Ja tymczasem pogadam sobie jeszcze z panem Nowakiem.
- Kowalski pokręcił głową, jakby chciał pokazać dowódcy, że to niepotrzebna strata czasu, ale nic więcej już nie powiedział. Wolał nie ryzykować jawnego zakwestionowania rozkazu. Wsadził ręce do kieszeni spodni i sprężystym krokiem wyszedł z kuchni. Po chwili drzwi od mieszkania zamknęły się z trzaskiem.
- No i co, Nowak, masz jeszcze czas, żeby wszystko powiedzieć. Radziłbym ci po dobroci. Bo jak Fritz się tobą zajmie, to będzie z tobą kiepsko.
- Spojrzał w twarz Nowaka. Pojawiło się w niej coś dziwnego. Mężczyzna

nagle zaczął szybciej oddychać, a potem ręce zaczęły mu drżeć. Przez moment Carl myślał, że symuluje, ale gdy ciężko zwalił się na podłogę, a całe jego ciało wpadło w drgawki, poderwał się natychmiast z krzesła, żeby mu jakoś pomóc. Wiedział, co to jest. Jego brat stryjeczny był epileptykiem i atak tej choroby widział na własne oczy jakieś dwadzieścia lat temu, podczas wspólnego pobytu u dziadków. Wtedy stryj Carla dopadł leżącego chłopaka i wsadził mu w usta jakiś kawałek drewna. Później wyjaśnił, że to drewno jest po to, żeby Jurgen nie przygryzł sobie języka.

Rozejrzał się szybko wokół siebie. Na garnku stojącym na piecu leżała drewniana kopystka. Chwycił ją, a potem uklęknął przy targanym drgawkami Nowaku. Ten miał jednak szczęki mocno zaciśnięte. Chwycił go więc za brodę, próbując rozewrzeć mu usta.

Nagle pięść Nowaka wylądowała z rozmachem na jego skroni. Nim zdążył zrozumieć, co się dzieje, zainkasował drugi cios w podbródek. Trzeci wbił się w jego splot słoneczny i sprawił, że stracił oddech, a czwarty spowodował, że podłoga, na której klęczał, nagle się rozstaąpiła i pochłonęła go głęboka czarna dziura.

Godzina 10.15 przed południem

– Ty chyba mosz rapla. Wszystko ci sie we łbie pochachmęciło – nie wytrzymał w końcu kucharz Walek, którego zamknęli dziś w nocy razem z jego kompanem Czerwińskim, też kucharzem, gdy wracali nocą do domu, po miło spędzonym wieczorze w piwiarni Weissa przy Wodnej. Pech chciał, że obaj kucharze pokłócili się o pewien przepis i zamiast rzeczowo wyjaśnić sobie pewne kwestie, zaczęli się prać po mordach. A nie od dziś wiadomo, że policjanci na patrolu nie wchodzą w istotę konfliktu, ale równo i po bożemu skonfliktowane strony leją pałami, gdzie popadnie, a potem bez zbędnych ceregieli wsadzają takich do ciupy. No i Walek wraz z Czerwińskim przespali noc w celi, a teraz czekali, żeby ich wypuścili, bo w końcu takie mordobicie to nic wielkiego, więc nawet kary jakiejś się nie spodziewali, ale zwykłego kopa w dupę na pożegnanie. Jednak zamiast spokojnie czekać, znów zaczęli się spierać

o pewną recepturę.

– Ślepe ryby robi się na chabasie. Na szpeku to możesz co najwyżej żur zrobić albo rumpuc.

– Na szpeku też można ślepe ryby – nie dawał za wygraną Czerwiński. Moja mamusia ino na szpeku szykowała te ajntopy.

– Tyś szpek za szczona widzioł jak świnia niebo.

– Pewno, że widziołem i chabas też widziołem, jak to wszystko się rychtowało w domu. A co ty se myślisz, że ja jest zdalasiały kociamber glapami futrowany?

– Możecie zawrzeć sznupy? – warknął Tolek, którego ta kłótnia już zaczęła irytować. – Ile można o futrowaniu pierdolić?

Zdenerwowało go to gadanie o żarciu, bo głodny się zrobił. O siódmej rano dali mu kawałek podłego czarnego chleba i gorącą kawę zbożową w aluminiowym kubku, więc teraz mógł już poczuć się głodny. Ci dwaj nic nie dostali i patrzyli na niego z zazdrością. Jeden z nich, ten blondyn Walek, zapytał nawet kalifaktora, czemu im nic nie daje? Wąsaty strażnik spojrział na niego jak na wariata, a potem warknął:

– Bo wam, szczony zasrane, nic się nie należy.

Tolkowi przysługiwało. On wiedział doskonale, co to znaczy. Skoro dostał jedzenie, to znaczy, że był wliczony do stanu aresztowanych, a te dwa głąby nie dostały jeść, bo ich pobyt się właśnie kończył. Co prawda mogli tak jeszcze na głodniaka siedzieć ładnych kilka godzin, do czasu aż się ktoś nimi nie zainteresuje i nie wypisze z rejestru, ale pewne było, że wyjdą dzisiaj. On był w gorszym położeniu. Szykował się do przesłuchania, choć nie wiedział, na jakiego policjanta trafi. Od tego wszystko zależało. Jeśli na kogoś rozsądnego, to da się z nim dogadać, a wtedy być może wyjdzie stąd w ciągu najbliższych kilku godzin. No, ale jeśli to będzie ten, co go aresztował, to swoją sytuację widział dość kiepsko. Zastanawiał się, o co w tych aresztowaniach mogło chodzić? Najpierw zgarnęli jego kumpli, teraz on trafił za kratki. To musiała być sprawa któregoś włamania. Może ten paser Mosiek Poznański ich wsypał? Nie miał pojęcia, o co tu szło. Ale wiedział jedno, jeśli go o co zapytają, będzie szedł w zaparte i mówił, że o niczym nic nie wie. To był najlepszy sposób na głupiego śledczego. Z mądrym policjantem trzeba było też iść w zaparte, ale dać mu do zrozumienia, że jakby co, to może na wolności dawać mu cynki o innych złodziejach. Oczywiście taka

gotowość do kapowania to kompletna lipa, bo w życiu by na nikogo nie doniósł, ale niektórzy policjanci to kupowali.

– A to niby czemu mamy się zamknąć? – zapytał ten drugi, szczupły brunet.

Tolek spojrzał na niego złym okiem. Nie chciało mu się spierać z tymi młodzikami. Każdy z nich mógł mieć co najwyżej dwadzieścia lat. Mógłby im oczywiście spuścić manto, ale co by mu to dało? Za stary już był na to, żeby czerpać satysfakcję z pobicia jakichś szczonów. No, ale jak się będą stawiać, to nie będzie innego wyjścia.

– Bo ja was grzecznie o to proszę.

– No chyba, że grzecznie – powiedział ugodowym tonem ten blondyn, który pewnie wyczuł pismo nosem.

Judasz w drzwiach odsunął się. Wszyscy trzej aresztanci natychmiast spojrzeli w tamtym kierunku. Zaraz w drzwiach zazgrzytał klucz, a potem w wejściu stanął strażnik.

– Który to Grubiński?

Tolek wstał z taboretu zgodnie z aresztanckimi zasadami.

– No to dalej, za mną, na przesłuchanie.

– A my to co? – zawołał Walek.

Strażnik obrzucił go lekceważącym spojrzeniem.

– A wy, zasrańcy, siedzieć i czekać.

Strażnik zamknął drzwi na klucz, a potem ruchem głowy wskazał mu korytarz. Areszt w podziemiach komisariatu przy Wielkich Garbarach miał zaledwie pięć cel aresztanckich. Tutaj wsadzano tylko na krótki czas, bo jeśli kogoś policjanci chcieli przetrzymać w celi dłużej, trzeba go było przetransportować do aresztu na Młyńską. Tolek zastanawiał się, czy po przesłuchaniu trafi właśnie tam, czy też uda mu się opuścić gościnne mury komisariatu?

Buty pozbawione sznurówek, klapiąc metalowymi blaszkami o cementową posadzkę, wybijały rytm kroków zwielokrotniony przez sklepiony sufit korytarza.

– Do góry! – warknął nieprzyjemnie klawisz, wskazując schody. Ruszył więc do góry, przytrzymując jedną ręką spadające, pozbawione paska, spodnie, a drugą chwytając się metalowej poręczy.

Pomalowane na szaro drzwi z jednej i drugiej strony prowadziły do

pomieszczeń, w których pracowali policjanci. Tolek znał kilka z nich, bo miał okazję gościć tu kilkakrotnie podczas przesłuchań. Nigdy jednak nie był tu w roli aresztanta, z opadającymi portkami w dłoni. Strażnik kazał mu się zatrzymać przed drzwiami opatrzonymi okrągłą białą tabliczką z czarną piątką i sam w nie zapukał. Nie czekając na pozwolenie ze środka, nacisnął klamkę i wepchnął aresztanta.

W pokoju na wprost drzwi stało odrapane biurko. Za nim na krześle siedział mężczyzna w mundurze oficera. Tolek nie od razu dostrzegł jego twarz, bo ostre światło, wpadające do środka przez okno za jego plecami, zniekształcało widok. Strażnik zamknął drzwi za sobą, odcinając Tolkowi możliwość ucieczki, wyprzedził go i stanął na baczność dwa kroki przed biurkiem.

– Panie komisarzu, melduję doprowadzenie aresztowanego Anatola Grubińskiego syna Wilhelma.

– Dziękuję. Możecie się odmeldować.

Policjant zrobił przepisowy w tył zwrot i poszedł w kierunku drzwi, nie zaszczyciwszy aresztanta nawet jednym spojrzeniem. Drzwi trząsnęły za plecami Tolka, który stał na środku pokoju przytrzymując portki.

– Niech pan siada, panie Grubiński – powiedział policjant bez twarzy, wskazując jednocześnie taboret. Tolek podszedł bliżej i usiadł zadowolony, że nie musi już być skrępowany tymi opadającymi spodniami.

Teraz wreszcie mógł się przyjrzeć oficerowi. Na oko miał ze trzydzieści lat, tak jak on sam. Jasne włosy ostrzyżone na krótko, na wzór wojskowy, twarz szczupła, bez zarostu, nawet bez wąsów, wydawała się całkiem sympatyczna, choć było w niej coś zdecydowanie twardego. Niebieskie oczy miały w sobie pewien błysk, jaki często zdarza się u osób o wesołym usposobieniu. Oczy te wpatrywały się teraz uważnie w twarz Tolka. Obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem jak dwaj zapaśnicy przed walką. Tolek nieraz obserwował walki zapaśnicze w ogromnym drewnianym cyrku i widział, jak ci, którzy stawali do walki, zanim rzucili się do pierwszego chwytu, najpierw bacznie się sobie przyglądali, uważnie oceniając siły i możliwości przeciwnika.

Tolek ocenił policjanta błyskawicznie. Miał przed sobą twardego zawodnika. Trzeba będzie na niego uważać. To był zupełnie inny kaliber

niż ten, który go aresztował. Zresztą tamten był od tego tu niższy rangą, a poza tym był z Kongresówki, co dało się natychmiast wyczuć po sposobie mówienia. Ten natomiast wyglądał na Prusaka z krwi i kości.

– Przepraszam pana – powiedział policjant, a Tolek aż otworzył gębę ze zdziwienia. Jeszcze nigdy w życiu nie słyszał, żeby jakiś policjant, i do tego jeszcze komisarz, kogoś przeproszał.

– Źe co? – zdołał tylko wybąkać, bo nic mądrzejszego nie przyszło mu do głowy.

– Przepraszam – powtórzył policjant – za tę haniebną pomyłkę z pańskim aresztowaniem.

Pomyłka z aresztowaniem? Nie, to się normalnie nie mieściło w głowie. Nie dość, że przeprosza, to jeszcze mówi o pomyłce policji! To przecież całkowicie niemożliwe! To musi być jakaś prowokacja, jakaś chytra gra tego szkieła. Trzeba na niego uważać, bo zdaje się, że ten gość coś kombinuje.

– Otóż jak tylko się dowiedziałem, że mój podwładny, podkomisarz Siewierski popełnił tę pomyłkę i zaliczając pana do kręgu osób podejrzanych aresztował, natychmiast wybrałem się tutaj, żeby naprawić tę niegodziwość.

– No właśnie, ja... Tolek plątał się coraz bardziej oszołomiony, ale policjant nie pozwolił mu zaplątać się całkowicie, wchodząc mu w zdanie, które nawet jeszcze nie powstało w jego głowie.

– Rozumiem pańskie słuszne oburzenie. Policja nie jest od tego, żeby wsadzać do kozy niewinnych, porządnych obywateli. Policja stoi na straży praworządności. No, ale w Policji, jak pan doskonale wie, są różni ludzie. Najechało się tu do nas różnych takich, co to się nie znają na policyjnej robocie i swoimi poczynaniami przynoszą wstyd mundurowi. Na szczęście jednak my, poznaniacy, jeszcze potrafimy rozeznaczyć się w kryminalnej sprawie i odsiać ziarno od plew.

– Ale co to za sprawa kryminalna?

Fischer uśmiechnął się pod nosem. Wiedział już, że ten z drugiej strony biurka jest najwyraźniej skonfundowany i oszołomiony. Dlatego policjant był z siebie bardzo zadowolony. Miał Grubińskiego na talerzu i wystarczyło teraz pożreć go z kośćmi, ale najlepiej, gdyby on sam w tym pomógł i zgodził się z ochotą. Przez całą drogę ze swojego biura tu na Grabary zastanawiał się, jak tę rozmowę rozegrać i w końcu doszedł do

wniosku, że tylko w jeden sposób można podejść złodzieja – trzeba go było przechytrzyć, bo doskonale wiedział, że groźby, krzyki czy mordobicie w wypadku Grubińskiego mogą spowodować tylko tyle, że ten zamknie się w sobie i do niczego nie będzie użyteczny. Grubiński obłaskawiony dobrym słowem i potraktowany z odrobiną szacunku był gotowy niemal jeść z ręki.

Komisarz wyciągnął swoją fajkę i kapciuch z tytoniem. Tolek oblizał spierzchnięte wargi. Widać, że chciało mu się palić. Wypalił już wszystko, co miał w celi i teraz głód nikotyny dawał o sobie znać. Fischer podchwycił jego łakome spojrzenie i uśmiechnął się szeroko, ukazując dwa rzędy równych, ale nieco pożółkłych od palenia zębów.

– Nie mam drugiej fajki, panie Grubiński, ale jeśli pan ma ochotę, to gdzieś tu była gazeta.

Otworzył szufladę i wyciągnął z niej stary egzemplarz „Kuriera”. Położył go na blacie biurka.

– Śmiało, niech pan sobie oderwie ile trzeba.

Tolek sprawnie oderwał kawałek gazety, na który policjant wysypał tytoń z woreczka. Złodziej błyskawicznie skręcił papierosa w czasie, gdy komisarz nabijał swoją fajkę. Zapalili.

Przez chwilę jeden i drugi milczeli, delektując się aromatycznym dymem.

– No właśnie, wracając do sprawy – zaczął wolno Fischer – sprawy kryminalnej, dotyczącej mordu dokonanego na prostytutce Jadwidze Mroczek, którą pan znał osobiście.

Tolek pokiwał głową na znak, że orientuje się w czym rzecz.

– Podkomisarz Siewierski zakładał, oczywiście błędnie, że pan może mieć jakieś informacje na ten temat albo, co gorsza, jest pan w jakiś sposób zamieszany w tę zbrodnię.

– Ja? – Tolek zrobił wielkie oczy. – Ja zamieszany? Przecież to jakaś kompletna bzdura – chciał powiedzieć, ale policjant znów nie dał mu szansy.

– Ale na szczęście, panie Anatolu, ja uważam zupełnie inaczej. Otóż ja uważam, że pan jest człowiekiem jak najbardziej zainteresowanym wyjaśnieniem tej sprawy i pojmaniem sprawcy.

– Ja bym mu panie komisarzu, gołymi rękami wypruł z kałynda wszystkie bebechy!

Fischer znów się uśmiechnął. Grubiński już należał do niego.

– Drogi panie Anatolu, tutaj właśnie się różnimy. O ile i mnie, i panu zależy na znalezieniu mordercy, to ja jestem zwolennikiem rozwiązań stojących na gruncie prawnym. Dlatego wolałbym, żeby ten bydlak stanął przed sądem i dopiero sąd wymierzył mu sprawiedliwość.

– A racha, panie komisarzu? Jadźka to moja krewniaczka.

– Zemsta musi poczekać panie Grubiński. Najpierw sprawiedliwość. Poza tym ja tego bydlaka potrzebuję żywego.

– A po chłelere taki parch ma po świecie łązić?

– Bo zanim diabli go wezmą, ja jeszcze muszę sobie z nim pogadać.

Za zakratowanym oknem zrobiło się szaro. Słońce musiała przykryć jakaś ciemna chmura. Idzie burza – pomyślał Tolek, wpatrując się w twarz policjanta, na której wyraźnie widać było determinację i zdecydowanie.

– Ten, co ją zarznął – odezwał się Tolek Grubiński – nazywa się Willy Bauer, mieszkał na Wildzie, a teraz ponoć od dwóch mieszka lat w Schneidemühl.

Fischer uśmiechnął się. Jego plan zadziałał nadspodziewanie dobrze.

Godzina 11.30 przed południem

Czarny opel torpedo zatrzymał się przy budynku z czerwonej cegły. Kowalski wyłączył silnik i wysiadł z auta. Obszedł samochód dookoła, żeby pomóc w wysiadaniu porucznikowi, ten jednak zdecydowanie odepchnął wyciągniętą w jego kierunku dłoń podoficera.

– Dam sobie radę – fuknął i powoli wyszedł z wozu, ostrożnie stawiając stopy na brukowanej jezdni. Nie ruszył od razu w kierunku budynku Komisariatu Policji. Przez chwilę trzymał się burty samochodu, spoglądając w głąb ulicy, jakby go zainteresował dostawczy wóz zaprzężony w jednego wychudzonego konia, którym handlarz dowoził cotygodniowy zapas warzyw i kartofli do Instytutu Głuchoniemych na narożniku Saarland i Jastrower Allee. Ale Carla wcale nie obchodził ani wóz, ani tym bardziej Instytut. Stał tak, żeby wyrównać oddech po tym ciosie w splot słoneczny, który zainkasował od tego cholernego Nowaka.

Bolało go nie tylko w tym miejscu, czuł też pulsujący ból w skroni od uderzenia, które pozbawiło go przytomności. Ale najbardziej bolał go, wcale nie w fizyczny sposób, siniak pod okiem. Miał wrażenie, że cały policzek ma opuchnięty. Za chwilę wszyscy w komisariacie będą wiedzieli, że jakiś cholerny bandzior spuścił mu lanie, a potwierdzeniem tego będzie jego własna obita gęba. Jak mógł być takim głupcem – myślał – żeby tak się dać nabrać. Na przyszłość trzeba słuchać bardziej doświadczonych policjantów, a takim był niewątpliwie – starszy od niego o siedem lat i znacznie dłużej pracujący w policji kryminalnej – Fritz Kowalski. Gdyby go posłuchał, a nie upierał się przy swoim, Nowak siedziałby teraz na tylnym siedzeniu ich samochodu z łapami skutymi kajdankami. Ale nie, kazał iść swojemu podoficerowi na górę, oczywiście całkowicie niepotrzebnie. Ten kolejarz, jak się okazało, od dwóch dni był w pracy, w trasie na Górnym Śląsku, więc wczoraj nie mógł się w żaden sposób przyczynić się do śmierci tej dziewczyny. Historia ze skrawkiem materiału wręczonego na przechowanie Nowakowi była zatem wyssana z palca po to, żeby odwrócić ich, a właściwie jego uwagę. No i okazała się niezwykle skuteczna.

Gdy Kowalski wrócił z niczym z góry, zastał swojego szefa leżącego bez przytomności na podłodze. Dopiero po oblaniu twarzy wodą udało mu się przywrócić go do przytomności. A po Günterze Nowaku oczywiście nie było śladu.

– Znajdziemy gnoja, panie poruczniku – przywołał go do rzeczywistości głos stojącego na chodniku tuż przy aucie podwładnego, którzy szczyrzył do niego zębami. – Bo gdzie taki drań mógłby nam uciec? Przecież tu nie Berlin czy Hamburg, gdzie by się zaszył w jakiejś dziurze. To jest Schneidemühl, tu wszyscy się znają. Jak go tu kto zauważy, to zaraz nam doniesie. Najważniejsze, żeby nie wyjechał z miasta, ale tym już się zajmą chłopaki z posterunku dworcowego. Przepatrzą za nim każdy wyjeżdżający pociąg.

Aschmutat wiedział, że to prawda. Przez dworzec się nie wyślizgnie. Gdy tylko wyszli z mieszkania Nowaka, pojechali najpierw na dworzec, żeby poderwać do działania policjantów ze znajdującego się tam posterunku. On został w samochodzie, przed budynkiem dworca, bo wstyd było się pokazywać z tą obitą gębą, ale Kowalski wszystko załatwił. Wydał polecenia szefowi posterunku o nazwisku Schwartz. Ten

natychmiast posłał swoich ludzi na peron, bo akurat szykował się do odjazdu pociąg jadący do Kreuz. W przeszukaniu pociągu wziął też udział Kowalski, ale Nowaka w nim nie znaleziono. W każdym razie ci policjanci z dworca wiedzieli, kogo mają szukać i jak ten człowiek wygląda, więc uciekinier nie miał najmniejszej szansy wydostać się z miasta koleją.

– Mimo wszystko trzeba zarządzić poszukiwania w mieście i sporządzić za nim list gończy. To powiedziawszy, Carl ruszył w kierunku drzwi prowadzących do komisariatu.

– Spokojna głowa, panie poruczniku. Mamy jego facjatę w kartotece. Zaraz znajdę jego teczkę i sporządzę list, a potem damy to do drukarni. Sam im zawiozę, żeby przypilnować roboty, bo jakby dać przez gońca, to by ze dwa dni się z tym bawili.

Porucznik przystanął przed wejściem do budynku.

– Powiedz mi, czy ty wiesz, od kiedy ten Nowak jest na wolności?

Kowalski wzruszył bezradnie ramionami.

– Nie wiem, panie poruczniku, ale coś mi się widzi, że może być już z miesiąc w domu. No, ale to jest do sprawdzenia. Dowiem się tego.

Carl kiwnął głową.

– Idę zameldować Wehrnerowi o wszystkim, a potem będę w swoim pokoju. Jak już się uporasz z robotą, to przyjdź do mnie. Musimy obmyślić, co robimy dalej.

Gabinet szefa mieścił się na pierwszym piętrze. Wszedł do sekretariatu bez pukania. Za biurkiem siedziała Hilda Kempke, śliczna jasnowłosa dziewczyna. Trzeba przyznać, że stary Wehrner ma dobry gust, jeśli chodzi o sekretarki – pomyślał Carl, spoglądając na kształtny biust dziewczyny, szczelnie zakryty obcisłą białą koszulą. Ta poprzednia, Edyta, też była niczego sobie, ale wyjechała do Berlina w ubiegłym miesiącu. Natychmiast zastąpiła ją Hilda, którą skierował do Policji urząd pracy. Teraz powoli uczyła się nowej roli. Elementem tej nauki było pisanie na maszynie. Dziewczyna umiała pisać, jednak robiła to jeszcze zdecydowanie za wolno. Nic więc dziwnego, że wykorzystywała każdą okazję do ćwiczeń. Teraz też do tego stopnia zajęta była pisaniem, że nie zauważyła nawet, że w sekretariacie pojawił się porucznik.

Aschmutat odchrząknął, żeby zwrócić jej uwagę.

– O, pan porucznik – powiedziała trochę zmieszana. – A ja tu cały czas na tej maszynie... – wskazała ręką piękną maszynę marki Mercedes.

– Oczywiście, rozumiem. – Carl uśmiechnął się, a potem zaraz dodał: – A komisarz jest na miejscu?

– Tak jest. Zaraz go uprzedzę, że pan przyszedł.

Podniosła się z krzesła, poprawiła czarną spódniczkę, a potem przeszła koło porucznika, pozostawiając za sobą zapach konwaliowych perfum. Lubił ten zapach. Takich samych używała jego żona.

Po chwili Hilda wyszła z gabinetu szefa.

– Pan komisarz pana prosi... O Boże, a co to się panu stało?

Dopiero teraz dojrzała podbite oko Carla, gdy skinął jej głową, żeby podziękować za wprowadzenie do szefa. Wcześniej stał do niej bokiem, więc widziała tylko tę nienaruszoną część twarzy. Uśmiechnął się zakłopotany.

– Wypadek przy pracy, panno Hildo.

– To straszne, na co też musi się pan narażać – powiedziawszy to, wróciła do biurka i maszyny do pisania. Carl wszedł do środka, starannie zamykając za sobą drzwi. Lepiej, żeby dziewczyna nie słyszała nic z tej rozmowy.

Podszedł do biurka komisarza i stanął przed nim na baczność. Wehrner spojrzał na niego znad gazety. Komisarz skończył niedawno pięćdziesiąt lat. Miał bardzo wysokie czoło, podwójny podbródek i wielki jak beczka piwa brzuch. Zresztą to właśnie miłości do tego trunku zawdzięczał jego rozmiary. Odłożył gazetę na biurko i złożył ją starannie. Potem zdjął z nosa okulary w rogowej oprawce, położył je na gazecie i dopiero wtedy odezwał się do podwładnego.

– Niech pan się nie wygłupia. Nie jesteśmy już w wojsku. Wystarczy, że powie pan dzień dobry.

– Dzień dobry – powiedział Carl, spoglądając kątem oka na wiszący za plecami komisarza portret Fryderyka Wielkiego, tego samego, którego pomnik stał przed kościołem na Neumarkt. Zawsze, ilekroć patrzył na ten portret, miał wrażenie, że cesarz mierzy go szyderczym spojrzeniem. Nie inaczej było i tym razem. Fryc patrzył na niego tak, jakby chciał powiedzieć: – No co, poruczniku Aschmutat, jak można było dopuścić do takiej kompromitacji. Okrył pan hańbą pruski mundur.

– No właśnie, od razu lepiej – przywołał go do rzeczywistości Wehrner.

– Proszę, niech pan siada – wskazał mu ręką krzesło stojące przed biurkiem. Carl natychmiast zajął miejsce.

- A to pod okiem, to co to takiego? Zaczął pan uprawiać boks? Aschmutat miał zakłopotaną minę. Właściwie wcale nie musiał się wysilać. Był bardzo skonfundowany. A kto by nie był w jego sytuacji? Doświadczony oficer śledczy dał się podejść jakiemuś oprychowi jak dziecko. Zwyczajnie było mu wstyd.

- To moja wina, panie komisarzu - mruknął.

- No to niech się pan tłumaczy. Bardzo jestem ciekaw, jak spędzają czas wolny moi oficerowie?

- To nie w wolnym czasie, panie komisarzu. To, że się tak wyrażę, w ramach obowiązków służbowych.

- O! To tym bardziej ciekawe. Myślałem, że pan w ramach tychże obowiązków zajmuje się trupem znalezionym nad rzeką Küddow.

- Tak było w istocie.

Wehrner zmarszczył groźnie brwi. Ale nie wywołał w ten sposób uczucia strachu w swoim podwładnym. Carl znał go dobrze i wiedział, że pod tą maską srogości w istocie kryje się poczciwy człowiek.

- Rano byłem nad rzeką. Znaleziono tam zwłoki młodej kobiety, którą zabito w brutalny sposób. Ktoś rozplątał jej brzuch, pewnie jakimś nożem albo bagnetem. Tego jeszcze nie wiemy. Tam na miejscu Kowalski przypomniał sobie, że niedawno z więzienia wyszedł pewien człowiek. Dwa lata temu wsadziliśmy go do więzienia, za pobicie i okaleczenie twarzy pewnej prostytutki. Okaleczenie nożem, oczywiście. Sąd skazał go tylko na półtora roku, bo ta prostytutka najpierw go rozpoznała, a później wycofała zeznania, twierdząc, że nie jest pewna, czy to on. On zresztą też się nie przyznał, stąd taki łagodny wyrok.

- No i co z nim? - najwyraźniej zainteresował się komisarz. - Rozumiem, że postanowiliście go odwiedzić, a on stawiał opór przy zatrzymaniu.

- Stawił i co gorsza uciekł - wyjaśnił Carl i spuścił wzrok na dół.

- A pan, próbując go powstrzymać, nadział się na jego pięść.

Oficer skinął głową.

- Panie kolego, nie ma się czym przejmować. Tego bandytę złapiemy prędzej czy później. A jak go już dopadniemy, będzie pan mógł odpłacić mu pięknym za nadobne. Takie sytuacje w naszej policyjnej robocie się zdarzają, więc nie ma o czym gadać. Z dumą może pan obnosić się ze swoim siniakiem, bo to chwalebna rana, którą uzyskał pan w walce.

Lepsza byłaby co prawda rana cięta na policzku, ale nic na to nie poradzimy, że bandyta tylko dał panu po gębie, zamiast porządnie ciąć.

– Tyle, że mi wstyd, że nie udało mi się go powstrzymać. Gdyby nie moja nieudolność, ten Nowak już by siedział.

– Nowak? Czy to Polak?

– Günter Nowak, to chyba Niemiec. Ale cholera go wie. Czy u nas, tu w Schneidemühl, można się tak do końca rozeznać, kto Polak, a kto Niemiec? Nasz Fritz Kowalski to stuprocentowy Niemiec, a nazwisko ma polskie, nie tylko w brzmieniu, ale nawet w pisowni, a aptekarz z Neumarkt Johan Hübner nazwisko i imię ma niemieckie, a śpiewa polskie pieśni w polskim chórze „Halka”. I kto się w tym wszystkim rozezna?

– Prawda, że u nas, tutaj na pograniczu, wszystko pomieszane jak w polskim bigosie, a każdy miejscowy mówi po niemiecku i po polsku. A tak w ogóle to pan już się nauczył po polsku?

Aschmutat uśmiechnął się, traktując to pytanie jak dobry żart.

– A po co mam się uczyć, jak pan słusznie zauważył, że wszyscy tu, niezależnie od narodowości, mówią po niemiecku. A po polsku to ja potrafię tylko przeklinać. Podczas wojny miałem serdecznego przyjaciela, z którym jedliśmy z jednej menażki w okopach. I od niego właśnie nauczyłem się najpiękniejszych polskich przekleństw.

– Ha, ha, ha – to nam zdecydowanie najłatwiej wychodzi w nauce języków. – No dobra, ale do rzeczy. Co pan zamierza dalej w tej sprawie?

To akurat Carl już zdążył poukładać sobie w głowie, więc z odpowiedzią nie było kłopotu.

– Przede wszystkim musimy się dowiedzieć, kim jest ofiara zwyrodnialca. Po drugie, zawiadamiamy straż graniczną o tym, że Nowak może próbować uciec przez granicę do Polski. Policja kolejowa już o tym wie. No i najistotniejsze to znaleźć świadków. Może ktoś widział tę dziewczynę wieczorem lub w nocy. Tym za chwilę zajmą się nasi ludzie pod kierownictwem dwóch podoficerów Kubiaka i Hildebrandta.

– To znaczy, że już jest pan przekonany, że ten Nowak to właściwa osoba? – Wehrner nie byłby sobą, gdyby nie spróbował zasiać jakiejś wątpliwości w sercu swojego podwładnego. Tym razem trafił idealnie w dziesiątkę.

– Nie, nie jestem przekonany. Ale na razie nie mam innego punktu

zaczepienia. No a poza tym, po co ten Nowak uciekał?

Carl spojrział na swojego przełożonego, a potem jego wzrok powędrował na wiszący za jego plecami portret Fryca w pięknym, paradnym mundurze. Przez chwilę zdawało mu się, że wódz uśmiecha się do niego drwiąco.

Godzina 1.10 po południu

Schneidemühl ta nazwa miasta, które leży w odległości jakichś stu kilometrów na północ od Poznania, tuż za granicą polsko-niemiecką, która natychmiast przywołała w umyśle Fischera pewne wspomnienie. Miało ono konkretną twarz i oczy, a do tego nawet pewien sposób oszczędnej, jakby wyważonej i przemyślanej w każdym calu gestykulacji. Dodatkowo wspomnienie to nosiło konkretne imię i nazwisko. Carl Aschmutat służył wraz z nim w jednym pułku. Co tam w pułku, byli kolegami z jednej kompanii i obaj jako młodzi podporucznicy trafili do oddziału tego samego dnia. Po zakończeniu wojny Fischer wrócił do Poznania, akurat w momencie, gdy do miasta przyjechał Paderewski. Jako oficer z dwuletnim doświadczeniem frontowym nie mógł więc nie wziąć udziału w powstaniu. Tymczasem jego przyjaciel rozpoczął służbę w policji kryminalnej w nieodległej Pile, z niemiecka nazywanej Schneidemühl. Mimo że rozdzieliła ich granica, nadal utrzymywali ze sobą kontakt listowny. Od dawna planowali, że w końcu muszą się spotkać, ale jakoś nie było dotąd okazji. Ta nadarzała się właśnie w tej chwili.

Godzinę temu, gdy wrócił do budynku Policji, natychmiast poszedł do pokoju, w którym mieściła się centrala telefoniczna. Poleciał, by dyżurny połączył go z Prezydium Policji w Schneidemühl. Podał mu nawet numer telefoniczny tego urzędu, bo w jednym z ostatnich swoich listów, a miał je wszystkie w szufladzie swojego biurka, Carl napisał, że można do niego dzwonić. Wcześniej nie było ku temu okazji, a teraz numer okazał się bezcenny. Dzięki niemu zamówienie rozmowy międzynarodowej okazało się dziecinnie proste, trzeba było tylko poczekać jakąś godzinę na połączenie. Siedział więc teraz za swoim biurkiem i czytał gazetę,

czekając na rozmowę. Nie musiał nawet schodzić do centrali. Miał aparat telefoniczny u siebie w pokoju.

Przy drugim biurku siedział Siewierski, który pilnie uzupełniał jakiś protokół. Fischer nie spytał go o tę pracę, uważając, że byłaby to niepotrzebna strata czasu. Cóż mądrego mógł mu w końcu powiedzieć ten cymbał? Przeciągającej się ciszy w końcu nie wytrzymał Siewierski.

– Pan komisarz jest niesprawiedliwy w ocenie mojej pracy – rzucił niby od niechcena. Fischer nie zareagował, więc Siewierski chrząknął, a potem kaszlnął, jednak te zabiegi też nie zdołały oderwać komisarza od lektury. Spróbował więc znowu. – Myślę, że ci, których wsadziłem do aresztu, mogą się przydać w dochodzeniu. Chodzi mi o kluczowe informacje...

– Kazałem ich wszystkich wypuścić – rzucił Fischer, pozornie obojętnym tonem.

– Co? Jak to?

– A no tak. Szajka złodziejska nie jest nam przydatna do niczego. Jedyna przydatna osoba to ten Grubiński. Jego też wypuściłem.

– Przyznam szczerze, panie komisarzu, że nie rozumiem. Skoro mówi pan, że on jest przydatny, to dlaczego pan go zwolnił?

Humor Fischera najwyraźniej się poprawił, więc nie miał już ochoty znęcać się nad Siewierskim. Skoro na głupotę nie ma lekarstwa, trzeba nauczyć się z nią żyć.

– Dlatego, że dowiedziałem się od niego wszystkiego, co było mi potrzebne.

– Czyli co?

– Czyli to, że Grubiński ma rachę i jak nikt chce nababrać temu, co zabił jego krewniaczkę. Powiedziawszy to, zrobił nadzwyczaj zadowoloną minę.

– Jaką rachę? Panie komisarzu, przyznam, że nic kompletnie z tego nie pojąłem.

– Drogi panie, mieszka pan w Poznaniu od dwóch lat i nie zna pan podstawowych słów, które mogą być przydatne w pańskiej pracy. Racha to po poznańsku zemsta, a mieć rachę, to znaczy chcieć się zemścić, co w połączeniu z pięknym poznańskim słowem nababrać, daje nam coś w rodzaju – zemścić się tak, żeby sprawca na długo popamiętał.

– Aha – ucieszył się Siewierski. – Rozumiem, to coś w rodzaju dintojry.

Fischer pokiwał głową.

– O, widzę, że łapie pan sens. Grubiński szuka zemsty, bo ta zabita dziewczyna, którą wyłowiono z Warty, to jego krewniaczka. W tej sytuacji trzymanie go pod kluczem nie ma dla nas żadnego sensu. Niech on szuka mordercy na własną rękę.

– Teraz już wszystko rozumiem, panie komisarzu. Ale mam pewną wątpliwość natury moralnej. Otóż jak on znajdzie mordercę przed nami, to ten morderca może nie trafić żywy w nasze ręce.

Fischer spojrział na niego zdumiony.

– I pan chce mi powiedzieć, że interesuje pana los jakiegoś zwyrodnialca? Przecież dla wszystkich byłoby lepiej, gdyby takie indywidualium zniknęło ze świata żywych.

– Oczywiście, jak najbardziej. Ale przecież jest prawo, jest sąd...

– No dobrze, nie będę pana więcej dręczył. Mam umowę z Grubińskim. Jeśli uda mu się go odnaleźć, najpierw poinformuje o tym mnie.

Siewierski aż usta otworzył ze zdumienia. Fischer chyba jednak naprawdę zwariował. Czy on myśli, że ten przestępca robi mu prezent w postaci wystawienia mordercy? Przecież nie od dziś wiadomo, że żadnemu przestępcy nie można wierzyć. Przestępca współpracuje z policją tylko w obawie o swoje życie lub zagrożony utratą wolności. A tu było zupełnie odwrotnie. On tę wolność już miał, więc nie było żadnego, najmniejszego powodu, dla którego ten Grubiński miałby Fischerowi pomagać.

– Obawiam się, panie komisarzu, że dał się pan nabrać.

– Jak to? – tym razem to Fischer szczerze się zdziwił.

– Ano tak. Przecież wszyscy przestępcy to kłamcy i oszuści. Nie mogę uwierzyć, żeby ten Grubiński tak z własnej woli przyszedł do pana i powiedział, że znalazł mordercę.

– On już mi o tym powiedział.

– Że jak?

– Podał mi jego imię i nazwisko. Teraz musimy tylko ustalić, gdzie ów bandyta się ukrywa.

Siewierski aż poderwał się z fotela.

– Jak to? Zna pan nazwisko mordercy i tak spokojnie pan tu siedzi?

– A co, mam lecieć do miasta i pytać przechodniów o niego?

– No nie, ale trzeba coś z tym zrobić, trzeba działać.

– Toteż działałam. Niech się pan uspokoi. Czekam na pewne ważne połączenie. Za chwilę pan wszystko zrozumie.

W tym momencie, jakby przywołany siłą woli Fischera odezwał się telefon. Policjant przysunął aparat do siebie, zdjął słuchawkę z wieszaka i odezwał się do ebonitowej tubki. Jednocześnie drugą słuchawkę wskazał Siewierskiemu. Ten podszedł szybko do biurka komisarza, oparł się o blat i przyłożył ją do ucha.

– Fischer mówi.

– Jest połączenie z Prezydium Policji w Schneidemühl – powiedział policjant z centrali.

– Łączyć.

Rozległy się jakieś trzaski i szumy, a po chwili przebił się przez nie czyjś głos.

– Kriminalpolizeiamt Schneidemühl.

– Guten Tag. Ich heiße Fischer, Hauptmann Fischer. Ich telefoniere aus Posen. Ich möchte mit Herr Leutnat Carl Aschmutat sprachen.

– Aber natürlich, Herr Hauptmann. Könten Sie bitte warten?

– Ja, perfekt. Ich warte hier.

Siewierski odwiesił swoją słuchawkę na haczyk. Fischer spojrzał na niego zdziwiony.

– Po niemiecku to ja nie rozumiem za dobrze – wyjaśnił i wrócił na swój fotel.

Z drugiego końca linii telefonicznej odezwał się tak dobrze znany Fischerowi głos.

– Halo, Anton, to niemożliwe. To naprawdę ty, przyjacielu?

– Oczywiście, że ja. Kopę lat, stary draniu. Jak żyjesz, co tam u ciebie?

– Wszystko dobrze. Anna jest w ciąży. Będę ojcem za cztery miesiące, słyszysz?

– Gratulacje. Cieszę się, naprawdę!

– Jest więc okazja. Na ślub nie mogłeś przyjechać, więc może na chrzciny ci się uda?

– Z największą przyjemnością, przyjacielu. Ale może się zdarzyć, że zobaczymy się wcześniej.

– Jak to? Co masz na myśli?

– Posłuchaj, Carl. Mam tu sprawę morderstw dwóch kobiet. To prostytutki, które ktoś pozbawił życia za pomocą...

– Halo, Anton, nic nie słyszę. Coś mi przerywa...

– Carl, jesteś tam?

Głos Niemca zniknął na łączach. Zaraz w rozmowę włączyła się czujna telefonistka z centrali międzynarodowej.

– Halo, czy rozmowa ze Schneidemühl mówi się?

– Mówi się do cholery! – krzyknął do trąbki Fischer tak głośno, że Siewierski aż podskoczył za swoim biurkiem.

– Przepraszam, już łączę – odpowiedziała kobieta.

– Halo, Carl!

– Anton, co z tym połączeniem?

– Telefonistka myślała, że to już koniec rozmowy.

– Za co im płacą w tych centralach. Nie można spokojnie porozmawiać.

– Spokojnie to pogadamy, gdy się zobaczymy. A teraz słuchaj. Prowadzę sprawę dwóch zabitych prostytutek. Obie zginęły w podobny sposób. Ktoś nożem rozplątał im brzuchy, jakby chciał je wypatroszyć.

W słuchawce zaległa cisza. Telefonistka natychmiast wykorzystała moment.

– Halo, czy mówi się?

– Mówi się, do cholery ciężkiej! – krzyknął Fischer. – Carl, jesteś tam?

– Jestem, przyjacielu. To zadziwiające. Wyobraź sobie, że dziś u nas nad rzeką Küddow znaleziono zwłoki kobiety. Młodej kobiety z rozplątanym brzuchem.

Teraz Fischer zaniemówił. Nie na tyle jednak, by dać szansę telefonistce.

– Carl, to ten nasz bydlak. Mam informacje, że to człowiek, który wyjechał do Schneidemühl – znów na linii pojawiły się szumy.

– Tak, on tu mieszka – przez trzaski próbował przebić się głos Carla. – Wiemy, kto to jest. Już go szukamy. Mamy fotografię jego twarzy i nawet odciski palców. Nie wymknie się nam...

– Carl, przyjadę do Piły w takim razie.

– Dokąd?

– Do Schneidemühl.

– Kiedy?

– Najbliższym pociągiem. Sądzę, że jutro powinienem być.

– Wyślij telegram z dworca kolejowego, gdy będziesz wyjeżdżał. Powitam cię na peronie.

- Dobrze, tak zrobię. Halo!

- Halo - odezwała się telefonistka z centrali. - Mówi się?

Fischer tym razem nie odpowiedział telefonistce. Nie było sensu, skoro połączenie się urwało.

Rozdział V

Usch, Niemcy/Ujście, Polska

Sobota, 8 marca

Godzina 3.15 nad ranem

Günter Nowak leżał w nadrzecznych zaroślach, wpatrując się w ciemną taflę płynącej przed nim rzeki. Widział przed sobą ciemny pas wody i zarysy budynków polskiego Ujścia na tle szarzejącego nieba. Jeśli jeszcze zamarudzą w tym miejscu, to przeprawa będzie niemożliwa. Za chwilę wstanie świt i łódka, którą miał przepłynąć graniczną rzekę, będzie na wodzie widoczna jak na dłoni. Gdyby to od niego zależało, już dawno byłby na tamtej stronie. Ale nie on tu rządził. Szefem był ten mały rudzielec Hapke. On najlepiej wiedział, w którym momencie przekroczyć granicę. Znał się na tym doskonale. Od czasu, jak miasto podzieliła granica, zajmował się przemytem. Przemyczał wszystko, co się dało, i na co akurat było zapotrzebowanie. Do Niemiec przerzucał przez rzekę konie, półtusze wieprzowe i gęsi, którym dla bezpieczeństwa zawiązywał dzioby, żeby gęganiem nie ściągnęły na miejsce pograniczników. W drugą stronę wędrował tytoń, cukier i spirytus. Ludzi przeprowadzał w obie strony. Szczególny ruch zaczynał się przed żniwami, kiedy biedota z pobliskich polskich wsi szła do Niemiec do pracy na polach, bo tam można było znacznie lepiej zarobić. Dziś Hapke przemyczał cukier, czyli towar, którego pod żadnym pozorem nie można było przemoczyć.

No i dzięki temu Nowak miał szczęście, bo wszystko wskazywało na to, że uda mu się dotrzeć na drugi brzeg, nie przemoczywszy butów,

transport miał bowiem popłynąć płaskodenną łodzią rybacką. Tyle że na tę łódź trzeba było poczekać, bo była po polskiej stronie. Miał ją przyprowadzić polski rybak, który dorabiał sobie na przemyście. Ale rybak przemytnik z jakiegoś powodu się spóźniał, dlatego Hapke zostawił Güntera w tych chaszczach z towarem, a sam poszedł bliżej brzegu, żeby wypatrywać przewoźnika. Poszedł tam już jakiś czas temu i Nowak zaczynał się powoli denerwować, czy aby co złego mu się nie przydarzyło. Choć gdyby wpadł, to przecież słychać by było jakieś krzyki, a być może nawet ostrzegawcze strzały, a tymczasem nad wodą było zupełnie spokojnie. Co chwila tylko słychać było jakieś pluski, a w górze, ponad głową, w koronach drzew zaczynały swój wczesny koncert pierwsze poranne ptaki.

Z prawej strony dobiegł go jakiś szmer, a potem trzask łamanej gałązki, która pękła pod czyimś butem. Nowak szybko wydobył z kieszeni marynarki swój bagnet, który został mu jeszcze z czasów wojennych. Dobrze zaostrzony bagnet był doskonałą bronią, a on nie mógł pozwolić sobie na to, żeby uciekać z miasta bez broni. Wiedział, że nie może się poddać, bo znów pójdzie siedzieć, a tego za wszelką cenę chciał uniknąć. Miał już dość więziennego chleba po roku spędzonym w celi. Dlatego postanowił, że najlepiej będzie uciec ze Schneidemühl do Polski. Tam też mógł czuć się jak u siebie. W końcu nosił polskie nazwisko i po polsku mówił nawet bez niemieckiego akcentu. Powinno mu się więc udać wtopić w tłum po drugiej stronie granicy. Zamierzał wybrać się do Poznania, miasta, które dobrze znał, bo zdarzało mu się tam już bywać. Miał tam też pewnego znajomego, kolegę z wojska, u którego zapewne na początek będzie się mógł zatrzymać.

Perspektywa pomyślanej ucieczki rysowała się więc całkiem dobrze. Trzeba było tylko przedostać się na drugi brzeg rzeki. Na prawo od siebie dostrzegł jakiś ruch. Ścisnął mocniej w dłoni rękojeść bagnetu i wstrzymał oddech, żeby nie zdradzić przed obcym miejsca swojego ukrycia.

– Günter – powiedział ktoś cicho.

Z ulgą wypuścił powietrze. To był Hapke, jego przewodnik i kolega z więziennej celi. Wczoraj po południu dotarł do jego domu w Usch. Miał szczęście, że akurat go zastał, bo przemytnik mógł być przecież akurat po drugiej stronie granicy. Jeszcze większym szczęściem okazał się fakt, że

kolega z więzienia organizował dziś przerzut towaru przez rzekę. Bez zbędnego gadania zgodził się mu pomóc i to zupełnie za darmo.

– Musimy sobie pomagać, nie? Dziś ty, jutro ja – powiedział Hans Hapke, gdy Günter zadeklarował, że ma trochę pieniędzy.

– Przydadzą ci się po drugiej stronie – rozwiął wątpliwości kolegi. Tym bardziej, że tam w Polsce będzie się jeszcze jakoś musiał dostać do Poznania. Najłatwiej byłoby pojechać koleją, ale żeby wsiąść do pociągu, trzeba było przedostać się do jakiejś stacji. Hapke powiedział mu, żeby przeszedł lasami do Chodzieży, to było jakieś dziesięć kilometrów, i tam kupił bilet. Żeby sprawę ułatwić, wymienił mu jego niemieckie marki na marki polskie, by nie miał kłopotów z kupieniem biletu do Poznania. Blżej też były stacje kolejowe, ale te mniejsze stacyjki, tuż przy granicy, były pod stałą obserwacją funkcjonariuszy ze Straży Celnej i tam najczęściej wpadali ci, którzy jak najszybciej chcieli dostać się do pociągu. A na stacji w Chodzieży było zdecydowanie bezpieczniej. Poza tym do pociągu wsiadało tam zawsze sporo ludzi, więc łatwiej było się ukryć w tłumie. Günther zdecydował się na ten bezpieczniejszy wariant. Obliczył sobie, że dzięki pieniądzą, które udało mu się zabrać z domu w trakcie ucieczki, będzie mógł sobie pozwolić na bilet i na bułkę z kiełbasą w dworcowym bufecie. Na myśl o bułce zaburczało mu w brzuchu.

– Tu jestem – odpowiedział na wołanie kolegi.

Hapke podszedł bliżej i przykucnął przy nim.

– Łódka już jest przy brzegu. Bierzemy teraz worki i idziemy. Tylko ostrożnie, żadnego gadania.

Każdy z nich miał do zabrania po dwa jutowe worki powiązane ze sobą grubym powrozem. Dzięki temu można było je uwiesić na karku i w miarę swobodnie iść, przytrzymując dyndający towar dłońmi. Przeniesienie tych dwóch worków z cukrem to była cena, jaką Günter musiał zapłacić za przeprowadzenie przez granicę. Hapke skorzystał, bo w tej sytuacji mógł zabrać dwa razy więcej towaru, niżby sam uniósł. Do tego w woreczku na szyi miał jeszcze spory zapas kamieni do zapalniczek. Ten towar sprzedawał się całkiem dobrze w Polsce i cały czas było na niego zapotrzebowanie, ale były dość drogie, więc za każdym razem, gdy wyruszał na przemyt, kupował tych kamieni zdecydowanie mniej niżby chciał.

Pochyleni założyli sznury na karki, a potem powoli się wyprostowali, unosząc z wysiłkiem ciężkie worki. Hans ruszył pierwszy doskonale sobie znaną, a teraz ledwie widoczną ścieżką. Powoli zaczynało świtać. Jednak mimo szarzejącej nocy była to całkiem dobra pora dla przemytników, ponieważ woda zaczynała parować i wszystko dookoła przykrywał welon porannej mgły. Po kilku minutach przedzierania się przez nadbrzeżny gąszcz dotarli do brzegu. Rybacka łódka była przycumowana do gałęzi drzewa pochylonego nad rzeczną tonią. W środku siedział ponury mężczyzna, ubrany w gruby płaszcz, z wiosłem w dłoniach.

– Dalej, włóżta – rzucił cicho do obu przemytników.

Hapke szybko zrzucił swoje worki na dno łodzi, a po nim zrobił to samo Nowak.

– Włóż i siadaj na ławce – powiedział Hans. Günter bez zbędnej straty czasu wszedł do łodzi i usiadł, jak mu kazali, a ponury przewoźnik wcisnął mu do ręki wiosło i na migi wskazał stronę, po której ma wiosłować. Skinął głową na znak, że doskonale rozumie, o co chodzi.

Hans wskoczył na tył łodzi i wciągnął do niej linę cumującą.

Obaj trzymający wiosła natychmiast zanurzyli je w toni, bo prąd, choć leniwy, zaczął przesuwając łódź. Rzeka nie była w tym miejscu zbyt szeroka. Wystarczyło kilka minut wytrwałej pracy, by mogli dobić do brzegu po polskiej stronie granicy.

Nowak położył wiosło na dnie, a potem zawiesił swoje worki na karku. Jego praca dla Hansa jeszcze się nie skończyła. Musiał mu pomóc donieść towar do pobliskiego domu, w którym mieszkał jakiś żydowski handlarz, zaraz na miejscu kupujący towar od przemytników, oszczędzając w ten sposób ich cenny czas i nerwy.

Hapke tymczasem szybko rozliczył się z przewoźnikiem, a potem wylazł na brzeg ze swoimi workami. Spojrzał jeszcze za siebie, patrząc przez chwilę, jak rybak odpływa wraz z nurtem w kierunku mostu granicznego. Potem odwrócił się do Güntera, klepnął go w ramię i obaj ruszyli przed siebie.

Musieli pokonać stromy brzeg rzeki, by dostać się między pierwsze zabudowania. Dom handlarza był drugim budynkiem w rzędzie. Można było dostać się do niego niezauważonym od strony ogródka. Tam w drewnianym płocie była furtka zamknięta na skobel. Podeszli do płotu,

a Hapke sięgnął przez szparę do skobla. Pogrzebał tam chwilę i drzwi furtki ustąpiły. Pchnął je i stanął jak wryty. Po drugiej stronie płotu stał z karabinem wycelowanym w jego pierś polski żołnierz.

– Ręce do góry! – krzyknął. Hapke odruchowo zrobił krok do tyłu, wpadając na zdezorientowanego Nowaka. Jego worki momentalnie zmieniły położenie i pociągnęły go za sobą. Padł na plecy jak kłoda drzewa.

– Nie ruszać się, przemytniki, bo strzelam! – krzyknął ktoś za nimi.

– Felek, uważaj na drani! – zawołał jeszcze jeden.

Ktoś podbiegł do leżącego na ziemi Güntera, ale ten nie zamierzał tak łatwo się poddać. Wyszarpał zza paska swój bagnet i zerwawszy się z ziemi, skoczył w kierunku najbliższego żołnierza. Ten nie zdążył nawet się zorientować, w czym rzecz. Uderzony potężnym ciosem w podbródek padł na ziemię. W tej chwili drugi żołnierz, widząc, co się święci, chciał złożyć się do strzału, ale był zbyt blisko Güntera. Ten rzucił się ku niemu, by wytrącić mu karabin z ręki. Podbił lufę lewą ręką, a prawą, tę trzymającą bagnet, ciął na oślep. Żołnierz krzyknął i padł na ziemię. W tym momencie rozległ się strzał. Ten, który stał w ogródku, słysząc krzyki kolegów, niewiele się zastanawiając, wycelował w stojącego cały czas nieruchomo Hansa. Strzał, który nadrzeczną ciszę rozdarł niemal jak armatnia salwa, obrócił przemytnikiem w miejscu i rzucił go na ziemię. Nowak tymczasem przeskoczył nad ciałem ciętego bagnetem żołnierza i skoczył w najbliższe zarośla. Nie wypuszczając z mocno zaciśniętej dłoni bagnetu, gnał przed siebie na złamanie karku. Za sobą słyszał nawoływania żołnierzy, którzy najprawdopodobniej skrzykiwali się ze wszystkich stron, żeby rozpocząć regularną obławę na uciekiniera. Musiało być ich tu nad rzeką znacznie więcej niż tylko tych trzech, których spotkał na swojej drodze. Nie znał tego terenu, ale mniej więcej wiedział, że to porośnięte drzewami i krzakami zbocze za chwilę powinna przeciąć droga. Powinien ją przebiec, żeby dostać się na wzgórze, na którym była miejscowa kalwaria. Postanowił, że pobiegnie właśnie tam, bo i tak nic innego nie mógł na poczekaniu wymyślić. To zadrzewione wzgórze dawało jakąś szansę ukrycia, bo tam na pewno nie było ludzi. A gdyby zdecydował się na ucieczkę uliczkami tego niewielkiego miasteczka, na pewno prędzej czy później natknąłby się na jakiegoś człowieka. Po chwili zobaczył ściany niewielkich domów. To za

nimi musiała być ta ulica, którą trzeba było przejść. Okrążył skrajny budynek i wyszedł śmiało na brukowaną jezdnię. Nagle usłyszał parskającego konia. Spojrzał w lewo, tam skąd dochodziło parskanie. Na ulicy, tuż przy bramie prowadzącej do posesji, stał wóz towarowy zaprzęgnięty w dużego gniadosza. Koń miał na pysku zawieszony worek z obrokiem i najspokojniej w świecie jadł, parskając co chwila, gdy plewy wpadały mu do nosa. Na wysokim koźle siedział jakiś człowiek. Nie poruszał się. Na głowie miał szpiczasty kaptur. Günter natychmiast zrozumiał, z kim ma do czynienia. Zresztą upewnił go co do tego delikatny zapach chleba unoszący się w powietrzu. Ten na koźle był dostawcą mąki, który po wyładowaniu worków czekał na poranny wypiek. Świeże pieczywo trzeba było rozwieźć do sklepów. Na głowie miał kaptur zrobiony z rozciętego worka po mące. Takie kaptury zakładało się po to, żeby mąka z worków nie sypała się za kołnierz i na włosy, bo worki noszono na pochylonym karku. Ten na koźle, najwyraźniej zmęczony po porannym wysiłku, spał teraz w najlepsze. Günter nie namyślał się długo. Szybko podszedł do wozu. Złapał bagnet za ostrze i rękojeścią walnął woźnicę w głowę. Ten jęknął tylko i zaraz osunął się ze swojej ławki. Nowak chwycił go pod pachy i szybko przeciągnął w krzaki przy bramie. Tam zdjął mu z głowy kaptur i na wszelki wypadek uderzył jeszcze raz, żeby za szybko się nie ocknął. Potem założył kaptur na głowę i wróciwszy do konia, ściągnął mu ze łba worek z obrokiem. Rzucił go na pakę wozu, wskoczył na kozła, zwolnił ręczny hamulec blokujący przednie koła i ująwszy w dłonie lejce, cmoknął na konia. Ten zastrzygł uszami i posłusznie ruszył przed siebie. Przejechał może ze sto metrów w kierunku ulicy wiodącej na Poznań, gdy z uliczki po lewej stronie wypadło trzech żołnierzy z karabinami. Na widok wozu zatrzymali się, a ten najbliższy zawołał:

– Ty tam, nie widział żeś jakiego człowieka, co tu lecioł?

Günter spokojnie ściągnął ku sobie lejce, zatrzymując konia. Spojrzał na nich spode łba, tak jakby nic, co się dzieje dookoła, nie mogło go zdziwić.

– A biegał taki jeden – odpowiedział obojętnym tonem.

– A gdzie?

– A tam, do tyłu – wskazał kierunek za swoimi plecami. – Uciekał aż się kurzyło. Mało butów nie zgubił.

Żołnierze nawet nie podziękowali za informację. Natychmiast puścili się biegiem we wskazanym kierunku. Nowak trzepnął lejcami i koń znów ruszył. Na dworze zrobiło się całkiem jasno. Pierwsze promienie słońca wydobyły z porannej szarości cebulaste kopuły dwóch wież, górującego nad miasteczkiem, barokowego kościoła pod wezwaniem Świętego Michała.

Poznań

Godzina 6.10 rano

Na pierwszy peron wjechał powoli pociąg z Gniezna. Wysypał się z niego tłum pasażerów objuczonych walizkami, tobołkami i zwykłymi zawiniątkami. Fischer, przeciskając się przez tłum ludzi, brnął pod prąd żywej rzeki, która zmierzała ku placowi dworcowemu, skąd obszerną aleją można było wydostać się do miasta. On szedł do bocznych, usytuowanych od strony peronu drzwi dworcowych, prowadzących do niewielkiej ekspozytury pocztowej, w której zamierzał nadać telegram do swojego przyjaciela Carla. Gdy wszedł, siedzący w okienku urzędnik w białej koszuli i czarnych zarękawkach obrzucił go obojętnym spojrzeniem i wrócił do pochłaniania ogromnej pajdy chleba ze smalcem. Ten smalec czuć było w całym pomieszczeniu. Fischer podszedł do pochyłego stolika pisarskiego, wziął z przegródki blankiet telegramu, a potem piórem z upapraną inkaustem nasadką wypisał starannym pismem adres, nazwisko adresata i tekst: 9.32, po czym podszedł do okienka i podał blankiet urzędnikowi. Ten spojrzał na tekst i zrobił zdziwioną minę.

- Tylko tyle? - zapytał.
 - A coś masz pan przeciwko? - mruknął Fischer.
 - To zaszyfrowana wiadomość? - najwyraźniej nie mógł rozgryźć tej dziwnej treści pracownik telegrafu.
 - Tak. To szpiegowski szyfr. Możesz pan zawiadomić kontrwywiad.
- Urzędnik zorientował się, że ten klient robi sobie z niego żarty, więc

z obrażoną miną zliczył słowa, a Fischer zapłacił i zaraz wyszedł z biura.

Jego pociąg stał na następnym peronie. Doszedł więc tam podziemnym przejściem i odszukał wagon drugiej klasy. Normalnie, gdyby to była prywatna podróż, jechałby trzecią, ale skoro podróż była służbowa, pozwolił sobie na odrobinę luksusu. Szybko znalazł wolny przedział. Rozsiadł się wygodnie i przymknął oczy, żeby w spokoju przemyśleć wszystkie sprawy, które nagromadziły mu się w głowie. Nawet nie zauważył, kiedy ruszyli.

Pociąg stukotał monotonnie, ale potem nagle zgrzyt hamulców i kompletna cisza. Powieki znów same się zamknęły, a głowa opadła na pierś. Cisza dzwoniła w uszach. Zawsze tak było po tym, jak kończyło się przygotowanie artyleryjskie. Wystrzelona przed momentem raca wolno opadała, oświetlając zryte lejami przedpole. Idzie przez okop, sprawdzając czy ludzie są gotowi. Są. Jak zwykle. Stoją w grupkach po kilku, przy drabinach ustawionych przy oszalowanym drewnianymi deskami brzegu tranzei. Niektórzy wpatrują się w brzeg okopu, inni z pochylonymi głowami odmawiają ostatnie modlitwy, jeszcze inni nerwowo palą ostatniego papierosa. Każdy ma świadomość, że być może to ostatnie chwile ich życia. Przeżyli już w końcu niejedną atak na pozycje wroga. Jak każdy z tych ataków, zupełnie pozbawionych sensu, tak i ten zapewne nie przyniesie konkretnego rozstrzygnięcia. Jeśli się uda, wyprą Francuzów z okopu. Ale potem wróg przypuści kontratak i wyrzuci ich z zajętych pozycji. Ale to wersja optymistyczna. Może się jednak zdarzyć, tak jak to już nieraz bywało, że atak zalegnie na przedpolu i nie przyniesie niczego prócz bezsensownej śmierci wielu z tych chłopaków. Patrzy na ich skupione twarze. Wielu zna dobrze z imienia i nazwiska. Ale wśród nich jest sporo świeżych ludzi z uzupełnień. Tych twarzy stara się nawet nie zapamiętywać. Ci niedoświadczeni, którzy nie mieli pojęcia jak zachowywać się podczas ataku, odchodzili najszybciej. Nie było więc sensu przyglądać się ich twarzom. Za chwilę przejdą do historii, a jedynym śladem po nich będzie zdjęcie w rodzinnym albumie.

Dochodzi do końca pozycji swojego plutonu, do miejsca, w którym znajduje się gniazdo ciężkiego karabinu maszynowego. Obsługa czeka tylko na sygnał, by rozpocząć ostrzał przeciwnika, tuż przed tym jak koledzy wyruszą do ataku. Znalazł się tu akurat w momencie, w którym

przeгляд swoich ludzi skończył jego kolega, podporucznik Carl Aschmutat.

– Jak tam? Portki pełne? – ząartował Anton.

– Martw się o swoje – odpowiedział Carl, szczerząc zęby w uśmiechu. – Zobaczymy, kto pierwszy dojdzie do francuskich okopów.

– Spóźnialski stawia butelkę koniaku! Francuskiego koniaku!

– No to już się szykuj.

Uścisnęli sobie dłonie i już bez słowa każdy rusza do swoich ludzi. Anton idzie na sam koniec formacji, do ostatniej drabiny. Zawsze wybiera pozycję na skraju ataku. Dzięki temu ma widok na całe przedpole i wszystkich swoich ludzi. Oczywiście w momentach, kiedy robi się jasno. A że się zrobi w pewnym momencie, tego jest pewien. Gdy tylko Francuzi zorientują się, że ostrzał artyleryjski był przygotowaniem do ataku, zaraz zaczną oświetlać pole racami. Teraz wystrzelili je tylko sporadycznie, bacznie obserwując pole możliwego ataku, ale gdy dostrzegą jakiś ruch, zrobi się jasno jak w dzień.

Wyciąga z kieszeni kurtki swój srebrny zegarek i spogląda na cyferblat. Dochodzi trzecia nad ranem. Za czterdzieści sekund odezwą się ckm-y. Będą strzelać dokładnie dwie minuty. Gdy skończą, ruszą do ataku. Mają do pokonania zaledwie dwieście metrów, ale szansa na dotarcie do Francuzów jest minimalna. Wie o tym dobrze, tak samo jak jego ludzie. Ci z doświadczeniem frontowym oczywiście, bo ci młodzi o niczym nie mają zielonego pojęcia. Ci z nich, którzy dziś przeżyją, dowiedzą się, czym naprawdę jest piekło. Już czas!

– Pluton, bagnet na broń! – woła, a żołnierze natychmiast zaczynają osadzać swoje bagnety pod lufami mauzerów.

Patrzy na młodego chłopaka, który zdenerwowany nie może sobie poradzić z zainstalowaniem bagnetu. Trzęsą mu się ręce. Podchodzi do niego i wyjmuje z jego drżącej dłoni bagnet, a potem sprawnym ruchem wsuwa go w prowadnicę i blokuje.

– Spokojnie, nie denerwuj się. To tylko dwustumetrowy spacer.

– Będą do nas strzelać, panie poruczniku? – zapytał chłopak.

– Jak to na wojnie. Od tego są, żeby strzelać. Pochyl się nisko i wal ile sił w nogach do przodu, a przeżyjesz.

– Dobrze.

– Nie mówi się dobrze, tylko tak jest panie poruczniku.

– Tak jest panie poruczniku.

– Skąd jesteś? – zapytał, choć odpowiedź wcale go nie interesowała. Ot tak pyta, żeby odwrócić uwagę chłopaka od tego, co za chwilę ma nastąpić. Jakoś dziwnie robi mu się go żal. Wygląda tak młodo pod tym ogromnym rogatym hełmem.

– Z Poznania.

Popatrzył na niego uważniej.

– Polak?

– Tak jest, panie poruczniku.

– Uważaj na siebie, synu – powiedział po polsku.

Chłopak chce coś odpowiedzieć, ale jego słowa zagłusza terkot ckm-ów.

Anton wkłada w usta gwizdek, przygotowując się do chwili, w której zapadnie cisza. Zapomina o chłopaku z Poznania, który cały czas wpatruje się w jego twarz. Skupia się całkowicie na oczekiwaniu. Karabiny szczekają długimi metalicznymi salwami. Chłopak przeżegnał się. Cisza. Gwizd.

Żołnierze wskoczyli na drabiny. Ostatni wdrapuje się poznaniak. Pcha go, żeby się pośpieszył. Gdy znika za krawędzią, sam wskakuje na drabinę i po chwili jest już na górze. Wokół ciemno. Żadnych rac. Francuzi czekają. Zna to dobrze. Podpuszczają ich bliżej. Słyszy posapywania swoich ludzi. Ktoś cicho przeklina, pewnie nadzieawszy się na jakąś przeszkodę. Biegnie co sił w nogach z pistoletem luger w dłoni. Zaraz dopadną do zasieków z drutu kolczastego. Wysłani wcześniej na przedpole saperzy powinni zrobić w nich kilka przejść. Ale i tak niektórzy żołnierze nie trafią na nie i nadzieją się na kolce. Zaczną się krzyki i przekleństwa, a przyczepione do drutów puste puszkę po konserwach zaczną dzwonić. Wtedy Francuzi wystrzelą race, a karabiny maszynowe zaczną strzelać. Rozpęta się piekło.

– Auu! – rozlega się jakiś krzyk. Po sekundzie następny żołnierz zaklął siarczyście. Puszki dzwonią o druty. Chyba jakimś cudem znajduje przejście między drutami. Młody poznaniak jest cały czas koło niego. Dlaczego nikt nie strzela? Co ci cholerni Francuzi sobie myślą? Czemu nie strzelają? Przegapią najlepszy moment. Cisza. Tylko przyśpieszone oddechy, sapanie, dudniące o ziemię kroki. Skraj okopu. Skok do środka. Żołnierze wpadają do transzei i rozglądają się zdziwieni. Okop jest pusty.

Ani śladu Francuzów. Któryś z żołnierzy wreszcie uświadamia sobie, co się stało. Francuzi uciekli. Okop zajęty bez jednego wystrzału. Ociera pot z czoła. Widzi, mimo ciemności, roześmiane twarze swoich ludzi. Słyszy ich uradowane głosy. Śmieją się głośno, poklepują się po plecach. Wszyscy są żywi. Zaczynają przeszukiwać okop w nadziei znalezienia jakichś zdobyczy. Nagle dochodzi do niego to, że nie ma Francuzów. Okop pusty. Przecież to jasne jak słońce. Podejmuje błyskawiczną decyzję. Wkłada gwizdek do ust. I gwizdże z całej siły. Jego ludzie patrzą na niego jakby zwariował.

– Odwrót! – krzyczy. – Wyłazić z okopu. Szybko! Odwrót!

Zaczynają wychodzić. Powoli, z ociąganiem. Nie wiedzą, o co chodzi. Przecież zajęli okop. Po co mają z niego wychodzić?

– Odwrót! Natychmiast! – krzyczy najgłośniej, jak potrafi. – Biegiem w kierunku naszych okopów! Zająć pozycję na ziemi wzdłuż zasieków!

Biegnie po przedpolu, poganając maruderów. W końcu zapadają w lejach tuż przy zasiekach. I w tym momencie z ogromnym hukiem pierwsze pociski z ciężkich armat rozrywają się dokładnie w miejscu, w którym byli jeszcze przed chwilą. Niebo rozświetlają białe i żółte race. W ich blasku widać, jak z francuskiego okopu wybiegają żołnierze z sąsiednich plutonów i zaraz padają zmieceni podmuchami rozrywających się pocisków. Niektórym udaje się przebiec dystans dzielący ich od zasieków, ale większość nie ma najmniejszych szans. Kanonada trwa, a spadające pociski raz za razem rozrywają się przed nimi. Żaden nie dociera jednak do jego pozycji. Ludzie patrzą na niego jak na jakiegoś cudotwórcę, ale on nie zwraca na to uwagi. Wpatruje się uważnie w przedpole, szukając znajomej sylwetki Carla. Nigdzie go nie widać. Podrywa się i biegnie wzdłuż zasieków, tam, gdzie powinni zapaść ludzie Aschmutata. Wskakuje do ogromnego leja. Jest ich tam pięciu. Wszyscy brudni i przerażeni.

– Gdzie podporucznik? – pyta tego najbliższego. Ten wzrusza tylko ramionami. Niczego nie widział.

– Jak wybuchło, to porucznik padł pierwszy – tłumaczy drugi.

– Cholera jasna!

Kanonada cichnie. Anton wyskakuje z leja i biegnie do swoich ludzi. Najpierw musi pomyśleć o nich.

– Wycofujemy się do swoich okopów. Wracać! Odwrót – woła, a ludzie

podrywają się i zaczynają biec na swoje pozycje. On biegnie w przeciwnym kierunku. Ale nie na wprost. Przecina francuskie przedpole pod kątem, żeby trafić na miejsce, w którym do okopu Francuzów wpadł pluton Carla. Słyszy, że ktoś biegnie obok niego. Nie odwraca się, nie sprawdza kto nie posłuchał rozkazu. Wskakuje do zrytego wybuchami okopu. Wszędzie porozrywane ciała w niemieckich mundurach, przysypane zwałami ziemi i desek szalunkowych okopu. Ktoś wskakuje za nim do okopu, wprost na bezgłowe zwłoki jakiegoś podoficera, i cały czas trzyma w zaciśniętej dłoni karabin. To ten chłopak z Poznania.

– Po coś tu przylazł? – pyta Fischer po polsku.

– Do pomocy.

– Włóż na okop i patrz, czy idą Francuzi.

Chłopak natychmiast wskakuje na górę i zastyga w bezruchu.

– Nie ma śladu – woła po chwili.

Anton zaczyna powoli i systematycznie przyglądać się trupom. W zawałonym wejściu do ziemianki dostrzega nogi w oficerkach, a wyżej stertę desek. RzUCA się na te deski i wyrywa je jedną po drugiej. Chłopak jest już przy nim. Wyszarpuje drewno i hełmem wybiera ziemię. Po chwili widać już ręce, a potem głowę. Stalowy hełm jest pęknięty. Wyciągają bezwładne ciało za nogi i wtedy z ust przysypanego wydobywa się jęk.

– Boże, on żyje! – woła Fischer. Chłopak, który przed chwilą wlaź znow na brzeg okopu, zeskakuje na dół.

– Idą, panie poruczniku. Cała masa wali na nas.

Fischer podnosi Carla do góry, zarzuca sobie na ramię i wspina się po zerwanym brzegu transzei na górę. Teraz jak najszybciej do swoich. Ale ten facet jest ciężki jak cholera. Nie da się z nim szybko biec. Francuzi już ich widzą. Rozlegają się krzyki, a zaraz potem pierwsze strzały. Chłopak wyprzedza go, pędząc na złamanie karku. Dopada pierwszy do linii drutów kolczastych. Staje w przejściu zrobionym przez saperów i machając ręką, wskazuje je Fischerowi. Od strony ich okopów słychać nawoływania. Żołnierze dopingują ich jak kibice swojego faworyta podczas zawodów bokserskich.

Anton ostatkiem sił przechodzi przez tę drogę życia wiodącą pośród zwojów kolczastego drutu i zaraz pada, zlatując w dół, w ogromny lej.

Wtedy odzywają się niemieckie ckm-y, zaczynają siec po przedpolu wrogich okopów, które właśnie zajmują Francuzi, ponad głowami leżącej trójki, bo poznaniak w za dużym hełmie też wskoczył do leja i zapadł obok oficerów.

W tym momencie nieprzytomny dotąd Carl otwiera oczy. Spogląda na zdumioną twarz Antona i pyta:

- To kto stawia tę butelkę koniaku?
- Ty, cholerny draniu – odpowiada Fischer.

Karabiny maszynowe milkną. Cisza. Otwiera oczy. Widzi uśmiechniętą twarz Carla, który macha do niego ręką z peronu dworca. Za nim na białej tablicy napis: Schneidemühl.

- Chyba przespałem całą podróż – pomyślał Fischer i wstał z kanapy. Aschmutat właśnie podszedł do drzwi i zaczął mocować się z klamką. Nic się nie zmienił. Wygląda tak jak dawniej, tyle że wtedy nie miał podbitego oka.

Godzina 8.30

- Niech pan to powtórzy jeszcze raz, bo chyba się przesłyszałem.
 - Niestety, to prawda. Nie przesłyszał się pan, panie pułkowniku.
 - Chce pan powiedzieć, że one najzwyczajniej w świecie wyparowały?
 - Proszę mi wybaczyć, ale niczego takiego nie powiedziałem. Stwierdziłem tylko...
 - Niech mi pan nie opowiada jakichś farmazonów do jasnej cholery! Wiem, co pan stwierdził. Nie rozumiem tylko, w jaki sposób to się stało?
- Pułkownik Wróblewski mierzył kapitana Jażdżewskiego okiem wściekłego bazyliuszka. Gdyby kapitan mógł, uciekłby stąd, gdzie pieprz rośnie, ale nie mógł. Musiał znieść ten wybuch wściekłości swojego szefa z godnością. Co ważne, czuł, że w jakiś sposób zawinił, ale najgorsze w tym wszystkim było to, że nie miał pojęcia, w jaki sposób. Trzeba było jak najszybciej to wyjaśnić.
- Nie mam pojęcia, panie pułkowniku.
 - A kto ma mieć to pojęcie? Może ja?
 - No nie...

Pułkownik walnął pięścią w blat biurka.

– To jest burdel nie wojsko! Jak można zgubić pieniądze, które leżą spokojnie w kasie ogniotrwałej? Niech mi pan to racjonalnie wytłumaczy. Chyba, że chce mi pan powiedzieć, że pieniądze zniknęły za sprawą jakiś nadprzyrodzonych sił. No co, panie kapitanie, duchy je porwały?

Jażdżewski przygryzł dolną wargę. Przecież nie potwierdzi tych nadprzyrodzonych sił. No, ale sprawa tak właśnie wygląda, jakby zamieszana w nią była jakaś nieczysta siła. Kasa stała w pomieszczeniu, w którym znajdowało się jego biurko. Nikt prócz niego nie miał kluczy do kasy. W środku znajdowały się tajne dokumenty i niewielka metalowa kasetka, w której przechowywał pieniądze. Te pieniądze to był tak zwany fundusz operacyjny w markach niemieckich. Pieniądze służyły do opłacania informatorów i wywiadowców, którzy zbierali materiały dotyczące budowy niemieckich przygranicznych fortyfikacji. Nie był to jakiś kolosalny fundusz, ale i akcja wywiadowcza nadzorowana przez Jażdżewskiego miała charakter typowo lokalny. Opłacał zaledwie kilka osób, które pracowały w Niemczech, a mieszkały w Polsce i z racji swoich zawodowych podróży w tę i drugą stronę mogły bez większych problemów informować polski wywiad o niemieckich poczynaniach nad granicą. Wszystkie te informacje Jażdżewski spisywał do protokołów, które trafiały do specjalnej teczki. Punkty ufortyfikowane nanosił na specjalnych mapach sztabowych. Dziś rano miał właśnie spotkanie ze swoim informatorem, niejakim Willym Bauerem, który handlował żywcem wieprzowym. Kupował świnie w Polsce i przewoził je na sprzedaż do Niemiec, do Schneidemühl. No i ten handlarz, którego legalna działalność stanowiła tylko pewien niewielki ułamek działalności, bo większość to był przemyt, jak zawsze podczas swojej wizyty w Poznaniu postanowił podzielić się z kapitanem swoją świeżo nabytą wiedzą. Po sporządzeniu protokołu Jażdżewski jak zwykle otworzył kasę, by wyjąć z kasetki kilka banknotów. Jakież było jego zdumienie, gdy okazało się, że nie ma w niej ani grosza. Wszystkie pieniądze zniknęły. Podziękował więc swojemu informatorowi Bauerowi i odprawił go bez pieniędzy, obiecując jednocześnie, że wypłaci mu gratyfikację następnym razem, bo teraz niespodziewanie wyczerpały się fundusze. Niezadowolony handlarz poszedł sobie, mrużąc coś pod nosem o gównianym interesie, a Jażdżewski został sam z problemem.

A problem był rzeczywiście kolosalny. Nie chodziło wcale o kwotę, która zniknęła. Było tych marek coś około trzystu milionów, a więc suma wcale pokaźna, choć jednak niepowodująca zawrotów głowy. Problem stanowiły klucze do sejfu. Był bowiem tylko jeden komplet tych kluczy, tak do szafy ogniotrwałej, jak i do kasetki, którego właścicielem był kapitan. No nie, był jeszcze jeden komplet, ale ten był teoretycznie poza wszelkimi podejrzeniami. Ten zapasowy komplet znajdował się w rękach pułkownika.

– Nie sądzę, żeby to były duchy panie pułkownika.

– No to świetnie. W takim razie już jesteśmy o krok dalej. Wykluczamy ingerencje sił nadprzyrodzonych. Więc jeśli nie duch, to człowiek. Skoro to nie pan ani nie ja, to kto? Jak pan widzi, mój komplet jest tu na miejscu – wskazał palcem na klucze, które wydobył z szuflady swojego biurka. – Pański komplet jest w pańskiej kieszeni i jak pan twierdzi, nie rozstaje się pan z nim nigdy. Więc kto zabrał pieniądze z kasy?

– Nie mam pojęcia. Chyba że... – zamilkł, bo nagle przypomniał sobie pewną sytuację. Było to jakiś miesiąc temu, podczas narady operacyjnej u dowódcy. Omawiał wówczas swoje ustalenia dotyczące instalacji niemieckich umocnień granicznych i opisywał je, wskazując na swoich mapach. Nie potrafił jednak odpowiedzieć szczegółowo na któreś z pytań pułkownika, bo nie miał przy sobie teczek z protokołami zapisu rozmów z informatorami. Wtedy Karpiński, który również uczestniczył w tym spotkaniu, zaofiarował się, że pobiegnie do pokoju i przyniesie tę zieloną teczkę. Wiedział dobrze, o którą teczkę chodzi, bo przecież sam również spisywał i wkładał do niej informacje. Jażdżewski bez żadnych obaw przekazał mu klucze, a porucznik pobiegł po dokumenty. Wrócił z teczką bardzo szybko i kapitan mógł uzupełnić informacje. Wtedy, gdyby to Karpiński był złodziejem, mógł spokojnie otworzyć kasetkę i zabrać pieniądze. To było najprostsze rozwiązanie. Tyle że najprostsze nie zawsze oznacza trafne. Gdyby Karpiński ukradł, to fakt ten zostałby ujawniony już dwa dni po tej naradzie. Wtedy bowiem odwiedził go informator Bauer i po rozmowie, podczas której przekazał nowe informacje, Jażdżewski zapłacił mu pieniędzmi z kasetki. Czyli wtedy jeszcze tam były. Co więcej, były tam również dwa tygodnie temu, kiedy odbyła się rozmowa z innym donosicielem, niejakim Zenonem Filipiakiem, który był przemytnikiem i szmuglował z Niemiec do Polski

cukier i tytoń.

Wielu przemytników pracowało dla Jażdżewskiego w zamian za drobne gratyfikacje pieniężne, ale przede wszystkim za ochronę, bo w razie wpadki i zatrzymania przez polskich pograniczników mogli powołać się na współpracę z wywiadem i dzięki temu uniknąć kary. Nie tracili wolności, ale towar tracili obowiązkowo, bo żołnierze też ludzie i zarekwirowany przemyt sprzedawali na pniu handlarzom po takiej samej cenie, jaką dostaliby przemytnicy.

No więc jeśli Karpiński nie ukradł, to kto?

– Coś pan tak zamilkł nagle – zniecierpliwiony pułkownik przywołał go do rzeczywistości.

– Proszę mi wybaczyć, panie pułkowniku, ale zastanawiałem się nad pewną kwestią, znaczy, można powiedzieć nawet pewnym podejrzeniem.

– No, mów pan.

– Tak, tylko wydaje mi się ono nieco niedorzeczne.

– No gadajże pan do cholery. Ja ocenię, czy jest dorzeczne, czy nie.

– Otóż, panie pułkowniku, myślałem o tym, kto mógł wejść w posiadanie kluczy i dostać się do sejfu.

– No i?

– Podczas narady sztabowej w ubiegłym miesiącu, kiedy referowałem stan umocnień niemieckich nad granicą, zadał mi pan pytanie, na które nie potrafiłem udzielić jednoznacznej odpowiedzi.

– Być może, ale jaki to ma związek z kasą?

– Taki, że odpowiedzieć mogłem dopiero po odczytaniu szczegółów z protokołu doniesienia. Wtedy Karpiński zaoferował się, że skoczy po teczkę. No i ja dałem mu klucze, a on poszedł i przyniósł ją.

– Czyli miał klucz, otworzył kasę, zabrał pieniądze i już. Mamy złodzieja. Nie mogę tylko pojąć, jak oficer mógł posunąć się do takiej nikczemności.

– Ale jest pewna wątpliwość, panie pułkowniku. Później jeszcze dwukrotnie korzystałem z kasetki z pieniędzmi, a one tam cały czas były. Więc z tego wniosek, że porucznik ich nie ukradł.

– Kiedy ostatni raz otwierał pan kasetkę?

– Przed dwoma tygodniami.

– No tak, to jest pewien problem... Zaraz, zaraz, a nie pomyślał pan, że on być może mógł dorobić te klucze?

– To niemożliwe. Nie zdążyłby przecież pobiec do ślusarza. Poszedł po teczkę i zaraz z nią wrócił. To niewykonalne.

Pułkownik uśmiechnął się zadowolony. Po raz pierwszy od początku tej rozmowy się uśmiechnął, ale dla Jażdżewskiego nie było to żadnym pocieszeniem. I tak obwiniął się o jakieś zaniedbanie, które doprowadziło do utraty funduszy. Jeszcze nie wiedział jakie, ale to na pewno była jego wina.

– A kto mówi o ślusarzu? Wystarczyło, żeby zrobił odcisk klucza.

– Jak to?

– Nie zna pan tego złodziejskiego sposobu?

– Pan wybaczy, pułkowniku, ale jakoś nie było mi dane spotkać się z czymś takim.

Teraz pułkownik cały się rozpromienił. Mógł przecież pochwalić się swoją wiedzą nabytą w latach podziemnej działalności w PPS.

– Klucz, który chcemy dorobić, kapitanie, wystarczy tylko odcisnąć w kulce wosku pszczelego. Otóż trzeba mieć taką kulkę, ogrzać ją przez chwilę w dłoni i tak rozpląszczyć, żeby powstał okrągły medalion. Potem ten medalion kładziemy na blacie biurka i przykładamy do niego klucz.

Chwycił pęk kluczy, wybrał jeden i położył na blacie na płask.

– O, tak, i teraz wystarczy tylko przycisnąć i odcisk gotowy. Klucz wraca do właściciela, a odcisk do garnka z zimną wodą, żeby nie zmienił kształtów. No i z czymś takim trzeba pójść do ślusarza, który bez problemu zrobi odpowiedni klucz. Znaczy – kopię klucza.

Jażdżewski szybko sięgnął po swoje klucze. Wydobył je z kieszeni, a potem zaczął uważnie się im przyglądać.

– I co pan tam widzisz? – zainteresował się dowódca.

– Miałem takie wrażenie panie pułkowniku, jakiś czas temu, że te klucze są jakieś takie śliskie. Coś było z nimi nie tak.

Potarł ten klucz od kasy ogniotrwałej palcem, a potem wygrzebał coś paznokciem z rowka. Roztarł to coś w palcach.

– Zdaje się, że miał pan całkowitą rację, panie pułkowniku.

– Ha, a nie mówiłem? – zadowolony Wróblewski z uciechy aż klepnął się w kolano. Zaraz jednak spoważniał. Sytuacja była przecież jak najbardziej poważna i ten mały sukces śledczy nie zmieniał jej w żaden sposób.

– No to zdaje się, że już wiemy, co się stało i kto za tym stoi.

– Ma pan oczywiście całkowitą rację, panie pułkowniku. Ale wolałbym się jeszcze upewnić.

– Niby jak?

– Tu niedaleko, na Zwierzynieckiej, jest warsztat ślusarski. To jest najbliższy taki warsztat.

– No, jest, rzeczywiście. Ten ślusarz nawet dla nas od czasu do czasu coś robi, jak potrzebna jest jakaś naprawa czy coś – potwierdził pułkownik.

– Ja myślę, panie pułkowniku, że jeśli Karpiński zrobił ten odcisk, tak jak pan to zasugerował, to nie chodził daleko z tym woskiem, tylko poszedł najbliżej jak się dało.

– No to na co pan czekasz? Leć pan tam pogadać z tym ślusarzem.

Jażdżewski poderwał się z krzesła, szybko nałożył na głowę rogatywkę, zasalutował i zrobił przepisowy w tył zwrot.

Szybko wyszedł z budynku dowództwa, przeciął plac apelowy i idąc wzdłuż kolejnych budynków koszarowych, które były pamiątką po pruskich czasach, doszedł do bramy, przy której stał wartownik z karabinem na ramieniu. Na widok oficera wyprężył się i sprezentował broń. Jażdżewski niedbale zasalutował i już po chwili był na ulicy Bukowskiej. Do warsztatu ślusarskiego przy Zwierzynieckiej było stąd dosłownie parę kroków. Doszedłszy do skrzyżowania z Koszarową, przystanął na moment. Po drugiej stronie ulicy, w niewielkim piętrowym budynku mieściło się kasyno oficerskie. Pomyślał, że w zasadzie, skoro już wyszedł z koszar, można byłoby tam wejść na jakieś lekkie śniadanie. Podawali tu wyśmienitego tataru albo zimne nóżki w galarecie, nie wiedzieć czemu przez miejscowych nazywane galartem. Może by tak zimne nóżki i do tego setka zimnej Żytniówki? Spojrzał w lewo na rząd kamienic, z których ostatnia stała na narożniku ze Zwierzyniecką. To tam mieścił się ten warsztat ślusarski. Uważał się za człowieka obowiązkowego i dlatego wahał się tylko chwilę. Zimne nóżki poczekają tylko parę minut.

Przeszedł przez jezdnię i szybkim krokiem podążył do ślusarza. Na widok oficera mistrz ślusarski Wieczorek odłożył pilnik, którym wygładzał dopiero co dorobiony klucz. Wojskowych nie było co lekceważyć. To dzięki nim jego warsztat funkcjonował nadzwyczaj dobrze, bo żołnierze nader często gubili różne klucze, które trzeba było

dorabiać. Ale co najważniejsze – wojsko płaciło bez gadania i natychmiast. Dlatego takich solidnych klientów trzeba było szanować.

– Czym mogę służyć, panie kapitanie? – zapytał Wieczorek.

Oficer sięgnął do kieszeni i wydobył z niej dwa klucze na obręczy.

Położył je na blacie kontuaru i wskazał na nie palcem.

– Niech pan im się dobrze przyjrzy.

Majster pochylił się, przez chwilę patrzył uważnie, a potem wziął je jeszcze na wszelki wypadek do ręki.

– Prosta robota, panie kapitanie. Za godzinę mogą być gotowe kopie.

– Nie o kopie mi idzie.

– A niby o co?

– O to, czy takie dwa klucze dorabiał pan w ubiegłym miesiącu.

Wieczorek wzruszył ramionami. Dorabiał dziesiątki kluczy. Skąd miał wiedzieć, czy akurat takie?

– Może tak, a może nie. Nie pamiętam, panie kapitanie.

– A pamięta pan może oficera, który był u pana z woskowym odciskiem kluczy?

Twarz ślusarza momentalnie rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Łe, trzeba było od razu gadać, że o to idzie. Teraz to już wiem, co i jak. Robiołem te klucze z odciska.

– Jak wyglądał oficer, co przyszedł do pana z tym woskiem?

Wieczorek zrobił zdziwioną minę.

– No, ja wiem jak? Normalnie, w mundurze był i w rogatywce, tak jak pan kapitan, też z piechoty. Ale jak wyglądał, to ja nie wiem, jak wygląda pan porucznik Karpiński. Normalnie wygląda.

– Karpiński powiada pan?

– Jak pan nie wierzy, niech pan spyta porucznika. Powiadał, że robota pilna. I płacił podwójnie. Musowo będzie pamiętał.

– Oczywiście, zapytam – powiedział, uśmiechając się kapitan. Zasalutował i wyszedł z warsztatu, odprowadzany spojrzeniem majstra, który niczego nie mógł zrozumieć z tej całej rozmowy prócz tego, że nie zarobi dziś dodatkowych pieniędzy na dorobieniu kluczy. No, chyba że za chwilę zjawi się kolejny żołnierz. W końcu te oferty ciągle dorabiały jakieś zagubione klucze.

Godzina 8.30 rano

Kryśka jeszcze spała w najlepsze, kiedy Tolek zwlókł się z łóżka. Wczoraj zaproponował, żeby zestawić ze sobą oba łóżka, to jej i Jadźki, bo na tym wąskim jednoosobowym spało się niezbyt wygodnie, ale ona się nie zgodziła. Przerazała ją myśl, że mogliby we dwoje leżeć na łóżku jej nieżywej koleżanki. Dał więc spokój. Niech się dziewczyna trochę uspokoje i dojdzie do siebie. Rozumiał dobrze, że ta śmierć była dla niej straszliwym przeżyciem. Sięgnął do kieszeni kamizelki powieszanej na oparciu krzesła, żeby sprawdzić, która jest godzina, ale wtedy uświadomił sobie, że jego zegarek jest cały czas w posiadaniu właściciela knajpy, który czeka, żeby Tolek go od niego wykupił. Ale na razie było to niemożliwe, bo nie miał tyle pieniędzy. Musiał szybko zorganizować jakiś skok, żeby się odbić od dna, bo pieniądze kończyły mu się w zastraszającym tempie. Spojrzał na Kryškę. Może to był błąd, że zabronił jej chodzić na ulicę? Gdyby ona zarabiała, nie mieliby teraz finansowych tarapatów. No, ale z drugiej strony, jak miał mieszkać z dziewczyną, która obsługuje innych mężczyzn? No, bo tak na dobrą sprawę to już wcale nie zamierzał się stąd wyprowadzać. Ten pokój był zdecydowanie lepszy niż ta jego nora na Garbarach. Bez żalu więc wyprowadził się stamtąd, zabierając cały swój dobytek, czyli jedną porządną, nie tekturową, ale z prawdziwej skóry zrobioną walizkę, wypełnioną kilkoma koszulami, bielizną i zimowym grubym płaszczem. Te lompki nie były tak cenne jak ta walizka, z której był szczególnie dumny. Znalazł ją podczas włamania do jakiegoś mieszkania na Jeźycach. Napakował do niej wszystko, co miało jakąkolwiek wartość i oczywiście oddał cały łup do handlarza. Ale walizka była tak elegancka, że nie mógł z nią się rozstać. Od tego momentu była najważniejszym i najbardziej wyeksponowanym elementem jego mieszkania. Podobnie było i teraz. Stała pod ścianą, na wprost drzwi wejściowych, tak że każdy wchodzący do środka musiał ją dojrzeć. Choć tych wchodzących, którzy mogliby zrobić wielkie oczy na jej widok, nie było zbyt wielu. W zasadzie nikt tu do nich nie przychodził prócz braci Kaźmierczaków. Ci byli tu zaledwie wczoraj, żeby rozmówić się w sprawie najnowszej, planowanej właśnie roboty, ale oni znali tę walizkę doskonale i nie robiła już na nich żadnego

wrażenia.

Podszedł do miski ustawionej na stojaku, nalał do niej odrobinę wody i umył twarz. Spojrzał w lustro wiszące na ścianie. Jego twarz domagała się już spotkania z brzytwą, bo porosła kilkudniową szczecina. Wąsy też były nierówne i postrzępione. No, ale na razie szkoda mu było pieniędzy na fryzjera. Może po skoku wreszcie się wybierze. To może jeszcze trochę poczekać. Teraz musiał zająć się swoimi sprawami, czyli planem wejścia do pewnego mieszkania na Matejki, o którym wiedział, że jego mieszkańcy przebywali na wsi. Dostał cynk o pustej chacie od stróża tej kamienicy, który miał obiecaną działkę ze sprzedanych fantów. Robota wydawała się więc dziecinnie prosta, musiał tylko przejść się na Matejki, żeby sprawdzić wszystkie możliwości wejścia do mieszkania.

Ubrał się więc szybko, starając się nie narobić hałasu. Mimo to Kryśka się obudziła.

– Już wstanę i zrobię ci co do jedzenia.

– Leż se, Krychna. Ja jaką sznytke sam mogę se naszykować.

Nie posłuchała go. Podniosła się i spuściła bosc nogi na podłogę. Spojrzał na te zgrabne nogi i poczuł mrowienie w podbrzuszu. Ale nie mógł pozwolić sobie na figle w łóżku. Musiał myśleć o robocie.

– Kobieta w domu musi dbać o swojego mężczyznę – powiedziała i ruszyła do szafki, w której przechowywali jedzenie. „O swojego mężczyznę” – powtórzył w myślach, patrząc, jak kroi chleb i smaruje go smalcem. No tak, jest jej mężczyzną. Pierwszym prawdziwym mężczyzną, jakiego miała. Tak mu przynajmniej powiedziała. Wierzył jej i nic go nie obchodziła jej przeszłość. Robiła to, co robiła, żeby zarobić na życie, bo inaczej umarłaby z głodu. Ale teraz, odkąd zamieszkali razem, z tym już koniec. Gdy jej o tym powiedział, zrobiła wielkie oczy, a potem rzuciła mu się z płaczem w ramiona, pokrywając pocałunkami jego twarz. Powiedział to i wcale nie uważał, że robi coś niezwykłego. Ot, normalna rzecz. Przecież nie mógł pozwolić na to, żeby ktoś nazwał go alfonsem! On był honorowym złodziejem, który sam zarabia na chleb, a nie łajdakiem, który żyje z pracy kobiety. Wybór więc był prosty. Jeśli mają mieszkać razem, z kurestwem koniec. Przystąpiła na to z radością i powiedziała jeszcze, że zawsze wiedziała, iż w końcu trafi na uczciwego człowieka, który się nią zaopiekuje i będzie ją kochał.

Czy ją kochał? Nie miał o tym bladego pojęcia. Zastanawiał się nad tym

i wiedział tylko tyle, że lubi na nią patrzeć i uwielbia się z nią kochać. A skoro tak jest, to chyba to jest miłość.

Nalała mu do kubka mleko i podsunęła talerzyk z chlebem. Nigdy w życiu nie miał talerzyka i teraz, patrząc na to porcelanowe cudeńko ozdobione kwiatkami, postanowił, że z tej najnowszej roboty przyniesie kilka talerzy, żeby sprawić jej przyjemność.

– Jakbyśmy mieli pokój z kuchnią, to mogłabym ci gotować obiady – powiedziała, siadając przy stole naprzeciwko.

– Byłoby dobrze – odparł i zaraz zaczął się zastanawiać. To naprawdę nie byłoby głupie mieć taki piec w swojej kuchni. Mogłaby mu robić jego ulubiony rosół z kury z makaronem. Dawno nie jadł takiego prawdziwego rosółu, jaki robiła jego mama.

– A rosół z kury to byś dała rade uwarzyć?

– Phi, rosół to żadne męczyje. Ja umiem nawet kapuśniak i grochówkę. W domu zawsze pomagałam przy kuchni to i się nauczyłam.

– To w takim razie poszukam czegoś większego. I żeby tam było szerokie łóżko, bo od leżenia na tym małym wyrze bolą mnie już wszystkie gnaty.

Wstała od stołu, podeszła szybko do niego i siadła mu na kolanach.

– Tak bardzo cie Kocham, jak nigdy nikogo. Musisz iść?

– Musze przygotować robote. W końcu jak chcesz mieć chate z kuchnią i piecem, to trzeba na nie uczciwie zarobić.

Pokiwała głową ze zrozumieniem. I zeszła mu z kolan.

– Ale wróce szybko i pójdziemy gdzie na obiad.

Wstał, założył marynarkę, pocałował ją na pożegnanie i wyszedł z mieszkania na schody. Zdążył dojść do bramy, gdy niemal wpadł na niego Gienas Bulaj, jego znajomy rzeźnik.

– A ty skądęś się tu wziął? – zapytał zaskoczony Tolek.

– Twoi kumple, co siedzą tera „U Okonia”, powiadali mi, że tu mieszkasz.

– Szukałeś mnie? – teraz Tolek naprawdę się zdziwił.

– No właśnie, że tak.

– To by trzeba gdzie pogadać.

– Ni ma czasu na pogaduchy. Idziesz ze mną.

– Gdzie?

– Na Wildę.

– Ale po chłelere?

– Ten, co ci o nim gadałem, ten, co to rozciął wtedy brzuch temu wieprzkowi, jest w Poznaniu.

Tolek spojrział na niego z niedowierzaniem. Czyżby jego modlitwy zostały wysłuchane? Nie, żeby jakieś tam wielkie modlitwy, bo modlił się rzadko. Ale w tej sprawie poszedł do fary przy Rynku, uklęknął przed ołtarzem i przyrzekł, że pomści śmierć Jadźki. I prosił wtedy Boga, żeby mu pozwolił zająć się tym bydlakiem. Liczył na to, że Bóg wysłucha jego prośby, bo przecież Bogu na pewno się nie podobało, że po świecie chodzi taki niegodziwiec, który pozbawia życia kobiety w tak okrutny sposób. Obiecał też, że jeśli znajdzie mordercę, to zacznie regularnie chodzić do kościoła w każdy poniedziałek. Bo nie mógł przecież chodzić w niedzielę. W ten dzień często obrabiał mieszkania tych, którzy byli właśnie na niedzielnej mszy. No i teraz okazało się, że jego modły o sprawiedliwą zemstę zostały wysłuchane.

– Jesteś pewny, że to on?

Gienas machnął ręką, jakby się oganiał od natrętnej muchy, a potem skinął głową.

– Jak tego, że tu stoje. Myślisz, że bym nie poznał tego śmiecia ze szramą na ryfie? Dziś rano widziałem go w rzeźni. On teraz handluje żywcem. Przywiózł towar z Niemiec.

– I takie bydle chodzi se po Bożym świecie! Wiesz, gdzie można znaleźć tego łotra?

– No właśnie po to do ciebie przyszedłem. Jakem go ino zobaczył, posłałem za nim szczona, co sprząta gemele po zarzynaniu. Polazł za nim, a jak wrócił, to ja poszłem zaraz cie szukać.

– No i co z nim?

– Z tym szczonem nic. Przylecioł na powrót i powiedział wszystko co i jak.

– Czyli że jak?

– Idziemy na Wilde.

Tolek spojrział Gienasowi w oczy, a potem położył mu rękę na ramieniu, bo wiedział dobrze, dlaczego ten chce z nim iść. Musiał jednak to powiedzieć.

– Gienas, to jest moja sprawa. Ja muszę ją dokończyć.

– Powiadałeś, że sprawa jest honorowa. A jak jest tako, to

w honorowej, honorowo jest pomagać.

Nie było dyskusji. Wiedział już, że nie przekona rzeźnika i wcale specjalnie się nie starał. Obecność Gienasa była mu nawet bardzo na rękę. Taki człowiek mógł mu być niesłychanie pomocny w pochwyceniu mordercy. Bo on chciał go pochwycić i trochę z nim pogadać. A poza tym obiecał przecież temu komisarzowi Fischerowi, że też da mu szansę na rozmowę. A skoro obiecał, to musiał dotrzymać słowa. Teraz musiał się tylko zastanowić, jak to najlepiej przeprowadzić. Trzeba go złapać i zamknąć w takim miejscu, z którego nie da się uciec. Tylko gdzie znaleźć takie miejsce? Ale o tym pomyśli się później. Najpierw trzeba gnoja dopaść.

– Dziękuję, przyjacielu. No to spotkajmy się z tym padalcem.

Na Wildę nie było daleko. Musieli tylko przejść plac Bernardyński, na którym o tej porze kłębiły się całe tłumy handlujących i kupujących, bo w sobotę zawsze odbywał się tam duży targ rolny, na którym swoje towary sprzedawali rolnicy z podpoznańskich wiosek. Zamożniejsi bambrzy przyjeżdżali tu swoimi wozami, które natychmiast zamieniały się w stragany na kołach, oferujące mieszkańcom miasta drób, jajka, warzywa i pyry w workach albo w mniejszych ilościach na wymborki. Pomędzy wozami przytargane na plecach ogromne wiklinowe kosze rozkładały biedniejsze chłopki, które do miasta przychodziły na piechotę. One sprzedawały lżejsze towary, które łatwiej im było tu przynieść, takie jak cebula, czosnek, suszony groch i fasola. Baby w bufiastych, rozłożystych bamberskich spódnicach i chustkach na głowach siadały na odwróconych do góry dnem koszach, przed rozłożonym na chustach swoim towarem i w milczeniu, z nadzieją w oczach przyglądały się miastowym gospodyniom, które szukały co lepszej okazji. Wszędzie słychać było rzenie koni, gdakanie kur, podniesione głosy handlarzy i kupujących, mieszające się ze sobą słowa wypowiedane po polsku i po niemiecku, tworzące jedną wspólną i harmonijną handlową muzykę. Zostawili targowy zgiełk za sobą, by po chwili znaleźć się na nieco mniej gwarnej ulicy.

Półwiejska wcale nie wyglądała jak ulica mająca cokolwiek wspólnego z wsią, bo zabudowana była normalnymi, solidnymi kamienicami, z których każda mieściła na parterze jakiś sklep albo zakład rzemieślniczy. Minęli Browar Huggera, przed bramą którego stał, jak co

rano, rząd wozów dostawczych, rozwożących po mieście piwo w beczkach i po chwili znaleźli się na Dolnej Wildzie.

– Myślisz, że on jest w swojej chacie? – zapytał Tolek.

Gienas wzruszył tylko ramionami.

– To mieszkanie jego rodziców, którzy już nie żyją. A on je cały czas trzyma i płaci regularnie czynsz. Ten szczon, com go tu posłał, wszystkiego się wywiedziało. Bauer tu przyłoz, jak już załatwił sprawy w rzeźni. To gdzie teraz miołby być? Przecie o tej porze nie pójdzie na piwo.

– No racja. Na piwo to jeszcze za wcześnie.

– To tutaj – Gienas wskazał na kamienicę numer sześćdziesiąt sześć po prawej stronie ulicy. Nie była zbyt okazała. Miała trzy piętra, a na każdym po dwa balkony z kutymi balustradami.

Ozdobna drewniana brama, z osadzonymi w niej taflami szkła, była szeroko otwarta. Po prawej stronie znajdował się elegancki sklep z konfekcją ubraniową, a po lewej – salon z dwoma wystawowymi oknami oferował obuwie skórzane najlepszej jakości. Weszli do bramy i zaraz wkroczyli na podwórko, które ze wszystkich stron zabudowane było ponurymi, szarymi oficynami.

– Ta z prawej – Gienas wskazał na drzwi do klatki schodowej.

Drewniane schody były brudne, a brązowa farba, którą kiedyś je pomalowano, dawno starła się w miejscach, w których podesty stopni miały najczęstszy kontakt z podeszwami butów. Ktoś musiał przygotowywać obiad, bo wszędzie unosił się ostry zapach gotowanej kiszzonej kapusty.

– Na trzecim kiju – wyjaśnił Gienas i ruszył do góry. Po chwili stali już przed drzwiami, opatrzonymi metalową tabliczką z numerem osiem. Nie było dzwonka, więc Gienas zapukał energicznie. Tolek stał za nim, z rękami w kieszeni marynarki. W prawej miał schowany swój sprężynowy nóż.

– Zara – odezwał się męski głos zza drzwi.

Po chwili usłyszeli zgrzyt klucza w drzwiach i drzwi nieco się uchyliły. W szparze pokazała się twarz mężczyzny bez zarostu, z blizną na policzku. Musiał natychmiast rozpoznać Gienasa, bo ze zdziwienia aż otworzył usta. Może i chciał nawet coś powiedzieć, ale nie zdążył, bo rzeźnik z impetem wpadł na te drzwi i wepchnął gospodarza do środka.

Willy Bauer padł na plecy jak rażony gromem, jednak zaraz spróbował się poderwać. Nie zdążył. Precyzyjny cios zadany ogromną pięścią Gienasa w czoło natychmiast pozbawił go przytomności.

Tolek wyminął kolegę, przeskoczył nad leżącym na podłodze i wszedł do kuchni. Nie było w niej nikogo. Za kuchnią była sypialnia. Tam też było pusto. Mieszkanie wyglądało na zapuszczone. Przy kuchennym stole, który ustawiono przy oknie, stały dwa krzesła. Na jednym z nich wisiała elegancka marynarka. Tolek szybko podszedł do niej i przeszukał kieszenie. W jednej znalazł pokaźny plik banknotów. Wyłożył je na blat stołu.

Tymczasem Gienas wszedł do kuchni z nieprzytomnym Bauerem zarzuconym na ramię. Podszedł do stołu i posadził go na drugim krześle.

– Poszukaj sznura jakiego – polecił Tolkowi.

Ten szybko i fachowo przeszukał szuflady kredensu. W jednej z nich znalazł sznur do bielizny. Tym sznurem związali nadgarstki Bauera z tyłu za oparciem, unieruchamiając go w ten sposób. Potem Tolek dla pewności przywiązał jeszcze jego nogi do nóg krzesła.

– O, ile bejmów! Ucieszył się na widok banknotów Gienas.

– Onymu już chyba nie będą potrzebne, to mamy po połowie na głowę.

– No to trzeba to uczcić. Pójde może po jaką flaszkę i ćmiki, bo chyba se troche tu posiedzimy.

Tolek uśmiechnął się szeroko. Chyba miał dziś dobry dzień. Jego modlitwy zostały wysłuchane, a do tego zdobył jeszcze wuchtę bejmów. Na oko było widać, że będzie mógł wynająć za nie mieszkanie z kuchnią przynajmniej na rok. Spojrzał zadowolony na swojego więźnia akurat w chwili, gdy Willy Bauer otworzył oczy. Dojrzał w nich zimną nienawiść.

– Czego chcecie? – warknął.

– Rachy – rzucił Tolek.

Willy Bauer zrobił się blady jak papier.

Godzina 3.10 po południu

– Ten szczupak jeszcze dziś rano pływał w naszej rzece. Przyniósł go nam miejscowy rybak Guske – wyjaśnił Carl, wskazując na ogromną

rybę, która z trudem mieściła się na dużym podłużnym talerzu. Upieczona i zarumieniona na złoty kolor wyglądała tak apetycznie, że Fischer najchętniej rzuciłby się na nią i pożarł w całości. No, ale w porządnym domu nie wypadało się przecież tak zachowywać. Był w końcu oficerem i znał się dobrze na zasadach savoir vivre'u. Musiał też przyznać, że żona porucznika wygląda równie apetycznie jak ten szczupak. Była piękną blondynką o nieco posągowej urodzie. Mogłaby z powodzeniem pozować temu wielkiemu rzeźbiarzowi Michałowi Aniołowi jako ucieleśnienie piękności. Anna uśmiechnęła się do niego tak pięknie, że Antoniemu dreszcz przeszedł po plecach. Ten Carl to ma szczęście. Taka piękna kobieta mu się trafiła. Nie dość że piękna, to jeszcze wykształcona. W Berlinie skończyła studia farmaceutyczne i jako magister farmacji pracuje w aptece. Carl opowiadał Fischerowi, że to właśnie w stolicy się poznali. On studiował wtedy literaturę i nawet nie przypuszczał, że wyląduje w policji. A już na pewno oboje nie mogli przypuszczać, że los skieruje ich do Schneidemühl. A Fischer był wdzięczny losowi za nich, no i za tego wspaniałego szczupaka, który pachniał wprost niewyobrażalnie.

Siedzieli przy okrągłym stole przykrytym białym obrusem. Ozdobione delikatnymi firankami okna niewielkiej jadalni, w której stał jeszcze dębowy kredens, wychodziły na ruchliwą ulicę.

– Do tego piure ziemniaczane z koperkiem i sos śmietanowy – wskazała na półmisek z kartoflami. – Proszę, niech pan się częstuje. A ty, kochanie, pokrój rybę.

Carl wziął do ręki duży nóż i fachowo poporcjował szczupaka.

– Pachnie wybornie. Pani Anna jest, zdaje się, prawdziwą artystką wśród kucharzy.

– Co tam pachnie. Zobaczysz zaraz jak smakuje – gospodarz nałożył mu na talerz ogromny kawał ryby, potem nałożył żonie i w końcu sobie. Anna wstała od stołu i podeszła do kredensu. Wydobyła z niego karafkę wódki i po chwili postawiła ją na stole.

– Takie spotkanie po latach trzeba uczcić. Carl wiele mi o panu opowiadał.

– Mam nadzieję, że dobrze o mnie mówił?

– Może być pan pewien. Przecież my wszyscy, jak tu jesteśmy, wiele panu zawdzięczamy. – Powiedziawszy to, pogładziła się po lekko

zaokrąglonym brzuchu.

– Cóż, droga pani. Nie zrobiłem niczego nadzwyczajnego. Na wojnie to zwyczajna rzecz.

– Och, Anton, nie bądź taki skromny. Wyniosłeś mnie na własnych plecach i to pod ogniem Francuzów.

– E, tam. Było łatwo, bo plecy miałem osłonięte. Ochraniał je twój tyłek... Pani wybaczy ten kiepski żart. Taki trochę koszarowy ten dowcip. Przepraszam.

– Nie ma pan za co przepraszać. Naprawdę zrobił pan coś wielkiego.

– A czy mówiłem ci, Anno, że Anton za ten wyczyn otrzymał krzyż żelazny? On i jeszcze jeden chłopak, który z nim pobiegł do tego przekłętego okopu, żeby mnie z niego wyciągnąć. Jakże on się nazywał ten chłopak?

– Jan Nowacki.

– Właśnie, Nowacki. A co u niego?

– Zginął.

– Jak to? Przecież pamiętam, że przeżył wojnę.

– Zginął podczas powstania w Wielkopolsce.

Zapadło niezręczne milczenie. By wybrnąć z sytuacji, Carl chwycił karafkę i rozlał wódkę do trzech kryształowych kieliszków. Dwa napełnił po brzegi, a w trzecim znalazła się tylko symboliczna porcja.

– Tobie, kochanie, tylko dla toastu. Rozumiesz, Anton – spojrzał na kolegę – podobno alkohol może mieć zły wpływ na dziecko w łonie matki.

– Oczywiście, że rozumiem. Bardzo dobrze. Będzie więcej dla nas – znów zrobiło mu się głupio. Ale ze mnie baran – pomyślał zły na siebie. Co też ona sobie o mnie pomyśli. Zapewne dojdzie do wniosku, że przyjaciel jej męża to jakiś nieokrzesany dzikus z buszu. Ale i ten głupi żart został przyjęty ze zrozumieniem.

– Cały Anton. On tak ciągle sobie żartuje – wyjaśnił żonie Carl i jednocześnie wzniosł w górę swój kieliszek. – To proponuję, żebyśmy wznieśli toast za przyjaźń, której nie są w stanie rozerwać nawet granice.

Antoni pokiwał głową. Rzeczywiście, nawet granica między dwoma krajami nie osłabiła jego braterskich uczuć do tego człowieka. Byli przyjaciółmi na dobre i złe. Nie widzieli się od zakończenia wojny, dokładnie od grudnia osiemnastego roku, ale gdy się spotkali dziś rano

na dworcu, miał wrażenie, jakby od ich ostatniego spotkania minęło zaledwie kilka godzin. Fischer po raz pierwszy był w Schneidemühl, więc ciekaw był, jak miasto wygląda. Nie miał ze sobą wielkiego bagażu, bo tylko podręczną teczkę, więc mogli sobie pozwolić na spacer miejskimi uliczkami. Tym bardziej że mieli wiele rzeczy do obgadania. Carl odprawił machnięciem ręki dorożkarza, który oferował im kurs, jak sam mówił, po niezwykle atrakcyjnej cenie, i ruszyli pieszo Bahnhof StraÙe. Po prawej stronie znajdowała się jakaś niewielka fabryczka, a po lewej ciągnęła się zabudowa niskich jednopiętrowych budynków krytych papą.

– Niezbyt okazale prezentuje się to miasteczko – powiedział, wskazując domy, które w Poznaniu dobrze wpisywałyby się w krajobraz którejś z okolicznych wiosek, takich jak choćby Rataje, ale na pewno nie w ulicę prowadzącą do dworca kolejowego.

– A czy ja mówiłem, że to Berlin? – roześmiał się Carl. – Przecież to nie metropolia, ale zwykłe zadupie. Tu nic nie jest takie jak w świecie, który znamy. Gdyby nie nowe granice, byłaby tu najzwyklejsza prowincja, której jedyną zaletą byłby dworzec kolejowy na ważnym szlaku komunikacyjnym. Ale że jest to największe miasteczko w pobliżu granicy, ktoś w Berlinie doszedł do wniosku, że trzeba podnieść rangę miasta i uczynić je siedzibą rejencji. Widzisz tę stolicę rejencji, w której najwyższy budynek ma trzy piętra? Spójrz w prawo. Ten rozryty kołami wozów ogromny plac to wiejski targ, na którym okoliczni chłopcy sprzedają konie i bydło. Ktoś wymyślił, że tutaj ma powstać nowe centrum miasta. Podobno mają tu stanąć monumentalne gmachy urzędów prowincjalnych, nowoczesny wieżowiec, a nawet muzeum i teatr. A ciekawe, gdzie będzie się handlować końmi? Przed siedzibą nadburmistrza? O, zobacz, teraz dochodzimy już do zabudowy wielkomiejskiej. To są te trzypiętrowe budynki – wskazał na rząd kamienic po prawej stronie. – Dla człowieka, który całe życie mieszkał w normalnym mieście, mieszkanie tutaj to koszmar.

Skęcili w prawo, w Breite StraÙe, która wiodła do drewnianego mostu dla pieszych i rowerzystów.

– Widzisz ten most? Nazywają go „Smoczym mostem”, że niby taki wielki. A może dlatego, że jęczy jak smok, gdy się po nim idzie? Dostrzegasz w nim coś wielkiego? Zapewne nie. Ale i tutaj wkrótce wszystko się zmieni. Nadburmistrz Krause chce go zastąpić mostem

żelbetonowym, po którym będą mogły jeździć automobile. Bardzo dobrze. Niech zastępuje. W końcu stolica rejencji powinna mieć przynajmniej jeden solidny most.

Zatrzymali się na środku mostu i oparli o drewnianą balustradę.

– Ładny widok – odezwał się wreszcie Fischer, przyglądając się panoramie miasta.

– Te dwie wieże, z lejkami zamiast normalnych hełmów, to kościół Świętych Janów, a kawałek za nim Stadtzentrum, czyli centrum miasta, a ten dymiący komin z prawej to browar Vereinigte Grenzmark. Warzą tu całkiem niezłe piwo. Pewnie jeszcze nie piłeś tutejszego piwa?

– No skąd. Nie było okazji. Zresztą w Poznaniu mamy też bardzo dobre piwa.

– To oczywiste. Posen to w końcu cesarskie miasto. Macie tam nawet cesarski pałac.

– Owszem, w samym centrum miasta stoi. U nas się mówi „zamek”.

– Posen to duże miasto, a Schneidemühl to miasteczko.

– Widzę, że doskwiera ci życie na prowincji, przyjacielu.

– A dziwi cię to? Gdyby to było możliwe, wyjechałbym stąd choćby zaraz. Ja się tu czuję jak w klatce. Czy wiesz, że tu nie ma nawet dokąd pójść? Jest sporo restauracji, knajp, piwiarni, ale to wszystko jest nic w porównaniu z Dortmundem. Tu nawet przestępstwa są prowincjonalne. Badamy sprawy złodziei świń albo zabójstwa dokonane za pomocą butelki po wódce podczas pijackiej awantury.

– Ale coś się tu jednak zaczyna dziać, skoro mamy brutalne morderstwo, które mnie tu sprowadziło.

– No tak – Carl najwyraźniej się ożywił. – Dwudziestoletnia Hilda Jaschonek, prostytutka. Przyczyna śmierci to ugodzenie długim nożem w brzuch. Ten morderca to jakiś potwór, który nie wiezieć czemu, zamiast normalnie dźgnąć, rozkroił jej brzuch jak rzeźnik świniaka.

– Sytuacja podobna jak u nas w Poznaniu. Tam morderca działał podobnie. Obie kobiety to prostytutki, również zabite w taki sam sposób jak ta twoja Jaschonek. Ale mówiłeś, że wiesz, kto to zrobił.

– Tak, zupełnie przypadkowo natknęliśmy się na pewnego typu, niejakiego Güntera Nowaka, który niedawno wyszedł z kryminału. Siedział rok za napaść z nożem na prostytutkę. Poszliśmy go sprawdzić i przepytąć, ale facet nam uciekł – powiedziałwszy to, dotknął palcem

podbitego oka. Fischer uśmiechnął się porozumiewawczo.

– No, całe szczęście, że to pamiątka po spotkaniu z pięścią jakiegoś przestępcy, bo już się bałem, że to robota twojej małżonki.

Aschmutat klepnął go w ramię, najwyraźniej zadowolony z żartu.

– Nic się nie zmieniłeś Anton. Cieszę się, że wreszcie będziesz mógł poznać Annę. Ona też nie może się ciebie doczekać. Ale najpierw praca, musimy wiedzieć, na czym stoimy. Proponuję więc, żebyśmy najpierw obejrzeni zwłoki tej zamordowanej dziewczyny. Jeśli to cięcie będzie takie jak te z przypadku dwóch kobiet z Posen, to myślę, że będziemy mieć do czynienia z tym samym przestępcą, który działa po jednej i drugiej stronie granicy.

– Dobrze, tak zrobimy. A ten Nowak, o którym mówiłeś, to Polak?

– A diabli go wiedzą. Wiesz, jak to jest z tymi nazwiskami.

– Bardzo dobrze wiem – odpowiedział Fischer z uśmiechem. Ze swoim nazwiskiem i do tego jeszcze nienaganną niemczyzną przez Niemców zawsze był postrzegany jak swój. Tym bardziej tutaj, w tym mieszkaniu przy Bromberger Straße, należącym do Carla i Anny.

Zachęcony przez gospodynię nałożył sobie kolejny kawałek ryby, który zaraz polał aromatycznym sosem.

– Doskonały szczupak i równie doskonały sos. Niesamowity aromat – pochwalił danie i wcale nie musiał udawać, jak to nieraz zmuszony był robić na proszonych kolacjach, kiedy człowiek je, bo tak wypada, a do tego jeszcze trzeba chwalić, choć jedzenie nie ma smaku.

– Ten zapach nadaje mu mięta – wyjaśniła Anna, nalewając wódkę do dwóch kieliszków.

– Czy pański przyjazd oznacza, że będzie pan u nas częstszym gościem?

– Bardzo bym chciał, ale niestety nie mogę tego obiecać.

– Zobaczymy, kochanie, jak się sprawy rozwiną, ale wszystko wskazuje na to, że i Anton, i ja ścigamy tego samego przestępcę. I kto by uwierzył, że to zbrodnia sprowadziła mojego najlepszego przyjaciela do naszego domu.

– Niekiedy dziwnie nam się to życie układa – stwierdził filozoficznie Fischer.

– A właśnie, à propos. Nic nie wiem na temat twojego życia. Jak ci się sprawy układają?

– Nic nadzwyczajnego. Pracuję w Policji. O czym tu gadać?

– Ja nie o tym, Anton – Carl spojrział z czułością na swoją piękną żonę. – Pytam, kiedy poznamy w końcu jakąś panią Fischer?

To pytanie wprowadziło Antona w zakłopotanie. Anna natychmiast to dostrzegła i zaraz spojrzała z wyrzutem na męża.

– Carl, jak możesz? Przecież to są prywatne sprawy pana Antona.

– Ależ Anno – Carl złożył dłonie jak do modlitwy. – Na Boga, przecież my nie jesteśmy sobie obcy. Jesteśmy ludźmi, których przyjaźń zrodziła się w okopie. To jak braterstwo krwi. Jesteśmy dla siebie jak bracia. Nieprawdaż, Anton?

– Carl ma całkowitą rację, droga pani. To, cośmy tam przeżyli, połączyło nas na zawsze. I niezależnie od tego, gdzie rzucił nas los, na zawsze pozostaniemy sobie bliscy.

– Skoro tak – Anna uśmiechnęła się radośnie – skoro tak, to czy panowie nie uważają, że zwracanie się per pan do brata krwi mojego męża jest nacechowane zbyt dużą dozą rezerwy?

– Mówiłem ci, Anton, że moja Anna jest fantastyczna.

– Droga pani Anno – Antoni chwycił kieliszek – w tej sytuacji nie widzę innej możliwości jak wypicie bruderszaftu.

– Pod warunkiem, że pozwoli pan, pozwolisz, żebym wypła kieliszek wody.

– Oczywiście, jak najbardziej.

Wypili, a potem Fischer pocałował wyciągniętą w jego kierunku dłoń Anny.

– A wracając do twojego pytania, to powiem, że na razie nie ma żadnej kobiety, która mogłaby w przyszłości zostać moją żoną. Jak dotąd nie znalazłem jeszcze takiej, co by mnie chciała.

Anna uśmiechnęła się tajemniczo, ale żaden z mężczyzn tego nie dostrzegł.

Godzina 3.50 po południu

Podkomisarz Jerzy Frankowski ze Straży Celnej spojrział na swój zegarek. Dochodziła czwarta. Odruchowo nakręcił go i schował do kieszeni. Potem ziewnął i przeciągnął się na krześle. Nie miał nic do roboty.

Przejął swój dyżur dwie godziny temu, sprawdził książkę raportów z nocy, w której zapisano jedno nielegalne przejście granicy, jedno zatrzymanie oraz jedną ucieczkę w nieznanym kierunku i pościg bez rezultatu. Nic więcej. Można powiedzieć, że noc była spokojna, bo przecież tego incydentu ze skaleczeniem nożem jednego z żołnierzy nie można było uznać za coś poważnego. Z drugiej jednak strony, temu, który tym nożem czy bagnetem zaatakował chłopaka, należało się wyrównanie rachunków. Frankowski był jednak spokojny. Wiedział dobrze, że prędzej czy później złapią tego bandziora. Trzeba było się tylko dowiedzieć, kim on jest. No, ale i z tym pewnie nie będzie problemów, bo policja już sobie poradzi i wycisnie ze złapanego przemytnika wszystko, co wiedział na temat tego, któremu udało się uciec. A może by tak urozmaicić sobie ten nudny sobotni dyżur i samemu wziąć go na spytki? Policjanci z Chodzieży pewnie już dziś po niego nie przyjadą, jest więc sporo czasu na przeprowadzenie badania. Facet siedzi w piwnicy zamknięty i też mu się pewnie nudzi, więc taka dyskusja wyjdzie mu zapewne tylko na dobre. A może chciałby ulżyć swojemu sumieniu i sam wyda współnika? Kto wie, co w takim człowieku siedzi? W końcu to Niemiec, a wiadomo wszystkim, że Niemcy myślą inaczej niż Polacy. U Polaka co ma w duszy, to i na sercu, a u Niemca zawsze jakiś fałsz siedzi. No, ale może trzeba dać temu Lutrowi szansę i wyjaśnić, że zbłądził, więc szczerym wyjawieniem wszystkiego ma szansę odkupić swoje winy.

Podkomisarz Frankowski postanowił. Wstał z krzesła, na którym siedział za służbowym biurkiem, i wyszedł z pokoju. W świetlicy, która była głównym pomieszczeniem strażnicy granicznej, czterech dyżurujących szeregowcy grali w karty. Podoficer Malinowski siedział przy otwartym oknie i patrzył przed siebie. Ale to patrzenie to wcale nie z gorliwości pogranicznika wynikało, jak by się mogło na pierwszy rzut oka wydawać. Starszy strażnik Malinowski wcale bowiem nie patrzył na graniczną rzekę i przygraniczne zarośla. On siedział przy oknie wychodzącym na miasto i patrzył na chodnik prowadzący do gospody, którym mieszkańcy Ujścia niespiesznym krokiem podążali, by w przyjemnej atmosferze spędzić sobotni wieczór przy kuflu piwa. Odprowadzał ich tęsknym spojrzeniem człowieka, któremu nieprzychylny los nie dał szansy dołączenia do biesiadników i skazał go na to siedzenie w oknie. Był

jednak Malinowski na tyle czujny, by kątem oka dostrzec wchodzącego do pomieszczenia podkomisarza. Poderwał się zaraz na równe nogi i krzyknął do swoich podwładnych:

– Baczość!

Strażnicy rzucili karty na stół i stanęli wyprostowani jak struny.

– Panie podkomisarzu, melduje się starszy strażnik Malinowski plus czterech na służbie.

– Spocznij, starszy strażnik.

– Spocznij! Siadać!

Strażnicy usiedli na krzesłach, ale nie chwycili za karty. Wiedzieli dobrze, że to, co uchodziło przy starszym strażniku, przez podkomisarza mogłoby zostać odebrane jako brak szacunku albo nawet niesubordynację. Czekali zaciekawieni na to, co się wydarzy.

– A jak tam nasz zatrzymany przemytnik? – zapytał niby od niechcienia Frankowski.

– Melduję, że siedzi w ciupie.

– Aha. A dostał co do picia i jedzenia?

– Wedle rozkazu: woda i chleb.

– Bardzo dobrze. Tu nie sanatorium. To jak już się najadł, to dajcie go do mnie. Trochę se z nim pogadam.

– Tak jest, panie podkomisarzu. Bratek i Długi na dół po przemytnika i dawać onego raz dwa na przesłuchanie do pana podkomisarza.

Zadowolony Frankowski wyszedł ze świetlicy i poszedł do pokoju dowódcy strażnicy. Po drodze z korytarzyka zabrał taboret i ustawił go na wprost biurka. Po chwili dwaj strażnicy wprowadzili więźnia. Na wszelki wypadek związali mu ręce w nadgarstkach. Podkomisarz, wskazując krzesło, kazał mu siadać, a eskortie wyjść. Gdy przemytnik już siedział i on usiadł na swoim miejscu. Przez chwilę przypatrywał się ponurej gębie tego człowieka. Już za samo ryło powinno się go wysłać na ciężkie roboty. Gębę miał niesympatyczną, a do tego jeszcze podbite oczy i rozcięta warga. Zdaje się, że chłopcy musieli już mu spuścić niezłe manto podczas zatrzymania. Mógł też dostać i później, po tym jak się okazało, że jego kompan zranił żołnierza. Zresztą co za różnica. Pies mu mordę lizał. Trzeba go wypytać i odprawić do celi.

– Nazwisko?

– Hans Hapke.

- Niemiec?
- Ja.
- Nazwisko tego drugiego?
- Co?

Podkomisarz wolno podniósł się z krzesła, okrążył biurko i podszedł do zatrzymanego. Nachylił się ku niemu, a potem zapytał cicho: Jak nazywał się ten, co był z tobą?

- Nie wiem.

Solidny cios zmiotł go z taboretu. Podkomisarz, jeszcze dla pewności, że aresztant zrozumiał, o co mu chodzi, kopnął go dwa razy w brzuch i wrócił na swoje miejsce.

- Siadaj Hapke na taborecie.

Pobity przemytnik z trudem wspiął się na siedzenie.

- Ja nie mam czasu na pierdoły, Hapke. Mów, jak nazywa się ten, co uciekł i ranił bagnetem naszego żołnierza. Czy ty bydlaku myślisz, że mnie się chce brudzić buty twoją krwią? Gadaj, ścierwo, a wrócisz cały do celi. Bo tu bracie kłamanie w żaden sposób nie kalkuluje się. Zrozumiano?

Hans Hapke pokiwał głową.

- On się nazywa Günter Nowak i mieszka w Schneidemühl. Uciekał przez granicę, bo jest podejrzany o morderstwo.

- A skąd go znasz?

- Ja tam go nie znam. Wiem, kto on jest, bo żeśmy siedzieli w jednej celi kilka miesięcy temu.

- A za co siedziałeś?

- Za przemyt, znaczy się normalnie.

- A on?

- Za to, że miał pociąć nożem jakąś kurwę. Ale mu nie udowodnili.

- A to morderstwo, o które go podejrzewają, to niby kogo zabił?

- On gadał, że nikogo i że jemu teraz każde morderstwo nożem na kobiecie będą zapisywać. To musiał uciekać.

- A dokąd chciał uciekać?

- Do Poznania.

Podkomisarz Frankowski uśmiechnął się szeroko, gdy usłyszał słowo Poznań. Był poznaniakiem i siedząc na tym zadupiu tęsknił za swoim miastem. No, ale teraz, gdy posiadał takie informacje, może będzie musiał

się wybrać służbowo do Poznania. Trzeba więc nad tą sprawą trochę jeszcze popracować, a najważniejsze to dowiedzieć się, czy ten tu szkieber czegoś aby nie zmyśla. Podeszedł więc do Niemca i znów mu przywalił. A potem zabrał się do ponownego przepytывania.

Rozdział VI

Poznań

Niedziela, 9 marca

Godzina 8.15 rano

Tolek Grubiński był wściekły, a poza tym czuł się naprawdę podle. Wyszedł z domu nawet bez śniadania, obiecując Kryśce, że dziś już na pewno pójdą razem na obiad, skoro wczoraj się nie udało. Nie udało się przez jego cholerną głupotę. W końcu to, co zdarzyło się wczoraj na Wildzie, w mieszkaniu tego bydlaka Bauera, to wszystko była jego wina, bo zachował się jak niedoświadczony idiota. Powinien jak najszybciej zrobić swoje i wracać do domu, ale nie, jemu zachciało się być honorowym człowiekiem i dotrzymać danego policjantowi słowa. No więc gdy Gienas wrócił z flaszką, szybko wypili ją, zagryzając kiełbasą wędzoną i kiszonymi ogórkami. Podczas tej biesiady wyjaśnił koledze, jaki ma plan. Otóż postanowił, że Bauera nieco zmiękczą od razu, żeby był rozmowniejszy, a gdy ten już będzie gotowy do wyśpiewania wszystkiego po kolei, on pójdzie po tego komisarza policji. Gienasowi nie spodobał się ten pomysł, bo co mogło mu się podobać we współpracy z Policją, ale Tolek, nie wiedząc czemu, się uparł. Co było robić? Gienas, chcąc nie chcąc, zgodził się na ten niedorzeczny plan.

No więc zaczęli od metodycznego lania Bauera, uprzednio zawiązując mu gębę szmatą, żeby nie mógł się wydzierać. Tłukli go tak chyba z dziesięć minut, aż facet stracił przytomność. Nie dali mu najmniejszej szansy na to, by cokolwiek powiedział. Tolek dobrze wiedział, że jeśli

chce się z kogoś wydusić prawdę, nie można wdawać się z nim w żadne pogawędki. Człowiek musi wiedzieć, że tylko prawda da mu szansę na wyjście z opresji i uniknięcie dalszego bicia. Ale żeby wiedział, co go może jeszcze czekać najpierw, trzeba było mu porządnie wlać, a potem dać mu czas na przemyślenie wszystkiego, żeby wiedział, że jeśli skłamię, czeka go następne bicie. Taką metodę wypróbował już nieraz w różnych sytuacjach i zawsze przynosiła oczekiwany skutek. Tym razem też był jej pewny. Dlatego gdy obita głowa Bauera opadła na pierś, zaprzestał bicia.

– No, będzie dość jak na razie – ocenił, obrzucając obitego człowieka uważnym spojrzeniem. – Otwórz no drugą flaszkę, bo zaschło mi w gardle od tej roboty – powiedział, uśmiechając się do Gienasa. Ten natychmiast sięgnął do torby, w której przyniósł zakupy. Sprawnie wybił zalakowany korek i rozlał wódkę Wyborową do dwóch szklanek. Wypili i zagryźli kiełbasą, a potem ogórkiem.

– To ty z nim teraz zostań se siedzieć tutaj, a ja polecę po tego komisarza. Niech go przebada, jak będziemy się rozpytywać o wszystko.

– Ino nie łaż za długo.

– Spokojna głowa, w trymiga obróć i zaraz się wracam. A ty se wypij jeszcze Gienas, żeby ci się za mną nie cknęło – powiedział, uśmiechając się zachęcająco, a potem poklepał kolegę po plecach.

Rzeźnik spojrzał na butelkę. Została zaledwie połowa jej zawartości. Z tą ćwiartką upora się bardzo szybko, ale na szczęście kiełbasy wziął pół kilo, więc jakoś przetrwa tu nawet i godzinę.

– No to leć, a ja tu bede na wszystko miał oko.

Tolek obrzucił jeszcze niechętnym spojrzeniem nieprzytomnego Bauera, a potem wyszedł z mieszkania. Do budynku Prezydium Policji nie było daleko z Wildy. Wybrał najprostszą drogę przez Półwiejską. Pod Browarem Huggera w rzędzie wozów piwnych dostrzegł tego wozaka, który widział mordercę na moście. Pomyślał nawet, że może trzeba by go było zabrać do tego mieszkania, żeby popatrzył se na morde gnoja i powiedział, czy go poznaje. Jego wóz stał na końcu kolejki, a na załadunek mógł poczekać jeszcze dobrą godzinę, więc może jak będzie wracał z policjantem, to go ze sobą zabiorą. Policjant tylko machnie tą swoją blachą i facet będzie musiał pójść z nimi. Ucieszył się nawet na tę myśl, bo to będzie dodatkowy argument dla policjanta, że trzeba mordercę sprzątnąć, gdy świadek go rozpozna. Nawet zdziwił się, że ten

policjant zgodził się na taki układ. Zastanawiał się tylko, o co mu mogło chodzić. Po jaką cholere chciał z nim jeszcze pogadać? Czyżby chciał się upewnić, że to naprawdę on jest winny? Przecież to było jasne jak słońce. To był właśnie ten człowiek, bo kto by mógł być inny?

Plac Wolności pełen był dorożek i automobili w ten sobotni poranek. Ludzie podjeżdżali i odjeżdżali spod tych niezwykle eleganckich domów towarowych Brandta, Hassego i banków. Uciekł od tego tłoku na drugą stronę ruchliwej ulicy, tę, na której rozłożył się niski, ale majestatyczny budynek byłego Teatru Niemieckiego, w którym mieściła się teraz popularna kawiarnia „Café Esplanade”. Pracownicy kawiarni, na wielkim drewnianym tarasie ozdobionym rzeźbionymi balustradami, rozstawiali właśnie stoliki, żeby zdążyć z obsługą gości, którzy niebawem, po dokonaniu zakupów, będą schodzić się tu na kawę, ciasta i włoskie lody. Też chętnie napiłby się aromatycznej kawy, ale na to teraz nie było czasu. Minął „Esplanadę” i zatrzymał się na chodniku, żeby spokojnie przyjrzeć się policyjnemu budynkowi, a właściwie jego okolicy, czy czasami nie widać gdzieś w pobliżu kogoś znajomego. Nie chciał, żeby go ktoś zobaczył, jak wchodzi do tego budynku, bo potem mogłaby po ludziach pójść informacja, że on jest kapuś i chodzi na Policję kapować na innych. Na szczęście teren wydawał się bezpieczny i nikt podejrzany się tu nie kręcił. Na wszelki jednak wypadek nacisnął czapkę mocno na oczy i pochyliwszy głowę, przeszedł na drugą stronę ulicy. Stojący przed wejściem policjant obrzucił go tylko obojętnym spojrzeniem i bez słowa wpuścił do środka. Wewnątrz w tym obszernym holu, którego ściany wyłożono połyskliwym marmurem, na prawo od wejścia, za ciemnobrązowym dębowym kontuarem siedział podoficer Policji z ogromnymi wąsiskami, dzięki którym trochę przypominał smutnego morsa. Tolek wiedział, że nie może sobie, ot tak, wejść na te schody. Musiał się zameldować temu wąsaczowi, a dopiero on mógł go kazać prowadzić gdzieś dalej. Podszedł więc do niego i zdjął czapkę.

– No – mruknął policjant.

– Dobry.

– No – powtórzył obojętnym tonem eksperta, którego nie dziwiły wizyty w tym budynku żadnych interesantów, nawet takich w eleganckiej wiśniowej westce.

– Ja do pana Fischera.

- Tu ni ma żadnego pana Fischera.
- Jak ni ma? - zdziwił się Tolek. Przecież ten policjant kazał mu właśnie tu siebie szukać. - Kiedy on sam powiadał, że tu mam do niego przyjść.
- Kto powiadał?
- No, pan Fischer.
- Tu ni ma żadnego pana Fischera.
- To gdzie jest?
- Gdzie jest, to ja nie wim. Wszędzie może być. Ino, że tu to jest komisarz Fischer.

Tolek z wściekłością spojrział na policjanta. Gnojek najwyraźniej zabawiał się jego kosztem. Musi se go zapamiętać i jak kiedy będzie okazja i spotka go gdzie w mieście, to wytarga go za te wąsiska, żeby mu na przyszłość odechciało się ksiutów. Ale na razie jednak musiał przełknąć zniewagę. W urzędzie przecież nie będzie go prał po pysku. To może zaczekać.

- To ja w takim razie chce sie widzieć z panem komisarzem Fischerem.
- W jakiej sprawie?
- Osobistej.
- Tu nie ma spraw osobistych. Tu są ino sprawy urzędowe - pouczył go policjant.

Tego już było mu za wiele. Ten zasraniec za dużo sobie pozwalał. Tolek popatrzył na niego z nienawiścią w oczach, a potem pochylił się nad blatem kontuaru i skinął na policjanta, jakby chciał mu wyszeptać do ucha jakąś konfidencjonalną kwestię. Ten pochylił się również.

- Słuchaj, wszarzu niemyty. Ciąg zaraz do komisarza i melduj mu, że jest tu do niego pan Anatol w sprawie, o której komisarz zakazał byle komu gadać, bo na nią nałożona jest tajemnica służbowa. A jak będziesz się ociągać, to zamelduje komisarzowi, że utrudniasz doniesienie o miejscu przebywania mordercy, któren właśnie oczekuje, żeby go policja zaaresztowała.

Wąsacz odsunął się od niego zdziwiony, a nawet trochę przestraszony.

- Od razu tak trzeba, że to tajemnica służbowa - mruknął pod wąsem.
- Tam się oczekuje na pana komisarza i można iść siadać - wskazał na ławę pod ścianą, na której siedziała jakaś kobiecina w chustce i chudy młody człowiek, wyglądający jak student. Tolek włożył ręce do kieszeni i poszedł we wskazane miejsce, nie zaszczyciwszy nawet jednym

spojrzeniem gburowatego policjanta. Ten tymczasem przywołał z pokoju za kontuarem pomocnika służbowego, policjanta, który nie dorobił się jeszcze żadnych oznaczeń na pagonach, i kazał mu biec po Fischera. Tolek tymczasem usiadł na wskazanym miejscu i natychmiast pogrążył się w myślach. Zaczął zastanawiać się nad wydarzeniami, które zaprowadziły go do tego policyjnego budynku i do konsekwencji, jakie mogą one przynieść. Ale choć mocno wyteżał umysł, nie potrafił do niczego dojść. Wiedział jedno: ten bydlak Bauer musi dziś zostać odpowiednio potraktowany nożem. Policjant niech se z nim pogada, a potem on weźmie się do roboty. Najważniejsze, że ten Fischer, mimo że to policjant, to jednak okazał się rozumiejącym człowiekiem, który wiedział dobrze, że racha musi się dokonać, bo jakby nie, to byłaby poruta na całą dzielnicę.

Z zamyślenia wyrwał go głos policjanta.

Tolek spojrzał na niego zdumiony. Jak to ni ma? W takiej chwili go ni ma jak jest potrzebny?

– A kiedy będzie?

– Nie wiadomo. Ale idzie tu pan podkomisarz Siewierski. Kazał czekać.

– A kto to jest podkomisarz Siewierski?

– On jest zastępcą komisarza Fischera – wyjaśnił wążacz i więcej nic nie zdążył wyjaśnić, bo za jego plecami pojawił się ten sam policjant, który aresztował go wtedy przed knajpą, w której spotkał się z Gienasem.

– O widzę, że pan Grubiński się u nas pojawił – rzucił sarkastycznym tonem oficer.

Tolek poderwał się z miejsca. Nie ufał temu człowiekowi. Było w nim coś takiego, co kazało mu traktować go z dużą rezerwą. Zresztą jakby miał zaufać komuś, kto potraktował go jak mordercę Jadźki i do tego jeszcze sprął go po mordzie?

– Co to za rewelacje masz do komisarza?

– Nie, żadne rewelacje. Chciałem ino poprosić o trochę bejmów, tak jak pan komisarz obiecał, bo potrzebne są na poszukiwania tego mordercy.

Siewierski pogardliwie wydał wargi, a potem zaśmiał się głośno.

– No tak, komisarz Fischer jak widzę zna się na ludziach. Ode mnie nic nie dostaniesz. Jak Fischer chce wydawać pieniądze, to proszę bardzo. Mnie nic do tego.

– A kiedy pan komisarz będzie na powrót?

– A co, ja jestem Duch Święty? Jak wróci, to będzie. Powiem mu, że jego informator i współpracownik był tu po pieniądze. Na pewno się ucieszy.

Siewierski odwrócił się na pięcie i odszedł szybkim krokiem. Tolek tymczasem nałożył kaszkiet na głowę i włożywszy ręce do kieszeni, ruszył w kierunku drzwi, odprowadzany ciekawym spojrzeniem siedzącego za dębowym kontuarem policjanta.

Powrót na Wildę zajął mu może pół godziny. Byłby szybciej, ale po drodze wstąpił do baru „Pod Niedźwiedziem” na Rybakach, żeby kupić jeszcze jedną butelkę wódki, bo Gienas już pewnie te ostatnią dawno osuszył, i do tego jeszcze kilka zimnych kotletów siekanych na zagryzkę. A że zaschło mu w gardle, kazał sobie nalać dużego koźlaka od Huggera. Szybko wypił piwo i ruszył do mieszkania na Wildzie. Wkrótce stanął już przed drzwiami. Odruchowo chciał w nie zapukać, ale gdy tylko dotknął je pięścią, same się otworzyły. Zdziwił się, bo przecież Gienas powinien je zamknąć od środka. Zaraz pomyślał jednak, że pewnie jego kolega poszedł na dwór do wychodka. Zezłościł się na niego za tę niefrasobliwość, bo przecież skoro nie zakluczył drzwi, to któryś z sąsiadów mógł tu wleźć i zobaczyć, co się dzieje w środku. Pchnął więc drzwi, wszedł na korytarzyk, a potem starannie zamknął je za sobą na zasuwę. Uśmiechnął się do siebie, pomyślawszy jak głupią minę zrobi Gienas, kiedy wróci i zobaczy drzwi zamknięte.

Wszedł do kuchni, spojrzał na krzesło, do którego przywiązany był Bauer, i zdębiał. Krzesło stało tak jak poprzednio, tyle że Bauera na nim nie było. Za krzesłem na podłodze leżała przecięta linka, ta sama, którą tamten miał związane ręce, a obok, przy przednich nogach, były dwie następne.

– Skurwysyn uciekł! – powiedział sam do siebie. Ale co z Gienasem?

W tym momencie spojrzał na prawo, na łóżko przykryte niezbyt czystą pościelą. Na łóżku leżał Gienas. Leżał na plecach z otwartymi oczami i szeroko rozdziawionymi ustami. Wyglądał tak, jakby zastygł w przerażeniu w chwili, w której zobaczył nad sobą twarz Bauera i poczuł, jak ostrze jego noża fachowym rzeźnickim ruchem rozcina mu gardło.

Poczuł, że nogi się pod nim uginają. Gienas nie żyje. To wszystko przez niego. Przez ten jego głupi honor. Chciał być honorny i dotrzymać słowa

danego szkiełowi i co z tego wyszło?

Opuścił mieszkanie, zostawiając kolegę leżącego na łóżku. Nic dla niego nie mógł już zrobić. A co zrobić ze sobą? Co dalej z tym chłtelernym Bauerem? Nie miał pojęcia. Ale jest ktoś, kto powinien wiedzieć. Musi za wszelką cenę odszukać tego policjanta Fischera. Na ulicy sięgnął do kieszeni marynarki i wydobył z niej niewielką karteczkę. Był to bilet wizytowy wydrukowany na białym grubym papierze. Na wizytówce widniało imię i nazwisko komisarza, a u dołu, w prawym rogu adres: ulica Matejki sześćdziesiąt osiem, łamane przez siedem. Poszedł więc zaraz pod wskazany adres z tą butelką i kotletami zapakowanymi w papier pakowy pod pachą. Na miejscu dowiedział się jednak od stróża, że pan Fischer wyjechał i wróci dopiero jutro przed południem. Poszedł więc się upić, bo nie miał żadnego innego pomysłu. Do domu wrócił wieczorem. Kryśka jednak nie spała. Czekwała na niego. Pomogła mu się rozebrać i położyła go do łóżka.

Dziś rano, gdy tylko się obudził, postanowił, że musi iść do Fischera, żeby z nim pogadać, a jak go nie będzie, to zaczeka tam, aż ten się wreszcie pojawi. A Kryśce obiecał, że dziś w końcu zjedzą ten obiad razem.

Godzina 11.55

Ratuszowy zegar wybił godzinę dwunastą. Metalowe drzwiczki na szczycie wieży otworzyły się i na specjalnych szynach powoli zaczęły z nich wyjeżdżać dwa metalowe, pomalowane na biało koziołki. Najpierw każdy zajął swoje miejsce, potem uniosły się na tylnych nóżkach i w końcu skoczyły ku sobie, by zderzyć się rogowymi łbami. Sierżant Okoń stał w tłumie gapiów, którzy przypatrywali się tej scenie, rozgrywającej się w tym miejscu codziennie od jedenastu lat. W tysiąc dziewięćset trzynastym roku, po ponad dwustu latach, koziołki znowu wróciły na wieżę. Wcześniej ich nie było, bo w połowie siedemnastego wieku w wieżę trafił piorun i uszkodził ją wraz z mechanizmem zegarowym. Dopiero rok przed wybuchem Wielkiej Wojny zegar wraz z koziołkami odremontowano i odtąd w każde południe mogły cieszyć

swymi popisami rzesze gawiedzi.

Gdy tryknęły się po raz ostatni, schowały się w swojej stajence, a ludzie zaczęli rozchodzić się w różnych kierunkach za własnymi sprawami. Został tylko sierżant Okoń, który dziś wcale nie wyglądał jak sierżant, ale jak elegancko ubrany urzędnik niższego szczebla na niedzielnym spacerze. Na tę niedzielną przechadzkę, bo miał dziś dzień wolny, nie założył swojego wyjściowego munduru, ale cywilny garnitur, bo tego, co zamierzał zrobić, w mundurze robić się nie godziło. Sierżant Okoń zamierzał się bowiem dzisiaj urznać i do tego jeszcze dobrze zabawić. Przez cały tydzień układał plan eskapady w najdrobniejszych szczegółach, mimo że nie był on specjalnie skomplikowany. Najpierw zamierzał pójść na kilka kufli piwa do piwiarni Wagnera przy Starym Rynku. Potem, po przepłukaniu gardła, miał zamiar wpaść na obiad do restauracji Dobskiego, gdzie planował skosztować najpierw czerninę z lanymi kluskami, a potem gicz cielecą z sałatką jarzynową. Oczywiście do tego zażąda podania przynajmniej ćwiartki dobrej wódki. A gdy już upora się z posiłkiem, wróci do piwiarni na kolejne piwo, żeby doczekać do zmroku. Wtedy zamierzał wyjść na łowy i znaleźć jakąś miłą panienkę, którą weźmie do hotelu. Tyle że weźmie nie na godzinę, ale na całą noc. Tak postanowił dziś zaszaleć, bo miał za co. W tym tygodniu odebrał swój miesięczny żołd i postanowił dobrze wydać te pieniądze, tym bardziej że ceny wszystkiego ciągle rosły i wkrótce mogłoby się okazać, że to, co zarobił jest niewiele warte. Nie miał rodziny, więc wszystko, co zarabiał, mógł wydać na rozrywki, bo za mieszkanie i wyżywienie nie musiał płacić. Mieszkał w koszarach, posiłki jadał w kantynie, razem ze swoimi żołnierzami, więc za całomiesięczny żołd można było przynajmniej raz w miesiącu nieźle się zabawić. Dlatego dziś po śniadaniu przebrał się w swój wyjściowy garnitur i ruszył w miasto, nie mówiąc nikomu o tym, co zamierzał robić. Zresztą nie musiał nikomu z niczego się tłumaczyć. Był dorosły i sam kierował swoim życiem, którego chciał używać, ile się tylko dało, do trzydziestego piątego roku życia. Bo postanowił, że gdy będzie miał trzydzieści pięć lat znajdzie sobie żonę i założy rodzinę. Nie wiedział jeszcze, co prawda, gdzie tę żonę znajdzie, ale o skutek poszukiwań był spokojny. W końcu był nie byle kim, a wiele panien ze średniozamożnych rodzin nie zastanawiałoby się ani minuty, gdyby się im trafił taki solidny kawaler na państwowej,

a więc pewnej posadzie i do tego jeszcze bez nałogów, bo przecież te jego pijaństwa raz na miesiąc to jeszcze żaden nałóg, a palenie tytoniu to zwyczajna męska rozrywka, którą wiele pań traktuje jako coś, co tylko dodaje męskości. No, ale o tym wszystkim będzie myślał dopiero za pięć lat, bo tyle mu jeszcze zostało czasu do terminu rozpoczęcia poszukiwań przyszłej pani Okoniowej. A póki co trzeba było rozpocząć dzień pełen wrażeń.

Ruszył nieśpiesznym krokiem wzdłuż podcieni starego ratusza, minął ratuszową bramę i gdy znalazł się na wysokości nowego ratusza, w miejscu, w którym kwiaciarki sprzedawały pierwsze wiosenne kwiatki, stanął jak wryty. Na prawo od niego szedł dość zdecydowanym i sprężystym krokiem człowiek, który wyglądał jak porucznik Karpiński. Co prawda nie był ubrany w mundur, bo wtedy nie byłoby żadnych wątpliwości, lecz w całkiem cywilny długi czarny płaszcz, do tego jeszcze miał na głowie melonik. Mężczyzna trzymał w rękach laskę, która co drugi krok rażno stuknęła o bruk chodnika. Twarz co prawda była nieco inna niż ta należąca do Karpińskiego, jakiego znał z codziennej służby, bo porośnięta ciemną szczeciną zarostu, ale tego Karpińskiego, którego znał, zdecydowanie przypominała. W pierwszej chwili chciał krzyknąć, żeby się zatrzymał. Chciał podbiec do niego i zapytać, co się z nim dzieje, ale zaraz przypomniał sobie, co powiedział mu wczoraj o Karpińskim kapitan Jażdżewski.

Kapitan wezwał go do siebie i kazał mu sięść przed swoim biurkiem, więc sierżant posłusznie zajął miejsce.

– Wyście byli podwładnym porucznika Karpińskiego? – zapytał na samym początku, tak jakby tego nie wiedział.

– Tak jest, panie kapitanie – potwierdził nieco zdziwiony Okoń.

– A powiedzcie mi, sierżancie, czy w ostatnim czasie porucznik nie zachowywał się jakoś dziwnie?

Okoń wzruszył ramionami. Zależy, co to może oznaczać – dziwnie. Dla jednych dziwne może być to, że ktoś wyciera smarki w rękaw, a dla innych, że zamiast w rękaw robi to, używając jedwabnej chusteczki. Karpiński wycierał nos chusteczką, a Okoń jakby miał chusteczkę, to zrobiłby z niej onuce, a smarkał normalnie, po bożemu, w paluchy.

– Ja melduje panie kapitanie, że nie wiem tak w ogólności, o co się rozchodzi. Że niby co było dziwne?

– No mniej więcej o to, czy Karpiński na przykład spóźniał się częściej niż zwykle, czy wychodził wcześniej niż zwykle albo czy może wychodził w godzinach pracy częściej niż normalnie.

Okoń wybałuszył oczy ze zdumienia. Karpiński przecież był oficerem. A skoro był oficerem i do tego jeszcze pochodzącym z Kongresówki, więc to było całkiem normalne, że nie przychodził do pracy jak poznaniak o czasie, ale zawsze później, z pokoju, w którym urzędował, wychodził ciągle i znikał na całe godziny, a wychodził z pracy zawsze wcześniej. I co w tym było nienormalnego? Taki charakter i tyle.

– Melduje panie kapitanie, że nic podejrzanego nie widziałem.

– Musieliście coś widzieć. Przecież skoro on zrobił to, co zrobił, to musiał to wcześniej planować, a jeśli planował, to jakoś musiał się zdradzić.

– Ino ja nie wiem, co on planował, panie kapitanie.

– No dobra, Okoń. Stary z was żołnierz, więc mogę wam wszystko powiedzieć, lecz to, co usłyszycie, to tajemnica wojskowa. Rozumiecie, Okoń?

– Co mam nie rozumieć, panie kapitanie. Tajemnica to tajemnica. Ani pary z gęby i szlus.

Kapitan spojrzał badawczo na podoficera, jakby chciał się przekonać, czy można mu zaufać. Widać lustracja musiała przebiec pomyślnie.

– Porucznik Karpiński ukradł z kasy ogniotrwałej poważną sumę pieniędzy.

– Ile? – wyrwało się natychmiast Okoniowi.

– Ile, to nie ma znaczenia. Dość, że ukradł za pomocą dorobionego klucza. A klucz dorobił metodą na odcisk w wosku.

Okoń momentalnie wciągnął z sykiem powietrze. Teraz już wiedział, po jaką cholere w srebrnej papierośnicy Karpiński miał zamiast ćmików wosk. Odkrył to któregoś dnia, gdy zajrzawszy do pokoju porucznika stwierdził, że nie ma go w środku, za to na biurku leżała ta papierośnica. Okoń często korzystał z papierosów swojego dowódcy, oczywiście bez jego zgody, no, ale jak było nie brać, skoro porucznik zostawiał je na widoku? Tylko jak o tym powiedzieć kapitanowi. Najlepiej będzie nic nie mówić. No, ale kapitan patrzył wyczekująco. Niepotrzebnie się zdradził tym jęknięciem, jak powiedział mu o tym wosku. Co tu teraz wymyślić? Najlepiej powiedzieć, ale nie całą prawdę, bo za podkradanie tych

ćmików jeszcze na morde z wojska wyleją.

– No co, Okoń? Coś chcieliście powiedzieć? – ponaglił go najwyraźniej zniecierpliwiony przedłużającym się milczeniem podoficera Jażdżewski.

– Bo ja melduje, panie kapitanie, że ten wosk to ja widział.

– Jak to?

– Ino nie wiedziałem, na co on jest.

– A gdzieście go widzieli?

Okoń spuścił głowę na dół i wbił wzrok w czubki swoich wyglancowanych na błysk butów.

– Ten wosk był w srebrnej papierośnicy porucznika.

– Jak to?

– Jak otworzyłem te papierośnice, to tam w środku nie było ćmików, ino tyn wosk roztopiony. Tak jakby jego roztopił i wlał do środka. Nawet się zdziwiłem, że zamiast ćmików nosi wosk, ale co mnie do tego, co on tam nosi. To była jego sprawa.

– A jak to się stało, żeście w ogóle mieli tę papierośnicę w ręce? – zapytał podejrzliwie kapitan.

Okoń spojrział na oficera, jakby chciał go zapewnić o swojej całkowitej niewinności.

– Leżała na biurku, a ja wlałem do pokoju, żeby przynieść flepy, znaczy się papiery dla porucznika, i jak ona tak leżała, to ją tam zobaczyłem i tak z ciekawości do niej zaglądnąłem, a tam wosk w środku, to ją zaro zamknąłem i tyle.

Porucznika to wyjaśnienie najwyraźniej zadowoliło. Nawet nie pomyślał, żeby wiązać Okonia z tajemnicą znikających papierosów Karpińskiego. Dla niego ważna była tajemnica zniknięcia pieniędzy.

– No to wszystko składa mi się do kupy – powiedział właściwie do siebie, nie do sierżanta, Jażdżewski.

– Że niby jak?

– Że to właśnie porucznik jest winien kradzieży.

– No to jak jest winny, to pewnie już siedzi w piekle.

– Tego bym wcale nie był taki pewny, sierżancie.

– Co?

– Nic. Możecie odejść.

I Okoń wyszedł zadowolony, że kapitan już go nie dręczy tymi pytaniami. Wtedy nie zwrócił na to uwagi, ale teraz przypomniał sobie

bardzo dokładnie to, co powiedział na sam koniec rozmowy. Gdy Okoń zażartował z tym piekłem, on odparł, że wcale nie byłby tego pewien. Sierżant ani przez moment nie zastanawiał się nad tym, co on chciał przez to powiedzieć. Ale teraz zrozumiał to bardzo wyraźnie. Nie jest pewien, że siedzi w piekle, bo żywi do piekła nie idą, a Karpiński, choć nie w mundurze i zarośnięty jak mała, jest jak najbardziej żywy.

Gdy przeszedł, nie spojrzawszy nawet na Okonia, ten przez moment zatrzymał na nim wzrok, a po chwili podjął decyzję. Ruszył jego śladem, utrzymując jednak pewien bezpieczny, jak mu się zdawało, dystans. Karpiński doszedłszy do końca pierzei rynku, zniknął za rogiem, wchodząc w ulicę Rynkową. Okoń przyspieszył kroku, by nie zgubić oficera, gdyż Pocztowa była krótką ulicą, a chciał zobaczyć, w którą stronę skręci śledzony. Skręcił w lewo, w Pocztową, w kierunku na plac Sapieżyński.

- Pewnie idzie na pocztę - pomyślał Okoń, ale wcale nie był tego pewien. Stąd przecież można było dojść wszędzie. Na wszelki wypadek sierżant przeszedł na drugą stronę ulicy, koło ponurego budynku Archiwum. Tymczasem Karpiński minął skrzyżowanie z Zamkową i zatrzymał się przed wystawą sklepu z wódkami i likierami. Chwilę stał tak wpatrzony w szybę wystawową, więc Okoń też przystanął, i zaczął grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu papierosów. Odnalazł paczkę Płaskich, wyciągnął z niej papierosa, a po zgnieceniu ustnika włożył go do ust. Palił papierosy z ustnikiem, bo - jak mówił - tych zwykłych machorkowych dość napalił się w okopach. W momencie gdy zapalił, oficer ruszył dalej w kierunku poczty. Ale nie zaszedł daleko. Wszedł w pierwszą bramę kamienicy. Okoń przebiegł ulicę, mało nie wpadając pod kopyta dorożkarskiego konia. Chciał się przekonać, do którego z mieszkań idzie Karpiński. Po chwili był już w bramie. Schody prowadzące na górę były po prawej stronie. Podszedł do nich, nasłuchując kroków. Ale nic nie było słychać. Wszedł na pierwszy schodek, kiedy usłyszał, a właściwie wyczuł, że ktoś jest za nim. Odwrócił się szybko i stanął twarzą w twarz z Karpińskim. Ten uśmiechnął się do niego, a potem wyszarpnął z rękojeści swojej laski długi sztylet i zanim Okoń zorientował się, co się dzieje, ostrze wbiło mu się w brzuch. Żołnierz jęknął tylko, przerażony tym, co się stało. Wyciągnął ręce przed siebie, by chwycić Karpińskiego za szyję, ale siły zupełnie go opuściły.

Uśmiech ani na moment nie zniknął z twarzy napastnika, nawet w momencie, gdy ten wyszarpywał sztylet z brzucha swojej ofiary.

– Trzeba było trzymać się swoich spraw – powiedział i odepchnął od siebie podoficera, który opadł na kolana, a potem na twarz. Okoń przez moment słyszał oddalające się kroki. Przez głowę zdążyła mu jeszcze przelecieć myśl, że nie napije się już dzisiaj piwa. A taką miał ochotę!

Godzina 2.20 po południu

Komisarz Antoni Fischer szedł przez poznański ogród botaniczny, pogwizdując melodię arii toreadora z opery *Carmen*. Bardzo lubił tę operę. W ogóle lubił operę i te cudowne, czyste dźwięki operowej muzyki, połączonej z najpiękniejszymi głosami śpiewaków. Opera to miejsce, dzięki któremu zawsze przenosił się do innego świata, pełnego soczystych barw, tak bardzo różniących się od tego, co widział na co dzień na ulicy. Tam nawet umierało się piękniej niż w rzeczywistości i nikt nikomu nie wypruwał flaków. Gdyby nie ten wyjazd do Schneidemühl, dziś zapewne szykowałby się już na przedstawienie operowe. Dziś w Teatrze Wielkim dawali *Cyrulika sewilskiego*. Widział to przedstawienie już może ze dwadzieścia razy, ale nie przeszkadzało mu to planować następnego pójścia na spektakl. Tyle że dziś był zbyt zmęczony podróżą i nie chciał iść do opery, bo mógłby się jeszcze przypadkiem skompromitować, zasypiając w fotelu na widowni. Zresztą dziś był tak podekscytowany tym, co wydarzyło się kilkanaście godzin wcześniej, że na operze zapewne nie mógłby się skupić. Jego myślami zawładnęła niemal całkowicie pewna młoda osoba, którą poznał u Aschmutatów. Ursula Scholz, niebieskooka blondynka, swoje długie włosy wiązała w warkocz. Miała piękny uśmiech, a prócz uśmiechu też wszystko inne miała piękne – tak mu się przynajmniej wydawało.

Była przyjaciółką Anny. Razem pracowały w aptece. To właśnie Anna wpadła na pomysł, żeby zaprosić ją na kolację, gdy zdecydowano, że Fischer zostanie u nich na noc. Początkowo planował powrót do Poznania jeszcze tego samego dnia, ale Carl się uparł, że musi u nich zostać. W końcu do Poznania nie było wcale daleko i po nocy spędzonej

w ich domu będzie mógł ze spokojem pojechać porannym pociągiem. W zasadzie nie miał jakichś konkretnych planów na tę niedzielę, z wyjątkiem tego przedstawienia operowego, ale czym był jeden spektakl wobec nalegań obojga! Nie przypuszczał nawet, że w tych słowach formułowanych przez Annę kryło się drugie dno. Po obiedzie poszedł więc z obojgiem na spacer. Najpierw Bromberger Straße, obszerną ulicą, po której przechadzały się dziesiątki spacerowiczów, przeszli w kierunku rzeki Küddow. Minęli browar spowity zapachem chmielu i odorem fermentacji. Z daleka widać już było sporą sylwetkę kościoła Świętych Janów, z gotyckim prezbiterium i doklejoną do niego barokową nawą, ozdobioną dwiema wieżami. Na drugi brzeg dostali się po solidnym, żelbetonowym moście, przez który biegła wyasfaltowana droga dla pojazdów. Brzegi rzeki z jednej i z drugiej strony mostu porośnięte były drzewami i szuwarami, tworząc malownicze, można by nawet powiedzieć dzikie zakątki w samym sercu miasta. Właściwie miasta to nawet zbyt wiele powiedziane. Było to niewielkie prowincjonalne miasteczko, którego główny punkt stanowił Neumarkt, czyli Nowy Rynek, obszerny plac zabudowany dwupiętrowymi, raczej niezbyt ciekawymi architektonicznie budynkami, w którego centralnym miejscu stał kościół. Przed wejściem do niego mieszkańcy miasta wzniesli pomnik Fryderyka Wielkiego, czyli tego monarchy, który sprawił, że polska Piła stała się niemieckim miastem. Przed pomnikiem ustawiono dwie armaty zdobyte podczas wojny francusko-pruskiej.

– To wojenne trofeum – wyjaśnił Carl, wskazując stalowe lufy armat. – Przywieźli je z wojny żołnierze pułku piechoty stacjonującego w naszym mieście.

Antoni zwrócił uwagę, na wypowiedziane przez przyjaciela sformułowanie „w naszym mieście”. Carl, który już na samym początku jego wizyty w Schneidemühl opisywał barwnie niedogodności życia na końcu świata, mimo wszystko jednak w jakimś stopniu zaczął się utożsamiać z tym miastem. Nie powiedział jednak tego głośno, nie chcąc wprowadzać go niepotrzebnie w konsternację, a kto wie, czy nie sprawiłby mu w ten sposób przykrości. Wolał więc zamknąć gębę na kłódkę i słuchać, co Carl ma do powiedzenia.

– Ten pułk ma swoje koszary przy naszej ulicy – kontynuował Aschmutat. – Nie widziałeś ich tylko dlatego, że położone są znacznie

dalej, w kierunku na Bromberg.

– Za to wojskowych widać tu na każdym kroku – zauważył Fischer, wskazując ruchem głowy na grupkę kilku podoficerów, którzy obsiedli kilka ławek ustawionych między drzewami okalającymi miejski kościół. Najwyraźniej spragnieni, raczyli się piwem wprost z butelek.

– To kawalerzyści. Oni też tu stacjonują. No, sam rozumiesz. To przecież garnizonowe miasto blisko granicy, więc wiadomo, że wojska tutaj pod dostatkiem.

Fischer pokiwał głową. Nie było w tym niczego nadzwyczajnego. Przecież w Poznaniu było podobnie. Miasto dosłownie naszpikowane było wojskiem jak dobra kasza skwarkami. Obie strony bacznie się obserwowały i przygotowywały na wypadek jakiegoś konfliktu. Antoni był realistą i wiedział, że prędzej czy później obie armie staną naprzeciw siebie, bo Niemcy raczej łatwo nie pogodzą się z utratą ziem, które przez ponad sto lat należały do nich. Miał jednak nadzieję, że to prędzej czy później, nastąpi raczej później, gdy nasza armia do takiej konfrontacji będzie dobrze przygotowana. Bo jak na razie nie miał złudzeń. Nasze wojsko było uzbrojone w przestarzały sprzęt, który trzeba będzie w krótkim czasie unowocześnić. Bylebyśmy tylko nie przegapili momentu, bo Niemcy ze swoją doskonałą organizacją na pewno wszelkie nasze zapóźnienie w bezwzględny sposób wykorzystają. Zresztą jak realna była to groźba, Polacy przekonali się już na wiosnę, po zakończeniu walk powstania wielkopolskiego, kiedy Niemcy szykowali się do wielkiej ofensywy, która wobec ich ogromnej przewagi militarnej mogła zakończyć się w Warszawie. Tylko zdecydowana reakcja Francji z marszałkiem Fochem na czele i ultimatum wystosowane wobec Niemiec, że w razie ataku na Polskę armia francuska zaatakuje od zachodu, powstrzymała niemieckich generałów.

– Tu wejdziemy na kawę i lody – Anna wskazała na kawiarniany taras Hotelu Goldener Löwe, który położony był nad chodnikiem, nieco powyżej poziomu ulicy.

Usiedli przy stoliku wskazanym przez kelnera ubranego w białą marynarkę i czarne spodnie. Anna zapytała tylko, czy Anton lubi lody, a gdy potwierdził, złożyła szybko zamówienie. Widać wszystko miała dokładnie przemyślane. Lody śmietankowo-czekoladowe, polane sokiem malinowym, i do tego czarna kawa ze śmietanką.

– Bardzo przyjemne popołudnie – zauważył Fischer, rozglądając się ciekawie po rynkowym placu. Jego spojrzenie zatrzymało się na pięknej kobiecie, ubranej w długą jasną suknię i jasną, chyba kremową garsonkę, tego koloru nie potrafił w sposób jednoznaczny określić. Szła spacerowym krokiem od strony kościoła. Na głowie miała słomkowy kapelusz przyozdobiony bukietem kwiatków, a na szyi jedwabną pomarańczową apaszkę. Anna też spojrzała w tamtym kierunku i zaraz poderwała się z krzesła machając dłonią.

– O, jest Ursula! – zawołała radosnym głosem. – Ursula, tutaj!

Kobieta dostrzegła ją i również pomachała w kierunku Anny.

Ursula Scholz podeszła, a właściwie podpłynęła do stolika, roztaczając wokół siebie zapach konwaliowych perfum. Fischer patrzył na nią jak zahipnotyzowany. Mimo wszystko jednak, oszołomiony jej urodą, zdołał jakoś wstać z miejsca i złożyć pocałunek na jej dłoni w chwili, gdy Anna dokonywała prezentacji. Gdy kobiety usiadły, Antoni stał jeszcze przez chwilę, jak uczeń szkoły powszechnej przed profesorem. Oprzytomniał dopiero, gdy Carl pociągnął go za rękaw. Spojrzał na niego zdziwiony, ale na szczęście zaraz zorientował się w sytuacji i w końcu usiadł na krześle z plecionej wikliny.

– Ależ mamy ciepły dzień – powiedziała miłym i dźwięcznym głosem, który natychmiast ukłuł go w samo serce. Ukłuł przyjemnie, jednak na tyle mocno, że od razu poczuł ciepło rozlewające się po całym ciele.

– Owszem – zaledwie tyle zdołał wybąkać, bo nic sensownego nie przyszło mu do głowy. Na szczęście nie szukał również ratunku u Carla i Anny, bo natychmiast zobaczyłby ich porozumiewawcze uśmiechy. Żona przyjaciela, widząc tę niezręczną sytuację, w jakiej znalazł się Anton, przyszła mu z pomocą.

– Ursula jest moją serdeczną przyjaciółką – wyjaśniła. – Znamy się jeszcze z czasów studiów w Berlinie.

– Czy pani również studiowała farmację? – zapytał.

– Tak, studiowałyśmy razem, a teraz pracujemy razem w aptece.

– To chyba bardzo ciekawe zajęcie?

– Tak, czasami nawet pasjonujące i ekscytujące.

– Doprawdy? Nic nie wiem o farmacji. Myślałem, że to tylko odmierzanie dawek i mieszanie ze sobą mikstur.

– To prawda. Ale w zależności od dawki składników można sprawić, że

specyfik z leczniczego zmienia się w truciznę – powiedziała to z tak czarującym uśmiechem, że po plecach przebiegł mu dreszcz i bynajmniej nie był to dreszcz przerażenia. Nawet nie pomyślał, że te piękne smukłe dłonie mogłyby przyrządzić jakiś śmiertelnie niebezpieczny eliksir. Zdaje się, że ta kobieta nie potrzebowała żadnych eliksirów, gdyby zaplanowała sobie osiągnięcie jakiegoś celu.

– Cóż to za żarty, Ursulo? – oburzyła się Anna. – Jeszcze może się okazać, że nasz gość pomyśli sobie, że ma do czynienia z jakąś morderczynią.

– Dla policjanta to przecież nic nadzwyczajnego – powiedziała znów, uśmiechając się do Fischera.

Aż przystanął w miejscu, gdy sobie przypomniał to zdanie wypowiedziane przez Ursulę. Spojrzał przed siebie, na niewielki ogródek jordanowski z huśtawkami i piaskownicą, w której bawiło się kilkanaścioro dzieci, śledzonych uważnymi spojrzeniami mam i guwernantek, które rozsiadły się na pobliskich ławeczkach.

Powiedziała wtedy, że dla policjanta to nic nadzwyczajnego. Ale skąd ona wiedziała, że jestem policjantem? Pamiętał dobrze, że od momentu, gdy się spotkali, nie padło ani jedno słowo na temat jego pracy w Policji. Przecież nie mogła tego wniesć tylko po fakcie, że znany jej, zapewne dobrze, Carl pracował w Policji. Poza tym on pracował w policji w Schneidemühl, a ja w Poznaniu, więc nie mogło paść we wcześniejszych ich rozmowach imię i nazwisko jako kolegi z pracy, bo takim nie był. Jeśliby Carl wspominał kiedykolwiek o nim we wcześniejszych rozmowach, to mówiłby o nim jako o koledze z czasów wojny. Więc skąd wzięła się jej wiedza na temat jego pracy? Chyba, że...

Nagle przyszło olśnienie. Ursula wcale nie była zdziwiona tym przypadkowym spotkaniem na pilskim rynku. Ona wiedziała, że tam będą. Co więcej, wiedziała, że będą tam Aschmutatowie i do tego wiedziała jeszcze z kim.

– To była uknuta przez Annę intryga – powiedział sam do siebie na głos, a potem roześmiał się.

Siedząca na ławce, jakieś pięć metrów od niego, zasuszona guwernantka w szarym kapelusiku i szarej sukni spojrzała na niego jak na wariata. Podchwycił to pełne wyrzutu spojrzenie i nieco zmieszany uchylił kapelusza, a potem ruszył w dalszą drogę, w kierunku swojej

kamienicy. Nie uszedł jednak daleko. Tuż przy wyjściu z parku, w bramie prowadzącej na ulicę Matejki, natknął się na zdyszanego przodownika Erwina Rysia.

– No i gdzie tak lecisz? – zapytał, obrzucając podoficera rozbawionym spojrzeniem. – Warta się pali czy jak?

Ryś stanął przed oficerem na baczność, próbując złapać oddech.

– No, spokojnie, sierżancie, nie jesteśmy na placu apelowym. Spocznij i melduj.

Przodownik posapał jeszcze chwilę, najwyraźniej mocno zmęczony jakąś bezsensowną gonitwą. W końcu wziął głęboki oddech i wyrzucił z siebie to, co miał do powiedzenia.

– Ja melduje panie kapitanie, że dzwoniли z Prezydium, co bym pana kapitana jak najspieszniej odnalazł w związku z sierżantem Okoniem.

– A co, Okoń coś nawywijał? – zapytał Fischer z uśmiechem na ustach, ale gdy skończył, nagle uświadomił sobie, że to nie może chodzić o jakieś głupstwo. Gdyby Okoń gdzieś narozrabiał, to zajęłaby się nim żandarmeria wojskowa. Tymczasem, jak powiedział Ryś, zresztą stary frontowy kumpel Okonia, zadzwoniono do niego z Prezydium Policji. A Policja nie zajmowała się żołnierzami, chyba że...

– Mów szybko, co się stało?

– Powiadali mi, że znaleźli Okonia w bramie kamienicy przy placu Sapieżyńskim.

– Jak to – znaleźli?

– Znaleźli, bo leżał na bruku, znaczy w bramie z raną brzucha.

– Postrzał w brzuch?

– Nie, panie kapitanie. Ktoś go dziabnął nożem.

– Żyje?

– Powiadali, że jeszcze dycha, ale czy przeżyje, to ja nie wiem.

– Gdzie go zabrali?

– Szpital wojskowy na Libelta.

– Jedziemy! – zdecydował natychmiast Fischer i szybko ruszył na ulicę. Ryś podążył za nim. Mieli szczęście. Akurat od strony Berwińskiego nadjeżdżała drynda. Fischer machnął ręką i dorożkarz natychmiast zatrzymał konia. Obaj policjanci wskoczyli na miejsce dla pasażerów.

Godzina 2.30 po południu

Tolek, który stał oparty o ścianę kamienicy numer sześćdziesiąt osiem, dostrzegł Fischera wychodzącego z parkowej bramy. Natychmiast wyprostował się zadowolony, że jego czekanie nie poszło na marne. Zaraz jednak zobaczył, że za komisarzem biegnie jakiś policjant w mundurze. Nim Tolek zdążył się zastanowić, co ma teraz robić, bo nie bardzo chciał rozmawiać z Fischerem w obecności jakiegoś innego szkieła, ich widok przysłoniła mu dorożka. Zdążył tylko zauważyć, że obaj policjanci ładują się na siedzenie i drynda odjeżdża w kierunku Grunwaldzkiej. Co było robić? Pewnie nie da rady zobaczyć się już dziś z komisarzem, bo przecież nie spędzi tutaj całego dnia, tym bardziej że stróż z tej kamienicy już kilka razy przechodził koło niego niby to zajęty zamiataniem chodnika. Nic na to nie poradzi. Trzeba będzie tu przyjść jutro z rana. Poprawił kaszkiet na głowie, ręce wsadził do kieszeni i ruszył w kierunku parkowej bramy, bo przez park najbliższej było, jeśli chciało się dojść w okolice dworca kolejowego. A Tolek doszedł do wniosku, że tam właśnie powinien się teraz znaleźć. Wydobył z kieszeni zegarek i spojrzął na cyferblat. Była minuta po pół do trzeciej. Miał więc jeszcze niemal godzinę. O trzeciej dwadzieścia pięć odchodził bowiem z dworca głównego pociąg do Chodzieży i dalej do stacji Schneidemühl w Niemczech. Gdy szedł tutaj, na Matejki, żeby zobaczyć się z komisarzem, przypomniał sobie, co o tym bandycie Bauerze mówił mu Gienas. Facet miał mieszkać w Pile, która po niemiecku nazywała się właśnie Schneidemühl. Dlatego, pomyślał sobie, skoro jemu pali się grunt pod nogami, to pewnie będzie chciał dać dyla do Niemiec. Każdy normalny człowiek by tak zrobił. No więc skoro nie miał innego wyjścia, bo po zabiciu Gienasa musiał przecież wiedzieć, że Tolek nie spocznie, dopóki go nie dopadnie, najpewniej będzie chciał uciec za granicę. W Poznaniu nie było takiej dziury, w której mógłby się spokojnie ukryć przed Tolkiem, więc pozostawały tylko Niemcy. Dlatego Tolek, idąc tutaj, zaszedł na dworzec i sprawdził sobie na tablicy odjazdów wszystkie pociągi do Schneidemühl. Nie było ich wiele. Poranny odchodził o ósmej dziesięć, więc na ten nie miał żadnych szans zdążyć. Kolejny to był właśnie ten przed pół do czwartej. Był jeszcze jeden nocny, który jechał

krótko przed północą, więc jeśli by nie jechał tym najbliższym, pozostawał tylko jeszcze jeden do sprawdzenia. Jednak Tolek miał nadzieję, że dopadnie tego spryciarza właśnie teraz. Liczył na to, że zrobią to razem z policjantem, no, ale skoro ten miał ważniejsze sprawy na głowie, musiał działać sam. Jeszcze raz spojrzął na ten piękny posrebrzany zegarek, który zabrał z kieszeni nieżyjącego Gienasa. Nie miał żadnych wyrzutów sumienia w związku z tym przywłaszczeniem. Skoro Gienasowi nie był już potrzebny, to on zrobi z niego dobry pożytek. Zresztą kompan zapewne wolałby, żeby jego dziedzictwo trafiło w ręce jakiegoś porządnego człowieka, a nie przypadkowego szkieła albo nie daj Boże jakiegoś szuszwola z zakładu pogrzebowego. Włożył zegarek do kieszonki swojej wiśniowej westki i ruszył dziarsko przez park, podążając wzdłuż szklanych ścian Palmiarni. Nigdy nie był tam w środku, ale też specjalnie go tam nie ciągnęło. Bo co może być ciekawego w jakichś roślinach? Po chwili był już na ulicy Parkowej, która krzyżowała się ze Śniadeckich. To właśnie przy tej ulicy znajdował się żydowski cmentarz. Przez niego prowadziła najkrótsza droga do Dworca Łazarskiego. Nie było tu normalnego przejścia, tylko zamykana na klucz stalowa furтка, która służyła wyłącznie osobom odpowiedzialnym za opiekę nad cmentarzem. Mimo że była zamknięta, Tolek nie miał zamiaru nadkładać drogi i iść dookoła. Obecność nieboszczyków nie przeszkadzała mu w żaden sposób, więc pomyślał, że i on pewnie nie będzie im przeszkadzał. Wspiął się szybko na ceglany mur i przeskoczył na drugą stronę. Gdy znalazł się między macewami, na porośniętej wiekowymi drzewami alejce, zdjął czapkę, ale zaraz uświadomił sobie, że to cmentarz żydowski, więc wcisnął ją z powrotem na głowę. Na wszelki wypadek przyśpieszył kroku. Nie, żeby się bał, ale po co kusić лихо. Gdy w końcu znalazł się na ulicy Marszałka Focha, odczuł pewną ulgę. Splunął przez ramię, bo jak każdy człowiek wiedział, że to najlepiej pomaga i chroni od wszelkich uroków i dopiero odprawivszy ten rytuał, skierował się w stronę nieodległego dworca.

Wcześniej sprawdził, że pociąg, który go interesuje, odjedzie z peronu szóstego. Kupił więc bilet peronowy, który pozwalał wejść na dworzec osobie bez ważnego biletu na podróż i dzięki temu całkiem legalnie mógł pójść od razu na ten peron. I – jak się wkrótce okazało – dobrze, że poszedł. Pojawił się tam akurat w momencie, gdy podstawiano wagony.

Dowiedział się od kolejarza, który pilnował tego podstawienia na peronie, że to te do Schneidemühl. Wyraźnie zainteresowanemu pasażerowi wyjaśnił, zresztą bardzo chętnie, że do takiego międzynarodowego pociągu wagony podstawia się przynajmniej godzinę wcześniej, żeby wiara, co ma przesiadkę i przyjechała wcześniej z innych kierunków, mogła już złożyć w nim bagaże i pójść se co zjeść do restauracji. Na myśl o restauracji poczuł głód, jednak za nic w świecie nie mógł opuścić peronu. Poszedł więc do peronowego kiosku gastronomicznego, w którym sprzedawano napoje i przekąski. Jako że w tej chwili dzięki pieniądзом zdobyтым od Bauera był człowiekiem mającym, kupił sobie bułkę z kotлетem schabowym i piwo. Tak zaopatrzony usiadł na najbliższej ławce, z której rozciągał się doskonały widok na peron, a przede wszystkim na schody prowadzące z podziemnego przejścia. Był pewien, że jeśli tylko Bauer pojawi się tutaj, wypatrzy go natychmiast.

Na peron co chwila wynurzali się bagażowi z wózkami wyładowanymi walizkami i kuframi. Z biletem w dłoni szukali wagonów, by zapakować bagaż do odpowiednich przedziałów. Te lepsze bagaże, bogatszych podróżnych, do wagonów pierwszej, a te mniej eleganckie do drugiej klasy. Wagonów klasy trzeciej w tym pociągu nie było wcale. W końcu to był pociąg międzynarodowy, który stawał tylko na większych stacjach, takich jak Oborniki czy Rogoźno, więc hołota takim nie jeździła. Gdy do odjazdu zostało jakieś pół godziny, na peronie zaczęli pojawiać się pasażerowie. Szukali swoich miejsc, wypatrywali bagażowych i kierownika pociągu, po czym znikali w swoich przedziałach. Pociąg powoli wypełniał się ludźmi, a peron tymi, którzy ich odprowadzali. Z okien wychylały się głowy, widać też było ręce z chustkami do machania tym, którzy zostawali na miejscu. Po peronie uwijali się handlarze z zawieszonymi na szyi drewnianymi miniaturowymi ładami, na których rozkładali swój towar, czyli papierosy i tytki ze słonecznikiem do łuskania, rodzynekami w czekoladzie i kolorowymi landrynkami. Mali gazeciarze oferowali świeże, pachnące jeszcze farbą drukarską popołudniówki, a patrol żandarmerii wojskowej lustrował uważnie wszystkich, tak na wszelki wypadek, jak gdyby wśród pasażerów mógł się pojawić ktoś w wojskowym mundurze, kto chciałby urwać się do domu bez przepustki.

Nagle dostrzegł go. Willy Bauer w czapce z daszkiem, mocno nasadzonej na zabandażowaną głowę, wszedł na peron. Nie podszedł jednak do pociągu. Stał przy balustradzie przejścia podziemnego i zapalił papierosa. Chciał sprawiać wrażenie człowieka obojętnego na wszystko, co dzieje się wokół, jednak Tolek zauważył, że rozgląda się ukradkiem dookoła. Nie mógł jednak dostrzec Grubińskiego, bo ławka, na której siedział, znajdowała się za jego plecami. Gdyby się odwrócił, była jakaś szansa, że mógłby go dojrzeć, dlatego Tolek podniósł się ze swojego miejsca i poszedł za budkę z jedzeniem. Stał z boku, plecami do głównego budynku dworca. Teraz miał Bauera nieco na prawo od siebie, jednak doskonale widocznego przez szybę wystawową kiosku.

Willy Bauer wyglądał jak ktoś, kto przyszedł tu pożegnać kogoś, kto odjeżdża tym pociągiem. Nie miał ze sobą żadnego bagażu i jakoś nie kwapił się do zajmowania miejsca. Do odjazdu zostało już zaledwie pięć minut, a on cały czas stał na peronie, nie ruszając się z miejsca. W pewnej chwili obok niego zatrzymał się człowiek w czarnym płaszczu i kapeluszu na głowie. Twarz miał zarośniętą, ale nie była to wypiełgnowana broda i wąsy, raczej kilkuniedniowy niedbały zarost. Mężczyzna stanął przy barierce, o którą oparty był Bauer, a swoją elegancką skórzaną walizkę postawił na chodniku pomiędzy sobą a Bauerem. Z kieszeni płaszcza wydobył paczkę papierosów i zapalił. Tymczasem Willy rzucił swój niedopałek na tory i jak gdyby nigdy nic chwycił walizkę, uniósł ją i wolnym krokiem ruszył w kierunku pociągu. Podszedł do wagonu drugiej klasy. To był pulmanowski wagon, więc miał przedziały z wygodnymi miękkimi kanapami, a wejścia do niego znajdowały się z podestów mieszczących się z jednej i z drugiej strony wagonu. Bauer wspiął się wolno na podest. Ten od walizki, upewniwszy się, że człowiek z jego walizką wsiadł do pociągu, cisnął niedopałek, a potem obszedł balustradę i po chwili zniknął w tunelu.

Tolek spojrzął na peronowy zegar. Do odjazdu zostały zaledwie trzy minuty. Nie było na co czekać. Ruszył biegiem w kierunku drugiego wejścia do wagonu. Wskoczył na podest, otworzył drzwi i po chwili znalazł się w przedsionku korytarzyka. Wyrzwał przez oszklone drzwi na ten wąski korytarz, z którego można było wejść do przedziałów. Bauera nigdzie nie było. Pewnie już wszedł do przedziału. Ruszył więc przed siebie, zaglądając po kolei do każdego. W przedziałach siedzieli już

ludzie, czekający na odjazd pociągu. Większość jadła sznytki, zagryzając je obranymi ze skorupki jajkami i popijając oranżadą lub piwem. Ale żadną z tych osób nie był Bauer. Doszedł do końca wagonu, do drzwi wychodzących na zewnętrzny pomost. Na pomoście też go nie było. Odwrócił się. Były tu jeszcze jedne drzwi, które prowadziły do ubikacji. Spojrzał na klamkę. Pod nią był niewielki otwór, który w przypadku zablokowania drzwi od środka powinna zaślepić czerwona blaszka. Była tam. Ktoś siedział w wychodku. Niewiele się zastanawiając, Tolek energicznie zapukał.

– Zaraz! – zawołał ktoś zza drzwi. – Zabrania się używać ustępu podczas postoju pociągu na stacji – powiedział Tolek, przyjmując poważny urzędowy ton, tak jakby to mówił kolejarz.

– Już wyłażę – odparł ten ze środka.

Tolek spojrział na peronowy zegar, który widać było przez okno. Do odjazdu została minuta. Zamek szczęknął i drzwi powoli zaczęły się otwierać. W szparze pojawiła się głowa Bauera. Nie spodziewał się zupełnie tego, co nastąpiło. Podkuty but Grubińskiego wylądował na drzwiach, które z impetem uderzyły w mężczyznę za nimi. Uderzenie pozbawiło go równowagi i pchnęło na przeciwległą ścianę ubikacji. Tolek wskoczył natychmiast do środka, jednocześnie wyciągając z kieszeni swój nóż. Ostrze na sprężynie otworzyło się z lekkim trzaskiem. Lewą ręką chwycił go za twarz, jednocześnie całym ciężarem ciała przycisnął go do ściany. Przerażony Bauer chciał coś powiedzieć, jednak wielka łapa Tolka ścisnęła go mocno.

– To, bydlaku, za Jadźkę – wyszczał mu prosto w twarz, a potem wbił nóż w brzuch. Zaraz wyrwał ostrze i wbił jeszcze raz, tak na wszelki wypadek. Oczy Willy'ego Bauera pokryły się mgłą. Mężczyzna osunął się po ścianie na podłogę. Tolek popatrzył na niego przez chwilę, upewniając się, że robota została dobrze wykonana, potem wytarł ostrze o płaszczyznę nieboszczyka i schował sprężynowca do kieszeni. Odwrócił się, by wyjść z ubikacji, i wtedy dostrzegł na podłodze tę elegancką walizkę. Wiele się nie zastanawiając, chwycił ją za rączkę i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Na wszelki wypadek zamknął je jeszcze od zewnątrz scyzorykiem, tak by wyglądało, jakby ktoś cały czas siedział zamknięty w ubikacji. Dzięki temu trupa odkryją dopiero za jakiś czas, gdy zniecierpliwiony konduktor wreszcie zdecyduje się otworzyć drzwi od zewnątrz. Z peronu

dobiegł odgłos gwizdka zawiadowcy. Odpowiedział mu głośny i głęboki gwizd parowego gwizdka lokomotywy, która szarpnęła wagonami. Tolek wyszedł na pomost i spojrzał na peron. Stało na nim kilkanaście osób, machających do odjeżdżających bliskich, był też zawiadowca w czerwonej rogatywce i dwóch wojskowych żandarmów. Odwrócił się i zeskoczył na tor po drugiej stronie pociągu, a potem szybko wspiął się na peron przylegający do Dworca Łazarskiego. Tu było zupełnie pusto, więc jego ucieczka z pociągu nie mogła nikogo zainteresować. Wolał wyjść z tej strony, bo gdyby wyskoczył na peron, ludzie mogliby go wziąć za złodzieja, który ucieka z wagonu z ukradzioną walizką. A ta, którą miał w ręce, nie była wcale kradziona. Wziął ją, bo temu bydlakowi nie była już przecież do niczego potrzebna.

Wyszedł na ulicę przed dworcem. Jak zwykle przed wejściem do tego niewielkiego budynku kręciło się sporo ludzi. Na ulicy, tuż przy chodniku, stało kilkanaście dorożek oczekujących na pasażerów, którzy chcieliby wygodnie dojechać do centrum miasta. Dorożkarze zbici w kilkusobową grupkę o czymś zaciekle dyskutowali. Nie słychać było, o czym mówią, ale sądząc po ożywionej gestykulacji, pewnie musieli sprzeczać się o jakieś polityczne kwestie.

Tolek przez chwilę zastanawiał się, czy aby nie wziąć dorożki. W końcu było go na nią stać. Ruszył więc w tamtym kierunku i mało brakowało, a zderzyłby się z jakimś jegomościem.

– Jak łazisz, chłelero jedna – warknął.

Mężczyzna uchylił tylko kapelusza, nie przeprosiwszy nawet i zaraz ruszył przed siebie w kierunku ogromnego budynku poczty. Tolek poczuł, że robi mu się zimno. To był ten facet od walizki! Popatrzył na dorożki i na oddalającego się człowieka. A co tam – pomyślał – wiedza zawsze może się przydać. – Podjął decyzję i poszedł w ślad za nim.

Godzina 3.00 po południu

- Jak to nie można? Przecież ja muszę z nim pogadać.
- Chce go pan zabić?
- Ten, co go chciał zabić, już to zrobił. Ja teraz muszę tylko wiedzieć,

kto to był. Ale tego się nie dowiem, jeśli będzie się pan upierał. Muszę z nim pogadać i już.

We trzech stali w obszernym szpitalnym korytarzu, którego ściany pomalowano na kremowy kolor, mniej więcej do wysokości wzrostu dorosłego mężczyzny. Powyżej użyto białej kredy aż do samego łukowato sklepionego sufitu. Wszędzie panowała cisza, tak że podniesiony głos Fischera niósł się daleko po całej szpitalnej przestrzeni.

Lekarz, szczupły pięćdziesięciolatek o wysokim czole, z pomarszczoną twarzą ozdobioną siwą kocią bródką i w okrągłych drucianych okularach, podrapał się za uchem. Fischer natychmiast wyczuł wahanie w jego dotąd nieugiętej postawie.

– Panie majorze – zaatakował z flanki pojednawczym tonem – pan jako wojskowy musi to zrozumieć lepiej niż ktokolwiek inny. – Nasz żołnierz został ranny na posterunku. Można nawet powiedzieć, że odniósł ranę podczas bitwy, w trakcie której udało mu się poznać plany wroga. Ale żeby jego poświęcenie nie poszło na marne, te plany trzeba dostarczyć jeszcze do sztabu. Ja tu właśnie jestem dziś wysłannikiem naszego sztabu.

– Naprawdę? – lekarz major Wagner spojrzał uważnie na Fischera. – Przecież pan jesteście z Policji.

– Kapitan rezerwy Antoni Fischer, a to sierżant rezerwy Erwin Ryś. Obaj z jesteście z pięćdziesiątego siódmego pułku piechoty.

Tym razem Wagner pogładził się po brodzie, przez dłuższą chwilę toczył wewnętrzną walkę, by w końcu podjąć decyzję.

– Panie kapitanie Fischer, ten sierżant ma bardzo poważną ranę kłutą brzucha. Nie wiemy jeszcze, jakie są wewnętrzne obrażenia, ale śmiem twierdzić, że są dość poważne i mogą nawet doprowadzić do zgonu. W tej chwili przygotowywana jest sala operacyjna i sądzę, że w ciągu dziesięciu minut, najdalej kwadransa, zaczniemy operację. Pacjent jest w tej chwili do niej przygotowwany. Jeśli okaże się, że jest przytomny, dam panu pięć minut na rozmowę. Więcej nie mogę.

Fischer uśmiechnął się, a prawa ręka sama powędrowała do góry, tak jakby chciał zsalutować. W porę jednak przypomniał sobie, że nie jest w mundurze, ale w ubraniu cywilnym.

– Dziękuję, panie doktorze.

– Mnie pan nie dziękuj. Cywila bym nie wpuścił, ale jakżeś pan

wojskowy, to inna rozmowa.

– Niemniej jednak dziękuję.

Wagner machnął ręką, jakby się opędzał od natrętnej muchy.

– Ale nie myśl pan, że będziesz miał tam spokój. Nie ma zgody na separację. Pacjenta się myje i przygotowuje. Sanitariusze będą robić swoje.

– Niech robią, co mi tam. Grunt, żeby z nim tylko pogadać.

Major skinął głową i ruszył przed siebie. Dwaj policjanci ruszyli za nim. Po chwili zatrzymali się przed przeszklonymi drzwiami ozdobionymi tabliczką „Oddział operacyjny”.

Lekarz pchnął drzwi i wszedł do środka.

– Marysia! – krzyknął głośno lekarz. – Gdzież jest to niesforne dziewczuszko?

Dziewuszko, może dwudziestopięcioletnie, o sympatycznej buzi, w pielęgniarskim czepku i długim białym fartuchu, wyłoniło się z pokoju po lewej stronie korytarzyka.

– Tak, panie doktorze – powiedziała z uśmiechem, który zaraz zamarł, gdy dostrzegła cywila i policjanta.

– Dawaj no zaraz fartuch lekarski dla kapitana. Pan przodownik siada tutaj i czeka – mówiąc to, wskazał krzesło stojące pod ścianą. Ryś, przywykły do rozkazów wydawanych przez oficerów, ani myślał się sprzeciwiać. Siadł zaraz, jak mu kazano. Marysia tymczasem przyniosła fartuch i odebrała od Fischera jego płaszcz i kapelusz. Przebrał się szybko i zaraz ruszył za coraz bardziej zniecierpliwionym lekarzem. Ten po chwili zatrzymał się i spojrzał twardo na policjanta.

– Pięć minut – przypomniał i pogroził mu palcem na wszelki wypadek. Pchnął wahadłowe drzwi.

Na sali operacyjnej było już kilka osób. Pielęgniarka instrumentariuszka rozkładała na metalowym stoliku parujące od gorąca narzędzia, które szczypcami wydobywała z ocynkowanej brytfanny. Dwaj sanitariusze, pochyleni nad ciałem leżącym na stole operacyjnym, przykrywali je właśnie białą płachtą z wyciętym kwadratowym otworem. Ktoś mierzył leżącemu puls, a jeszcze inny wbijał mu w żyłę na przegubie lewej ręki ogromną igłę strzykawki. Wszyscy jak na komendę spojrzeli na wchodzących.

– Doktorze Koziół, jak pacjent?

Ten od pulsu spojrział na Wagnera i uśmiechnął się krzywo.

– Puls kiepski.

– Aha. A przytomny jest?

– Od czasu do czasu na chwilę odzyskuje przytomność, ale zaraz jak tylko pan doktor będzie gotowy zaczynamy podawać chloroform.

– Grupa krwi oznaczona?

– Tak jest.

– To na co czekacie? Podawać mu, ale już – zarządził major. Młody lekarz wybiegł natychmiast z operacyjnej. Wagner klepnął w plecy Fischera.

– No, idź pan do niego. Ja idę myć ręce. Możesz pan gadać, ile chcesz, ale tylko do czasu aż tu wrócę. Wtedy zaczniemy operację i go uspimy.

Fischer skinął głową i natychmiast podszedł do Okonia. Ten miał zamknięte oczy. Policjant przez chwilę stał, patrząc na tę znajomą, a teraz jakby zapadłą w sobie i zmienioną przez cierpienie twarz starego żołnierza.

– Damy radę, panie kapitanie – wyszeptał Okoń.

Fischer pochylił się, żeby słyszeć każde słowo.

– Zawsze dawaliśmy radę. Tym razem też.

– A pamięta pan, jakeśmy się cofali na Warszawę?

– Pamiętam, ale ty nie gadaj za dużo. Musisz mieć siły...

– Wtedy tam przy tym mostku. Jaka to była rzeka?

– Narew.

– No właśnie, Narew...

Fischer dobrze pamiętał ten most i zadanie, jakie otrzymali. Mieli bronić przyczółka tak długo, jak się tylko da, żeby jak najwięcej naszych żołnierzy wycofujących się w kierunku Warszawy zdołało przeprowić się przed nacierającymi oddziałami bolszewików. Most był zaminowany i należało wysadzić go w ostatnim możliwym momencie. Po jednej i drugiej stronie za workami z piaskiem znajdowały się stanowiska naszych karabinów maszynowych. Droga wypełniona była po brzegi wojskiem i taborami. Fischer stał z lornetką przy oczach i śledził przedpole. Tłum ciągnący drogą coraz bardziej się przerzedzał. W odległości może kilometra dostrzegł ciągnięty przez dwa konie przodek z armatą polową, a obok niego biegnącą kilkusobową grupę kanonierów. Za nimi nie było już nikogo. Na prawo od drogi, na

piaszczystej skarpie, rósł sosnowy las. Pomyślał wtedy, że gdyby był dowódcą bolszewików, już dawno siedziałby w tym lesie i czekał na sprzyjającą okazję do ataku. Droga powoli pustoszała. Jeszcze tylko kilkanaście wozów z rannymi, kilkudziesięciu piechociarzy i kilku ułanów na koniach. Dowódca przeredzonego szwadronu podjechał do miejsca, w którym stał Fischer.

– Pan tu dowodzi? – zapytał nie zsiadając z konia.

– Ja – odpowiedział niedbale Fischer, dostrzegając dystynkcje podporucznika.

– Podporucznik Karpiński. Za chwilę powinna dołączyć do nas reszta szwadronu. Poczekamy tu na nich.

– Proszę bardzo, nie mam nic przeciwko temu.

– Dziękuję.

– Witamy więc na naszych włościach. A czemu to nie wróciliście wszyscy razem? – zapytał młodego podporucznika.

– Myśmy rozpoznawali teren dokładnie na wschód stąd, a wachmistrz Kalinowski pojechał na północ.

Nagle Fischerowi przyszedł do głowy pewien pomysł.

– Widzi pan ten las po prawej stronie? – zapytał, wskazując głową zadrzewioną skarpe.

– Oczywiście – potwierdził podporucznik, spoglądając we wskazanym kierunku.

– A może podjechałby pan tam ze swoimi ludźmi i przeczesał te zarośla. Jeśli tam zaległ jakiś kacapski zwiad, to go pan wykurzy tu na to pole, a my wygarniemy z naszych ckm-ów.

Podporucznik wyszczerzył zęby w morderczym uśmiechu.

– Pogonimy na wprost ku wracającym naszym, zatoczmy koło i wjedziemy na nich od tyłu. Oczywiście, jeżeli tam są.

– Jak ich nie ma to, będzie pan miał miłą przejażdżkę, a jak są, to... sam pan wie...

– Tylko ostrożnie z tymi ckm-ami. Wylecimy z lasu na ich karkach chwilę za nimi.

– Spokojna głowa. Jak znajdą się na polu, będziemy siec do czasu aż pierwszy ułan nie zjedzie ze skarpy.

Podporucznik wydobył szablę z pochwy, zasalutował do hełmu, a potem, przywoławszy swoich ludzi, ruszył kłusem. Po minucie po

ułanach został tylko tuman kurzu na drodze. Artylerzyści z armatą dopadli mostu. Chcieli przejechać na drugi brzeg, ale Fischer zatrzymał sierżanta dowodzącego działaniem i kazał mu odprzodkować armatę i zająć pozycję na skraju drogi, po lewej stronie. Zmęczeni kanonierzy, chcąc nie chcąc, musieli wykonać rozkaz. W ciągu kilku minut działo było gotowe do walki. Problem w tym, że mieli zaledwie dwanaście pocisków.

– Dobrze i to – powiedział do meldującego gotowość sierżanta artylerzysty. Wasze dwanaście i nasze ckm-y to już prawdziwa reduta.

I wtedy zobaczył to, czego się obawiał. W oddali, gdzieś tam na końcu tej wijącej się drogi, dostrzegł wzbijającą w górę tumany kurzu kawalkadę wozów, ludzi i zwierząt. Okoliczni chłopci, przemieszani z żołnierzami, zapewne ewakuowali w pośpiechu którąś z okolicznych wiosek.

– Łe, tej – jęknął kapral Okoń, widząc nadciągającą ludzką mizериę uciekającą przed napierającym bolszewikiem. – Jak za nimi są Ruskie, to już po nich. Za diabła nie zdążą!

– Nie pierdol, Okoń – zdenerwował się Fischer, któremu najmniej potrzeba było teraz biadolenia. – Po to nam Bóg zesłał ułanów, żeby dla nich drogę utorować.

– A co tam ułani, panie poruczniku. Jak się nie pośpieszą, to ich kozaki rozniesą na szablach.

Trudno się było nie zgodzić z trzeźwą oceną Okonia. On zawsze wiedział, jak podejść do rzeczywistości. Byle tym razem się mylił.

W lesie na prawo rozległy się strzały, a zaraz potem gromkie hurra! Krzyki przemieszane z palbą karabinową, rżeniem koni i jękami umierających ludzi po chwili ucichły i nagle ze skarpy zaczęli się staczać na łeb na szyję ludzie w zgniłozielonych szynelach. Uciekali, jakby ich sam szatan gonił, gubiąc karabiny i czapki. Biegli wprost pod lufy ckm-ów z mostu.

Gdy pole zaroilo się od bolszewickich żołdatów, Fischer dał rozkaz ognia. Ciężkie karabiny pluły kulami dokładnie trzydzieści sekund. Gdy kazał przerwać ostrzał, z lasu wypadli ułani, którzy dopełnili dzieła zniszczenia. Pierwsze wozy chłopskiego konwoju dotarły do mostu. Zaraz za nimi podjechali ułani. Przed mostem zrobił się zator, bo przez tę drewnianą konstrukcję mogły obok siebie przejeżdżać zaledwie dwie furmanki. Fischer patrzył na to z wysokości reduty ułożonej z worków

wypełnionych piaskiem.

Całe przedpole jakby zamarło. Tylko w niektórych miejscach, tam z prawej, na polu pod lasem, gdzieś poruszał się jakiś ranny bolszewik. A przy moście ułani z wysokości swoich siodeł próbowali uporządkować ruch wozów. Tymczasem Okoń wraz z dwójką innych podoficerów – Olkiewiczem i Hildebrandtem – wyciągali z tłumu maruderów z rozbitych oddziałów i naprędce formowali z nich drużyny do wsparcia obrony mostu. Tymczasem dowódca szwadronu ułanów podjechał do punktu obserwacyjnego Fischera.

– Moi już w komplecie. Zgarnąłem po drodze mój patrol.

Fischer usiadł na stercie worków.

– I jakie wieści? Gdzie bolszewicy?

– Wachmistrz natknął się na ich czołówkę jakieś dwa kilometry stąd.

– Idą na nas?

– Prosto drogą, jak w pysk strzelił. Ani się obejrzymy, jak ci zasrańce tu będą. Powiem panu, że teraz wreszcie rozumiem, co Sienkiewicz miał na myśli, pisząc o czerni wylewającej się na pola.

Fischer w dupie miał Sienkiewicza i rozmowy o literaturze. Interesowało go co tu i teraz.

– A między nimi a nami?

– Pusto, jakby wszystkich wywiało. Może pan kończyć tu robotę.

– Nie mogę, panie kolego. Tak odejść bez walki? Byłoby niehonorowo. Wyrzniemy, ilu się da i wtedy chodu.

– Już krwi im utoczyliśmy dzisiaj. A swoją drogą skąd pan wiedział, że ci siedzą tam na wzgórzu?

– Intuicja – odpowiedział Fischer, szczerząc zęby. – Jakbym był na ich miejscu sam bym tam zaległ.

– Panie poruczniku! – podbiegł do nich kapral Anastazy Olkiewicz. – Pan patrzy tam! – Wskazał ręką na odległy koniec drogi, który pokrył się ogromnym tumanem kurzu. – Idą skurwysyny pierdolone, panie poruczniku.

Ostatnia furmanka wyładowana dobytkiem jakiejś chłopskiej rodziny wjechała na most. Fischer zeskoczył na ziemię.

– Szykować się. Ckm-y ogień na mój rozkaz dopiero jak podejda bliżej. Hej, wy tam od tej armaty!

Dowódca artylerzystów natychmiast podbiegł do Fischera.

– Rychtować armatę! Otwierajcie ogień bez rozkazu, w chwili gdy odległość będzie idealna do skutecznego wystrzału. Jak skończą się wam pociski, zmiatać z armatą na drugi brzeg.

– Szwadron z koni! Konie za rzekę! – wydał rozkaz podporucznik.

– A pan co? – zdziwiony Fischer spojrzał na niego.

– Jak to co? Chciałby się pan sam tu zabawiać? Nie ma mowy. Zostajemy.

Fischer klepnął go w ramię.

– Niech się kładą po obu stronach mostu, byle nie za daleko, żeby zdążyli się wycofać jak będziemy dawać stąd nogę.

Ułani pobiegli zaraz zająć pozycję. Porucznik podszedł do swoich podoficerów.

– No jak, panowie, galoty pełne?

– Ruskie jak najbardziej panie poruczniku. Ale nasze? Niby że po czym? Przecie my nawet jeszcze dziś nic nie futrowali – wyjaśnił Okoń.

– Ha, ha, no to i dobrze. W razie rany brzucha lepiej mieć bebechy nienapchane.

– Ale wódeczka chyba nie przeszkadza? – powiedział kapral Olkiewicz, odczepiając od pasa swoją manierkę. – Łyczek przed bitwą jeszcze nikomu nie zaszkodził.

Podał manierkę Fischerowi. Ten skinął głową, wziął ją do ręki i pociągnął solidny łyk. Momentalnie poczuł ogień w gardle.

– Niech was cholera jasna weźmie Olkiewicz. Przecież to czysty spirytus!

– Coś takiego – zdziwiony kapral wziął ostrożnie manierkę i podsunął ją do nosa. – Rzeczywiście spiryt. To dlatego temu kacapowi musiałem odrąbać łapę, nim puścił manierkę. O wódkę by tak nie walczył.

Pierwszy wystrzał z polskiej armaty targnął powietrzem.

– Pamięta pan Olkiewicza?

Fischer skinął głową.

– Oczywiście, że pamiętam. Wtedy, tam na moście dostał postrzał w brzuch.

– Wylizał się cholernik. Może przez ten spirytus?

– Też się wylizesz. Zaraz cię pozszywają i będziesz jak nowy.

– Głupio tak od swojego dostać w kałynd.

– Od swojego? Kto to zrobił?

- Podporucznik Karpiński.
Komisarz zagryzł wargi.
- Dopadnę skurwysyna. Możesz być pewien.
- Komisarzu, dość tych pogaduszek – odezwał się zza jego pleców chirurg.
- A wie pan, pisał do mnie Olkiewicz. Pracuje w policji, gdzieś pod Zamościem.
- To wracaj do zdrowia, żebyśmy mogli razem z Olkiewiczem wypić butelkę spirytusu.

Godzina 4.30 po południu

Kryśka leżała na łóżku zwinięta w kłębek i cała się trzęsła. Po jej posiniaczonych policzkach spływały łzy. Biała pościel była pomięta i zakrwawiona. Sukienka, ta w kwiatki, którą włożyła specjalnie dla Tolka, żeby zrobić na nim jak najlepsze wrażenie, leżała rozdarta na podłodze. Ale Kryśka nie myślała wcale o tej sukience. Myślała o tym, co zrobi Tolek, jak wróci do domu. Myśli przelatywały jej przez głowę z prędkością wystrzałów z karabinu maszynowego, ale żadna nie zatrzymywała się na dłużej. Wpadały i wylatywały, bo nie pozwalał im się tam zagnieździć potworny strach. Bała się, że to, co miała przez te kilka dni, to największe szczęście jej życia, za chwilę pęknie jak bańka mydlana. Bo co zrobi Tolek, jak przyjdzie i ją zobaczy? Przecież on może powiedzieć, że nie chce mieć z nią nic wspólnego. A jeszcze kilka godzin temu była taka szczęśliwa. Teraz powoli zapadała się w czarną otchłań rozpaczy.

Gdy rano Tolek wyszedł z domu, zaraz zabrała się do roboty. Wysprzątała cały pokój, dokładnie wyszorowała podłogę, a potem zupełnie sama zsunęła ze sobą dwa łóżka. W ten sposób powstało coś na kształt łoża małżeńskiego, choć to łóżko po Jadźce było nieco niższe od jej łóżka. No, ale w końcu co to za problem? Ona będzie spała na swoim, Tolek na tym drugim i będzie im wygodnie, a gdy będą chcieli się potulić, to ona przejdzie do niego albo on do niej. Głupia była, że od razu nie chciała się na to zgodzić. Jakoś nie mogła się przemóc, by używać pościel

Jadźki. No, ale wczoraj się przemogła i zdjęła tę pościel, a później całą razem ze swoją wyprała w gorącej wodzie z mydłem. Pościel wyschła na strychu, a potem świeża i pachnąca została nałożona na siennik, a poszwa naciągnięta na koc. Teraz oba łóżka prezentowały się całkiem przyzwoicie i Kryśka byłaby całkowicie usatysfakcjonowana, gdyby ta pościel była choć wyprasowana, bo o krochmaleniu i maglowaniu zwyczajnie nie mogła nawet pomyśleć. W maglu na Chwaliszewie za jedną poszwę brali aż dwieście pięćdziesiąt tysięcy, czyli tyle, ile za ćwiartkę chleba. Wolała wydać na chleb i spać w pogniecionej pościeli. Może w przyszłości, gdy przeprowadzą się już do nowego mieszkania, namówi Tolka, żeby kupił żelazko, to wtedy mogłaby prasować sama. Ale na razie nie było o czym gadać. Nawet jakby miała żelazko to i tak nie miała pieca, żeby rozgrzać duszę. Na takie luksusy musiała więc jeszcze poczekać. Tolek powiedział, że da się coś zrobić z tym większym mieszkaniem i dlatego była przekonana, że tak będzie. Jak on sobie co postanowi, to musi to przeprowadzić do końca. Taki już był z niego człowiek. Dziwiła się nawet, że wcześniej się na nim nie poznała. Dopiero śmierć Jadźki zbliżyła ich do siebie, wcześniej nie zwracali na siebie większej uwagi. Ot, znali się i tyle. Ale wtedy nawet nie pomyślała, że mogłaby się z nim związać. Wcale nie myślała o związku z jakimś mężczyzną, choć po cichu, w głębi serca, zawsze o czymś takim marzyła. No i teraz te jej marzenia zupełnie niespodziewanie się ziściły. Postanowiła sobie, że zrobi wszystko, żeby go nie zawieść i żeby on nigdy nie nabrał chęci, żeby ją zostawić. Zastanawiała się tylko, co jeszcze może zrobić? To, że będzie mu gotować, gdy już się przeprowadzą, to było coś, czym chciała go ze sobą bardziej związać. Bo który chłop oprze się ciepłemu obiadowi podanemu codziennie na czystym obrusie? Ale może potrzeba czegoś jeszcze? Może powinna pomyśleć o dzieciaku? W końcu gdyby Tolek został ojcem, to już na pewno nie zostawiłby jej i dziecka. Byliby związani na całe życie. No, ale z tym to chyba jednak trzeba będzie jeszcze trochę poczekać. Może jakieś dwa miesiące wystarczą? Ten czas był potrzebny, żeby potem Tolek nie miał żadnych wątpliwości, że to jego dzieciak. Bo jakby teraz zaszła, to później zawsze mógłby się zastanawiać, czy to on jest ojcem, czy to pamiątka po jakimś jej kliencie. Tak, to było najrozsądniejsze, co mogła wymyślić. Jeśli zajdzie w ciążę, Tolek już nigdy od niej nie odejdzie, a tego pragnęła ponad wszystko.

W końcu tak bardzo go kochała, że nie wyobrażała już sobie bez niego życia. Za nic w świecie nie chciała by wrócić na ulicę, więc wiedziała już, że zrobi wszystko, co leży w ludzkiej możliwości, żeby go przy sobie zatrzymać.

Po tym sprzątaniu trochę zgłodniała, więc wydobyła z szafki resztkę chleba i kawałek twarogu. Popatrzyła na tę ich marną spiżarkę i pomyślała, że trzeba by iść do sklepu i kupić coś do jedzenia, żeby było na kolację i na śniadanie. O obiad nie musiała się martwić, bo codziennie chodzili do knajpy zjeść coś ciepłego. Z szuflady wydobyła niewielki pugilares z pieniędzmi. Tolek zostawił jej trochę forsy na zakupy. Było tego może z pięć milionów marek. To spokojnie powinno wystarczyć. Postanowiła, że kupi chleb, smalec i dwie kiełbaski podsuszane, a do tego flaszkę mleka. Może jak co zostanie, to jeszcze dla Tolka weźmie flaszkę piwa? No, ale to się zobaczy na miejscu, co ile będzie kosztować, bo te ceny w ostatnim czasie co chwila się zmieniały i, co gorsza, nigdy nie szły w dół, ale zawsze w górę. Najpierw jednak musiała coś przegryźć. Szybko odkroiła grubą sznytkę i położyła na nią plaster sera. Na szczęście zostało jeszcze trochę mleka, bo bez tego pewnie nie przełknęłaby jedzenia. Gryzła powoli, popijając mlekiem i zastanawiając się jednocześnie nad swoim szczęściem. Odkąd była z Tolkiem ani razu nie poczuła głodu. To chyba było prawdziwe szczęście, o którym zawsze marzyła. Czowała się bezpieczna i to dawało jej poczucie szczęścia.

W pewnej chwili usłyszała kroki na schodach. Czyżby Tolek już wrócił? Nie miała zegarka, więc nie miała pojęcia, która może być godzina. Jednak była przekonana, że to trochę za wcześnie jak na niego. No, chyba że załatwił sprawy szybciej niż planował i popędził do niej. Uśmiechnęła się na myśl o tym, że może za chwilę rzuci mu się w ramiona. Wstała więc z krzesła i podeszła do drzwi. Kroki zatrzymały się po drugiej stronie. Pewnie stoi tam teraz i szuka klucza w kieszeni. Szybko przekręciła klucz od środka i pociągnęła za klamkę, żeby mu otworzyć.

Uśmiech momentalnie zniknął jej z twarzy. Przed nią stał policjant, który kilka dni temu ją przesłuchiwał. Ten sam, który ją pobił podczas przesłuchania, a wcześniej był jej klientem. Dziś był ubrany tak jak wtedy, gdy podszedł do niej na ulicy, w garnitur, a nie w policyjny mundur.

- Musimy pogadać - powiedział, gdy ją zobaczył i bez pytania wszedł

do środka. Ruszyła za nim, żeby wyjaśnić mu, że nie ma nic do powiedzenia i żeby wreszcie dał jej spokój, bo przecież ona niczego nie zrobiła.

Gliniarz tymczasem wszedł do pokoju i zaraz zajął miejsce przy stole. Ona stanęła w drzwiach prowadzących z tego niewielkiego korytarzyka, oparła się o framugę i założywszy ręce na piersi, zaczęła mu się badawczo przyglądać. Chciała wyglądać hardo i stanowczo, ale przy jej drobniutkiej budowie i niemal dziewczęcej twarzy mogło się to udać? Wyglądała raczej jak rozkapryszona pannica. Policjant spojrzał na nią, a potem się uśmiechnął lubieżnie.

– Czego pan chce? – bąknęła przestraszona.

– Pogadać – odpowiedział, a potem wy dobył z kieszeni marynarki paczkę Egipskich. Wyciągnął jednego papierosa i włożył go do ust. Przez chwilę szukał zapalek po kieszeniach. Nie spieszył się jednak. Robił to wolno i metodycznie. W końcu natrafił na pudełko i przypalił papierosa. Niewielki pokój natychmiast wypełnił się tytoniowym aromatem. Kryśka przeszła przez pokój i demonstracyjnie otworzyła okno.

Policjant cały czas ją obserwował. Przysiadła na parapecie.

– O czym pogadać?

– O wszystkim.

– Ja nic nie zrobiłam.

– A czy ja mówię, żeś co zrobiła?

– No to o co się rozchodzi?

Mężczyzna uśmiechnął się tajemniczo, a potem zaciągnął głęboko papierosem.

– Widzisz, Krysiu, świat jest okrutny, bo tak już jest na tym świecie, że nie ma nic za darmo. Nikt ci nic nie da do jedzenia za nic i nikt też za nic nie da ci dachu nad głową. Za wszystko trzeba płacić i ja to dobrze wiem. Ale jestem też człowiekiem poważnym i na stanowisku i nie mogę sobie pozwolić na chodzenie na panienki i na branie ich z ulicy, bo w końcu ktoś mnie zobaczy i będą nieprzyjemności. No więc dlatego sobie myślę, że dobrze by było, żebyś miała swojego opiekuna. Taki opiekun jak ja bardzo by ci się przydał.

– Ja nie potrzebuje żadnego opiekuna – rzuciła opryskliwym tonem, ale to go wcale nie zniechęciło.

– Ty mnie chyba nie zrozumiałaś, Krysiu. Ja nie chcę być twoim

opiekunem w charakterze alfonsa.

– Ino co?

– Myślę o tym, żebyś została moją kobietą, którą ja się będę opiekował. Mogę ci płacić co miesiąc, tak żeby starczyło ci na dostatnie życie, ale pod jednym warunkiem. Będę twoim jedynym klientem. Nie lubię konkurencji. No, co o tym myślisz Krysiu?

Popatrzyła na niego zdumiona. To było coś tak nierzeczywistego, że w pierwszej chwili myślała, że czegoś nie zrozumiała. No, ale ten człowiek proponował jej ni mniej, ni więcej, ale żeby została jego utrzymanką. Kiedyś myślała o takim układzie i był to dla niej nieosiągalny szczyt marzeń. Mieć tylko jednego kochanka i nie martwić się o nic, nie musieć wystawać w świętek piątek na ulicy i zaczepiać podpitych facetów. No, ale to było kiedyś. Teraz jej życie całkowicie się zmieniło. Teraz już nie była dziewczynką z ulicy. Teraz była porządną dziewczyną, która ma już swojego mężczyznę. Więc nie ma innego wyjścia jak grzecznie mu podziękować i powiedzieć, że ona już jest zajęta. Ale żeby go nie urazić może mu pomóc znaleźć inną dziewczynę. Przecież zna wszystkie w okolicy i każda z nich dałaby się pokroić za taką propozycję.

– Ja nie moge. Dziękuję, ale nie moge.

– Co powiedziałaś?

– Nie moge.

– A to czemu, jeżeli można wiedzieć?

– Bo ja już mam opiekuna.

– A co tam opiekun. Ja tego twojego opiekuna w trymiga mogę wsadzić do więzienia za stręczycielstwo.

– Nie, proszę! To nie tak. Ja już nie robie na ulicy. My mieszkamy razem. On pracuje, a ja jestem w domu.

– No to trudno...

– Jak pan chce, to ja panu znajde porządną dziewczynę. Tyle jest dziewczyn, które...

– No trudno. Jak chcesz.

Wstał z krzesła i zgasił papierosa na talerzyku, na którym zostawiła resztkę chleba i sera. Była przekonana, że chce wyjść, więc ruszyła od okna w kierunku drzwi, żeby go wypuścić. Nagle on zrobił krok naprzód i zastąpił jej drogę. Cofnęła się odruchowo, ale on był szybki. Przypadł do

niej, złapał ją w pól, podniósł w górę i z impetem rzucił na łóżko. Nim zdążyła zrozumieć, co się dzieje, już siedział na niej okrakiem. Próbowwała się wyrwać, ale był za ciężki. Złapał ją za ręce, a potem pochyliwszy się nad nią powiedział cicho:

– Ze mną tak nie można się bawić, mała kurewko. Co ty sobie myślisz, że mi można odmówić? Jeśli mówię, że jesteś moja, to tak jest i koniec. Żadne inne dziwki mnie nie interesują.

– Nie, prosze, ja nie moze, ja mam...

– Gównu mnie to obchodzi!

Puścił jej lewą rękę i z rozmachem uderzył w twarz. Natychmiast wykorzystwała to, że ma ją wolną i przejechała mu paznokciami po policzku. To go doprowadziło do szewskiej pasji. Okładał ją, gdzie popadnie. Czowała, że traci siły. Ból paraliżował jej ruchy. A on chyba wyczuł jej słabnącą wolę walki, bo złapał ją i zaczął odwracać na brzuch. W tym momencie jeszcze raz udało jej się sięgnąć dłonią jego twarzy, ale on jakby tego nie zauważył. Rozdarł jej sukienkę i rzucił ją na podłogę, a głowę wcisnął w poduszkę tak, że nie mogła wydać z siebie głosu. Potem zdarł z niej majtki i zaraz wbił się w nią brutalnie. Poczwała jakby coś rozrywało ją od środka. Chciała krzyknąć, ale nie mogła wydusić z siebie słowa, a on wbijał się w nią coraz mocniej i coraz szybciej. Atakował ją w jakimś dzikim szale, a ból z dołu promieniował na całe jej ciało. Nagle wszystko ustało. Opadł na nią zdyszany. W końcu podniósł się i zlazł z łóżka. Słyszała jak sapie nad nią, pewnie podciągając spodnie.

– Jutro znów przyjdę i masz być gotowa, dziwko.

Słysząc było kroki na skrzypiącej podłodze i za chwilę trzaśnięcie drzwiami. Ale ona już tego nie słyszała. Zapadła się w jakąś głęboką otchłań, w której nie było niczego materialnego. Wszędzie dookoła było ciemno. I w tej ciemności usłyszała ten jedyne na świecie głos swojego mężczyzny.

– Kto ci to zrobił, Krychna?

Otworzyła oczy. Po jego twarzy płynęły łzy.

– Kto ci to zrobił, kochana?

– Policjant – powiedziała łamiącym się głosem.

– Zabiję skurwysyna. Na Boga przysięgam, że go zabije jak psa.

– Nie zostawiaj mnie. Proszę.

– Nigdy cie nie zostawie.

Zamknęła oczy. Znowu było ciemno. Ale teraz już ta ciemność nie była taka zimna. Czuła, że jej ukochany jest w pobliżu.

Rozdział VII

Schneidemühl

Poniedziałek, 10 marca

Godzina 8.10 rano

- Jest ślad, panie poruczniku.
- Jaki ślad?
- No, ślad po tym Nowaku, co nam uciekł.

Carl odłożył gazetę na blat biurka i spojrzał wyczekująco na Kowalskiego. Ten, najwyraźniej zadowolony z rewelacji, jakie przynosił, wszedł do pokoju, zamykając za sobą starannie drzwi, a potem rozsiadł się wygodnie na stojącym przed biurkiem krześle.

- Dzwonił do mnie mój znajomy z Usch, znaczy z tej polskiej części miasta, czyli Ujścia. On pracuje tam w Policji. Nazywa się Otto Mayer i jest polskim policjantem.

- Polak?
- Nie, Niemiec.
- No i co ci takiego interesującego powiedział?
- Że polska straż graniczna zatrzymała dwóch Niemców podczas próby przejścia granicy. W zasadzie zatrzymali jednego, bo drugi im uciekł i jeszcze dodatkowo ranił nożem jednego żołnierza, ten, co to uciekł.

- A ten zatrzymany to Nowak.

Kowalski pokręcił głową.

- No właśnie nie. Nowak to był ten, co im uciekł.
- Cholera, co za cholerni partacze z tych Polaków... Ale zaraz, jak uciekł,

to skąd niby wiadomo, że to był właśnie nasz Günter Nowak?

– Stąd wiadomo, że ten drugi, co jego zatrzymali, wszystko im wyśpiewał. Powiedział, kto to był, podał nazwisko, rysopis i nawet powiedział, gdzie ten Nowak chce się dostać.

– O, to bardzo ładnie z jego strony, że wszystko tak chętnie im powiedział. Zdaje się, że musieli go trochę przycisnąć.

– Bez tego pewnie nic by się nie dowiedzieli – potwierdził domysły oficera Kowalski, który był specjalistą od wyciągania zeznań od przestępców i dobrze wiedział, że nic tak dobrze nie robi dla rozwiązania języka jak dobre mordobicie.

– Ten twój znajomy z polskiej Policji to tak sam z siebie, z grzeczności dał ci znać?

– Z grzeczności też, ale to ja telefonowałem do niego wcześniej, żeby miał na uwadze, jakby się tam po ich stronie znalazł Nowak, to żeby uważali, bo to niebezpieczny morderca. No to jak się pojawiło to nazwisko w protokole przesłuchania przemytnika, to jemu się zaraz przypomniało, że to może być ten sam Nowak, co my jego szukamy. No i zatelefonował do mnie.

– Trzeba się teraz zastanowić, co z tego wszystkiego wynika? – powiedział właściwie sam do siebie Carl, ale Kowalski zaraz podzielił się swoimi przemyśleniami.

– Ano tyle, panie poruczniku, że ten przemytnik, co to jego pojмали, to jest Niemiec od nas i w takim wypadku możemy grzecznie poprosić o jego wydanie. Jakby nie patrzeć, ma coś wspólnego z tym Nowakiem, a to oznacza, że jest zamieszany w morderstwo.

Carl wstał ze swojego fotela i założywszy dłonie do tyłu, podszedł do okna. Zaraz otworzył jedno skrzydło, bo w pokoju wisiał jeszcze gęsty papierosowy dym po wypalonym przez niego papierosie. Poczł świeży powiew ciepłego rzeńskiego powietrza na twarzy, ale zaraz za nim wpłynął do wnętrza zatęchły zapach wilgotnej kloaki. W mieście co prawda już przed wojną założono system rur wodociągowych i kanalizacji, jednak na wielu podwórkach istniały jeszcze zwykłe wychodki, których nikt nie myślał podłączać do rur ściekowych. Szczególnie tak jak tu, na Saarland StraÙe, naprzeciwko w tej dwupiętrowej czynszówce, której podwórko, zastawione komórkami i starymi sraciami, wychodziło na nieużytki. Tam nieczystości rozlewały

się szerokimi strumieniami, a potem spływały swobodnie do niewielkich kanałów, które zasilały swoimi strumieniami rzekę Küddow. Nic więc dziwnego, że smród z takich i podobnych rozlewisk czuć było w wielu częściach miasta. Ten z naprzeciwka był problemem, z którym nawet policjantom nic nie udawało się zrobić, bo właściciel kamienicy, zgodnie z przepisami, podłączył ją do kanalizacji, a ziemia, na której stały wychodki, z których korzystali mieszkańcy oficyn, nie należała do niego. Do nikogo nie należała. To był obszar miejski, który jeszcze nie został zagospodarowany, ale w przyszłości miał być, więc miasto na razie nie mogło rozwiązać problemu smrodu, mając na głowie inne ważniejsze kwestie, jak choćby plany zabudowy gmachami użyteczności publicznej targu końskiego czy koncepcja nowoczesnego kościoła przy Acker Straße. Władze Schneidemühl miały wielkomiejskie ambicje – pomyślał Carl, zamykając z obrzydzeniem okno – ale smród w mieście świadczył najwyraźniej o tym, że do metropolii jeszcze daleka droga. Przypomniał mu się natychmiast Anton, który miał to szczęście, że mieszkał w naprawdę dużym i porządnym mieście. W końcu gdyby to jego miasto było tylko prowincją, cesarz nigdy nie zgodziłby się na postawienie tam swojego pałacu. Tam jeździły po brukowanych ulicach tramwaje i setki automobili, a wieczorami ludzie szli do teatru czy do opery albo, zwyczajnie, do jakiejś porządnej restauracji. A tutaj było zaledwie kilka restauracji na poziomie, bo reszta spośród tych kilkudziesięciu przybytków w mieście to zwyczajne knajpy i biersztuby, dobre dla żołnierzy i w najlepszym razie dla młodszych podoficerów. Ludziom takim jak on to miasto nie mogło zaoferować dosłownie niczego, prócz śmierdzących podwórek i wciskającej się w każdy kąt wilgoci.

Anton miał szczęście, że żył w takim normalnym mieście. Ale z drugiej strony czy życie w mieście to wszystko? On żył tutaj, na tym zadupiu, ale miał za to przy sobie najwspanialszą na świecie kobietę, a Fischer był sam jak palec w... No, chyba że ich niecny plan się powiedzie. Właściwie nie ich, ale Anny. To ona wpadła na ten szatański pomysł, aby wyswatać Antona. Jej najbliższa przyjaciółka nie mogła jakoś ułożyć sobie życia po tym, jak jej narzeczony zginął we Francji w ostatnim roku wojny. Od jego śmierci minęło już sześć lat, a ona cały czas była sama i nie przyjmowała żadnych awansów miejscowych kawalerów. Zresztą co to byli za konkurenci? Jakiś urzędniczyna z magistratu, właściciel zakładu

pralniczego i kilku młodszych oficerów, których trudno byłoby posądzać o poważne zamiary wobec starej panny w wieku trzydziestu lat. Natomiast Anton był dla niej wprost wymarzoną partią. Stateczny oficer na stanowisku urzędniczym. Gdyby się z nią ożenił, można by mu ułatwić przeniesienie do Niemiec. W końcu jako żołnierz odznaczony krzyżem żelaznym mógłby liczyć na jakieś względy w przywróceniu obywatelstwa. Bo przecież z tym jego polskim obywatelstwem to jakaś ewidentna pomyłka. Fischerowi trzeba tylko przypomnieć, że w głębi duszy jest prawdziwym Niemcem. A nic tak bardzo nie rozgrzewa niemieckiego serca jak miłość do pięknej niemieckiej kobiety. Widział w spojrzeniu przyjaciela, że Ursula Scholz zrobiła na nim piorunujące wrażenie. Rozmawiając z nią, płątał się jak uczeń i do tego jeszcze się rumienił. Anna, która w trakcie rozmowy obserwowała swoją przyjaciółkę, powiedziała mu następnego dnia, gdy już pożegnali Fischera, że Ursula wyglądała tak, jakby strzelił w nią piorun, a szczyty erudycji, na które wdrapywała się podczas rozmowy, świadczyły najdobitniej, że stara się oczarować Antona. Może więc ta drobna intryga, której się utkali, okaże się zbawienna dla tych dwojga, którzy wpadli w nią w niedzielne popołudnie w kawiarni przy Neumarkt?

– Co powiedziałaś? – odwrócił się do Kowalskiego, który siedział na krześle wpatrzony w swojego przełożonego, który nie wiedząc czemu nagle zamilkł.

– Że ten przemytnik i Günter Nowak to jak nic wspólnicy.

– No, to oczywiste.

– W takim razie może byśmy odebrali go od Polaków, panie poruczniku. Bo jak się okaże, że morderca Nowak zniknie nam zupełnie i się gdzieś tam rozplynie w polskiej mgle, to będziemy mieli chociaż tego przemytnika.

Aschmutat podszedł do biurka i usiadł na swoim fotelu. Wyciągnął cygaro z ozdobnego pudełka z wiśniowego drewna, podsunął je pod nos i wachał przez chwilę, rozkoszując się aromatem.

– Kubańskie, przyjechały prosto z Danzig – wyjaśnił Kowalskiemu, dla którego nie miało żadnego znaczenia, czy cygaro było kubańskie, czy albańskie. On nie lubił cygar, były dla niego za mocne i za bardzo wysuszały język. Palił tylko zwykłe papierosy bez ustnika, tylko już od dawna nie skręcał ich samodzielnie, ale kupował gotowe na sztuki.

Skrećać sobie mogli robotnicy, a on, urzędnik państwowy, musiał przecież prezentować jakiś znacznie wyższy od pospólstwa poziom.

Aschmutat odciął scyzorykiem końcówkę i już chciał zapalić to wielkie brązowe cygaro, jednak w ostatnim momencie się rozmyślił. Włożył je do kieszeni marynarki, a potem wstał z fotela.

– W takim razie jedźmy do Usch.

Kowalski poderwał się z krzesła.

– Mam pewien pomysł, ale w takim razie musimy podjechać jeszcze do apteki, do mojej żony.

– Jasna sprawa, panie poruczniku – zgodził się z nim natychmiast podoficer, choć nie miał pojęcia, co z pomysłem dotyczącym śledztwa ma wspólnego pani Aschmutat. Ale co mu tam. Wszystko zapewne wyjaśni się po drodze.

Wyszli z pokoju i natychmiast w korytarzu natknęli się na komisarza Wehrnera. Dowódca zatrzymał się i spojrzał na obu swoich podwładnych.

– A dokąd to panowie się wybierają? – zapytał, biorąc się pod boki.

– Melduję, że musimy pojechać do Usch, a właściwie na polską stronę do Ujścia – wyjaśnił natychmiast Carl.

– A co to, wyprawa po tani tytoń czy po świniaka?

Porucznik puścił mimo uszu ten żart. Za dobrze znał Wehrnera, by nie wiedzieć, że w drwiącym tonie przełożonego nie ma cienia złośliwości. Jego szef miał po prostu takie usposobienie.

– Mamy informacje, że Polacy złapali na granicy przemytnika, który przeprowadzał na drugi brzeg naszego mordercę. Chcę go tu przywieźć i przesłuchać.

– O, to ciekawe – Wehrner przestał się uśmiechać, a na jego twarzy pojawił się wyraz zainteresowania.

– Zadzwoń w takim razie do polskiego komendanta posterunku, żeby go nam oddali. Nie powinni robić problemów, bo kiedyś może sami będą chcieli czegoś od nas. No, co tak stoicie. Jedźcie już!

Odwrócił się i zaraz zniknął za drzwiami swojego gabinetu. Tymczasem obaj policjanci zeszli na dół. Z dyżurki pobrali od dyżurnego strażnika klucze do auta i wyszli z budynku. Czarny opel torpedo, stał zaparkowany po przeciwległej stronie Wiesen Straße. Kowalski poszedł z korbą w ręce na przód auta, żeby uruchomić silnik. Wystarczyły

zaledwie dwa obroty, by zaskoczył.

- Ten opel to jednak niezły wóz - powiedział, poklepując błyszczącą karoserię. Usiadł na miejscu kierowcy i zaraz ruszył, skręcając w lewo, w kierunku Instytutu Głuchoniemych, a potem, przy budynku biblioteki z czerwonej cegły, w prawo, w Jastrower StraÙe, wzdłuż niedawno oddanych do u¿ytku, dwupiętrowych czynszowych kamienic. Minęli Altmarkt, na którym o tej porze niewiele się działo, bo odkąd na samym jego środku ustawiono rotundę pomnika poległych podczas wojny mieszkańców miasta, zniknęły z niego stragany z warzywami, a przekupki przeniosły swój interes na wschodnią pierzeję Neumarkt - na szeroki plac pomiędzy kościołem miejskim a domem towarowym Lindenstrauss & Co. Dojechawszy tam, trafili akurat na największy ruch. Poniedziałek był bowiem dniem, w którym po niedzielnym odpoczynku okoliczni rolnicy dosłownie zalewali wozami centralny punkt miasta, by korzystnie sprzedać swoje produkty. Ka¿dy wóz był jak osobny sklep, z którego sprzeda¿ prowadziły chłopki, podczas gdy ich mę¿owie przepłukiwali gardła szklaneczką wina lub zimnym piwem w winiarni Paula Dreiera. Stały więc wozy załadowane kurami i kaczkami, inne z bańkami mleka i gomółkami serów, pojawiały się te¿ gdzieniegdzie te z ostatnimi, nieco ju¿ pomarszczonymi zeszłorocznymi jabłkami, ale jak zwykle najwięcej sprzedawało się kartofli, czyli tego, co stanowi podstawę codziennej strawy mieszkańców.

Kowalski wjechał na rynek od strony mostu z Mühlen StraÙe, zostawiając za sobą dom meblowy Emila Goetze. Torował sobie drogę, trąbiąc zapamiętale, bo inaczej nigdy nie przedostałby się przez rozkrzyczany tłum kupujących i sprzedających, wśród którego mowa niemiecka mieszała się z polską. Przebiwszy się wreszcie przez plac targowy, samochód zatrzymał się przy narożniku Hassel StraÙe, przed jednopiętrowym budynkiem, w którym mieścił się Zachodniopruski Urząd Ziemski i jednocześnie Brandenburski Bank Ziemski. Kowalski został w samochodzie, bo nie chciało mu się wyłączać silnika. Zresztą porucznik powiedział, że wróci za chwilę. Apteka znajdowała naprzeciwko, w piętrowym budynku, przylegającym do gmachu ratusza miejskiego po zachodniej stronie rynku.

Carl przemierzył szybko brukowaną ulicę i po chwili pchnął drzwi, które natychmiast trąciły zawieszony nad nimi mosiężny dzwonek. Anna

właśnie podawała papierową torebkę z proszkami od bólu głowy jakiemuś człowiekowi ubranemu w niemodny, znoszony, wyświechtany czarny surdut, pumpiaste spodnie i znoszone, choć wypastowane do czysta buty z cholewami. Człowiek ten trzymał w lewej ręce bat na długim kiju, a w prawej kapelusz z piórkiem. Żeby odebrać lekarstwo, musiał kapelusz założyć na głowę, a bat oprzeć o kontuar. Zaraz wyciągnął z kieszeni woreczek na pieniądze wypchany banknotami, odliczył kilka, a potem schował do kieszeni surduta. Uchylił kapelusza, ukłonił się i skierował do wyjścia. Ale zaraz przypomniał sobie o pozostawionym bacie. Zawrócił, chwycił go jak jakiś niezwykle cenny przedmiot, a potem, jeszcze raz uchyliwszy przepraszająco kapelusz, wyszedł z apteki. Aschmutat uśmiechnął się do żony.

– O, Carl, co tu porabiasz? Coś się stało?

– Nie, skąd. Wpadłem tylko na chwilę, żeby ci powiedzieć, że jadę do Usch, do Ujścia, za granicę.

– Tak?

– I pomyślałem sobie, że może skoro tam już będę...

Anna uśmiechnęła się, a potem bez słowa sięgnęła po niewielką karteczkę, taką, jakie przyczepia się gumką do buteleczek z lekarstwem z zapisanym dawkowaniem. Wzięła do ręki kopiowy ołówek i zaczęła pisać, pokrywając kartkę drobnym, wyraźnym pismem.

– Masz – podała mu papier – zapisałam ci wszystko, żebyś czegoś nie pomylił.

Schował ją do kieszeni marynarki, potem pochylił się nad ladą i pocałował żonę w usta.

– Nie wiem, o której wrócę, więc nie czekaj, proszę, z obiadem. Sama zjedz, a dla mnie wstaw do pieca.

Wyszedł z apteki i po chwili siedział już w samochodzie. Kowalski natychmiast ruszył, kierując się w stronę Posener Straße.

Objechał w milczeniu stojący wśród drzew kościół, ale na wysokości pierwszej armaty, stojącej przy cesarskim pomniku, nie wytrzymał. Zżerała go bowiem ciekawość, jaką też kryminalną kwestię jego szef musiał skonsultować z żoną.

– I co, panie poruczniku?

– Jak, co?

– No z pańską małżonką. Mówił pan, nim żeśmy wyszli z biura, że

przed wyjazdem musi z nią pogadać w związku ze śledztwem.

Carl spojrzął na niego zdziwiony. Nie przypominał sobie, żeby mówił coś o żonie i o śledztwie. Widać Kowalski miał dziś gorszy dzień i nie mógł zrozumieć, po co potrzebna mu była wizyta u Anny przed wyjazdem do Polski. Wydobył więc z kieszeni karteczkę i zaczął czytać:

– Kiełbasa polska wędzona – dwadzieścia kilo, boczek wędzony – pięć kilo, szynka wędzona – pięć sztuk, ogonówka wędzona – pięć kilo... Gdy skończył, zadowolony schował kartkę do kieszonki.

– Po pierwsze, w Polsce wędzonki są lepsze niż u nas, a po drugie, o połowę tańsze. Grzech nie skorzystać jak się jedzie automobilem z pustym bagażnikiem.

Poznań

Godzina 8.10

Günter Nowak wstał z łóżka i podszedł do ocynkowanego kuchennego wiadra. Stanął w rozkroku, chwilę pogrzebał przy rozporku kałesonów, a potem z ulgą zaczął sikać. Gdy skończył, spojrzął w stronę okna. Nie miał zegarka, więc nie wiedział, która jest godzina, ale sądząc po kolorze nieba, które widział ponad dachem kościoła Najświętszej Krwi Pana Jezusa, mógł to być już dość późny ranek. Ten kościół swoją boczną ścianą zamykał podwórko narożnej kamienicy, na poddaszu której mieszkał od dwóch dni Nowak. Wybudowany był na miejscu kamienicy, w której Żydzi sprofanowali skradzione z poznańskich kościołów hostie. Na dowód tej zbrodni w ścianie kościoła umieszczono tablicę z wierszowaną inskrypcją:

*Boże, jak za taką krzywdę nagrodzimy?
Twoje, gdy ciężką mękę w Poznaniu widzimy.
Ty sam Boże jakoś jest zawsze sprawiedliwy,
Ty wyniszcz aż do szczętu ten naród złośliwy.*

Günter Nowak, gdy pierwszy raz był z siostrą i jej dziećmi na mszy w tym kościele, odczytał treść wiersza ze sporym zdziwieniem. Nie bardzo mógł zrozumieć, o co chodziło autorowi i o jakiej krzywdzie mówił. Bo jaką krzywdą mogło być zezarcie hostii? No chyba że nie zezarli, ale zrobili coś innego. Chyba nie spalili? Bo po co mieliby kraść w kościołach i potem palić? Jeśli się kradnie co do jedzenia, to się zjada, a nie pali. Ale w sumie to głupio robili ci Żydzi. Bo jeśli już się włamywali do kościołów, to na jaką cholere kradli te hostie? Jakby on się dostał do takiego kościoła, to wzięłby wszystko, co cenne, lichtarze czy kielichy mszalne, a hostie to by albo zjadł, albo wyrzucił. A oni mieli brać tylko te opłatki? Dziwny naród ci Żydzi. Zresztą kto by ich tam zrozumiał? Nowak nic nie miał do Żydów. W zasadzie nawet nie znał ich za wielu. Większość tych, z którymi się zetknął, wyglądała tak samo jak inni ludzie. Ubierali się tak samo, nawet mówili tak samo albo po polsku, albo po niemiecku. Jedyne, co odróżniało ich od katolików i protestantów, to ten dziwny zwyczaj niepracowania w sobotę. Ale z drugiej strony dzięki temu mogli pracować w niedzielę, kiedy nie pracowali chrześcijanie, i dlatego w niedzielę można było robić zakupy w żydowskich sklepach. Tylko po jaką cholere mieliby bezcześcić hostię, która do niczego nie była im potrzebna? Bo są złośliwym narodem, jak było powiedziane w tym wierszu?

Wzruszył ramionami i odszedł od okna, a właściwie okienka. Tu na poddaszu, w pokoju, który dostał od siostry do zamieszkania, nie tylko okno było małe. Wszystko musiało być tu mniejsze niż w innych pomieszczeniach, bo pokoik miał zaledwie trzy na trzy kroki. Mieściło się tu łóżko i niewielka szafonierka ubraniowa. Prócz tego było jeszcze miejsce na jedno drewniane krzesło z oparciem, na którym mógł powiesić swoje ubranie. W pokoju mógł więc albo leżeć, albo siedzieć na krześle i obserwować ścianę kościoła albo niebo, bo nic innego nie było widać. Ale skoro już się wyleżał przez całą noc i teraz jeszcze napatrzył na ścianę i niebo, nie miał już kompletnie nic do roboty dlatego postanowił wyjść do miasta i połączyć gdzieś po okolicy. Mógł to robić spokojnie, nie martwiąc się, że go ktoś zatrzyma, bo przecież tu w Poznaniu nikt go nie znał. No, oczywiście poza siostrą. Ale ona przecież za nic w świecie nie wydałaby go w ręce sprawiedliwości. Nie wierzyła w te bzdury o morderstwie. Oczywiście zaraz jak przyjechał tutaj,

opowiedział jej wszystko o tym, co go spotkało i jak niesprawiedliwie potraktowała go policja.

– To nie mogłeś im powiedzieć, żeś nic nie zrobił? – zdziwiła się kobieta.

– A bo to oni chcieli słuchać?

– No przecież przesłuchują ludzi na tych, no, przesłuchiowaniach, nie? Od tego są, żeby słuchać.

– Przede wszystkim to są od czego innego.

– Niby od czego?

– Od lania po mordzie – mówiąc to, wskazał na swoją rozciętą i cały czas opuchniętą wargę oraz siniak pod okiem.

Gertruda Piszczala smutno pokiwała głową. Jej młodszy brat rzeczywiście musiał mieć za sobą ciężkie przejścia. A mówiła mu tyle razy, żeby się wyniósł z tych Niemiec i przyjechał do Polski, a ona już jakoś go urządzi. I co? Był głupi, nie posłuchał i teraz miał za swoje. No, ale jak już tu jest, to teraz coś się wymyśli. Na szczęście ma go gdzie zakwaterować. Na poddaszu tej kamienicy jest taki mały pokoik, który przynależy do jej majątku, i jest takim pokojem dla służby, której ona nigdy nie miała. W swoim trzypokojowym mieszkaniu obchodziła się doskonale sama, bez żadnej pomocy, choć gdyby naprawdę potrzebowała jakiejś kobiety do kuchni, to z powodzeniem mogłaby sobie na taką pozwolić. I wtedy miałyby nawet dla niej lokum. Ale szczęśliwie pokój był wolny i Günter mógł się do niego od razu wprowadzić. Gertruda postanowiła, że skoro już tu przyjechał, to jest chyba znak od Boga, bo ona właśnie wczoraj modliła się o to, żeby Najświętsza Paniienka pomogła jej poradzić sobie z interesem, bo od śmierci jej męża Hieronima, który zmarł na suchoty dwa lata temu, wszystko prowadziła sama. Nie chciała nikogo dodatkowo zatrudniać w swojej pralni, bo miała tam już trzy kobiety, a potrzebowała kogoś zaufanego do pomocy. Wcześniej taką osobą był mąż. On zajmował się zakupami mydła i krochmalu, pilnował rachunków i obsługiwał klientki, a ona nadzorowała pracę przy praniu i zajmowała się jeszcze trójką dzieci. Ale od dwóch lat wszystko to spadło na jej barki. No a teraz pojawił się Günter. To komu mogłaby bardziej zaufać jak nie rodzonemu bratu?

– Najpierw leją, a potem się pytają. Ale najgorsze, jak już se umyślą, że

znaleźli winnego. A jak jeszcze ten winny wyszedł dopiero co z więzienia, to już od razu wiedzą, że on musi być winny. No to co miałem robić? Rąbnąłem w łeb tego policjanta i dałem nogę. A jak już zwiałem, to oni są pewni, że jestem winny. Ale jakbym nie uciekł, to by mnie jak nic wsadzili znów do więzienia. A ja do celi już nie wróce.

– Dobrze, żeś tu przyjechał. Tu nikt ci krzywdy nie robi. Policja cie tu nie szuka, więc nie będzie kłopotu. Ja cie wezmę do siebie do pralni. Ale nie od razu. Musisz odsiedzieć swoje w domu, aż ci sie ta obita gęba wyleczy, bo klientki byś mi wystraszył. A potem pójdiesz do roboty.

– A co niby bym miał robić?

– Co tam będziemy gadać po próznicy. Wszystko ci pokaże, jak już przyjdiesz do pralni. Trzeba ci ino jaki dokument wyrobić.

– Racja, papiery by sie przydały. Ale nazwisko trzeba by zmienić, bo po nazwisku mogą dojść, że mnie w Niemczech policja poszukuje. Już pewnie list gończy musieli na mnie wystawić.

– Nic się nie martw, Günter. Papiery się znajdą. Znam jednego takiego, co za odpowiednią opłatą wszystko przeprowadzi. Trzeba ci tylko polską metrykę załatwić, ale już moja w tym głowa.

Nie przypuszczała nawet, że z metryką uwinie się tak szybko. Już następnego dnia dała mu do ręki papier podbity pieczętą parafii rzymskokatolickiej kościoła Najświętszej Krwi Pana Jezusa w Poznaniu. Okazało się, że metrykę wystawił jej kościelny, który z racji zamiłowania do wódki miał duże potrzeby finansowe. Metryka była oryginalna, wystawiona na nazwisko Jerzego Rataja, syna Klementyny i Jana. Jerzy Rataj nie miał szczęścia w życiu, bo jak zapewniał kościelny, biedne dziecię zmarło wkrótce po chrzcie, a jego wystawiona przez parafię metryka zalegała w dawnych aktach parafialnych od trzydziestu lat. Rodzice jej nigdy nie odebrali, bo nie była im do niczego potrzebna i zapewne nie mieli zamiaru wydawać pieniędzy na nieprzydatny dokument. Stosowną opłatę, zresztą znacznie powiększoną, wniosła Gertruda, dając w ten sposób drugie życie Jerzemu Ratajowi.

Günter podszedł do krzesła, na którym wisiała jego nowa, nieco zbyt obszerna marynarka. Tę marynarkę, tak jak i spodnie oraz całą resztę ubrania, dała mu siostra. To było ubranie po szwagrze, które ostatnie dwa lata wisiało w szafie zupełnie nieprzydatne. Jemu się przyda. Przynajmniej na początek dobre i to. Za jakiś czas, jak trochę zarobi,

sprawi sobie coś nowego. Wydobył z kieszeni metrykę i zaczął ją uważnie studiować. Nauczył się już wszystkiego na pamięć, ale na wszelki wypadek wolał sobie powtórzyć dane, żeby w razie jakiejś trudnej sytuacji nie zapomniał języka w gębie. Z samym językiem nie było zresztą najmniejszego problemu. Mówił po polsku bardzo dobrze, nawet bez niemieckich naleciałości, tak jak większość mieszkańców Schneidemühl, którzy wychowywali się na podwórku wśród dzieci z rodzin tak niemieckich, jak i polskich. Z taką prawdziwą metryką i swoją umiejętnością posługiwania się polskim językiem bez większych problemów mógł uchodzić za rodowitego Polaka. Dobrze o tym wiedział, bo wcześniej już bywał u siostry w Poznaniu i nikt ani razu nie wziął go za Niemca. Zresztą czy on był prawdziwym Niemcem z takim polskim nazwiskiem? Widać los chciał, żeby został Polakiem i teraz się to spełniło.

Podszedł do emaliowanej miski, nalał do niej wody z dzbanka i szybko przemył twarz. Namoczył sobie włosy i zaczesał je elegancko do tyłu. Nie musiał się golić, bo postanowił, że na wszelki wypadek zapuści sobie brodę i wąsy. Zarost co prawda jeszcze nie był zbyt okazały, ale i tak szczecina, która pokryła mu twarz, zmieniła jej wygląd niemal nie do poznania. Ubrał się szybko, włożył trzewiki, a potem jeszcze raz spojrzął w wiszące na ścianie lustro. Prezentował się całkiem elegancko, nawet w tej nieco za dużej marynarce. Chciał wyglądać dobrze, bo wybierał się dziś do miasta. W końcu ile można siedzieć w czterech ścianach? Mężczyzna ma przecież swoje potrzeby. Musi wypić jakieś piwo czy parę kieliszków wódki. Siostra mówiła, żeby jeszcze nie wychodził i nie robił swoją obitą gębą sensacji, ale on czuł, że jeśli nie ruszy się z tego ciasnego pokoju, to za chwilę zwariuje. Przecież jego pokój to nie więzienna cela. Tu drzwi mógł otworzyć w każdej chwili i wyjść. Więc otworzył i wyszedł.

Godzina 9.15 przed południem

W mieszczącej się w Domu Przemysłowym restauracji „Grand Café”, popularnie zwanej „Grandką”, przy placu Wolności pod numerem

osiemnastym, wszystkie stoliki były zajęte. Właściciel, restaurator Maksymilian Brencz, który był jednocześnie wiceprezesem Ogólnopolskiego Związku Restauratorów, odebrał gruntowne wykształcenie gastronomiczne za granicą. Tym tłumaczono sobie jego szczególną dbałość o restauracyjne menu, które oferowało smakoszom szereg wykwintnych zagranicznych dań, których próżno by szukać w innych podobnych poznańskich restauracjach. Nic więc dziwnego, że zazwyczaj było tu tłoczno.

Goście zajadali się zupą zółwiową, łososiem po holendersku, pulardami brukselskimi czy polędwicą po angielsku. Jednak szczególną popularnością w godzinach śniadaniowych cieszyły się dwa dania – niezwykle wykwintna fasolka po bretońsku i swojska kiszka z kotła własnego wyrobu.

Fischer lubił oba te dania i ilekroć przychodził do „Grandki”, stosował zasadę naprzemiennej konsumpcji. Raz jadł kiszkę, a następnym razem fasolkę. Dziś wypadł akurat dzień kiełbasiany. Wielką białą kiszkę podano mu na dużym talerzu z dodatkiem kiszzonego ogórka i świeżo startego chrzanu, którego korzenie przechowywano przez całą zimę w restauracyjnych lodowych piwnicach. Do tego był jeszcze pyszny świeży chleb, który wypiekano w restauracyjnej kuchni.

Kapitan Jażdżewski, który we własnym mniemaniu uchodził za wybitnego smakosza, wybrał danie zagraniczne, czyli fasolkę po bretońsku, nie chcąc drażnić swojego delikatnego podniebienia plebejskim smakiem zwykłej kiełbasy. Nie miał jednak pojęcia, że to co, na talerzu pachniało mu wszystkimi aromatami Bretanii, w rzeczywistości z tym francuskim regionem nie miało nic wspólnego. Sprytny właściciel bowiem wymyślił tę nazwę, przemianowując w ten sposób jak najbardziej znaną i podawaną w większości poznańskich knajp, a nawet garkuchni swojską fasolę z kiełbasą i cebulą w tomacie, po chłopsku. Fischer, który znał to danie od zawsze, błyskawicznie rozszyfrował ten podstęp restauratora. Już w ubiegłym roku, gdy Brencz przejął tę restaurację, kazał podać sobie to danie i ze zdziwieniem skonstatował, że jeśli chodzi o skład, niczym się ono nie różni od tych podawanych gdzie indziej chłopskich fasoli. Różniło się za to francuską nazwą i naprawdę wybornym smakiem, więc od razu stał się jej wielbicielem, któremu w żaden sposób nie przeszkadzał podstęp pana

Brencza. Co więcej, przewidywał nawet, że w niedługim czasie fasola po chłopsku zostanie całkowicie wyparta z innych restauracyjnych menu i zastąpi ją fasolka po bretońsku. Dobra nazwa to połowa sukcesu.

– Wygląda więc na to, że mamy poważny problem natury szpiegowskiej – powiedział kapitan Jażdżewski, przełknąwszy kolejną łyżkę rozpływającej się w ustach fasolki.

– Problem był od samego początku, gdy ten Karpiński zniknął. Tyle że wtedy nie wiedzieliśmy, w czym rzecz – mruknął Fischer, nie mogąc wprost nadziwić się niefrasobliwości Jażdżewskiego, asa polskiego wywiadu. Przecież ten człowiek, odpowiedzialny za wywiadowcze zabezpieczenie własnego pułku, ale także za bezpieczeństwo całego poznańskiego garnizonu, zachowywał się jak niedoświadczony gimnazjalista, który naczytał się powieści Sienkiewicza i z nich czerpał całą wiedzę o szpiegostwie à la Kmicic podsłuchujący Szwedów czy porywający listy Radziwiłła. Z takim wywiadem i z takimi specjalistami daleko nie zajdziemy.

– Co było w tych papierach?

Kapitan milczał przez chwilę, jakby rozważał, czy temu bądź co bądź cywilowi może zdradzić tak poważną tajemnicę. Doszedł jednak do wniosku, że nie ma innego wyjścia. Zrozumiał, że w tej sytuacji nie powinien ukrywać niczego przed komisarzem.

– Plany mobilizacyjne garnizonu na wypadek wojny i spisy naszej agentury działającej na przygranicznym obszarze Niemiec.

Fischer z sykiem wypuścił powietrze. Pal licho plany mobilizacyjne. Te zawsze można zmienić, opracować od nowa, ale spis agentury to już była bomba z opóźnionym zapłonem. Jeśli to dostanie się w ręce obcego wywiadu, to ci ludzie będą straceni.

– Kiedy przekonał się pan, że dokumenty zniknęły?

– No... właśnie dzisiaj, podczas inwentaryzacji kasy ogniotrwałej. Po tym, jak zniknęły pieniądze, chciałem na wszelki wypadek przejrzeć wszystkie teczki, no i właśnie wtedy się okazało, że...

– Że w teczkach nic nie ma – przerwał mu chłodno policjant, który nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Od momentu stwierdzenia braku pieniędzy w kasie minęło już ładnych kilka dni, a Jażdżewski dopiero teraz wpadł na to, że trzeba by też sprawdzić, czy nie zginęło nic innego! Nie pytał o to wcześniej, bo wydawało mu się całkiem naturalne, że po

stwierdzeniu manka robi się przegląd wszystkich kwitów i skoro Jażdżewski nie mówił o innych brakach, to Fischer był przekonany, że pieniądze to jedyna strata. A tu nagle się dowiaduje, że te zaginione marki to najmniejszy problem.

– No nie. Nie były wcale puste – zaprzeczył zaraz kapitan. – Były pełne jak zwykle i nic nie wskazywało na to, że coś z nich zniknęło. Były wypchane i grube jak zawsze. Ale widzi pan, coś mnie tknęło i wziąłem tę pierwszą z góry i ją otworzyłem. A tam w środku, proszę sobie wyobrazić, wszystko w jak najlepszym porządku. No to na wszelki wypadek sprawdzam drugą, a tam też wszystko się zgadza. No to dla świętego spokoju mówię sobie, trzeba i tę trzecią sprawdzić, bo jak tam wszystko będzie dobrze, to w pozostałych też musi się zgadzać, no i jak ją otworzyłem to aż zaniemówiłem. Powiadam panu, to jest bezczelne draństwo, żeby tak dokumenty z teczki zabrać i wypełnić teczkę, napchać ją starymi gazetami, żeby wyglądała, jakby była pełna. Same stare gazety i ani jednego dokumentu. Po prostu skandal!

– Skandalem jest to, panie kapitanie, że wiemy o zniknięciu tych papierów dopiero teraz – odpowiedział mu ostrym tonem Fischer. – Teraz sprawa zniknięcia Karpińskiego z dokumentami wojskowymi, tajnymi dokumentami wojskowymi, nabiera zupełnie innego wymiaru. Jeśli do tego dodać jeszcze próbę zabicia sierżanta Okonia, to już mamy do czynienia z poważną aferą, a nie skandalem.

– I tu się z panem całkowicie zgadzam – Jażdżewski, który zdawał się w dalszym ciągu nie rozumieć, o co chodzi komisarzowi, z powagą pokiwał głową. – To, że próbowano zabić Okonia, to poważna afera. Tylko kto chciał go zabić? Musimy się tego dowiedzieć za wszelką cenę. Wczoraj wieczorem byłem nawet u niego w szpitalu, ale był nieprzytomny. Lekarz powiedział mi, że nie wiadomo, kiedy może odzyskać przytomność i czy w ogóle przeżyje. Powiadam panu, że to skandal.

– Rozmawiałem z nim.

– Co? – Jażdżewski zdziwiony spojrzał na Fischera.

– Wczoraj, jak tylko wróciłem ze Schneidemühl i dowiedziałem się o wszystkim, zaraz pojechałem do szpitala na Libelta. Miałem szczęście, bo Okoń był właśnie przygotowywany do operacji, a lekarz się zgodził dopuścić mnie do niego. Podwójne szczęście, bo Okoń był przytomny.

Więc zdążył mi powiedzieć, kto go próbował zabić.

– Kto to był?

Fischer wbił widelec w ostatni kęs kielbasy, spokojnie nałożył nań grubą warstwę chrzanu, a potem włożył go do ust. Tymczasem Jażdżewski przerwał jedzenie i z napięciem wpatrywał się w policjanta, jakby samym spojrzeniem chciał przyspieszyć proces gryzienia kielbasy. Nie na wiele się to jednak zdało. Fischer spokojnie zjadł, a potem popił jedzenie sporym łykiem grodziskiego. W końcu otarł usta serwetą, a gdy już ją odłożył na stół, uśmiechnął się do oficera.

– To pański kolega. Porucznik Karpiński próbował zabić naszego Okonia.

Oczy kapitana zrobiły się wielkie ze zdziwienia, a łyżka wypadła mu z ręki i z brzękiem uderzyła w brzeg talerza. Uderzyła na tyle głośno, że dwaj mężczyźni siedzący przy najbliższym stoliku natychmiast skierowali w ich stronę zaintrygowane spojrzenia. Zaraz jednak wrócili do przerwanej rozmowy, bo spadająca łyżka nie była obiektem, który mógłby przykuć na dłużej ich uwagę. Gdyby tylko wiedzieli o czym rozmawiają ze sobą ten oficer policji z oficerem wojska, zapewne zrobiliby wszystko co możliwe, żeby z tej wymiany zdań nie uronić ani słówka, bo rozmowa o szpiegostwie była znacznie bardziej fascynująca niż ta pochłaniająca ich konwersacja na temat cen koni pociągowych. Fischer i Jażdżewski rozmawiali jednak na tyle cicho, że ich głosy rozpląwały się w ogólnej wrzawie czynionej przez pół setki innych klientów.

– To chyba niemożliwe – Jażdżewski pokręcił głową z niedowierzaniem. Jego świat wartości w ciągu ostatnich kilku dni wywrócił się do góry nogami. A wszystko za sprawą człowieka, który od wielu miesięcy był jego najbliższym współpracownikiem, wydawał się niezwykle obowiązkowy i kompetentny w tym, co robił, a co najważniejsze – zawsze twierdził, że dla niego honor oficerski, Ojczyzna i Bóg to bezdyskusyjnie najistotniejsze imponderabilia. A tu okazuje się, że ów honorowy patriota jest najpierw złodziejem, potem hochsztaplerem i mordercą, a do tego jeszcze szpiegiem! Świat wartości kapitana Jażdżewskiego właśnie stanął na głowie i nic nie wskazywało na to, żeby kiedykolwiek mógł znów wrócić na swoje miejsce w uporządkowanym wojskowym szeregu.

– Okoń znał go równie dobrze jak pan. Nie mógł się pomylić.

Kapitan milczał jeszcze przez chwilę. Potrzebne mu było to milczenie, żeby wszystko gruntownie przemyśleć. Fischer zdążył dopić piwo do końca, nie poganiając go. Spoglądał przez okno na plac Wolności, na taras kawiarni „Café Esplanade”, w której serwowano gościom niezwykle popularne, słynne w całym Poznaniu lody włoskie i na stojący po przeciwległej stronie placu piękny secesyjny budynek domu handlowego Hasse & Co, przed którym jak zwykle kłębiły się tłumy poznaniaków.

– Trzeba go łąpać. Jak najszybciej łąpać i wsadzić do więzienia – rzucił zdecydowanym głosem Jądzewski.

– Bardzo słusznie, panie kapitanie, tylko jak pan to sobie wyobraża?

– Jak to jak? Zwyczajnie. Trzeba rozesać za nim listy gończe, przeszukać całe miasto. Nie mam pojęcia, jak dokładnie. Pan jesteś policjantem i pan się na takiej robocie zna najlepiej. Co ja będę panu gadał. Trzeba go pod sąd i kula w łeb!

Fischer uśmiechnął się lekko, a potem skinął na kelnera. Mężczyzna w białym fartuchu do kolan, białej kamizelce i w czarnym fraku natychmiast podszedł do stolika.

– Daj pan jeszcze pilznera dla mnie, a dla pana kapitana?

– Ja chyba już piwa nie dam rady. Dawaj pan ćwiartkę Wyborowej.

Gdy kelner odszedł, kapitan poczuł, że musi się jakoś wytłumaczyć Fischerowi.

– Ja wiem, że wódka tak od rana to pewien nietakt, ale po tym, co usłyszałem, poczułem, że muszę się napić.

– Daj pan spokój – Fischer machnął ręką zniecierpliwiony. – Też się mogę napić, żebyś pan nie myślał, że go oceniam.

Zimna butelka i szklanica piwa stanęły na stole, nim minęła minuta. Stuknęli się kieliszkami i wypili.

– A wracając do poszukiwań – zaczął policjant, odłożywszy na stół serwetę, którą przetarł usta. – List gończy wykluczony.

– A to czemu? – zdziwił się żołnierz.

– A chciałbyś pan, żeby zaraz w mieście wszyscy się dowiedzieli, że szukamy zbiegłego oficera? Że tropimy szpiega?

– To jak to trzeba zrobić?

– Niech już o to głowa pana nie boli. Jak sam pan zauważył, policja ma swoje sposoby.

Mówiąc o sposobach, miał na myśli kilkudziesięciu agentów policyjnych, którzy już od kilku dni mieli uszy i oczy szeroko otwarte. Całą tę śledczą maszynę uruchomił zaraz po tym, jak stwierdził, że trup bez głowy to nie jest Karpiński. Już wtedy był przekonany, że oficer ukrywa się gdzieś na terenie miasta, dlatego wyciągnął z akt dowódcy pułku jego zdjęcie i z nim wywiadowcy rozeszli się do swoich agentów. Wczoraj, po rozmowie z Okoniem, poszedł z tym zdjęciem do zakładu fotograficznego na Ratajczaka, który jak zwykle w niedzielę był otwarty, bo w wolny dzień przychodziło tu wielu odświętnie odzianych ludzi, by zrobić sobie fotografię. Kazał więc fotografowi na poczekaniu wyretuszować zdjęcie, z munduru zrobić cywilne ubranie, a na gębie dodać kilkudniowy zarost. Fotograf znakomicie wywiązał się z zadania i wkrótce kilka odbitek nowego wizerunku Karpińskiego powędrowało w ręce piątki wywiadowców, podlegających bezpośrednio Fischerowi. Komisarz był pewny, że te poszukiwania wkrótce przyniosą sukces.

– Nie rozumiem, co go skłoniło do tego wszystkiego? – Jażdżewski zadał to pytanie, wcale nie patrząc na Fischera. Spoglądał gdzieś w głąb placu, w kierunku Bazaru. Komisarz dostrzegł natychmiast, że jego rozmówca wcale nie oczekuje na nie odpowiedzi. On rozmawiał ze sobą. Mimo to postanowił jednak przerwać ten wewnętrzny monolog.

– Powiem panu tylko, że gównu mnie obchodzi, co go skłoniło. Mnie obchodzi jedno. Chcę, żeby ten człowiek trafił na stryczek. I powiem panu jeszcze, że osobiście dopilnuję, żeby tak się stało. Ale jeśli Okoń umrze, to damę panu słowo, że stryczek nie będzie potrzebny.

Usch/Ujście

Godzina 11.30 przed południem

Sklep masarski Antkowiaka znajdował się tuż obok głównej ulicy miasta, niedaleko mostu granicznego. Trzeba było tylko zjechać w prawo, w pierwszą brukowaną uliczkę za mostem i przejechać jakieś sto metrów. Po lewej była piekarnia, a po prawej rzeźnictwo wraz ze

sklepem. Ten zakład cieszył się bardzo dobrą opinią wśród mieszkańców Ujścia, bo jako jeden z nielicznych w mieście słynął ze sprzedaży dobrych i tanich obrzynków. To było to wszystko, co zostawało z krojenia kiełbas i szynek z poprzedniego dnia handlowego, a czego za nic nie kupiłby poważny klient nastawiony na solidne zakupy. Obrzynki zaś kupowali najbiedniejsi, których nie stać było na zakup normalnych wyrobów. One były jak loteria, bo nigdy nie wiadomo, co się w nich znajdzie, czy będą tam resztki szynki, czy też przeważać będą końcówki kiełbas, a może salcesony i kaszanki? Ale nie można było wybrzydzać. Przy ładowaniu obrzynków do papierowych tytek nie było co liczyć na to, że sprzedawca wybierze jakieś lepsze kęski. On ładował jak leci i dopiero w domu kupujący miał szansę się przekonać, z czym będzie jadł chleb w najbliższych dniach. Ci, którzy kupowali obrzynki wcześniej rano – bo żeby je dostać, trzeba było już koło piątej ustawić się w kolejkę, ponieważ dla wszystkich amatorów tego specjału nie starczało – przed południem znów wracali pod sklep, żeby poczekać na kiszczonkę, wodę po parzeniu kiszek, która była doskonałą bazą do gotowania kapuśniaku czy kartoflanki. Teraz przed rzeźnikiem czekało już kilkanaście kobiet z aluminiowymi kankami w dłoniach. Niektóre stały pojedynczo, oparte o ceglana ścianę budynku, inne, zbite w grupki po trzy czy cztery, rozmawiały o swoich problemach, dzieląc się ze znajomymi własną biedą. To były żony i matki bezrobotnych, którzy od rana stali pod bramą huty szkła, licząc na jakiś doraźny choć zarobek, na to, że majster wyjdzie z fabryki i wskaże palcem tego, do którego uśmiechnie się szczęście i dostanie pracę do końca dnia albo może i na kilka najbliższych dni, bo i takie sytuacje ostatnio się zdarzały. Robotnicy mówili między sobą, że podobno huta ma zwiększyć wkrótce produkcję butelek na niemiecki rynek. Ale ile było w tym prawdy, tego nikt nie wiedział. Trzeba było cierpliwie czekać aż wreszcie nadarzy się okazja. Kobiety też czekały cierpliwie, bo nigdy nie było wiadomo, kiedy kiszczonka będzie w sprzedaży. To wszystko zależało od tego, jak szybko z dzisiejszą robotą uwiną się masarze, a ci zawsze mieli czas, bo przy parzeniu kiełbas nie wolno się było spieszyć i parzyć ich w zbyt gorącej wodzie, żeby przypadkiem nie popękały flaki.

Drzwi od sklepu otworzyły się i wszystkie kobiety spojrzały w tamtym kierunku z nadzieją. Ale nie był to jeszcze sygnał do zakupów. To tylko ci

dwaj Niemcy z tego lśniącego samochodu, który stał zaparkowany po drugiej stronie ulicy, wychodzili obładowani starannie zapakowanymi w szary papier i obwiązanymi sznurkiem paczkami z wędlinami. Niemcy kupujący tutaj byli częstym widokiem, dlatego nie zrobili na kobietach najmniejszego wrażenia. Wrażenie za to robiły ogromne paczki, w których musieli przenosić kielbasy z co najmniej połowy świniaka. Patrzyły więc na te pakunki z zazdrością, bo żadna z nich nie mogła nawet marzyć o podobnych zakupach. Każda jednak wiedziała, że jeśli jej mężczyzna w końcu dostanie robotę, wtedy za pierwszą wypłatę przygotują w domu prawdziwą ucztę, podczas której na stole pojawi się grochówka albo kapuśniak, gotowane już nie na kiszonce, ale na najprawdziwszym boczku i kielbasie polskiej.

Obładowany paczkami Carl zatrzymał się przy burcie auta. Kowalski podszedł zaraz za nim, ułożył swoje paki na przednim siedzeniu, a potem ruszył do przytroczonej skórzanymi pasami tylnej burty bagażnika, żeby go otworzyć. Nawet nie spojrzał na przykutego kajdankami do klamki drzwi przemytnika. Mężczyzna siedział osowiały i obojętny na to, co działo się dookoła. Przez chwilę tylko się ożywił, gdy poczuł zapach wędzonek, ale natychmiast zobojętniał znowu, gdy uświadomił sobie, że nikt nic mu do jedzenia nie da, bo te pachnące smakowitości nie są dla niego. A on był głodny, bo od wczoraj nic nie jadł. Polacy nie mieli zamiaru specjalnie dokarmiać jakiegoś szwabskiego przemytnika, więc wczoraj dostał tylko kawałek chleba i kubek wody. Za to dziś nie dali mu już niczego, bo jak mu wyjaśnił policyjny strażnik, został już skreślony z ewidencji w związku z transportem do Poznania, dlatego tu, w Ujściu, żadne żarcie już mu nie przysługuje.

Kowalski otworzył bagażnik, do którego zaraz trafiły wędliny przyniesione przez porucznika. Potem Fritz zapakował te, które wcześniej położył na siedzeniu kierowcy. Gdy zabezpieczył pasami klapę, natychmiast poszedł z korbą do przodu, żeby odpalić silnik.

Aschmutat usiadł na miejscu pasażera. Pogrzebał w kieszeni marynarki i wydobył z niej jakiś papier. Rozwinął go, a potem odwrócił się do siedzącego z tyłu aresztanta.

– Jadłeś co dzisiaj? – zapytał z troską w głosie. Zdziwiony przemytnik Hans Hapke w odpowiedzi tylko pokręcił głową.

Carl wyciągnął do niego rękę, w której na papierze leżała smakowicie

wyglądająca, a jeszcze lepiej pachnąca wędzona kiełbasa polska.

– No to bierz i jedz, żebyś poczuł, jaka jest różnica między niemiecką policją, a tą, pożał się Boże, polską.

Nie trzeba go było specjalnie zachęcać. Chwycił kiełbasę i zaraz odgryzł wielki kęs.

Kowalskiemu udało się w tym czasie uruchomić motor. Podeszedł do drzwi i w specjalnym drewnianym schowku, umieszczonym na progu auta, położył korbę. Potem wytarł dłonie w szmatę i zaraz usiadł na miejscu za kierownicą.

– Nie szkoda panu kiełbasy? Ten wór na gównu nawet nie doceni tego, cośmy dla niego zrobili.

– Doceni, doceni – zaśmiał się Carl. – On już widzi, że Niemcy to naród cywilizowany i nie bijemy więźniów bez potrzeby, dla samej rozrywki, jak ci Polacy. Co, Hapke? – odwrócił się do przemytnika, który zajęty był przeżuwaniami świeżo uwędzonego mięsa – doceniasz to, co dla ciebie robimy?

– Tak jest! – odpowiedział Hapke, parszkając śliną.

– Widzisz, Fritz? Pan Hapke docenia.

Obaj siedzący z przodu mężczyźni zdjęli swoje kapelusze, rzucili je na tylne siedzenie obok aresztanta, a potem nałożyli skórzane pilotki i gogle na oczy.

Kowalski zwolnił hamulec i auto ruszyło. Aschmutat był zadowolony. Wszystko powiodło się znakomicie. Udało się wyciągnąć przemytnika z polskiego aresztu, choć na początku nic nie wskazywało, że to się powiedzie. Trafili bowiem na niezbyt życzliwego oficera policji. Komendant nadgranicznego posterunku Policji Państwowej przyjął ich bez zbędnych ceregieli, ale gdy dowiedział się, w czym rzecz, natychmiast przestał być uprzejmy.

– A co mnie obchodzi wasze śledztwo. Ja mam swoje rozkazy i rozkazami się muszę kierować – wyjaśnił płynną, choć zdradzającą chłopskie pochodzenie niemczyzną. Nie słyhać w niej było jednak żadnych szeleszczących polskich naleciałości i to natychmiast usposobiło Carla do niego przychylnie. Początkowo chciał być równie oschły i zasadniczy, ale potem pomyślał, że więcej zdziała, prezentując nienaganne maniery i nie pozwalając sobie na emocje.

– Gdzie pan walczył podczas wojny, panie poruczniku? – zapytał

przyjaznym tonem.

Siedzący za swoim biurkiem Polak zmierzył go badawczym spojrzeniem, ale widać nie wyczuł w tym pytaniu niczego złego. Podkreślił sumiastego węża, a potem z dumą powiedział:

– Pływałem w łodzi podwodnej.

– O! – Carl pokiwał głową z uznaniem. – Chwalebna służba. Na łodziach podwodnych pływali najlepsi z nas.

Policjant chrząknął, najwyraźniej zadowolony, i lekko przełknął komplement.

– Ja natomiast byłem w piechocie, na froncie francuskim.

– No, wyście też przeszli tam niezłe piekło – przyznał Polak, rewanżując się frontowemu koledze.

– Mój kolega – wskazał głową, siedzącego na krześle pod ścianą Kowalskiego – to też frontowiec.

Policjant z uznaniem pokręcił głową. Carl wiedział już, że teraz będzie mu łatwiej.

– My, którzyśmy wspólnie przelewali krew, powinniśmy sobie pomagać, niezależnie od tego, czy dzielą nas teraz jakieś nowe granice.

Policjant skinął głową na znak, że doskonale rozumie, w czym rzecz. Rozumie, ale co może zrobić? Rozłożył bezradnie ręce.

– Wiecie panowie, jak to jest. Służba to służba i już.

– Oczywiście, że rozumiemy – zgodził się z nim Aschmutat – ale przecież bywają takie sytuacje, kiedy można odstąpić od zasad. Niech pan nie myśli, że namawiam go do złamania rozkazu. Co to, to nie. Ale myślę, że idąc nam na rękę, może pan osiągnąć zdecydowanie więcej, niż gdyby pan przekazał tego przemytnika, zresztą jednego z wielu, których zatrzymujecie na granicy, dalej do Poznania.

Policjant zmarszczył czoło, przeprowadzając dogłębną analizę tego, co powiedział Niemiec. Ciekawe, co on chce powiedzieć, mówiąc o osiągnięciu czegoś więcej? Czyżby proponowali mu łapówkę? Na łapówkę w żadnym wypadku nie może się zgodzić. Gdyby jakiś Polak chciał mu dać w łapę, to co innego. Od Polaków brał, ile się tylko dało, ale od Niemców? Pokażna część jego dochodów to były pieniądze pochodzące od przemytników, którzy opłacali haracz za umożliwienie spokojnej pracy w nadgranicznym obszarze, jednak ci, z którymi miał umowę, to byli nasi. Co do Niemców to może i warto było się z nimi też

jakoś się ułożyć, no ale z drugiej strony nie miał przecież pewności, że to nie jest jakaś prowokacja, o której później napiszą w niemieckich gazetach po to, żeby wywołać międzynarodowy skandal.

– Niech pan nie myśli, że nam chodzi o jakąś brudną intrygę – odezwał się Carl, domyślając się rozterek policjanta. – Nie chodzi nam też o jakąkolwiek formę przekupstwa. My chcielibyśmy zaproponować panu prosty układ. Jeżeli pan wyda nam tego człowieka, ja dam panu natychmiast oficerskie słowo honoru, że gdy pan zwróci się do nas z podobną prośbą, jak najbardziej pójdziemy panu na rękę.

Twarz polskiego policjanta rozjaśnił szeroki uśmiech. To była propozycja z tych, których nie powinno się odrzucać. Natychmiast pomyślał o tym, ile mógłby zarobić, gdyby okazało się, że ma możliwość wyciągnięcia kogoś z niemieckiego aresztu. Jak to dobrze, że postawił się temu podkomisarzowi z polskiej Straży Celnej i wyciągnął od niego tego Hapke. Żołnierz chciał sam zawieźć go do Poznania, jednak on z czystej złośliwości powołał się na instrukcję Policji Państwowej, która jasno i wyraźnie regulowała tryb przekazywania Policji zatrzymanych na granicy przemytników. Ci zatrzymani przez wojsko mieli trafiać niezwłocznie do aresztów policyjnych, dlatego zażądał natychmiastowego wydania Niemca. No i teraz okazało się, że miał rację, walcząc o niego.

– To znaczy, że gdy zadzwonię do pana i powiem, że macie u siebie jakiegoś Iksińskiego, co my się nim interesujemy, to nam go oddacie?

– Niezwłocznie – potwierdził Carl, który wcale nie miał zamiaru dotrzymywać tych zobowiązań, jeśli sprawa dotyczyłaby jakiegoś poważnego przestępcy, ale jeśli się rozchodzi o drobnicę, to dlaczego nie?

– Sprawa załatwiona – powiedział Polak, uderzając otwartą dłońią w blat biurka, zadowolony z dobicia targu.

Automobil minął drewniany piętrowy dom Grenzchutzu we wsi Küddowtal. Po prawej i po lewej stronie drogi zaczynały się lasy, które ciągnęły się aż do granicy Schneidemühl. W pewnej chwili auto prowadzone przez Kowalskiego zwolniło, a potem wjechało w leśną drogę. Zdezorientowany Hapke zaczął nerwowo rozglądać się dookoła. Opel zatrzymał się na skraju niewielkiej polany. Aschmutat zdjął z oczu okulary i przesunął je na czoło. Sięgnął po papierosa i zaraz go zapalił.

Tymczasem Kowalski wyszedł z auta, otworzył tylne drzwi i odpiął

kajdanki, którymi Hapke przypięty był do klamki.

– Już nie będą ci potrzebne – wyjaśnił coraz bardziej zdziwionemu przemytnikowi.

– Chcesz papierosa? – Carl odwrócił się do więźnia. Ten potwierdził skinieniem głowy i zaraz wyciągnął rękę do podsunętej mu srebrnej papierośnicy.

– No to pal szybko – powiedział Kowalski – bo może to twój ostatni papieros w życiu.

– Jak to? – zdezorientowany Hapke spojrzał na podoficera. A ten dla podkreślenia powagi sytuacji sięgnął do kieszeni, wy dobył z niej wojskowego lugera i spokojnie przeładował pistolet.

– Wsiadaj! – rozkazał.

– Ale panowie, o co się rozchodzi?

– Dalej, wyłaź!

– Przecież nie możecie mnie zastrzelić!

– Jak to nie możemy? – Aschmutat uśmiechnął się zadowolony. – My wszystko możemy, prawda Fritz?

– Oczywiście. Myślisz, że ktoś nas będzie rozliczał ze śmierci jakiegoś przemytnika, który próbował uciekać?

– Ale ja nie uciekam. Przecież ja nic nie zrobiłem.

– Dalej, wsiadać! – Kowalski przyłożył mu pistolet do głowy. Hapke spojrzał błagalnie na Carla, który spokojnie palił swojego papierosa.

– Panowie, proszę! Za co chcecie mnie zabić? Panie oficerze, proszę! Zrobię wszystko, co pan każe.

Aschmutat znów się uśmiechnął.

– Mówisz, że wszystko?

– Tak jest, panie oficerze.

– Poczekaj, Fritz. Pan Hapke chce z nami współpracować.

– Po co nam taki śmieć do współpracy?

– No, nie przesadzaj. Może się przydać.

– Na pewno mogę się przydać – potwierdził szybko przemytnik.

– Skoro tak, to zobaczymy, czy rzeczywiście pan Hapke chce z nami współpracować. Proszę nam więc łaskawie powiedzieć, gdzie możemy znaleźć pana Güntera Nowaka.

Hapke wypuścił z sykiem powietrze. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Cena, za jaką miał uratować życie, nie była zbyt wygórowana.

Co go obchodził w końcu ten Nowak? Już raz dostał za niego lanie od tego polskiego oficera. A teraz mógł taką drobną informacją wyratować się z opresji. Cóż za wybór?

– Nowak uciekł do Posen.

– E, panie Hapke, co to za nowina? Tyle to już wiemy od Polaków. Chyba jednak chce pan skończyć ten dzień z nową dziurą w głowie.

– Nie, panie oficerze. Nie chcę. Na pewno nie chcę. Polakom powiedziałem, że on jest w Posen. To prawda. Ale nie powiedziałem, gdzie można go znaleźć.

– Czyli gdzie? – zapytał Carl.

– Miał się przyczaić w domu u swojej siostry. Ona nazywa się Gertruda Piszczala i mieszka przy ulicy Żydowskiej w kamienicy numer jeden.

– Skąd to wiesz tak dokładnie? – nie dowierzał mu jeszcze Kowalski.

– Sam Nowak mi powiedział. Jak Boga szczerze Kocham. Powiedział mi na wszelki wypadek, że jakby co, to tam można go szukać.

– Żydowska numer jeden, powiadasz?

– Pewne na mur.

– Wiesz, że gdyby się okazało, że tam nie mieszka żadna Pis... – Carl zahaczył się na tych szeleszczących głoskach. Zaraz jednak pomógł mu Hapke, który po polsku mówił tak samo dobrze, jak po niemiecku.

– Piszczala Gertruda. Mieszka tam na pewno, panie oficerze.

– No dobra, Hapke. Sprawdzimy wszystko. Fritz, jedziemy.

Kowalski schował na powrót do kieszeni swój pistolet i zaraz zajął miejsce za kierownicą.

– A co ze mną? – zapytał przemytnik.

Aschmutat wzruszył ramionami.

– Co z tobą? A możesz iść w cholere. – Powiedziawszy to, klepnął Fritza w ramię, po czym założył gogle na oczy. Opel torpedo wolno ruszył, pozostawiając na leśnym dukcie oszołomionego Hapke, który cały czas nie mógł uwierzyć, że wszystko tak dobrze się dla niego skończyło. Po chwili dźwięk samochodowego motoru rozplynął się w oddali, ale natychmiast zastąpił go świergot ptaków uwijających się w koronach sosen.

Godzina 1.25 po południu

– Tolek już nie ten, co dawniej – powiedział Krystian Kaźmierczak, najmłodszy z trójki braci Kaźmierczaków.

– Głupiś jak but, Krystek – spojrzął na młodego brata z drwiną w oku Walenty Kaźmierczak, ten najstarszy z ich trójki i oczywiście cieszący się największym poważaniem w rodzinie, bo skończył już dwadzieścia sześć lat i dawno przestał być wyrostkiem. Młody nic nie rozumiał z życia, bo jeszcze był za młody. Wszystko trza było mu wyklądać po kolei, jak w szkole. Może dlatego, że do tej szkoły za długo nie chodził? Cierpliwości starczyło mu zaledwie na trzy klasy powszechniaka, podczas gdy on miał ich aż pięć.

– Za młody żeś jest, żeby wiedzieć, w czym rzecz.

– Że niby jak? – obruszył się Krystek.

– A srak! – wtrącił się Leon Kaźmierczak, który choć nie wiedział, o co chodzi najstarszemu, na wszelki wypadek wolał trzymać jego stronę.

Najstarszy był oczywiście najsilniejszy i niepolitycznie było się z nim sprzeczać. A że Leon był bystrym młodzieńcem, nie miał zamiaru się z nim wyklócać, choć i on uważał, że z Tolkiem dzieje się coś dziwnego od czasu jak się zwąchał z tą Kryską. Przecież jeszcze nigdy nie było takiej sytuacji, żeby nie przyszedł na spotkanie, podczas którego mieli omówić szczegóły kolejnego skoku. Tymczasem wczoraj właśnie tak się zdarzyło. Czekali na niego ładnych kilka godzin, ale się nie pojawił. Pewnie nie chciało mu się wyjść z łóżka, bo co innego mogło mu w tym przeszkodzić?

Wieczorem w końcu Walek nie wytrzymał i zostawiwszy braci w knajpie, przy flasce wódki, poszedł do mieszkania Kryski, w którym od kilku dni mieszkał Tolek. Wrócił po jakiejś godzinie, jakoś dziwnie pochmurny, a na pytania braci o ich kompana tylko odburknął coś niemiło i dopił wódkę z butelki, osuszając ją do samego dna. Dziś dopiero powiedział im, że spotkają się z Tolkiem jak zwykle w knajpie „U Okonia” i – co najważniejsze – zapewnił, że tym razem Tolek się pojawi.

Pytali go oczywiście, o co w tym wszystkim chodzi, ale zbył ich machnięciem ręki. Powiedział tylko tyle, że w spotkaniu weźmie udział ich znajomy, Czechu Pacuła, na którego wszyscy mówili Korbol. To była

arcyciekawa informacja, bo jak dotąd nigdy nie pracowali z Korbolem. On był złodziejem samotnikiem, co robił w kieszeniach, czyli był doliniarzem, a nie włamywaczem jak oni. Jeśli więc Czechu miał przyjść na spotkanie, znaczyło to zapewne, że Tolek chce skorzystać z jego umiejętności artystycznych i kazać mu podprowadzić klucze z kieszeni właściciela. I to też było dziwne, bo zazwyczaj obchodzili się bez kluczy i wchodzili do mieszkań albo przez okno, albo przez drzwi na rympał za pomocą brechy.

Ubrany jak do kościoła, w elegancki brązowy garnitur z kamizelką i do tego z zieloną muszką pod szyją, Czechu Korbol wszedł do knajpy. Dostrzegłszy poprzez kłęby taniego tytoniowego dymu trójkę braci siedzących w kącie, przy stoliku na lewo od wejścia, ruszył w ich kierunku, przeciskając się pomiędzy krzesłami zajętych przez amatorów piwa i wódki. Podszedł do stolika, stanął tuż przy nim i uśmiechnął się szeroko, uchylając kapelusza.

– Szacuneczek dla szanownych kolegów po fachu – powiedział zadowolony złodziej. – Coście tak kluki pospuszczali jak smutne orangutany w niedzielny poranek w poznańskim Zoogarten? Nie macie bejmów na piwo czy jak?

– Młody, przynieś cztery kufelki – polecił najstarszy z braci, który jednocześnie wskazał Korbolowi puste krzesło.

Ten najpierw zawiesił kapelusz na ściennym wieszaku, a potem rozsiadł się wygodnie. Po chwili kufle stały już na stole. Korbol pociągnął solidny łyk, a potem mlasnął zadowolony, bo piwo było świeże i do tego jeszcze odpowiednio schłodzone. Knajpa „U Okonia” słynęła z głębokich piwnic, dlatego piwo zawsze miało tu właściwą temperaturę.

Postawił kufel na stole i spojrzał na poważną gębę Walka.

– Stało się co? – zapytał. – Jak Tolek przyjdzie, to powie – wyjaśnił zapytany tonem, który wyraźnie wskazywał, że nic więcej nie powie.

– Ale pogodę mamy dzisiaj – rzucił więc Korbol, żeby powiedzieć cokolwiek. – Klara dziś jak w lipcu. A tu jeszcze marzec.

Nikt jednak nie podchwycił tematu i zapadła niezręczna cisza. No to Korbol spróbował jeszcze raz.

– A ty, Młody, jużś jajka pomalował? Bo do święconki z koszykiem to pewnie ciebie famuła wysyła, bo żeś najmłodszy.

Młody spojrzał na niego tak, jakby chciał go zabić, ale na szczęście dwaj

pozostali bracia roześmiali się z udanego żartu. Od lat żaden z nich nie chodził do kościoła, bo niedziele to były dni ich normalnej pracy, a w święta owszem, dzielili się jajkiem, ale święciła je za nich sąsiadka. W najbliższą sobotę też nie planowali święconki.

– Dobrze, żeś przypomniał. Jajek się nakupi, a Młody pomaluje, ino że koszyczka w domu ni ma. Trzeba by gdzie podpieprzyć – powiedział poważnym tonem Walek. Najmłodszy z braci popatrzył na niego z niedowierzaniem i już chciał coś odpyskować, ale na szczęście dla niego przy stoliku stanął Tolek. Jego pogodna zazwyczaj gęba wyglądała na zmęczoną i niezbyt świeżą. Wrażenie to potęgowała dodatkowo niegolona od kilku dni twarz.

– Leć po jeszcze jedno piwo, Krystek – polecił Młodemu najstarszy z braci. Tolek zajął ostatnie wolne krzesło.

Zapadła cisza, którą po chwili przerwał Walek.

– No, tośmy tu są wszyscy, tak jakżeś chciał – zwrócił się do Tolka. – Czas, żebyś wszystkim powiedział, w czym rzecz i na jaką robote sie szykujemy.

Walek postawił przed Tolkiem kufel piwa, ale ten nawet na niego nie spojrział. Chrząknął tylko, a potem przebiegł wzrokiem po twarzach kolegów.

– Ide na mokrą robote – zaczął i zaraz zamilkł, jakby dalszych słów szukał w myślach. Mężczyźni czekali w skupieniu na szczegóły, bo choć byli złodziejami, którzy zajmowali się tylko złodziejskim rzemiosłem, to jednak oświadczenie nie zrobiło na nich większego wrażenia. Skoro tak mówił, to znaczy, że miał powód. Teraz musieli tylko poczekać na wyjaśnienia.

– I dlatego bede potrzebował pomocników.

– A co, gość ostry czy z obstawą? – zainteresował się natychmiast Krystek.

– Gość jak gość. Normalny. Ino że ci, co za nim stoją to siła. Więc trzeba wszystko zrobić tak, żeby żadnego śladu nie zostawić. Musi to być koronkowa robota.

– No to sprawa prosta jak prześcieradło – Leon wzruszył ramionami. Faceta w łeb, do wora i do rzeki. Śladu żadnego nie bedzie, bo go raki i węgorze w trymiga zeżrą na fest.

– A co to za fisza? – zapytał Walenty.

Tolek nie powiedział od razu. Zagryzł wargę, przez moment zastanawiając się, jak to powiedzieć. Ale nic nie wymyślił poza tym, że trzeba to zrobić zupełnie normalnie. Wiedział, że sprawa jest ryzykowana, bo jeśli ktoś ich nakryje, to wszyscy, jak tu siedzą, skończą na szubienicy. Zabicie policjanta to przecież nie jest zwyczajna sprawa. To sprawa jak najbardziej gardłowa.

– To policjant. Komisarz policji.

Przy stoliku zapadła kompletna cisza, a on znów poczuł wątpliwości. Czy aby na pewno dobrze robi, wciągając ich w to wszystko? Mógł przecież sam zacząć się na tego szkieła, wrazić mu kosę pod zebro i byłoby po sprawie. Ale tu pojawiały się problemy. Musiałby potem poradzić sobie z trupem i zupełnie sam pozbyć się ciała, a to było przedsięwzięcie nie dla jednej osoby. No i pozostawała jeszcze kwestia Kryśki. Ona nie powinna o niczym wiedzieć, żeby w żaden sposób nie była w to wszystko zamieszana, więc odpadało to proste rozwiązanie, kiedy on zacząłby się na policjanta, który przyszedłby do niej dziś wieczorem, tak jak jej powiedział. I stąd wziął się pomysł, żeby dopaść bydlaka w jego własnym domu. Dlatego potrzebny mu był doliniarz Korbol, który słuchał tej wymiany zdań z pozorną obojętnością. Gdy Tolek spojrział na niego, ten uśmiechnął się lekko. To mogło oznaczać tylko jedno: pierwsza część planu już się powiodła.

Wczoraj wieczorem wszystko to obmyślił. Gdy wreszcie zaczął normalnie i na chłodno analizować sytuację, a Kryśka w końcu usnęła, on doszedł do wniosku, że to jest najlepsze z możliwych rozwiązań. Dlatego wyszedł z domu i poszedł szukać Czecha Korbola, który był prawdziwym mistrzem w kieszonkowym fachu i dla którego wydobycie kluczy z czyjejś kieszeni było jak bułka z masłem. Tego wieczora szczęście mu sprzyjało. Znalazł doliniarza w knajpie „Pod Lwem” na Chwaliszewie. Czechu przepijał właśnie dzienny urobek, ale na szczęście nie był jeszcze pijany. Przysiadł się więc do jego stolika, od którego Korbol wygonił dwóch swoich młodocianych uczniów. Przyuczał chłopaków do zawodu, a oni w zamian za naukę odpalali mu połowę tego, co udało im się skroić w ciągu dnia. Natychmiast po minie Tolka dostrzegł, że sprawa jest poważna, więc szczony nie miały co szukać przy stoliku.

– Co cię trapi, przyjacielu? – zapytał, nalewając mu do szklanki wódkę.

Tolek bez słowa wypił, trąciwszy dnem swojego naczynia szklankę

Czecha. Otarł wierzchem dłoni usta, a potem spojrział prosto w szare oczy doliniarza.

- Trzeba mi kluczy do mieszkania.
- Od kogo klucze?
- Od policjanta.

Korbol aż gwizdnął, podkreślając w ten sposób wagę przedsięwzięcia i jednocześnie skalę ryzyka. Natychmiast zaczął zastanawiać się nad ceną, jaką powinien wziąć za swoją usługę.

- A policjant to niby kto?
- Znasz go, to komisarz.
- Na kiedy klucze?
- Na jutro.

- Bedzie trudno - pokręcił głową Czechu, kolejny raz podnosząc w myślach cenę za usługę. - Bedzie trudno, ale da się zrobić. Zrobimy go, jak bedzie rano wychodził z chaty. Chłopaki go zrobią, bo mnie to on zna za dobrze i jakbym wpadł przypadkiem na niego, to zaraz by się połapał w czym rzecz. Ale że sprawa jest trudna, bo policyjna, to moją ceną jest jedna trzecia fantów z chaty tego policjanta.

Tolek uśmiechnął się, a potem pokręcił głową.

- Z tego włamu nie będzie fantów. Z mieszkania nic nie może zginąć.
- Jak to? - zdziwił się złodziej, który pierwszy raz słyszał o włamaniu, które nie prowadziło do kradzieży.
- Musimy się tam dostać do środka, żeby tego gnoja zaszlachtować na miejscu.

Szare oczy Czecha zrobiły się wielkie z niedowierzania. Wiedział, że Tolek to szaleniec, ale żeby aż do tego stopnia, żeby porywać się na komisarza policji w jego własnym mieszkaniu? Zdaje się, że on kompletnie zwariował.

- Zwariowałeś? Chcesz go zabić w jego własnej chacie? Człowieku, przecież jak cie złapią, to masz jak nic czape.

- Musze to zrobić - spokojnie wyjaśnił Tolek, zapalając papierosa. W tym jego spokoju było coś tak lodowatego, że Czechu Korbol aż zadrżał, a na karku pojawiła mu się gęsia skórka.

- Czemu? Czemu musisz?

- Bo ten bydlak skrzywdził moją Kryśkę. Przyszedł do domu i ją... No wiesz. Wykorzystał i jeszcze pobił. Nie daruje mu tego. Nie moge...

Korbol odwrócił się do stolika za swoimi plecami i bez zbędnych słów wyjaśnił jednemu ze swoich chłopaków, że ma lecieć do baru po kolejną butelkę. Ten od razu zerwał się z krzesła, by wykonać polecenie swojego nauczyciela. Po chwili butelka czystej stała na stoliku. Doliniarz natychmiast rozlał wódkę do szklanek. Stuknęli się i wypili, a potem każdy sięgnął do talerza z kawałkami podsuszanej polskiej kiełbasy.

– To jest całkiem co inne – powiedział Czechu Korbol, przeżuwając aromatyczne mięso.

– Co? – nie zrozumiał jego intencji Tolek.

– To, cożeś mi powiedział.

– I co? Jak nie chcesz pomóc, to nie było godki. – Powiedział Grubiński, wstając od stołu.

Czechu złapał go za rękaw marynarki.

– Ja nie o tym. Siednij se spokojnie i słuchaj.

Tolek opadł na krzesło.

– Jak jest tak, jak powiadasz, to znaczy się – sprawa honorowa. Dla mnie racha to rzecz święta i dlatego masz u mnie te klucze zupełnie za darmo. Trzeba se pomagać, nie? – wyjaśnił, mrużąc przy tym oko.

Teraz, siedząc w knajpie „U Okonia”, Czechu Korbol uśmiechał się zadowolony. Jego uczniowie mieli wykonać swoją robotę rano, a skoro przyszedł, to znaczy, że wszystko się udało.

– I jak? – zapytał go Grubiński.

Czechu sięgnął do kieszeni i wydobył z niej dwa klucze połączone ze sobą metalowym kółkiem. Położył je na stole, a Tolek natychmiast przykrył je ręką.

– Jesteśmy z tobą – odezwał się Walenty Kaźmierczak, najstarszy z trójki braci. – Gadaj, co i jakżeś obmyślił.

Tolek pochylił się nad stolikiem, a jego kompani natychmiast zrobili to samo. Żaden z nich nie chciał, by ktoś postronny usłyszał cokolwiek z ich rozmowy.

– No to zrobimy tak...

Rozdział VIII

Schneidemühl

Godzina 2.20 po południu

Otto Feldmann zaklął cicho pod nosem. Mógł sobie pozwolić tylko na takie ciche przekleństwo, bo przy swoim szefie, majstrze zmianowym Horście Koenigu, lepiej było nie okazywać niezadowolenia, ale jeszcze gorzej było mu się sprzeciwić. Feldmann widział już nieraz, jak Koenig wpadał w szał i co robił z tymi, którzy próbowali w jakikolwiek sposób mu się postawić. Delikwent, który tego kiedykolwiek spróbował, nie zrobił tego nigdy więcej, bo majster potrafił drzeć się na swoich podwładnych jak prawdziwy kapral w cesarskiej armii, używając przy tym najwymyślniejszych wulgarnych określeń, wśród których chodzący worek na gówno stanowił jeden z łagodniejszych epitetów. Prócz krzyków Koenig potrafił też użyć pięści, a że mało który z jego podwładnych miał większe od niego łapska, skutki jego ciosów były łatwe do przewidzenia. Feldmann, jako człowiek dość niskiej postury, nie miał najmniejszego zamiaru wystawiać się na krzyki, nie mówiąc już o biciu po mordzie. Musiał bez szemrania zrobić to, co szef każe. A on bezczelnie kazał mu iść do wagonu stojącego na bocznicy pociągu, który za godzinę miał być podstawiony na peron czwarty, żeby ruszyć w kierunku polskiej granicy i miasta Posen. Pociąg był już wysprzątnany i przygotowany do drogi, a Otto Feldmann gotowy do wyjścia z pracy i udania się w kierunku centrum miasta. Był bowiem umówiony ze swoim przyjacielem Eugenem Kluske, który pracował w warsztatach na

miejscowym lotnisku. Ten Kluske właśnie obiecał mu, że pogada ze swoim majstrem w sprawie pracy dla niego. Otto zawsze chciał pracować przy samolotach, które uwielbiał, ale jakoś nie było mu dotąd dane znaleźć się nawet w pobliżu takiej maszyny. Od czasu do czasu obserwował tylko majestatyczne sylwetki tych podniebnych kolosów przemierzających niebo nad miastem. Marzył wtedy, że kiedyś będzie mógł zasiąść za sterami takiego cudu techniki, ale na razie mógł tylko o czymś takim pomarzyć. Jednak dzięki Eugenowi, koledze ze szkoły, który dostał pracę na lotnisku zaraz po zakończeniu służby wojskowej, teraz jego marzenia mogły się spełnić. Eugen powiedział mu, że w jego warsztacie szukają człowieka, który zna się na mechanice i biegły jest w silnikach mechanicznych, a on właśnie na silnikach znał się jak na niczym innym. Co prawda jego wiedza była wiedzą książkową, popartą niezbyt wielką, a właściwie można by powiedzieć żadną praktyką, ale w teorii był nie do pobicia. Przeczytał dosłownie wszystko na ten temat, co tylko wpadło mu w ręce. Do tego jeszcze był człowiekiem, który potrafił poradzić sobie z każdym problemem technicznym, choćby takim jak otwarcie każdego zamka. No i właśnie dlatego majster Koenig wezwał go do siebie, mimo że już był po swojej zmianie i szykował się do wyjścia.

– Słuchaj, Otto – zaczął miłym tonem, zwracając się do niego po imieniu. Otto był jednym z nielicznych podwładnych Koeniga, do którego ten zwracał się per ty. To świadczyło o tym, jak bardzo ceni jego sprawne ręce. – Pójdiesz na bocznice, bo tam szykują pociąg do podstawienia. Za godzinę będzie odchodził na Posen, więc jest jeszcze pół godziny czasu. Tam kobieta, co sprzątała wagony zameldowała, że jedna ubikacja jest zamknięta od środka, jakby się kto w niej zatrzasnął.

– Może tam jaki pijak śpi – próbował się jakoś wymigać Otto.

– Bzdura – warknął majster. – Pociąg przyjechał wczoraj. Jakby to był pijak, to by już pięć razy zdążył wyjść. Jest tam też na wszelki wypadek inspektor celny. Oni już wczoraj meldowali o zamkniętym kiblu, ale nie było komu go otworzyć wieczorem, jak pociąg przyjechał, więc opieczętowali cały wagon na bocznicę i czekali spokojnie, aż przyślemy kogoś do otwarcia. Tyle, że nikomu tego nie zgłosili. Zgłosiła to sprzątaczką, więc szybko trzeba tam iść.

– No dobra, zrobi się, panie majster.

Otto zarzucił swoją monterańską torbę na ramię i ruszył w kierunku drzwi prowadzących z warsztatu na peron.

- Jak się szybko uwiniesz, to zapiszę ci dodatkową godzinę - spróbował zmotywować go majster.

Ale nikt nie musiał go przekonywać, żeby pośpieszył się z robotą. Chciał zrobić wszystko jak najszybciej i pójść na Bromberger StraÙe do restauracji Augusta Reinkego, w której zamierzał się dziś nasłuchać do syta opowieœci o aeroplanach.

Knajpa le¿ała w niewielkiej odległości od wojskowych koszar i zawsze było tam pełno ludzi w mundurach, więc jego kolega Eugen czuł się w niej jak u siebie. A że mieszkał przy tej samej ulicy, było pewne, że się nie spó¿ni. Natomiast on musiał przejœć prawie całe miasto. Na szczœcie jako kolejarz mógł pójœć na Bromberger StraÙe wzdłu¿ torów kolejowych prowadzących w kierunku Danzig. Jeœli się pośpieszy, powinien dotrzeç na miejsce w ciągu mniej wiêcej dwudziestu minut. A mo¿e bœdzie miał tyle szczœcia, że akurat w tamtym kierunku bœdzie jechał jakiś pociąg ze znajomym maszynistą, wtedy na pewno załapie się na podwózkę. Ale to za jakiś czas. Teraz trzeba było zająç się tym cholernym kibelem. Nie przewidywał tu żadnych trudnoœci. Czêsto zdarzało się, że zapadki - te, które blokowały toaletę od œrodka - w chwili, gdy wychodził z niej pasażer, opadały samoistnie, pod wpływem normalnych wstrząsów wagonu podczas jazdy. Działo się tak wtedy, gdy delikwent po wyjœciu z ubikacji nie przesunął takiej zapadki do koñca w lewo, ale ustawił ją w pionie. Wtedy ubikacja blokowała się od œrodka i nikt nie potrafił sobie z tym poradziç. Nikt, kto nie znał się na tych zapadkowych zamkach i nie wiedział, jak dotrzeç do mechanizmu. A wystarczyło tylko odkręciç cztery œruby i za pomocą œrubokrêtu podwa¿yç zapadkę. Ot i cała filozofia. Na dobrą sprawę z czymś takim poradziłby sobie nawet konduktor. No, ale gdzie tam konduktor zajmowałby się drzwiami od kibla! Oni mieli przecie¿ tak wielkie mniemanie o sobie i swojej konduktorskiej robocie, że za nic w œwiecie nie zni¿yliby się do pracy ze œrubokrêtem w dłoni. Dlatego czêsto zdarzało się, że do stacji docelowej przyje¿dżał wagon z zablokowanymi drzwiami od ubikacji. Dobrze wiedzieli o tym celnicy, którzy nie robili natychmiastowego rabanu z powodu zatrzaœniętych drzwi w pociągu przyje¿dżającym zza granicy. Nie mieli powodów do podejrzeñ, że za

tymi zamkniętymi drzwiami przewożona jest jakaś kontrabanda. Jednak byli na tyle obowiązkowi, że zawsze któryś z nich, tak na wszelki wypadek, uczestniczył przy otwarciu kibla.

Otto minął wejście do tunelu prowadzącego na perony, kłaniając się dowódcy posterunku policji Schwartzowi, który bacznie lustrował ludzi wchodzących i schodzących po schodach. Policjant uśmiechnął się do niego i przyłożył dłoń do daszka swojej czapki. On również zasalutował po wojskowemu i przyspieszył kroku. Do bocznicy, na której stał pociąg, miał jeszcze jakieś dwieście metrów w kierunku zakładów remontowych kolei. Ciemnozielone wagony były już widoczne z daleka. Szybko przeszedł plac przed głównym wejściem do budynku dworca ozdobionego napisem Schneidemühl, na którym stały trzy dorożki czekające na pasażerów, którzy obładowani bagażami zechcą dostać się do miasta w komfortowych warunkach, nie niszcząc niepotrzebnie zelówek.

Celnik Webber pomachał ponaglająco ręką na jego widok. Zdaje się, że jemu też nie chciało się tu za długo siedzieć, ale podobnie jak Otto zmuszony był do spełnienia służbowego obowiązku.

– No, ile można czekać? – zawołał zniecierpliwionym tonem.

– Ile, to ja nie wiem – odpowiedział Otto. – Mnie dopiero co wysłał majster do odblokowania tych zasranych drzwi. Myśli pan, że za potrzebą ide do tego kibla? Jakby nie ten sracz to już bym prawie siedział nad kuflem piwa.

– No to nie ma co gadać – odparł pojednawczym tonem celnik. – Róbmy swoje i do domu, bo i ja też bym chciał już gardło przepłukać.

Odwrócił się i ruszył w kierunku wagonu. Przy drugim stała sprzątaczką w szarym fartuchu, białej chustce na głowie z wiadrem i szczotką na kiju. Ona była spokojna. Widać nie kończyła jeszcze pracy o tej porze. Pewnie popołudniowa zmiana – pomyślał Otto.

– Chyba będę musiał nauczyć panią otwierania tych cholernych drzwi, pani Strauss – powiedział do niej uśmiechnięty majster.

– O nie, Otto, moja robota to miotła i ściera. Nikt mi za otwieranie zamka nie zapłaci ani feniga.

– Nie zapłaci, to pewne, ale szybciej by pani miała swoją robotę zrobioną, jakby nie musiała tu na mnie czekać.

– A co, nie moge poczekać? A bo to mi sie spieszy? Stary na

lokomotywie w trasę pojechał, dzieciaki już na swoim, to nawet obiadu nie ma komu robić.

Otto chwycił się poręczy i sprawnie wskoczył na podest. Po nim zaraz wspiął się na górę celnik Webber. Sprzątaczką Strauss postawiła wiadro do góry dnem, wlaźła na nie i dzięki temu mogła bez trudu dostać się tak wysoko. Potem chwyciła miotłę, spuściła trzonek uzbrojony w metalowy haczyk i nim złapała rączkę wiadra, które wciągnęła do góry. Był to wypróbowany sposób wszystkich kobiet sprzątających pociągi, bo bez wiadra i szczotki z tym haczykiem za nic nie dałyby sobie rady z pokonaniem tak wysokiej przeszkody w wagonach, które stały na boczniczy.

Gdy znalazła się przy ubikacji, Otto akurat kończył rozkręcać zamek.

– Ostatnią śrubę wykręce i otwieramy to gówno – powiedział, dostrzegłszy kątem oka wchodzącą kobietę. Przekręcił śrubokręt i śruba spadła na podłogę. Podniósł ją natychmiast i włożył do kieszeni swojego roboczego drelichowego kombinezonu, bo była potrzebna do powtórnego skręcenia zamka. Podważył śrubokrętem okrągłą blaszkę, która wyszła z otworu, odsłaniając niezbyt skomplikowany mechanizm zatrzaskowy.

– O, pani patrzy, teraz śrubokrętem trzeba podważyć ten dynks...

– A na co mi tam patrzeć?

– I już!

Kłapka zapadki podniosła się do góry. Zadowolony mechanik wstał z kolan, otrzepał spodnie i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Był zadowolony, bo cała operacja nie zajęła mu więcej niż dwie minuty. Teraz tylko celnik zajrzy do środka i będzie mógł poskładać wszystko do kupy, a potem dalej – do knajpy na piwo.

– Proszę bardzo, zapraszam szanownego pana do kibla – zwrócił się do Webbera. Ten wzruszył ramionami, chwycił klamkę i pchnął drzwi. Ruszyły się zaledwie centymetr i dalej ani trochę.

– Co jest, do cholery? – zdenerwował się Webber.

– Coś tam musi być w środku – powiedział zdziwiony Otto, a potem sam sprawdził. Drzwi przesunęły się o dalszych kilka centymetrów. Obaj mężczyźni pchnęli je ramionami i wtedy ustąpiły tak, że można już było włożyć do środka głowę, co też natychmiast uczynił celnik z racji stanowiska i celniczej rangi. Tak jak ją włożył, od razu cofnął. Otto

spojrzał na niego i dostrzegł, że krew odpłynęła z urzędniczej twarzy, która stała się biała jak dobrze nakrochmalone prześcieradło.

– Pokaż pan, co tam jest – powiedział i nie czekając na pozwolenie albo tym bardziej zakaz, zajrzał do środka. Jego spojrzenie zatrzymało się na szeroko otwartych, nieco zmętniałych, jednak wyrazistych oczach mężczyzny, który siedział pod ścianą, na wprost drzwi. Człowiek opierał się jedną ręką o podłogę, a drugą przyciskał do brzucha, do miejsca, które całe przesiąknięte było zaschniętą krwią. Zresztą ta krew była wszędzie: na ścianie, w postaci podłużnej smugi, a także na podłodze, rozlana w nieregularną, przyschniętą już kałużę.

– Zabity na śmierć – skomentował znalezisko Otto głosem kompletnie pozbawionym emocji. Bo i skąd miałyby się wziąć emocje u człowieka, który w swoim krótkim, zaledwie dwudziestosześcioletnim życiu widział już całe stopy trupów, i to często w znacznie gorszym stanie niż ten tu siedzący na podłodze facet.

– Coś pan tak zbladł, panie Webber? Nieboszczyka żeś pan nie widział?

– Nieboszczyka? – podekscytowana sprzątaczką wcisnęła się między obu mężczyzn i zajrzała do środka. – Zimny trup – skomentowała. – Biedaczek, taki młody. Mógł jeszcze pożyć. Ale podłoga jaka zaświniona! I jeszcze ściana. Kto to teraz umyje? W życiu nie dam rady przed odjazdem pociągu. Nie mógł se cholernik jeden gdzie poza pociągiem ducha wyzionąć? A niech go cholera jasna weźmie...

– Widziałem niejednego – powiedział w końcu celnik Webber, który w końcu doszedł nieco do siebie. – Tyle, że tego to ja akurat dobrze znałem...

– I kto to teraz wszystko wysprząta? Tak tu naświnić, a jest tabliczka „Nie brudzić w ubikacji” – pani Strauss nie mogła się z pogodzić z tym jawnym naruszeniem przepisów kolejowych, które kategorycznie zakazywały brudzenia w ubikacjach. Przepisy były po to, żeby ich przestrzegać, a ona całkowicie się z nimi zgadzała. W końcu jako sprzątaczką zawodowo nienawidziła bałaganu, niezależnie od tego, jaka była przyczyna jego powstania.

Poznań

Godzina 3.30 po południu

Antoni Fischer siedział za biurkiem kapitana Jażdżewskiego i spokojnie palił swoją wiśniową fajkę. Z boku biurka krzesło przystawił sobie kapitan, który przeglądał po kolei każdą z teczek, tych wydobytych teraz z kasy ogniotrwałej.

– I do czego pan doszedł, kapitanie?

– Jest tak, jak stwierdziłem rano. Przede wszystkim dokumentacja naszej agentury z terenów przygranicznych. Zniknęły nawet pokwitowania wypłat pieniężnych.

– A ten podoficer to jak się nazywa?

– Starszy sierżant Witkowski.

– I co na jego temat udało się panu ustalić?

Jażdżewski wyprostował się na krześle, potem odchrząknął zadowolony. Widać, że miał wielką ochotę podzielić się z policjantem swoją wiedzą na temat podoficera, którą zebrał podczas kilku rozmów z weteranami pułku. To był właśnie jeden z tych, na których podczas ich pierwszej rozmowy u dowódcy pułku polecił mu zwrócić uwagę Fischer.

– Otóż ten Witkowski udzielał się dość czynnie w Radach Żołnierskich pod koniec wojny.

– Nie on jeden – wszedł mu w słowo Fischer, przypominając sobie natychmiast chaos ostatnich tygodni przed zawieszeniem broni. W niemieckiej armii zaczął się wtedy prawdziwy bolszewicki ferment, żołnierze zakładali czerwone opaski na rękawy i przejmowali władzę w koszarach. Działo się tak oczywiście nie na froncie, bo tam do końca panowała dyscyplina, ale w jednostkach tyłowych i w garnizonach miejskich. W zasadzie można powiedzieć, że niewiele brakło, a Niemcy stałyby się krajem bolszewickim. Tak też było i w Poznaniu, tyle że tutaj powstawanie rad żołnierskich sprytnie wykorzystywali Polacy, którzy wchodzili w ich skład przede wszystkim po to, żeby siać zamęt w armii, na wypadek gdyby polski żywioł chwycił za broń. Tak też się stało. Dzięki znacznym wpływom w tych radach Polakom udało się powstrzymać niemieckich żołnierzy od zdecydowanego wystąpienia przeciwko powstańcom w pierwszych decydujących godzinach wybuchu powstania.

W wielu wypadkach udało im się przekonać Niemców, że nie warto walczyć z Polakami i niepotrzebnie narażać życia w chwili, kiedy wojna już się skończyła. W tamtym czasie większość poznaniaków znalazła się więc w radach robotniczo-żołnierskich z poczucia patriotycznego obowiązku, ale nie można wykluczyć, że byli wśród nich i tacy, którzy znaleźli się tam z pobudek ideologicznych. Trzeba szczerze przyznać, że hasła komunistyczne miały siłę przyciągania, szczególnie dla najbiedniejszych, tych, którzy wiedzieli, że w powojennej rzeczywistości odnajdą się z trudem, czyli dla wszelkiej maści hołoty, która w bolszewizmie widziała jedyną drogę osobistej kariery. Bolszewizm mówił przecież jasno i wyraźnie, że każdemu coś się należy. I ci, którzy nigdy nie mieli nic, nie mieli też szans na osiągnięcie czegokolwiek z racji swoich mizernych zdolności, mogli uwierzyć rzeczywiście w to, że z racji samego bycia członkiem bolszewickiej wspólnoty mają prawo do przyszłości w komunistycznej wspólnocie, a co za tym idzie – w przyszłym egalitarnym luksusie. Taka ideologia była szczególnie atrakcyjna dla szumowin, bo nie dość, że obiecywała złote góry, to jeszcze wskazywała, skąd owe dobra pozyskiwać. Trzeba było je zabrać tym, którzy je już mają, czyli tym wszystkim, którzy dorobili się ich ciężką pracą. Bolszewizm był więc ideologią bandycką, która podobać się mogła ludziom o moralności bandyty.

Fischer, jako prawdziwy legalista i do tego jeszcze policjant, szczerze nienawidził takiego sposobu myślenia. Nic więc dziwnego, że każdego bolszewika traktował jak zwykłego bandytę, który zasługiwał tylko na pogardę. Jednak to wszystko uświadomił sobie podczas bolszewickiej wojny. Dopiero teraz, po latach zwrócił uwagę, jak jego poglądy na temat komunizmu z upływem czasu się zmieniały. Najpierw krzykaczy z czerwonymi opaskami na rękawach mundurów traktował jak zwykłych buntowników, których do buntu popchnęło zmęczenie latami wojny. Ale już wtedy zwrócił uwagę, że ci najbardziej rozkrzyczani, ci, którzy ciągną za sobą innych, to zazwyczaj największe kompanijne szumowiny i dekownicy. Wtedy uważał to za coś naturalnego, bo przecież podczas każdej rewolucji na wierzch wypływają wszystkie męty. Jednak podczas powstania, już w Poznaniu, było zupełnie inaczej. Wszystkie radykalne elementy, które mogłyby doprowadzić do niepokojów w powstańczych szeregach, zostały błyskawicznie spacyfikowane, a powstańcze wojska,

które miały jak najbardziej rewolucyjny i ludowy charakter, w ciągu kilku tygodni poddały się rygorom dyscypliny wojskowej, narzuconej przez oficerów takich jak on. Później, podczas wojny z bolszewikami, początkowo traktował komunistów jak przedstawicieli wrogiej armii. Wszystko się zmieniło, gdy zobaczył, do czego są zdolni.

Stojący między rozłożystymi lipami dwór z daleka wydawał się nietknięty przez wojenne działania. Obserwując opustoszałe zabudowania przez lornetkę, był przekonany, że mieszkańcy zdołali uciec przed bolszewikami. W całym obejściu nie było widać żywego ducha. Po dziedzińcu chodziła tylko jedna gdacząca kura, której czerwonoarmiści nie zamienili na rosół. Nic nie wskazywało, żeby to była zasadzka. Rusczy musieli zwać nad ranem, bo jeszcze wczoraj zwiad ułanów informował, że w dworze w Zalesiu siedzi jakiś oddział maruderów. O świcie dostał rozkaz, żeby pójść w tamtym kierunku i rozpoznać teren. Zabrał więc trzydziestu ludzi i na godzinę przed świtem ruszyli przez las, którego skraj dochodził do dworskich pól i drogi wiodącej do zabudowań. Upewniwszy się, że jest bezpiecznie, dał rozkaz Okoniowi, by ten poderwał ludzi, którzy zapadli z karabinami gotowymi do strzału na skraju lasu. Sam pierwszy wyszedł na pole. Po chwili jego ludzie sformowali tyralierę i oddział ruszył ostrożnie w kierunku zabudowań. Odległość jakichś stu metrów pokonali wolnym krokiem w dwie minuty. Po chwili byli już na podjeździe przed dworem. Tam się na chwilę zatrzymali. Wezwał do siebie Okonia.

Podoficer podbiegł szybko i zsalutował.

– Weź dziesięciu ludzi i idźcie do zabudowań gospodarczych od prawej strony. Olkiewicz niech z drugą dziesiątką zajdzie od lewej. Ja z resztą wchodzę przez dwór. Obejdźcie wszystko i za chwilę spotkamy się na dziedzińcu przed dworem.

– Tak jest, panie poruczniku! – odpowiedział sierżant i zaraz odszedł, by wydać rozkazy. Fischer ruszył po schodach do dworu. Podwójne drzwi były szeroko otwarte. Wszedł pierwszy i zatrzymał się w szerokim holu. Było w tym miejscu coś dziwnego. Kompletna pustka i całkowita cisza. Na podłodze walały się tylko jakieś papiery i porozrzucane szmaty.

Kazał żołnierzom spenetrować wszystkie pokoje. Po chwili został sam. Ruszył więc przed siebie, bo za drzwiami na wprost spodziewał się zastać bawialnię. Otworzył je i stanął jak wryty. Czegoś takiego nie mógł

wyobrazić sobie nawet w najgorszych koszmarach sennych. Na ustawionym na środku pokoju krzesło, przywiązany do oparcia, siedział nagi mężczyzna. Mimo że jego głowa zwisała bezwładnie, od razu dostrzegł, że jego twarz to jedna krwawa masa. Podobnie skatowane, obite karabinowymi wyciorami, o czym świadczyły podłużne krwawe pręgi, miał ramiona, ręce i nogi. Ale nie to było najstraszniejsze. Przed nim na podłodze leżało sześć nagich, poskręcanych, straszliwie zmaltretowanych ciał. Przez chwilę nie mógł ruszyć z miejsca, ale w końcu się przemógł. Podszedł bliżej. Najstarsza kobieta mogła mieć z sześćdziesiąt lat. Wiek dwóch, znacznie od niej młodszych, ocenił na jakieś trzydzieści. Pozostałe trzy to jeszcze dzieci. Ta najmniejsza z nich mogła mieć najwyżej sześć lat. Od razu dostrzegł, że wszystkie zostały zgwałcone. Zrobiło mu się słabo. Poczuł, że cała krew odpłynęła mu z twarzy, a zawartość żołądka podpływa do gardła. Ktoś jęknął za jego plecami. Odwrócił się gwałtownie. Człowiek na krzesle patrzył na niego udręczonym spojrzeniem.

– Za późno – powiedział cicho.

– Co tu się stało? – zapytał drżącym głosem. Ale właściwie nie oczekiwał żadnej odpowiedzi. Dobrze wiedział, jak musiała wyglądać ta scena.

– Proszę...– mężczyzna łapał powietrze z wysiłkiem. – Proszę, niech mi pan pomoże...

– Zaraz pana odwiążemy. Odwieziemy do lazaretu...

– Niech mi pan pomoże...

– Ożeż ty kurwa jego mać – jęknął Okoń, który wszedł do bawialni drzwiami prowadzącymi z tarasu.

– Niech mi pan pomoże odejść...

– Okoń, wołaj ludzi. Trzeba naszykować nosze. Jest tu jaki wóz?

– Nie...

– Panie poruczniku – przerwał mu sierżant – on prosi o śmierć.

– Przecież nie możemy...

– A pan chciałby żyć po czymś takim? – Okoń wskazał na ciała kobiet.

– Nie mogę...

Nagle ciszę rozdarł huk wystrzału. Głowa mężczyzny na krzesle eksplodowała. Obaj żołnierze natychmiast odwrócili się w prawo. W drzwiach stał Anastazy Olkiewicz z pistoletem w dłoni. Po jego twarzy

spływały łzy.

– Jego dusza i tak już umarła – powiedział i nie czekając na reakcję dowódcy, wyszedł z pokoju. Ale nawet gdyby tu został i tak nie doczekałby się żadnej reakcji. Fischer stał jak słup, nie wiedząc, co ma dalej robić. Na szczęście Okoń wiedział. On zawsze potrafił znaleźć się w każdej sytuacji.

– W stodole leży z pięćdziesiąt ciał, panie poruczniku, baby, chłopcy i dzieciaki. Wszystko zarżnięte szablami. Pewnie nie mieli już amunicji... Wysłałem już chłopaków do przodu na rozpoznanie. Może ich jeszcze gdzie dopadniemy. Daleko nie uszli, bo ciała jeszcze ciepłe...

Znaleźli ich wieczorem, jakieś dziesięć kilometrów od dworu. Grupa, może stu muzyków, posuwała się wolno, bo ciągnęli ze sobą wozy wyładowane zrabowanym dobytkiem. Na tych wozach wieźli ze sobą kilkanaście kobiet, które zabrali ze wsi dla zabawy. Stanęli na popas na niewielkiej polanie. Byli pewni siebie, bo rozpalili duże ognisko, na którym w ogromnym kotle gotowali jedzenie. Nie wystawili nawet wart, przekonani, że nikt ich tu nie znajdzie.

Fischer rozstawił swoich ludzi wokół polany i zakazał jakichkolwiek ruchów. Czekał, aż bandyci zasną. Trwało to dość długo, bo ci hucznie świętowali udaną rajzę, pijąc i gwałcąc. Niejeden z żołnierzy ruszyłby tam natychmiast, słysząc rozpaczliwe krzyki kobiet, ale Fischer trzymał ich twardą ręką. Przedwczesny atak na nich mógł skończyć się klęską. Ich sprzymierzeńcem było zaskoczenie.

Koło trzeciej nad ranem w obozie zrobiło się kompletnie cicho. Słysząc było tylko pochrapywania dochodzące z różnych stron. Fischer wydał cichy rozkaz, który przeszedł błyskawicznie wokół polany. Żołnierze z bagnietami nałożonymi na lufy mauzerów ruszyli po cichu przed siebie. Po chwili rozpętało się piekło. Polacy w milczeniu, z zaciśniętymi zębami, ze łzami w oczach, w jakimś szaleńczym amoku, przeszli przez tę polanę jak demony śmierci. Nie rozległ się ani jeden strzał. Nie przeżył ani jeden bandyta.

Wtedy, tej nocy, gdy oparł się o wóz wyładowany po brzegi meblami, pierzynami i ubraniami, gdy obrzucił pobojowisko wzrokiem, gdy zobaczył swoich żołnierzy siedzących na ziemi między trupami, którzy odpoczywali, ciężko dysząc jak robotnicy po mozolnej pracy, poczuł, że z całego serca nienawidzi bolszewików.

- Ale ten Witkowski - przywołał go do rzeczywistości kapitan Jażdżewski - ma jedną dość mglistą kartę w swoim życiorysie.

Fischer spojrzał na niego z zainteresowaniem, więc kapitan ciągnął dalej.

- Otóż on podczas wojny bolszewickiej dostał się do niewoli. Wrócił do pułku dopiero po wojnie, podczas wymiany jeńców. W sumie spędził w niewoli prawie dwa lata. Tyle że nie siedział w żadnym obozie jenieckim, ale w Moskwie, w więzieniu na Łubiance. I tu moje wątpliwości, panie kapitanie. Dlaczego czerwoni zamiast wpakować go do obozu zamykają go w więzieniu?

- To rzeczywiście interesujące - policjant pokiwał głową. Zgodził się z nim, bo sprawa naprawdę wydawała się podejrzana. Dobrze wiedział, jak oni obchodzili się z jeńcami. Nasz żołnierz naprawdę mógł mówić o dużym szczęściu, jeśli w ogóle trafił do obozu jenieckiego, bo bolszewicy zazwyczaj na miejscu rozprawiali się z pojmanymi Polakami. Ale żeby jakiegoś zwykłego sierżanta Czeka wyselekcjonowało z tłumu i wpakowało do swojego więzienia, to wydawało się zupełnie nieprawdopodobne. Chyba że mieli wobec niego jakieś plany.

- Skoro go zamknęli u siebie czekiści, to musieli mieć jakiś powód - podsunął rozwiązanie Fischer.

- Też tak pomyślałem, panie komisarzu.

- A tym powodem mogła być jego przeszłość w radzie żołnierskiej.

- Wyczuli swego?

- Wątpliwe. Raczej on im powiedział o swojej pięknej bolszewickiej przeszłości. Teraz wszystko zaczyna mi się układać.

- Co się panu układa? - nie potrafił zrozumieć toku rozumowania policjanta Jażdżewski. - Przecież teraz to istny galimatias. Jeśli założymy, że ten człowiek jest rzeczywiście bolszewickim agentem, co wydaje się wielce prawdopodobne, to zaczynam się w tym gubić. Karpiński we współpracy z nim wykradają plany mobilizacyjne i kartotekę pogranicznej agentury w Niemczech. A po co im informacje o tych agentach? Po co to sfingowane zabójstwo Karpińskiego, po co?

- I tego właśnie musimy się dowiedzieć, panie kolego - powiedział Fischer zapatrzony w widok za oknem, na plac apelowy, na którym podoficerowie bezskutecznie próbowali nauczyć stania w dwuszeregu nowych rekrutów. Pomyślał, że jeszcze długa droga przed młodymi

żołnierzami, zanim z tych nieociosanych klocków uda się wyrzeźbić prawdziwych karnych obrońców ojczyzny.

Schneidemühl

Godzina 4.05 po południu

– Pan ma, zdaje się, jakieś stosunki z polską policją? – zapytał kapitan Paul von Weizsäcker z miejscowej komórki Oddziału Statystyki Urzędu Wojskowego, pod którą to nazwą kryła się miejscowa ekspozytura wywiadu.

– Stosunki z policją? – Carl zrobił zdziwioną minę, choć dobrze wiedział, o co temu nadętemu bałwanowi chodzi. – Mogę raczej powiedzieć, że z pewnym policjantem z Posen wiązą mnie nierozzerwalne więzi przyjaźni, które zawiązały się w okopach podczas wojny.

Von Weizsäcker spojrział na niego zaciekawiony.

– To znaczy, że ten pana przyjaciel jest Niemcem?

Carl zrobił zatroskaną minę. Właściwie co miał powiedzieć? Czy jego przyjaciel był Polakiem czy Niemcem? Czy w ogóle sam Fischer mógłby odpowiedzieć na to pytanie? Gdy poznali się w szkole oficerskiej w Berlinie, był przekonany, że to Niemiec. Mówił przecież nienaganną niemczyzną z lekkim berlińskim akcentem, w którym dawało się jednak wyczuć jakąś nieznaną mu wcześniej nutę. Czyżby jakiś ślad plattdeutsch?

– To nie jest żaden wpływ regionalnego języka – wyjaśnił mu Fischer, kiedy już byli na tyle blisko ze sobą, że Carl odważył się w końcu zadać mu pytanie o jego sposób wystawiania się. – To charakterystyczna melodia z Posen. U nas wszyscy tak mówią. Bierze się to z pomieszania wymowy osadników niemieckich z Bambergu, pruskich urzędników, którzy zjeżdżali tu z Berlina, i mowy polskiej. Ta mieszanka dała w konsekwencji język niemiecki, którym posługujemy się u siebie na co dzień w rozmowie z Niemcami, ale gdy rozmawiamy z Polakami, mówimy czystą polszczyzną.

- To znaczy, że jesteś Niemcem z Posen, który mówi doskonale po polsku? - próbował drążyć temat Carl, który nie miał pojęcia, że w Posen ktokolwiek prócz niewykształconej biedoty mówi jeszcze po polsku. W końcu to miasto już od ponad stu lat leży w granicach Prus.

- Raczej Polakiem mówiącym po niemiecku - wyjaśnił Anton, uśmiechając się szeroko.

To kompletnie zaskoczyło Carla. Polak? Ale przecież to nazwisko i do tego jeszcze imię, były jak najbardziej niemieckie! Fischers Fritz fischt frische Fische, frische Fische fischt Fischers Fritz. Każde niemieckie dziecko od najmłodszych lat powtarzało tę wyliczankę, więc co w tym Fischerze miało być polskie?

Wtedy o nic więcej nie pytał, tłumacząc sobie, że jego kolega zażartował sobie, mówiąc o tej swojej polskości. Ale później, gdy wojna się już zakończyła, on wrócił do Posen i wstąpił do tej ich buntowniczej armii, która zbrojnie wystąpiła przeciw Niemcom. Próbował wytłumaczyć sobie te decyzje tym, że być może Anton nie miał innego wyjścia i chcąc pozostać w swoim rodzinnym mieście, nie mógł postąpić inaczej. Przypuszczał jednak, że w głębi duszy Fischer jest Niemcem zagubionym w polskiej rzeczywistości, który nie potrafi sobie poradzić z tym rozdzieleniem narodowej jaźni. Może on, jako jego bliski przyjaciel, powinien mu pomóc? Stąd ten chytry plan, żeby zeswatać go z przyjaciółką Anny. Może dzięki niej Anton przejrzy wreszcie na oczy i zrozumie, że jego miejsce jest w prawdziwej ojczyźnie? Jako człowiek twardo stąpający po ziemi nie powinien dłużej kierować się sentymentami i wybrać miejsce, które jest dla niego stworzone, czyli wśród swoich rodaków. A Posen, jeśli tak rzeczywiście kocha to miasto, to może sobie odwiedzać, kiedy tylko zechce. W końcu ze Schneidemühl do Posen nie jest daleko. A tu na pewno przyda się jego policyjne doświadczenie. Tak, plan z usidleniem Antona przez piękną kobietę był planem chytrym i perfekcyjnym, więc wydawało się, że jest raczej mało prawdopodobne, żeby mógł mu się oprzeć.

Carl spojrział na oficera wywiadu, od którego odgradzała go przestrzeń stołu i dwie szklanki piwa. Spotkali się w kasynie oficerskim przy Bromberger Straße. To von Weizsäcker zaprosił go na rozmowę, gdyż, jak sam powiedział, chciał żeby miała ona charakter mniej oficjalny, a kasyno nadawało się do tego celu idealnie. Zresztą Carl lubił tu

przychodzić, zwłaszcza w porze obiadowej, bo miejsce to słynęło z doskonałej kuchni. Ta rozmowa była efektem znalezienia zwłok w pociągu, który przyjechał z Posen. O takich wypadkach policja musiała informować wojsko, tak na wszelki wypadek, no więc poinformowano ich niezwłocznie i Fischer nie przypuszczał nawet, że wynikiem tego meldunku będzie spotkanie z von Weizsäckerem.

– Jak on się nazywa? – zapytał von Weizsäcker.

– Anton Fischer.

– To w takim razie Niemiec.

– Nosi niemieckie nazwisko, mówi po niemiecku tak samo dobrze jak pan czy ja, służył razem ze mną na wojnie. Odznaczony został za odwagę żelaznym krzyżem. Sam byłem świadkiem jego niezwykłego poświęcenia i bohaterstwa. Jeśli to nie są cechy prawdziwego Niemca, to doprawdy nie wiem, kim on jest. Posen to przecież niemieckie miasto, chwilowo tylko pod obcą administracją.

– Polska to państwo, które jest jak domek z kart. Można nawet powiedzieć – państwo sezonowe. Wystarczy dmuchnąć i wszystko się tam rozsypie. Polacy sami nie są w stanie niczego konstruktywnego zbudować. Nie nadają się do pracy, a tylko do awantur. Koń i szabla to ich żywioł. Jest w nich coś z mentalności wschodnich mongolskich koczowników, którzy potrafią tylko burzyć i nieść ze sobą chaos. Choć trzeba im przyznać, że potrafią się dzielnie bić, ale po walce zawsze przychodzi czas budowy. No i jak widać, budują ten swój kraj, tyle że nic im z tego budowania nie wychodzi. Cały czas tylko się kłóćcą między sobą, a ich sejm to po prostu kpina z demokracji. Zwyczajna stajnia Augiasza, którą prędzej czy później ktoś musi posprzątać dla ich własnego dobra. Jeśli się wśród nich ktoś taki znajdzie, to mają szansę, żeby nieco się ustabilizować, ale dla mnie to i tak będzie tylko słaby kraj, który nie ma szans na nowoczesność.

– A ten ich marszałek Piłsudski? To człowiek cieszący się wśród nich wielkim autorytetem.

– Autorytet owszem ma, ale tylko wśród swoich popleczników. Inni go nieustannie krytykują, bo boją się jego siły i przede wszystkim wpływów w wojsku. On mógłby ten kraj chwycić za mordę. Ktoś taki przydałby się i u nas, żeby zrobić porządek.

– Jest przecież prezydent Hindenburg. Bohater narodowy

o niepodważalnym autorytecie...

– Hindenburg to człowiek, którego miejsce jest w muzeum. Nam potrzebny jest ktoś młody, o szerszych horyzontach, kto zmyje z nas hańbę traktatu wersalskiego.

– No tak – zgodził się z nim Aschmutat – tylko gdzie takiego znaleźć?

– Jest pewien człowiek.

– Kto to taki?

– Adolf Hitler.

– Kto? Hitler? Ten który z Ludendorffem próbował przejąć władzę w Bawarii? Przecież to jakiś polityczny awanturnik, który zresztą od pół roku siedzi w więzieniu.

Von Weizsäcker uśmiechnął się, sięgając po swoją szklankę piwa. Uderzył nią w brzeg szklanki Carla. Wypili i odstawili puste naczynia na stół. Kelner, sierżant ubrany w białą kurtkę, jakby tylko na to czekał. Natychmiast podszedł do ich stolika i ustawił przed nimi dwie kolejne szklanki. Nie odmówili, więc zabrał tylko opróżnione szkło i natychmiast oddalił się na swoje miejsce, tuż przy drzwiach prowadzących do kuchni, z którego mógł obserwować bez przeszkód całą salę w oczekiwaniu na przywołanie przez któregoś z panów oficerów.

– Mam przecucie, panie kapitanie, że o tym człowieku jeszcze nieraz usłyszymy.

– Przy okazji kolejnej awantury? Musi jeszcze wyjść z więzienia. Czytałem w gazecie, że skazano go na pięć lat.

– Z możliwością ubiegania się o przedterminowe zwolnienie po sześciu miesiącach. Idę o zakład, że najdalej w październiku będzie już na wolności. – Von Weizsäcker powiedział to takim tonem, jakby swoją wiedzę czerpał bezpośrednio od sędziego, który wydał wyrok na awanturnika. Trzeba przyznać, że wyrok kuriozalny, bo przecież to, co zrobił ten człowiek, to nic innego jak zamach stanu, za który powinno się go postawić pod ścianą. No, ale cóż – myślał Carl – to świadczyło dobitnie o słabości pogrążającego się w chaosie kraju, nękanego walkami pomiędzy partiami politycznymi. Czyżby ten Hitler miał być lekarstwem mogącym uzdrowić republikę? Jakoś nie chciało mu się w to wierzyć.

– Ale wracając do pańskiego przyjaciela z polskiej Policji...

– Antona Fischera.

– No właśnie. Proszę mi powiedzieć, czy nie zechciałby go pan

odwiedzić?

Carl spojrział zdumiony na oficera. Przecież właśnie planował wyjazd do Posen i oczywiście spotkanie z Antonem. Tylko Anton mógł mu pomóc w ujęciu groźnego mordercy Güntera Nowaka. Musiał go tam aresztować razem z polską Policją, a później, zgodnie z dobrymi zasadami współpracy, przekazać go Polakom, jednocześnie przedstawiając wszystkie zarzuty wobec niego. Jeśli się okaże, że oni też oskarżą go o morderstwa kobiet, to nie wydadzą go i bandzior zawisnie na polskim sznurze. Ale dla niego będzie to oznaczało jedno – śledztwo zostanie zamknięte wspólnym protokołem aresztowania sprawcy. Tak więc czy tego chciał, czy nie i tak musiał jechać do Polski.

– Tak się składa, panie kapitanie, że mamy informacje, że w Posen ukrywa się pewien morderca, którego poszukujemy. Wiemy nawet dokładnie, gdzie się ukrywa, więc najdalej jutro zamierzam jechać do Polski. Tam oczywiście zamierzałem się spotkać z moim przyjacielem, bo bez jego pomocy nie mogę dokonać na ich terenie aresztowania.

Von Weizsäcker był zadowolony. Sprawy nie mogły się lepiej dla niego ułożyć. Potrzebował kogoś, kto oficjalnie wybierze się do Posen. Kogoś, kto będzie mógł mu pomóc w wywiezieniu stamtąd pewnej przesyłki, która z jakichś powodów nie dotarła do niego. Najlepiej więc byłoby, gdyby Aschmutat pojechał w tę podróż służbowym samochodem na policyjnych numerach. Takiego auta Polacy raczej nie będą kontrolować.

– Zamierzał pan jechać tam koleją?

Carl skinął głową.

– Oczywiście, przecież mamy bardzo dobre połączenie kolejowe.

– To wykluczone. Musi pan pojechać autem.

– Ale żebym pojechał tam automobilem, zgodzić się na to musi mój szef, a on nie bardzo lubi, gdy jego podwładni jeżdżą w ten sposób, bo potem trudno rozliczyć służbowe delegacje. Jednak bilet kolejowy to jest dokument, a z rozliczeniem benzyny jest zawsze problem. Musi przyjąć oświadczenie o ilości zakupionego paliwa. Typowy biurokrata.

– Proszę się nie przejmować takimi drobiazgami. Biorę to całkowicie na siebie. Pojedzie pan do Posen jutro, tak?

– Taki miałem zamiar.

– W takim razie proszę się zatrzymać w Hotelu Bazar, tuż przy placu Wolności. Tam zgłosi się do pana pewien człowiek. Da mu pan ten

niewielki pakunek – mówiąc to, wydobyl z kieszeni małą paczuszkę owiniętą w szary pakowy papier i zawiązaną sznurkiem. On za to przyniesie panu pewną paczkę, którą chciałbym, żeby pan przywiózł tu, na miejsce.

Carl zaniepokojony poruszył się na swoim krześle. Czyżby ten człowiek próbował wkręcić go w jakąś niebezpieczną wywiadowczą misję? Ale z drugiej strony czy on, oficer, miał prawo mieć jakiegokolwiek wątpliwości? Skoro zwracał się do niego oficer wywiadu, to znaczy, że było to coś ważnego.

– Co będzie w tej paczce?

– Tego niestety nie mogę panu wyjawic. Wystarczy, żeby pan wiedział, że będą to niesłychanie ważne dokumenty, na których bardzo nam zależy. Chodzi więc o to, żeby nie dostały się w polskie ręce. Ale przecież polska Policja czy Straż Celna nie będą kontrolowały auta należącego do Policji niemieckiej.

– Miejmy nadzieję. Skąd będę wiedział, że to właśnie ten właściwy człowiek?

– Powiedzmy, że na powitanie przekaże panu pozdrowienia od wujka Adolfa.

– Jakiego Adolfa?

– Adolfa Hitlera oczywiście, ha, ha – von Weizsäcker zaśmiał się głośno, bo nie wiedzieć czemu, to hasło wprawiło go w doskonały nastrój. Muszę w takim razie dobrze zapamiętać nazwisko tego politycznego awanturnika z Bawarii – pomyślał Carl Aschmutat.

Poznań

Godzina 5.40 przed wieczorem

Wywiadowca Henryk Kacperek wyglądał jak robotnik, który dopiero co skończył swoją zmianę w fabryce. Do tego taki robotnik, co to dostał właśnie do ręki swoje ciężko zarobione pieniądze i teraz postanowił je wszystkie przepić ku rozpaczy swojej żony i dzieci. Siedział pochylony

nad kuflem piwa, a dodatkowo stała jeszcze przed nim ćwiartka czystej wódki i kieliszek z grubego szkła. Kacperek siedział rozwalony na krześle, a jego głowa opierała się na wspartych łokciami o blat stołu dużych dłoniach. Sprawiał wrażenie pijaka, który swoje smutki topi w alkoholu i niewiele mu już trzeba do tego, żeby utonął w nim całkowicie. Ale chociaż wypił już przynajmniej dwa piwa, a to, które stało przed nim, było trzecim z kolei, Kacperek był całkowicie trzeźwy.

Gdy przyszedł do knajpy przy Kanałowej, dość podłego miejsca w suterenie kamienicy pod numerem dwunastym, niemal natychmiast poczuł, że musi tu zostać. Utwierdził go w tym przekonaniu widok dwóch mężczyzn siedzących w kącie sali. O tej porze w knajpie „Café Dulcynea”, w której nikt nigdy nie zamówił kawy, a jedynie wódkę i piwo, nie było zbyt tłoczno. Załedwie kilkunastu smutnych pijaków, którzy byli tu stałymi gośćmi i po latach spędzonych w tym przybytku kolorem swoich twarzy zdążyli się już upodobnić do szarej kolorystyki tapet i mebli. Ale dwaj byli zupełnie inni. Ich świeże oblicza wyraźnie kontrastowały z otoczeniem. Jeden, rumiany jak bochen chleba, z sumiastym wąsem i podgoloną głową, ubrany był w mundur wojskowy, a na pagonach miał dwa rąby starszego sierżanta. Mógł mieć około czterdziestki, więc wyglądał na starego wiarusa. Drugi, młodszy, był cywilem o wyglądzie inteligenta, który ostatnio nieco się zaniedbał, bo jego policzki i podbródek pokrywał kilkudniowy zarost. Ubrany był w elegancką stalową marynarkę, która zupełnie nie pasowała do tego miejsca. Obaj siedzieli nad kufkami piwa, a między nimi stała jeszcze butelka czystej i dwa kieliszki. Na półmisku leżała sucha kiełbasa pokrojona na niewielkie kawałki, takie akuratne do zagryzki. Gdy Kacperek wszedł do knajpy, natychmiast jego uwagę zwrócił ten w mundurze. Obrzucił go szybkim spojrzeniem wytrawnego wywiadowcy, a potem spojrzał na twarz jego kompana. W tym momencie poczuł, że dziś jest jego szczęśliwy dzień. Ten nieogolony elegant był tym człowiekiem z fotografii, którą otrzymał z rąk komisarza Fischera. Przechodząc między stolikami w kierunku bufetu, już wprowadzał w życie naprędce wymyślony plan inwigilacji. Przede wszystkim trzeba było oddalić od siebie wszelkie podejrzenia. Dlatego przeciskając się obok rozwalonego na krześle pijaka o nieciekawym, dość zaniedbanym wyglądzie, zatoczył się na niego, mało nie siadając mu na kolana. Ten pchnął go z całej siły,

tak że Kacperek wpadł na ścianę, potracając puste krzesła.

– Jak łazisz, szuszwolu pierdolony – warknął bełkotliwie pijak, który już wstawał z miejsca, żeby dodatkowym ciosem ukarać nieostrożnego klienta. Kacperek był jednak szybszy. Chwycił pijaka za kłapy marynarki i cisnął nim o podłogę. Mężczyzna poleciał pod stół.

– Bardzo szanownego pana przepraszam – powiedział, starannie wymawiając słowa, jak człowiek pijany, który bardzo stara się uchodzić za trzeźwego. Udawanie pijanego miał opanowane do perfekcji. – I proszę łapy trzymać przy sobie, ponieważ mogę przylać w ryło tak, że szanownego pana mamusia rodzona nie pozna.

Obszedł z gracją leżącego, który bezskutecznie próbował się podnieść z podłogi, i podszedł do baru. Stojący za kontuarem właściciel knajpy obrzucił go obojętnym spojrzeniem. Niewiele obchodziły go przepychanki między biesiadnikami. Mimo że za bufetem miał schowaną solidną drewnianą pałę, ingerował dopiero wtedy, gdy takie awantury skończyć się mogły tłuczeniem naczyń. Ale jeśli nic wielkiego się nie działo, tak jak w tej chwili, nie ruszał się ze swojego miejsca. Jeśli klient płacił, mógł sobie nawet leżeć na podłodze tak jak ten tam, któremu właśnie udało się usiąść. Sprawca jego upadku oparł się o blat, wydobył z kieszeni pokaźny plik banknotów i bez liczenia podał je barmanowi.

– Daj pan kufelek, małąkę i śledzie, ino żeby te śledzie świeże były.

– Co mają nie być świeże? – gospodarz wzruszył ramionami. – Śledzie jak śledzie, prosto z beczki wyciągnięte. Odwrócił się do tyłu, wziął talerz do ręki, a potem otworzył stojącą za nim beczkę. Chwilę w niej pogrzebał, a potem wyciągnął z niej za ogon dużego śledzia. Położył talerz na kontuarze i zabrał się do nalewania piwa. Gdy je podał, klient wywiadowca wypił je dwoma łykami, a potem beknął zadowolony.

– To teraz jeszcze jedno piwo i tę wódkę daj pan do stolika. Zabrał talerz ze śledziem i ruszył w kierunku sali. Wybrał stolik w najbliższym sąsiedztwie żołnierza. Opadł ciężko na krzesło, uderzając niezdarnie dnem talerza o blat stołu, a potem oparł głowę na dłoni, jak człowiek niezmiernie zmęczony po ciężkiej pracy. Po chwili barman postawił przed nim zamówiony alkohol i do talerza dołożył jeszcze widelec.

– A tych bejmów to na ile jeszcze wystarczy? – klient złapał go za rękaw i przytrzymał na miejscu.

– Ćwiartka i jedno piwo albo trzy piwa jak bez gorzoły.

– To dawaj pan piwa, jak to już się skończy.

Właściciel baru skinął głową i wrócił na swoje miejsce. Teraz, po całym tym przedstawieniu, wywiadowca Kacperek był już całkowicie pewny, że ci dwaj za jego plecami nie zwrócą na niego najmniejszej uwagi. Musieli uznać, że pijak, który usiadł w ich pobliżu, jest całkowicie nieszkodliwy, bo obrzuciwszy go przez moment zaciekawionym spojrzeniem, zaraz wrócili do przerwanej rozmowy.

– Nie rozumiem, po co to wszystko – powiedział ten elegancki. – Tyle pracy poszło całkowicie na marne. Czy oni tam sobie myślą, że wszystko da się tak z dnia na dzień odbudować?

– Oni widzą te sprawy szerzej, niż my tu możemy je ogarnąć rozumem.

– Pewnie masz rację, ale żal tej roboty, którą żeśmy tu z takim mozołem robili.

– To tylko jeden mały, niewielki wycinek. My nie możemy patrzeć na sprawę z naszych pozycji. Trzeba spojrzeć szerzej.

– Łatwo ci mówić. Nawet nie wiem, co ze mną dalej będzie.

Sierżant pociągnął łyk piwa, a potem rozejrzał się wokół. Nie było niczego niepokojącego w tym, co działo się wokół. Pijacy pili tak samo jak wcześniej, a ten awanturnik, co to dopiero wszedł i wywołał burdę, a usiadł najbliżej ich stolika, właśnie wyrznął głową w blat stołu i zasnął. Mimo to żołnierz ściszył głos.

– Jesteś jeszcze młody, więc pewnych rzeczy możesz nie pojmować. Ale jedno powinieneś wiedzieć. My się w tym wszystkim nie liczymy. Nieważne jest, co się z nami stanie. Ważne jest to, co przyniosą nasze działania. Co przyniesie nasze poświęcenie. Ty, ja, my wszyscy mamy do wykonania pewne zadania. Musimy je zrealizować, poświęcając im cały swój zapał i energię. Wszystko dla sprawy. Nieważne zatem, co będzie z tobą czy ze mną. Ważne jest to, co osiągniemy swoim poświęceniem.

Elegant pokiwał głową, jakby chciał przekonać żołnierza, że się ze wszystkim zgadza. Ale sierżant natychmiast dostrzegł, że nie rozwiązał jeszcze jego wątpliwości.

– No, niby wszystko rozumiem, ale wiesz, tak trudno jest wszystko rzucić z dnia na dzień, gdy człowiek nie wie, co go czeka.

– Ja to rozumiem. Pewnie, że trudno. Ale takiego wyboru dokonaliśmy i nie ma już od tego odwrotu. Poza tym mosty już spalone. Teraz czeka nas tylko ostatnie zadanie i nie ma się już co za siebie oglądać.

- Pewnie masz rację.
- Mam na pewno.
- Więc jakie są teraz ustalenia?

Żołnierz dopił piwo do końca. Zanim zdążył odstawić kufel, właściciel knajpy postawił przed nim kolejne piwo i zabrawszy puste naczynie, wrócił za kontuar.

- Przede wszystkim ja muszę zająć się tym, co zepsułeś.
- Byłem przekonany, że załatwiłem sprawę.
- Niestety. Operacja się udała. On może przeżyć, więc jeszcze dziś postaram się dostać do szpitala i zrobić porządek.

- A co ze mną?

- Ty czekasz na mnie, aż wrócę. Paszporty powinny już dotrzeć na miejsce, do Poznania. Jutro po południu pójdziesz do Hotelu Bazar, pod numer sto piąty, i odbierzesz je od jednego Niemca. On będzie chciał od nas te papiery, cośmy już dali temu kurierowi. Więc mu powiesz, że wysłaliśmy je i swoją robotę zrobiliśmy. A jak nie będzie chciał dać paszportów, to wiesz, co masz zrobić. Jutro wieczorem nie będzie już po nas śladu.

Sierżant wziął do ręki butelkę wódki i napełnił kieliszki. Obaj chwycili je, stuknęli się, a potem wypili. Młodszy zagryzł kawałkiem kiełbasy, a starszy popił wódkę piwem.

- Smutno tak wszystko zostawiać – powiedział cywil.
- Smutno niesmutno. Pomyśl o tym, gdzie będziemy za kilka dni. Zaczniemy całkiem nowe życie tam, gdzie zawsze chcieliśmy być.
- Tam gdzie ty chciałeś zawsze być. Ja chcę się tylko stąd wydostać.
- Myślałem, że jesteś z nami.
- No... jestem. A mam jakieś inne wyjście?
- Nie masz.
- Jestem z wami.

Wywiadowca Kacperek podniósł głowę znad stołu i rozejrzał się nieprzytomnym spojrzeniem wokół. Potem sięgnął po kufel piwa, szybko go osuszył, a nieotwartą dotąd butelkę wódki włożył do kieszeni swojej robociarskiej kurtki. Podniósł się z krzesła i chwiejnym krokiem ruszył w kierunku drzwi. Barman spojrział na niego zdziwiony, zastanawiając się, czy jeszcze tu wróci. Jeżeli nie, to jego strata. On będzie trzy piwa do przodu. Całkiem nieźle jak na tak kiepsko zapowiadający się dzień.

Gdy wywiadowca znalazł się na chodniku, natychmiast wytrzeźwiał. Szybko przebiegł ulicę, wymijając domokrażcę rozstawiającego właśnie przenośny warsztat ostrzenia noży i nożyczek, i wbiegł do bramy kamienicy naprzeciwko. Tam rozejrzał się szybko, ale na szczęście nikogo tu nie było. Dzieciaki z podwórka wybiegły przed dom, żeby asystować podczas ostrzenia, bo przecież nie co dzień można było zobaczyć tyle fantastycznych iskier wysypujących się spod wirującej osełki. Kacperek upewniwszy się że jest sam, szybko zdjął robociarską szarą kurtkę i przewinał ją. Kurtka była specjalnym służbowym ubiorem, który można było nosić raz na jednej, raz na drugiej stronie. Teraz z robociarskiej szarej zmieniła się na podobną, ale zieloną. Z kieszeni wyjął zdefasonowaną maciejówkę z pękniętym daszkiem i nacisnął ją mocno na czoło. Akurat w chwili, gdy kończył zabieg metamorfozy, z knajpy wyszli ci dwaj, podali sobie ręce i każdy ruszył w swoją stronę. Musiał dokonać szybkiego wyboru, bo mógł pójść tylko za jednym z nich. Doszedł do wniosku, że ważniejszy jest ten młodszy, który doprowadzić go może do miejsca, w którym obaj mają się później spotkać. Ruszył więc za elegancikiem.

– Noże ostrze, nożyczki! – zawołał majster, uderzając jednocześnie metalowym prętem w metalową pokrywkę od garnka. – Dziury w garach drutuje! Nie do wiary, naprawiam gary! Ostrze noże, o mój Boże!

Godzina 5.50 wieczorem

Komisarz Antoni Fischer wyszedł z budynku Dyrekcji Policji, który, tak jak większość starych poznaniaków, nazywał, jak za dawnych, przedwojennych czasów, budynkiem Prezydium. Na salut wartownika, stojącego przy jednej z kolumn wieńczących wejście prowadzące do holu, odpowiedział jedynie skinieniem nieco uniesionej ręki. Ubrany był po cywilnemu, a na głowie miał swój ulubiony jasny kapelusz z dużym rondem, przypominający nawet trochę kapelusz kowbojski, taki, jaki nosił jego ulubiony bohater filmowy Broncho Billy w filmie *Napad na ekspres*. To był pierwszy film kowbojski, jaki widział w życiu. Było to jeszcze na długo przed wybuchem wojny, gdy ojciec zabrał małego Antka

do kina. Film był tak realistyczny, że chłopak miał wrażenie, że sam jedzie tym pociągiem, na który napadają bandyci, a gdy Broncho wyciągnął z kabury pistolet i skierował go w stronę widowni, Antek krzyknął przestraszony, bo zdawało mu się, że mierzy wprost do niego. Na zawsze zapamiętał twarz bandyty i ten niesamowity kapelusz. Dlatego do dziś, gdy kupował sobie jakieś nowe nakrycie głowy, zawsze dbał o to, żeby może nie wielkością runda, ale choć fasonem przypominał tamten filmowy.

Przeszedł ulicę, kierując się w stronę placu Wolności. Pod „Café Esplanade” podjeżdżały dorożki i automobile, przywożąc wytwornych gości, którzy zamierzali spędzić tu dzisiejszy wieczór w dobrym towarzystwie, przy dobrej muzyce, bo jak zwykle o tej porze zaczynały się w tej popularnej kawiarni występy artystyczne. Ale Fischera nie interesował dziś żaden koncert. Szedł na pewne interesujące spotkanie, po którym wiele sobie obiecywał. Na to spotkanie wolał iść nieoficjalnie, po cywilnemu, bo w mundurze rzuciłby się za bardzo w oczy, a jemu w tym wypadku zależało akurat na zachowaniu anonimowości. Lepiej, żeby nikt go w tym miejscu nie widział. Na szczęście, żeby przebrać się w cywilne ubranie, nie musiał wracać do domu. Na wszelki wypadek miał je zawsze gotowe w szafie swojego gabinetu. Po skończonej pracy, kiedy spisał już wszystkie dane dotyczące prowadzonego śledztwa, przebrał się szybko i już chciał wyjść, ale coś nie dawało mu spokoju. Wrócił do biurka i jeszcze raz zaczął czytać swoje notatki.

Zupełnie przez przypadek otworzył notes na stronie zatytułowanej „Kuba Rozpruwacz”. Tak nazwał dochodzenie, które przekazał swojemu podwładnemu w sprawie mordercy kobiet. Ta kartka była właściwie niezapisana. Po powrocie ze Schneidemühl zrobił ostatnią notatkę: *Podejrzany w ww. sprawie niejaki Günter Nowak. Istnieje podejrzenie niemieckiej policji, że ów osobnik może zbiegł do Polski. Sprawdzić prawdopodobne kontakty w Poznaniu.*

Nie widział się dziś ani przez chwilę z podkomisarzem Albinem Siewierskim, dlatego nie miał pojęcia, czy ten cokolwiek w tej sprawie już zrobił. Ale co go to mogło w tej chwili obchodzić. On miał na głowie coś znacznie poważniejszego. Przewrócił kilka kartek i znalazł tę, w której zapisywał dane i wstępne wnioski ze śledztwa dotyczącego sprawy pułkowej, jak ją nazywał nieoficjalnie, bo oficjalnej nazwy jej nie

nadał. Popatrzył na swoje zapiski i wykresy. Ten największy i najprostszy zarazem prowadził od kwadratu z napisem kasa. Od niego szła strzałka do prostokąta z nazwiskiem porucznik Karpiński. Na lewo od Karpińskiego szła strzałka do najnowszego nazwiska – sierżant Witkowski, ze znakiem zapytania. Karpiński miał jeszcze dwie strzałki. Odchodząca ostro w dół wskazywała prostokąt z nazwiskiem sierżanta Okonia, a kolejna, idąca w prawo, dochodziła do pola, w którym umieścił kapitana Jażdżewskiego. Teraz kluczowy był ten Witkowski, którego od wczoraj nie można było nigdzie znaleźć. Jażdżewski próbował go wezwać do siebie, ale okazało się, że ów podoficer nie stawił się dziś na służbę. Wysłany po niego szeregowiec wrócił z niczym. Witkowskiego nie zastał w mieszkaniu, a gospodyni nie miała pojęcia, gdzie on może być.

Jeszcze raz spojrzął na nazwisko Jażdżewskiego i nagle wiedział już, co kazało mu wrócić do biurka i zajrzeć do kajetu. Jażdżewski wpadł wczoraj na trop Witkowskiego. Wczoraj Okoń wpadł na trop Karpińskiego. Karpiński próbuje zabić Okonia. Tego samego dnia Witkowski zapada się pod ziemię. To może oznaczać jedno. Przyczyna, czyli próba zabicia Okonia, rodzi skutek w postaci zniknięcia sierżanta. Jeśli oni obaj są zamieszani w aferę szpiegowską i tworzą wrogą grupę, to najważniejsze pytanie, jakie się rodzi, jest takie: Dla kogo pracują? Plany mobilizacyjne, które zniknęły wraz z kartoteką agentury, wskazują jasno, że muszą pracować dla Niemców. To się wydaje oczywiste, bo kogo innego mogłyby interesować takie właśnie dokumenty? No, ale co w takim razie ze śladem bolszewickim w życiorysie tego sierżanta Witkowskiego? Tu była pewna niekonsekwencja, która nie dawała mu spokoju. Przecież nie było możliwe, żeby bolszewicka grupa pracowała dla wywiadu niemieckiego, który walczy z bolszewizmem u siebie. Coś tu się kompletnie nie zgadzało.

Przeszedł spacerowym krokiem pod arkadami „Café Esplanade”. Po drugiej stronie ulicy, przed domem towarowym cały czas kłębiły się tłumy klientów, którzy wchodzili i wychodzili na zewnątrz. Wszyscy w porządnym, rzec by można nawet szykownym strojach, bo wyprawa na zakupy w to miejsce to nie byle co. Tu nie kupowali niczego ci wszyscy z Łazarza czy z Wildy, którzy od świtu ciągnęli z wózkami ręcznymi albo z pustymi workami w ręce za miasto, żeby od bambra kupić pyry czy

kapustę, bo to taniej niż u handlarki na placu Bernardyńskim, ci, którzy wystawiali w ogonku po kiszczonkę czy chleb z nieczyszczonego ziarna z otrębami. Im biały chleb i inne produkty spożywcze dowozili do domów dostawcy.

Fischer nie interesował się zakupami spożywczymi. Co innego gdyby miał żonę i musiałby utrzymywać rodzinę. Wtedy zapewne, tak jak to miał w zwyczaju, stworzyłby specjalny kajet, w którym zapisywałby wszystkie wydatki. Ale póki co nie musiał niczego zapisywać, bo jego wydatki ograniczały się do opłaty za mieszkanie i codziennych wydatków na jedzenie w knajpach. Na to szła niemal jedna czwarta jego comiesięcznych dochodów. Resztę zarobków lokował. Obawiając się rosnącej stale inflacji, co miesiąc, zaraz po wypłacie, szedł do znajomego złotnika, który miał swój warsztat przy Wronieckiej, i tam zamieniał marki na złote monety, najczęściej dawne carskie pięciorublówki.

Sam to przyznawał, że był człowiekiem zapobiegliwym i oszczędnym. No, ale czy można było inaczej postępować w tych niepewnych czasach, kiedy chwiały się i waliły największe fortuny? A złoto, które gromadził, przecież zawsze będzie pewną lokatą. Któregoś dnia – myślał Antoni – przyjdzie czas, że trzeba będzie założyć rodzinę i wtedy ten pokaźny zbiór złotych monet będzie doskonałym kapitałem do rozwinięcia rodzinnego interesu.

Gdy o tym pomyślał, od razu stanęła mu przed oczami uśmiechnięta twarz pewnej kobiety. Ursula była piękna. Poczuł, że gdy o niej pomyślał, natychmiast przeszedł go dreszcz w miejscu, na które nieprzyzwoicie było spoglądać w publicznym miejscu. Boże, Ursula! To imię brzmiało tak pięknie, nawet jeśli go nie wymawiał na głos, a tylko krążyło w jego głowie. Przystanął zaaferowany. Ursula. Czyżby? Czy może fakt, że pojawiała się nagle, nie wiedzieć skąd w jego myślach, mógł oznaczać... Przecież był człowiekiem twardo stąpającym po ziemi. Nie, skąd. To było niemożliwe. Przecież ona mieszka gdzieś daleko, w Niemczech. Tam ma swój świat. Co on jej mógł zaoferować oprócz garści tych uciulanych złotych pięciorublówek? Ursula. Boże, przecież to niemożliwe, żeby tak spotkać się jeden jedyny raz i już, jak w powieściach. Przecież świat romansów nie ma przełożenia na rzeczywistość, w której żyjemy... Ursula!

Potrzaskał głową jak epileptyk, otrząsając się z tych myśli, założył ręce

do tyłu i ruszył szybkim krokiem przed siebie. Trzeba to sprawdzić. Trzeba się przekonać, czy to prawda. A jak najlepiej to zrobić? Był pewien sposób i teraz zamierzał z niego skorzystać.

Minął Dom Towarowy Brandtów i szybkim krokiem zmierzał w kierunku Starego Rynku. Nie zauważył, że drugą stroną ulicy idzie za nim jakiś młody mężczyzna.

Godzina 6.15 wieczorem

Wywiadowca Kacperek był bardzo zadowolony. Cieszył się, że podjął słuszną decyzję. Postanowił śledzić tego zarośniętego faceta, którego policyjni wywiadowcy poszukiwali w całym mieście, a który, jak wynikało z opisu fotografii, nazywał się Karpiński. Doszedł za nim do pewnego mieszkania w oficynie kamienicy przy Rynku Łazarskim. Śledzony przez niego mężczyzna przeszedł między straganami pełnymi przekupek i kupujących, ale omijał przywiezione do miasta warzywa i owoce, nawet nie zwróciwszy uwagi na ten ludzki harmider. Szybkim krokiem przemierzył targowisko, by zaraz zniknąć w szarej bramie, pozbawionej ozdób, czteropiętrowej kamienicy. Kacperek był przy tej bramie kilka sekund później, bo nie podążył za nim, ale szedł niemal równoległe do śledzonego, oddzielony rzędem straganów. Facet nie przypuszczał nawet, że może być śledzony. Szedł szybkim krokiem, nie oglądając się do tyłu. Gdy wchodził do bramy, jeśli spodziewałby się, że ciągnie za sobą ogon, powinien na chwilę przystanąć, żeby sprawdzić, czy z targowego tłumu nie wychodzi ktoś podejrzany. Kacperek na wszelki wypadek przyspieszył więc kroku i znalazł się pod rzędem kamienic nieco szybciej niż Karpiński. Był to, jak się okazało, zupełnie niepotrzebny wybieg. Mężczyzna, niczego nie podejrzewając, wszedł do bramy. Czuł się bardzo bezpiecznie. Kacperek odczekał kilka sekund, akurat tyle, by wejść do środka, gdy śledzony wszedł na podwórko. Przyspieszył więc i zaraz wpadł do środka, zderzając się niemal z postawnym wąsatym mężczyzną w czapce maciejówce i w płóciennym fartuchu nałożonym na jasną koszulkę bez kołnierzyka.

– Łe do chłelery, szuszwolu jeden, jak łazisz łachudro jedna? – warknął

oburzony węsacz.

– Z drogi Pawlak! – Kacperek odepchnął go, usuwając zawalidrogę ze swojej trasy, zły, że traci cenne sekundy przez cholernego ciecia.

– O, szanowny pan komisarz – ucieszył się stróż, rozpoznawszy w mężczyźnie znajomego policjanta, z którym już nieraz miał do czynienia, bo za drobną comiesięczną opłatą informował go o wszystkim, o czym tylko szkieł chciał wiedzieć, a on przypadkiem, a częściej i nieprzypadkiem się dowiedział. – Bardzo przepraszam, ale wleciał pan jak kejter, co goni za suką, tom se pomyślał..

Kacperek nie słuchał tych wyjaśnień. Pobiegł natychmiast w kierunku podwórka, jednak nie wyskoczył na zewnątrz. Zatrzymał się w bramie, by zlustrować całe podwórze. Śledzonego Karpińskiego nigdzie już nie było. Musiał zniknąć w którejś z klatek schodowych jednej z trzech odrapanych oficyn. W tej po prawej stronie były dwa wejścia, w lewej jedno, a w zamykającej podwórko też jedno. Na placu, prócz piątki zasmarkanych dzieciaków, goniących z kijami w ręce wyjącego rudego i kosmatego psa, nie było nikogo więcej. Policjant zaklął po cichu, a potem odwrócił się do stróża. Ten stał tuż za jego plecami uśmiechnięty od ucha do ucha.

– No i co się tak kielczysz, Pawlak?

Ciec pociągnął nosem, a potem splunął kulturalnie na bok, żeby nie zbryzgać czasami policyjnych trzewików.

– Łe, no tak se...

– A ten co tu wchodził teraz, to kto? – zapytał Kacperek.

– A nikt ważny. Taki jeden, co się nazywa Karpiński czy jakoś tak.

Policjant odetchnął z ulgą. Skoro stróż go znał, to znaczyło, że nie będzie problemu z ustaleniem, gdzie mieszka. Zdziwiło go tylko, że ten facet, którego szukała cała poznańska policja, jest tak bezczelny, że mieszka tu pod własnym nazwiskiem.

– Znasz go – stwierdził, a nie zapytał.

– Co mam nie znać. Pokój z kuchnią podnajął. Spokojny gość.

– Ktoś do niego przychodzi? – wywiadowca, już całkiem spokojny, wydobył paczkę papierosów i zaraz zapalił jednego. Dostrzegłszy, że ciec przełyka ślinę, wysunął w jego kierunku paczkę. Ten, zadowolony, zaraz sięgnął po papierosa, wsadził go do ust i natychmiast nachylił się, żeby odpalić od policjanta.

– Może przez czas, jak tu mieszka, a mieszka ino kilka dni, to było tu u niego ze dwóch gości.

– Coś dziwnego z nimi?

– Całkiem nic, ino że jeden to był wojskowy, a drugi to policjant.

Kacperek spojrzał na niego zdziwiony. O ile wojskowego mógł się domyślać, o tyle policjant, to już było dla niego kompletne zaskoczenie.

– Zaraz, jesteś pewny, że był policjant?

– Jak to, że tu stoje, panie komisarzu. Policjant jak najbardziej, w mundurze policyjnym ubrany. No, to musiał być policjant.

– Szarża jaka?

– Jasne, że szarża! – odparł zadowolony stróż, wypuszczając jednocześnie kłęb dymu. – Szarża prawdziwa, w koalicyjce przy pasie i z rąbem na rękawie.

– Białym czy niebieskim? – zapytał, żeby mieć całkowitą pewność co do stopnia.

– Powiadam, że szarża, ale czy niebieski, czy biały to ja nie powiem, bom się nie przyglądał.

Kacperek pokiwał głową. Sprawa zaczynała wyglądać poważnie. Biały rąb oznaczał bowiem przodownika. Niebieski to starszy sierżant. Ale to i tak oznaczało, że poszukiwany kontaktował się z podoficerem policji.

– Pewne jak ament w pacierzu, że miał taki znak jak sierżant wojskowy, ino do góry nogami i nie na ramieniu. ino na mankiecie.

Wywiadowca pomyślał, że się przesłyszał.

– Na ramieniu nic nie było?

– Nic, aby koalicyjka i kabura z pistoletem.

To, co powiedział Pawlak, mogło oznaczać tylko jedno. Ten, który odwiedzał poszukiwanego, był oficerem i to nie byle jakim. Pas z koalicijką mówił sam za siebie. Takie koalicyjki podtrzymujące pistolet nosili oficerowie od zastępcy komisarza w górę. Wywiadowca zaklął cicho, a potem popatrzył w siwe oczy Pawlaka.

– Muszę teraz lecieć do Prezydium. A ty siedź na podwórzu i obserwuj, co i jak. Jak wrócę, to chcę wiedzieć, czy kto do niego przyszedł i kiedy to było.

Stróż pokiwał ochoczo głową, by potwierdzić, że z radością wykona zadanie. W końcu wykonywanie poleceń tego policjanta zawsze mu się opłacało.

Po chwili wywiadowca zniknął na ulicy. Stróż tymczasem poszedł na podwórko, usiadł na swoim taborecie, na którym lubił przesiadywać, gdy nie miał nic do roboty, a potem wziął do ręki oparty o ścianę patyk. Wydobył z kieszeni składany nożyk i zaczął strugać drewno. Tak dla zabicia czasu lubił sobie postrugać.

Pies, który wyrwał się z dziecięcej obławy, dostrzegłszy go, pognął w jego kierunku, żeby schronić się przed małymi oprawcami. Zdyszany przysiadł przy nim. Banda dzikusów zatrzymała się niepewnie jakieś trzy metry przed stróżem, nie wiedząc, jak się ma teraz zachować. Pawlak popatrzył na zwierzę, zmierzył twardym spojrzeniem podwórkową bandę, a potem kopnął psa, który zawył głośno i odskoczył w kierunku dzikusów. Ci z krzykiem radości rzucili się na swoją ofiarę, a stróż zaśmiał się głośno. Lubiał dzieci.

Godzina 7.10 wieczorem

Najważniejsze, że Kryśka jest bezpieczna, pomyślał Tolek, spoglądając przez okno na ogród botaniczny. Przez liście drzew nie widać było szerokiej i eleganckiej ulicy Marszałka Foscha, ale wiedział, że ten, na którego czekał, powinien pojawić się gdzieś z tamtej strony, żeby dojść na drugą stronę parku, tu, do ulicy Matejki. Kryśka była bezpieczna, bo przeniósł ją do mieszkania Czecha Korboła, który, jako kieszonkowy złodziej, był zupełnie nieprzydatny w tym, co zamierzali zrobić. Za to na opiekuna nadawał się doskonale, tym bardziej że mieszkał z matką, która w każdej sprawie związanej z bezpośrednią opieką mogła go wyręczyć, a co do niego to wystarczyło tylko, żeby siedział w swojej kuchni i w razie czego mówił, że Kryśki u niego nie ma. Z drugiej strony Tolek wiedział, że policjant nie ma tak dobrych informacji, żeby przyjść do Czecha, do jego chaty na Wodną. Ale wiedząc, że on tam czuwa, był spokojniejszy. Dlatego kupił mu litrową butelkę wódki i kazał czuwać tak długo, aż on po nią nie wróci. Litrową, bo przypuszczał, że sprawa może nie skończyć się przed północą. Diabli wiedzą przecież, kiedy ten szkieł może wrócić do swojej chaty. Ale zabezpieczył się, żeby wiedzieć choć w przybliżeniu.

Swoją grupę rozdzielił. On i najstarszy z Kaźmierczaków poszli do mieszkania policjanta, żeby zacząć się w środku. Leona Kaźmierczaka posłał pod budynek Prezydium Policji, żeby poszedł w ślad za policjantem, jak tylko ten stamtąd wyjdzie. Chłopak miał go śledzić tak długo, aż ten dotrze do domu. Spodziewał się jednak, że gliniarz po pracy postanowi zrealizować swoją groźbę i pójdzie na Garbary, do mieszkania Kryski. I dlatego w środku, w mieszkaniu, zostawił Krystiana, żeby ten siedział tak długo, aż szkieł tam przylezie. Miał go za nic na świecie nie wpuszczać do środka, a jak ten przestanie się dobijać i odejdzie, Krystek miał ruszyć za nim. W ten sposób obaj młodsi Kaźmierczakowie mieli mu wleźć na ogon i odprowadzić aż na Matejki.

Tolek odwrócił się od okna. Jego kolega, najstarszy z Kaźmierczaków, leżał rozwalony na sofie. Miał zamknięte oczy. Wyglądał, jakby spał. Ale on dobrze wiedział, że mimo przymkniętych powiek jest cały czas czujny. W ten sposób przygotowywał się do czekającego ich zadania. Właśnie, zadania. Powinni mieć plan opracowany w najdrobniejszych szczegółach, ale tak nie było. Za mało miał na to czasu, więc to wszystko, co zorganizował, było kompletną improwizacją. No, ale jeśli wszystko się powiedzie, to powinno się udać. Zamierzał zaskoczyć policjanta w mieszkaniu zaraz po tym, jak ten znajdzie się na miejscu. Powinien mieć wiedzę, że tu nadchodzi, od któregoś z dwóch pozostałych braci. Jeśli wszystko się poukłada tak jak myślał, to policjant powinien pójść do Kryski. Nie zastawszy tam nikogo, pójdzie do domu. Obaj Kaźmierczakowie ruszą więc za nim, tak jak im przykazał. Mają trzymać się od niego na odpowiedni dystans, żeby się czasem nie zorientował, że ktoś za nim idzie. W chwili gdy dotrą do ogrodu botanicznego, jeden z nich, pewnie wybór padnie na najmłodszego, ma puścić się biegiem i dolecieć do mieszkania na Matejki, zanim policjant wyjdzie z parku. To powinno dać im tyle czasu, żeby mogli się należycie przygotować do tego spotkania.

Znów się odwrócił i spojrzał na park. Ruch na alejkach powoli zamierał. Spacerowicze już dawno zniknęli, pojawią się tu dopiero następnego dnia. Teraz dostrzec można było jedynie ostatnich przechodniów, którzy skracali sobie tędy drogę do domów. Zatrzymał spojrzenie na pewnym mężczyźnie, który szedł skrajem alejki z psem na smyczy. Pies, którego rasy Tolek nie potrafiłby określić, bo rozróżniał

tylko wilki i kundle, przystanął na trawniku, wygiął grzbiet, naprężył się i zrobił kupę. Jego pan, zamiast odejść czym prędzej od osranego miejsca, pochylił się nad odchodami, wyciągnął z kieszeni papierową tytkę, chwycił nią psie gównu, a potem wyrzucił je wraz z tym papierem do pobliskiego śmietnika. Tolek aż otworzył usta ze zdumienia. Pierwszy raz widział, żeby ktoś sprzątał kupę po swoim psie. Popatrzył na właściciela tego kejtra. Facet był ubrany w marynarkę, spodnie knydry za kolana i kraciaste skarpety. Na głowie miał zwyczajną cyklistówkę. Wyglądał więc całkowicie normalnie, ale to, co zrobił, świadczyło dobitnie, że ma w głowie fiksum dyrdum. Przecież nikt normalny nie zbiera z ulicy gówien! Ci bogaci ludzie z lepszych dzielnic jednak wszyscy byli trochę nienormalni. Tak jak ten policjant. On musiał mieć w głowie chyba właśnie psie gównu zamiast mózgu. Co ten cholerny szkieł sobie w ogóle myślał? Że można tak bezkarnie skrzywdzić dziewczynę? Podłe z niego bydle. A wyglądał tak przyzwoicie. Na tyle porządnie, że nawet on, Tolek Grubiński dał się na to nabrać. Nawet obiecał mu, że jak dopadnie tego morderce dziewczyn, to go o tym zawiadomi. I nawet chciał się wywiązać z danego słowa, ale nie wyszło. I dobrze, że nie wyszło. Teraz mu o tym wszystkim powie, zanim go odeśle do świętego Pietra. Szkieł będzie jeszcze błagał Boga i jego, oczywiście, o szybką śmierć. Ale nie da mu tego przywileju. Będzie umierał powoli i w męczarniach. Już nawet to sobie zaplanował, że zedrze z niego pasy, zanim go ostatecznie ukatrupi. A potem...

No właśnie, co powinni zrobić potem?

Z mieszkania zabiorą go, tak jak zaplanował, zawiniętego w gruby dywan. Ten dywan wrzucą na dorożkę, po którą poleci któryś z Kaźmierczaków. Pod Dworcem Łazarskim zawsze stało sporo dorożek. Były tam nawet w nocy, więc nie powinno być problemu ze znalezieniem jakiegoś znajomego dryndziarza, który za dodatkową opłatą będzie trzymał gębę na kłódkę. Pojedzie się potem gdzie do lasu, wykopie dół i facet zniknie na zawsze. Bo jak dół będzie odpowiednio głęboki, to nie ma najmniejszej szansy, żeby takiego truposza wygrzebały kiedyś lisy. Zniknie więc bez najmniejszego śladu. I dobrze. Sam se na taki los zasłużył.

Przez chwilę, spoglądając na parkowe drzewa, zastanawiał się jeszcze, co powinien zrobić z tymi papierami, które znalazł w walizce zabranej

z kibla w pociągu. Walizka była całkiem dobra, choć nie taka elegancka jak ta, którą miał u siebie w domu. W samych papierach nie było niczego interesującego. Same jakieś wykazy nazwisk i do tego sporo dokumentów z tabelkami i urzędowymi pieczęciami. Nawet ich nie czytał. Zobaczył, że to nic ciekawego i wsunął walizkę pod łóżko. Wtedy, gdy wpadły mu w ręce, chciał je przekazać policjantowi, no, ale teraz nie było już o tym mowy. Postanowił więc, że walizkę zostawi sobie, bo zawsze może się przydać, a papierzyska pójdą do pieca. Przydadzą się na podpałkę.

Ktoś szybko biegł przez park. Wytężył wzrok. Po chwili już go rozpoznał. Średni z braci Kaźmierczaków, Leon, gnał na złamanie karku przed siebie. Zdziwił się nawet, że to nie najmłodszy Krystek, tylko ten drugi. No, ale w końcu co go to obchodziło, jak oni podzielili się robotą. Dość, że dostał już sygnał o nadchodzącym policjancie. Chłopak powinien tu być za dwie minuty. Podeszedł do leżącego na sofie kolegi. Potrząsnął lekko jego ramieniem. Ten natychmiast otworzył oczy.

– Wstawaj – powiedział i uśmiechnął się zadowolony. – Robota nadchodzi.

Rozdział IX

Godzina 7.15 przed wieczorem

Leon Kaźmierczak biegł przez park jak pies uciekający przed hyclem. W pewnym momencie, wbiegając na wysypaną zwirem alejkę, tę prowadzącą w lewo, pod muszlę koncertową, nie wyrobił na zakręcie i padł jak długi przed siebie, wprost pod nogi jakiegoś spóźnionego młodego spacerowicza w gimnazjalnej granatowej czapce z daszkiem. Chłopak przestraszył się nie na żarty, zatrzymał się jak wryty, a potem odwrócił się i pognął w przeciwnym kierunku.

– A bodaj cię... żeby cię jasna chłelera wziena! – krzyknął Leon za Bogu ducha winnym chłopakiem. Cały czas przeklinając pod nosem, poderwał się na równe nogi i zanim ruszył w dalszą drogę chwycił się za rozbite kolano. Ale kolano nie było tak ważne jak portki z bielskiej wełny, prawdziwe, porządne spodnie, zaprasowane starannie na kant. Oględziny na szczęście wypadły pomyślnie, bo nie znalazł na nich żadnej dziury ani nawet przetarcia. Gdyby się podarły, to byłaby prawdziwa katastrofa. Przecież nie co dzień podczas obrabiania mieszkania trafia się na takie porządne pory, do tego pasujące idealnie na jego długie nogi. To, że były nieco zbyt obszerne w pasie, nie miało większego znaczenia. Przecież od dopasowania na brzuchu miał prawdziwy skórzany pasek, który doskonale ściągał je na chudzielcu. Jakby teraz okazało się, że je podarł, to byłaby tragedia, bo nawet na najlepiej zaszytych ślad i tak by został, a on z eleganckiego złodzieja stałby się zwykłym szmaciarzem w cerowanych porach.

Odprowadził gimnazjalistę złym spojrzeniem, a potem ruszył przed siebie spokojnym truchtem. Właściwie to nie musiał się tak bardzo

śpieszyć. Nad tym szkiełem, co szedł powoli w kierunku Matejki, miał dość dużą przewagę. Wyprzedził go jeszcze na Składowej, przed dworcem kolejowym. Potem, gdy dostali się na ulicę Focha, szedł jeszcze przez jakiś czas przodem, oglądając się co chwila za siebie, cały czas utrzymując dzielący ich dystans przynajmniej pięćdziesięciu metrów. Za Dworcem Łazarskim przyspieszył, by zwiększyć jeszcze dzielącą ich odległość, a potem, gdy tylko znalazł się przy bramie prowadzącej na żydowski cmentarz, już ruszył biegiem. Mógł pobiec, bo wiedział dobrze, że teraz może już sobie na to pozwolić. Ten szkieł przecież nie będzie gonił do chaty na skróty między macewami. Zapewne ominie kirkut i wybierze albo przejście ulicą Śniadeckich, wzdłuż tych nowych potężnych czynszówek, które postawiono jakieś dziesięć lat temu, zastępując nimi rząd dwupiętrowych rozsypujących się ruder, i stamtąd skręci w Parkową, by dostać się wprost pod Palmiarnię, albo, co było bardziej prawdopodobne, dotrze do wejścia prowadzącego do ogrodu botanicznego i pójdzie prosto do wyjścia po drugiej stronie, tego szerokiego wejścia na Matejki. Zresztą którąkolwiek z tras by wybrał, on i tak był znacznie szybszy i za chwilę powinien być już w tej kamienicy, w której jego brat Walek czekał na niego z Tolkiem Grubińskim.

Przyspieszył nieco koło ogrodu botanicznego, ale zaraz zwolnił, bo przy wejściu do tego zimowego ogrodu dostrzegł jeszcze kilka osób, które wychodziły ze środka. Zapewne byli to pracownicy, którzy po całym dniu opuszczali już to roślinne muzeum. Nie chciał wzbudzać sensacji, przebiegając przed nimi, bo mogli go wziąć za ulicznego złodzieja, który zmyka z łupem przed pościgiem, a jeśli wśród nich znalazłby się jakiś bardziej krewki stróż, to mógłby go chcieć, tak na wszelki wypadek, zatrzymać. Ruszył więc przed siebie wolnym, godnym krokiem zwyczajnego spacerowicza, a dla dodania sobie powagi łapy wsadził do kieszeni.

Idąc tak, zaczął zastanawiać się nad tym, co się właściwie wydarzyło. A było w tym wszystkim coś bardzo dziwnego. Coś, czego znaczenia nie potrafił zrozumieć. W końcu Tolek wyjaśnił mu i jego młodszemu bratu Krystkowi, czego mogą się spodziewać, a tymczasem wszystko poszło nie tak. Oczywiście nie było w tym żadnej ich winy, bo zrobili to, co mieli zrobić. Winny był oczywiście ten policjant, który wcale nie zachował się tak, jak przewidywał Tolek. O tym wszystkim, zanim on dotrze do

mieszkania, Leon chciał zameldować Tolkowi.

Na początku nic nie wskazywało na to, że coś może pójść nie tak, bo szkieł poszedł w kierunku, który przewidział Tolek.

Przeszedł spacerowym krokiem plac Wolności, kierując się dokładnie w stronę Starego Rynku. Szybkim krokiem przemierzył pustoszejący już o tej porze i niemiłosiernie zaśmiecony resztkami po zwiniętych straganach Rynek. Szedł jednak uważnie, spoglądając pod nogi, żeby nie wdepnąć w końskie odchody, którymi obficie upstrzony był rynkowy bruk. Sprzątacze, bezrobotni zatrudnieni przy robotach publicznych, wkroczą tu dopiero późnym wieczorem, kiedy ruch ustanie całkowicie. Lepiej było się trzymać pasa przylegającego bezpośrednio do kamienic, bo tam było w miarę czysto. Ale widać policjantowi się spieszyło, bo ruszył na przełaj przez rynkowy plac. Minął pręgierz i wejście do starego ratusza, a potem skierował się w stronę ulicy Woźnej. To nieco zdziwiło Leona, bo według jego wiedzy powinien pójść prosto w kierunku Garbar, przez ulicę Wodną. No, ale nie poszedł, więc wiele się nie zastanawiając, ruszył za nim. Kolejny raz zdziwił się, gdy policjant przystanął przed budynkiem po prawej stronie, trzecim z rzędu. Stał tak przez chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał, a potem rozejrzał się wokół.

Leon natychmiast oparł się o ścianę domu. Przy tej ścianie wyglądał zupełnie naturalnie, jak jeden z mieszkańców tej okolicy, który przystanął tu na chwilę. Zresztą nie był na tej ulicy sam. Niemal przy każdym domu kręcili się jacyś młodzieńcy, którzy nie mieli nic ciekawszego do roboty jak wystawanie na ulicy. Towarzyszyły im miejscowe dziewczyny, które przechadzały się po dwie czy trzy wte i wewte, trzymając się pod ręce, ubrane w swoje najelegantsze sukienki. Spacerowały niby obojętne na wszystko wokół, pochłonięte ważnymi rozmowami, ale jednak bacznie obserwując chłopaków wystających pod ścianami, podchwytyjąc spojrzenia tych, którzy byli na tyle śmiali, by popatrzeć im w oczy.

Starsi mieszkańcy kamienic też korzystali z ostatnich promieni słonecznych, przesiadując na przyniesionych z domu ryczkach i większych taboretach kuchennych. Palili papierosy i ukradkiem popijali wódkę z ćwiartek chowanych w kieszeniach marynarek. Otwarcie nie mogli tego robić, by nie narazić się na gniew swoich żon, które zajęte rozmowami z sąsiadkami wymieniały się informacjami na temat

najkorzystniejszych cen w okolicznych sklepach, ale cen produktów spożywczych, a nie wódki i tytoniu. One na takie rzeczy nie wydawały ani grosza, dlatego mężczyźni musieli sami sobie radzić ze znalezieniem dodatkowych pieniędzy na rozrywki. Najczęściej brali się za dodatkowe prace, choćby takie jak te publiczne roboty organizowane przez prezydenta Ratajskiego. Dodatkowe, bo mimo że większość z nich figurowała w spisach bezrobotnych, to jednak każdy czymś się zajmował przez cały dzień. Nie mieli w większości stałych posad, ale pracowali przy piasku, przy rozładowywaniu wagonów albo na budowach, których coraz więcej w ostatnim czasie pojawiało się w mieście.

Policjant obrzucił ulicę badawczym spojrzeniem, ale widać było, że nie dostrzegł niczego niepokojącego, dlatego zdecydował się wreszcie wejść do środka. Gdy zniknął w bramie, Leon ruszył biegiem, żeby nie stracić go z oczu.

Zobaczył jego plecy akurat w chwili, gdy zniknął już na podwórku. Leon znał tę kamienicę. Kiedyś mieszkała tu rodzina jego kolegi, jeszcze z powszechniaka, więc kilka razy tu był. Wiedział, że jest tu tylko jedna oficyna, a do mieszkań na dwóch piętrach wchodziło się nie z klatki schodowej, ale z drewnianych tarasów. Podbiegł więc do końca bramy i oparł się o ścianę, spoglądając w górę. Po chwili policjant pojawił się na podeście pierwszego piętra. Minął pierwsze drzwi i stanął przed drugimi, wyróżniającymi się świeżą zielenią. Widać mieszkał tu ktoś ważny, kogo stać było na eleganckie odmalowanie wejścia. Inne drzwi były paskudne i odrapane, a te jedne wyróżniały się już na pierwszy rzut oka.

Stał tak jeszcze przez moment, pewnie nad czymś rozmyślając, aż w końcu zapukał energicznie. Leon stał tak jeszcze przez chwilę, nie wiedząc, co powinien w tej sytuacji dalej robić. W końcu podjął decyzję. Ruszył szybko w kierunku drzwi prowadzących do sieni oficyny.

* * *

Pukanie do drzwi obudziło Krystiana Kaźmierczaka, który nawet nie wiedział, w którym momencie zasnął. Położył się na łóżku, bo co miał

innego do roboty? Przecież nie będzie siedział przy stole, gapiąc się w ścianę. Lepiej było na leżąco patrzeć w sufit. Mógł co prawda usiąść przy oknie i popatrzeć na podwórko, ale co go obchodziły zabawy jakichś zasmarkanych szczonów. On był już za duży, żeby się przyglądać, jak smarkacze kopią szmacianą piłkę. Właściwie nie miał nic do roboty. Przyniósł sobie co prawda dwie flaszki piwa, dwie bułki i kawał suchej kiełbasy, żeby to siedzenie mu się nie dłużyło. Ale zaraz jak tu przyszedł, zjadł najpierw połówkę kiełbasy z jedną bułką, popił pierwszym piwem i postanowił, że tę drugą porcję zje później. Jednak gdy zjadł już tę pierwszą część posiłku, doszedł do wniosku, że nie ma co czekać z drugą, bo może się przypadkiem okazać, że ten na kogo czeka przyjdzie za chwilę. I co wtedy? Wtedy, zgodnie z poleceniem, powinien za nim pójść, a jak niby miał to zrobić z flaszką piwa i papierową tytką z żarciem w ręce? Podczas śledzenia lepiej mieć wolne łapy – pomyślał i sięgnął po kiełbasę. Po kilku minutach popił jedzenie drugim piwem i wtedy zrozumiał, że nie ma co robić. Rozejrzał się po mieszkaniu. Nie było tu nic interesującego z wyjątkiem tej, stojącej pod ścianą, eleganckiej skórzanej walizki, należącej do Tolka. Podeszedł do niej, dotknął tu i ówdzie, pogładził dłonią miękką skórę, a nawet podniósł na chwilę, by zważyć ją w ręce. Była niesłychanie lekka. Pomyślał, że jak kiedyś trafi na podobny skarb, to na pewno weźmie go dla siebie. Z taką elegancką walizką człowiek musi wyglądać bardzo poważnie, tak jak taki jeden gość w filmie, który oglądał kiedyś w kinie „Apollo”. On jechał gdzieś w podróż takim pociągiem z miękkimi siedzeniami, a nie takimi, w jakim Krystek miał okazję kilka razy podróżować do Nowego Tomyśla. Jeździł tam z matką, kiedy ta jeszcze żyła, bo w Nowym Tomyślu mieszkał jakiś ich krewny. No i wtedy jeździli trzecią klasą z drewnianymi ławkami. Ale to mu wcale nie przeszkadzało. Najważniejsza była sama podróż, to, co działo się za oknem i do tego jeszcze para wylatująca z komina lokomotywy i przepływająca kłębami za oknem. Później, po śmierci matki, już nigdy więcej nie jechał pociągiem, ale gdy zobaczył ten amerykański film i to wewnątrz pociągu, zapewne pierwszej klasy, pomyślał sobie, że jeśli kiedyś będzie musiał gdzieś jechać, to na pewno wykupi najdroższy bilet. No tak, ale do takiego biletu przydałoby się jeszcze jakieś eleganckie ubranie, no i taka walizka.

Rozmyślał o tej podróży nie wiadomo dokąd, gdy nagle zrozumiał, że

już jedzie. Siedzi w wygodnym przedziale, popijając piwo z flaszki. Na koszu ponad jego głową skórzana walizka, a za oknem krajobraz, żywcem przypominający ten z drogi do Nowego Tomysła. Tylko po co tam jedzie – nie wiedział. Ale to nie miało większego znaczenia. Grunt, że jedzie w takich cudownych, eleganckich warunkach. Drzwi przedziału, bo to wagon z przedziałami, a nie z ławkami i przejściem pośrodku, są zamknięte i widać przez nie drugie okno. A za oknem jakieś pola, jak te w tym amerykańskim filmie. A po tych polach pędzą na koniach Indianie, jak w filmie. Wszystko to już kiedyś widział. Czyżby przeniósł się, nie wiadomo jak, do Ameryki? Ale skąd w Ameryce kolejarz w rogatywce i z orzełkiem na czapce? Kolejarz puka do drzwi i pewnie chce przedziurkować bilet, a on nie ma żadnego biletu. Nie kupował biletu na stacji w Poznaniu, bo nie był dziś na stacji. Skąd niby miałby mieć ten bilet? A konduktor puka coraz głośniej.

Otworzył oczy. Przez chwilę nie wiedział, gdzie jest. Wiedział tylko, że pociąg gdzieś zniknął. Rozejrzał się dookoła. Leżał na łóżku, a ktoś walił pięścią do drzwi. Był w mieszkaniu u Kryśki – nagle wszystko mu się przypomniało. Przypomniał też sobie, że drzwi są zakluczone, a dodatkowo jeszcze od środka zamknięte na skobel. Wstał niemal bezszelestnie. Najciszej, jak potrafił, poszedł na korytarz, przybliżył się do drzwi i spojrzał przez dziurkę od klucza. Ale niewiele dostrzegł. Widział tylko tyle, że ktoś tam był. Ten ktoś jeszcze raz uderzył w drzwi, a potem odszedł dwa kroki do tyłu, jakby chciał się rozpędzić, żeby te drzwi wyważyć.

– Was wünschen Sie? – odezwał się jakiś głos na schodach. Ten stojący pod drzwiami jeszcze bardziej się odsunął i obrócił do drzwi bokiem, żeby spojrzeć na kogoś, kto stał zapewne nieco niżej.

– A co to kogo obchodzi? – warknął ten, co był przy drzwiach i wtedy Krystek go rozpoznał. Znał ten głos doskonale, bo z tym człowiekiem i z jego pięścią miał już okazję się zetknąć podczas przesłuchania, na komisariacie, tu niedaleko, na Wielkich Garbarach.

– Ich bin Hausbesitzer – wyjaśnił Niemiec.

– A ja jestem policja!

– Ich verstehe Herr Offizier, aber hier...

– A po polsku mówić to nie łaska?

– Ja, polski, ja natürlich. Nikt w domu. Fräulein Kristine ist weg.

– A gdzie jest?
– Ich weiß nicht, Herr Offizier. Ja ni wiem. Ni ma.
– Gospodarz powinien wiedzieć wszystko o lokatorach. Jasne?
– Ja, jasne! Wunderbar!
– To jak wróci, to powiedzcie jej, że miała gościa, co była z nim umówiona i że gość powiedział, że jutro tu wróci. I żeby mi była w domu. Rozumiecie?

– Ales klar, Herr Offizier. Co ma nie rozumieć.

Policjant ruszył na schody. Stróż musiał pójść za nim, bo słychać było kroki obu mężczyzn, jedno szybsze, a drugie człapiące, nieco wolniejsze.

Krystek szybko wrócił do pokoju. Wciągnął buty i błyskawicznie je zawiązał. Potem wyszedł z mieszkania, starannie zamykając za sobą drzwi na klucz. Nie miał chwili do stracenia, jeśli nie chciał zgubić faceta, dlatego najszybciej, jak potrafił, zbiegł po schodach. W bramie minął jakiegoś postawnego mężczyznę, który na jego widok zaklął po niemiecku, a potem wysunął nogę do przodu, żeby podłożyć ją biegnącemu. Ale chłopak był zbyt zwinny, żeby mógł dać się zaskoczyć jakiemuś staruchowi. Zwinnie przeskoczył nad tą nogą i w biegu pchnął jeszcze Niemca. Ten stracił równowagę i uderzył plecami o ścianę.

– Donnerwetter! – krzyknął, padając na bruk. Ale tego jak upadł, chłopak już nie widział, choć przez ułamek sekundy przemknęła mu przez głowę myśl, żeby przystanąć i spojrzeć na swoje dzieło i może zagrać na nosie temu szkiebrowi. Nie, nie mógł sobie na to pozwolić. Musiał biec za szkiełem. Dostrzegł go w pewnej odległości, jakieś dwie kamienice dalej, akurat w chwili gdy z Mostowej skręcał w Groblę. Nie musiał więc za szybko biec. Za moment będzie tuż za jego plecami. Teraz już miał pewność, że na pewno mu nie ucieknie i będzie mógł koncertowo wykonać swoje zadanie.

* * *

Leon wspiął się po schodach, bo już mu się znudziło to czekanie. Stracił tu już pewnie z godzinę, a może trochę mniej. Tego nie mógł być pewny,

bo nie miał zegarka. Pewne za to było, że w tym czasie zdążył skrócić i wypalić dwa papierosy. W końcu, gdy spalił tego drugiego, postanowił sprawdzić, co tam się dzieje. Może dałoby się zajrzeć przez okno – pomyślał i ciekawość zwyciężyła. Już miał wejść na podest prowadzący do tego mieszkania, w którym zniknął policjant, gdy usłyszał dochodzące z zewnątrz skrzypienie drzwi, a potem zbliżające się zdecydowane męskie kroki. Spojrzał za siebie, na ciemne schody prowadzące na następne piętro. Znalazł się na nich jednym susem, a potem pognął na półpiętro. Trzymając się poręczy, spojrzął dyskretnie w dół. Policjant wracał. Trzeba było znów się do niego przykleić. Nie dowiedział się, co też robił w tym mieszkaniu, ale czy to miało jakieś znaczenie? Mężczyzna po chwili znalazł się na ulicy i szedł w stronę Rynku. Wtedy ostatecznie przekonał się, że szkieł nie ma najmniejszego zamiaru iść do mieszkania Kryski. Pewnie się rozmyślił, bo najwyraźniej kierował się w stronę placu Wolności. A stamtąd do tego mieszkania na Matejki nie było już zbyt daleko.

Idąc za nim w bezpiecznej odległości, cały czas zastanawiał się, gdzie się podziewa jego brat Krystek. Pewnie wyleguje się teraz w łóżku. Bo w końcu co on by miał robić? Skoro szkieł nie doszedł do niego, mógł się spokojnie wyspać. To mu się nawet spodobało. Będzie jutro z czego robić sobie podśmiejki. Krystek pewnie zjawi się rano wyspany, a on zapyta go z udanym przejęciem, gdzie się podziewał, podczas gdy oni załatwiali na ament tego policjanta. Wtedy młody się wkurzy, bo będzie mu głupio, że go nie było, gdy wszyscy mieli pełne ręce roboty. A on mu wtedy opowie ze wszystkimi szczegółami, co stracił.

Nagle, gdy był już na wysokości Bazaru, po drugiej stronie ulicy dostrzegł chłopaka, który wyglądał jak jego rodzony brat. Aż otworzył gębę z niedowierzaniem. To był on. I tak ten drań słuchał poleceń. A to zasraniec jeden. Leon włożył dwa palce do gęby i zagwizdał przeciągle. Gwizd natychmiast przykuł uwagę chłopaka. Odwrócił się i stanął jak wryty. Dostrzegł natychmiast brata i zaraz uśmiechnął się szeroko, a potem przebiegł ulicę.

– Idę za onym – wskazał ręką w kierunku placu, ale nikogo tam nie było już widać.

– Za kim? – zdziwił się Leon.

– No za tym, co tam był u Kryski.

- Zgłupiałeś?

- Jak?

- Co jak? Za kim ty leziesz, łachudro?

- No jak za kim? Za tamtym, com miał za nim iść - wskazał ręką w kierunku Biblioteki Raczyńskich, ale nie było tam już śladu nikogo.

- Łe Krystek, dupa żeś jest. Pierdoła z Gądek. Ja idę za tym szkiełem. Tam idzie - teraz on wskazał ręką powietrze. Nikogo nie było przed nimi.

- Dalej, biegiem.

Ruszyli szybko do przodu. Dostrzegł go po chwili, gdy policjant był już przed dawnym Hotelem de Rome.

- To ten w kapeluszu, lebiego.

- Ale to nie ten - próbował mu tłumaczyć Krystek.

- Co nie ten, jak ten. Ide za nim od samego Prezydium. To jest nasz szkieł, a za kim tyżeś laż, to ja nie wiem.

- Ale...

- Żadne ale. Słuchaj mie. Idziemy oba. Ja lece przed nim i bede tak laż, aż dojdziemy do ogrodu botanicznego. Jak już tam bede, to pobiegne szybko, żeby uprzedzić chłopaków. A ty idziesz cały czas za onym, aż wejdzie do chaty. Jak bedzie w środku, to dopiero ty wchodzisz i odcinasz mu odwrót. Tyżeś jest teraz ariergarda.

- Co?

- Gówno - zaśmiał się Leon ze swojego ulubionego żartu, klepnął jeszcze młodego w głowę, a potem pobiegł, najszybciej jak potrafił, żeby wyprzedzić policjanta.

* * *

Tolek podszedł do drzwi, gdy usłyszał szybkie kroki na schodach i nieco je uchylił. Leon zdyszany wpadł do środka, więc szybko przekręcił klucz w drzwiach i pociągnął chłopaka za sobą. Skoro przybiegł tu, to oznaczało, że mieli jeszcze kilka długich minut na dokończenie przygotowań i rozdzielenie zadań. Policjant musi jeszcze pewnie pokonać cały park, później wejść po schodach, i chwilę jeszcze pogrzebie

kluczami w zamku.

Z tymi kluczami to była najbardziej ryzykowna część planu. Najpierw chciał tylko ukraść te klucze, dlatego wziął do tego Czecha Pacułę. Ludzie Czecha oczywiście sprawili się doskonale i klucze znalazły się w jego rękach. Ale już w czasie tej roboty pomyślał sobie, że jeśli policjant zorientuje się, że klucze mu ukradziono, może szybko wrócić do domu ze ślusarzem. Trzeba więc było nieco zmodyfikować plan. Klucze natychmiast powędrowały do znajomego ślusarza, który nigdy nie miał w zwyczaju pytać, po co potrzebne są kopie. W niecałą godzinę uporał się z robotą, a Czechu dostał klucze z powrotem. Bez najmniejszych problemów podrzucił je jeden z uczniów Czecha wprost do kieszeni marynarki policjanta w restauracji, w której ten jadł obiad.

– Już idzie – powiedział Leon po chwili, gdy udało mu się wreszcie złapać oddech.

– Tak mi się zdawało – Tolek klepnął go w ramię. – Włóż do środka i siedź cicho.

– A co mam robić? – zapytał chłopak, gotowy do natychmiastowej akcji.

– Masz nie przeszkadzać – wyjaśnił mu jego starszy brat Walenty, który też pojawił się w korytarzu. – Idź tam – wskazał mu drzwi prowadzące do niewielkiej kuchni.

– Łe, no ale...

– Żadne ale – przerwał mu Tolek. – Nie ma czasu na ksiuty. Włóż i siedź. Jak będziesz potrzebny, to się cie zawoła.

Leon zrobił obrażoną minę, a potem z podniesioną głową poszedł tam, gdzie mu kazali.

Tymczasem najstarszy z Kaźmierczaków ustawił się obok drzwi w ten sposób, że skrzydło po ich otwarciu powinno go całkowicie zasłonić. Ten moment planował wykorzystać na przystawienie policjantowi pistoletu do głowy. Gdy zaskoczony właściciel mieszkania przystanie, z kuchni wynurzy się Tolek. Obezwładnienie go nie powinno więc zająć im więcej niż kilka sekund. Plan był prosty i dlatego niezawodny. Policjant nie miał najmniejszej szansy.

Tolek wszedł do kuchni, która miała stać się jego punktem dowodzenia. Wydobył z kieszeni colta z sześciopojowym bębniem. Przyjrzał mu się uważnie, a potem obrócił bęben. Wszystkie naboje były na miejscu. Był gotowy do akcji. Zdziwił się nawet, że nie odczuwa

żadnych, najmniejszych nawet emocji. Ale skąd miałyby się brać emocje, skoro to, co zamierzał zrobić, było jak rozdeptanie szkodliwego robaka? Przecież ten bydlak nie był normalnym człowiekiem, skoro był zdolny do takiego potraktowania dziewczyny. Z czułością pomyślał o Krysi, która dochodziła już po tym wszystkim do siebie. Była taka krucha i delikatna, a ten gnój potraktował ją jak szmatę. Nie mógł mieć dla niego ani odrobiny litości. Ktoś taki nie powinien chodzić po tym świecie. To się należy Kryście. Nagle uświadomił sobie, że wszystko, co robi od jakiegoś czasu, robi dla niej. Że zależy mu na tej dziewczynie, jak nigdy na nikim mu nie zależało. Że gotowy jest dla niej zrobić wszystko i że robi wszystko, żeby tylko była szczęśliwa.

Nadaśany Leon siedział na taborecie przy kuchennym stole.

- Coś tak zwiesił kluka? - zapytał, uśmiechając się do chłopaka.
- A co, nie wolno?
- Wolno. Ino po co?
- A bo to ja jestem gorszy, czy jak?
- Ady tam zaraz. Przydasz się. Zaraz zobaczysz. A gdzie Krystek?
- Za szkiełkiem lezie. Jak ino ten wejdzie do chaty, młody tu będzie.
- Gadałżeś z nim?

Leon uśmiechnął się i zaraz machnął ręką.

- Gadałem - ożywił się natychmiast, gdy mu się przypomniało, jak jego młodszy brat pomylił człowieka, którego miał śledzić i śledził nie wiadomo kogo. - Coś mu się we łbie pokiełbało. Szedł za jakimś facetem, ale nie tym, co trzeba.

Tolek spojrzał na niego zdziwiony, ale już nie zdążył nic odpowiedzieć. Usłyszał, że ktoś wkłada klucz do zamka, a potem przekręca klucz. Drzwi jęknęły cicho, a potem rozległ się trzask i zaraz krzyk starego Kaźmierczaka. Tolek błyskawicznie z pistoletem w dłoni skoczył na korytarz i stanął jak zamurowany, wpatrując się w wylot lufy pistoletu, który nagle pojawił się tuż przed jego oczami. Pistolet tkwił w dłoni policjanta Fischera, który, nie wiedzieć czemu, uśmiechał się zadowolony. Tuż za nim na podłodze leżał Kaźmierczak, trzymając się za rozkwaszony nos. Nie wyglądał na człowieka, który byłby zdolny do jakiegokolwiek działania. Fischer dostrzegł za plecami Tolka jakąś postać. Leon Kaźmierczak stał za nim niezdecydowany, nie mając pojęcia, co powinien teraz zrobić.

– Młody, chodź no tu, a ty – powiedział, patrząc w oczy Tolkowi, rzuć pistolet na podłogę.

Pistolet upadł z łoskotem.

– Zamknij drzwi – wydał polecenie Leonowi, a ten zrobił to natychmiast.

– Jak już żeś zamknął, to klękaj ryjem do ściany, a ręce na kark.

Leonowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Policjant wyglądał bardzo poważnie i lepiej nie było sprawdzać, czy lubi żartować.

– Ty klęknij obok niego – rozkazał Tolkowi.

Ten zrobił, co mu kazano, obrzucając Fischera złym spojrzeniem.

– Teraz ty – policjant machnął pistoletem w kierunku najstarszego z braci, który właśnie wracał do przytomności po potężnym uderzeniu drzwi wejściowych. On też wolał nie ryzykować. Cały czas trzymając się za rozbity nos, padł na kolana i nie wstając nawet, ale cały czas klęcząc, przysunął się do ściany, zajmując miejsce obok swoich kompanów.

– No to teraz sobie wszyscy poczekamy na tego szczone – powiedział Fischer, uśmiechając się. Ale żaden z nich nie dostrzegł tego złowrogiego uśmiechu. Policjant stał z pistoletem w dłoni, cały czas przypatrując się trójce swoich więźniów. Wszyscy wpatrzeni we wzorzystą zieloną tapetę tkwili nieruchomo pod ścianą.

– Jak wasz kompan podejdzie do drzwi, a któryś z was choćby głośniej nabierze powietrza, odstrzelę mu natychmiast łeb, więc nie próbować mi żadnych sztuczek. Jasne?

Jak na komendę dwaj Kaźmierczakowie pokiwali głowami. Tolek nie zareagował, więc Fischer zrobił krok w jego kierunku i przyłożył mu lufę do skroni.

– Nie słyszałeś?

– W dupie cię mam, bydlaku chłelerny i jeszcze ci powiem, że... Nie dokończył, bo Fischer nie miał zamiaru dyskutować. Uderzył go kolbą w łeb, tak że ten od razu osunął się na podłogę.

Nie mógł ryzykować, że coś się nie uda. Chciał mieć ich wszystkich pod lufą, żeby odpytać ich jednocześnie. Wiedział, że tylko teraz i na gorąco będzie mógł wydobyć z nich całą prawdę o tej zasadzce.

Ktoś szarpnął za klamkę z zewnątrz. Kaźmierczakowie natychmiast odwrócili głowy, ale Fischer spojrzał na nich groźnie, więc posłusznie odwrócili twarze na powrót do ściany. Podszedł do drzwi, podniósł

skobel i pociągnął skrzydło do siebie. Na korytarzu stał chłopak, ten sam, który go śledził. Uśmiech natychmiast zniknął z jego twarzy, gdy zamiast któregoś z kompanów zobaczył przed sobą policjanta z wycelowanym w niego brownie w dłoni.

– Wchodź do środka! – powiedział Fischer.

Młody zawahał się.

– Właź, bo inaczej już po tobie.

Wszedł, ale minę miał nietęgą.

– Klęknij koło nich – wskazał pistoletem na klęczących braci. – No dobrze – powiedział zadowolony policjant. – Nie będziemy tu tak siedzieć w korytarzu. Zapraszam panów na pokoje.

Wszyscy trzej bracia spojrzeli na niego zdziwieni. Tolek nie spojrzął, bo leżał cały czas na brzuchu z policzkiem wtulonym w dywan. Jednak powoli dochodził już do siebie.

– Podnieście go i...

Nie dokończył, bo rozległo się pukanie do drzwi. Fischer zdziwił się, bo przecież naliczył tylko dwóch idących za nim ludzi. Chyba że mieli jeszcze kogoś ukrytego gdzieś na ulicy. Swoją drogą ciekawe, po jaką cholere im to wszystko? W pięciu na jednego? To nawet o trzech za dużo. Oczywiście, gdyby ci dwaj byli na tyle mądrzy, żeby sobie z nim poradzić.

– To ktoś od was? – zapytał cicho. Nikt mu nie odpowiedział.

– Tak czy nie, bo odstrzelę łeb temu Młodemu – powiedziawszy to, przytknął lufę brownie do potylicy chłopaka.

– Nie, jak Boga kocham – powiedział szybko ten z rozbitym nosem.

Fischer uśmiechnął się i nie spuszczać ich z oczu, wycofał się do drzwi.

– Kto tam? – zawołał.

– Panie komisarzu, jak pragnę zdrowia, cały czas pana szukam.

Fischer rozpoznał głos. To był jego człowiek, wywiadowca Kacperek. Szybko odsunął skobel i otworzył drzwi. Kacperek uśmiechnął się szeroko na widok swojego szefa, ale w pierwszej chwili nie zrozumiał, dlaczego on stoi do niego bokiem, zamiast normalnie spojrzeć mu w twarz, lecz spogląda gdzieś w głąb mieszkania. Zaciekawiony wsadził głowę do środka i ze zdziwieniem dostrzegł trzech facetów klęczących pod ścianą i jednego leżącego na podłodze.

– O w mordę... – jęknął, uświadomiwszy sobie, że dzieje się tu coś

nadzwyczaj dziwnego.

– Wchodź do środka i zamykaj drzwi.

Wywiadowca natychmiast wykonał polecenie swojego szefa.

– Weź do ręki tego gnata – Fischer wskazał nogą leżący tuż przy wejściu do kuchni rewolwer należący do Tolka.

– Co to za menażeria, panie komisarzu?

– Takie tam odwiedziny niezaplanowane. Panowie wpadli z wizytą. Tylko jeszcze nie powiedzieli, kto ich tu zaprosił. No, wstawać – zwrócić się do bandytów. – Idziemy sobie trochę pogadać. I pomóżcie mu wstać.

Kacperek natychmiast wszedł w rolę konwojenta. Z bronią w dłoni zabezpieczał tyły, podczas gdy gospodarz otwierał drzwi do salonu.

Na środku pokoju stał okrągły dębowy stół z pięcioma krzesłami. Na wprost drzwi wielkie okno wychodziło na ogród botaniczny. Była tu jeszcze szeroka, obita na zielono sofa i głęboki fotel, w którym gospodarz domu lubił siadywać z książką. W salonie stał też kredens, który, gdyby Fischer miał żonę, wypełniony byłby zapewne porcelanowymi talerzami, jednak póki żył samotnie, był tylko szafą na niepotrzebne rzeczy, z którymi nie wiadomo było co zrobić, bo przecież nie powinny leżeć na wierzchu. Miał więc schowanych tam kilka kołnierzyków i mankietów, przybory do pisania, książeczkę do nabożeństwa, z której nigdy nie korzystał, i całą stertę gazet, które chował, bo zainteresował go jakiś artykuł, do którego miał zamiar jeszcze wrócić, ale nigdy nie wracał.

Zatrzymani weszli do środka. Wskazał im miejsce, w którym mają się ustawić, przy ścianie, na której wisiał oleodruk przedstawiający księcia Józefa Poniatowskiego na koniu, skaczącego w nurt Elstery. Kacperek został przy drzwiach, odcinając jedyną drogę ucieczki, a Fischer usiadł przy stole. Z kieszeni marynarki wydobył woreczek z fajką i tytoniem. Spokojnie nabił ją, a potem przypalił. Czwórka rzezimieszków pilnie obserwowała każdy jego ruch. W końcu wypuścił kłęb dymu, a potem uśmiechnąwszy się, powiedział:

– To może ktoś mi wreszcie wyjaśni, czemu zawdzięczam panów wizytę?

Żaden się nie odezwał. Kaźmierczakowie spuścili głowy. W końcu oni byli tu tylko do pomocy, więc żaden nie kwapił się do wyjaśniania. Tylko Tolek patrzył hardo w oczy policjanta.

– No, może pan Grubiński zacznie.

– Chciałem cie zarznąć, bydlaku.

Fischer spojrział na niego z niedowierzaniem. Nie spodziewał się od razu tak szczerego wyznania. Poza tym nie miał pojęcia, skąd brała się ta nienawiść czająca się w jego oczach. Przecież nie mieli ze sobą żadnych porachunków. Wręcz przeciwnie. Wyświadczył nawet temu Grubińskiemu przysługę, wypuszczając go z kozy. A teraz ten mówi o jakimś zarzynaniu. A może on po prostu postradał zmysły? Tylko czemu te trzy obwiesie dały się do tego wariactwa wciągnąć?

– No proszę, jestem bydlakiem. A czy mógłbym wiedzieć, z jakiego powodu?

– Panie komisarzu, może by tak przypierdolić chamowi jednemu? – zaproponował Kacperek, który był zwolennikiem prostych i wypróbowanych metod.

– Powoli dojdziemy do prawdy cywilizowanymi metodami, bo zdaje się, że pan Grubiński chce się z nami podzielić swoimi przemyśleniami. To co, dowiem się, w czym rzecz?

– Za to, cożeś zrobił Kryśce.

Fischer zdumiał się jeszcze bardziej. Ten facet chyba naprawdę zwariował. Jakiej Kryśce, do cholery? Nie przypominał sobie żadnej Kryśki, której by cokolwiek zrobił.

– Co ty bredzisz, człowieku? Nic nie wiem o żadnej Kryśce.

– Dobrze sobie. A do kogo chodziłeś dzisiaj na Garbary?

– A co cię, do cholery obchodzi, baranie jeden, po co ja chodzę na Garbary – krzyknął nagle wyprowadzony z równowagi Fischer. Co ten śmieć sobie myśli? To znaczy, że śledzili go nie od budynku dawnego Hotelu de Rome, gdzie zauważył tych dwóch szczonów, którzy zajmują pozycje przed i za nim, ale widzieli go już na Wronieckiej? To zaraza cholerna! A przecież był taki ostrożny. Nawet rozejrzał się, zanim wszedł do bramy tego domu. Ale nie zorientował się wtedy, że ktoś za nim idzie. No i ma za swoje. Zachciało mu się tam chodzić i proszę. Teraz wszyscy mogą poznać jego tajemnicę.

* * *

Antoni Fischer wszedł do ciemnego przedpokoju po tym, jak usłyszał kobiecy głos zapraszający do środka. Wewnątrz śmierdziało kiszoną kapustą i rozgotowanymi pyrami. Taki normalny smród, charakterystyczny dla większości tych mieszkań. W końcu kapusta i kartofle były podstawą wyżywienia większości mieszkańców tych biedniejszych dzielnic. A tu, w uliczkach odchodzących od Rynku, w tych starych, rozsypujących się czynszówkach, które w większości miały po dwieście i więcej lat, ludzie zamożni za nic w świecie nie chcieliby zamieszkać. Nic dziwnego. Mieszkania tutejsze składały się zwykle z jednej czy dwóch izb, najczęściej bez żadnych wygód. Nawet ubikacji nie było na półpiętrach, a za potrzebą chodzić trzeba było na podwórko. Do tego wodę nosiło się z miejskich pomp, których na szczęście było pod dostatkiem na każdej ulicy. Fischer nie lubił tych ciasnych i zarobaczonych domów, ale z racji obowiązków służbowych bywał tu częstym gościem. Właśnie podczas jednej z takich policyjnych wizyt poznał właścicielkę tego mieszkania.

Odchylił brudną szmatę odgradzającą ten zagracony i ciemny korytarzyk i wkroczył do niewielkiej kuchni, w której prócz kaflowego pieca mieścił się jeszcze biały drewniany stół i dwa krzesła. Na jednym z krzeseł siedział biały kot, który na widok wchodzącego mężczyzny uciekł natychmiast przez na wpół przymknięte drzwi prowadzące do sąsiedniej izby.

– Zara, zara, już idę, ino się obleke – dobiegł do niego piskliwy, kobiecy głos z izby za kuchnią. Zrobił więc dwa kroki do przodu i usiadł na miejscu, które przed chwilą zajmował kot. Rozejrzał się po tej skromnej kuchni, ale nic kompletnie nie przykuło jego uwagi. Wszystko było tu takie zwyczajne i szare, jak zwyczajna i szara jest bieda.

Pulchna sześćdziesięciolatka z twarzą pooraną siatką zmarszczek wyszła z pokoju. Na głowie miała czarną chustkę, na brzuchu, zawiązany z tyłu, płócienny popielaty fartuch, taki jaki kobiety noszą w domu podczas pracy w kuchni. Fischer pomyślał, że wygląda jak zakonnica, ale starej Marciniakowej nikt nie posądziłby o bliskie kontakty z Bogiem, prędeż już o konszachty z Jego odwiecznym konkurentem.

– Łe matko, sam pan komisarz u mnie! Błęże świnty! A tu taki bajzel w chacie, że poruta.

Fischer wzruszył tylko ramionami. Co go obchodził bałagan na stole. Prawda, że walały się tu jakieś resztki jedzenia, obierki cebuli i ziemniaków, ale przecież on tu nie na ucztę przyszedł, ale w konkretnej sprawie.

Gospodyni podeszła szybko do stolika, pozbierała brudne talerze i kubki, a potem wszystkie resztki zgarnęła kawałkiem fartucha na rękę i wrzuciła je do wiadra z pomyjami.

– Już, już, panie komisarzu kochany. Niech se pan siednie.

– Siedzę już, pani Marciniakowa.

– Łe, jako ja tam pani?

Jeszcze raz wytarła cały blat stołu, a potem podeszła do pieca.

– Kawy nie ma, co by panu komisarzowi naszykować...

Aż się otrząsnął na myśl o tym, że miałby pić kawę z któregoś z tych brudnych kubków, co moczyły się w brązowej wodzie w miednicy stojącej na podłodze.

– Kawę to ja już piłem w kawiarni. Niech pani siada.

– Poruta tako, że Matko Bosko, ani kawy, ani nawet drevków na rozpałkę, ni mo kto narąbać. Bejmów ni ma. Bieda tako panie...

– No to dziś ma pani szczęście, pani Marciniakowa, bo ja pieniędzy nie pożałuję, ale muszę wszystko wiedzieć, co i jak.

– A pewnie, że wszystko powiem, co i jak, panie komisarzu. Co bym miała nie powiedzieć? Wszyściuchno, jak na spowiedzi.

Zadowolony Fischer wyciągnął z kieszeni pokaźny plik banknotów i nie licząc ich, położył na stole. Marciniakowa, widząc tę fortunę, za którą będzie mogła przeżyć w luksusie przynajmniej przez trzy, a może i cztery dni, opływając we wszystko, co jej się wymarzy, czyli chleb, pyrki i olej rzepakowy, jajka, a pewnie i nawet kiełbasę, przełknęła ślinę. Najchętniej od razu wzięłaby te marki i poleciała do rzeźnika na rogu Wodnej i Garbar, ale wiedziała, że najpierw musi na nie zapracować.

Wstała szybko z krzesła i nadspodziewanie chyżo pobiegła do pokoju. Po chwili wróciła uśmiechnięta od ucha do ucha, trzymając w ręce drewniane pudełko. Gdy na powrót usiadła, postawiła je na stole, a potem uniosła wieczko. W środku była talia kart w nieoczekiwanie dobrym stanie. Widać, że bardzo o nie dbała. Szybko wydobyła je z pudełka i nie powiedziawszy ani słowa, zaczęła je tasować z wprawą godną początkującego szulera. Po chwili położyła kupkę przed

policjantem.

– Teraz przełoż – powiedziała z namaszczeniem, zapominając o tym, że powinna mówić do niego panie komisarzu. Ale Fischer był tak przejęty, że nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

Przesunęła pieniądze i kasetkę na skraj stołu i zaczęła powoli i z namaszczeniem rozkładać karty obrazkami do góry.

– To jesteś ty – powiedziała, gdy na stole pojawił się król kier. – A tu przy tobie jest hercowa dama. Łe jery, jak blisko łyna przy tobie! – Wykrzyknęła, gdy okazało się, że król i królowa są obok siebie. – A tu twój przyjaciel, co zawsze nim był i będzie – to król dzwonkowy, ale on może cie z twoją wybranką rozdzielić. A tu twój wróg śmiertelny, co czyha na ciebie – uderzyła palcem w waleta pikowego – co ci nic dobrego nie życzy, co wrogiem się wcale nie okaże i skarb dzięki niemu znajdziesz, ale czy miłość zatrzymasz przy sobie, tylko od ciebie zależeć będzie, bo nikt inny tu nic nie poradzi. Wystrzegaj się waleta czarnego serca, co będzie chciał cię zabić. Łyn mo wielką złość na ciebie i rachę szykuje. Strzeż się onego – stuknęła pulchnym palcem w czarną głowę waleta.

* * *

Fischer spojrzał na czarnowłosego Tolka Grubińskiego. To ma być ten walet pikowy, co chciał mnie zabić? No i dobrze, bo to oznacza, że wróżba się spełnia, przynajmniej w jednej części, tej dotyczącej wroga. Jeśli się spełni też co do miłości... Ale teraz nie czas o tym rozmyślać. Trzeba najpierw uporać się z tym, co wydarzyło się tu na miejscu, w jego mieszkaniu.

– Czegoś tu nie rozumiem, panie Grubiński – powiedział, patrząc uważnie na Tolka.

– A co tu nie rozumieć. Skrzywdziłeś moją Kryskę. Nawet jak mnie wsadzisz do paki, to i tak racha musi być...

– Tobie się całkiem we łbie pomieszało człowieku.

– Nic się nie mieszało. Powiedział żeś wczoraj Kryśce, że do niej

pójdiesz dzisiaj i żeś poszedł. Ale jej nie było. Bom ja ją ukrył przed tobą...

Fischer był coraz bardziej zdumiony. Ten człowiek bredził. Może za dużo wypił?

– No dobra, dość tych ksiutów. Nie będę słuchał więcej tych bredni.

– Myślałeś, że nikt się nie dowie – ciągnął dalej niezrażony Tolek. – Ale w domu nie było dziś Kryski. Ale był ten młody Krystek i widział, jakżeś tam był. Co Krystek, widziałeś go?

– Widziałem – potwierdził cicho chłopak.

– No proszę! – tryumfował złodziej. – Prawdy się nie wyprzesz. Jak nas wsadzisz, to powiem wszystko o twoich sprawkach, cożeś Kryśce uczynił...

– Widziałem, ale jego nie – Krystek spuścił spojrzenie na czubki swoich butów.

– Co? – prawie krzyknął Grubiński, jakby kompletnie zapomniał o sytuacji, w jakiej się znajduje.

– Tam był policjant u Kryski, ale nie ten komisarz, ino drugi.

Po tych słowach zapadła kompletna cisza. Słysząc było tylko tykanie zegara, który wisiał na ścianie. W końcu to milczenie przerwał całkiem przytomnie wywiadowca Kacperek.

– Chyba im się co we łbie popierdoliło, panie komisarzu. Trzeba by wpierdolić wszystkim, to może im się klepki poukładają.

Fischer poczuł, że chce mu się śmiać. Mina Grubińskiego mówiła sama za siebie. Niedoszły zabójca policjanta wyglądał tak, jakby chciał napluć na osełkę przed naostrzeniem swojego rzeźnickiego noża. Był kompletnie zdezorientowany.

– To, że pałą dostaną na komisariacie, to pewne jak amen w pacierzu. Ale najpierw musimy sobie wszystko po kolei wyjaśnić, bo tu, zdaje się, o ważne rzeczy się rozchodzi. Chodź pan, panie Grubiński, tu do stołu. – Wskazał dłonią krzesło, dokładnie naprzeciwko siebie. Tolek niepewnie podszedł i usiadł na wskazanym miejscu, kładąc dłonie na blacie stołu.

– Więc podsumujmy. Według pana dopuściłem się jakiejś zbrodni, która wymagałaby zemsty. Przygotował więc pan zasadzkę na zbrodniarza, który miał zostać przykładowie ukarany. Czy dobrze to wszystko zrozumiałem, panie Grubiński?

Tolek pokiwał głową, ale nie odezwał się.

– Świetnie – ciągnął dalej Fischer. – Jak się jednak okazuje, osoba, na której zamierzał się pan zemścić, okazała się kimś zupełnie innym, co potwierdził pan Krystek. Czy tak? – tu odwrócił się w kierunku młodego Kaźmierczaka.

– To kogoś tam widział chłopaku?

– To był komisarz, co ja za nim szłem od Garbar, i jak zobaczyłem Leona, znaczy się brata, co szedł za panem komisarzem, tom mu chciałem powiedzieć, że za innym idzie, ale on mi kazał być cicho, że niby głupi jestem.

– Leon to ty? – komisarz wskazał palcem na średniego z braci.

– Ja – potwierdził Leon.

– No to zdaje się, że żeśmy wszystko sobie wyjaśnili. Teraz tylko zastanawiam się, jak wybrnąć z tej sytuacji, bo coś mi się zdaje, że pan Anatol już wcale nie zamierza mnie obedrzeć ze skóry.

Wyraz twarzy Tolka mówił sam za siebie. Cała jego hardość zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Coś mi się zdaje, panie Grubiński, że gdyś pan był zwykły złodziej, to nikomu to nie zaszkodziło, ale gdyś się pan zabrał za wymierzanie sprawiedliwości na własną rękę, zaraz zaczęły się kłopoty. A wystarczyło tylko przyjść do mnie i pogadać.

– Byłem. W Prezydium byłem.

– Kiedy?

– W niedzielę rano, jakem dopadł tego rzeźnika.

– I co, nie spotkał mnie pan?

– No nie.

– Bo ja, panie Grubiński, byłem poza Poznaniem. Nawet byłem za granicą. W Niemczech byłem. I gdybyś pan pomyślał, to byś wpadł na to, że nie mogłem wyjechać i jednocześnie pokrzywdzić tej kobiety.

– To kto to zrobił?

Fischer spojrział z niemym pytaniem w oczach na Krystka.

– To był ten komisarz, co nas zgarnął z chaty wtedy we trzech, co ciebie nie chwycił – wyjaśnił chłopak. – On się nazywa chyba Siewierski czy jakoś tak.

Fischer uśmiechnął się lekko. Już wszystko wiedział. No, ale co miał teraz zrobić? Zamknąć go? Tylko kto będzie chciał przeciw niemu zeznawać? Nagle przypomniał sobie rozmowę sprzed kilku dni, którą

prowadził ze swoim zastępcą. Przypomniało mu się jedno zdanie, które on wtedy wypowiedział na temat swojego wyjazdu sprzed kilku dni do Niemiec. Wtedy nie zwrócił na nie najmniejszej uwagi. Ot wpadło stwierdzenie jednym uchem, a wyleciało drugim. A teraz wróciło. Wróciło z taką mocą, że aż zrobiło mu się zimno, a na rękach pojawiła się gęsia skórka.

– Panie komisarzu – Kacperek wyrwał go z zamyślenia.

– Co?

– Trzeba by ich na komisariat, bo ja tu pana o ważnej kwestii chciałem poinformować, a przy tych obwiesiach to nijak się nie da.

– Aha.

– Że niby co?

– Niech idą w cholere. Ale jeszcze tylko jedno, panie Grubiński. Co z tym człowiekiem, coś go pan szukał?

Tolek zrobił niewinną minę i wzruszył ramionami.

– Chciał wyjechać do Piły, ale mu się nie udało. Rozmyślił się.

Fischer uśmiechnął się. Chyba nie bardzo mu uwierzył.

– No dobra. Zjeżdżajcie stąd. Wszyscy.

– Puszczamy ich? – zapytał zdziwiony Kacperek.

Komisarz pokiwał głową, coraz bardziej przekonany do decyzji, którą podjął. Chyba nie miał innego wyjścia. Tak, to było najlepsze rozwiązanie.

– No i co tak stoicie, zasrańcy? Spieprzać stąd, bo się pan komisarz jeszcze zaraz rozmyśli.

Mścicielom nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Po chwili w mieszkaniu Fischera nie było już po nich ani śladu. Z przedpokoju zniknęła też angielska czarna parasolka z kościaną rączką. Po drodze zabrał ją Krystek, żeby tego wieczora nie zaliczyć do całkowicie straconych.

Godzina 8.30 przed wieczorem

Zielony opel torpedo podjechał do szlabanu granicznego. Celnik w mundurze i z czakiem z daszkiem na głowie zbliżał się powoli,

przyglądając się automobilowi. Ale nie robił tego z zawodowej, ale ze zwyczajnej ludzkiej ciekawości. Niezbyt często przejeżdżały przez ten punkt kontrolny w Usch tak eleganckie auta. A to prezentowało się nadzwyczaj pięknie. Wypucowany lakier odbijał światło latarni elektrycznej przyczepionej do drutu, który rozciągnięto między dwoma drewnianymi słupami stojącymi po obu stronach drogi. Co prawda nie było jeszcze ciemno, ale lampa już się paliła, żeby ten punkt przekraczania granicy był dobrze widoczny z daleka. Owszem, jeździły tędy automobile, dziennie nawet kilkanaście w jedną i drugą stronę, ale najczęściej były to wozy towarowe z pakami wypchanymi różnymi towarami, które straż celna mniej lub bardziej dokładnie kontrolowała. Ale takie piękne jak ten opel zdarzały się niezwykle rzadko. Brezentowy dach był podniesiony, mimo że pogoda była całkiem ładna. Oznaczało to, że ci, którzy podróżują tym oplem, udają się w jakąś dalszą podróż, bo otwarte auto sprawdzało się tylko na krótkie przejażdżki.

Podszedł do auta i zasalutował, na wszelki wypadek, bo nigdy nie można być pewnym, że nie jedzie tam jakaś urzędowa osoba, której należą się wojskowe honory. I nie pomylił się, bo jak się okazało, szofer tego auta był oficerem kripo, który jechał w służbowych sprawach do Posen. Tak przynajmniej wynikało z pisma, które mężczyzna podał mu wraz ze swoim paszportem.

Uprzedził w ten sposób pytanie o cel wyjazdu. Widać było od razu, że zna się na rzeczy. Towarzyszyła mu jeszcze żona i jakaś kobieta, która być może była ich służącą, choć tego nie dało się stwierdzić, bo w swoim paszporcie nie miała wpisu dotyczącego wykonywanego zawodu, a poza tym ledwie ją było widać na tym tylnym siedzeniu. Celnik nie kazał jej jednak wysiadać z automobilu, by się jej przyjrzeć i porównać zdjęcie z twarzą, bo mógłby w ten sposób narazić się na niezadowolenie policjanta. Po co mu to było. Oddał papiery i nie pytając nawet o zawartość bagażnika, bo przecież oficer nie mógł przewozić kontrabandy, życzył wszystkim udanej podróży. Auto wolno wtoczyło się na solidny drewniany most, pod którym rzeka rozdzielona była na pół, wzdłuż nurtu, stalowo-drewnianym płotem, który dodatkowo zabezpieczony był jeszcze drutem kolczastym. Celnik odprowadził pojazd spojrzeniem, a potem ruszył w kierunku drewnianego budynku strażnicy.

- Jeszcze tylko polska kontrola i ruszamy w podróż, drogie panie.
- A dotąd nie byliśmy w podróży? – zapytała przekornie Anna.
- Ależ kochanie – Carl odwrócił się do żony – ja mówię o prawdziwej wyprawie automobilowej. To, co dotąd przejechaliśmy, to doprawdy zać skok. Od granic Schneidemühl przejechaliśmy zaćdwać dziesięć kilometrów, a do Posen mamy przed sobą jeszcze przynajmniej dziesięćdziesiąć.
- To o której godzinie będziemy u celu podróży?
- Zakładając, że będziemy poruszać się z przecięćną prędkością sześćdziesięć kilometrów na godzinę, sama jazda powinna nam zająć nieco mniej niż dwie godziny. No, ale jeszcze trzeba doliczyć jakiś przystanek na rozprostowanie kości i jakąś przekąskę... hm, myślę, że przed północą powinniśmy być już w hotelu.
- To cudownie! Ach, jak się cieszę, że mogliśmy się we trójkę wybrać na tę eskapadę. Tam są przecież jakieś domy towarowe, prawda?
- Oczywiście, przecież Posen to duże miasto. Tuż obok naszego hotelu, który znajduje się w ścisłym centrum miasta, są przynajmniej dwa domy towarowe. Tak wyczytałem w przewodniku po mieście. Jest tam nawet zamek cesarski.
- Tak się cieszę Carl. A ty, Ursulo, też pewnie nie możesz doczekać się jutrzejszych zakupów?
- Oczywiście, Anno – odpowiedziała Ursula, która wcale nie myślała o zakupach. Dla niej ten wyjazd był jak prawdziwe zrzęczenie losu. Od wczoraj nie mogła się na niczym skupić. Przez cały czas jej myśli krężyły gdzieś wokół tego nieśmiałego, a jednak tak męskiego i do tego jeszcze diabelnie przystojnego mężczyzny. To spotkanie w kawiarni na rynku, na które przyszła ot tak, dla rozrywki, spowodowało, że wszystko wokół niej wywróciło się do góry nogami. Wystarczyło jedno spojrzenie niebieskich oczu Antona, by poczuła uderzenie fali ciepła rozpływające się po całym ciele. Nigdy wcześniej nie doświadczyła czegoś podobnego. Nawet w dawnych czasach, gdy była zaręczona z tym przemiłym chłopcem Jurgenem. Owszem, czuła do niego sympatię, nawet bardzo go lubiła i wydawało się jej, że to całkowicie wystarczy, żeby stworzyć w przyszłości udany związek. Gdyby nie wojna, byłaby dawno jego żoną i dzisiaj miałyby już przynajmniej trójkę dzieci. Ale Jurgen zginął we Francji, a ona, tak jak wiele kobiet, założyła żałobną sukienkę. Oczywiście

co jakiś czas pojawiali się w jej życiu jacyś mężczyźni, którzy czynili awanse. W końcu była bardzo atrakcyjną kobietą, więc kręcili się koło niej zalotnicy, ale żaden z nich nie zrobił na niej takiego wrażenia jak ten Polak. Nie wiedziała, co to jest, ale nagle, siedząc tam w tej restauracji, poczuła, jakby w jej brzuchu setki małych motyli zaczęło trzepotać skrzydłami. Nie przypuszczała nawet, że będzie miała okazję tak szybko się z nim zobaczyć.

Dziś późnym popołudniem Carl wpadł jak burza do apteki, w której akurat dyżurowały obie z Anną. Powiedział, że wieczorem musi służbowo pojechać do Posen, ale nie normalnie, pociągiem, lecz policyjnym automobilem i dlatego pomyślał, że skoro jedzie sam, to może Anna miałaby ochotę na taki szalony wyjazd. No, a Anna od razu pomyślała o niej. Nie było się nad czym zastanawiać, tym bardziej że właściciel apteki zgodził się dać im dwa wolne dni. Było to wszystko trochę szalone, ale chęć ujrzenia Antona była tak przemożna, że nie mogła nie pojechać. Jednak o ile w trakcie przygotowań wszystko w tej wyprawie wydawało się jej cudowne i ekscytujące, o tyle w automobilu ogarnęły ją wątpliwości. A co, jeśli Anton nie czuje tego wszystkiego w podobny sposób jak ona? Co będzie, jeśli się okaże, że przyjmie jej obecność z chłodem i rezerwą? A może w ogóle on kogoś ma tam u siebie? Carl i Anna twierdzili, że jest samotny i z nikim niezwiązany, ale mężczyzna w tym wieku może mieć jakąś kobietę, z którą się spotyka albo wręcz ją utrzymuje. Słyszała wiele razy o takich przypadkach, a nawet czytała o nich w książkach. Może więc on jej przyjazd potraktuje jako wchodzenie w jego prywatne życie i wcale nie będzie sobie życzył tego spotkania? Co innego Aschmutatowie. Ich z Antonem łączyły więzy przyjaźni, a ona była tylko dodatkiem do tego trwałego przyjacielskiego związku. Dodatkiem, być może tylko chwilową ozdobą stołu, przy którym się wtedy spotkali. Ależ ze mnie idiotka, że dałam się namówić na ten wyjazd... Na pewno spojrzy na mnie i powie, oczywiście bardzo grzecznie: O, miło panią widzieć ponownie. Tym bardziej miło, że całkiem niespodziewanie. A jak to już powie, ona zapadnie się pod ziemię ze wstydu i upokorzenia. A później chyba będzie musiała odebrać sobie życie, bo nie zniesie tej hańby. Boże, co za głupoty krążą mi po głowie. Ja chyba zupełnie zwariowałam na punkcie tego człowieka. To dlatego, że tak mi na nim zależy, rodzą mi się teraz w głowie te obłąkańcze myśli.

- Pani dokumenty poproszę - powiedział czystą niemczyzną polski strażnik celny w rogatej czapce z daszkiem, wrywając ją z zamyślenia. Sięgnęła do torebki podróżnej i wydobyła z niej paszport, który podała Polakowi. Ten przyglądał mu się przez chwilę, porównując fotografię z jej twarzą, a potem uśmiechnięty oddał dokument i zasalutował, trochę dziwnie, bo tylko dwoma palcami, a nie całą dłoń.

- Życzę państwu dobrej podróży i przyjemnego pobytu w Polsce.

Automobil ruszył z miejsca, wolno zjeżdżając brukowaną ulicą w kierunku centrum polskiego miasteczka o świszczącej nazwie Ujście. Z ciekawością spoglądała przez okno, spodziewając się, że zobaczy całkiem inny świat. W końcu po raz pierwszy w życiu była za granicą. Ale szybko się rozczarowała. Wszystko wyglądało tu podobnie jak w Schneidemühl. Niskie jedno- lub dwupiętrowe domki poprzyklejane do siebie tworzyły wąwóz ulicy. Po prawej stronie przykuwał uwagę ogromnych rozmiarów barokowy kościół o dwóch wieżach. Dominował nad całą miejscowością, sprawiając wrażenie budowli, która zupełnie nie pasuje do tej mizernej zabudowy mieszkalnej. Ci Polacy to jednak dziwny naród - pomyślała. Żyją w malutkich domkach, ale kościoły budują potężne jak piramidy egipskie. I po co? Przecież swoją drogę do Boga można znaleźć nawet w domu przy stole. Nie potrzeba do tego monumentalnych świątyń, na które wydaje się fortuny. Czyż nie lepiej na chwałę Pana budować przytułki i szpitale, w których bezmyślne powtarzanie pacierzy mogą zastąpić dobre uczynki na rzecz potrzebujących? Ciekawe, czy Bóg katolików bardziej cieszy się z pieśni czy z miłosiernych czynów? Musi o tym koniecznie porozmawiać z Antonem. On na pewno będzie umiał jej to wyjaśnić.

Zabudowania miasteczka skończyły się i automobil powoli wjeżdżał na sporych rozmiarów wzniesienie. Na szczęście szosa na Poznań była w całkiem dobrym stanie, a tyle słyszała o beznadziejnych polskich drogach. Na razie ta zagranica wydawała się całkiem interesująca. Byle jeszcze tylko Anton okazał się tym mężczyzną, którego widziała w swoich wyobrażeniach.

Minęli drogowskaz z napisem „Poznań 87 km” i wtedy asfaltowa droga się skończyła. Auto wjechało na bitą, utwardzoną szosę.

- No i zaczęły się prawdziwe polskie drogi - powiedział Anton. - Trzymajcie się, drogie panie, bo może być trochę wyboście.

Co tam wyboje – pomyślała Ursula. – Najważniejsze, że już jutro przekonam się, czy warto było tłuc się taki kawał drogi. Coś jej jednak mówiło, że ta wyprawa zmieni wszystko w jej dotychczasowym życiu.

Godzina 10.15 przed północą

Günter Nowak poczuł, że znów chce mu się rzygać. Oparł się więc o ścianę kamienicy, pochylił głowę i zwymiotował. Zaraz jednak poczuł, że się krztusi, bo odruch wymiotny się pojawił, ale żołądek był już całkiem pusty. Opróżnił go już dwa razy, na trzeci raz już nie było najmniejszych możliwości. No, chyba żeby się jeszcze napić, to wtedy byłoby czym – pomyślał, ale zaraz doszedł do wniosku, że byłoby to czyste marnotrawstwo pieniędzy. Nie był przecież bogaczem i nie dysponował zbyt dużą gotówką, żeby pić, a potem tym piciem rzygać. Ale właściwie to napiłby się jeszcze, tyle że chyba już nie było gdzie. Knajpy pozamykane, bo chyba jest już po dziesiątej w nocy. Spojrzał na ratuszową wieżę, żeby sprawdzić czas, ale nie mógł nic dostrzec, bo obraz mu się jakoś dziwnie rozdzielił, tak jakby każde oko widziało zupełnie osobno. W końcu, po chwili intensywnego wpatrywania się w zegar, udało mu się stwierdzić, że dziesiąta minęła kwadrans temu. Otwarte mogą być jeszcze co najwyżej te restauracje z dancinikiem, ale to w centrum miasta. Takie restauracje były jednak tylko dla zamożnych gości i gdyby on się w takiej pojawił, to zapewne dostałby od razu kopa w dupę i tyle tylko miałby uciechy, że mógłby sobie przez okno popatrzeć. Ale tylko chwilę, bo wiedział dobrze, że szwajcarzy, co stoją w drzwiach takich przybytków, są też od tego, żeby spod okien przeganiać takich, co to gościom zaglądają do talerza.

No i co w takiej sytuacji zrobić z tak pięknie rozpoczętym wieczorem?

– Może byś postawił dziewczynie jakiegoś kielicha – odezwał się ktoś za jego plecami. Obrócił głowę, by sprawdzić, kto chce czegoś od niego.

Głos należał do kobiety. I to całkiem ładnej kobiety. Na jej głowie tkwił niewielki kapelusik, którego rondo ozdabiały kolorowe kwiaty. Uśmiechała się zniewalająco, mocno ukarminowanymi ustami. Oczy też miała pomalowane. Jej zwiewna sukienka była mocno wydekoltowana.

Na ramionach miała przewieszony luźny szal, ozdobiony dodatkowo piórami. Jednym słowem wyglądała jak artystka.

– Że co? – zapytał, żeby zyskać na czasie, który potrzebny mu był do zebrania wszystkich rozplywających się myśli do kupy.

– Może być kieliszek wódeczki, bo wino to bynajmniej owszem za drogie jest.

– Co, że mnie nie stać na wino, tak?

– Nie chciałam cie naciągać. Ale wiesz, ja to jestem obyta i nawet szampana pijałam niejednokrotnie.

– Wino, wódka, co sobie dama życzy – powiedział nieco bełkotliwie, kłaniając się z galanterią. Mało brakowało, a straciłby przy tym ukłonie równowagę, na szczęście dziewczyna była czujna. Szybko chwyciła go za rękaw i szarpnęła tak, że ziemia nie uciekała mu już spod nóg.

– A gdzie można co do picia otrzymać? – zapytał, używając również wyszukanej formy. W więzieniu przeczytał kilka książek, takich opowieści o życiu wyższych sfer, i wiedział, że ci popaprańcy zamiast gadać normalnie, używają jakichś kretyńskich wyrażen. Więc skoro dziewczyna tak mówiła, to on przecież też musiał trzymać fason i pokazać, że zna się na dobrych manierach.

– A tu, za winklem, na Wielkiej jest jeszcze knajpa czynna. Całą noc mają wyszynk, więc oczywiście, że sie co kupi do picia, a potem możemy iść do mnie.

– O, pardon, a do mnie to sie znaczy, o co sie rozchodzi?

– Hi, hi, niby duży chłop, a dziwi sie jak młody szczon. A po co sie idzie z dziewczynką do jej do mieszkania? No, chyba nie po to, żeby poodmawiać razem paciorek, ino żeby naoliwić armatkę.

– Naoliwić armatkę? – zdziwił się Nowak. Pierwszy raz w życiu słyszał, żeby kobieta brała się za wojskowe sprawy. Zresztą co on miał do jakiejś armaty. I czy ona zwariowała kompletnie, żeby w domu trzymać armatę?

– No, przetrzeć kominek, głuptasie – wyjaśniła, biorąc go pod rękę. Posłusznie ruszył za nią, zastanawiając się, czy aby dobrze robi. Miałby po pijanemu brać się do czyszczenia komina? To raczej wykluczone. Jeszcze by zleciał z dachu i coś se połamał.

– Ja nie czyściłem komina nigdy – powiedział na wszelki wypadek, żeby potem nie było jakichś nieporozumień. – Ja nie robie w kominach, ino w drewnie. Ja stolarz.

– Taki stary, a taka gapa. Dobra, niech będzie, że w drewnie, to nastrugamy ci twój patyczek. A w ogóle to jak ty się nazywasz?

Günter przez chwilę milczał, bo za nic nie potrafił sobie przypomnieć, jak brzmi jego nowe imię i nazwisko.

– Jan – powiedział w końcu, bo żadne inne imię nie przyszło mu do głowy.

– A ja jestem Klara, Jasiu.

– Też ładnie.

– No to co, Jasiu, idziemy?

– Oczywiście, jak najbardziej.

– A bejmy masz?

– Co?

– No bejmy. Coś ty, z księżycą zleciał? No forsa. Czy masz forszę na wódeczkę i, no wiesz, dla mnie?

Günter odsunął się od dziewczyny i aż rozdziawił gębę ze zdumienia. Więc to nie była żadna dama, tylko zwyczajna kurew. Ależ dał się nabrać! Wydawało mu się, że spotkał na swojej drodze kogoś wyjątkowego, a tu proszę. Znowu jakaś szmata, która chciała go naciągnąć na wydatki. To mu się bardzo nie spodobało. Przecież on nie był taki ostatni niedojda, żeby płacić za coś, co mógł dostać za darmo. W końcu nie był jakimś owrzodzonym i parchatym szmaciarzem. Był kimś, kto mógł mieć taką kobietę, jaką podobało mu się mieć.

– No, co się tak gapisz jak wół na malowane wrota? Idziemy, czy nie?

– Ja za te sprawy nie płacę.

– Jak nie płacisz, to bujaj się Fela.

– Co?

– Spieprzaj, dziadu! Z gołodupcami to ja się nie zadaję.

– Ja gołodupiec? A niech ci jasna cholera weźnie. Sama spieprzaj, szantrapo raszpłowana.

– Ożeż ty gnoju! Widzieliście go, szuszwola chłelernego? Zaczepia dziewczynę i bez bejmów chce, żeby mu dupy nadstawić.

Tego było mu już za wiele. Nie będzie byle dziwka obrażać go bezkarnie. Ruszył w jej kierunku, wymachując rękami. I to był błąd, bo bruk na Rynku był nierówny. Stracił natychmiast równowagę i padł jak długi. Na domiar złego wyciągnięte do przodu ręce nie były w stanie zamortyzować siły upadku, więc wyrznął głową w kamień, aż zadudniło.

Przestraszona Klara odskoczyła szybko, ale widząc jego upadek, podbiegła do leżącego i kopnęła go w bok. Günter zawył głośno. To najwyraźniej ośmieliło dziewczynę, bo ponownie doskoczyła do niego i jeszcze raz go kopnęła. Nie przewidziała jednak, że alkohol nie przyćmił całkowicie jego refleksu. Błyskawicznie chwycił zbliżającą się do niego nogę w żelazny uścisk. Klara krzyknęła przerażona. Chciała się wyrwać, ale trzymał ją mocno. Zaraz chwycił drugą nogę i dziewczyna upadła.

– Ratunku! Mordują!

– Zamknij się!

– Ludzie! Ratuuuunkuuu! Mordują!

Nowak przestraszył się, że zaraz pojawią się jacyś ludzie. Trzeba było szybko te szmatę uciszyć. Puścił te chude nogi i złapał za kark. Była drobnej budowy, więc nie miał żadnych problemów, żeby ją obezwładnić. Próbowła się wyrwać, ale bezskutecznie. Wsunął ją pod siebie i przygniótł całym ciężarem ciała.

– Ludzie, na pomoc! Pomocy! Aaaaaa!

Z kieszeni marynarki wydobył swój bagnet. Nie miał przecież innego wyjścia. Ta szmata musiała zamilknąć. Już miał wbić ostrze w jej brzuch, gdy nagle potężne uderzenie w głowę sprawiło, że poleciał na łeb na szyję w ciemną otchłań, która całkowicie go pochłonęła.

– Pierdolony mo bagnet – powiedział posterunkowy Wojtasiak, który podkutym butem kopnął napastnika w łeb.

– Chuj jeden chciał mnie dziabnąć kosą – powiedziała zdziwiona Klara, podnosząc się z bruku. Drugi z policjantów, starszy posterunkowy Duda, chwycił ją pod pachy i z łatwością podniósł do góry.

– No, mało brakowało, a byś się witała ze świętym Pietrem.

Wojtasiak tymczasem obrócił nieprzytomnego mężczyznę na brzuch i szybko skuł mu na plecach nadgarstki kajdankami.

– No to z pudła on szybko nie wyjdzie, pierdolony – powiedział policjant, prostując się. – Polecę po dryndę, bo sami go nie zaciągniemy na komisariat. A ty jedziesz z nami.

– A po co?

– Jak po co? Musisz złożyć zeznanie, bo inaczej się wywinie.

– Musze?

– Ni mo gadki. Mus to mus – potwierdził słowa kolegi Duda. – Powiesz wszystko jak było, po kolei, spisz się to do protokołu i po ptokach.

A faceta w trymiga się wsadzi i nikogo już nie skrzywdzi.

– To on jeszcze kogoś skrzywdził? – zapytała Klara, patrząc na leżącego z obrzydzeniem.

– Toś nie słyszała, że dwie dziewczynki wypatroszył, nożownik chłelerny?

Dziewczyna zachwiała się, bo poczuła, że robi jej się słabo. Na szczęście Duda objął ją silnym ramieniem i uchronił przed upadkiem.

– Nic się nie bój. Nikogo już nie skrzywdzi.

– Jak się ma takiego obrońcę, to nic nie jest straszne.

Zadowolony policjant podkręcił węża i chrząknął tylko, bo nie miał pojęcia, co powiedzieć. Za to Klara dobrze wiedziała.

– A po służbie to przyjdź do mnie, to ja ci już podziękuję odpowiednio. Całkowicie za darmo ci podziękuję, tak, że na zawsze się zapamiętasz, jak ci te twoją policyjną pałkę obrobie.

Policjant nie wiedział, co powiedzieć, dlatego, tak na wszelki wypadek, kopnął bandytę. Niech dziewczyna widzi, że on też potrafi nieźle przywalić.

Godzina 10.20 przed północą

Noc była parna i duszna jak w czerwcu, a nie w kwietniu. Do tego jeszcze okna były zamknięte, a w sali śmierdziało jakimiś lekarstwami i jodyną z domieszką smrodu pasty do podłóg. Zakazali mu wstawać. Ale co miał zrobić, jak mu się chciało palić jak cholera. No przecież nie mógł palić w łóżku w tym szpitalnym pokoju. Co prawda ten zaszyty kałynd bolał jeszcze jak cholera, ale był przecież mocno ściągnięty niemi i do tego zabandażowany. To i co mu się mogło niby stać, jak wstanie i pójdzie gdzie do jakiego kąta i zapali papierosa? Sprawdził, że są. Namacał je w tej swojej świątecznej marynarce, którą jakaś zapobiegliwa osoba, pewnie siostra miłosierdzia, powiesiła mu na oparciu krzesła, które stało tuż przy jego łóżku. Były tam też zapałki. Byleby tylko się starczyło, żeby dojść. Gdzie dojść – zastanawiał się przez chwilę. Najlepiej będzie do klozetu. Wejdzie tam, zamknie za sobą drzwi i zapali. Pociągnie tylko kilka sztachów i zaraz wraca do łóżka. Gorzej, że jak ktoś zauważy, że go

nie ma, to zaraz narobi rabanu i nici z palenia. Ale od czego pomysłowość? Popatrzył na koc, który leżał złożony w kostkę w nogach łóżka. Taki pomysł mógł się udać. Podniósł się z wielkim trudem, bo brzuch bolał jak cholera, a potem opuścił bose nogi na zimną, kamienną podłogę, trzymając się krawędzi łóżka. Poszło łatwiej, niż przypuszczał. Ten lekarz mówił mu, że ma cholerne szczęście. Dostał w brzuch nożem, ale ostrze nie naruszyło żadnego z ważnych organów w środku. Widać ten, co to zrobił, nie miał doświadczenia w zabijaniu nożem. No a skąd taki ktoś jak Karpiński miał mieć doświadczenie? Przecież on był oficerem, a wiadomo, że oficera nie szkolą po to, żeby walczył na bagnety. Bagnetami posługują się szeregowcy i podoficerowie. Ci, którzy mają za sobą doświadczenie frontowe, wiedzą, że wbicie bagnetu w brzuch jeszcze nic nie daje. Po wbiciu trzeba jeszcze go przekręcić i wyszarpać, a potem, jak jest na to czas, poprawić jeszcze przynajmniej drugi raz. To dla weteranów wiedza podstawowa, ale nabywa się ją podczas wojny. A taki Karpiński to niby gdzie się miał tego nauczyć, jak on całą wojnę przesiedział w sztabie i prochu nawet nie powąchał? No, ale dobrze, że się tego nie nauczył, bo dzięki temu spartolił robotę.

Chwytał kraciasty koc, uformował z niego kształt, który od biedy mógł przypominać leżącą pod przykryciem postać, ale wydała mu się zbyt mizerna. Dlatego dołożył jeszcze zwiniętą w kłębek marynarkę, a potem przykrył to wszystko drugim kocem, tym obleczonym w pościel. Teraz to już od biedy zaczęło przypominać śpiącą postać. Przynajmniej takie wrażenie mógł odnieść stojący w drzwiach lekarz albo siostra. Powinno to wystarczyć. Dwaj pozostali pacjenci z jego pokoju pochrapywali cichutko na swoich łóżkach. Nikt nie dostrzegł tych jego zabiegów. Uklepał jeszcze pościel w miejscu, gdzie zwykle miał głowę i wolnym krokiem ruszył ku drzwiom. Na korytarzu nie było nikogo. Nikt nie przypuszczał, że będzie wstawał z łóżka, więc nie zostawiono mu laczków, dlatego szedł na bosaka, posuwając nogi wolno do przodu. Cały czas trzymał się za zranione i zoperowane miejsce, żeby przypadkiem szwy nie puściły. Wiedział dobrze, że gdyby tak się stało, znów powędrowałby na stół operacyjny. Dlatego starał się iść jak najostrożniej. No właśnie, ale dokąd? Nie miał pojęcia, gdzie jest ubicacja. Przystanął więc na środku korytarza i rozejrzał się wokół. Po lewej miał oszklone dwuskrzydłowe drzwi, prowadzące zapewne na

schody, po prawej rząd drzwi do sal chorych. Jedne z nich, całkiem niedaleko, były inne, pomalowane nie jak wszystkie na kremowy kolor, ale szarą farbą. To mogła być ubikacja. Zrobił w jej kierunku trzy kroki i dostrzegł wymalowany czarną farbą napis „ustęp”.

Po chwili był już w środku. Wydobył papierosa, szybko zapalił i z lubością zaciągnął się dymem. Poczuł, że od razu jest mu lepiej. Nawet ból jakby trochę zelżał. Naraz usłyszał kroki dobiegające zza drzwi. Ktoś szedł powoli, jednak beczkowate sklepienia korytarza potęgowały ten odgłos. Dziwne – pomyślał Okoń, bo po raz pierwszy zdarzyło się, żeby tak wyraźnie było słyhać, jak ktoś chodzi po tym korytarzu. Siostry, które się opiekują chorymi, miały buty na gumowych podeszwach, podobnie lekarze. Personel poruszał się więc po szpitalu niemal bezgłośnie. Tymczasem to, co słyszał, to był stukot twardych, pewnie podzielowanych albo wręcz podkutych butów. To mogło oznaczać, że za drzwiami był ktoś obcy. I tak go to zainteresowało, że szybko pociągnął jeszcze dwa razy papierosa, a niedopałek wyrzucił do muszli klozetowej. Nie spuścił jednak wody, żeby nie czynić zbędnego hałasu. Ten, który szedł korytarzem, minął ubikację i poszedł dalej.

Otworzył bardzo ostrożnie drzwi, tak by zawiasy nie wydały żadnego dźwięku. Wychylił głowę na korytarz. Jakiś człowiek w mundurze stał przed drzwiami prowadzącymi do sali, w której było jego łóżko. Okoń natychmiast go rozpoznał. To był Witkowski, jego kolega z pułku. Tylko co ten Witkowski robi tu w nocy? Jeśli chciał go odwiedzić, czemu nie zrobił tego rano? Ale czy to miało jakieś znaczenie? Przyszedł i tyle. Trzeba było do niego wyjść, przywitać się i pogadać przez chwilę. Już miał go zawołać, gdy nagle zobaczył, że Witkowski chwytą za przytroczoną do paska pochwę do bagnetu mauzera i wyciąga go z niej. Światło lampy wiszącej pod sufitem rozbłysło na dobrze wypolerowanym ostrzu. Okoń patrzył na nie jak zahipnotyzowany. Więc wszystko jasne. To nie była wizyta starego kolegi. Witkowski przyszedł dokończyć to, co nie udało się Karpińskiemu. To drań cholerny! Odwrócił się w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby mu się przydać, ale tu, w tym przedsionku nie było niczego. Cofnął się więc do klozetu. W kącie stała oparta o ścianę szczotka do mycia muszli klozetowej. Chwycił ją i tak uzbrojony ruszył najciszej jak potrafił w kierunku sali. Witkowski musiał być już w środku. Szedł krok za krokiem, skradając się i nie wydając

niemal żadnego odgłosu. Zupełnie zapomniał o ranie brzucha. Był gotowy do walki. Przy wejściu przystanął na moment i zajrzał do środka. Witkowski z bagnetem w dłoni pochylał się nad tą kukłą, którą przygotował, żeby oszukać pielęgniarki. To był najlepszy moment, bo zaraz się zorientuje, że nie ma przed sobą żywego człowieka. Trzy szybkie kroki i był już za nim. Błyskawicznie przyłożył do jego pleców twardy drewniany trzonek szczotki.

– Rzuć bagnet i łapy do góry! Ale już, bo strzelam!

Zupełnie zaskoczony Witkowski wypuścił bagnet z dłoni.

– No coś ty. Nie poznajesz kolegi? Nie znasz się na żartach? – próbował wybrnąć z sytuacji przyłapany na gorącym uczynku podoficer.

– Ładny mi kolega, co odwiedza z bagnetem w łapie.

Na korytarzu za sobą usłyszał jakiś ruch. Ktoś się zbliżał szybkim krokiem. Nie jedna, a dwie czy nawet trzy osoby. Witkowski drgnął, jakby próbował się poruszyć, ale Okoń był czujny. Mocniej wepchnął w plecy kij.

– Ani mi się rusz gnoju, bo będzie po tobie.

– To tutaj – odezwał się ktoś na korytarzu. Do środka weszli jacyś ludzie, ktoś zapalił światło.

– No proszę, pan sierżant Witkowski we własnej osobie. – Okoń usłyszał znajomy głos Fischera.

– Kacperek, zakujcie no tego gnoja – wydał polecenie oficer. Wywiadowca natychmiast podszedł do obu mężczyzn stojących przy łóżku i sprawnie zabrał się do zakładania kajdanek. Okoń poczuł, że robi mu się słabo. Spojrzał na swój brzuch. Na białym bandażu pojawiła się plama krwi. Zobaczył ją również lekarz, który wprowadził tu dwóch policjantów, i zaraz podszedł do pacjenta. Chwycił go za rękę i ostrożnie przytrzymując, ułożył na łóżku. Okoniowi zawróciło się w głowie, poczuł mdłości, ale usłyszał jeszcze dobiegające z oddali słowa Fischera: Okoń, zuch z ciebie. Załatwiłeś drania szczotką od kibla.

Chciał coś odpowiedzieć, ale nie miał dość siły. Zrobiło się cicho. Zupełnie cicho. W oddali dostrzegł zbliżających się bolszewików. Zadowolony spojrzał na swoich chłopaków z obsługi ckm-u. Chłopcy wyszczerzyli do niego zęby w uśmiechu. Byli gotowi. Niech no te cholery tylko podejną bliżej.

Rozdział X

Poznań

Wtorek, 11 marca

Godzina 5.40 rano

Komisarz Antoni Fischer nabił swoją wiśniową fajkę i zapalił ją. Aromatyczny dym błyskawicznie wypełnił pokój przesłuchań w areszcie koszar pułkowych przy ulicy Bukowskiej. Siedział w tym pokoju od pięciu godzin, pracując wraz z kapitanem Jażdżewskim nad zatrzymanym w nocy sierżantem Witkowskim. Postanowił go przewieźć właśnie tutaj, do koszar, bo nie chciał, żeby sprawa rozniosła się po mieście. Uważał, że takie rzeczy wojsko musi załatwiać we własnym gronie, a on, mimo że pracował w Policji, cały czas czuł się żołnierzem.

Witkowski okazał się twardym przeciwnikiem. Niełatwo było go złamać. Ale Fischer doskonale wiedział, że każdy ma jakiś słaby punkt. Dobre przesłuchanie polega właśnie na tym, że trzeba tę słabość znaleźć i w bezwzględny sposób ją wykorzystać dla osiągnięcia założonych celów.

Na początku wcale nie chciał rozmawiać. Był przekonany, że jedyne, co na niego mają, to sprawa w szpitalu, czyli domniemana próba zabicia kolegi podoficera bagnetem. Jednak gdy się dowiedział, że jego kompan, porucznik Karpiński, jest pod obserwacją, a śledczy znają jego melinę na Łazarzu – mina mu nieco zrzedła. Ale te informacje nie spowodowały wcale, że zaczął mówić. Trzymał się nawet wtedy, gdy Jażdżewski obił mu mordę dłonią uzbrojoną w kastet. Pękł gdzieś o czwartej nad ranem,

kiedy Fischer powiedział mu, jaki los czeka jego rodzinę. Wyczytał bowiem, że Witkowski pochodzi spod szamotulskiej wsi. Na dziesięciohektarowym gospodarstwie zostali jego rodzice z najmłodszym bratem, który miał w tej chwili dwanaście lat. No i Fischer wpadł na pomysł genialny w swojej prostocie. Powiedział mu, że istnieje prawo, które w przypadku stwierdzenia, że ktoś działał na rzecz obcego wywiadu, może całą jego rodzinę deportować z kraju. No więc wyjaśnił mu spokojnym i rzeczowym tonem, że jeszcze w tym tygodniu całe gospodarstwo zostanie skonfiskowane, a rodzice odstawieni pod strażą na ruską granicę. Wtedy sierżant Witkowski zbladł.

– Nie możecie tego zrobić! – prawie krzyknął, podrywając się jednocześnie z taboretu. Ale Jażdżewski był czujny. Z dużym zaangażowaniem przywalił mu pięścią w zęby. Na wszelki wypadek oczywiście, żeby sobie nie myślał, że może tutaj pokrzykiwać.

– Ależ naturalnie, że możemy. My możemy wszystko – powiedział uśmiechnięty Fischer, który właśnie się przekonał, że aresztowany jest już gotowy do współpracy.

Witkowski wydawał się zupełnie rozbity. Zapewne przypuszczał, że idąc w zaparte, będzie mógł okpić obu śledczych. Nie spodziewał się jednak, że oni zachowają się w tak podły sposób i zagrozą jego najbliższym. Fischer natomiast uznał, że będzie to najlepszy sposób zmuszenia go do współpracy. Facet był bolszewickim szpiegiem – wszystko na to wskazywało – ale jako człowiek, który dobrze poznał bolszewików, doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jaki los czekałby jego bliskich, jeśliby wydalono ich z kraju do ojczyzny światowego proletariatu. Trzeba było więc zmusić go do współpracy, stosując metody bolszewickie. Co prawda nawet przez myśl mu nie przeszło, że kiedykolwiek mógłby spełnić swoją groźbę i ukarać za zbrodnię syna jego bliskich, ale był przekonany, że nie ma innego wyjścia i musi posłużyć się tak podłym szantażem. No i podziałało.

– Zostawcie ich w spokoju – powiedział cicho Witkowski.

– To zależy tylko od ciebie – odparł twardo Fischer.

– Powiem wszystko, ale niech mi pan obieca...

– Niczego ci nie będziemy obiecywać – przerwał mu kapitan Jażdżewski. – Jeśli będziemy zadowoleni, możemy się nad tym

zastanowić.

– Powiem wszystko, tylko zostawcie ich w spokoju. Oni nie są niczemu winni.

– W takim razie proszę bardzo. Zacznijmy od początku. Od kiedy pracujesz dla bolszewików?

Witkowski spuścił wzrok. Milczał. Widać, że musiał najpierw zebrać myśli, bo zapewne nie wiedział, od czego zacząć. Drżące dłonie położył na kolanach. Przedstawiał dość żałosny widok. Już na samym początku przesłuchania Jażdżewski zdarł mu dystynkcje z pagonów i pułkowe barwy z kołnierza, krzyżąc mu prosto w twarz, że bolszewik nie jest godzien nosić polskich znaków wojskowych. Po bliskim spotkaniu z pięściami kapitana pozostały krwawe ślady: popękane i napuchnięte wargi, a także podbite oczy.

Fischer był zadowolony, że Witkowski zgodził się mówić, bo gdyby dalej się opierał, jego gęba przypominałaby już zapewne tatarski befszytk, a on nie lubił przemocy fizycznej. Brzydził się nią. Dość jej zaznał podczas tych wszystkich kampanii wojennych, które były jego udziałem. Dlatego teraz był bardzo zadowolony z siebie. Z tego, że gdy Jażdżewski zajęty był tłuczeniem aresztanta, on zadał sobie tę odrobinę trudu, by przejrzeć jego akta i znaleźć punkt zaczepienia w postaci informacji o jego rodzinie.

– Jak się dostałem do niewoli podczas wojny – zaczął wolno mówić Witkowski – to miałem zostać na miejscu rozwalony. To wtedy powiedziałem bojcom, że ja też bolszewik. Wszystkich, co ze mną złapali, odstrzelili na miejscu, a mnie się udało przeżyć. Zaprowadzili mnie do komisarza, co on był Polakiem. I ten komisarz mi wytłumaczył, że wojna ma przynieść wolność wszystkim ludziom pracy w Polsce i na całym świecie. A potem to już mnie wzięli transportem najpierw do obozu, a potem do więzienia na Łubiance w Moskwie. Siedziałem może z miesiąc. Codziennie były przesłuchania. Ale traktowali mnie dobrze. Było nas może z dziesięciu Polaków, co tam siedzieli. Sami jeńcy i każdy gadał, że jest bolszewik. Każdego przesłuchiwali, a później wszystkich nas przewieźli do ośrodka szkolenia. To był taki obóz pod Moskwą. Mieliśmy być wyszkoleni do powrotu do Polski jako żołnierze armii bolszewickiej. No, ale zanim nas przeszkolili wojna się skończyła. I wtedy postanowili, że wyślą nas do kraju, żebyśmy tu mogli robić robotę

wywiadowczą, znaczy się wynajdować odpowiednich ludzi i tworzyć kółka bolszewickie utajnione. Kazali też, żeby jak będzie możliwość zostania w wojsku, to zostawać. No i ja wróciłem do Polski, jak była wymiana jeńców, i trafiłem do naszego pułku. Przez cały ten czas od wojny nic nie robiłem. Myślałem, że wszystko się skończyło, ucichło i nie będą mnie nigdy szukać. Ale pół roku temu zgłosił się do mnie jakiś człowiek i powiedział, że ma dla mnie polecenie z centrali. A centrala to było to, co miał mi przekazać ten, co się do mnie zgłosił, że niby mam się brać do roboty. I on mi powiada, że w pułku jest jeszcze nasz człowiek, znaczy się też bolszewik i to jest porucznik Karpiński.

Ale Karpiński wcale nie był żaden bolszewik. Jego do współpracy zmusili, bo on grał w ruletkę i przegrał kupę forsy. I jemu te pieniądze ktoś pożyczył, że niby na odegranie się. I Karpiński znów przegrał. I ten, co jemu pożyczył, to powiada tak, że on nie chce forsy ino papiery wojskowe. Bo Karpiński mu powiedział, co ma w tej kasie ogniotrwałej. No to nie miał innego wyjścia i dawał papiery, a potem jakżeśmy dostali polecenie, że trzeba wziąć wszystko, to on ukradł to wszystko, ale potem bał się, że się wszystko wyda i dlatego postanowiliśmy, że musi zniknąć. Znaleźliśmy jednego takiego gościa, co z postury był jak Karpiński, i żeśmy go przebrali w mundur i zaprowadzili na Targ Poznański, bo żeśmy wiedzieli, że tam kopią rowy, to jego szybko odnajdą. Karpiński poderzwał mu gardło...

– Kim był ten człowiek? – przerwał mu pytaniem Fischer.

Witkowski zdziwiony spojrział na policjanta, jakby chciał zapytać o jakiego człowieka chodzi. Nie zapytał, tylko wzruszył ramionami.

– Nikim – powiedział. – Jakiś pijus z knajpy. Porucznik wyciągnął go, bo mu powiedział, że jest kilka marek do zarobienia, no i on poszedł. Miał pecha. Nawet nie wiedział, co się dzieje. Przebrał się w ten mundur, że to niby ma być taka zgrywa. A jak już się ubrał, to Karpiński poderzwał mu gardło, że ani zipnął. Potem ino trzeba mu było łeb odciąć, żeby nie dało się potwierdzić, że to nie jest Karpiński.

– A co się stało z papierami, które ukradł...? – Tu Jażdżewski przerwał, bo widać nazwisko byłego współpracownika nie chciało mu przejść przez gardło.

– Papiery przekazał, tak jak było powiedziane, Niemcom.

– Co? Jak Niemcom? – prawie wykrzyknął Fischer.

– Też początkowo nie mogłem zrozumieć, w czym rzecz, dopiero ten człowiek, co to wszystko organizował, ten, co miał dla mnie rozkazy z centrali, powiedział, o co się rozchodzi. Idzie o to, że Niemcy współpracują z bolszewikami w sprawach wywiadu. Niemieccy oficerowie szkolą się w Rosji, bo u siebie nie mogą, zabrania im traktat czy jakoś tak...

– Mamy o tym informacje – wtrącił Jażdżewski, zwracając się do Fischera. – Sowieci szkolą u siebie oficerów specjalistów wojsk lotniczych i pancernych.

– No i Niemcy rozpracowują też polską obronę, a bolszewicy im w tym pomagają. Bolszewicy uważają, że prędzej czy później dojdzie do wojny polsko-niemieckiej i wtedy będą mogli się wmieszać i skorzystać, żeby zająć i Polskę, i Niemcy.

– Skurwysyny – warknął Jażdżewski. – Mało wzięli w dupę, to znowu się proszą. Ale jak dostaną znowu po łapach, to im się na zawsze odechce...

– Pan nie rozumie kapitanie, w czym rzecz? – Fischer spojrzał na niego jak nauczyciel na wyjątkowo tępego ucznia. – Nigdy im się nie odechce. Komunizm to choroba, która żywi się zdrową tkanką. Będą zawsze robić wszystko, dopóki nie zajmą każdego kraju, z którym graniczą, a po nich następnych i jeszcze następnych. Jeśli się im nie przeciwstawimy, jeśli ich nie rozbijemy w puch, to zawsze będą nam zagrażać. Dziwię się tylko głupocie Niemców, że nie potrafią tego zrozumieć. No, chyba że tylko wykorzystują ich koniunkturalnie. Ale to ma krótkie nogi i prędzej czy później obróci się przeciwko nim. Mam rację? – powiedziawszy to, popatrzył na Witkowskiego.

– Nam to wyjaśniali na tych kursach, jak nas szkolili, że bolszewizm to idea, która prędzej czy później ogarnie cały świat i lepiej się przyłączyć od razu, a nie czekać, aż armia robotniczo-chłopska sama przyjdzie.

Przez chwilę w pokoju zapanowała kompletna cisza. Słysząc było tylko bzyczenie muchy, która próbowała bezskutecznie przedostać się przez szybę malutkiego okratowanego okienka pod sufitem, zwabiona światłem budzącego się dnia.

– Kto odebrał te papiery? – Fischer swoim pytaniem sprowadził wszystkich do rzeczywistości.

– Jakiś człowiek, co handluje żywcem i jeździ ciągle pomiędzy

Poznaniem a Schneidemühl.

– Wiesz, jak on się nazywa? – zainteresował się natychmiast Fischer, który nagle przypomniał sobie o Tolku Grubińskim i jego poszukiwaniach mordercy dziewczyny z Chwaliszewa.

– Willy Bauer. Mieszka na Wildzie. Ale coś się musiało stać, bo te papiery nie dojechały. Wziął je, ale nie dowiózł. Karpiński mu je oddał na dworcu kolejowym, a potem dostaliśmy informację, że Niemcy są wściekli, bo nic nie dostali i dlatego przysyłają swojego człowieka, żeby mu to wszystko przekazać, ale przekazać nie ma co.

– Kiedy ma przyjechać ten człowiek?

– Dzisiaj.

– Wiadomo, gdzie go można znaleźć?

– W Hotelu Bazar w numerze sto piątym. Miał nam przywieźć dokumenty potrzebne do przejazdu do Niemiec i pieniądze.

– No, ale przecież ten Karpiński nie będzie mieć tych papierów – zauważył Fischer.

– Nie będzie mieć – potwierdził Witkowski. – I wcale mu ich nie odda. Ma zabrać paszporty i tyle. A jak Szwab nie będzie chciał dać po dobroci, to siłą weźmie i tyle.

– A jak Niemiec ma rozpoznać tego, kto do niego przyjdzie?

– Karpiński ma się do niego zgłosić i przekazać mu pozdrowienia od Adolfa.

– Od jakiego Adolfa? – zapytał Jądzewski.

– Od Adolfa Hytlera czy jakoś tak.

– A kto to jest?

Witkowski pokręcił głową.

– Pewnie nikt. To tylko hasło.

Fischer gdzieś już zetknął się z tym nazwiskiem, ale nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie i kiedy to było. Może podczas wojny? Być może. W końcu tyłu żołnierzy miał pod swoją komendą, że kto wie, czy nie służył tam jakiś Adolf Hytler. Ale jedno jest pewne. Nawet jeśli go znał, to ten Hytler nie mógł się niczym specjalnym zasłużyć, bo inaczej na pewno dobrze by go sobie zapamiętał.

Godzina 9.15 przed południem

Podkomisarz Albin Siewierski wszedł do pokoju biurowego, który dzielił ze swoim szefem Fischerem. Zdziwił się, bo komisarza nie było w środku. Zazwyczaj o tej porze siedział już przy biurku, paląc tę swoją fajkę i czytając „Kurier”. Tymczasem dziś jego miejsce było puste. Co więcej, nie było też czuć fajkowego dymu, a to mogło oznaczać tylko jedno: Fischer nie przyszedł dziś do pracy. Gdy doszedł do tego wniosku, bardzo się zdziwił. Czyżby zachorował? Ten człowiek zawsze przychodził do biura i nigdy jeszcze nie zdarzyła się taka sytuacja, żeby go rano nie było. To nie był człowiek, który potrafił korzystać z życia, więc każdego dnia rano punktualnie o ósmej przychodził do pracy. Taki typowy pruski urzędnik, który świata poza swoją robotą nie widzi i wszystko musi mieć zrobione na czas.

Albin Siewierski był jego przeciwieństwem. Lubił przesiadywać w restauracjach i nocne uciechy w towarzystwie kobiecym, dlatego rano nigdy nie mógł zwlec się z łóżka. Jak bardzo różnili się obaj współpracownicy, widać było chociażby po wyglądzie ich biurka. To należące do Fischera było wysprzątane do czysta, a na blacie stał tylko elegancki kamienny przybornik z dwoma otworami na oprawki do stalówek, kałamarzem i bibularzem. Wszystkie papiery trzymał zamknięte pod kluczem w szufladach biurka. To, które należało do Siewierskiego, tak było zawałone teczkami i papierami, że jego właściciel nigdy niczego nie mógł znaleźć w tym bałaganie. Był tam też zwykły szklany kałamarz i metalowe pudełko na oprawki i stalówki, w którym zawsze stalówek brakowało, bo podkomisarz nigdy nie pamiętał, żeby kupić kilka sztuk na zapas. Gdy złamała mu się ta, której właśnie używał, bez żenady zabierał nową z biurka dowódcy, ale oczywiście tylko w chwilach, kiedy tego nie było w pokoju.

Policyjną czapkę powiesił na drewnianym wieszaku i już idąc do biurka odpiął pas z kaburą pistoletu i koalicyjką. Niby było to niezgodne z regulaminem, bo gdy był na służbie, powinien być w pełnym umundurowaniu, ale przecież nie będzie siedział za biurkiem ściśnięty pasem. Otworzył szufladę i wrzucił do środka całe oporządzenie. Siadając, zaczął się zastanawiać, co powinien zrobić z rozpoczynającym

się właśnie dniem. Może trzeba by się zająć jakimś niedokończonym raportem? Miał w teczkach chyba pięć różnych niezakończonych spraw, które wymagały opisanie, ale on organicznie wprost nie znosił pracy pisarskiej. Najchętniej zleciłby to komuś innemu, ale pech chciał, że nie miał bezpośredniego podwładnego. Nieraz już myślał o tym, że gdy zajmie miejsce Fischera, natychmiast przyjmie na posadę jakiegoś młodego rokującego policjanta, który będzie miał ładny charakter pisma i któremu będzie mógł zlecać wszystkie swoje sprawy do opisanie.

Z obrzydzeniem popatrzył na piętrzące się przed nim szare teuczki. Nie miał ochoty na żadne bazgranie. Zresztą w kałamarzu nie było już atramentu. To przesądziło sprawę. Podniósł słuchawkę telefonu, żeby połączyć się z dyżurującym na dole podoficerem. Doszedł bowiem do wniosku, że dzień najlepiej zacząć od aromatycznej kawy. Poleci więc, żeby ustawili garnek z wodą i zaparzyli mu filiżankę tego napoju. Jak już się napije i do tego wypali papierosa, to pomyśli, co robić dalej. Właściwie to mógł pójść do miasta. Miał jedną zaległą i umówioną wizytę, której nie zrealizował wczoraj, bo upił się w „Café Esplanade” prawie do nieprzytomności. Ale dzisiaj mógłby tam pójść i trochę się zabawić. Tak, to byłoby dobre rozwiązanie. Tego mu było trzeba. Odrobiny odprężenia. Ale najpierw kawa.

Podniósł wiszącą na sznurze słuchawkę do ucha, a aparat z tubką przysunął do siebie.

– Melduje się – powiedział służbowy.

– Tu podkomisarz Siewierski mówi. Zróbcie no mi filiżankę kawy i podajcie na górę.

– Tak jest, panie komisarzu, ale dzwoniłi z miasta, znaczy się z komisariatu na Garbarach.

– A co mnie to może obchodzić? Niech dzwonią. Teraz będę pił kawę, niech zadzwonią później.

– Tak jest, ino...

– Ale co? Co ino?

– Ino oni gadają, że chycili onego.

– Kogo chwycili?

– Żeby przekazać do komisarza Fischera, że chycili tego, co to nożem zarzynał dziewczuchy. Nawet nóż miał ten bandyta.

– To czemu do cholery od razu nie mówicie – krzyknął

podekscytowany Siewierski.

- No przecie powiadam, że go chycili.
- A kto to zgłosił?
- Jak kto? Policja. Zaraz na kawę nastawię, ino że kawy to ni ma.
- W dupie mam kawę!

W słuchawce zapadła cisza. Widać informacja o miejscu przechowywania kawy musiała zrobić duże wrażenie na służbowym. Siewierski nie miał jednak zamiaru niczego tłumaczyć. Przerwał połączenie, a potem wydobyl z szuflady pas z kaburą i szybko go naciągnął. Nie mógł przecież pojawić się na Garbarach bez broni. Pistolet był mu dziś bardzo potrzebny. Wychodząc z pokoju, natknął się na podoficera, tego samego, z którym przed momentem rozmawiał przez telefon.

- Melduję, panie komisarzu, że z kawą trzeba poczekać, aż kto przyniesie z miasta - wyjaśnił starszy posterunkowy Gil.

- Nie mam teraz czasu na żadną kawę.
- Tak jest. A co z telegramem?
- Jakim telegramem?
- Tym, co to przyszedł do komisarza Fischera.
- Nic nie wiem o żadnym telegramie.
- Bo to on dopiero przyszedł. Zagraniczny, z Niemiec.
- Dajcie no ten telegram.

Gil sięgnął do kieszeni na piersi i wydobyl z niej złożoną na pół kartkę. Siewierski szybko rzucił na nią okiem, ale z tekstu potrafił odczytać tylko przerywniki *stop*. Reszty nie zrozumiał. Ale co go w końcu mogła obchodzić jakaś szwabska pisanina. Położył telegram na biurku Fischera i wyszedł z pokoju. Gdyby zapytał Gila, co jest w tym telegramie, to ten bez trudu mógł ten krótki tekst przetłumaczyć na polski, ale Siewierski nawet nie pomyślał, żeby skorzystać z naturalnej dla poznaniaków znajomości języka niemieckiego.

Godzina 9.45 przed południem

Teraz musieli działać szybko i zdecydowanie, żeby wszystkich szpiegów

przymknąć w jednym momencie. Witkowski powiedział im, że człowiek, który dowodził całą ich jaczeką, przyjdzie do mieszkania, w którym siedział Karpiński, dziś koło południa. Miał im przekazać paszporty przywiezione z Niemiec i wystawione na niemieckie nazwiska. Z tymi paszportami mogli bez żadnych problemów przekroczyć granicę, bo dokumenty były jak najbardziej autentyczne. A te dokumenty miał odebrać od kuriera w Hotelu Bazar. Fischer postanowił, że sam wcieli się w rolę Karpińskiego i odbierze te paszporty, żeby złapać ich dostawcę na gorącym uczynku. Gdyby bowiem Niemiec oddał je Karpińskiemu, niczego nie można by mu było udowodnić.

Dlatego pierwszym krokiem, który musieli wykonać, było zdjęcie Karpińskiego.

Pod dom przy Rynku Łazarskim podjechali dorożką we dwóch, Fischer i jego wywiadowca Kacperek. Ten drugi szybko wyskoczył na chodnik, nie czekając, aż jego szef dogada się z dryndziarzem, by ten został na miejscu i czekał. Dorożkarz bowiem miał najwyraźniej muchy w nosie i marudził coś, że musi już jechać do domu, bo jeździł dziś całą noc. Komisarz zaczął mu więc tłumaczyć, że jest wynajęty przez Policję i podlega teraz rozkazom jak w wojsku.

– Stój tu i czekaj grzecznie, draniu niemyty, bo jak mi się gdzie ruszysz, to obiecuję, że znajdę cię nawet w mysiej dziurze i wsadzę do więzienia za utrudnianie pracy policjanta na służbie.

Kacperek wszedł do bramy i zdziwił się. Stróż Pawlak, którego wczoraj zostawił tu na czatach, siedział nadal w tym samym miejscu.

– A ty co, tak cały czas se tu siedzisz? – zapytał na powitanie.

– No, jak pan kazał, tak i se siedze.

– To i dobrze, że poważnie podchodzisz do swojej roboty. Gratyfikacja cię nie ominie. A co z tamtym? – ruchem głowy wskazał wyjście na podwórko.

– Melduje, że kluki z chaty nie wystawił. Siedzi od wczoraj.

– A był kto u niego?

– Melduje, że nikogo nie było. Sam siedzi jak palec w dupie.

– Pewnyżeś jest? – Kacperek spojrzał wymownie na taboret, na którym siedział cieć. Pod nim stało kilka pustych butelek po piwie i jedna półlitrówka z naklejką Wyborowej. Wszystkie oczywiście były puste. Widać, że dłużyło mu się to pilnowanie, więc musiał zapewnić sobie

jakąś rozrywkę.

– Niech ja skonam, jakbym czego miał nie dopatrzeć. Anim ślypiów nie zmrzył. Cały czas na warcie żem stojał, znaczy sie siedział.

Kacperek odwrócił głowę, usłyszawszy za sobą kroki. Fischer chyba musiał przekonać dorożkarza, bo miał zadowolona minę. Jak na razie wszystko szło zgodnie z opracowanym na szybko planem. Z tą dorożką był tylko kłopot, bo trzeba był skorzystać z usług przypadkowego dryndziarza, wojsko bowiem nie miało żadnego wolnego transportu. Kiedy komisarz zapytał Jażdżewskiego, czy jest jakieś auto, ten odpowiedział, że jedyne sprawne należy do dowódcy pułku, a on nie dzieli się nim z nikim. Za to pod dostatkiem jest koni do jazdy wierzchem, więc jakby komisarz chciał... Fischer natychmiast zobaczył przed oczami obrazek, na którym on i jego wywiadowca jada ulicami Poznania na jakiejś dychawicznej szkapie. Najlepiej jeszcze z szablą u boku. Nie było rady. Trzeba było wziąć dorożkę. Zresztą podobnie postąpił Jażdżewski, który zabrał czterech swoich podoficerów i ruszył z nimi, żeby obstawić Hotel Bazar. Zabezpieczali się w ten sposób na wypadek, gdyby Fischerowi nie udało się zatrzymać Karpińskiego. Ci wszyscy podoficerowie, których oficer wybrał do akcji w mieście, doskonale znali porucznika, nie było więc najmniejszej możliwości, żeby się im wyślizgnął. Gorzej, że on też dobrze znał ich twarze. Trzeba więc było prowadzić obserwację hotelu, starając nie rzucać się specjalnie w oczy. Dlatego Fischer nakazał, żeby wszyscy wojskowi przebrali się w cywilne ubrania. Jażdżewski w ogóle o tym nie pomyślał, a nawet narzekał, że powinni występować z otwartą przyłbicą, jak na polskich żołnierzy przystało. Na szczęście nie udało mu się w tej kwestii przekonać policjanta.

– I jak jest? – zapytał komisarz, zatrzymując się obok Kacperka.

– Melduje, że ten tu – wskazał palcem na stróża – powiada, że siedzi na miejscu. Od wczoraj, jakim tu był, nie ruszył się z chaty.

– No to do roboty. Idziemy.

– Ja zaprowadze – zadeklarował Pawlak i szybko poderwał się z taboretu.

Przeszli podwórko i po chwili wspinali się już na schody oficyny. Stróż stanął przed odrapanymi drzwiami, pomalowanymi jak wszystkie w tej kamienicy na rudobrazowy kolor.

- Tu będzie - powiedział, ścisząc głos do szeptu. Zupełnie niepotrzebnie. Policjanci wcale nie mieli zamiaru być cicho. Kacperek przyłożył pięść do drzwi i zapukał głośno.

- Otwierać, policja! - ryknął. Natychmiast otworzyły się drzwi naprzeciwko. Wyjrzała z nich siwa, rozczochrana głowa.

- A czego tutaj? - zapytała siwa, bezzębna staruszka.

- Nie do was Walenciakowa - wyjaśnił stróż. - Zawrzyjcie drzwi, bo tu nic dla was ni ma.

- Aha - odpowiedziała i zaciekawiona wyszła na schody.

Wywiadowca zastukał ponownie. Znów żadnego odzewu ze środka.

- Ja mam klucz, co pasuje do wszystkich drzwi - odezwał się Pawlak.

- To czemu, do cholery, zaraz żeście nie powiedzieli? - naskoczył na niego Fischer.

- A bo mnie kto pytał? - stróż włożył rękę do kieszeni, pogmerał w niej chwilę, a potem wydobył z niej kłębek sznurka, dwa gwoździe, kozik i duży klucz.

- Ale łonygo ni ma w chacie - odezwała się zza pleców mężczyzna kobieta. Wszyscy natychmiast odwrócili się do tyłu.

- Jak ni ma? Przecie musi być - warknął Pawlak.

- Będzie już godzina, abo i rychlej jak polazł.

- Skąd wiecie? - zapytał Fischer.

- A bo był u mnie i powiadał, że musi iść szybko na drugie podwórko.

- Że niby jak? - Kacperek podszedł do kobiety.

- Ano bo ode mojej kuchni jest wejście tam do sąsiadów. Polazł se tymi drugimi drzwiami i tyłem go widziała. Nie powiadał, czy się wróci.

Stróż otworzył drzwi. Fischer natychmiast wszedł do środka. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na niechlujnie urządzone wnętrze, żeby przekonać się, że rzeczywiście nie było w środku nikogo. Z policyjnego nawyku zaczął jednak sprawdzać dokładnie mieszkanie. Na środku pokoju stał okrągły stół, a przy nim cztery proste drewniane krzesła, bez obić tapicerskich. Na blacie porcelanowy talerz z kawałkami niedojedzonego chleba, obok deska do krojenia i długi nóż. Pod oknem stało proste metalowe łóżko ze skołtunioną, pomiętą pościelą. Na lewo od drzwi prosta, dwudrzwiowa szafa garderobiana szeroko otwarta. Zajrzał do środka. Wewnątrz były porzucone i zapewne brudne części męskiej garderoby.

– Jakżeś pilnował łachudro? – Kacperek tymczasem złapał ciecia za ucho i szarpnął boleśnie.

– Auuu! – krzyknął stróż. – A skąd niby ja wiedziałem, że wylezie przez okno?

– Trzeba było myśleć, a nie chlać gorzołę w bramie.

– Zostaw go – powiedział Fischer, wychodząc na korytarz. – Nie jego wina. Nie mógł wiedzieć, że ten się zorientuje.

– Właśnie – podchwycił to wyjaśnienie Pawlak, rozcierając sobie obolałe ucho. – Nie moja wina!

– Pokażcie, gdzie wyszedł? – komisarz zwrócił się do kobiety.

– Łe, no tutaj przelazł przez drzwi, no i bez kuchnię – zaczęła ochoczo tłumaczyć, idąc śladem uciekiniera. Weszli do małej kuchni z niewielkim żeliwnym piecem. – A tutaj są drzwi na drugie podwórko. Tam go puściła tu tędy.

Fischer otworzył drzwi i wyszedł na niewielki podest, z którego drewniane schody prowadziły na mały dziedziniec.

Splunął w dół, a potem odwrócił się. Kacperek stał tuż za nim.

– Idziemy – rzucił krótko i ruszył schodami w dół. Wywiadowca poszedł posłusznie za nim.

– Tutej złaził, tutaj właśnie... – powiedziała właścicielka mieszkania, nadzwyczaj zadowolona, że mogła się na coś przydać policyjnej władzy, a i do tego jeszcze przeżyć coś ciekawego, o czym jeszcze długo będzie mogła opowiadać babom na Rynku Łazarskim.

Godzina 10.05 przed południem

– Gdzie jest ten nożownik? – huknął głośno podkomisarz Siewierski, wchodząc na komisariat. Przodownik dyżurny natychmiast poderwał się na równe nogi z krzesła, które stało za odrapanym, pamiętającym jeszcze czasy Bismarcka biurkiem i natychmiast podszedł do bariery, oddzielającej część dla interesantów od części służbowej.

– Ja melduje, że siedzi w celi, panie komisarzu, zakluczony.

Komisarz rozejrzał się po pomieszczeniu. Pod ścianą, na drewnianej ławie po lewej siedziały dwie baby w chustkach, obładowane jakimś

paczkami. To były zapewne żony aresztowanych, które przyszły świadczyć, że ich mężowie są ludźmi najuczciwszymi na świecie i należy ich w związku z tym wypuścić. A gdyby nie chcieli ich zwolnić, to choć podadzą im coś do jedzenia, bo to wiadomo, że w kozie nie ma co liczyć na jakieś przysmaki.

Na taborecie przystawionym do kaloryfera z pochyloną głową siedział jakiś osobnik w kraciastej, rozchełstanej koszuli. Jego lewą dłoń przykuto do żeliwnej rurki, tak że gdyby chciał samodzielnie się oddalić, musiałby zabrać ze sobą kaloryfer. Te grzejniki zainstalowano na komisariacie jeszcze przed wojną, zastępując nimi kaflowe piece, a policjanci szybko odkryli, że to doskonale miejsce do przykuwania aresztantów. Siewierski spojrzał na mężczyznę tylko przelotnie. Co mógł go obchodzić jakiś gnojek. On przyszedł tu w konkretnej sprawie.

– Jak się nazywacie? – zapytał posterunkowego.

– Posterunkowy Kokoschka – zameldował policjant i stuknął obcasami, przykładając ręce do boków.

– Dobra, Kokoschka, dawać mi no tego od noża.

Policjant cały czas stojąc na baczność, zrobił zdziwioną minę.

– Że niby jak, panie komisarzu? – zapytał w końcu, bo nie bardzo mógł zrozumieć, w czym rzecz.

– No przecież mówię chyba wyraźnie.

– No niby tak – potwierdził Kokoschka.

– No to czego nie rozumiecie?

– Bo nie było rozkazu.

– To teraz macie rozkaz.

– Tak jest! – potwierdził, ale dalej stał na baczność, nie ruszając się z miejsca.

– No, co jest? – Siewierski wyglądał na coraz bardziej zniecierpliwionego. W końcu głupi wyraz twarzy policjanta upewnił go ostatecznie, że nie ma co tracić czasu na rozmowy z jakimś idiotą. – Dobra, nie mam czasu na pogaduszki. Wołajcie waszego przełożonego.

Posterunkowy Kokoschka odetchnął z ulgą, tak że aż zagwizdało powietrze, które wypuścił nosem, a potem zaraz odwrócił się, dwoma susami przemierzył pokój i wybiegł za drzwi prowadzące na niewielki korytarzyk. Po chwili wrócił, wprowadzając do środka grubego jak beczka piwa przodownika.

– Kolejny dureń – pomyślał natychmiast Siewierski, widząc uśmiechniętą głowę przodownika Alfreda Jakubka. Na szczęście znał go, więc nie przewidywał żadnych kłopotów, tym bardziej że ten Jakubek nie należał do ludzi zbyt bystrych. Za to znany był z tego, że bardzo poważnie podchodził do wydawanych rozkazów.

– Słuchacie, Jakubek. Ja tu nie mam czasu na żadne zabawy. Telefonowaliście z informacją, że macie człowieka, co zabijał dziewczyny nożem.

Obie kobiety siedzące na ławie natychmiast nadstawiły ciekawie uszy, żeby nie uronić ani słówka. Nożownik, to była przecież nie lada sensacja. Jeśli usłyszą, co o nim mówią policjanci, to przez kilka dni będą miały co opowiadać sąsiadkom. Na nieszczęście Jakubek nie był taki głupi, jak się zdawało podkomisarzowi. Wskazał ręką na kobiety.

– Ej wy tam! – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Wynosić mi się zaraz.

Baby obrzuciły go nienawistnym spojrzeniem, ale posłuchały. Wiedziały, że nie jest dobrze przeciwstawiać się temu grubemu policjantowi, bo lał po mordzie jak mała krowa. Zabrały więc swoje torby i szybko wyszły. W końcu informacja o zatrzymaniu mordercy też warta była rozpowszechnienia.

Gdy drzwi za nimi się zamknęły, zadowolony Jakubek spojrzał na podkomisarza.

– Ano i udało się. Wczoraj w nocy na Starym Rynku żeśmy onego chycili. Na gorąco żeśmy go chycili, z nożem w łapie, jak jedną panienkę chciał wypatroszyć.

– No to sprawę mamy rozwiązaną – ucieszył się Siewierski. – A przyznał się choć do winy?

Przodownik pokręcił głową.

– A kto by tam z taką gadziną gadał, panie komisarzu. Siedzi w celi i tyle. Ino, że się nie wywinie, bośmy upisali całe zeznanie tej dziewczynki. Jakby co, to przed sądem zaświadczy. A moi dwaj policjanci za świadków będą, że z nożem ją napadł i brzuch chciał rozplątać. Nawet nie z nożem, ale z bagnetem wojskowym, ino przerobionym, bo ostrze jest po złamaniu na pół zaostrzone, tak że bagnet krótki do schowania w kieszeni zdatny. Tak se wszystko umyślił bydlak.

– No to doskonale – pochwalił przodownika Siewierski. – To teraz

dawać mi go tutaj. Zabieram go do Dyrekcji. Tam się go odpowiednio przesłucha, a potem przed sąd.

Jakubek skinął na posterunkowego. Ten bez ociągania wziął do ręki pęk kluczy i znów zniknął za drzwiami.

Komisarz usiadł na ławce, którą wcześniej zajmowały ciekawskie baby. Sięgnął do kieszeni, wydobył z niej małe pudełeczko miętowych landrynek i wsunął cukierek do ust. Używał ich od pewnego czasu zamiast papierosów. Nie, żeby chciał rzucić palenie. Wcale nie o to chodziło. W ten sposób wspomagał swoją silną wolę. Nie sięgał po papierosy, tylko po landrynkę. Ot taki pojedynek toczony z samym sobą.

Mężczyzna, którego wprowadzono, wyglądał dość kiepsko. Całą prawą stronę twarzy miał podrapaną, tak jakby przejechał nią po tarce do ziemniaków. Do tego jeszcze mętne, zaspane spojrzenie, którym z niedowierzaniem obrzucał otoczenie. Wyglądał tak, jakby właśnie spadł z księżyca. Zapobiegliwy posterunkowy skuł mu z przodu dłonie kajdankami. W ten sposób łatwiej było go prowadzić, ciągnąc za sobą.

– Jak się nazywasz? – zapytał natychmiast ostrym głosem podkomisarz. Zapytany spuścił wzrok i nic nie odpowiedział. Policjanci wzięli to za obraz buty i arogancji, ale Nowak nie mógł odpowiedzieć, bo w dalszym ciągu nie pamiętał, jak się powinien nazywać zgodnie ze swoją nową metryką. Co gorsza, nie pamiętał też, dlaczego się tu znalazł. Wiedział oczywiście, że to miejsce to Komisariat Policji, ale za co tu trafił i dlaczego skuto go kajdankami, to była dla niego kompletna zagadka. Zaczął więc w pośpiechu analizować przebieg wczorajszych wypadków i doszedł do tego, że w pewnej chwili siedział w jakiejś knajpie w pobliżu Starego Rynku. Pamiętał nawet, że wychodził z tej knajpy, a potem, jak przez mgłę, przypomniał sobie rozmowę z jakąś elegancką kobietą. I to już było wszystko. Nie wydawało mu się, że za siedzenie w knajpie mógłby zostać oskarżony o jakąś zbrodnię. Rozmowy z kobietami też nie należały do jakichś karalnych przestępstw. Więc w takim razie o co, do cholery, się rozchodziło? Wezmą go teraz pewnie na przesłuchanie i wszystko mu powiedzą. No nic, trzeba będzie iść w zaparte, jakby co, a najważniejsze, to najlepiej mówić, że nic nie pamięta, bo był pijany.

– No dalej – szarpnął go za kajdanki ten oficer.

– Panie komisarzu, dryndę zamówim. Co będzie pan na girach chodził?

Posterunkowy w trymiga poleci.

– A co to, ja kaleka jakiś? – Siewierski spojrzał spode łba na przodownika.

– Nie uchodzi, panie podkomisarzu – stwierdził twardo Jakubek, który jeszcze nigdy nie widział, żeby oficer chodził pieszo z aresztantem. – Dawaj tu dryndziarza jakiego! – zawołał na Kokoschkę. – Niech podjeżdża, a rychło.

Posterunkowy Kokoschka sprawił się bardzo dobrze. Nie minęło pięć minut, a rozklekotana dorożka zajechała pod komisariat.

Najpierw wprowadzili do niej zatrzymanego, a potem obok niego zasiadł Siewierski. Przodownik chciał dać oficerowi jakiegoś człowieka do wzmocnienia konwoju, ale podkomisarz stanowczo odmówił. Drynda ruszyła w głąb Wielkich Garbar. Siewierski nie zwrócił najmniejszej uwagi na dwóch młodych ludzi w kaszkietach, ubranych jak większość mieszkańców okolicznych czynszówek w czarne spodnie, białe lniane koszule i zwykłe szare kamizelki, którzy stali pod drugiej stronie ulicy, paląc spokojnie papierosy. Gdy dorożka ruszyła przed siebie, bez pośpiechu pociągnęli jeszcze kilka dymków, a potem ruszyli za nią. Nie musieli się śpieszyć, bo ruch na ulicy był już znaczny i wiadomo było, że drynda na pewno im nie ucieknie. Zresztą i tak nie było na to najmniejszej szansy, bo właściciela dorożki zastąpił zupełnie przypadkowo ich dobry znajomy – Tolek Grubiński.

Godzina 10.15 przed południem

Karpiński się śpieszył. Wszystko zaczynało się sypać w proch, dlatego chciał jak najszybciej wydostać się z tej matni. Pierwszy raz poczuł się jak osaczone zwierzę. Dotąd wszystko układało się nad wyraz pomyślnie, ale od wczoraj wiedział już, że pętla wokół jego szyi zaczyna się zaciskać. Wszystko przez przypadek.

Siedział w tej norze przy Rynku Łazarskim i analizował swój plan. Wydawał się prosty i nieskomplikowany. Zamierzał o wyznaczonej porze pójść do Hotelu Bazar i wziąć od Niemca paszporty. Pewną trudnością było tylko to, że te paszporty miał dostać w zamian za dokumenty, które

wykradł z kasy ogniotrwałej. Problem w tym, że papiery nie dojechały do Niemiec. Taką informację dostał od łącznika, który przyjechał stamtąd wczoraj i przekazał mu informację o spotkaniu w hotelu. Niemcy, którzy znaleźli ciało kuriera w pociągu, byli przekonani, że ten nie wiozł papierów i że one nadal były w posiadaniu Karpińskiego. Ale on ich nie miał. Oddał je, tak jak tego chcieli. Diabli wiedzą, co się stało w tym pociągu, kto zabił tego handlarza Willy'ego Bauera. A zresztą, co go to może obchodzić? On chciał tylko się wydostać z tego wszystkiego i uciec, gdzie pieprz rośnie, najlepiej do Ameryki. Tam zacznie nowe, spokojne życie. Potrzebny był mu tylko paszport. Ale wiedział, że z tym sobie poradzi. Plan był prosty. W hotelu odszuka Niemca, odbierze swój paszport, bo ten drugi wcale go nie obchodził. Jeśli Szwab będzie się stawiał, to go załatwi i będzie po sprawie. Potem wsiądzie do pociągu jadącego na Breslau, bo na pewno nie w stronę Schneidemühl. Nie musiał się martwić o pieniądze na podróż. Miał ich dość sporo. Wszystkie pochodziły z kasy ogniotrwałej, którą opróżnił. Przez te kilka dni nic prawie nie wydał. Tyle, co na jedzenie i picie, a to nie było wiele. Liczył, że wystarczy mu to z powodzeniem na dotarcie do Hamburga, a potem przez morze w szeroki świat. Uśmiechnął się do swoich myśli, ale nagle przystanął, szybko chwytając się za kieszeń swojego długiego, czarnego płaszcza.

– Psia krew! – zaklął pod nosem. Zapomniał go zabrać. Wyszedł z domu bez noża. Był teraz zupełnie bezbronny. Jego długi nóż został na stole w tym cholernym mieszkaniu. Gdyby nie wynosił się stamtąd w pośpiechu, pewnie nie zapomniałby o tak ważnej rzeczy. Ale chyba spanikował i dlatego uciekł tak szybko. Dobrze, że w ogóle udało mu się wydostać, gdy się dowiedział, że jest śledzony.

Siedząc w tym pokoju, pomyślał, że skoro ma jeszcze sporo czasu, bo do spotkania były jeszcze jakieś cztery godziny, powinien pójść do sklepu i kupić sobie trochę chleba i jakąś małą butelkę wódki. Ubrał się więc szybko, wyszedł z mieszkania i ruszył schodami w dół. Szybkim krokiem przemierzył podwórko i już miał wejść do bramy, gdy usłyszał dochodzące z niej krzyki. Natychmiast się zatrzymał i ostrożnie zajrzał do środka. Na taborecie siedział stróż, a nad nim pochylała się jakaś potężna kobieta.

– Całą noc żeś tu chlał, zamiast w chacie na łóżku jak człowiek se

legnąć. Co ja mam z tobą, ty ochlapusie chłelerny!

– Cicho bądź, kruszynko – próbował ją uciszyć stróż. – Ja ino tak dla niepoznaki. Bo tu sie akcja policyjna odbywa.

– Widzieliście go, akcja policyjna! A policjanty to niby gdzie?

– Wszędzie. Dom obkrążony, że sie mysz nie prześlizgnie. Bandytę, co w oficynie pod trzecim mieszka, chcą chycić. A mnie kazali pilnować...

– Tyś do pilnowania zdatny jak kejter na rosół. Widzieliście go, chachara jednego. Akcję policyjną se wymyślił.

– Zaraz zobaczysz, kruszynko...

Karpiński cofnął się szybko. Poczował, że robi mu się gorąco. Więc byli na jego tropie. Ale jakim cudem go znaleźli? Może ktoś go wydał? Nie było czasu na analizy. Policja okrążyła dom. Spojrzał za siebie. Podwórko otoczone było ze wszystkich stron ścianami oficyn. Nie było dokąd uciekać. Nagle przyszło olśnienie. Przypomniał sobie tę staruszkę, co mieszkała samotnie naprzeciwko. Był u niej, wciągnęła go do siebie niemal na siłę, żeby porozmawiać o swoim synu, który zginął na wojnie. Nie miał nic lepszego do roboty, więc wszedł do tej niewielkiej kuchni. Wtedy zauważył, że z tego pomieszczenia można wyjść po drewnianych schodach na sąsiednie podwórko. Było więc wyjście z pułapki, oczywiście pod warunkiem, że policjanci o nim nie wiedzieli.

Nie wiedzieli. Kobieta wpuściła go do siebie najwyraźniej zadowolona z sąsiedzkiej wizyty, ale on nie miał czasu na pogaduszki. Wyjaśnił tylko, że chce zrobić niespodziankę znajomemu, który czeka przy bramie i zająć go od tyłu. To wyjaśnienie jej całkowicie wystarczyło. Otworzyła mu drzwi i pozwoliła zejść na dół, domagając się jednak obietnicy, że po powrocie koniecznie jej wszystko opowie. Obiecał oczywiście. Podwórko było puste. Nigdzie żadnych policjantów. Co więcej, na ulicy też nie było żadnego widać. Zobaczył jednego mundurowego naprzeciw domu, na Rynku, ale ten, zajęty rozmową z jakimiś handlarzami, nie zwrócił na niego uwagi. Nacisnąwszy więc mocno kapelusz na głowę, przeszedł brukowaną jezdnię i wmieszał się w tłum.

Całą drogę do Hotelu Bazar zastanawiał się, co właściwie się stało. Jak policja wpadła na jego ślad. Ale niczego rozsądnego nie wymyślił. Jedyne, co przychodziło mu do głowy, to zdrada. Musiał go wydać ten bydlak... Ale w końcu czego można się było spodziewać po zatwardziałym bolszewiku? Nie był im już potrzebny, więc go wydał i tyle. Pewnie

wpadł tam w szpitalu, próbując wykończyć Okonia, i zaraz wszystko wyśpiewał. Tak, to było jedyne racjonalne wytłumaczenie. Jednak ci bolszewicy, wszyscy jak jeden, to zwykła swołocz. Nienawidził ich z całego serca. Na własne oczy widział, do czego są zdolni, bo przecież walczył z nimi podczas wojny. I w końcu to oni zrujnowali mu karierę w wojsku. Prawda, było w tym wszystkim też trochę jego winy, ale wszystko to ich robota. To oni podsunęli mu tego człowieka, który zaoferował pożyczkę po tym, jak kompletnie spłukał się podczas tej fatalnej rozgrywki w ruletkę. Był oszołomiony przegraną, a do tego jeszcze kompletnie pijany. A ten człowiek był taki miły! Powiedział, że też jest żołnierzem, byłym frontowcem i nie może pozwolić na to, żeby jego kolega żołnierz znalazł się w tarapatkach, tym bardziej że dla niego, jako człowieka majątnego, pieniądze nie były problemem. Budził zaufanie. Zaoferował, że mu pomoże. Dał pieniądze i kazał tylko podpisać kwit. Zapytany, kiedy dług będzie trzeba uregulować, oznajmił, że nie ma z tym żadnego pośpiechu. Było to jeszcze w Warszawie, krótko po wojnie. Potem Karpiński wyjechał do Poznania i zapomniał o całej sprawie. Jednak ten, który pożyczył mu pieniądze, nie zapomniał. Odnalazł go rok temu. Okazało się, że też skierowano go do pracy w Poznaniu. Teraz nie był już taki miły. Zażądał natychmiastowego zwrotu pożyczki. Karpiński oczywiście nie miał pieniędzy. Ten wyciągnął więc kwit i zagroził, że pójdzie wprost do dowódcy pułku i o wszystkim mu opowie. Na nic zdały się prośby i błagania. Takiej hańby nie mógłby zmyć w żaden sposób. Musiałby pożegnać się z wojskiem. Nic nie pomogły też tłumaczenia. Mężczyzna był niewzruszony. Karpiński obiecał mu, że znajdzie pieniądze, ale on chciał natychmiastowego zwrotu pożyczki...

Okazało się, że był jednak pewien sposób. Zaproponowano mu, że może spłacić swój dług jakimiś dokumentami, które wystarczyło od czasu do czasu wynieść z kancelarii. Czy miał inne wyjście? Wtedy wydawało mu się, że to będzie najlepsze rozwiązanie. Kilka razy przyniósł na spotkanie dokumenty dotyczące planów mobilizacyjnych i struktury pułku. Myślał, że na tym koniec. I wtedy się zaczęło. Jego prześladowca żądał więcej. Karpiński wpadł w błędne koło. Czy chciał, czy nie, musiał współpracować. Do pomocy, a może do nadzoru dostał sierżanta Witkowskiego, który – jak się okazało – od dawna był związany

z bolszewikami. Witkowski był bolszewikiem z krwi i kości, więc w zasadzie to on kierował wszystkimi poczynaniami Karpińskiego. Wydawał mu polecenia i odbierał od niego przejęte dokumenty. Od niego przyszło też polecenie, w które początkowo Karpiński nie chciał uwierzyć. Przecież wykonanie tego rozkazu wiązało się z całkowitą dekonspiracją. Ale Witkowski był nieugięty. Zresztą rozkaz potwierdził ten, który Karpińskiego zwerbował. Centrala domagała się wyniesienia całej dokumentacji agentury polskiej działającej na terenie pogranicznym, rejonu nadzorowanego przez ich placówkę. Te papiery oczywiście można było wynieść, ale wykradzenie ich skutecznie kończyło działalność Karpińskiego jako agenta. Zapytał więc, co z nim będzie dalej. Obiecali mu wyjazd do Rosji, a tam pracę w wojsku i bezpieczne, dostatnie życie. Już widział ten bolszewicki dostatek! Nie wierzył im za grosz. Był przekonany, że gdy tylko znajdzie się na terytorium kraju szczęśliwych chłopów i robotników, natychmiast, jako osoba całkowicie nieprzydatna, dostanie kulę w łeb. Takie rozwiązanie wcale mu się nie podobało. Postanowił więc, że z chwilą gdy przekroczy polsko-niemiecką granicę, natychmiast zniknie. A potem – prosto do Ameryki.

Zatrzymał się na chodniku, tuż przy obstawionej drewnianymi rusztowaniami bocznej ścianie kościoła św. Marcina. Pracujący na wysokości robotnicy murarscy sprawnie kładli nowe tynki na ścianie z czerwonej cegły. Inni zajmowali się kopaniem ogromnej dziury w ziemi, gdzie wkrótce miały powstać fundamenty ogromnej dzwonnicy, na której miano zainstalować wielki zegar widoczny na Świętym Marcinie i Alejach Marcinkowskiego. Czytał o tym przedsięwzięciu w gazecie i wówczas uznał je za całkiem interesujące, ale teraz nawet nie spojrzął na budowę, której z ciekawością przyglądały się grupki przechodniów. Przystanął tak, by mieć za swoimi plecami kościół, twarzą zwrócony był ku Alejom. Po lewej stronie, tuż przed placem Wolności, był kiedyś Hotel de Rome, który po wojnie stał się siedzibą Wydawnictwa św. Wojciecha, a mniej więcej naprzeciw znajdował się Hotel Bazar. By mieć lepszą perspektywę, musiał przejść nieco dalej, do miejsca, gdzie Marcinkowskiego rozszerzała się, tworząc przy skrzyżowaniu właściwą aleję, albo, jak kto woli, obszerny plac przed monumentalnym hotelem. Podszedł na skraj tego placu i zatrzymał się

przy budce z gazetami i tytoniem. Spojrzał przed siebie. Przed budynkiem panował zwyczajny o tej porze ruch. Stało tam zaparkowanych kilka dorożek i dwa automobile. Widać było wchodzących i wychodzących ludzi. Nic nadzwyczajnego. Najważniejsze jednak, że nie dostrzegł nikogo, kto by przyglądał się budynkowi, lustrując przechodniów. Nigdzie nie widać było żadnego szpicla. Droga wydawała się bezpieczna. Zadowolony ruszył przed siebie, na wszelki wypadek nacisnąwszy mocniej na oczy kapelusz. W swoim długim czarnym płaszczu wyglądał jak nikt szczególny. A o to mu przecież chodziło.

Godzina 10.25 przed południem

Kapitan Jażdżewski miał wrażenie, że wszyscy na niego patrzą. Bynajmniej nie dlatego, że coś z nim było nie tak. Co to, to nie. Wyglądał przecież zupełnie normalnie, powiedzieć by można, że nawet elegancko. Czuł się tylko nienormalnie w tym cywilnym garniturze. Od wielu lat bowiem jego codziennym strojem był wojskowy mundur, a dziś musiał się przebrać w ubranie cywilne. Dobrze, że w ogóle miał garnitur. Sprawił go sobie tak na wszelki wypadek, powiesił w szafie i nie używał. No ale dziś, dwa lata po obstalowaniu, wreszcie się na coś przydał. Teraz, po głębokim przemyśleniu, doszedł do wniosku, że ten kapitan Fischer jednak miał rację, każąc im zdjąć mundury. Ci dwaj jego ludzie, stojący po drugiej stronie ulicy w bramie kamienicy sąsiadującej z Hotelem Bazar, byli prawie niewidoczni. A gdyby zostali w mundurach, byłiby jak samotny biały żagiel na pełnym morzu.

Przed wejściem do hotelu niewiele się działo. Przy krawężniku jak zwykle stały dorożki i dwa auta. Kręcili się tu też sprzedawcy papierosów i zapalek ze swoim towarem wystawionym na specjalnych drewnianych półeczkach, zawieszonych na piersi za pomocą sznurka. Kwiaciarki sprzedawały niewielkie bukietiki trzymane w puszkach po marmoladzie. Niewiele się działo. Jażdżewski spojrzął w bok. Tam znajdowała się sporych rozmiarów tafła szyby wielkiego okna kawiarni „Warszawianka”, mieszczącej się w budynku należącym do Drukarni

św. Wojciecha. Przez nie widać było kawiarniane stoliki. Jeden, stojący najbliżej ulicy, był pusty. Kapitan pomyślał, że może zamiast stać na chodniku, wszedłby do środka. Przecież stamtąd też można było przyglądać się temu, co działo się na zewnątrz. I to jeszcze jak przyglądać! Siedząc sobie przy stole i popijając aromatyczną kawę, miałyby baczenie na wszystko, a nikt z zewnątrz nie mógłby go dostrzec. Tak, to było doskonałe rozwiązanie wywiadowcze. Obserwacja z ukrycia, zza kawiarnianej szyby. Uśmiechnął się do własnych myśli. Ależ był z niego osioł, że od razu na to nie wpadł, tylko stał tu jak jaki głupi. Kawa, a może do tego jeszcze jakie ciastko... „Warszawianka” słynęła z doskonałych wypieków. Można by tak zamówić szarlotkę albo sernik wiedeński...

Tak, to było zdecydowanie dobre rozwiązanie. Obrzucił uważnym spojrzeniem wejście do Hotelu Bazar, a potem szybko przeszedł te kilkanaście kroków i zaraz zniknął w kawiarni. Nie minęła nawet minuta, gdy już siedział na krześle kawiarnianego stolika ze wzrokiem utkwionym w budynek naprzeciwko.

– Co szanowny pan sobie życzy – zapytał młody pomocnik kelnera, ubrany w nieskazitelnie białą koszulę z czarną muszką, czarne spodnie i lśniące czarne lakierki.

– Daj pan, panie młodszy, czarną kawę ze śmietanką i cukrem, a do tego jeszcze sernik wiedeński.

– Oczywiście, szanowny panie – uśmiechnięty kelner przyjął zamówienie i już chciał odejść, ale Jażdżewski skinął jeszcze na niego ręką. Pomyślał bowiem, że skoro już tu jest, a nie jest w mundurze, to chyba może sobie pozwolić na jeszcze jakiś drobiazg.

– Tak, proszę szanownego pana.

– Daj pan jeszcze setkę czystej, ale żeby była zimna.

– U nas zawsze podajemy wódkę prosto z lodu. Innej się w „Warszawiance” nie podaje – wyjaśnił z dumą młodszy kelner.

No tak – pomyślał Jażdżewski – nawet taki nic nieznaczący prostak lubi się pogrzać w splendorze wielkości, którą reprezentuje jedna z najpopularniejszych poznańskich kawiarni. „Warszawianka” to w końcu nie byle co. Wódka musiała być zimna.

Spojrzał przez okno na wejście do Bazaru. Nic się nie działo.

* * *

– I tak będziemy tu stojeć jak te dupy wołowe, do usranej śmierci – powiedział plutonowy Hawryłło, który wcale nie miał ochoty stać w tej cholernej bramie i gapić się na przechodzących ludzi. Gdyby nie rozkaz Jażdżewskiego, mógłby teraz spokojnie siedzieć sobie w magazynie mundurowym i grać w karty, a do tego jeszcze popijać zimne piwko. Dzień mógłby być piękny i spokojny, bez żadnych niepotrzebnych zawirowań. Na to liczył dziś rano, wchodząc przez bramę na teren koszar. Aż tu nagle jak obuchem w łeb dostał polecenie od oficera dyżurnego, żeby natychmiast ubrać się w cywilne ciuchy i wraz z kapralem Włodarkiem stawić się w ciągu kwadransa przed oblicze Jażdżewskiego. Od razu wiedział, że to jakaś śmierdząca sprawa. Ale co było robić? Chciał, czy nie chciał, musiał słuchać, bo wiadomo, że wojsko na rozkazie stoi. No i teraz on stał razem ze swoim kolegą w tej bramie i miał przyglądać się przechodniom. Trzymało ich w tym wszystkim tylko to, że ich zadaniem było pochwycenie tego Karpińskiego, który okazał sprzedawczykiem i zdrajcą, a do tego jeszcze, jak wyjaśnił im kapitan, to właśnie Karpiński chciał zabić ich przyjaciela sierżanta Okonia. Gorzej, że nie mogli go rozwalić na miejscu. Hawryłło z wielką chęcią odstrzeliłby mu ten jego panickykowany łeb za to, co zrobił Okoniowi. Ale nie było rady. Musieli wziąć go żywcem, bo tak kazał kapitan.

– A co inne masz do roboty?

– Teraz nic nie mam. Ale jak ja by był w koszarach, to ja by sobie znalazł takie roboty, że hej.

– Na pewno byś się za karty zaraz zabrał.

– Ja by w karcioszki porznął, ale i z tobą oba by my pograli. I piwka by wypili. A tak stój tu i patrz się na facjaty, jak jaka lampucera, co w bramie wystaje i na klienta czeka.

– Ty Hawryłło nie narzekaj, bo my też na klienta czekamy – ofuknął go Włodarek. – A nasz klient to taka, powiem ja tobie, znaczna fisza, że my jego dostać musimy za wszelką cenę.

– Oj, dostaniem my jego i jeszcze z nim potańcujem za naszego bidnego

Okonia. I podziękuję my jemu, tak jak się należy. No, ale jak już tak tu stoim, to można by co wypić, żeby tak nie stać o suchym pysku.

Włodarek spojrzał uważnie na plutonowego, który uśmiechał się do niego figlarnie.

– A co tak dokładnie masz na myśli?

– Ano tyle, że tu, dwa kroki stąd, na Świętym Marcinie, jest taka mała knajpka, co w niej piwko sprzedają. Poleciałby ja po kilka flaszek, a ty byś w tym czasie miał na wszystko oko.

Włodarek myślał przez chwilę, Hawryłło dostrzegł, że kapral walczy sam ze sobą, więc jako starszy stopniem postanowił mu pomóc.

– W trymiga obróć, ani się nie obejrzysz, a ja już będę z powrotem, z piwkiem w kieszeni.

– A, co tam! Leć, ino żebyś zaraz wracał.

Hawryłło klepnął Włodarka w ramię, a potem ostrożnie wyjrzał na ulicę. Przed hotelem wciąż stały dwa automobile, a potem kilka dorożek, których właściciele zbili się w ciasną gromadkę przy tej najbliższej i pochyleni nad podestem rznęli w karty. Właściwie nic się nie działo.

* * *

– Gdzie ty jedziesz, durniu? – Siewierski zawołał do dorożkarza, ale ten nie zwrócił najmniejszej uwagi na to wołanie. Zamiast skrócić na placu Bernardyńskim w prawo, żeby pojechać w górę na Podgórną, dorożkarz strzelił z bata i koń pociągnął dorożkę prosto, mijając po lewej kościół.

– Ty, ogłuchłeś? – policjant walnął go w plecy, ale i to nie przyniosło żadnego skutku.

– Co jest, do cholery? Pijany żeś jest? Zatrzymaj dorożkę!

To wreszcie poskutkowało. Dryndziarz pociągnął lejce ku sobie, osadzając konia w miejscu. Siewierski podniósł się z kanapy i jeszcze raz walnął dorożkarza w plecy. Tym razem mocno i zdecydowanie.

– Ty cholerny pijaku! Mówiłem wyraźnie, że masz jechać do Dyrekcji Policji, a nie tam, gdzie ci się podoba. Zawracać mi zaraz i w Podgórną jechać!

Dorożkarz wolno odwrócił w jego kierunku głowę.

– Siadaj, łachudro, na dupie i morda w kubeł – warknął.

Siewierski aż zaniemówił z wrażenia. Jak ten cham śmiał się do niego odezwać w ten sposób? Co to bydle sobie wyobraża?

– Ja zaraz... Ja ci... Ty cholerny gnoju!

Tolek Grubiński uśmiechnął się szeroko, a potem pchnął podkomisarza w pierś tak silnie, że ten bezwładnie upadł na siedzenie. W tej chwili na podest z jednej i drugiej strony wskoczyli dwaj młodzi ludzie, blokując możliwość wyjścia z dorożki. Jeden z nich trzymał w dłoni pistolet, którego lufę skierował w kierunku Siewierskiego.

– Ani słówka, bo łeb odstrzelę – wysyczał ten uzbrojony.

– A ciebie za co przymknęli? – zapytał Tolek, zwracając się do siedzącego obok policjanta aresztanta skutego kajdankami.

– Ja nie wiem – odpowiedział zdumiony całą tą sytuacją Günter Nowak.

– Weź no wyciągnij mu klucze z kieszeni i rozkuj go – polecił Walkowi Kaźmierczakowi Tolek. Ten natychmiast sięgnął do kieszeni na piersi policjanta i wydobył z niej klucz od kajdanek. Błyskawicznie zdjął je z przegubów aresztowanego.

– No, co tak siedzisz? Spieprzaj!

Nowakowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Szybko wyskoczył z dorożki i pobiegł prosto w kierunku targowiska na placu Bernardyńskim.

– To się wam nie uda! – krzyknął Siewierski. – I tak go złapiemy!

– Jego to my mamy w dupie – powiedział zimno Tolek. Dwaj napastnicy zasiedli po dwóch bokach policjanta. Ten z pistoletem w dłoni wcisnął mu lufę między zębra.

– Jeszcze raz się odezwiesz i po tobie – powiedział Krystek Kaźmierczak.

Do dorożki podszedł jeszcze jeden młody człowiek. Prowadził pod rękę jakąś kobietę, ubraną w czarną suknię i czarny kapelusz z woalką zasłaniającą twarz. Stała przy stopniach od strony chodnika, wpatrując się uważnie w Siewierskiego, a potem odkryła woalkę. Poznał ją natychmiast, choć podbite i podkrążone oczy oraz napuchnięte od pobicia usta znacznie zmieniły jej wygląd. Zrobiło mu się nagle zimno, a przez plecy przeleciał mu dreszcz strachu.

– To jest ten – powiedziała Kryśka i odeszła wolnym krokiem.

Mężczyzna, który ją podprowadził do dorożki, wskoczył na kozła koło woźnicy. Tolek strzelił z bata i dorożka ruszyła.

* * *

Rozpędzona dorożka minęła most Teatralny, a potem ogromny gmach Teatru Wielkiego. Po prawej stronie, ponad koronami niewysokich parkowych drzew, pysznił się wielki zamek cesarski, widoczny ślad pruskiej dominacji, który oparł się zakusom tych wszystkich, którzy chcieli go zburzyć jako górujący nad miastem symbol prusactwa. Ciekawe, co by na tym miejscu wybudowali? – myślał, patrząc na wielką wieżę Fischer. – Pewnie kolejny kościół albo jakiś pomnik Wdzięczności Bożej. I całe szczęście, że im się nie udało. Kościołów w Poznaniu wystarczy, a zamek, niezależnie od tego, kto i po co go zbudował, był przydatnym budynkiem, w którym pomieścić się mogły polskie urzędy. Jemu zamek zupełnie nie przeszkadzał. Można powiedzieć, że był z niego nawet dumny. Nie dlatego, że przy najważniejszej poznańskiej ulicy stoi pruski zamek, lecz dlatego, że jego ukochany Poznań ma w ogóle tak wielką budowlę, która z powodzeniem mogłaby się wpisać w krajobraz Berlina czy Monachium. Dzięki zamkowi Poznań nie będzie już nigdy prowincjonalnym miastem, bo wraz z tymi murami w mieście rozsiadła się część stołecznego i cesarskiego majestatu.

Kacperek siedział na kozle obok dorożkarza i poganiał go, pokrzykując mu wprost do ucha, gdy ten próbował zwolnić. Nie było chwili do stracenia. Fischer miał nadzieję, że uda mu się znaleźć w hotelu, zanim dotrze tam Karpiński. Ale jeśli ten byłby tam przed nim, wojskowa obstawa powinna dać sobie z nim radę i pochwycić go w chwili, gdy będzie wkraczał do foyer.

Dorożka minęła budynek Dyrekcji Policji, elegancką „Café Esplanade” i w końcu musiała zwolnić, bo przed domami towarowymi Brandta i Hassego jak zwykle panował bardzo duży ruch. Zajeżdżało tu sporo aut i jeszcze więcej dorożek. Pełno było też pieszych, którzy przechodzili przez ruchliwą ulicę, więc wiozący ich dorożkarz musiał uważać, żeby

ktoś nie dostał się pod kopyta jego wałacha. W końcu musiał się zatrzymać, bo drogę zablokował mu automobil ruszający spod wejścia do Brandta. Fischer zaklął pod nosem.

– Masz tu za kurs – podał dryndziarzowi plik banknotów i wyskoczył na brukowaną ulicę. Kacperek zaraz poszedł w jego ślady. Komisarz, nie oglądając się za swoim podwładnym, ruszył przed siebie niemal biegnąc. Już po chwili był na miejscu. Zatrzymał się przed szwajcarem w czerwono-granatowej liberii ze złotym szamerunkiem. Ten jednak wcale nie miał zamiaru zatrzymać komisarza. Od lat stał pod hotelem, znał się więc na ludziach. Zresztą porządny garnitur z bielskiej wełny i do tego jeszcze kapelusz z lekko podwiniętym po bokach rondem mówiły same za siebie. Tak, to był jakiś lepszy gość. Gość jednak nie wszedł do razu do środka. Odwrócił się do szwajcara plecami i spojrzał za siebie. Zdyszany Kacperek podbiegł do niego i przystanął.

– Słuchaj – zaczął wykladać swój plan Fischer. – Ja idę do numeru sto pięć. Ty siadaj w holu na fotelu i czekaj. Dokładnie pięć minut czekaj. Jakbym nie wracał, lecisz na górę.

– Tak jest. A co z tymi wojskowymi?

Fischer rozejrzał się wokół, ale nigdzie nie dostrzegł śladu Jażdżewskiego i jego ludzi.

– A diabli ich wiedzą – machnął ręką i skierował się w stronę drzwi. Szwajcar otworzył je, szeroko się uśmiechając. Miał wyćwiczony uśmiech dla wszystkich gości, ale dla niektórych, takich jak ten wchodzący mężczyzna ze swoim podręcznym, uśmiech zawierał jeszcze sporą dawkę dystygowanej uprzejmości. Gość jednak wcale nie zwrócił na niego uwagi. Wpadł jak burza do foyer i pognał szerokimi schodami do góry, nie zwracając najmniejszej uwagi na zdziwione spojrzenia recepcjonisty i dwóch boyów.

Pierwsze piętro należało do najbardziej reprezentacyjnej części hotelu. Okna ekskluzywnych apartamentów wychodziły na plac Wolności. Wytworne pokoje z własnymi łazienkami znajdowały się w lewym skrzydle z oknami skierowanymi na schodzącą w kierunku Starego Rynku ulicę Nową.

Podszedłszy pod drzwi, zatrzymał się na chwilę, by zaczerpnąć tchu. Gdy wyrównał oddech, zapukał. Nie musiał czekać długo. Drzwi otworzyły się. Poczuł, że kolana się pod nim uginają. Za progiem stała

rozpromieniona Ursula, ubrana w śnieżnobiałą bluzkę i kremową spódnicę.

– Anton, jest pan wreszcie! – zawołała radośnie.

Nie mógł wypowiedzieć ani słowa. To musiała być jakaś pomyłka. Boże, co ona tu robi? Skąd się wzięła w tym cholernym pokoju. Zaraz może się tu wydarzyć coś złego. Boże, co robić? Co tu się u licha dzieje? Stał jak zamurowany, zupełnie nie wiedząc, co robić.

Ona, widząc jego dziwną minę, momentalnie pobladła. Przez głowę przeleciała jej natychmiast okropna myśl, że wszystkie jej najgorsze przypuszczenia się potwierdziły. On wcale nie cieszył się z jej przyjazdu. On ma tu swoje życie, a ja myślałam... Boże, ależ byłam głupia i naiwna.

– Anton, stary druhu, co tak stoisz? – za plecami Ursuli pojawił się Carl. Ursula odsunęła się, robiąc mu przejście. Wszedł do pokoju. Przy okrągłym stoliku siedziała Anna, która radośnie pomachała do niego. Na pokrytym obrusem blacie stały trzy filiżanki do kawy i porcelanowy dzbanek. Carl natychmiast chwycił go w objęcia i ucałował z dubeltówki. Spojrzał na Ursulę, która zaraz spuściła wzrok. Wydało mu się, że w kącikach jej oczu dostrzegł łzy.

Co tu się, do cholery, dzieje? – zastanawiał się gorączkowo, a potem, spojrzawszy na uśmiechniętego od ucha do ucha Carla, nagle wszystko zrozumiał.

– Carl – powiedział łamiącym się głosem – jeśli jest tak, jak myślę, to niech Bóg ma nas wszystkich w swojej opiece.

– Anton, czyś ty przypadkiem nie...

– Nie, nie zwariowałem. Powiedz mi, czy czekasz na kogoś, kto przyniesie ci pozdrowienia od wujka Adolfa?

Wyraz twarzy Carla zmienił się natychmiast. Uśmiech zniknął, a usta rozchyliły się w wyrazie bezgranicznego zdumienia.

– To ty?

– Nie, to nie ja! Nie mamy ani chwili... – odwrócił się w stronę Ursuli. Już wiedział, co powinien zrobić. Musiał działać i to błyskawicznie.

– Ursulo, gdzie jest twój pokój?

Popatrzyła na niego przestraszona tym zdecydowanym tonem, ale natychmiast odpowiedziała.

– Tu za ścianą, numer sto sześć.

– Posłuchajcie mnie wszyscy. Grozi wam śmiertelne

niebezpieczeństwo. Proszę was, zróbcie wszystko tak jak wam powiem, a wyjdziemy z tego cało.

– Ależ Anton, nic nie rozumiem... – powiedziała Anna, wstając z fotela.

– Nie czas na wyjaśnienia. Proszę, zaufajcie mi. Na wyjaśnienia będziemy mieli jeszcze czas.

– To nie podlega kwestii – powiedział Carl. – Co mamy robić?

– Obie panie natychmiast przejdą do pokoju Ursuli. Ja pójdę tam z nimi. Carl zostaje tutaj. Lada moment przyjdzie tutaj bardzo niebezpieczny człowiek. Carl, wpuść go. Ja będę cię ubezpieczał.

– Jak za dawnych czasów?

Fischer uśmiechnął się i skinął głową.

– Ursulo, Anno, szybko za mną!

Obie kobiety posłusznie spełniły jego polecenie.

* * *

Karpiński odłożył gazetę na niewielki stolik herbaciany i wstał z fotela usytuowanego na wprost kontuaru recepcjonisty. Ten nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi, zajęty sztorcowaniem boya, który zapewne niezbyt przykładał się do swojej pracy. Siedział w tym hotelowym miękko obitym fotelu już od ładnych kilku minut, obserwując wszystko, co działo się w foyer. Tyle że nic nadzwyczajnego się nie działo. Wolał się jednak upewnić, czy nie szykuje się tu jakaś zasadzka. Ale nic nie wzbudziło jego podejrzeń. Zainteresował go jedynie pewien dość dziwny jegomość w kapeluszu z podwiniętym rondem, przypominającym nieco amerykański fason, który szybko przemierzył hol i wbiegł po schodach na górę. Jego towarzysz, dość niechlujnie ubrany mężczyzna, zapewne jakiś partner w interesach, usiadł na sąsiednim fotelu, uprzednio zdejmując z wieszaka gazetę zamkniętą w drewnianych listwach uchwytu. Niezainteresowany tym, co dzieje się dookoła, zaraz pogрузzył się w lekturze.

Karpiński przyjrzał mu się ukradkiem, ale stwierdził, że nie ma w nim niczego niebezpiecznego. To na pewno nie był ktoś, kogo mógłby się

obawiać. Ruszył więc spokojnym krokiem w kierunku schodów. Po chwili był już na pierwszym piętrze. Przyjrzał się numeracji na lewym korytarzu, a stwierdziwszy, że to nie ta strona, której szuka, poszedł na prawo. Numery malały. Gdy doszedł do drzwi z numerem sto cztery, przystanął na chwilę i zrobił kilka głębokich oddechów. Nie, żeby czuł zdenerwowanie. Co to, to nie. Był spokojny, jak zawsze przed walką. Ta, którą miał właśnie stoczyć, być może była już tą ostatnią. To, co czuł teraz, to wyraźny dreszcz emocji. Lubił te chwile, w których wiedział, że za moment dokona się coś wielkiego. Czuł w takich momentach, że wszystko zależy tylko od niego. Że posiada jakąś ogromną moc, którą mają tylko nieliczni. On był właśnie kimś takim. Czuł się wybrańcem, który mógł decydować o czyimś życiu lub śmierci. Dziś po raz pierwszy miał zadać śmierć gołymi rękami, ale wiedział, że sobie z tym poradzi. W końcu kto, jak nie on?

* * *

Słońce stało wysoko na bezchmurnym niebie. Gdzieś w górze zawisł rozśpiewany skowronek. Koń dorożkarski skubał sobie spokojnie młodą soczystą trawę. Kilka metrów dalej, nieco niżej niż łąka, płynęła leniwym nurtem Warta. Daleko na drugim brzegu widać było zatopione w zieleni drzew owocowych charakterystyczne, pokryte papą czarne dachy domów wsi Rataje. Ale nikt z piątki mężczyzn na tej nadrzecznej łące nie zwracał najmniejszej uwagi na słowicze trele czy piękno krajobrazu. Jeden, ubrany w policyjny mundur, klęczał na trawie ze wzrokiem spuszczonego w dół. Ręce miał skute kajdankami na plecach. Z rozbitych i napuchniętych ust ściekała mu krew. Pozostali trzej mężczyźni stali za nim. Czwarty, ten najstarszy z nich, ubrany w białą koszulę bez kołnierzyka i wiśniową kamizelkę, stał na wprost policjanta.

- Możesz się teraz pomodlić - powiedział beznamiętnym głosem.
- Co wy chcecie zrobić? - zapytał przerażony Siewierski.
- Nie gadaj, ino się módl - ponaglił go Tolek.

Policjant spojrział na niego błagalnym wzrokiem. Przecież to wszystko

nie miało sensu. Czy tak miał właśnie zginąć? Liczył się z tym, że to co robi jest niebezpieczne. Właściwie codziennie narażony był na niebezpieczeństwo. Ale przecież sam wybrał sobie taką drogę. Z pełnym przekonaniem poświęcał się dla sprawy. I dla sprawy mógł oddać życie. Ale żeby tak głupio? Przez jakąś kurwę? Przecież nie po to tyle lat się starał, najlepiej jak potrafił się starał... Nawet dla takich zasrańców jak ci tutaj to robił, żeby ludzie mogli żyć godnie na całym świecie... I potem ta kurwa. Przypadek zwykły. Jedna kurwa, jedno przypadkowe spotkanie miało położyć kres jego walce dla dobra całej ludzkości? Przecież to niemożliwe!

- Przecież to niemożliwe – powiedział łamiącym się głosem.
 - Wszystko jest możliwe – Tolek wycelował rewolwer w jego głowę.
 - Ja nic nie zrobiłem.
 - Nie? A Kryśce to kto to zrobił?
- Kaźmierczakowie, którzy cały czas stali z tyłu, rozeszli się na boki.
- Ale to była przecież kurwa.
 - Ty żeś jest kurwa.

Strzał rozdarł naderzeczną ciszę. Przestraszony koń zarżał głośno. Głowa Siewierskiego eksplodowała. Bezwładne ciało przewróciło się na plecy. Tolek splunął pod nogi. Nie czuł najmniejszych wyrzutów sumienia. Wiedział jedno – tego gada trzeba było usunąć, bo dla takich drani nie powinno być miejsca między ludźmi. Wsunął rewolwer za pasek spodni, wyjął z kieszeni nóż i uklękawszy przy zabitym, szybko odciął od kołnierza munduru patkę z dystynkcją podkomisarza. Gdy się wyprostował, popatrzył zadowolony na Kaźmierczaków.

- No, co tak stoicie? Brać się do roboty, bo piwo czeka.

Błyskawicznie przywiązali worek wyładowany kamieniami do kajdanek, które spinały dłonie trupa. Po chwili obciążone ciało zniknęło w Warcie. Ciało lżejsze o zegarek, złoty pierścień z herbem, portfel, buty oficerskie i pas z kaburą. Bracia Kaźmierczakowie nie lubili marnować żadnej okazji.

* * *

Pochylony przy dziurce od klucza Fischer patrzył na korytarz. Nic się tam nie działo. Nie chciał jednak przegapić odpowiedniego momentu, dlatego niemal się nie ruszał, klęcząc przy tych drzwiach. Obie kobiety siedziały z tyłu na łóżku, tak jak im nakazał. Gdy tylko weszli do tego pokoju, natychmiast zarzuciły go gradem pytań.

– Nie teraz, drogie panie. Siadajcie i zachowajcie absolutną ciszę – polecił, a one się podporządkowały. Wydając to polecenie, zrobił jeszcze groźną minę, by podkreślić wagę swoich słów. To w zupełności poskutkowało. Teraz klęczał przy tej dziurce od klucza, wpatrzony w przestrzeń przed drzwiami, i nie słyszał za plecami najcichszego nawet dźwięku, nie licząc odgłosów dochodzących z ulicy. Ale te nie mogły stanowić żadnego zagrożenia. Zastanawiał się, co też one sobie teraz myślą? Zastanawiał się też, co o tej całej idiotycznej sytuacji myśli Ursula. Chyba niezbyt dobrze wypadło to ich spotkanie. Przyjeżdżając tutaj, pewnie wyobrażała sobie, że weźmie ją w ramiona. A może wcale tak nie myślała? Może w ogóle nie czuła do niego tego, co on poczuł do niej? Może zbyt wiele oczekiwał? Ale z drugiej strony jej twarz mówiła wiele. Zwłaszcza te oczy, w których, teraz już nie był taki pewien, ale chyba tak było, oczy, w których pojawiły się łzy. Sprawił jej przykrość tą swoją głupią miną. Cholera, niezależnie od wszystkiego powinien zachować się zupełnie inaczej. Powinien ją objąć i pocałować. Tyle, że on nie potrafi tego zrobić ot tak po prostu. Co ze mnie za mężczyzna? – zastanawiał się. Jestem twardym człowiekiem, który w obliczu wroga potrafi stanąć do walki i bez mrugnięcia pozbawić życia przeciwnika, a wobec ukochanej kobiety staje się zupełnie bezradnym, czerwieniącym się po same uszy sztubakiem...

Ktoś szedł od strony schodów. Zatrzymał się dokładnie na wprost jego punktu obserwacyjnego. Nie widział nigdy wcześniej Karpińskiego, ale od razu wiedział, że to on. Człowiek za drzwiami stał przez chwilę ciężko oddychając. Potem powoli ruszył przed siebie i komisarz stracił go z oczu. Zaraz jednak do jego uszu dotarło pukanie. Nie było wątpliwości. Karpiński pukał do sąsiednich drzwi.

Pukanie poderwało z fotela Carla. Nie czuł zdenerwowania, a raczej zażenowanie, że wpakował swoich najbliższych w jakieś horrendalne kłopoty. Anton nie mógł się mylić. Gdy wpadł tu do środka i oznajmił, że

grozi im wszystkim śmiertelne niebezpieczeństwo, natychmiast mu uwierzył. Anton nie był człowiekiem skorym do ulegania panice. To był trzeźwo i racjonalnie myślący człowiek. Taki był zawsze w trudnych sytuacjach: opanowany do granic możliwości i natychmiast szukający odpowiedniego rozwiązania problemu. Tak przecież było wtedy w okopach we Francji. Gdyby nie on, gdyby nie jego odwaga nie byłoby go przecież tutaj. Anton wiedział, co robić. Wierzył mu bez żadnych zastrzeżeń. I bez żadnych zbędnych pytań powierzył mu los osoby, którą kochał najbardziej na świecie. Wiedział bowiem, że gdyby cokolwiek mu się stało, jego przyjaciel zrobi wszystko, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo. Tymczasem on musiał stawić czoło losowi. A los pukał właśnie do jego drzwi. Podszedł do nich i otworzył. Na korytarzu stał jakiś nieogolony typ w czarnym płaszczu i czarnym kapeluszu na głowie.

– Pozdrowienia od wujka Adolfa – powiedział wyuczoną szkolną niemczyzną.

– Od jakiego Adolfa? – zapytał zgodnie z instrukcją Carl.

– Od Adolfa Hytlera – dodał przybysz, uśmiechając się do Carla.

– Proszę wejść – powiedział i zrobił mu miejsce. Gdy go mijał, przez chwilę Carl miał wrażenie, że już gdzieś widział tego człowieka. Ale gdzie i kiedy? Nie, to chyba tylko złudzenie. Przecież po raz pierwszy jest w Posen. To było niemożliwe. Musiał go z kimś pomylić. Gość natychmiast skorzystał z zaproszenia. Wszedł do pokoju i stanął na środku. Carl minął go, podchodząc do okna. Zajął taką pozycję nieprzypadkowo. Chciał, żeby ten obcy, znalazł się między nim a Fischerem, oczywiście jeśli ten ruszy mu z odsieczą. Powiedział, że będzie, więc dotrzyma słowa.

– Ma pan coś dla mnie? – zapytał mężczyzna.

– Carl sięgnął do kieszeni marynarki i wydobył z niej niewielką paczuszkę owiniętą w szary papier. Wiedział od von Weizsäckera, że w środku są paszporty i pewna suma pieniędzy w amerykańskich dolarach. Nie podał mu jej jednak. Pokazał, że ją ma.

– Pan też miał mi coś dostarczyć.

– Oczywiście – powiedział Polak i sięgnął do kieszeni. Wydobył z niej monetę i rzucił pod nogi Carla. Ten zdziwiony spojrzał na nią, spuszczaając głowę. Ten moment odwrócenia uwagi wykorzystał napastnik. Skoczył na Carla i przewrócił go na podłogę. Nim Aschmutat

zdażył zrozumieć, co się dzieje, leżał już przywalony ciężarem ciała napastnika. Próbował się oswobodzić, ale nie mógł się ruszyć. Silne dłonie zacisnęły mu się na szyi. Chciał je oderwać, ale uścisk był jak z żelaza. Pociemniało mu w oczach. Chciał krzyczeć, ale nie mógł wydobyć z siebie żadnego dźwięku poza charczeniem.

Fischer wszedł do pokoju, cicho otwierając drzwi. Zrobił to bezszelestnie, żeby zaskoczyć Karpińskiego. Zaraz gdy rozległo się pukanie, a potem usłyszał trzask zamykanych drzwi, wyszedł na korytarz. Stał za drzwiami, nasłuchując, ale niczego nie zdołał usłyszeć. Poczekał więc trochę, żeby obu mężczyznom dać czas na chwilę rozmowy i dopiero wtedy wkroczyć do akcji. Wyciągnął z kieszeni pistolet i tak uzbrojony wkroczył do środka. Natychmiast ich dostrzegł. Karpiński wciąż jeszcze leżał na Carlu z dłońmi zaciśniętymi na jego szyi. Napadnięty bezskutecznie próbował się uwolnić. Fischer spojrzął na swój pistolet, potem na leżących i włożył broń do kieszeni. Nie chciał robić hałasu. Huk wystrzału na pewno od razu ściągnąłby tu ludzi. Karpiński był odwrócony do niego plecami, co dawało pewną szansę. Znalazł się przy nim, zrobiwszy dwa szybkie kroki. Chwycił mocno głowę bandyty w dwie dłonie. Ten zdziwiony spojrzął na niego i natychmiast puścił szyję Carla, by odeprzeć nowego przeciwnika. Nie zdażył. Fischer, który trzymał jego głowę jak w potężnym imadle, jednym zdecydowanym ruchem przekręcił ją mocno aż poczuł chrupnięcie. Ciało w jego rękach najpierw wyprężyło się, a potem momentalnie zwiotczało. Odrzucił je na bok, uwalniając spod jego ciężaru swojego przyjaciela.

Aschmutat oddychał ciężko, wciągając ze świstem powietrze w płuca. Fischer uklęknął przy nim, a potem uniósł go i oparł o ścianę. Chwilę trwało, nim Carl doszedł do siebie.

- To co, stawiam ci koniak?
- Oczywiście, pod warunkiem, że prawdziwy francuski.
- Gdzie... - przerwał na chwilę. - Jak panie?
- W porządku. Nic im nie jest.
- Ursula, wiesz... Ona i ty...

Fischer klepnął go w ramię, uśmiechając się.

- Nie ma czasu na gadanie. Musimy jak najszybciej opuścić hotel.

Drzwi do pokoju otworzyły się. Stał w nich wywiadowca Kacperek.

- Panie komisarzu, ja już jestem - zameldował, dostrzegłszy klęczącego

Fischera. – Ino nie wiem, czy to już pięć minut, bo ja nie mam zegarka.

– W sam czas żeś przyszedł – powiedział policjant, wstając z podłogi. – Wejdź tu i zamknij drzwi.

– Tak jest – wywiadowca zrobił krok do przodu i spojrzał na zwłoki Karpińskiego. Obrzucił je obojętnym spojrzeniem, takim jakim się patrzy na nieżywą muchę.

– Słuchaj mnie uważnie, Kacperek – zaczął mówić po niemiecku, żeby Carl mógł wszystko zrozumieć. – Zabierzesz tego pana i dwie towarzyszące mu damy do mojego mieszkania. Pomożesz im znieść bagaże i wyprowadzisz ich na wewnętrzny dziedziniec hotelu tylnymi schodami. Tam sprowadzisz dorożkę i razem pojedziecie do mnie. Zostaw państwa w domu, a sam zorganizuj duży kufer, akurat taki, żeby można było tego tu w nim wynieść. Trzeba to tak zrobić, żeby nikt się nie zorientował, co wynosimy. I musisz przyjechać tu z kufrem najszybciej jak się da.

– Duży kufer to ja mam w chacie. Będzie w sam raz – wyjaśnił Kacperek, bez zastanowienia przechodząc na niemiecki.

Po dziesięciu minutach gorączkowej krzątaniny i pospiesznego pakowania wszyscy wyszli z pokoju. Fischer odczekał jeszcze jakiś czas, a potem ruszył na poszukiwanie Jażdżewskiego. Zatrzymał się jeszcze w portierni i uregulował rachunek za oba pokoje, informując, że goście musieli pilnie wyjechać z miasta. Zadowolony portier przyjął pieniądze za trzy dni, mimo że trójka gości nie spędziła tu nawet jednej nocy. Nie miał więc nic przeciwko temu, że Fischer, jako ich pełnomocnik, zachował jeszcze klucze, jak wyjaśnił, do wieczora, żeby zorganizować wysyłkę reszty bagażu.

Jażdżewskiego odnalazł w kawiarni „Warszawianka” po drugiej stronie ulicy. Oficer bardzo się zdziwił, zobaczywszy Fischera. Ten jednak nie pozwolił mu na żadne pytania. Kazał mu iść ze sobą do numeru hotelowego.

– Natknąłem się na niego w tym pokoju. Chciałem go aresztować, ale rzucił się na mnie. Nawet nie zdążyłem wyciągnąć pistoletu.

– To miał pan dużo szczęścia – powiedział Jażdżewski, pochylając się nad zwłokami Karpińskiego.

– To jest z pewnością Karpiński – potwierdził, przyglądając się jego twarzy. – Tylko jak pan to zrobił, kapitanie?

- Co zrobiłem?
- No w jaki sposób dopomógł mu pan w zejściu z tego świata?
- Przypadek – skłamał Fischer. – Jakoś go tak złapałem za łeb, a on się chciał wywinąć, no i coś chrupnęło.
- Skręcił mu pan kark jak kurczakowi – powiedział z podziwem w głosie oficer.
- Przypadek. A tu pan ma paczuszkę, którą miał w kieszeni. Zakładam, że jest w środku paszport.

Jażdżewski natychmiast chwycił podany mu przez policjanta pakunek. Rozciął sznurek scyzorykiem i odwinął szary pakowy papier. Ostrożnie wydobył ze środka trzy paszporty i okazałą sumę dolarów, po czym zajrzał do obu.

- No, to mamy oba ptaszki – powiedział żołnierz, przyjrzawszy się zdjęciom w dwóch paszportach. – Ale ten trzeci, to ja jego nie znam. To musi być ten ich szef, o którym powiadał Witkowski. Mówiąc to, podał Fischerowi trzeci paszport. Ale Fischer dobrze wiedział, czyje zdjęcie zobaczy w dokumencie. Nie pomylił się. Z fotografii spoglądała na niego pochmurna twarz podkomisarza Albina Siewierskiego.

Rozdział XI

Środa, 12 marca

Godzina 6.10 rano

Pukanie do drzwi obudziło Güntera Nowaka, który nagle przypomniał sobie, że teraz nie nazywa się już Nowak i nie jest Niemcem, ale Polakiem o nazwisku Jerzy Rataj, syn Klementyny i Jana. Wczoraj zupełnie o tym nie pamiętał, a dziś to nazwisko nie wiedzieć czemu natychmiast pojawiło mu się w głowie.

Kto to może pukać? – zaczął się zastanawiać, złącząc z łóżka. Pewnie posługaczka od siostry przylazła na górę, żeby sprawdzić, czy mu czego nie potrzeba. Dla posługaczki nie było się co ubierać. Spojrzał na swoje nieco uwalane kalesony i wzruszył ramionami. Może przyniosła mu czystą zmianę bielizny? Podszedł do drzwi, zdjął łańcuch z zasuwki i otworzył drzwi. Tak jak otworzył, tak w tej samej sekundzie chciał je zamknąć. Ale mu się nie udało. Barczysty policjant natychmiast wsunął w szparę czubek buta i pchnął z całej siły. Nowak odepchnięty drzwiami padł na plecy. Do środka weszło czterech mężczyzn. Ten pierwszy, który go odepchnął, ubrany był w mundur polskiego policjanta. Pozostali byli po cywilnemu, gdy jednak zobaczył twarz jednego z nich, serce mu zamarło. Natychmiast go rozpoznał. To był ten policjant ze Schneidemühl, ten, którego pobił podczas ucieczki ze swojego mieszkania. Oszołomiony Nowak leżał cały czas na podłodze, gdy nagle całe pomieszczenie wypełnił oślepiający blask magnezji. Spojrzał w kierunku, z którego trysnęło światło. Kolejny człowiek, który pojawił

się w pokoju, stał za skrzynką aparatu do robienia zdjęć, a w prawej ręce trzymał lampę.

– I jak, panie Karolak, zdjęcie się udało? – zapytał fotografa dziennikarz Walery Tomczak z „Kuriera Poznańskiego”.

– Doskonała perspektywa, panie redaktorze – potwierdził fotograf.

– To idź pan na korytarz, ustaw statyw i strzel pan jeszcze jedno, jak go będą wyprowadzać.

Tomczak natychmiast zabrał swój sprzęt i zniknął za drzwiami.

– Pana też poprosimy o opuszczenie pomieszczenia, panie Tomczak – powiedział Fischer, przyglądając się z uwagą jak posterunkowy, który właśnie wszedł do pokoju, zakuwa Nowaka w kajdanki.

– Ależ panie komisarzu kochany, powiadał pan, znaczy pan obiecał, że przy całym zatrzymaniu mam być...

– I to już jest całe zatrzymanie. Teraz, pan wybaczy, ale musi nastąpić wstępne przesłuchanie zatrzymanego. A takie sprawy odbywają się już bez świadków.

Tomczak chciał jeszcze coś powiedzieć, ale komisarz bezceremonialnie wypchnął go za drzwi i zamknął je, przekręciwszy klucz w zamku. Potem pochylił się nad siedzącym na podłodze Nowakiem i z łatwością uniósł go w górę.

– Siadaj pan, panie Nowak – wskazał mu rozgrzebane łóżko. Sam usiadł na taborecie naprzeciw niego. Aschmutat chwycił stojące pod ścianą krzesło, na którym gospodarz rozłożył swoje ubranie, strząsnął je na podłogę i również usiadł.

– Więc panie Nowak – odezwał się w końcu Fischer przechodząc na niemiecki. – Niestety, pański pobyt w Polsce dobiega właśnie końca. Wraca pan niedługo do Niemiec. Ciążą na panu bardzo poważne zarzuty zamordowania kilku kobiet. Dwóch tu w Poznaniu i jednej w Schneidemühl.

– Nikogo nie zabiłem.

Komisarz uśmiechnął się pod wąsem.

– I my o tym wiemy, panie Nowak.

Günter spojrział na policjanta z niedowierzaniem.

– Jak to?

– Wiemy, że pan nikogo nie zabił. Pana winą jest tylko to, że znalazł się pan w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Ale niestety, fakty są

przeciw panu. A najgorsza w tym wszystkim jest ta wczorajsza ucieczka i zaginięcie policjanta, a wcześniej próba zabicia prostytutki. Wszystko to razem daje panu wyrok skazujący jak amen w pacierzu.

Nowak słuchał tego kompletnie oszołomiony. Tak naprawdę niczego nie rozumiał. O co chodziło z tą prostytutką. A policjant? Jakie zaginięcie? Przecież żaden policjant nie zaginał. Ten, który z nim jechał dorożką przecież odjechał z tymi mężczyznami...

– Ale jaka prostytutka, jaki policjant? Ja jestem niewinny.

Fischer westchnął. Wiedział, że nie będzie łatwo. Ale czy w ogóle miał jakiegokolwiek inne wyjście? Musiał wrobić tego faceta. Nadawał się do tego celu jak nikt inny. Można było rzucić na niego wszystkie winy i dzięki temu uratować honor pułku i jednocześnie policji. Nie mógł przecież za nic w świecie ujawnić, że dwaj oficerowie byli agentami bolszewickimi, a jeden z nich dodatkowo w wolnych chwilach mordował prostytutki. Musiał się zdecydować na jakieś rozwiązanie. I tu złapany przez policjantów z nożem w ręku Nowak pasował idealnie. Trzeba go było obciążyć. Ale chciał to zrobić w najbardziej przyzwoity sposób, jeśli obciążenie kogoś cudzymi winami w ogóle można uznać za działanie mieszczące się w granicach przyzwoitości. Już wczoraj wieczorem wiedział, że inaczej się nie da. Ale gdy wracał po południu do domu, miał jeszcze kompletny mętlik w głowie. Wtedy wydawało mu się, że nie ma żadnego dobrego rozwiązania.

Cały czas zastanawiał się, jak wybrnąć z tej skomplikowanej sytuacji. Ale nie tylko o tym myślał. Myślał też o Ursuli i o tym, co do niej czuje i czy ona czuje to samo. I w tym myśleniu o uczuciu i kobiecie gubił się coraz bardziej. Ciągle miał przed oczami jej twarz i ten promienny uśmiech, którym go przywitała, a potem te łzy, które zaszkliły się w jej oczach. Widział jej białą bluzkę i sukienkę... Nagle aż przystanął z wrażenia. Przypomniał mu się ten moment, którego wstydził się przed samym sobą. To było wtedy, gdy wyprowadzał obie kobiety z pokoju, w którym został Carl. Oczywiście jako człowiek dobrze wychowany przepuścił panie przodem. Pierwsza wyszła Anna, a za nią zaraz Ursula. I wtedy jego wzrok bezwiednie, przynajmniej tak to sobie próbował wytłumaczyć, zsunął się z jej ramion na pupę. Natychmiast jednak przywołał się do porządku i ruszył za nimi z uniesioną głową, zwalczając pokusę ponownego zerknięcia. Jednak ponętny kształt i tak wbił mu się

w świadomość ostro i wyraźnie. I teraz, nagle, gdy ten obraz wrócił, przypomniał sobie te sukienki obu ofiar nożownika. Pokazał mu je wtedy w prosektorium lekarz. Obie miały wycięte skrawki materiału właśnie w tym miejscu, na które on tak bezwstydnie spoglądał. I wówczas pojawił się kolejny obraz z mieszkania, w którym przebywał Karpiński, tego mieszkania przy Rynku Łazarskim. Stał teraz na chodniku przy ulicy Focha, przed wejściem do ogrodu botanicznego. Wystarczyło tylko przejść przez park, by znaleźć się na Matejki w domu, w którym czekała na niego Ursula. Spojrzał wprost przed siebie. Na Łazarz nie było daleko. Musiał to sprawdzić.

Dziesięć minut później stróż otwierał mu mieszkanie Karpińskiego. Na korytarzu oczywiście pojawiła się też wścibska staruszka.

– Powiadał, że wróci, ale się nie wrócił – wyjaśniła, wskazując drzwi sąsiada.

– Już nie wróci – powiedział Fischer. – Wyjechał.

– Łe, to szkoda. A taki był miły.

Drzwi się otworzyły i policjant natychmiast wszedł do środka. Nie musiał niczego szukać. Wiedział, gdzie było to, co wtedy przeoczył, a właściwie zlekceważył. Natychmiast podszedł do szeroko otwartej szafy i zajrzał do środka. Na jej dnie leżała otwarta walizka ze stertą ciuchów. Wtedy tylko rzucił okiem na nie, ale teraz zaczął im się dokładnie przyglądać. Coś było w tej stercie, co wtedy zauważył, ale nie zwrócił na to uwagi. Nie pomyślał, że to ważne, ale teraz...

Zobaczył to natychmiast. W stercie białych brudnych kalesonów i koszul wyróżniał się jakiś skrawek. Był czerwony.

Przyklęknął na jedno kolano i pochylił się nad walizką. Powoli zaczął wyciągać z niej ubrania i odkładał je na podłogę. Przez chwilę jeszcze myślał, że to może jakaś damska czerwona chustka do nosa...

To nie była chustka. Na samym dnie walizki znalazł trzy bardzo podobne do siebie, choć różniące się kolorem, fragmenty tkanin. Jedna była kremowa, druga zielona, a trzecia czerwona. Dwie pierwsze kolorystycznie pasowały idealnie do sukienek obu zabitych prostytutek. Teraz był już pewny. Trzeba to oczywiście jeszcze sprawdzić, ale nie miał najmniejszych wątpliwości. Karpiński kolekcjonował skalpy. To były jego trofea myśliwskie. Zabrał je ze sobą, uciekając ze swojego mieszkania, bo były dla niego bardzo ważne, a to znaczy, że był dumny z tego, co robił.

Ten człowiek musiał być chory na umyśle, bo kto normalny kolekcjonuje kawałki materiałów wycięte z sukienek swoich ofiar? Kto normalny morduje bezbronne kobiety? Czy w ogóle ktoś normalny zdolny jest do zadania śmierci innemu człowiekowi? Natychmiast pomyślał o głowie Karpińskiego w swoich rękach i o tym trzasku łamiącego się karku i poczuł... zadowolenie. Teraz musiał się tylko dowiedzieć, z czyjej sukienki wyciął ten czerwony skrawek?

– A ten pokój to już można posprzątać? – głos stróża przywołał go do rzeczywistości.

Fischer chwycił te trzy skrawki i podniósł się do góry.

– Teraz już tak – odpowiedział Pawlakowi.

Podszedł do stołu i chwycił leżący na nim nóż z długim i cienkim ostrzem. Zważył go w dłoni, a potem owinął w materiał z sukienek.

– Teraz możesz pan już wszystko tu wysprzątać – rzucił, wychodząc z pokoju.

– To ja bym mogła podłogę umyć – zaoferowała natychmiast swoje usługi sąsiadka. Ale stróż nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Natychmiast zabrał się do pakowania dobytku lokatora. Nawet za brudne gacie i walizkę można było dostać parę groszy na Łazarzu.

* * *

Przez chwilę stał przed drzwiami własnego mieszkania, spoglądając na mosiężną tabliczkę z wygrawerowanym imieniem i nazwiskiem. Przyszło mu bowiem do głowy, że wkrótce może trzeba będzie ją wymienić, bo nie da się w żaden sposób dopisać do niej imienia Ursula. Szkoda, że kazał grawerowi wpisać całe swoje imię, a nie tylko pierwszą literę, bo gdyby było samo A, to można by wtedy dodać tylko U i nie trzeba by zamawiać nowej, skoro ta stara była całkiem dobra. A może dałoby się zeszlifować napis i zrobić jeszcze jeden? Przesunął po literkach palcem, ale wryto je chyba zbyt głęboko, żeby to się udało.

Cholera, co to za myśli chodzą mi po głowie? – zdenerwował się na samego siebie. – Przecież nawet nie wiem, co ona myśli na mój temat.

Chwycił uchwyt dzwonka mechanicznego i przekręcił go trzy razy. Mógł oczywiście wejść do środka bez pukania, bo to był w końcu jego dom, ale poczuł, że to nie wypada, że w ten sposób okazałby się zwykłym grubianinem, który nie potrafi uszanować prywatności osób goszczących pod jego dachem.

Drzwi otworzył mu Carl.

– No, jesteś wreszcie. Czekam niecierpliwie. Już myślałem, że coś się stało.

– Musiałem wszystko poukładać, tak żeby nie został ślad..., żeby nikt w żaden sposób nie mógł powiązać waszej obecności z tym, co się wydarzyło...

Powiesił kapelusz na wieszaku.

– Jak czują się nasze panie? – zapytał z troską w głosie.

– Już ochłoneły i nawet żartują, że przeżyły w Posen ciekawą przygodę.

– Dobrze, że nie widziały tego, co wydarzyło się w sąsiednim pokoju. Nie byłoby im do śmiechu.

Carl natychmiast spoważniał.

– Tak jak ustaliliśmy, o niczym nie wiedzą. Powiedziałem im, że pochwyciliśmy wspólnie złodzieja, który okradał hotelowe pokoje.

– Uwierzyły?

– Oczywiście. Musiałem im opowiedzieć całą historię o tym, jak wyskoczyłem z szafy akurat w momencie, gdy dobierał się do naszych bagaży, a ty przyszedłeś z odsieczą z drugiej. Jesteś dla nich teraz prawdziwym bohaterem, który ocalił nas wszystkich.

– Dobra, chodźmy więc stawić czoło rzeczywistości.

Wkroczyli do salonu. Anna leżała na szezlongu. Ursula przy stole przeglądała album ze zdjęciami.

– Anton, jesteś wreszcie – wykrzyknęła na jego widok żona przyjaciela i poderwała się na równe nogi. Podbiegła do niego i wycałowała w oba policzki. Ursula była nieco bardziej powściągliwa. Podeszła i podała mu dłoń do ucałowania.

– Witam naszego rycerza i obrońcę.

– To prawdziwy zaszczyt służyć takim damom – natychmiast podchwycił konwencję.

– No cóż, jedna już ma swojego rycerza – wtrąciła się Anna. – Ale druga zapewne z ochotą przyjąłaby jego służby.

– Ależ Anno! Jak możesz – oburzyła się Ursula.

– Jak mogę? Ha, ha, ha! A czy ja nie widzę, że dla tego rycerza największym szczęściem byłoby służyć tobie swym silnym ramieniem?

Fischer poczuł, że się czerwieni. Gdyby mógł, najchętniej zapadłby się pod ziemię. Anna jednak nie zamierzała zakończyć jego mąk.

– No, powiedz Anton, czy nie mówię prawdy? No powiedz jej!

W pokoju zapanowała niezręczna cisza. Fischer poczuł, że chyba uwiera go zbyt ciasno zawiązany krawat. Co mam robić, Boże, co powiedzieć, żeby to nie zabrzmiało idiotycznie. Spojrzał na Ursulę, w jej zielone oczy i tam natychmiast znalazł odpowiedź. Powiedział głośno to, o czym pomyślał.

– Ursulo, byłbym najszczęśliwszym z ludzi, gdybym mógł każdego dnia spoglądać w twoje oczy – powiedział i nagle zdał sobie sprawę, że tak głupiej i szmirowatej kwestii nie słyszał nawet w najgorszym spektaklu teatralnym i nawet Helena Mniszkówna nie napisałaby równie głupiego zdania. Zrozumiał, że palnął cholerną gafę. Wszyscy umilkli skonfundowani tym jego idiotycznym popisem. Boże, uciekać stąd jak najdalej, zanim ockną się i wybuchną śmiechem. Spojrzał w oczy Ursuli i dostrzegł, że zwilgotniały. Płakała nad jego głupotą. Wszystko stracone. Trzeba będzie sobie palnąć w łeb. To już koniec.

Nagle usłyszał szloch dochodzący z boku. Spojrzał natychmiast na Annę, którą obejmował Carl. Ocierała oczy chusteczką.

– Carl, czy ty to słyszałeś? – odezwała się, pochlipując. – Nigdy nie słyszałam piękniejszego miłosego wyznania.

Co ona mówi? Chyba zwariowała. A może to ja zwariowałem?

– Jeśli tylko chcesz, nie mogę ci tego zabronić – powiedziała cicho Ursula.

Fischer nic nie odpowiedział. Stał jak słup, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Z ratunkiem przyszedł mu Carl. Podszedł do niego i klepnął go w plecy.

– Pocałuj ją, baranie – szepnął mu do ucha, a Anton posłusznie podszedł do Ursuli, wziął jej dłoń w swoją wielką łapę zapaśnika, a potem pocałował.

Zostawili zapłakane kobiety w salonie, a sami przeszli do gabinetu, żeby omówić wszystkie konieczne kwestie. Na szczęście tym razem nie trzeba było już improwizować. Fischer obmyślił wszystko bardzo

dokładnie. Najpierw jednak chciał wyjaśnić kwestię zamieszania Carla w aferę wywiadowczą.

Nalał Martela do dwóch kieliszków i podał koniak przyjacielowi, który rozsiadł się w wygodnym, skórzanym fotelu. Sam usiadł w drugim, naprzeciw Niemca.

– Zdaje się, że zostałem wmanewrowany w coś, co mnie przerosło, dlatego jestem wściekły – powiedział Carl, patrząc w oczy przyjaciela. – Ale najgorsze w tym wszystkim jest to, że naraziłem na niebezpieczeństwo moją żonę i dodatkowo jeszcze jej najlepszą przyjaciółkę.

– Najważniejsze, że wszystko dobrze się skończyło – próbował pocieszyć go Fischer, ale Niemiec wcale nie był co do tego przekonany. Czuł się winny, dlatego chyba musiał sam przed sobą się usprawiedliwić.

– Powiedziano mi, że mam przekazać paczkę i odebrać jakieś papiery. To miało być wszystko. A ja jako oficer nie mogłem odmówić. Potraktowałem to oczywiście jako zwykłą przysługę oddaną innemu oficerowi, a co za tym idzie – spełnienie obowiązku wobec kraju. Nie mogłem odmówić...

– Doskonale to rozumiem Carl. Pewnie gdyby mnie poproszono o coś takiego, również bym się zgodził.

– I nie mogłem też przypuszczać, że to może ściągnąć niebezpieczeństwo na nas wszystkich. Przecież ten człowiek, który rzucił się na mnie, zachowywał się jak dzika bestia. To jakiś wariat chyba...

– Raczej powiedziałbym, że desperat. Musiał za wszelką cenę zdobyć paszport, który mu przywiozłeś. A przy tym wiedział, że dostanie go, gdy odda ci coś, co miał ci oddać. Tyle że on tego nie miał.

– Co to było?

– Lepiej, żebyś nie wiedział.

– Dobrze, więc dalej nie pytam. Przez cały czas zastanawiałem się, skąd znam tego człowieka. Takie miałem wrażenie od samego początku, jak tylko go zobaczyłem i teraz już wiem. Widziałem go już wcześniej. Był w Schneidemühl, jakieś dwa dni przed tym, jak nad rzeką znaleźliśmy zwłoki zabitej prostytutki. Widziałem go w kasynie oficerskim przy stoliku, z oficerem, który poprosił mnie o przewiezienie tych paszportów. To na pewno był on. Nawet zamieniliśmy kilka słów. Oczywiście bardzo kurtuazyjnie. Zwróciłem wtedy uwagę na jego kiepski

niemiecki.

– No to wszystko nam się poskładało do kupy – ucieszył się Fischer.

– Co się poskładało?

– Sprawa zabójstw prostytutek. Bo jeśli on był w Schneidemühl, to najprawdopodobniej zabił tam kobietę nad rzeką.

Policjant sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej nóż owinięty kawałkami materiału.

– Czy twoja zabita prostytutka nie była ubrana przypadkiem w czerwoną sukienkę?

Aschmutat spojrzal na niego zdziwiony.

– Tak, a skąd to wiesz? Przecież nic na ten temat nie mówiłem.

– Nie musiałeś – Antoni się uśmiechnął, a potem podał mu czerwony skrawek.

– To zapewne pasuje doskonale do jej ubrania. Znalazłem ten skrawek, podobnie jak dwa pozostałe w rzeczach tego człowieka. To jest, a raczej był nasz morderca.

Carl przez chwilę trzymał w dłoni kawałek sukienki, przypatrując mu się bardzo uważnie. Nie miał żadnych wątpliwości. To był ten kawałek wycięty z sukienki. Ale przecież jego człowiek, Kowalski, znalazł coś, co wyglądało podobnie, w szafie Nowaka. O co więc mogło w tym wszystkim chodzić? Kowalski wyciągnął te zwłoki z wody, mógł więc odciąć jeszcze jakiś skrawek. To on wpadł na pomysł, żeby odwiedzić Nowaka, bo wiedział, że ten wyszedł z więzienia. A po przybyciu na miejsce bez większego trudu znalazł dowód obciążający Nowaka. Czyżby więc podrzucił ten materiał, żeby zrobić niewinnego człowieka? Tylko jaki miałyby mieć w tym cel? W takim razie Günter Nowak był całkowicie niewinny!

– A ja byłem przekonany, że to robota tego Nowaka. Miałem nadzieję, że go wspólnie zaaresztujemy. Chociaż tyle, bo przypuszczałem, że skoro i tu zabijał, raczej nie będziecie chcieli go nam wydać. Ale teraz to już nie ma większego znaczenia. Nowak jest nieprzydatny.

– I tu się mylisz, przyjacielu – odpowiedział z tajemniczą miną Fischer.

Drzwi do gabinetu otworzyły się. Stała w nich uśmiechnięta Anna. Obaj mężczyźni natychmiast poderwali się na równe nogi.

– Mam nadzieję, że już uknuliście wasz spisek, bo jeśli nie, to musicie swoje rozmowy odłożyć na później. Zrobiłyśmy kawę, więc zapraszam

obu panów do salonu. I nie przyjmujemy żadnych wykrętów. Zabieram was obu.

Ruszyli posłusznie, jak rekruci przed swoim dowódcą.

Nagle Fischer przystanął na chwilę koło walizki, która stała pod ścianą.

– Wygodniej będzie, jak zabierzesz ją do sypialni, Carl. Tu w gabinecie się wam nie przyda. Ja będę spał tutaj, a wy, proszę, korzystajcie z mojego łóżka. Mnie wystarczy to rozkładane łóżko.

– Ależ nie, Anton – odpowiedział Carl. – Zapomniałem ci powiedzieć. Tę walizkę przyniósł dziś jakiś człowiek. Powiedział, że to przesyłka od jakiegoś pana Anatola czy jakoś podobnie... Doprawdy, nie mogę sobie przypomnieć.

Fischer zdumiony patrzył na walizkę. Pan Anatol i walizka? To mogło oznaczać tylko jedno.

– Wybacz Anno, Carl. Muszę zostać tu dosłownie na minutę i zaraz do was dołączam.

Carl klepnął go w ramię i wyszedł z gabinetu, zamykając za sobą drzwi. Antoni tymczasem chwycił walizkę i rozłożył ją na blacie biurka, a potem drżącymi dłońmi rozpiął dwie klamry. Na wierzchu dostrzegł zakrwawioną patkę od munduru z dystynkcjami zastępcy komisarza. Odłożył ją na bok. Nie musiał się jej specjalnie przyglądać. Wiedział, do kogo należała. Bardziej ciekawiło go to, co jest pod spodem. Przez chwilę przyglądał się papierom, a potem starannie zapiął walizkę i wsunął ją pod biurko. Teraz mógł już spokojnie zająć się swoimi niespodziewanymi gośćmi. Walizkę jutro trzeba będzie podrzucić Jażdżewskiemu. Na pewno się chłop ucieszy. Pułkownik też się ucieszy. Honor pułku został uratowany. Nigdy nie było żadnej szpiegowskiej sprawy, a porucznik Karpiński skręcił sobie kark, spadając z konia. Naocznym świadkiem tego przykrego zdarzenia był kapitan Jażdżewski. Pewien kłopot stanowił sierżant Witkowski, którego Fischer musiał przekazać Jażdżewskiemu. Ale to już kłopot wojska. Zapewne znajdą sposób, by podoficer doszedł do wniosku, że trzeba tę sprawę zakończyć honorowo, choć z drugiej strony, jak wiadomo, chamy honoru nie mają, więc może trzeba będzie mu pomóc w podjęciu decyzji. Natomiast Albin Siewierski, zastępca komisarza Fischera, zaginął bez wieści. Nikt nie wiedział, co się z nim stało. No cóż, takie wypadki się zdarzają.

Przestał się nad tym zastanawiać. Sprawa była definitywnie zamknięta.

Miał ważniejsze sprawy na głowie.

A tak swoją drogą – pomyślał Antoni – skoro Ursula zgodziła się, by zostali narzeczonymi, to trzeba będzie z nią ustalić wszystkie szczegóły dotyczące przyszłości. Przed wszystkim – większe mieszkanie. Te cztery pokoje to za mało na rodzinę. Trzeba będzie wkrótce poszukać czegoś innego. Może gdzieś na Jeżycach? Tam jest sporo ładnych domów z zielenią na podwórkach, choć z drugiej strony i tu na Łazarzu jest całkiem ładnie...

Otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Carl wstał natychmiast z krzesła i przywitał go szerokim uśmiechem.

– Anton, przyjacielu! Właśnie rozmawialiśmy o waszej przyszłości. Co tam waszej. Naszej wspólnej! Wiesz, u nas w Dyrekcji Policji w Schneidemühl na pewno znajdzie się dla ciebie odpowiednia dla twoich zasług posada...

Piątek, 14 marca

Godzina 11.20 przed południem

Günter Nowak patrzył na krajobraz przesuwany się za oknem. Pociąg kilkanaście minut temu wyjechał ze stacji Chodzież i zbliżał się do granicy z Niemcami. Za chwilę powinien się zatrzymać na ostatniej polskiej stacji.

Więc tak się kończyła ta jego ucieczka z Niemiec. I co dalej? Nie miał zielonego pojęcia, co się teraz wydarzy, ale był pełen jak najgorszych przeczuc. Bo czy mógł wierzyć tym dwóm policjantom? Tego Polaka nie znał, ale ten drugi, Niemiec, mógł mieć wobec niego jak najgorsze zamiary. To przecież właśnie on podczas aresztowania o mało nie pozbawił go życia w jego własnym domu. Więc nie bardzo chciało mu się wierzyć w to, co mu obiecali. A obiecali mu, że...

Pociąg się zatrzymał. Günter spojrzał na swoje dłonie skute kajdankami, a potem naprzeciw, na tego rozpartego na kanapie polskiego policjanta ubranego po cywilnemu. Ten przyglądał się nadržecznym

łąkom porośniętym krzakami i niewielkimi drzewkami. Kawałek dalej wiała się rzeka Küddow, która zmierzała w kierunku Schneidemühl. Tu jednak nazywała się Gwda. Policjant sięgnął do swojej skórzanej teczki, wydobył z niej butelkę piwa, zdjął porcelanowy kapsel, a potem pociągnął spory łyk. Nowak przełknął ślinę, bo poczuł pragnienie. Policjant to zauważył. Upił jeszcze trochę, a potem podał butelkę Niemcowi. Ten chwycił ją i szybko dopił do końca.

– Dziękuję – powiedział po polsku.

– Ciekawe, czy tam u siebie macie takie dobre piwo jak nasz grodzisz.

– Też są dobre – powiedział Günter, natychmiast przypominając sobie smak tego piwa, na którym się wychował. Z browaru Axta. Żaden smak tych polskich szczyn nie mógł się z nim równać, ale nie mógł tego powiedzieć temu policjantowi, bo po co miał sobie jeszcze robić z niego wroga? – Ale nie tak dobre – dodał, a na twarzy Polaka natychmiast pojawił się szeroki uśmiech świadczący o ukontentowaniu. Pociąg ruszył powoli, po chwili wjechał na stalowy most wiszący ponad rzeką. Po dalszych paru minutach zatrzymał się na stacji Dziembówko, która jeszcze kilka lat temu nazywała się Gertraudenhütte, od nazwy huty szkła, działającej w tej okolicy. Z pociągu wysiadło kilka bab w chustkach, obładowanych jakimiś tobołkami.

– No, dalej, zbieraj się – powiedział policjant wstając. – Koniec jazdy. Wychodzimy.

Günterowi nie trzeba było tego tłumaczyć. Wiedział, że dalej nie da się jechać. Kiedyś, jeszcze podczas wojny, Poznań z Schneidemühl był połączony linią kolejową, ale kilka lat temu tory między stacjami Motylewobrück po stronie niemieckiej a Dziembówkiem po stronie polskiej rozebrano. Żeby dostać się do granicy, trzeba było teraz przejść kilkaset metrów do miejsca, gdzie znajdował się graniczny szlaban.

Ruszyli w tamtym kierunku. Niemiecki punkt kontrolny widać było już z daleka. Nie było to normalne przejście graniczne, jak choćby to drogowe na moście w Usch. Tutaj teoretycznie nie wolno było przechodzić, ale mieszkający po jednej i drugiej stronie granicy niewiele się tym przejmowali. Chodzili w jedną i w drugą stronę tak, jak to czynili zawsze, a pogranicznicy z jednej i drugiej strony nie zwracali na to większej uwagi. No, chyba że ktoś przechodził z jakimś większym bagażem. Takich ludzi oczywiście sprawdzano, czy aby nie przenoszą

jakiejś kontrabandy.

Nowak rozpoznał go z daleka. Policjant Kowalski, ten sam, który wytrząsał go po pysku i znalazł w jego szafie jakiś czerwony skrawek, który miał być dowodem jego winy, stał za biało-czerwonym szlabanem, trzymając się pod boki. Ten człowiek nie wróżył niczego dobrego. Już raz go wrobił i przez niego Günter poszedł siedzieć, potem próbował po raz drugi i dlatego wolał uciekać, niż znów dać się zamknąć. No i teraz miał zostać oddany w jego ręce? To musiało się źle skończyć.

Zanim podeszli do szlabanu, polski policjant wręczył mu jakąś paczkę.

– Zgodnie z umową, masz tu paszport na nowe nazwisko. Niemiecki paszport z twoim zdjęciem. Do tego masz jeszcze dolary. Możesz dzięki temu wyjechać do Ameryki. Wystarczy na rejs. I pamiętaj, do Polski nie masz co wracać, bo jesteś oskarżony o podwójne morderstwo. Wrócisz, to cię posadzimy i czapa. W Niemczech też lepiej nie zostawaj, bo tam masz na koncie jedno morderstwo, więc hipotekę masz wszędzie zasraną. Ale w Ameryce to co innego.

Potem ściągnął Nowakowi kajdanki, a ten szybko włożył paczuszkę do wewnętrznej kieszeni marynarki. Dotąd wszystko szło tak, jak obiecał w Poznaniu ten polski policjant, ale ten tam po drugiej stronie szlabanu budził jego niepokój.

Polak klepnął go w ramię, a potem szybkim ruchem wsunął coś do kieszeni.

– A to, żebyś wiedział, że pan komisarz Fischer tylko chce ci pomóc, a nie oszukać.

Pchnął go i Nowak posłusznie ruszył w kierunku przejścia. Po drodze włożył rękę do obciążonej kieszeni. Zdziwił się niepomrotnie, gdy wyczuł znajomy kształt rękojeści swojego przyciętego do połowy wojskowego bagnetu. Na wszelki wypadek wy dobył go i szybko wsunął za pasek z tyłu.

Uśmiechnięty Kowalski kazał podnieść wartownikowi szlaban. Ten natychmiast spełnił polecenie policjanta. Nowak przekroczył granicę, ale wcale nie czuł radości z powodu powrotu na ojczystą ziemię. Cały czas zastanawiał się, co zrobi ten facet przed nim.

– Witamy panie Nowak w domu.

– Co będzie ze mną? – zapytał, stając dwa metry przed policjantem.

– Wszystko zgodnie z umową. Tam w lesie po lewej czeka samochód.

Jedziemy do Schneidemühl i tam odstawiam cię na dworzec kolejowy. A potem rób, co chcesz. Idziemy. – Kowalski wskazał na wydeptaną ścieżkę prowadzącą w las. – Idź przodem.

Nowak ruszył po stromiźnie nasypu. Gdy był już na dole, przystanął, by poczekać na policjanta. Ten zbiegł szybko, a potem klepnął go w plecy.

– Teraz tutaj – powiedział, wskazując ruchem głowy ścieżkę skręcającą w gęstwinię.

Günter szedł spokojnie, zastanawiając się nad tym, co za chwilę może się wydarzyć. Przypomniawszy sobie ten wieczór sprzed trzech lat w Schneidemühl, kiedy wracał z pracy po popołudniowej zmianie. Jak zwykle przechodził koło dworca głównego, by zaraz odbić w lewo w Bahnhof Straße. Mijał właśnie udeptany setkami kopyt plac targu końskiego, gdy nagle usłyszał jakieś dochodzące stamtąd jęki. Uśmiechnął się pod nosem, bo pomyślał, że któraś z dziewcząt spod dworca złapała niezbyt zamożnego klienta, którego nie stać było na hotel i teraz obsługiwała go na łonie natury. Nagle powietrze przeszył rozpaczliwy krzyk, w którym natychmiast dało się wyłowić nutę przerażenia. Potem jakieś gniewne warknięcia i znów krzyk. Niewiele się zastanawiając, ruszył w tamtym kierunku. Przebiegł zaledwie kilkanaście kroków, gdy nagle zobaczył klęczącą postać i drugą pochylającą się nad nią. Noc była księżycowa, więc z tej odległości widać było wszystko dość dobrze. Na tyle dobrze, że bez trudu dostrzegł w ręku mężczyzny nóż, którego ostrze kierowało się w kierunku szyi klęczącej dziewczyny. Zareagował niemal odruchowo. Podbiegł do mężczyzny, który nawet nie zauważył jego obecności, i z całej siły uderzył go pięścią w głowę. Ten, padając na plecy, wypuścił z dłoni nóż. Günter na wszelki wypadek podniósł narzędzie z ziemi, a potem pochylił się do dziewczyny, by podnieść ją z ziemi. Powiedział coś do niej, a ona odwróciła w jego stronę pociętą, zakrwawioną twarz. Zaraz jednak dostrzegła ten nóż w jego dłoni i zaczęła znów krzyczeć jak opętana. Odskoczył od niej, żeby pokazać, że nie ma wobec niej żadnych złych zamiarów. Ona tymczasem poderwała się z kolan i pobiegła przed siebie w kierunku ulicy. Nowak został z tym nożem w ręce, nie wiedząc, co ma teraz zrobić. Powinien go natychmiast wyrzucić, ale nie zdążył. Potężny cios w brzuch sprawił, że padł na kolana. Zanim zdążył zareagować na atak, zainkasował kopniaka podkutym butem wprost w szczękę. Przewrócił się na plecy, a nóż

wypadł mu z dłoni. Wtedy napastnik pochylił się nad nim.

– Nie trzeba się mieszać w nieswoje sprawy – wysyczał, a potem kopnął go jeszcze raz w skroń. Zanim nad Günterem zamknęły się ciemności, zdążył jeszcze dokładnie zapamiętać tę twarz.

Ocknął się w celi. Próbował następnego dnia tłumaczyć policjantom, że nie miał nic wspólnego z napadem. Ale ta, której uratował życie, rozpoznała w nim napastnika. Dodatkowo obciążał go jeszcze nóż znaleziony przy nim na ziemi. Nie miał najmniejszej szansy wyplątać się z tego. Tłumaczył, że on tylko chciał pomóc, że ją ratował. Bezskutecznie. Wlepili mu dwa lata, które odsiedział co do dnia. Cały czas jednak doskonale pamiętał twarz tego człowieka, który napadł na dziewczynę. Wiedział, że jak wyjdzie na wolność, będzie go musiał odnaleźć, żeby wyrównać rachunki. No i zobaczył go prędzej, niż się spodziewał. Sam przyszedł do niego. Był jednym z dwóch policjantów, którzy tego dnia rano przyszli do niego, żeby go aresztować. To był właśnie ten bydlak Kowalski, który najpierw znalazł jakiś skrawek materiału w jego szafie, a potem go pobił. Myślał, że po tym, jak ucieknie do Polski, nigdy go już nie zobaczy. Pomylił się.

– No dalej, ruszaj się – odezwał się zza jego pleców Kowalski.

Nowak zrobił kilka kroków naprzód, gdy nagle usłyszał charakterystyczny klekot przeładowywania pistoletu. Zatrzymał się i odwrócił, ale nie całkiem, odwrócił się bokiem, tak że ten z tyłu nie mógł widzieć, co dzieje się z jego prawą ręką. Tymczasem ona wsunęła się szybko do kieszeni marynarki. Dłoń pochwyciła rękojeść bagnetu.

Kowalski zbliżył się do niego i przystawił mu pistolet do szyi.

– No dalej, ruszaj się. Idź przed siebie.

– Nie – odpowiedział twardo Günter.

– Dalej, nie mam czasu na zabawę.

– Czego ty chcesz ode mnie?

– Ja? Nie trzeba się mieszać w nieswoje sprawy – powtórzył to samo zdanie, które wypowiedział wtedy na końskim targu.

– Nie trzeba było jej ciąć – powiedział Nowak i błyskawicznie wykonał półobrót, tak że pistolet trzymany przez policjanta zsunął się z szyi Güntera. Nim zaskoczony Kowalski zdążył powtórnie wycelować, Nowak z całej siły uderzył go w szyję bagnetem. Krew z tętnicy trysnęła strumieniem, ochlapując Güntera. Kowalski wypuścił pistolet i obiema

dłońmi złapał się za szyję, próbując powstrzymać krwawienie. Na nic to się jednak zdało. Po chwili opadł na kolana. Nowak stał cały czas przed nim, patrząc jak zahipnotyzowany.

– Nie trzeba było jej ciąć – powiedział jeszcze raz, ale tego już policjant nie słyszał. Upadł na twarz i po chwili znieruchomiał.

Günter Nowak otarł zakrwawiony nóż o mundur leżącego, potem podniósł jego pistolet i włożył do kieszeni.

Gdzieś w górze, w koronach drzew śpiewał ptak. Nowak zagwizdał do niego, a ptak odpowiedział. Potem, włożywszy pistolet i bagnet do dwóch kieszeni, ruszył przed siebie. Pomyślał, że idąc tym lasem na południe, powinien się dostać nad rzekę. Musiał zmyć z siebie tę krew, bo przecież taki obryzany posoką nie mógł pokazać się ludziom. W końcu niedługo znajdzie się wśród nich. Na swojej drodze do Ameryki spotka ich zapewne jeszcze wielu i nie może każdemu się tłumaczyć, skąd na jego marynarce wzięły się krwawe plamy. Za dużo by było do opowiadania.

Słowniczek wyrazów gwarowych używanych przez bohaterów powieści

ady – ale, ależ, przecież

ajntop – wieloskładnikowa zupa

akuratnie – porządnie, dokładnie

ancug – ubranie męskie, garnitur

bejmy – pieniądze

bez – przez (np. przejść bez płot)

bracha – łom

brachu, braszka – brat

chabas – mięso

cingiem – ciągle

dynks – rzecz, której nazwy się nie zna lub nie pamięta

dziabnąć – dźgnąć

famuła – rodzina

flepy – dokumenty

galart – galareta z mięsa

gemela – śmietnik, bałagan

giry – nogi

glajdus – brudas, niechluj

gzika – twarożek

kalafa – gęba, twarz

kałynd – brzuch

kanka – bańka na mleko

kejter – pies, kundel

kielczyć się – śmiać się

kij – piętro
kista – skrzynia
kiszczonka – wywar po gotowaniu niektórych wędlin
klofta – gruba, ociążała kobieta
kluka – nos
knykry – krótkie spodnie, zapinane poniżej kolan
knyp – nóż
kociamber – kot
kopystka – drewniana łyżka, łopatka
lajsnać – zafundować, sprawić coś komuś
leberka – wątrobianka
lompy – ubrania, odzież
lujówka – czapka z daszkiem
łe jery – o rety
marmelada – marmolada
na szagę – na skos
namolny – uprzykrzony
odkluczyć – otworzyć zamek kluczem
papudrok – partacz, niezdara
pochachmęcić – pomataczyć, pokręcić
poruta – wstyd, kompromitacja
pyra – ziemniak
racha – złość, gniew
rapel – bzik, fioł
rozchodzi się – chodzi o coś
rumpuć – gęsta zupa jarzynowa
rychtować – przygotować
ryczka – stołeczek, niski taboret
ryfa – gęba, twarz
rychtować – przygotowywać
raszplowana – zwariowana
skład – sklep
szafonierka – szafka, głównie przeznaczona na bieliznę
szczon, szczun – chłopak
szkieber – pogardliwie o Niemcu
szkieł – policjant

sznupa – twarz, gęba
sznytka – kromka chleba
szpek – boczek, słonina
szpycnąć – spoglądać, spojrzeć
szuszwol – brudas, obdartus
szypa – łopata, szufla
ślepe ryby – zupa ziemniaczana
ślypia – oczy
trzewiki – półbuty
tytka – torebka papierowa
westka – kamizelka
wiara, wiaruchna – ludzie, ludziska
wuchta – wielka ilość, mnóstwo
zdałasiały – zabiedzony, niepozorny
zakluczyć – zamknąć zamek za pomocą klucza
ździebko – trochę

Spis treści

[Prolog](#)

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Rozdział VI](#)

[Rozdział VII](#)

[Rozdział VIII](#)

[Rozdział IX](#)

[Rozdział X](#)

[Rozdział XI](#)

[Słowniczek wyrazów gwarowych używanych przez bohaterów powieści](#)